



Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej

Krasnosielcki Zeszyt Historyczny Nr 37

ISSN 2080-024X listopad–grudzień 2018 r.

dodatek specjalny do miesięcznika „Wieści znad Orzyca” Nr 11–12 (139–140)
www.tpzk.online



Wprowadzenie

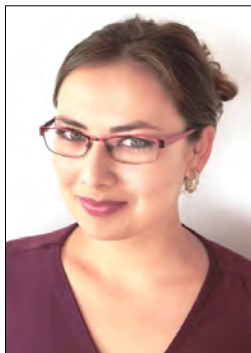
Szanowny Czytelniku!

Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej, realizując konsekwentnie swoją misję propagowania i dokumentowania wiedzy historycznej o przeszłości mieszkańców regionu i kraju, przekazuje w Twoje ręce, drogi Czytelniku, kolejny „Krasnosielcki Zeszyt Historyczny”.

Dzięki niezwyklej pasji i pracy autorów tekstów oraz całego zespołu redakcyjnego prezentujemy 148 stron wyjątkowych tekstów. Ich lektura będzie wspaniałą podróżą w czasie po barwnej i ciekawej przeszłości naszych przodków.

Życzący przyjemnej lektury

*Sławomir Rutkowski
oraz Maria Weronika Kmoch
Redaktorzy Wydania*



Niniejsze wydanie „Krasnosielckiego Zeszytu Historycznego” ukazało się drukiem dzięki wsparciu finansowemu darczyńców prywatnych oraz samorządu powiatu makowskiego w ramach działania „Wydanie drukiem Krasnosielckiego Zeszytu Historycznego Nr 37”.



(...) Dzieje rodziny Kamińskich... s. 3

Międzyrzecze Orzyca i Omulwi... s. 47

Okres wpływów rzymskich... s. 50

Ziemia (...) w pradziejach do przełomu er ... s. 53

Imiona w parafii (...) w Krasnosielcu... s. 67

Polski wrzesień 1939 r...; Ginące zawody... s. 70

Pamięci września 1939 r... s. 72

(...) Stare Jabłonki (...) - w 74. rocznicę s. 73

Pamięć jest zawodna... s. 81

(...) Kolejny tragiczny życiorys wojennego... s. 84

O historii z pasją s. 86

Za chlebem do Francji... s. 102

Emigracja za Przasnysz i do Prus... s. 111

Następstwa (...) emigracji... s. 120

Prelekcja (...) dr. W. Borkowskiego... s. 129

Powstanie styczniowe w parafii Płoniawy... s. 137



Ilustracje do artykułu "Międzyrzecze Orzyca i Omulwi do początku epoki brązu"



1



4



2



5



6

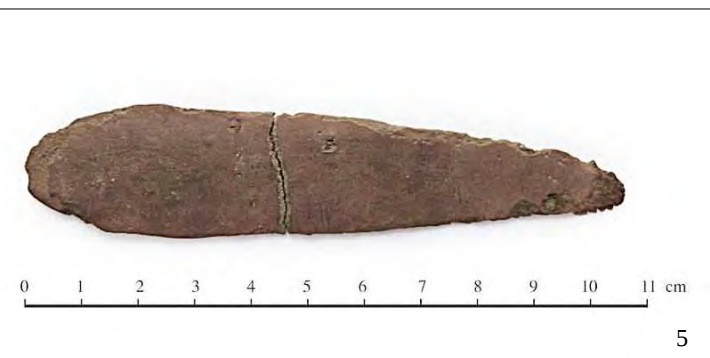


3

1. Siekierka krzemienista z neolitu, Jastrząbka, gm. Baranowo. Zbiory Muzeum Historycznego w Przasnyszu. Źródło: *Z kart historii Przasnysza. 590. Rocznicą nadania praw miejskich. Katalog wystawy*, Przasnysz 2017, s. 92.
2. Toporek kamienny z neolitu, Rycice, gm. Chorzele. Zbiory Muzeum Historycznego w Przasnyszu. Źródło: *Z kart historii Przasnysza. 590. Rocznicą nadania praw miejskich. Katalog wystawy*, Przasnysz 2017, s. 92.
3. Naczynie gliniane z późnej epoki brązu/wczesnej epoki żelaza, Przasnysz. Zbiory Muzeum Historycznego w Przasnyszu. Źródło: *Z kart historii Przasnysza. 590. Rocznicą nadania praw miejskich. Katalog wystawy*, Przasnysz 2017, s. 94.
4. Siekierka krzemienista z neolitu, Nowa Wieś, gm. Chorzele. Zbiory Muzeum Historycznego w Przasnyszu. Źródło: *Z kart historii Przasnysza. 590. Rocznicą nadania praw miejskich. Katalog wystawy*, Przasnysz 2017, s. 95.
5. Metalowa klinga sztyletu z epoki brązu, Drądzewo, gm. Krasnosielc. Zbiory Muzeum Historycznego w Przasnyszu. Źródło: *Z kart historii Przasnysza. 590. Rocznicą nadania praw miejskich. Katalog wystawy*, Przasnysz 2017, s. 95.
6. Metalowa klinga sztyletu z neolitu / wczesnej epoki brązu, Drądzewo, gm. Krasnosielc. Zbiory Muzeum Historycznego w Przasnyszu. Źródło: *Z kart historii Przasnysza. 590. Rocznicą nadania praw miejskich. Katalog wystawy*, Przasnysz 2017, s. 95.



6



5

Sztylety znalezione w 2013 r. w rejonie Polskiej Kępy.
Źródło: <http://archeowiesci.pl/2013/12/31/reduta-powstancow-z-1863-i-prehistoryczne-sztylety/> (dostęp 20 I 2019 r.).



Opowiedz mi, dziadku...

Dzieje rodziny Kamińskich od 1933 r. do czasów obecnych, to jest 2018 r.

Stanisław Zenon KAMIŃSKI

Wprowadzenie

Życie jest pełne nadziei.

Pełne drobnych radości i pragnień.

Niestety zdarza się też życie ciężkie, pełne bolesnych doświadczeń, które przychodzą niezależnie od nas, bądź spadają na nas, gdy chcemy być dobrzy, szlachetni, prawi ... lub gdy świat nas nie rozumie...

Prawdziwe życie pełne jest pracy, planowania i obowiązków, to ich nie podejmie ten prawdziwego życia nie ma.

...

Stanisław Zenon Kamiński swoim życiem udowodnił, że żył prawdziwie. Życie go ani nie wypaczyło, ani nie złamało, choć nie było łatwe, a piszemy o nim, bo był jednym z nas...

Radosne dzieciństwo, pomimo tragedii II wojny światowej, pragnienia wolności po jej zakończeniu i topór opresji stalinowskich, to wszystko jego doświadczenia.

Dzięki własnej determinacji, talentom i dobrym ludziom, uwalnia się z piętna człowieka straconego dla Polski, nadanego przez system totalitarny PRL. Buduje nową rzeczywistość polaków i to w bardzo ważnych obszarach gospodarczych.

I tu osobista dygresja: jako młody student podchorąży Szkoły Głównej Służby Pożarniczej w Warszawie na ul. Słowackiego, już w roku 1988 słyszałem o misji mojej uczelni przy tworzeniu bezpiecznych warunków do pracy robotników w kontekście bezpieczeństwa pożarowego, szczególnie po tragicznym pożarze magazynu wysokiego składowania Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu w Warszawie. Dziś dopiero dowiaduję się, że wśród tej bardzo wąskiej grupy inżynierów tworzących na podstawie tego tragicznego doświadczenia nowe rozwiązania konstrukcyjne, był Stanisław Zenon Kamiński - były mieszkaniec Krasnosielca.

Dziękuję panie Stanisławie za Pana wspomnienia, którymi się z nami dzielisz. Dziękuję za życie dla swojej rodziny i dla Polski.

Dziękuję za to, że nie zmarnowałeś swoich talentów, i byłeś prawdziwym patriotą budującym Polskę, tak jak warunki pozwalały, nie poprzez zabijanie a wzrost jej siły ekonomicznej.

Dziękuję.

*Sławomir Rutkowski
Redaktor Wydania*

Rodzina

Dziadek Antoni Granoszewski i babcia Helena Granoszeńska mieszkali w Krasnosielcu, miasteczku położonym na Mazowszu w pobliżu Ostrołęki. Mieli tam swój dom z ogrodem i chyba jakieś pole uprawne, gdzie uprawiali len. Co roku na jesieni babcia zajmowała się przygotowaniem lnu do przędzenia, to znaczy moczeniem pęków lnu w rzece Orzyc płynącej przez miasteczko, suszeniem, międleniem, czyli łamaniem łodyg lnu w specjalnych drewnianych przyrządach zwanych międlcami, czesaniem zgrubnym oraz czesaniem dokładnym, wiązaniem w motki i przygotowaniem do przędzenia. Ja, Stanisław Zenon Kamiński, urodziłem się w Łomży 9 VII 1933 r.

Mieszkanie dziadków składało się z dużej sieni, z której prowadziły duże drzwi do kuchni babci. Z kuchni tej prowadziły schody na użytkowe poddasze. Schody te były oddzielone od kuchni szczelnym deskowaniem. Pod schodami była wydzielona tzw. komora, gdzie przechowywało się produkty spożywcze oraz żywność. Z kuchni babci drzwi prowadziły do drugiej kuchni – dosyć obszernej, z oknem na podwórko. Z kuchni prowadziły drzwi do dużego pokoju z oknem na ulicę. Od strony ulicy był jeszcze jeden pokój, który zajmowała ciotka Irena z córką Dziunią. Ciotka Irena była żoną wujka Kazimierza Granoszewskiego, który był na wojnie.

Dom był dosyć duży, miał trzy wejścia: dwa od ulicy i jedno od podwórka. Od podwórka była duża sień prowadząca do kuchni, która była jednocześnie sypialnią dziadków. Pamiętam wielkie łóżko z położonymi na wierzchu trzema ol-

brzymimi poduchami ułożonymi jedna na drugiej, na kapie zakrywającej posłanie.

W niedzielę na kapie rozpościerano płócienne, wykrochmalone prześcieradło, na którym babcia układała wielkie rozwałkowane płachty makaronu, który miał przeschnąć, nim wrócimy z kościoła. Po powrocie z kościoła dziadek ze strony taty siadał do krojenia makaronu. Tylko on miał prawo do tej czynności. A potrafił to robić artystycznie, bo jego makaron krojony nożem był cieńszy od współczesnych nittek i długi na 0,5 metra. Do tego doskonale rosół.

W domu tym mieszkaliśmy w osiem osób: dziadek ze strony mamy Antoni, babcia ze strony mamy, ich starszy syn Tadeusz (ok. 22 lat), młodszy syn Adolf (19 lat), dziadek ze strony taty Stanisław, moja siostra Bożenna (2 lata) oraz nasza mama Ewa i ja. Tata Stefan był na wojnie i nic o nim nie wiedzieliśmy. Pokój z wejściem od ulicy był dosyć duży, o powierzchni około 20 m².



Ja, Zenek, na początku mojej życiowej wędrówki.



Dziadek, tata, mama i ja Zenek na spacerze w parku.

Las dostarczał wszystkiego: był apteką, spiżarnią, dostarczycielem opału, magazynem spożywczym zapasów zimowych (orzechy, grzyby, jagody jałowca, żołędzie na kawę, listki poziomki na herbatę), dostarczał wiele innych rzeczy, bez których nie sposób się obejść.

Moja babcia ze strony mamy nazywała się Helena Granoszewska. Nie znam daty urodzenia, jak również daty śmierci. Pochodziła ze wsi Pienice, odległej o ok. 4 km od Krasnosielca osady na Mazowszu. Zmarła w czasie niemieckiej okupacji lub w następnym roku, czyli w pierwszym roku okupacji sowieckiej. Była drugą żoną dziadka Antoniego. Pierwsza żona zmarła, ale jej nie pamiętam. Z małżeństwa z pierwszą żoną urodziły się cztery córki: Zofia, Maria, Stanisława Ewa (moja mama), najmłodsza Janina oraz syn Kazimierz. Z małżeństwa z drugą żoną urodziło się dwóch synów: Tadeusz i Adolf. Najstarsza córka Maria wyszła za mąż za Rogalskiego, gospodarza z Chłopiej Łąki, wsi odległej ok. 3 km od Krasnosielca. Mieli dwóch synów: Mieczysława i Jerzego oraz córkę Zofię. Druga córka babci, Zofia, wyszła za mąż za Władysława Łazickiego (bliższych danych nie znam). Dzieci nie mieli. Trzecia córka Ewa Stanisława (moja mama) wyszła za mąż za Stefana Kamińskiego, krawca z Łomży. Mieli troje dzieci. Mnie, Stanisława Zenona, Bożenę oraz Annę. Do Krasnosielca jeździliśmy na całe lato, tam był nasz drugi dom.

Dziadkowie nie pracowali zawodowo, żyli, uprawiając swoje niewielkie poletko. Babka całą zimę spędzała przy krosnach, tkając płótno najcieńsze, jakie w życiu widziałem.

Do dziadka Antoniego przychodzili ludzie po poradę w sprawach najrozmaitszych i wycho-

dzili zawsze zadowoleni. Dziadek w czasie swojej młodości pracował we dworach, gdzie prowadził księgi podatkowe. Zapytałem się, dlaczego we dworach? Chyba we dworze? Na co dziadek odpowiedział, że jak dziedzic zbankrutował, bądź przegrał majątek w karty, to dziadek szukał sobie nowego dworu. Nie wiem, co on rachował, ale cieszył się wielkim poważaniem wśród miejscowej elity z uwagi na pracowitość charakteru oraz umiejętność współżycia z ludźmi. Pamiętam jak do dziadka przychodzili ludzie po poradę w różnych sprawach. Np. że na ostatnim jarmarku ktoś komuś sprzedał krowę z zapewnieniem o jej wysokiej mleczności, co okazało się nieprawdą. Dziadek tak pokierował sprawą, że z dwóch skłó-

nych rodzin stali się prawdziwymi przyjaciółmi.

Dziadek ze strony taty nazywał się Stanisław Kamiński. Był szczupłym starszym panem z wąsikami. Jako nakrycia głowy zawsze używał melonika. Babci nie znałem, zmarła przed moim urodzeniem. Dziadek po powrocie z carskiego wojska ożenił się z wdową z trojgiem dzieci oraz warsztatem szewskim. Z tego związku urodziło się czworo dzieci: syn Julian, późniejszy Kawaler Krzyża Virtuti Militari³ za wojnę sowiecko-polską w 1920 r.⁴, córka Stanisława, druga córka Antonina, drugi syn Stefan (mój ojciec), późniejszy Sybirak oraz trzecia córka Janina.

Dziadek ze strony taty nazywał się Stanisław Kamiński. Był szczupłym starszym panem z wąsikami. Jako nakrycia głowy zawsze używał melonika. Babci nie znałem, zmarła przed moim urodzeniem. Dziadek po powrocie z car-

skiego wojska ożenił się z wdową z trojgiem dzieci oraz warsztatem szewskim. Z tego związku urodziło się czworo dzieci: syn Julian, późniejszy Kawaler Krzyża Virtuti Militari³ za wojnę sowiecko-polską w 1920 r.⁴, córka Stanisława, druga córka Antonina, drugi syn Stefan (mój ojciec), późniejszy Sybirak oraz trzecia córka Janina.

Syn Julian, z zawodu cukiernik, był zdobywcą I nagrody w latach trzydziestych w Berlinie za wypiek największej lukrowanej baby. Ożenił się z Bronisławą Sieradzką. Z tego związku urodziły się dwie córki: Barbara i po kilku latach Zdzisława.

Najstarsza córka dziadka, Stanisława, wyszła za mąż za Józefa Wasilewskiego. Z tego związku urodziło się troje dzieci: córka Krystyna, późniejsza zakonnica i dwóch synów: Zdzisław i Marian. Józef Wasilewski zginął w niemieckim obozie koncentracyjnym w Majdanku⁵. Druga córka Antonina wyszła za mąż za szewca Molendę (imienia nie pamiętam, ale chyba też Józef). Dzieci nie mieli.

Drugi syn Stefan ożenił się ze Stanisławą Ewą Granoszewską. Z tego związku urodziło się troje dzieci: syn Stanisław Zenon, czyli ja, córka Bożenka i druga córka Ania.

Trzecia córka Janina wyszła za mąż za Jana Malareckiego, kolejjarza. Z tego związku urodziło się czworo dzieci: najstarszy Paweł, następnie była Alicja, po niej Marian i najmłodszy Juliusz.

Dzieciństwo

Dziadka Stanisława Kamińskiego znałem od zawsze, ponieważ od zawsze mieszkał z nami. Właściwie to dziadek mnie wychowywał. Był moim najlepszym opiekunem, nauczycielem, przyjacielem i dziadkiem. A ja podobno nie byłem łatwym dzieckiem.

Jak miałem chyba cztery lata, przeprowadziłem swoje pierwsze naukowe doświadczenie. Dziadek przyniósł z cukierni ciasteczka. Paczka była przewiązana sznurkiem. Sznurek ładny, kolorowy zaciekał mnie. Zacząłem dziadka wypytwać, jak się taki sznurek robi. Dziadek odpowiedział iż jest to zwykły sznurek papierowy. Uznałem, że jeśli papierowy, to powinien się palić. Odczekałem, aż dziadek poszedł do studni po wodę, zamknąłem drzwi wejściowe na haczyk i przystąpiłem do próby wzniecenia ognia za pomocą zapalniczki znalezionej

³ Virtuti Militari (VM, łac. *Męstwo wojskowe*, *cnocie*) *dzielności żołnierskiej*) – najwyższe polskie odznaczenie wojskowe, nadawane za wybitne zasługi bojowe. Jest najstarszym orderem wojskowym na świecie, spośród nadawanych do chwili obecnej. Ustanowiony przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego 22 VI 1792 r. dla uczczenia zwycięstwa w bitwie pod Zieleńcami po rozpoczęciu wojny polsko-rosyjskiej przeciwko interwencji Imperium Rosyjskiego i konfederacji targowickiej, a w obronie Konstytucji 3 maja. Dewiza orderu brzmi: *Honor i Ojczyzna*.

² Wojna sowiecko-polska 1920 – właściwie wojna polsko-bolszewicka, polsko-sowietka lub polsko-rosyjska 1919–1921

³ Virtuti Militari (VM, łac. *Męstwo wojskowe*, *cnocie*) *dzielności żołnierskiej*) – najwyższe polskie odznaczenie wojskowe, nadawane za wybitne zasługi bojowe. Jest najstarszym orderem wojskowym na świecie, spośród nadawanych do chwili obecnej. Ustanowiony przez króla Stanisława Augusta Poniatowskiego 22 VI 1792 r. dla uczczenia zwycięstwa w bitwie pod Zieleńcami po rozpoczęciu wojny polsko-rosyjskiej przeciwko interwencji Imperium Rosyjskiego i konfederacji targowickiej, a w obronie Konstytucji 3 maja. Dewiza orderu brzmi: *Honor i Ojczyzna*.

⁴ Wojna sowiecko-polska 1920 – właściwie wojna polsko-bolszewicka, polsko-sowietka lub polsko-rosyjska 1919–1921

⁵ Majdanek - były, nazistowski, niemiecki obóz koncentracyjny na peryferiach Lublina



Spacer po wyjściu z lodziarni Młotka: tata, mama i ja – marynarz.

na okapie kuchennym. Niestety, bez powodzenia. Uznałem, że to pewnie brak benzyny w zapalniczce nie pozwala na wzniecenie ognia. Na drugim piętrze okapu kuchennego stała butelka z benzyną. Jak się do niej dostałem, to nie pamiętam. Natomiast z opowieści mamy i dziadka wynikało, że przysunąłem do okapu kuchenny stół, postawiłem na nim taboret, na taborecie stołeczek, wszedłem na stołeczek i sięgnąłem po butelkę z benzyną. Wylałem całą zawartość butelki do zapalniczki i pokręciłem kółeczkiem. W jednej chwili cała moja ręka oraz podłoga stanęła w ogniu. Nie wiem, czy krzychałem, czy płakałem, ale wiem, że usiłowałem się ratować przez owinięcie ręki ozdobną poduszką, która też zaczęła się palić. Dopiero zanurzenie ręki w beczce z wodą zakończyło ten pożar. Nie wiem, jak dorośli dostali się do mieszkania oraz jak ugasił pożar w kuchni, czy ja otworzyłem drzwi, czy zostały one wyważone. Ręka moja wyglądała okropnie. Nie była poparzona, była po prostu spalona w kolorze upieczonej kaczki.

Rozpoczął się okres bardzo bolesnego leczenia oraz jednocześnie okres bardzo intensywnego zainteresowania moją osobą przez tatę, mamę, dziadka oraz sąsiadów. Muszę przyznać, że to mi odpowiadało i jednocześnie pozwoliło lepiej znosić bolesne okłady i zmiany opatrunków. Miałem przyzwolenie rodziców na wszystko, z czego skrupulatnie korzystałem.

Mieszkaliśmy w Łomży przy ul. Zamiejskiej (numeru nie pamiętam), w domku czynszowym, gdzie stróżem był pan Kotowski (imienia nie znam), przez przyjaciół i wrogów zwany „Kotem”. My, czyli dzieci w wieku od lat 5 do chyba 12 lat, nie byliśmy przyjaciółmi „Kota” i vice versa. Nie raz wołaliśmy za „Kotem”

ków. Długość tych witek była ok. 0,8 m. Uformowaną kulkę gliny nanizano na cieńszy koniec witki, brało się duży zamach i kulka z dużą szybkością została wystrzelona. Zasięg rażenia był dosyć duży, bo chyba z 50 m. Bitwy toczyliśmy z sąsiednim budynkiem. Lokatorzy obu budynków o każdej wybitej szybie powiadamiali „Kota”. Nic dziwnego, że relacje nasze były raczej wrogie.

Kiedyś „Kot” przyłapał mnie, jak niosłem do domu glinę zawiniętą w jakiś koc. Przyprowadził mnie do ojca i zaczął składać skargę. Ojciec skargi wysłuchał i powiedział, że się nią zajmie, po czym pożegnał „Kota”. Skóra mi ścierpła, myślałem, że tata spuści mi lanie natychmiast, bo było za co, ale jak nie będzie lania, to będzie niekończące się kazanie, jak człowiek ma w życiu postępować. Tak naprawdę z dwojga złego wolałem lanie, bo było szybkie, a ja za chwilę byłbym już wolny. Na temat lania miałem wyobrażenia raczej teoretyczne z opowieści kolegów. Nie przypominam sobie, żeby ojciec kiedykolwiek mnie uderzył.

Przewidywania moje spełniły się; sprawa ciągnęła się kilka dni. Koledzy przychodzili i opowiadali o sukcesach lub porażkach w starciach. Ja z niecierpliwością oczekiwałem na koniec kary.

Bardzo lubiłem niedziele, szczególnie te ładne, ciepłe, pogodne. Wtedy szliśmy do fary, czyli do kościoła (fara – najstarszy kościół w mieście), a z kościoła prosto do cukierni Młotka na lody. Podobno cukiernia Młotka serwowała najlepsze lody w mieście (Młotek – właściciel cukierni). Mnie bardzo interesowało, jak dorośli stwierdzają, które lody są lepsze. Przecież wszystkie lody są dobre. U Młotka na lodach spotykali się wszyscy znajomi

„Stróż! stróż!”. Mama karciała mnie za takie zachowanie i tłumaczyła, że nie mówi się „stróż”, tylko „pan dozorca”. Toteż przy wieczornej modlitwie, gdy z mamą odmawialiśmy „Aniele Boży stróżu mój”, to ja mówiłem „Aniele Boży panie dozorczo mój” i podobno na to nie było rady.

Pamiętam, jak w Łomży przed samą wojną rozpoczęto budowę kanalizacji. W związku z tym ulice były rozkopane, na ulicach stały maszyny do układania rur, a po bokach była składowana ziemia z wykopów. Ziemia była gliniasta, a właściwie była to czysta glina, którą skrupulatnie w tajemnicy przed „Kotem” znosiliśmy do domu. Z tej gliny robiliśmy kulki średnicy ok. 1 cm, które były amunicją do naszych strzelb. Strzelby te były to witki wycięte z bzu lub innych krzaków.



Julian Kamiński, Kawaler Krzyża Virtuti Militari, przyznanego za bohaterski czyn w wojnie sowiecko-polskiej w 1920 r.

i opowiadali ostatnie nowinki polityczne. Ja, dokąd miałem lody, to grzecznie je jadłem. Natomiast później to różnie bywało. Bywało tak, że dostawałem nawet drugą porcję, jak temat rozmowy był absorbujący.

Pamiętam, jak dziadek nosił mnie na barana, a ja wzięłem nożyczki i pociąłem wiszące na ścianie haftowane przez mamę makatki. Po przyjeździe mamy dziadek dostał burę, na co odpowiedział: „Co Stasiénka (tak zwracał się do mamy) krzyczy, dzieciak jest chory, a chciał się pobawić, to co mogłem zrobić?”.

Zwiększyła się również ilość prezentów, jakie otrzymywałem od dziadka. Ja dobrze wiedziałem, kiedy dziadek odbiera na pocztę miesięczną emeryturę. Tego dnia kazałem ubrać się odświętnie, brałem dziadka za rękę też ubranego odświętnie w swój czarny melonik i szliśmy na pocztę. Po załatwieniu sprawy formalnej szliśmy prosto do sklepu z zabawkami. Zwykle tam wybierałem sobie szabelkę. Była umowa, że tylko jedną sztukę. Gdy byłem chory, zwiększyliśmy umowę do 2 sztuk prezentów. Jako drugą rzecz wybrałem małego majsterka, w skład którego wchodziła mała stolarska piłka, młotek, obcęgi i winkiel – przyrząd do wyznaczania kątów prostych. So-bie dziadek kupił gazetę.

Po przyjeździe do domu nie mogłem doczekać się wypróbowania małego majsterka. Mama posłała na targ (jak codziennie), dziadek usiadł nad gazetą, a ja i mój mały majsterka mieliśmy wolne. Był tylko jeden problem – w jaki sposób wypróbować tę zabawkę. Ale na szczęście przypomniała mi się weranda przy domu, którą widziałem gdzieś na mieście, gdzie narożniki tej werandy były wycięte w ząbki. Zabrałem się więc do pracy i na narożniku szafy ubraniowej usiłowałem wyciąć też taki ornament. Udało się zrobić kilka nacięć, kiedy mama przerwała moją pracę. Największą burę dostał dziadek. Ja z uwagi na moją rękę dostałem chyba cukierki i pocieszałem dziadka. Majste-

rek został skonfiskowany do czasu aż zmądrzeję. Zastanawiałem się, jak długo może trwać takie zmądrzanie.

Pamiętam, jak kiedyś mama z tatą poszli do kina na jakiś ważny film. Dostaliśmy z dziadkiem instrukcje, jak mamy się zachowywać w czasie nieobecności rodziców. Ja miałem być czysty, ładnie ubrany, w domu porządek jak przed wyjściem rodziców. Oczywiście złożyliśmy solenne przyrzeczenie spokojnego i grzecznego zachowania. Po wyjściu rodziców dziadek przepytiał mnie z polecenia rodziców i usiadł z gazetą w fotelu. Ja zamyśliłem się nad sobą: co ja mogę w tym czasie robić, aby spełnić oczekiwania rodziców? Mój majsterek został skonfiskowany do czasu zmądrzenia, pozostała szabelka, kasztanka na biegunach i czołg, który tata przyniósł mi poprzedniego dnia... ale to było wczoraj, dzisiaj to jest już wrak czołgu, przecież trwa wojna.

Przypominałem sobie, że mam być czysty i ładnie ubrany. W związku z tym postanowiłem się ogolić. Wtedy na pewno rodzice będą zadowoleni. Wziąłem szeroki kuchenny taboret, ustawiłem na nim lustro, ojca mydelniczkę, mydło, pędzel oraz brzytwę. Dziadek spokojnie czytał gazetę, a ja namydlilem sobie całą twarz, wyjąłem z etui brzytwę i już chciałem rozpocząć golenie, gdy w tym momencie otwierają się drzwi i wchodzi rodzice. Mama chyba zemdląła, tata zachował się jak prawdziwy wychowawca, bo wyciągnął z kieszeni moje ulubione cukierki i zawołał do mnie z gestem, że one są dla mnie. Ja odłożyłem otwartą brzytwę i podbiegłem do ojca, gdzie w gniewie oka znalazłem się na ojcowym kolanie plecami do góry. Człowiek tak chciał dobrze wywiązać się z nałożonych obowiązków i nie znalazł zrozumienia.

Pewnego razu do ojca na partyjkę szachów przyjechał na rowerze kolega. Rower miał nowy, marki Kamińskiego. Ale była jakaś usterka, nad którą z ojcem długo dyskutowali. W końcu rozłożyli szachownicę i rozpoczęli grę. Ja natomiast zainteresowałem się rowerem. Najpierw dokładnie go obejrzałem, po czym przystąpiłem do usuwania tej usterki. Odkręciłem przednie koło, zdjąłem błotnik, odkręciłem tylne koło i też zdjąłem błotnik i w tym czasie nadepnąłem na leżący przedni błotnik, który powstał i przeciął mi brew nad lewym okiem. Gdybym był ciut wyższy, to nie miałbym oka. Oczywiście krzyk, krew się leje, właściciel roweru jak zobaczył swój rower w częściach, podobno zbladł. Mnie zawieziono do doktora, a właściciel roweru zabrał się za jego składanie. Więcej już go u nas nie widziałem.

Pamiętam również ostatnią choinkę przed wybuchem wojny. Drzewko stało na podłodze i było wysokie do samego sufitu. Było ubrane bombkami, papierowymi łańcuchami, lukrowanymi pierniczkami, malowanymi orzechami, błyszczącymi, czerwonymi jabłuszkami, papierowymi, wykonanymi własnoręcznie ozdobami oraz oczywiście cukierkami. Pod choinką było miejsce na składanie przez Świętego Mikołaja prezentów. Święty Mikołaj przychodził albo jako niewidzialny, albo jak byliśmy w kuchni. Nigdy go nie widziałem, mimo że bardzo się starałem. Podłoga w pokoju była świeżo wywoskowana, więc założyłem takie specjalne kapcie i zacząłem ją froterować, czyli nadawać jej połysk. Po paru minutach znudziła mi się ta praca i przypomniałem sobie, jak to babcia



Drugi syn dziadka Stanisława – Stefan Kamiński „Sybirak” – mój ojciec.

w Krasnosielcu czystą wyszorowaną podłogę posypywała czystym żółtym piaskiem. Wziąłem siostrzyczki ukochaną lalkę wypchaną trocinami, których użyłem jako żółtego piasku. Święty Mikołaj przyszedł z prezentami dopiero po Nowym Roku.

Wojna zbliżała się wielkimi krokami. Ojciec dostał zawiadomienie o powołaniu do wojska jego ukochanego roweru oraz doprowadzenia go do koszar. A był to rower firmy Kamińskiego cieszący się dużym powodzeniem z uwagi na walory użytkowe. Ojciec do pozwolił mi aktywnie włączyć się w akcję doprowadzenia roweru. Najpierw rozłożyliśmy rower na drobne części. Następnie każda część była dokładnie oczyszczona i przez ojca sprawdzona, czy nie posiada uszkodzeń. Następnie pracujące elementy zostały nasmarowane i naoliwione oraz całość została złożona. Podobno wyglądał imponująco. Następnego dnia odprowadziliśmy rower do koszar. Przy zdawaniu go ja i ojciec popłakaliśmy się. Niedługo po tym wydarzeniu ojciec został zmobilizowany i już zamieszkał w koszarach.

Mama bez przerwy gdzieś czegoś się uczyła. A to jak zakładać opatrunki, a to jak zrobić maskę przeciwgazową, a to jak zabezpieczyć szyby przed wypadnięciem podczas wybuchu pocisku. Tak że tylko my – ja i dziadek – prowadziliśmy dom. To znaczy sprzątałyśmy mieszkanie, robiliśmy zakupy, gotowaliśmy obiad. To już było lato 1939 r. Ręka już się za-gościła na tyle, że mogłem jej używać.

Pamiętam, jak tuż przed wybuchem wojny przyszedł ojciec w mundurze i w pełnym rynsztunku, to znaczy z karabinem, bagnetem, maską gazową i plecakiem. Oczywiście największe moje zainteresowanie wzbudził karabin, bagnet i maska przeciwgazowa. Spędził w domu chyba ze dwie godziny, które ja wykorzystałem na bliższe poznanie wojskowego sprzętu. Następnie tata pożegnał się z nami, mnie przykazał opiekować się mamą i siostrą Bożenką. Dziadek miał opiekować się mną, co mi bardzo odpowiadało. Następnie ojciec wyszedł. Jak się później okazało, wyjechał na front.

Ojciec bardzo lubił grać w szachy i w warcaby, w której to grze był lokalnym mistrzem. W szachy też dobrze sobie radził. Dlatego

w długie zimowe wieczory często bywało u nas kilka osób, które przychodziły pograć w karty, szachy lub warcaby. Pamiętam takie spotkanie, gdzie przy kuchennym stole siedziały 3 osoby: dziadek, sąsiad, pan Gerwin oraz mama i grano w preferansa (gra karciana). Ja pod stołem bawiłem się moim majsterkiem. Widocznie już zmądrzałem. W pewnym momencie zobaczyłem punktowy odbłask światła i wyobraziłem sobie, że jest to łeppek wystającego gwoźdźdź, który należy młotkiem dobić, co z całej siły uczyniłem. Rozległ się przejmujący krzyk dziadka, bowiem to nie był wystający gwoździec tylko dziadka palec. Majsterek został skonfiskowany już chyba dożywotnio.

Wojna

Kilka dni później zaczęły się intensywne bombardowania Łomży. Noce spędzaliśmy w piwnicach starego budynku, gdzie podobno stropy były bardzo wytrzymałe. W budynku tym mieliśmy w piwnicy skrytkę, gdzie był zamurowany dobytek życia, tzn. ubrania i drobne sprzęty.

Bombardowania nasiliły się do tego stopnia, że mama oraz nasi sąsiedzi postanowili opuścić Łomżę, czyli jak to się wtedy mówiło – uciec się na ucieczkę. Na drugi dzień wyszliśmy na szosę z zamiarem pójścia do Łomży, tj. wioski odległej od Łomży o jakieś 6 km. Szosa była absolutnie zablokowana uciekinierami. Pamiętam, że tłum pieszych i furmanek nie miał ani początku, ani końca. Tłum ten poruszał się w jednym kierunku – przeciwnym do kierunku na Łomżę. Włączyliśmy się w ten tłum i ruszyliśmy przed siebie, tzn. za tymi, którzy byli przed nami. Była to wyprawa ponad moje siły. Miałem wtedy dokładnie sześć lat. Chwyciłem się jakiegoś wozu i tym sposobem w ogóle mogłem iść. W tym zgłębku i rozgardiaszu straciłem z oczu dziadka i mamę z Bożenką, i wtedy się przestraszyłem. Na szczęście właścicielka wozu zaopiekowała się mną, nakarmiła i pozwoliła na wozie się przespać.

Rodzinę odnalazłem po kilku dniach. Byliśmy wtedy koło wsi Łomżyca. W jaki sposób to się stało, do dzisiaj nie mogę tego pojąć, przecież z Łomży wyruszyliśmy w kierunku przeciwnym, bo tak szedł cały tłum uciekinierów. W Łomży odłączyliśmy się od grupy uciekinierów i przygarnęła nas jakaś miejscowa rodzina. Byliśmy drugą przygarniętą rodziną. Pierwszą była to dwuosobowa rodzina z dzieckiem. Był to chłopak imieniem Heniek; był w moim wieku.

Na drugi dzień poszliśmy z Heniem zwiedzać gospodarstwo, które było dość zasobne w sprzęt zmechanizowany. Najbardziej przypadła nam do gustu młockarnia na prostą słomę. Polegało to na tym, iż po wymłóceniu zboża słoma pozostawała prosta, a niepotargana jak po innych młockarniach. Postanowiliśmy zbadać, jak to się dzieje. Na zewnątrz maszyny był węzeł napędowy w postaci szeregu kół zębatych oraz ośki do podłączenia silnika spalinowego lub kieratu⁶.

⁶ Kierat – urządzenie do napędu maszyn rolniczych, gdzie siłę napędową daje koń zaprzęgnięty do tegoż kieratu.

Ja się zajmę elementem, w którym odbywało się młócenie zboża, czyli wałem długości chyba ze 2 m, w którym znajdowała się słoma z kłosami do wymłócenia. Jak się kręciło tym wałem, to obracały się również wszystkie koła zębate elementu napędowego. Heniek zajął się elementem napędowym. Jak ja obracałem swoim elementem do młócenia zboża, to obracały się wszystkie koła zębate elementu napędowego Heńka.

Długo nie trzeba było czekać. W pewnej chwili rozległ się niesamowity krzyk. Podbiegłem do stanowiska Heńka i zobaczyłem, iż ręka jego mocno krwawi. Pobiegłem szybko do domu i sprawdziłem pomoc. Okazało się, że jak ja kręciłem tym elementem młóścącym, to Heniek włożył w tryby jeden czy dwa palce, tego nie pamiętam. Gospodarz wymówił nam mieszkanie; Heniek z rodzicami pozostał. Okazało się, iż rodzice Heńka byli kuzynami gospodarza.

Po raz drugi spotkałem się z Heńkiem po 41 latach w roku 1980. Było to w biurze projektów ZREMB w Warszawie w czasie jakiejś lokalnej uroczystości. Spotkanie było z obfitym jadłem i różnymi napojami w największej pracowni budowlanej. Siedziałem obok inżyniera Henryka Walaska, kierownika warsztatu doświadczonego. Uwagę moją zwróciła jego zniekształcona prawa dłoń, a właściwie dwa palce. Zapytałem się, skąd to zniekształcenie. Henio opowiedział mi jak to w czasie wojny uciekli z Łomży do rodziny w Łomżycy i tam spotkali taką samą rodzinę też z dzieckiem, chłopakiem w jego wieku. Na to ja mu mówię, że dalej tę opowieść ja dokończę, co uczyniłem przy ogólnym aplauzie pozostałych uczestników spotkania. Dodatkowa liczba toastów zdecydowanie poprawiła nasze zdrowie.

Wróćmy do początków września 1939 r. Wróciliśmy do Łomży, ale dom w którym pozostawiliśmy nasze rzeczy został zbombardowany i wszystko przepadło. Nie wiem, w jaki sposób, ale mama wynajęła furmankę z koniem i woźnicą i wyjechaliśmy do Krasnosielca. Pamiętam, że koń maści białej, brudnej był tak chudy, że byliśmy z dziadkiem pewni, iż padnie w drodze. W związku z tym wszyscy szliśmy pieszo, koń ciągnął prawie pusty wóz i przed każdym wzniesieniem zatrzymywał się, by odpocząć. Woźnica, który był Żydem, wziął w tę podróż obrok dla konia. Sprawdziłszy z dziadkiem: to nie był obrok, tylko zwykła sieczka, czyli pocięta krótko słoma. Ale mimo wszystko po kilku dniach dotarliśmy do Krasnosielca, gdzie konia pierwszy raz nakarmiono. Mogę z dumą powiedzieć, iż mając 6 lat prawie całą podróż do Krasnosielca przebyłem pieszo. Zajechalśmy pod dom dziadka i babci ze strony mamy.

Mama moja urodziła się w Krasnosielcu 3 V 1910 r. Nazywała się Ewa Stanisława Granożewska. Zawodu wyuczonego nie miała i do kąd mieszkała w Krasnosielcu, to nie pracowała. Gdy miała 18 lat, wyjechała do Łomży do swojego wujka, działacza społecznego o nazwisku Świgoński, któremu prowadziła jakąś kancelarię. W Łomży poznała Stefana Kamińskiego, za którego wyszła za mąż i tak już w Łomży zostaliśmy.

Nie pamiętam żadnej historii z dzieciństwa mojej mamy. Pamiętam, jak wieczorami mama opowiadała o tacie, który gdzieś walczył. Nie mieliśmy o nim żadnej wiadomości. Bardzo

lubilem te opowiadania, szczególnie o Józefie Piłsudskim i polskim wojsku.

Mama najbardziej była mi pomocna w nauce. To ona i dziadek uczyli mnie pisanie literek, liczenia na palcach i w pamięci. Za okupacji niemieckiej, tam gdzie mieszkaliśmy, dla Polaków szkoły były zamknięte. Za nauczanie nauczycieli groziła kara śmierci. Dziadek nauczył mnie wierszka „Kto ty jesteś? Polak mały”, mama nauczyła mnie pięknej piosenki o „Lwowskich Orłętach”⁷, której tekst załączam.

⁷ W wielopokoleniowych bojach Polaków o niepodległość, prowadzona od 1 do 22 XI 1918 r. walka o Lwów weszła do historii Polski pod nazwą „Obrona Lwowa”. Mimo iż na mocy układów jałtańskich i poczdamskich nie jest to już miasto polskie, u zarania II Rzeczypospolitej Lwów stanowił wielkie centrum kultury zarówno Polaków, jak i Żydów. Występując przeciw ukraińskiemu wojskowemu zamachowi stanu, Polacy nie sięgali po cudzą własność, lecz zostali zmuszeni do obrony swej ojczyzny.

Ukraińcy, dążąc do stworzenia własnego państwa w oparciu o ziemie Galicji Wschodniej, Lwów uważali za swoją stolicę, nie zważając na bardzo niekorzystną dla nich w tym mieście strukturę narodowościową. Dobitnie obrazuje to fakt, iż w 1919 r. na ogólną liczbę 206 tys. mieszkańców miasta jako język ojczysty 175 560 osób podało polski, a 21 780 ukraiński. Konflikt osiągnął swe dramatyczne apogeum w momencie rozpadu monarchii habsburskiej. Po Lwowie zaczęły wówczas krążyć wieści, iż Ukraińcy przygotowują akcję nagłego wojskowego przejęcia głównych obiektów strategicznych i publicznych w stolicy Galicji, aby uprzedzić, a tym samym uniemożliwić stronie polskiej objęcie rządów nad miastem i całą Galicją Wschodnią. Kierownictwa tajnych polskich organizacji wojskowych odnosiły się jednak do nich sceptycznie, wątpiąc w zdolności organizacyjne Ukraińców. Akcję przyspieszyły wydarzenia w Krakowie, gdy 30 X 1918 r. działająca tam od dwóch dni Polska Komisja Likwidacyjna wypowiedziała posłuszeństwo Austriakom i objęła władzę w całej Galicji Zachodniej.

W dniu 1 XI 1918 r. o godzinie 3.30 nad ranem oddziały ukraińskie rozpoczęły zajmowanie miasta. Ludność polska, mimo iż stanowiła we Lwowie większość, znalazła się na straconej pozycji wobec dobrze uzbrojonego, liczącego kilkanaście tysięcy żołnierzy przeciwnika. Nie posiadano bowiem odpowiednio zorganizowanych oddziałów wojskowych podporządkowanych jednolitemu dowództwu.

Regularną walkę o Lwów rozpoczęła załoga szkoły im. H. Sienkiewicza. Początkowo było to tylko 34 obrońców, w tym 4 oficerów, którzy posiadali jako uzbrojenie kilka pistoletów i noży skautowskich. Była to istna wyprawa szaleńców, którzy na akcję wzięli tylko jeden rewolwer, jednak zakończona odebraniem napastnikom karabinów z dużą ilością amunicji. Zdobyta na nieprzyjaciela broń przydała się przy odparciu ukraińskiego ataku, z którego obrony Polacy wyszli zwycięsko. Wieść rozeszła się szybko po mieście, budząc nadzieję i rozniecając wolę oporu, jednak mimo brawurowej, spontanicznej akcji bilans po pierwszym dniu walk był dla strony polskiej bardzo nieko-

rzystny. Pod kontrolą Ukraińców znalazła się nieporównywalnie większa część miasta i cała niemal Galicja Wschodnia od Sanu po Zbrucz.

W ciągu pierwszych dni walki miały charakter żywiołowy i z wojskowego punktu widzenia ze strony polskiej stanowiły wielką improvizację. Był to spontaniczny bunt mieszkańców w obronie swego miasta. Ich organizatorzy imponowali odwagą, wykazywali się wielką pomysłowością przy rozbrajaniu patroli ukraińskich i nieprawdopodobną ofiarnością przy organizacji poszczególnych placówek i punktów oporu. Dla Ukraińców było to wszystko zaskoczeniem. Po chwilowym upojeniu sukcesem szybkiego opanowania Lwowa zaczęli się orientować, iż jego utrzymanie będzie nie lada problemem. Po 5 XI 1918 r. zaczął się zasadniczo zmieniać charakter walki. Ustawała partyzantka, a samorzutne ataki z inicjatywy poszczególnych dowódców zaczęły ustępować walce pozycyjnej. Widać już było, że całość przedsięwzięcia ze strony polskiej koordynuje Naczelna Komenda Obrony Lwowa. W nowym położeniu wojennym Polacy utworzyli też namiastkę władz cywilnych. Powołano do życia Komitet Obywatelski, nazywany później Polskim Komitetem Narodowym, zaś kilka dni później w wyzwolonej przez oddziały polskie części Lwowa powstał Komitet Bezpieczeństwa i Dobra Publicznego.

16 listopada Józef Piłsudski wydał rozkaz przygotowania odsieczy dla Lwowian. Główną placówką koncentracji wojsk, skąd miała ruszyć bezpośrednia pomoc, stał się Przemysł. Do Lwowa dotarła jednak tylko część oddziałów pod dowództwem ppłk. Michała Karaszewicza-Tokarzewskiego w sile ok. 1400 żołnierzy. Atak polski nastąpił 21 listopada o świcie. Ofensywa ta dała finalnie sukces decydujący o całym przedsięwzięciu, jakkolwiek w chwili przerwania walki nikt nie był w stanie tego docenić. Gdy Naczelna Komenda Wojsk Ukraińskich zorientowała się, że Polacy weszli na tyły jej wojsk, w obawie osaczenia i zamknięcia we Lwowie płk Hnat Stefaniw zdecydował się na natychmiastową ewakuację, która przerodziła się w paniczną ucieczkę. Do godziny 8 rano 22 listopada cały Lwów był już w rękach polskich. Jeszcze przez prawie pół roku, do końca kwietnia 1919 r. trwało oblężenie, gdyż przeciwnik usunięty poza rogatki otaczał miasto wielotysięczną armią ZURL (Zachodnio Ukraińska Republika Ludowa) Determinacja i heroizm obrońców Lwowa przyczyniły się jednak do tego, że miasto pozostało polskie.

Czyn Orłat Lwowskich zaczął podlegać procesom narodowej sakralizacji oraz mitologizacji już od pierwszych godzin po zwycięskiej odsieczy i ustąpieniu wojsk ukraińskich z miasta. Z początkiem grudnia 1918 r. zrodziła się idea założenia osobnego cmentarza bądź kwatery na Łyczakowie, dla poległych w bojach „dzieci, które porwane szlachetnym zapalem z gołą ręką rzuciły się na najeźdźcę i w nierównej walce poległy”. Na cmentarzu tym pochowanych było prawie 3 tys. żołnierzy, głównie młodych chłopców, za których czyn państwo polskie odznaczyło Lwów – jako jedyne miasto polskie – Krzyżem Virtuti Militari. Stąd właśnie w 1925 r. prochy jednego z „Orłat” przeniesione zostały do Warszawy i złożone w Grobie Nieznanego Żołnierza.

O mamę otrzymaj oczy
 Z uśmiechem do mnie mów
 Ta krew co z piersi broczy
 Ta krew to za nasz Lwów
 Ja białem się tak samo
 Jak starsi mamę chwał
 Tylko mi Ciebie mamę
 Tylko mi Polski żal
 Z prawdziwym karabinem
 U pierwszych stałem czat
 O nie płacz nad swym synem
 Co za Ojczyznę padł
 Z krwawą na kurtce plamą
 Odchodzę dumny w dal
 Tylko mi Ciebie Mamę
 Tylko mi Polski żal
 O Mamę czy jesteś ze mną
 Nie słyszę Twoich słów
 W oczach mi trochę ciemno
 Obroniliśmy Lwów
 Zostaniesz biedna samą
 Baczność! za Lwów! Cel! Pal!
 Tylko mi Ciebie Mamę
 Tylko mi Polski żal.

Autor: Artur Oppman (Or-Ott)

Okupacja niemiecka

Jest rok 1939, 4 września, wojska niemieckie wkroczyły również do Krasnosielca. Nie pamiętam, czy ojciec już wrócił z wojny, czy później już za Niemców. Z 5 na 6 września Niemcy w Krasnosielcu, pod ścianą synagogi, rozstrzelali ok. 50 Żydów, którzy pracowali przy odbudowie wysadzonego mostu. Wycofujący się żołnierze Wojska Polskiego wysadzili most na rzece Orzyc. Niemcy do jego odbudowy skierowali złapanych Żydów, których później rozstrzelali.

Zaczęła się niemiecka okupacja. Część przedwojennych kolegów wstąpiła do organizacji Hitlerjugend⁸ i przestała być naszymi kolegami. Kilka rodzin w Krasnosielcu podpisało volkslistę i stało się folksdojcami ze wszystkimi przywilejami. Dzieci ich były członkami organizacji Hitlerjugend i usiłowały mówić tylko po niemiecku. Znany był humorystyczny przypadek, jak jedna folksdojczka wybiegła na ulicę, żeby powiedzieć swojemu sąsiadowi Kowalczykowi, iż jego prosiaki uciekły i latają po polu. A powiedziała to tak: „Her Kowalczyk, klajne prosiaki po polu geraufen”. Cały Krasnosielec zanosił się od śmiechu.

Ale pamiętam też zdarzenia nie do śmiechu. Pamiętam sąsiada z naszej ulicy, który w brunatnej koszuli, ze swastyką na rękawie, paradował po ulicach z miną władcy absolutnego.

W Krasnosielcu mieszkaliśmy w gospodarstwie rolnym, gdzie było sporo wolnego miejsca w zabudowaniach gospodarczych. W jednym takim pustym chlewie postanowiliśmy z dziadkiem założyć hodowlę królików. W związku z taką decyzją musieliśmy uprzątnąć wnętrze oraz wykonać klatki dla królików. Poszło nam to na tyle sprawnie, że przed zimą wszystko było zrobione i sprowadziliśmy parkę

⁸ Hitlerjugend (oficjalnie pisane jako Hitler-Jugend, w skrócie HJ., pol. dosł. „Młodzież Hitlera”) – niemiecka organizacja młodzieżowa NSDAP, zorganizowana na wzór paramilitarny w 1922 r. jako przybudówka Oddziałów Szturmowych (SA).



Posesja w Krasnosielcu na ul. Wolności 12 /dawny dom państwa Szczepańskich/, gdzie w okresie okupacji niemieckiej w latach 1939–1945 mieszkał Stanisław Kamiński. Posesja ta znajduje się dokładnie naprzeciwko Domu Pogrzebowego Obrębski. Dom, w którym mieszkał Stanisław Kamiński obecnie jest zburzony, a posesja nie posiada zabudowy, co widać na poniższym zdjęciu lotniczym/satelitarnym pobranym ze stron Google (dostęp 5 XII 2018 r.).

królików – podobno rasowych. Klatka była dosyć okazała, bo długości na pół chlewa, czyli ok. 3 m. Klatka stała na słupach jakieś 80 cm ponad poziomem posadzki w chlewie. Takie usytuowanie klatki okazało się bardzo przydatne w późniejszym czasie.

Czas spędzony u dziadków wspominam jako okres spokoju i relaksu, mimo że trwała wojna. U nas na razie Niemców jeszcze nie było, żyliśmy sobie spokojnie otoczeni lasami. Las dostarczał właściwie wszystkiego, co było potrzebne do życia. Pamiętam takie powiedzenie o naszych sąsiadach Kurpiach: „Kurp wchodzi na lipę boso, a schodzi z niej w butach”. Znaczyło to, że Kurp wchodził na lipę boso, z konaru ściągał łyko, z tego łyka upłócił sobie buty i w niedzielę paradował w nich do kościoła.

Pamiętam, że za każdym razem, kiedy tę piosenkę śpiewałem, to zawsze płakałem. Nie wiem, dlaczego. Chyba dlatego, że mama też przy niej płakała.

*Matka płakała: czyś ty zwariował?
 Ojciec się gniewał: czyś ty się wściekł?
 Zamknął go w domu. Czapkę mu schował,
 Kolega gwizdnął i - chłopiec znikł...
 Kto go tak uczył? Kto go tak skusił?
 Jaka muzyka? - Do jakich słów?
 Kto go opętał? - Kto go przymusił?
 Żeby on zginał - za co - za Lwów!!!
 Kto mu wyszeptał słowa nadziei,
 Że on na zawsze, na wszystkie dni
 Do Polskiej Mapy ten Lwów przykleił
 Gumą arabską kropelką krwi!*

Marian Hemar

Najbardziej lubiłem uczestniczyć w świętach ludowych, takich jak kisenie kapusty, dopiórki, doprządk, szopka noworoczna czy turoń z gwiazdą. Jeszcze parę słów na temat tych świąt ludowych.

Dopiórki: Wszyscy hodowali gęsi, więc każda gospodyni miała gęsie pierze, które należało drzeć, to znaczy zedrzeć sam puch ze sztywnego i twardego nośnika. Jest to zajęcie nudne i monotonne, więc przodkowie wpadli na pomysł, żeby to zajęcie uczynić miłym i przyjemnym spotkaniem towarzyskim i wprowadzili dopiórki, gdzie u każdej gospodyni spotykają się pozostali hodowcy. Gospodarz musi zapewnić kolację i po kieliszku czegoś mocniejszego. Darcie pierza idzie sprawnie, chłopaki drą, dziewczyny przy ludowych tańcach i przyśpiewkach, a wszystkiemu towarzyszy ludowa kapela.

Doprządk: Odbływały się tak jak dopiórki – tylko zamiast darcia pierza jest przędzenie ostatnich motków lnu.

Kiszenie kapusty było imprezą wyczekiwaną, bowiem była to impreza super towarzyska. Dziewczyny były w strojach ludowych, chłopaki wylegantowani, włosy wysmarowane brylantyną, buty z cholewami, z podkuwkami, żeby hołupce były bardziej głośnie, spodnie bryczesy. Matrony dostojne kroili długimi nożami kapustę, a młodzież umilała im pracę tańcami oraz piosenkami – często frywolnymi. Szefem imprezy był dziadek Stanisław, ponieważ tylko on potrafił tak artystycznie kroić kapustę. Okazuje się, iż kto ma duszę artysty, ten artyzm dostrzeże w każdej rzeczy.

Warto jeszcze wspomnieć, co robiło się w długie jesienne i zimowe wieczory. Otóż zwyczajowo tydzień był podzielony na dwie grupy tematyczne: dziecięcą oraz dorosłą. Grupa dziecięca miała swój jeden dzień w tygodniu, grupa dorosła pozostałe dni. Grupy dziecięcej przewodniczyli dwaj dziadkowie: Antoni i Stanisław, grupie dorosłej Stanisław. Zajęcia w grupie dziecięcej polegały na opowieściach niestworzonych historii o duchach i strachach, w czym obaj dziadkowie byli bezbłędni. Wielekroć po zakończeniu wieczoru trzeba było małych słuchaczy odprowadzać lub odnosić do domów.

W pozostałe dni tygodnia zbierali się starsi członkowie rodziny oraz zaprzyjaźnieni sąsiedzi i grupie tej przewodził dziadek Stanisław. Zajęcia polegały na tym, że dziadek głośno czytał książkę, ale nie byle jaką. W pierwszej kolejności było to *Ogniem i Mieczem* Henryka Sienkiewicza, następnie *Potop* tegoż autora, *Faraon*, *Chłopi*, *Quo vadis*. Były czytane również wiersze, dramaty oraz *Wesele* Wyspiańskiego. *Wesele* było czytane kilka razy z uwagi na to, iż mama w młodości grała w *Weselu* pannę młodą w teatrzyku amatorskim prowadzonym, jak opowiadano, przez fryzjera pana Zgliczyńskiego. W związku z tym *Wesele* czytała mama, tylko że zawsze przy tym płakała, a ja się dziwiłem, dlaczego.

Zwyczaj wieczornego czytania pozostał do końca naszego pobytu w Krasnosielcu. Szczególnie upiornie wyglądało to w czasie niemieckiej okupacji. Nafty nie było, całe mieszkanie rozświetlał kaganek oliwny zrobiony z kałamarza na atrament, tylko zamiast atramentu był wlny olej. Dziadkowi z okularów pozostało jedno szkiełko, które znalazł w naszym zniszczonym mieszkaniu w Łomży. Dziadek potrafił dwie godziny czytać przy tym kaganku, trzymając przy oku szkiełko okularowe. Jak bawiliśmy się z chłopakami w wojnę, to zawsze do niewoli braliśmy krzyżaków.

Zbliżała się pierwsza okupacyjna zima. Na razie okupacja nie była zbyt dokuczliwa, poza jednym: nie było żadnych artykułów pierwszej ani nawet trzeciej potrzeby. Nie było mydła, proszku do prania, opału, żywności. Nawet jak by te artykuły były, to nie było pieniędzy, żeby je kupić. W związku z tym z dziadkiem już wczesną jesienią chodziliśmy do lasu po susz drzewny. Dziadek miał duży kawałek płótna, ja mniejszy. Zbierało się suche gałęzie; najlepsze były grube, ale cieńszymi też nie gardzono. Gałęzie te układało się na płachcie płótna, całość przewiązywało się kilka razy sznurkiem i zarzucało na plecy. Mnie pomagał dziadek. Przy okazji z lasu przynosiło się inne pożyteczne rzeczy: niezebrane przez wiewiórki orzechy, żołędzie na kawę, listki poziomki na herbatę oraz grzyby, jeśli się je znalazło. Przy oszczędnym gospodarowaniu oraz pomocy ciotek tę pierwszą okupacyjną zimę można było przeżyć.

Z nastaniem mrozów, tuż po śniadaniu, musiałem iść do szkoły, a właściwie to szkoła w osobach mamy i dziadka przychodziła do mnie. Uczyłem się maksimum 2 godziny, wydawało się, że cały dzień. Jedynie niedziele i święta miałem wolne, bo nie było takiej siły, która zmusiłaby mnie do pracy w święta. Wywalczyłem to od samego początku pobierania nauk. Najbardziej nie lubiłem kaligrafii, którą mama usiłowała mnie zainteresować i nawet jej się to udało. Otóż po sprawdzeniu zadanej poprzedniego dnia lekcji, mama stwierdziła, że kura pazurem ładniej by to napisała. W związku z tym dostałem zadane dodatkowo wykaliografować cztery strony „Na wroga, na wroga Orleń”⁹. Dodatkowo Mama powiedziała, że Orleń to byli mali bohaterowie trochę starsi ode mnie, którzy walczyli o wyzwolenie Lwowa i należy się im wielki szacunek i poważanie.

– Więcej jak będziesz chciał, opowie ci dziadek. A teraz bierz się do roboty, żeby ci dnia starczyło. Kaligrafia z uwagi na bohaterskich Orleń musi być wykonana na piątą.

Widocznie przemowa mamy podziałała, bo moją pracą mama chwaliła się przed wszystkimi znajomymi. Na drugi dzień dziadek bardzo długo opowiadał nie tylko o bohaterskich Orleńcach, ale również o wojnie rosyjsko-japońskiej⁹, w której walczył jako żołnierz cara rosyjskiego. Mama nauczyła mnie też piosenki o Lwowskich Orleńcach, którą do dzisiaj pamiętam, natomiast o wojnie rosyjsko-chińskiej nie pamiętam ani słowa. To był przełomowy dzień w mojej nauce kaligrafii, bo od tej chwili nawet ją polubiłem. Prace z kaligrafii wykonywałem chętnie i lubiłem patrzeć na swoje dzieła.

Zima okazała się mroźna i śnieżna. Pamiętam, jak z zasy z ulicy przez zamkniętą bramę

zjeżdżałem na sankach na nasze podwórko. Pokój, w którym spałem, nie był ogrzewany z uwagi na oszczędność opału. W związku z tym mama od samego rana grzała w kuchni duży kamień (brukowiec), który wieczorem zawiązała w płótno i koc, a następnie wkładała go do mojego łóżka pod pierzynę. Bez tego nie sposób było wejść do pościeli. Również rano trudno było zdecydować się na wyjście z pościeli. W te największe mrozy dzieci przeważnie nie były wypuszczane z mieszkań z uwagi na brak odpowiednich ubrań oraz butów.

Ja chodziłem w butach mamy brata, Adolfa, które były chyba o pięć numerów za duże. Z pomocą przyszedł mój chrzestny wujek Władek, który zaprowadził mnie do szewca, zresztą ojca mojego kolegi Zygmunta, o nazwisku Zygmunowicz. U tegoż szewca wujek zamówił dla mnie buty oficerki. Oficerki były to buty z cholewami, bardzo dopasowane do stopy i do łydki oraz o dużym polysku. Byłem przeszczęśliwy, spać nie mogłem, tylko czekałem momentu odbioru. Wreszcie ten moment nadszedł. Buty prezentowały się okazale. Żelówka była gruba, skórzana, obcasy podkute podkówkami, na szpicach żelówki przykręcone żabki (stalowe blaszki, oszczędzały ścieranie szpicu żelówki). W obcasy wpasowane blaszki do mocowania łyżew (były to kwadratowe blaszki o wymiarach 2,5x2,5cm) mocowane do obcasa czterema wkrętami. W środku tej blaszki był wycięty otworek w kształcie elipsy, dłuższą osią skierowaną wzdłuż buta. Łyżwa na swym końcu, który opiera się o obcas, miała taką wystającą elipsę, ale dłuższą osią skierowaną prostopadle do osi buta. Założenie łyżwy polegało na włożeniu tej wystającej elipsy w blaszkę na obcasie buta, przekręcenie łyżwą o 90°. Należało specjalnym kluczem rozchylić łapki, żeby objęły żelówkę, kluczem mocno dokręcić łapki i łyżwa się trzyma. Zakładało się jeszcze pasek, który dodatkowo usztywniał nogę w kostce.

Takie łyżwy to miałem ja i tylko kilku chłopaków. Reszta jeździła na łyżwach drewnianych własnej roboty. Rzeka była nasza za wyjątkiem, kiedy na łyżwy przyszedli hitlerowcy (Hitlerjugend), którzy nas z tej części rzeki wyrzucali. Ale i tak myśmy się lepiej bawili. U nich wszystko było na komendę.

Pamiętam pierwszą prezentację moich butów przed kolegami. Koledzy przeważnie mieli jedną lub dwie pary na całą rodzinę. Jak jedna osoba wychodziła na dwór, to reszta rodzeństwa siedziała w domu z uwagi na brak butów lub ubrania. Koledzy bardzo krytycznie przyjęli prezentację moich butów. Zaczęto wytykać wady, że np. cholewy nie są tak błyszczące, że są za bardzo obcisłe itp. Z niektórymi opiniami niestety musiałem się zgodzić, ale podniosłem jeden niezaprzeczalny walor – mianowicie, że buty te są nieprzemakalne i nigdy nie zamoczą się nogi. Większością głosów przyjęto wykonanie próby wody. Wszyscy poszliśmy nad staw, który był na naszym podwórku. Wszedłem do wody pod same cholewy i czekam. Nagle się poruszyłem i jedna noga zagłębiła się w mule, po czym druga noga i woda sięgała mi do połowy kolan oraz przez cholewy wlała się do butów. Natychmiast wyszedłem na brzeg i zaczęliśmy zastanawiać się, co dalej. Należało zdjąć buty i wylać z nich wodę. Dwóch kolegów mnie trzymało, dwóch usiłowało ściągnąć mi but, niestety bez rezultatu. W domu miałem takie urządzenie o nazwie „suka”. Po-

⁹ Wojna rosyjsko-japońska – wojna pomiędzy Imperium Rosyjskim a Cesarstwem Japonii, toczona w okresie od 8 II 1904 do 5 IX 1905 r. na Dalekim Wschodzie, zakończona traktatem z Portsmouth (5 IX 1905 r.) i zwycięstwem Japonii. Wojna została rozpoczęta bez wypowiedzenia japońskim atakiem na rosyjską bazę morską w Port Artur (obecnie Lushunkou w Chinach). Początkowo działania były prowadzone głównie na morzu. W efekcie zwycięstwa Japonia zahamowała rosyjską ekspansję w Azji Wschodniej i uniemożliwiła Rosji przejęcie kontroli nad Mandżurią.

stanowiliśmy je wypróbować. Należało jedną nogą stanąć na tej „suce”, nogę z butem do zdjęcia włożyć w takie chomąto, które trzymało but i mocno, z całej siły, ciągnąć nogę, aż wyjdzie z buta. Nagle rozległ się trzask, następnie odgłos rozdzielanego materiału i cały obcas wraz z zółwą leżał obok zdejmowanego buta. Zdjęcie cholewy należało wykonać w domu. Wujek kilka razy pytał się, czy buty są wygodne, na co odpowiadałem, że tak, tylko je oszczędzam. Od kolegów przez pewien czas słyszałem uszczypliwe uwagi, które po pewnym czasie ucichły.

Tata w końcu wrócił do wojny. Było to chyba w maju 1940 r. Odtąd nasze życie zasadniczo się odmieniło. Tata przyjmował reperacje odzieży. Wynagrodzeniem były inne dobra, jak mąka, kasza, mleko, słonina. Mama nie musiała pracować i więcej była w domu, przez co ja musiałem więcej się uczyć, z czego nie byłem specjalnie zadowolony. Na dodatek mama załatwiła korepetytora, który całościowo się mną zajął. Należy dodać, iż w razie gdyby gestapo się o tym dowiedziało, korepetytor był karany śmiercią. Moim korepetytorem był pan Jerzy Mączyński, lat chyba 20. Miał on brata starszego ode mnie chyba rok lub dwa. Kilka razy w tygodniu chodziłem do nich na nauki, niosąc ze sobą jakąś część ubrania, spodnie lub marynarkę w razie gdyby Niemcy coś podejrzywali.

Prace publiczne dla miasta wykonywali Żydzi. Codziennie rano byli prowadzani przez żandarmów do różnych robót. Zawsze śpiewali taką piosenkę:

*Marszałek Śmigły Rydz
Nie nauczył nas nic
A Hitler złoty
Nauczył nas roboty.*

Był to widok przygnębiający, ponieważ wiedzieliśmy, iż oni żyją, dokąd pracują. Staraliśmy się zawsze podrzucić im coś do jedzenia. Tak było do końca lata, kiedy wszystkich Żydów Niemcy gdzieś wywieźli. Chyba w drugim roku okupacji Niemcy zlikwidowali żydowską synagogę, ponieważ już w Krasnosielcu nie było wyznawców. Z synagogi wyrzucono na śmietnik cały znajdujący się tam księgozbiór.

A były to książki nie byle jakie. W życiu takich ksiąg nie widziałem: od małych, normalnych do dużych, wielkości blatu biurka. Te duże były zamykane na klucz. Sądząc po wyglądzie druku, były w różnych językach. Kartki nie były papierowe, tylko skórzane z cienkiej skóry bardzo odpornej na rozrywanie. Z kartek tych książek robiliśmy sobie samoloty i latające strzały. Nie był to dobry materiał, ponieważ każde zagięcie samo się rozprostowywało. Gdybym dłużej chodził na swoje korepetycje, to byłbym mądrzejszy i kilka takich ksiąg największych bym zachował. Tematyka tych ksiąg, sądząc po ilustracjach, była różna. A ilustracje były fantastyczne.

Z nastaniem jesieni mama i ja musieliśmy iść do kopania ziemniaków. Mama kopala, a ja odnosiłem urobek do stojącej furmanki oraz paliłem ognisko i piekłem ziemniaki. Któregoś dnia wiejski dobosz obwieścił, że każda rodzina musi zebrać z pól kamienie, ułożyć je w pryzmę o długości chyba 2 lub 3 m, szerokości chyba 1 m i wysokości chyba 0,5 m. Wiejski dobosz to był przedwojenny urzędnik Urzędu Gminy, który w urzędowej czapce i z werblem lub bębniem przekazywał ludziom zarządzenia władz.

Po wysłuchaniu tego zarządzenia wszyscy zastanawiali się, po co Niemcom te kamienie. Okazało się, że Niemcy już zaczęli przygotowywać się do wojny z Rosją, bo po tygodniu wszystkich młodych mężczyzn powołano do tłuczenia tych kamieni. Cała szosa prowadząca do Pienic i dalej Stalingradu była zajęta przez tłuczących kamienie. Tłuczenie polegało na tym, iż tłuczący siadał na niskim taborecie (lub większym kamieniu), stopy miał obwiązane szmatami, w rękę ciężki młotek na dłuższym trzonku. Brał kamień, układał go koło nóg, stopami go przytrzymywał, a młotkiem rozbijał kamień. Była to praca katorżnicza. To był lipiec, upał ze 40°C, wachmani bez przerwy poganiiali „Arbeiten, arbeiten”, wody nie było. W związku z tym każdy tłuczniarz miał swoje go giemka. Takim giemkiem dla Tadeusza Granoszewskiego, brata mamy, który został powołany, byłem ja. Przynosiłem wodę, dbałem, żeby pracował w czapce i koszuli, miałem ze sobą wodę utlenioną i jodynę na wypadek skaleczenia lub uderzenia młotkiem w nogę zamiast w kamień.

W związku z tą zbiórką kamieni powstała nowa specjalizacja zawodowa – „układacz niemieckiej pryzmy”. Polegało to na tym, iż w takiej pryzmie ułożonej przez fachowca układacza było o 1/3 kamieni mniej niż wynikało to z obmiaru. Niemcy przychodzili i obmierzali pryzmę, przed jej zabranie robiać specjalny znak, że jest w porządku. Ludzi, którzy ładowali tę pryzmę na samochód, zupełnie nie interesowało, czy pryzma była pełna, czy dziurawa, a mieszkańcy mogli się wywiązać z nałożonej kontrybucji.

Rok 1941, atak Niemców na ZSRR. Rynek targowy zajmuje wojsko niemieckie, które stacjonuje w barakach montowanych przez Niemców. Baraki te były łączone śrubami, które my po kryjomu kradliśmy. Po jakimś czasie wstęp nam w pobliże baraków był zabroniony. Najbardziej pokrzywdzeni byli nasi ojcowie, bo od Niemców przynosisiśmy żyłki po jednorazowym użyciu. Taką żyłkę ojciec ostrzył w szklance wypłukanej wodą. Czy żyłka ta była ostrzejsza? Mam wątpliwości.

Kiedyś z kolegą Stanisławem Grabowskim poszliśmy się kąpać na Oberwaną Górę. Spotkaliśmy tam dwóch dawnych naszych kolegów, obecnie w Hitlerjugend. Doszło do utarczki słownej, a następnie do rękoczynów. Jednym słowem, spuściliśmy im manto.

W ładny, lipcowy dzień mama wysłała mnie do Pienic do ciotki po wiśnie. Ciotka miała duży ogród, gdzie rosło kilkanaście drzew wiśniowych. Poszedłem razem z kolegą Staśkiem Grabowskim. Narwaliśmy wiadro, podziękowaliśmy i poszliśmy do domu. W trakcie rwanienia, a trwało to kilka godzin, tymi wiśniami pomalowaliśmy sobie całe ciała i wyglądaliśmy jak wojownicy z plemienia Siuksów. Po powrocie do domu przekazaliśmy wiśnie siostrze Bożenie (3 lata), a sami pobiegliśmy nad rzekę umyć się. W pełnym rozbiegu z wysokiego brzegu wskoczyliśmy do wody. A tam w tym czasie miał zajęcia zastęp Hitlerjugend. No i zaczęło się. Otoczyli nas i spuścili nam taki łomot, że przez tydzień nie mogłem pokazać się na ulicy. Podobnie Stasiak. Rewanżu nie było.

Któregoś dnia Niemcy urządzili łapankę mężczyzn do kopania okopów. Ojciec nie zdążył się schować i niestety zabrali go. Aresztował ojca dawny nasz znajomy z tej samej ulicy.

Nazywał się Daliga. Przyszedł w brunatnej koszuli, ze swastyką na rękawie koszuli oraz w spodniach bryczesach, w obstawie dwóch żandarmów. Powiedzieli, że zabierają na miesiąc. Po trzech tygodniach ojciec uciekł i wrócił do domu. Początkowo to nawet ukrywał się, to znaczy nie wychodził na ulicę.

Nie wiem, jaki oni (Niemcy) mieli porządek w swoich papierach. Kiedyś przyszedł do nas Rychter, chyba główny szef Krasnosielca, z kobietą. Mama spanikowana, twierdzi, że męża nie ma, że jest na okopach i nie wiadomo, kiedy wróci. Na to ten Niemiec daje mamie duży pakunek i mówi, że jak mąż się znajdzie, to niech uszyje nam (jemu i tej przyjaciółce) ocieplacz na nogi do jazdy saniami. Po ich wyjściu, dyskutując nad sytuacją, doszliśmy do wniosku, że najważniejszą sprawą to jest ocieplacz, natomiast ojca okopy, nieobecność pozorowana to ich tak obchodzi, jak zeszłoroczny śnieg. Ojciec zabrał się do pracy, skóry baranie rozciągnął i przybił gwoździkami do potężnych i ciężkich drzwi wędzarni, które w tym celu zostały przyniesione do domu. Drzwi te były oparte o ścianę naprzeciw kołyski mojej drugiej siostry Ani, która urodziła się w 1941 r. Między drzwiami a kołyską stało jeszcze masywne krzesło.

Któregoś dnia skóry jeszcze dojrzewały na drzwiach, a ja po objeździe poszedłem nad rzekę na łyżwy. Mróz był siarczysty. Podczas jeżdżenia zabawialiśmy się skakaniem przez bystrze. Bystrze to jest niezamrażnięty odcinek rzeki szerokości od kilku do kilkunastu centymetrów. Mimo dużego mrozu bystrze nie zamarza. Robiło się już ciemno, ostatnie skoki na dzisiaj. Nie wiem, co się stało, ale w skoku trafiłem w sam środek tego bystrza i poszedłem pod wodę. Jak stamtąd wyszedłem, to nie pamiętam. Pamiętam tylko, że podjąłem wtedy moim zdaniem słuszną decyzję, że będę jeździł dotąd, aż przestanie się ze mnie lać woda. W związku z tym jeżdżeniem zapamiętałem jeszcze długo, aż całe ubranie było twarde jak stalowa blacha, tylko elementy ruchowe nie były zamrażnięte. Na rzece nikogo już nie było, tylko ja. Przyszedłem do domu nie od strony sieni, bo wtedy musiałbym przechodzić przez kuchnię, gdzie wszyscy przebywali, a od strony ulicy. Drzwi otworzyła Bożenka, którą nie pamiętam, w jaki sposób wywołałem i wtajemniczyłem w sytuację. Nakazałem siostrze odpowiadać mamie, gdyby się pytała, gdzie jest Zenek, mówić, że grzeje się przy piecu, bo zmarł, co było absolutną prawdą. W miarę upływu czasu stania przy piecu, powiększała się na podłodze kałuża wody, którą Bożenka skrupulatnie usiłowała zebrać. Należy dodać, że Bożenka miała wtedy około 4 lat, a młodsza siostra Ania ok. 10 miesięcy. Nie pamiętam, czy po tej przygodzie z kąpielą w rzece chorowałem, ale chyba nie. Tylko przez jeden dzień nie mogłem wychodzić na dwór, co mama skrupulatnie wykorzystwała na zwiększenie ilości lekcji.

Po dwóch dniach wszystko wróciło do normy; chodziłem na nauki do pana Jurka oraz na łyżwy. Siostry rosły i rozwijały się, były (szczególnie ta starsza) coraz bardziej pomocne. Ja jako starszy brat miałem obowiązek zajmować się szczególnie tą młodszą siostrą. Pamiętam, jak starszy kolega nauczył mnie frywolnej piosenki o podwiązkach, której zapamiętany fragment przytoczę:

*podwiązki oglądać chciałem
lecz mamcia nie pozwoliła
ja się pytałem mamusi
co to jest za tajemnica
a mamcia odpowiedziała
dla ciebie w szkole tablica.*

Pamiętam gorący, słoneczny dzień. Kołyaskę Ani wyniesiono na dwór. Ja stałem na wygiętym elemencie kołyaski i bujałem się razem z kołyaską i Anią, śpiewając jej jak tylko mogłem najgłośniejszą piosenkę, a zwrotek to ona miała dużo. Słysząc mnie było w całym Krasnosielcu. Niektórym się spodobała, bo na ulicy niejeden przechodził ją nucił. Mama w poważnej ze mną rozmowie stwierdziła, że zachowałem się jak wiejski głupek i muszę długo nad sobą pracować. Musiała coś jeszcze powiedzieć, ponieważ od tamtej pory już nigdy tej piosenki nie śpiewałem.

Rychter pojawił się powtórnie, obejrzał rozciągnięte skóry, wyraził swoje zadowolenie z efektów dotychczasowej pracy ojca oraz wyraził swoje oczekiwania na temat tych ocieplaczy. Ojciec zawołał mnie i oświadczył, że od jutra bierzemy się do pracy nad tymi ocieplaczami i moim zadaniem będzie wyciągnięcie wszystkich gwoździków, których było chyba ponad tysiąc. Takie postawienie sprawy bardzo podniosło moją autoocenę i nie mogłem doczekać się jutra.

Tymczasem mama zleciła mi zajęcie się siostrami. Zaczęliśmy się bawić z Bożenką w chowanego. Ja kryłem, Bożenka się schowała za tymi drzwiami obitymi skórą. Ja zacząłem szukać. Wprawdzie wiedziałem, gdzie się schowała, ale świadomie zwlekałem ze znalezienia. W pewnej chwili rozległ się wielki huk oraz krzyk małej Ani. Okazało się, że te wielkie, ciężkie drzwi przy próbie wyjścia Bożenki, przewróciły się, zmiażdżyły ciężkie maszynowe krzesło oraz kołyaskę, w której spała Ania. Natychmiast w pokoju znaleźli się tata, mama oraz dziadek i zaczęli wyciągać z tego gruzowiska Anię, która bardzo płakała. Ja pobiegnąłem zawiadomić o wypadku ciotki, a przy okazji wszystkich mieszkańców Krasnosielca.

Jeżeli miałem gdzieś szybko pobiec, to nie ruszałem się bez mojego popędzacza, to jest kuchennej żeliwnej fajerki wprawianej w ruch za pomocą drucianej rączki specjalnie ukształtowanej. Była powszechną zabawką chłopaków i w ładną pogodę wszyscy latali z fajerkami, a ulice były brukowane kocimi łbami, to wszędzie było słychać brzęk skaczących na kamieniach fajerek. Jak trzeba było dostarczyć szybko wiadomość do ciotki Marysi Rogalskiej, to bez fajerki się nie ruszyłem.

Z Anią było niedobrze, bo na jej udzie odcisnął się rząd główek gwoździków, które mocowały skóry na przewróconych drzwiach. Sprowadzony przez Jurka niemiecki lekarz zbadał ją i orzekł złamanie kości udowej oraz założył gips i przywiesił obciążnik chyba 2 kg. Ponadto powiedział, żeby naciąg nóżki poprowadzić przez ruchomy bloczek. Sprawą tą zajął się sąsiad pan Szczepański, specjalista od wyrobu kołowrotków do przędzenia lnu. Kołyaska Ani została wyremontowana i wyposażona w piękny toczony bloczek, przez który przechodził naciąg nóżki do obciążnika. Każde poruszenie ciała wprawiało w ruch obciążnik, przez co naciąg nóżki był zawsze jednakowy. Od tej pory musiałem więcej czasu poświęcać chorej siostrzyczce.

Wiosną 1941 r. wojna staje się coraz bardziej okrutna; łapani mężczyźni do kopania okopów prawie że codzienne. Niemcy urządzali łapani młodych mężczyzn i kobiety (chyba od 15 lat do 30). Złapanych zgoniono na rynku, załadowano na samochody i wywieziono do Niemiec na roboty. Kryjówka pod królikami była wykorzystywana codziennie przez ojca i sąsiada.

Mój pies, łańcuchowy Burek, został powołany do wojska i musiał stawić się na egzamin, czy jest odważny. Odwagi mojego Burka byłem pewien, ponieważ jak był uwiązany na łańcuchu i przyszedł ktoś obcy, to pies dostawał furii i gdyby się urwał, to pewnie tego obcego by pożarł. Więc pełen nadziei poszliśmy z Burkiem na rynek, a tam strzały, skomlenie psów oraz ogólny harmider. Stanęliśmy w kolejce do żandarma, aby się zarejestrować. W tej kolejce mój odważny pies pogryzł się z drugim odważnym, tak że była krew. W końcu przysła nasza kolejka. Żandarm kazał mi mocno trzymać psa, sam wyjął pistolet i wystrzelił. Ja w jednej chwili znalazłem się na ziemi z szybkością ekspresu szorując brzuchem po bruku, dokąd nie wypuściłem łańcucha. Żandarm powiedział jedno słowo: „Nein” i postawił jakiś znaczek w swoim zeszycie. Zmartwiony i upokorzony wróciłem do domu. Zawołałem na psa, ale nigdzie go nie było.

Po dłuższych poszukiwaniach okazało się, że jest w swojej budzie i nawet micha nie była w stanie go z niej wywołać. Poszedłem do dziadka, żeby mnie pocieszył. Opowiedziałem dziadkowi o całym zdarzeniu i chciałem, żeby mnie dziadek coś powiedział. Dziadek odparł, iż to jest najsmardzejszy pies, mądrzejszy od swojego pana (czyli ode mnie), ponieważ sam uratował sobie życie. Dziadek mi wyjaśnił, że Niemcy tych psów będą używali na polu walki, szczególnie przeciw czołgom. Psom tym miano przyczepiać miny przeciwczołgowe i wypuszczać je na nieprzyjaciela. W tym celu miały być specjalnie szkolone w niemieckich ośrodkach wywiadowczych.

Przez nasze miasteczko na swoich małych furkach ciągnionych przeważnie przez jednego konika przejeżdżali ukraińscy uciekinierzy. Byli charakterystyczni przez uprzęż swoich koników. Otóż nasze konie ciągnęły wóz poprzez część uprzęży zwaną chomątem¹⁰. U koni ukraińskich nie było chomąta, rolę tę spełniała tak zwana duga, to jest pręt drewniany średnicy ok. 7 cm wygięty w kształcie półokręgu. Końce dugi były przymocowane do holobli¹¹. Z prostymi wieśniakami ukraińskimi można było porozmawiać, natomiast z żołnierzami Własowa to już należało uważać, bo mogli cię okraść lub pchnąć nożem. W armii niemieckiej musiało być dużo koni, bo na skwerze przed kościołem, pod murem okalającym kościół, Niemcy utworzyli magazyn stalowych zgrzebeł do czyszczenia koni. Każdy z chłopaków, idąc na ryby, zachodził na dziedziniec przed kościołem, a żeby zza kościelne-

go muru zarzucić wędkę i haczykiem zaczepić o jakąś paczkę tych zgrzebeł. Obserwator z boku pomyślałby, że my chodzimy na krokodyły, bo nasze wędki to były leszczynowe pędy średnicy minimum 3 cm, haczyk wygięty z pięciocalowego gwoździa, zamiast żyłki pleciony lniany sznurek. W takiej paczce było 10 sztuk zgrzebeł, a paczka ważyła chyba ok. 5 kg. Za takie zgrzebło można było dostać mleka, kartofli nie pamiętam ile albo możliwość napojenia konia. Ta ostatnia forma zapłaty była najcenniejsza, bo konia poilo się w rzece, a do rzeki należało na tym koniu dojechać. Więc to była największa frajda.

Jest czerwiec 1941 r. Niemcy zaatakowały Rosję. Krasnosielec stał się punktem przeładunkowym armii niemieckiej. Bez przerwy przybywało wojsko, nocowało i rano wyjeżdżało na front. Oddziały pancerne czołgów, tankietek, amfibii jechały z małymi przerwami dzień i noc. Został ogłoszony nakaz zaciemniania okien. Łapani mężczyźni do kopania rowów nasiliły się, tak że schówek pod klatką z królikami był wykorzystywany codziennie. Teraz to Niemcy przychodzili z psami, które rzuciły się na klatkę, ale przecież w klatce były króliki. Chociaż wtedy nachodziły mnie takie myśli, że Niemcy nie za bardzo chcieli być służbistami, ponieważ psy nie rzuciły się na klatkę, tylko weszły w drewnie opałowym, którym klatka była obłożona. W każdym razie Niemcy nigdy nie odkryli tego schowka.

W związku z tym dużym ruchem Niemcy zabrali nam ten największy pokój w którym ja spałem i zrobili w nim kwaterę dla przejeżdżających żołnierzy, którzy przesypiali tylko jedną noc i jechali dalej na front. Z każdym dniem przyjeżdżali na kwaterę coraz młodszy wystraszony żołnierz, mówili, że jadą walczyć o chwałę dla Wielkich Niemiec. Średnio dwa razy w tygodniu przywożono tych bohaterów z powrotem, aby ich pochować na skwerze przykościelnym.

Lato roku 1942 – oblężenie Stalingradu¹². Ruch na szosie do Stalingradu jeszcze bardziej przybrał na sile, z tym, iż w obu kierunkach nasilenie jest takie samo. Ze wschodu jadą wraki samochodów z rannymi żołnierzami, na wschód niewielkie oddziały wojskowe oraz wojskowy sprzęt. W naszym dużym pokoju przestali nocować niemieccy żołnierze, natomiast zajęli go wojskowi szewcy. Byliśmy nawet zadowoleni z ich sąsiedztwa, ponieważ ja codziennie wieczorem zbierałem stare, zerwane żelówki, które dla nas i sąsiadów stanowiły jedyne źródło materiału do naprawy obuwi. Szewcy ci byli ludźmi prostymi, ale o poglądach i zasadach jeszcze przedwojennych. Kiedyś przyszedł do nich chyba na kontrolę kwatery jakiś SS-man, to jeden z tych szewców wskazał do mamy oczami na tego SS-mana

¹⁰ Chomąto – rodzaj jarzma używanego do zaprzęgania zwierząt pociągowych do ciągnięcia wozu, pługa, itp. Chomąto wynaleziono w Chinach nie później niż w I w. p.n.e. W Europie chomąto pojawiło się dopiero w X w.

¹¹ Holobla – jeden z dwóch dyszli, między które wpiera się konia; z reguły w zaprzęgu jednokonnym stosowano dwie holoble, między wprzęgano konia.

¹² Oblężenie Stalingradu (nazwa w latach 1925–1961; obecnie – od 1962 r. – zwany Wołgogradem, znane jest też jako Bitwa pod Stalingradem czy bitwa nad Wołgą) – jedna z największych bitew II wojny światowej. Toczyła się w okresie od 23 VIII 1942 do 2 II 1943 r. To w tej bitwie Stalin wydał słynny rozkaz nr 227 „Ani kroku w tył”. Szacuje się, że w połowie października 1942 r. (w wyniku tego rozkazu) straty wynosiły 80 tys. zabitych, a razem z ludnością cywilną mogło zginąć nawet 250 tys. ludzi.

i przyłożył palec do ust. Zrozumieliśmy, że trzeba uważać, co się mówi. Prawdopodobnie znał on język polski.

Ojca w dalszym ciągu nie ma. Mama, żeby związać koniec z końcem wpadła na pomysł i zaczęła smażyć pączki na sprzedaż. Inauguracja miała nastąpić w niedzielę. W niedzielę rano mama wystawiła w oknie dwa półmiski, na których były artystycznie ułożone, obsypane cukrem pudrem, smakowicie wyglądające pączki. Nie wiem, skąd mama miała cukier puder. Wyszedłem specjalnie na ulicę, żeby zobaczyć, jak ta wystawa prezentuje się z zewnątrz. Było w porządku. Każdemu widzowi musiała pociec słinka. Czekałiśmy, kiedy ludzie zaczną wychodzić z kościoła. Suma się skończyła, ludzie wyszli i wszyscy zatrzymali się przed naszym oknem, i oglądali tę pączkową wystawę. Wśród oglądających było nawet kilku niemieckich oficerów. W końcu jakaś znajoma mamy pyta się: „Pani Kamińska, po ile te pączki?”. Mama odpowiedziała (nie pamiętam, po ile były). Wzięła dwa. Po godzinie wszystkie pączki zostały sprzedane przy głośnych słowach uznania.

Sprawa z pączkami uruchomiła drugie zamówienie. Przyszło dwóch oficerów niemieckich i pytają się mamy, czy może im upiec kurę. Mama mówi oczywiście, ale na kiedy. Okazało się, że na następny dzień na godzinę pierwszą. Podroby z kury oczywiście były nasze. Mama wstawiła całą kurę do garnka i ugotowała nam rosół. Następnie kura powędrowała do pieca chlebowego i na godzinę 13 była pięknie upieczona. Dwaj oficerowie przyszli po komisyjny odbiór pieczonego. Mama otworzyła piec i wyjęła parującą, w kolorze złotym kurę. Niemcy chcieli coś płacić, ale mama się nie zgodziła. Odtąd mieliśmy na obiad codziennie rosół, ponieważ całe dowództwo Wehrmachtu zamawiało u mamy pieczone kury lub kaczkę. Pączki również dobrze się sprzedawały.

Co jakiś czas dziadek wynajmował furmankę, brał worek pszenicy i jechał do pana Kocota, który miał wiatrak i miał tę pszenicę na piękną mąkę. Do własnych celów codziennych mąkę robiliśmy sami w żarnach, które stały w komorze. Wszystkie te działania były nielegalne. Pamiętam, jak żarna po każdym użytkowaniu były skrupulatnie maskowane, żeby zandarmi ich nie odkryli. Ubój świniaka był karany śmiercią, ponieważ według niemieckiego prawa cała wytworzona żywność była własnością Rzeszy. Ale ludzie jakoś sobie radzili i prawo szło jedną ścieżką, a normalne życie drugą.

Mama narzekała na brak mydła, bo jak umyć twarz mydłem glinianym, bo tylko takie było na kartki? Potrzeba jest matką wynalazków. Otóż wynaleziono wyrób mydła z żółtek jaj. Mydło to przed zastygnięciem wyglądało jak kogel-mogel. Któregoś dnia przyszedłem do domu, żeby coś zjeść i zauważyłem w płaskim naczyniu kogel-mogel. Nie mogłem się powstrzymać, wsadziłem palec i oblizałem. Myślałem, że język mi odpadnie, ponieważ to był kogel-mogel, ale bez cukru, za to z sodą kaustyczną. Soda kaustyczna to jest taki specyfik, który w krótkim czasie rozpuszcza kości. Miałem kłopoty z jedzeniem chyba przez tydzień.

Kwiecień roku 1943 – gazety niemieckie podały, iż Niemcy odkryli w Katyniu¹³ masowe groby pomordowanych polskich oficerów. Egzekucji mieli dokonać Rosjanie. Ekshumacji dokonano w obecności świadków Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Przez kilka miesięcy gazeta niemiecka podawała listy ofiar z imienia, nazwiska oraz skąd pochodził. Społeczność Krasnosielca nie przyjęła do wiadomości tych informacji, prawie wszyscy byli przekonani, że to uczynili Niemcy. Pamiętam taki okolicznościowy plakat rozklejony na naszym domu oraz innych domach i drzewach. Krzyż wykonany z sierpa i młota, na tym krzyżu rozpięty Jezus w ten sposób, że ręce ma przełożone przez sierp, który przeciął mięśnie, krew spływa dwiema strugami. Plakat ten wywarł na mnie bardzo duże wrażenie i do dzisiaj mam go przed oczami.

Ojciec uciekł z kopania okopów i wrócił do domu. Jak opowiadał, kilka dni przed ucieczką ojca była ucieczka trzech innych kopaczy, których Niemcy złapali, przywieźli do obozu i dowódca obozu na oczach wszystkich zatrudnionych tych nieszczęśników zastrzelił. Trzeba było mieć dużo determinacji, żeby w tej sytuacji podjąć następną ucieczkę.

Po upadku Powstania Warszawskiego¹⁴ przyszedł do nas z Warszawy powstaniec, mój kolega Stanisław Bruszewski, starszy ode mnie o 2 lata. Było ich trzech braci oraz dwie siostry. Wszyscy trzej bracia byli w powstaniu. Najstarszy Jurek zaginął, młodszy Tadeusz przeżył i uciekł w czasie przemarszu pojmanyh powstańców do Pruszkowa, ukrywał się i wojnę przeżył. Stasiak był z nami całą wojnę i dlatego przeżył.

Tata z mamą zdecydowali, że wyprowadzimy się od dziadków. Tata wynajął mieszkanie: jedną izbę o powierzchni chyba ze 25m² z mурowaną kotłnią, nad którą wisiał okap do odprowadzania pary i ewentualnie dymu. Okna w tej chacie były małe, o pojedynczym skłenie, w związku z tym w czasie dużych mrozów w izbie było ciemno, ponieważ szyby okienne były zamrożone o grubości lodu ponad pół centymetra. W podwórku tego domu stała stodoła, w której Niemcy urządzili skład węgla pilnowany przez uzbrojonego żołnierza. W podwórku tym mieszkało chyba pięciu kolegów oraz dwie koleżanki w moim lub nieco starszym wieku.

Przeprowadziliśmy dokładny wywiad na temat sposobu pilnowania tego składu węgla. Otóż wartownik był palącym papierosa. Jak palił, to siadał na ławeczce przed wejściem do

stodoły. Jak skończył palenie, to robił obchód wokół stodoły. Obmyśliliśmy chytry plan. Najmłodszą koleżankę (chyba 7 lat) nauczyliśmy, że ma podejść do strażnika i poprosić o węgiel w ten sposób: „Her oficer, bite Kohl, Her oficer, bite Kohl”. Kiedy ona prosiła go o węgiel, my od tyłu przez ruchomą deskę wchodziliśmy do środka i każdy według swoich możliwości ładował w worki węgla, ile tylko mógł udźwignąć. Nie pamiętam tylko, czy ta koleżanka, która negocjowała z wartownikiem, uczestniczyła w podziale łupów. W założeniu przyjęliśmy, że wartownik ulituje się nad taką biedną zmarznąłą dziewczynką i da jej bryłkę tego węgla. Ale przeważnie reakcją wartownika było warknięcie „Raus, raus”. Chociaż był jeden taki wartownik, który pozwalał nawet dwa razy obracać do stodoły i z powrotem. Efekt był taki, że stodoła na wiosnę była pusta i Niemcy zrezygnowali z tego magazynu.

Nad Krasnosielcem zaczęły pokazywać się sowieckie samoloty zwiadowcze. Było to widowisko podziwiane przez mieszkańców. Cały Krasnosielec nocą był oświetlony rakietami na spadochronach tak intensywnie, że można było czytać gazetę. Prawdopodobnie Rosjanie robili zdjęcia niemieckich umocnień. Po tym przygotowaniu samoloty rosyjskie krążyły nad Krasnosielcem codziennie, siejąc popłoch wśród ludności cywilnej, ponieważ strzelali z karabinów maszynowych do wszystkiego, co się rusza.

Niemcy przegrywali na froncie wschodnim. Po prawie kompletnym zniszczeniu armii gen. Paulusa Niemcy zaczęli wycofywać się z Rosji. Przez Krasnosielec przechodziły niedobitki wojsk niemieckich oraz duże transporty rannych i czasami transport zabitych, których chowano na przykościelnym skwerze.

Jednocześnie wzrastał się niemiecki terror. W dniu 19 IX 1944 r. rozstrzelano w lasu pod Chłopią Łąką grupę akowców, wśród których był mój tajny korepetytor Jerzy Mączyński. Nie rozstrzelano go za tajne nauczanie. Ulżyło mi bardzo, bo do tej pory myślałem, że za tajne nauczanie, którego mnie udzielał. Powodem rozstrzelania był donos o przynależności do AK¹⁵. Nazwiska czterech rozstrzelanych wówczas osób to:

Jerzy Mączyński, lat 20
Janina Sokołowska, lat 29
Walery Krzesiński, lat 31.
Stefan Piętka, lat 40.

Mieszkańcy wioski w okolicy szosy prowadzącej do Stalingradu zostali wysiedleni, zabudowania rozebrane lub spalone. Z naszego po-

¹³ Katyn – wieś w Rosji w obwodzie smoleńskim, w rejonie smoleńskim, nad Dnieprem, 18 km na zachód od Smoleńska. W 1940 r. funkcjonariusze NKWD rozstrzelali w tym miejscu ok. 4400 polskich jeńców wojennych z obozu w Kozielsku.

¹⁴ Powstanie warszawskie (1 VIII–3 X 1944 r.) – wystąpienie zbrojne przeciwko okupującym Warszawę wojskom niemieckim, zorganizowane przez Armię Krajową w ramach akcji „Burza”, połączone z ujawnieniem się i oficjalną działalnością najwyższych struktur Polskiego Państwa Podziemnego. Swoim maksymalnym zasięgiem objęło część lewobrzeżnych dzielnic miasta, niewielki obszar prawobrzeżnej Warszawy, a także Puszczę Kampinoską, Legionowo i okolice Marek.

¹⁵ AK (Armia Krajowa lub Siły Zbrojne w Kraju, kryptonim „PZP” – Polski Związek Powstańczy) – zakonspirowane siły zbrojne Polskiego Państwa Podziemnego w latach II wojny światowej, działające na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej, okupowanej przez Niemcy i ZSRR. Siły Zbrojne w Kraju były integralną częścią Polskich Sił Zbrojnych, podporządkowaną Naczelnemu Wodzowi. Powstała z przemianowania Związku Walki Zbrojnej (powstałego w listopadzie 1939 r.) rozkazem Naczelnego Wodza generała broni Władysława Sikorskiego z 14 II 1942 r. Ostatecznie uznany został tym samym wojskowy charakter siły zbrojnej podziemia.

dwórka, jak spojrzano się na pole w kierunku Pienic, to po horyzont nie dojrzało się żadnego zabudowania. Ojciec na szczęście już był w domu, a Niemcom nie w głowie były jakieś tam okopy, więc zajął się szyciem, a właściwie nicowaniem i robieniem ze starych nowych ubrań.

Z jednym takim nowym ubraniem wysłano mnie, abym odniósł go do właściciela, który mieszkał ok. 4 km od Krasnosielca w kierunku Drażdzewy. Pierwszy odcinek drogi ok. 2 km prowadził wzdłuż szosy, przy której były wykopane rowy przeciwlotnicze, więc było bezpiecznie. Mama zawiesiła na moim przedramieniu spodnie, na spodniach złożoną marynarkę i to wszystko przykryła czystym płótnem. Wyznaczyła mi kierunek, jak mam iść, oraz pouczyła, że mam uważać na samoloty oraz żeby nie pobrudzić niosącego garnitur. Przeżegnała mnie na drogę i poszedłem. Był piękny, upalny dzień, niebo bezchmurne. Idę i idę, ten garnitur robi się coraz cięższy. Nagle usłyszałem znajomy warkot samolotu. Przeważnie były to małe samoloty „kukuźniki”, które mogły dosyć długo szybować lotem ślizgowym przy wyłączonym silniku. Bez namysłu wskoczyłem do okopu i czekam. Cisza. Pomału rozglądam się, samolotu nie widać. Wyszedłem więc z tego okopu, otrząpiałem siebie i garnitur z piasku i idę. Nagle usłyszałem grad pocisków uderzających w szosę i glebę. Strzałów nie było słychać, bo ten skurczybyk był dość wysoko. Dałem nura do okopu, on puścił jeszcze ze dwie serie i więcej go nie słyszałem.

Poszedłem w dalszą drogę, obierając kierunek podany przez mamę. Zapytanie się o drogę kogoś innego było niemożliwe, ponieważ nikogo nie było. Wszyscy mieszkańcy tej okolicy byli wysiedleni. Usiadłem w polu pod jakąś ulęgalną, żeby odpocząć.

Nagle powiał wiatr, zrobiło się szaro i rozpełtała się burza z piorunami i rześnistym deszczem. Ja byłem ubrany w krótkie spodnie i jakąś krótką koszulę. W mgnieniu oka moje całe ubranie było mokre. Bałem się zajrzeć pod płótno, jak prezentuje się garnitur, który niosłem. Jak zajrzałem pod przykrywające płótno, to nie wiedziałem, czy mam kontynuować misję doręczenia garnitur, czy wracać do domu. W danej chwili mogłem jedynie spokojnie usiąść i przeczekać burzę. Po jakiejś pół godzinie deszcz przestał padać, wróciła piękna ciepła pogoda, garnitur otrząpiałem z piasku i powiesiłem na ulęgalkę, żeby przesechł i powędrowałem przed siebie.

Doszedłem do wioski, która nie została wysiedlona, znalazłem adresata przesyłki i wręczyłem gospodarzowi to, co przyniosłem, mówiąc jakieś słowa przeprosin. Gospodarz zdjął płótno, garnitur obejrzał, klepnął mnie w ramię i powiedział: „Dobrze, że dzisiaj przyniosłeś, bo idziemy na chrzciny i będę miał się w co ubrać”. Gospodyni ukroiła mi pajdę chleba, postawiła garnek mleka i kazała jeść, bo pewnie jestem głodny. Ja byłem bardzo głodny. Posiliłem się, podziękowałem i ruszyłem w drogę powrotną. W domu byłem wieczorem, bo jeszcze po drodze narwałem jabłek, wykąpałem się w jakiejś rzece i spotkałem kolegów. Rodzice już zaczęli się martwić, ale wszystko skończyło się dobrze.

Coraz głośniejsze mówiło się o ofensywie wojsk rosyjskich, w związku z tym nasza rodzina, rodzina Szczepańskich, oraz dwoje innych sąsia-

dów przystąpiło do kopania schronu na polu pana Szczepańskiego. Po dwóch dniach naszej pracy zaroilo się wkoło od podobnych budowli. Wszyscy mieszkańcy rzucili się do kopania schronów, a front zbliżał się szybko. Słychać już było strzały armatnie, samoloty rosyjskie były już codziennością, Niemcy wysyłali swoje samoloty, a my obserwowaliśmy pojedynki maszyn i robiliśmy zakłady.

Niemcy ponosili porażki i na froncie zachodnim. Wiedzieliśmy to z niemieckich gazet. Trzeba było tylko umieć czytać te gazety, żeby znaleźć prawdę. Mistrzem w tym był dziadek Stanisław. Jak był artykuł w gazecie, że Niemcy gdzieś na zachodzie w bitwie odnieśli duże zwycięstwo, to dziadek siadał przerabiał ten artykuł, używając tych samych gazetowych słów w ten sposób, że wychodziło, iż Anglicy spuścili Niemcom sromotny łomot. Artykuły dziadka krążyły po całym Krasnosielcu.

Któregoś dnia bawiliśmy się na podwórku w chowaniek. Jedna z koleżanek tak się schowała, że trudno było ją znaleźć. W końcu ktoś otworzył podwórkową ubikację i znalazł tam leżącą zastrzeloną koleżankę. Zginęła od serii wystrzelonej z samolotu w czasie pojedynku z samolotem nieprzyjacielskim.

Z nastaniem zimy schron został ukończony i prezentował się okazale. Mógł pomieścić 25 osób i tyle w nim się chroniło. Zapewniał bezpieczeństwo od broni ręcznej oraz odłamków pocisków, ewentualnie od ręcznych granatów z uwagi na zygzakowate wejście do schronu i to była cała ochrona.

Jest grudzień 1944 r. Artyleria sowiecka bez przerwy ostrzeliwuje pozycje niemieckie, z tym iż obrona niemiecka jest skupiona w rejonie Różana, skąd wysiedlono wszystkich mieszkańców. W nocy to widok był niesamowity, ponieważ dwie rodziny wysiedlonych przyjeśliśmy u nas, czyli również do naszego schronu. Wśród wysiedlonych był chłopak w moim wieku bez nogi, którą stracił w wyniku ostrzału. Nie wiem, kiedy to się stało, bo kiedy się poznaliśmy, rana była już zagojona. Poprzedniego dnia mama z sąsiadką zaczęły chleba i czekały, kiedy będzie można pójść i napalić w piecu, bo bez przerwy trwa bliski ostrzał artyleryjski, odłamki świszczą w powietrzu. Na dworze jest mróz w dzień -15°C, w nocy -20°C. Mama martwi się, jak włożyć zmarznęte ciasto chlebowe do blachy.

Na szczęście następny dzień był cichy, mama z sąsiadką rano napaliły w piecu chlebowym oraz w piecu grzewczym i przed wieczorem wstawiły chleba do pieca. Wszyscy w schronie czekają na ten chrupiący gorący, wypieczony chleba. Opowieści towarzyskie toczą się wokół tego chleba. W końcu wieczorem mama z sąsiadką oraz ja z kolegą Staśkiem poszliśmy do naszego domu i przynieśliśmy każdy po jednej blasze upieczonego na kolor ciemnobrązowy razowego chleba.

Nastąpiła najważniejsza chwila: podział na pajdy. Zaczęto od nas jako pomocników przy pieczeniu i dostarczaniu chleba. Mama ukroiła mi pajdę grubości chyba ze cztery centymetry i z pajdy tej wylała się cała zawartość miększu na mamy kolana oraz w całym schronie rozszedł się odór „flitu”. Flit była to ciecz o bardzo smrodliwym zapachu służąca do tępienia różnego rodzaju robactwa. Ale skąd ten flit wziął się w chlebie? Otóż w pokoju stał oparty o ścianę worek z mąką, a w bliskiej odległości blaszana bańka 5 litrowa z flitem. Przez ścianę

budynku worek z mąką oraz bańkę z flitem przeszła seria z karabinu maszynowego i stąd z chleba była zjadliwa jedynie wypieczona skórka z dokładnym usunięciem miększu. A to że miększ się wylał, to babcia powiedziała, że od przemrożenia.

Do tej skórki chleba były tylko kolędy. Sylwestra też spędzaliśmy w schronie. Nie pamiętam, czy było coś do jedzenia, czy też tylko śpiewanie kolęd. Na początku stycznia 1945 r. zauważyliśmy z kolegami niebywały ruch w budynku mieszkalnym księdza proboszcza, obecnie zajmowanym przez komisarza miasta. Zakradliśmy się do ogrodu i z dość bliskiej odległości obserwowaliśmy ładowanie na sanie różnych rzeczy. Wśród obecnych byli mężczyźni, kobiety i dzieci m.in. dwóch chłopaków w naszym wieku. Zrozumieliśmy, że Niemcy uciekają. W ogrodzie stał mały budynek gospodarczy, w którym były złożone zimowe okna domu mieszkalnego, urządzenie do odwirowywania miodu z plastrów oraz pod ścianą sterta sliwek węgierek.

Zainteresowały nas okna ułożone na stojąco, jedno za drugim oparte o ścianę. Było nas dwóch, każdy miał procę. Krótka rozmowa i zakład, kto przestrzeli więcej szyb w tych ustawionych oknach. Zaczęliśmy strzelać, zrobił się taki hałas tłuczonego szkła, że ci dwaj w naszym wieku Niemcy chwycili za flowery i zaczęli strzelać w naszym kierunku oraz biec w naszą stronę. Zaczęliśmy uciekać w kierunku muru z kamienia łamanego oddzielającego ogród od ul. Wolności. Przy forsowaniu tego muru uderzyłem się w kolano, które bolało mnie ze dwa lata.

Tego samego dnia rodzina niemiecka opuściła Krasnosielc. Według opinii starszych Rosjanie szykowali się do szturm. Wskazywała na to wzmożona działalność rosyjskiego lotnictwa oraz histeryczne zachowanie Niemców objawiające się wzmożoną opresyjnością w stosunku do cywilów. Zastrzelili gospodarza w Drażdzewie, gdzie indziej wrzucili granat do schronu, gdzie przebywali ludzie, w Pienicach rozstrzelano trzy osoby.

Jest noc 18 I 1945 r. Rosyjskie katiusze (zwane organami Stalina) ucichły, nikt nie śpi, wszyscy na coś czekają. Ja ze Staśkiem Szczepańskim zajmowaliśmy miejsce przy wyjściu ze schronu zaraz za załomem bezpiecznego wyjścia. W schronie trwa absolutna cisza. Nagle widzimy, jak z za załomu wysuwa się lufa pepeszy i głos: „Giermańców niet?”

Natychmiast zrobił się ruch, kobiety się z radości popłakały łącznie z moją mamą, dziadkowie ruszyli jako tłumacze. Mówili tym dwóm Rosjanom, że w odległości ok. 150 m od naszego schronu znajduje się żelbetowy bunkier niemiecki. Na to oni odpowiedzieli, że bunkier tam był, ale już go nie ma. Żołnierze (w wieku 18–20 lat) pożegnali się i jeden mówi do mnie: „Malczik, chadziej”. Wyszliśmy z naszego schronu, a na polu kilkunastu narcarzy w białych kombinazonach sprawdzają pozostałe schrony. Poprowadził mnie do tego niemieckiego bunkra. Weszliśmy do środka, a tam jatka. Bunkier zdobyto granatami. Wewnątrz było podobno 3 niemieckich żołnierzy. W tej chwili żołnierze ci byli wszędzie w kałkach. Zamknąłem oczy, a ten mnie woła i kładzie mi na ręce niemieckie konserwy, po czym wziął jakiś flakon i zawartość wylał mi na głowę. Okazało się, że były to perfumy lub woda kolońska. Jak przyszedłem do naszego

schronu, to wkrótce trzeba było go wietrzyć. Największa radość była z tych konserw, bo mieliśmy pierwszy raz normalne śniadanie do syta.

Rosjanie dosyć szybko nas opuścili. Po tym sutym śniadaniu ja ze Staśkiem niezauważeni wymknęliśmy się i pobiegliśmy w stronę mostu. Po drodze spotkalismy dwóch poległych żołnierzy, nie wiem, ruskich czy niemieckich, bo byli już bez ubrań i butów. Po drodze natknęliśmy się na rozbity niemiecką tankietkę¹⁶, wewnątrz której spędziliśmy trochę czasu. Pamiętam, że armata tej tankietki była załadowana i z zamka wisiał łańcuch podobny do łańcucha rowerowego. Zaczęliśmy kręcić wieżyczką, przyciskać wszystko co możliwe, aż w końcu dowódca saperów rosyjskich, którzy naprawiali uszkodzony most, puścił w naszym kierunku serię z pepeszy. Wtedy daliśmy nogę. Wróciliśmy do schronu jak już było widno.

Okupacja sowiecka

Zaczął się pierwszy dzień wolności. Żołnierze sowieccy przystąpili do wykopywania dobytku ukrytego na polu przez mieszkańców. Byłem świadkiem, jak ojciec zobaczył naruszoną naszą skrytkę i żołnierza, który zawijał w jakiś koc ojca maszynę do szycia. Na uwagę, że ta maszyna jest nasza, czerwonoarmista odpowiedział: „To bierz”. Szybko opróżniliśmy cały schowek. Ci, którzy przyszli za późno, pożegnali się ze swoim dobytkiem.

W domu dziadka Granoszewskiego wojsko urządziło kwaterę dowódcy wojska, które zajęło Krasnosielc. Było to 18 I 1945 r. Dowódcę, który kwatrował u dziadka, zainteresował skórzany pas wojskowy z czasów armii carskiej. Był to pas zupełnie inny od tego, który miał dowódca. Dziadek na tym pasie ostrzył brzytwę. Pasy armii sowieckiej były byle jakie, parciane. Karabiny też były wyposażone w pasy parciane lub sznurki. Dowódca zwrócił się do dziadka, że on odkupi ten pas. Dziadek odparł, że daje go w prezencie za wyzwolenie Krasnosielca. Dowódca podziękował i wyszedł. Po jakimś czasie wrócił i wręczył babce kilka puszek „swinnaja tuszonka” – przepyszny amerykański boczek z przyprawami. Do dzisiaj podobnego w smaku boczku nie jadłem.

Pobiegliśmy ze Staśkiem na rynek, żeby zobaczyć, jak folksdojce i Hitlerjugend miotłami zamiatają ulice. Mieliśmy się z nich naśmiewać, ale widok był przygnębiający i odeszliśmy bez słowa.

Mieszkanie i zabudowania ciotki Marysi były splądrowane. U ciotki mieszkali uciekinierzy z Różana: pan Niesulchowski z córką starszą od nas o rok lub dwa. W Różanie przed wojną był właścicielem sklepu z materiałami szkolnymi (tornistry na książki, zeszyty, przybory szkolne oraz pierścionki z orłem w koronie na czerwonym tle). Wszystkie te rzeczy były wyrzucone na ulicę. Wzięliśmy sobie po pierścionku i z dumą nosiliśmy go na palcu.

Pomału życie wracało. Na drugi dzień ojciec wyszedł do dziadka Granoszewskiego po resztę zakopanych rzeczy i ślad po nim zaginął. Mama zawołała mnie i nakazała, żebym się do-

wiedział, gdzie ojciec się zawieruszył. Po kilku godzinach przybiegłem i zdałem mamie relację, że to na pewno ruskie tatę złapali, bo tak samo zaginął Szczepański (brat naszego sąsiada) oraz chyba osiemnastu innych mężczyzn. Ktoś widział, jak NKWD¹⁷ prowadziło jednego zaginionego i stąd rozeszła się wieść, iż ci zaginięni, w tym nasz ojciec, zostali zatrzymani i wywiezieni na Syberię. Jednocześnie w mieszkaniu u ciotki, gdzie aktualnie mieszkaliśmy, NKWD przeprowadziło rewizję, rekwirując, co im się podobało, np. kupon przedwojennej wełny na garnitur. Pamiętam, jak w czasie tej rewizji wszedł dziadek z workiem na plecach, mówiąc do mamy: „Stasieńka, przyniosłem ci pół worka mydła”. Enkawudyści tym workiem nie przejawili żadnego zainteresowania, a w worku tym zamiast mydła był trotyl w kostkach ludzaco podobnych do kostek mydła, tylko z dziurką w środku na założenie splonki.

Ja, Stasiek Grabowski oraz Janusz Łasiewicz wróciliśmy do naszych zabaw oraz naszych ukrytych schowków w księżowskim ogrodzie. Poszliśmy sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Podczas przeszukania altanki natknęliśmy się na wystraszonego chłopaka. Okrzykiem „Hande hoch” wzięliśmy do niewoli autentycznego Niemca. Był to chłopak w naszym wieku, syn jakiejś rodziny niemieckiej, który w tej panice ucieczki przed Rosjanami zgubił się i został. Od tej chwili stał się naszym jeńcem. Powiedziałem Staśkowi i Januszowi, żeby go pilnowali, a ja udałem się na nasze podwórko po broń. Na naszym podwórku Rosjanie zrobili składowisko broni zebranej z pola walki. Była wielka hałda broni ręcznej, przeważnie karabinów. Wybrałem 2 karabiny oraz dwie skórzane ładownice z nabojami.

¹⁷ NKWD (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych ZSRR) – centralny organ państwowy (ministerstwo) wchodzący w skład Rady Komisarzy Ludowych – rządu ZSRR, istniejący pod tą nazwą w latach 1917–1946. Od 1934 r. rola komisariatu wzrosła (...) i NKWD skupił cały aparat represji policyjnych ZSRR – od milicji kryminalnej poprzez wywiad (INO) i kontrwywiad, wojska ochrony pogranicza, administracyjne sądownictwo doraźne (trójki NKWD) po system obozów koncentracyjnych i pracy przymusowej Gułagu. Komisariat nadzorował również lokalne instytucje rządowe, następnie w 1946 r. przemianowany został na Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ZSRR. Na terenie całego kraju NKWD działał zarówno bezpośrednio, jak i przez komisariaty spraw wewnętrznych poszczególnych republik (np. Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych RFSRR), będące jego filiami. Nazwa „NKWD” stała się w potocznym rozumieniu synonimem wszelkich zbrodni dokonanych przez Sowietów. Komisariat był głównym narzędziem w rękach władz radzieckich, którym posłużono się do ogromnych represji wobec własnych obywateli i poza granicami byłego ZSRR, a także masowych deportacji różnych narodowości, w tym Polaków. Organy NKWD były także wykonawcą zbrodni katyńskiej – mordu oficerów Wojska Polskiego w 1940 r., oraz rozstrzelania Polaków po wojnie i uwięzienia w byłych obozach koncentracyjnych, np. na Majdanku.

Wróciłem do naszej kryjówki. Pokazaliśmy nasze uzbrojenie jeńcowi z uwagą, że w razie ucieczki to kula w łeb. Od tej pory jeniec nasz w czasie zabawy zawsze był prowadzany pod bronią. Nasz jeniec prywatnie był parobkiem u dziadka Janusza Łasiewickiego za wikt i opierunek. Dziadek Janusza wyrabiał kielbasy i salcesony, które wędził w podwórkowej wędzarni. Żadna kielbasa tak nam nie smakowała, jak ta kradziona z podwórkowej wędzarni oraz żadne jabłka nie były tak dobre, jak te z księżego ogrodu.

Życie powoli zaczęło się stabilizować. Po miesiącu od wypędzenia Niemców uruchomiono w dużym pokoju budynku prywatnego szkołę siedmioklasową, do której chodzili wszyscy, czyli wszystkie klasy. Początkowo naukę prowadziła jedna nauczycielka pani Kobylińska (imienia nie pamiętam). Do siódmej klasy chodziła tylko jedna osoba. Odnosiliśmy się do niej z szacunkiem tak jak do pani nauczycielki. Pokój był podzielony na klasy. Każdy przychodził do szkoły ze swoim krzesłem lub taboretami. Książek nie było, zeszytów nie było. Mama kupiła na rynku na targu rulon papieru pakowego, na którym w procesie produkcyjnym były odcisnięte wyraźne linie równoległe w odstępie co ok. 8 mm. Mama stwierdziła, że z tego papieru można zrobić zeszyt do zapisywania ważnych notatek. W krótkim czasie wszyscy moi koledzy oraz kuzyni byli zaopatrzeni w takie zeszyty i szpanowali na lekcjach.

W sprawie wyboru wysokości klasy między mną a mamą trwał ciągły spór. Ja chciałem iść do pierwszej, no góra do drugiej klasy, a mama chciała, żebym poszedł do piątej klasy. Każdy z nas miał swoje powody. Ja miałem taki, iż będąc w pierwszej klasie, będę miał lekkie życie, nie napracuję się w szkole. W rezultacie skończyło się na planach mamy i wyładowałem chyba w czwartej klasie. Lekcje były prowadzone w ten sposób, że jak pani prowadziła lekcję np. z klasą pierwszą, to pozostałe klasy odrabiały w tym czasie swoje ciche lekcje, np. rozwiązywanie zadań z rachunków, cicha nauka czytania czy coś innego, co pani wymyśliła. Lekcje trwały chyba dwie godziny.

Ja miałem zawsze jakieś oswojone dzikie zwierzątka: wiewiórkę, jeża, a w tamtym czasie kawkę. Chodziła ze mną na ryby, była, jak bawiliśmy się w wojnę, chodziła również ze mną do szkoły, ale nie była w klasie, tylko pozostawała na podwórku. Jednego dnia pani przedłużyła lekcję o godzinę i moja Psotka (tak miała na imię) wleciała do klasy i usiadła mi na ramieniu. Pani się zdenerwowała i kazała nakazać jej opuszczenie klasy. Odpowiedziałem, że Psotka opuści klasę tylko ze mną i na to ja nie mam wpływu. Pani wyrzuciła nas oboje, wobec czego poszliśmy na ryby. Od tego czasu Psotka pilnowała, żeby lekcje się nie przedłużały.

Od godziny 18 szkoła zamieniała się w szkołę wieczorową. Uczniowie w wieku powyżej 20 lat uczęszczali też do szkoły podstawowej. Szczególnie zimą, jak dni były krótkie, każdy z tych wyrosniętych uczniów szedł do szkoły z lampką karbidową. Elektryczności nie było, za to efekt wizualny znakomity.

Była jeszcze trzecia szkoła, szkoła dla analfabetów. Tu uczniowie byli objęci przepisami prawa. Za wagary były jakieś prawne sankcje, ale za to nie musieli o swoich wybrykach powiadamiać rodziców.

¹⁶ Tankietka – mały, najczęściej bezwieżowy czołg z dwuosobową załogą. Czasami tankietkami nazywano także małe czołgi z wieżą obrotową.

W czasie pierwszego roku nauki moja liczba dni nieobecnych w szkole znacznie przekraczała liczbę dni obecnych. Wychowawczyni moja, nieoceniona pani Bąkowska, nie robiła z tego problemu – zdałem do następnej klasy (chyba do szóstej) po co najmniej półgodzinnej rozmowie, w czasie której dowiedziałem się o sobie rzeczy, których nigdy bym nie przypuszczał, że mogły mnie dotyczyć.

W dalszym ciągu z kolegami mieliśmy dość czasu na różne zabawy. Najlepsza zabawa była w wojnę. Przecież mieliśmy swojego prywatnego jeńca wojennego, którego można było zatrudniać do różnych robót. Któregoś dnia postanowiliśmy ze Staśkiem Grabowskim iść na polowanie. Gehilfe Otek (pomocnik, jeniec wojenny) miał upiec kartofle i czekać na nas w księżym ogrodzie. Wzięliśmy karabiny niemieckie – mauser¹⁸ i ładownice (na pasku było 6 ładownic). W każdej ładownicy było 5 łódek, w każdej łódce było 5 naboí, czyli razem 150 naboí. Wzięliśmy nasze dwa karabiny, na pasek założyliśmy ładownice z nabojami, wzięliśmy również mojego psa Burka razem z łańcuchem i poszliśmy w stronę lasu. Po drodze spotkaliśmy znajomego resorciaka (ubowca¹⁹), który się nami zainteresował do tego stopnia, że chciał nas wziąć na posterunek. Zaczęliśmy z nim rozmawiać (był od nas starszy o jakieś 6 lat) i stanęło na tym, że za dwie garście naboí do pepeszy i te dwa karabiny on nas puści. Musieliśmy się wrócić do domu po te naboje (daliśmy mu 4 garście), to zostawił nam te nasze karabiny. Odwiedziliśmy naszego jeńca, który upiekł kartofle, ale je zjadł. Tak się skończyło nasze polowanie.

Teraz, po latach, zastanawiam się jakie ciężkie zadania miał Anioł Boży Pan Dozorca Mój, aby te moje pokręcone losy ciągle prostować.

W Krasnosielcu zaczęło wracać dawne życie. Wróciły comiesięczne jarmarki, które były zawsze wielkim świętem, szczególnie intelektualnym. Wtedy do Krasnosielca jeździli się najrozmaitsi ludzie najrozmaitszych zawodów. Byli siłacze, którzy na rynku zakuwali się w łańcuchy, które później rozrywali, byli iluzjoniści, którzy do swoich mięśni agrafami wielkości podkowy przymocowywali ciężkie taborety, które następnie wprawiali w ruch wiry. Byli sztukmistrze, którzy mieli cudowne ostrzałki do noży. Cudowność tych ostrzałek prezentowali widzom w ten sposób, iż najpierw tępilí nóż na płycie szklanej do stanu absolutnej tępości, co było prezentowane próbą podejrzenia sobie gardła, następnie kilkoma pociągnięciami noża ostrzałką sprawiali, że nóż stał się tak ostry, iż w powietrzu przecinał kartkę papieru.

¹⁸ Mauser – niemiecki karabin powtarzalny, w Polsce znany też pod nazwą „mauser”.

¹⁹ UB (Urząd Bezpieczeństwa) – powszechnie używane określenie organów bezpieczeństwa państwa funkcjonujących w Polsce w okresie stalinizmu (1944–1956). Nazwa pochodzi od jednostek terenowych, czyli wojewódzkich (miejskich, powiatowych) urzędów bezpieczeństwa publicznego. Po zniesieniu komitetu w czasie odwilży 1956 r. jednostki mu podległe zostały zreorganizowane i włączone do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych jako SB – Służba Bezpieczeństwa (28 XI 1956 r.–31 VII 1990 r.). Ubowiec – funkcjonariusz UB.



Zdjęcie uczniów klasy ósmej. Ja stojący pierwszy od prawej w II rzędzie.

Ponadto na rynku była rozstawiona karuzela, w której m.in. ja byłem elementem napędowym, czyli na górze, niewidoczni dla innych, pracowaliśmy my, chłopaki, bez których karuzela byłaby martwa. Obok karuzeli siedział grajek o nazwisku Stus z harmonią pedalową i grał skoczne kawałki. O godzinie 11 odkładał swoją harmonię i na rękach szedł do pobliskiej restauracji na drugie śniadanie, które dostawał za darmo. Na ten pokaz zawsze przychodziła dość pokaźna grupa widzów. Obok karuzeli swoje cuda rozłożył fotograf. Można się było sfotografować jako na przykład kowboj w sombrero z dwoma koltami przed saloonem albo jako kapitan pirackiego statku z opaską na oku. Zdjęcia były robione w ciągu 5 minut. Klisze fotograficzne były szklane, aparat fotograficzny stał na trójnogu, a fotograf do pasa był zasłonięty czarną materią. Obok garncarze wystawiali swoje cuda w postaci zdobionych garnków do gotowania, najrozmaitszych pojemników różnej wielkości oraz dla pań różnego rodzaju bardzo zdobionych szkatulek chyba na kosmetyki. W stoiskach z owocami można było spróbować wisien czy śliwek. Przyjąłbym każdy zakład, że w całej partii wisien nie było ani jednej bez robaka. A wiem to stąd, że jak przyniosłem wiśnie od ciotki z Pienic, to okazało się, że w całym wiadrze nie było ani jednej zdrowej.

Ale wróćmy do karuzeli. Po całym dniu kręcenia karuzelą mieliśmy prawo pokręcić się my, serce tej karuzeli. Kręcenie było w dwóch turach: połowa kręciła, połowa jeździła i następowała zmiana. Po dwóch czy trzech miesiącach młodociana obsługa karuzeli zbuntowała się i zażądała zapłaty za podtrzymywanie karuzeli w ruchu. Negocjacje trwały ze dwie godziny i przyniosły rozwiązanie w postaci ustalonej dziennej wypłaty dla każdego kręcącego karuzelą.

Któregoś dnia przyszedł kolega i zaczęliśmy się bawić w wojnę i oczywiście złapaliśmy niemieckiego szpiega. Sąd skazał go na karę śmierci przez rozstrzelanie. Wprawdzie mieliśmy wystarczający sprzęt do wykonania tego wyroku, ale orzekliśmy, że wyrok wykonamy z procy. Było losowanie i ja wylosowałem, że mam wykonać ten wyrok. Wprowadzili pod broń wystraszonego Otkę w niemieckim

helmie. Ja naciągnąłem procę jak mogłem najbardziej, Otek zamknął oczy, ja chyba też zamknąłem oczy, bo jak oddałem strzał, to Otek podskoczył do góry wrzasnął i zaczął płakać. Ja miałem strzelić w helm, a trafiłem w policzek nie osłonięty helmem. Wtedy wszyscy popłakaliśmy się, zaczęliśmy robić mu jakieś okłady i pocieszać. Od tej pory Otek przestał być jeńcem, a stał się naszym kolegą ze wszystkimi pływającymi stąd przywilejami.

Nowy rok szkolny rozpocząłem w piątej klasie już w prawdziwej przedwojennej szkole, budynku dwupiętrowym murowanym, który prezentował się bardzo okazale. Już miałem prawdziwy zeszyt w kratkę i w linie. W klasie mieliśmy jedną książkę z geografii, którą w ciągu dwóch dni całą przeczytałem. Dowiedziałem się o pięknej krainie zwanej Polesie²⁰ oraz o górzystej Huculszczyźnie²¹ i górze

²⁰ Polesie – kraina geograficzna i historyczna, leżąca głównie na terytorium obecnej Białorusi i Ukrainy oraz częściowo Polski i Rosji, jest równiną w dorzeczu Prypeci i Bugu.

²¹ Huculszczyzna – region w zachodniej części Ukrainy, na obszarze Karpat Wschodnich, obejmujący m.in. pasmo Czarnohory. Geograficznie Huculszczyzna sięga na zachodzie po obszar zasiedlenia Bojków (siedziby Huculów i Bojków dawniej rozgraniczała rozległa puszcza górską zwana Puszczą Czarnego-Lasu), oraz po rzekę Lomnicę (prawy dopływ Dniestru). W XII w. teren ten należał do Rusi Halicko-Wołyńskiej, zaś od czasów Kazimierza Wielkiego (XIV w.) Huculszczyzna znajdowała się w obrębie Rzeczypospolitej. W 1772 r. w wyniku I rozbioru Polski weszła w skład monarchii austriackiej, a następnie austro-węgierskiej. W latach międzywojennych znów znalazła się w Polsce. Po 1945 r. Huculszczyzna przestała należeć do Polski, a Polacy i inne nieruskie mniejszości narodowe zostali stamtąd wypędzeni. Wywodzą się stąd Huculi, górale pochodzenia ruskiego i wołoskiego, twórcy oryginalnej kultury regionalnej w dorzeczu górnego Prutu. Na tych terenach rotn. Wojska Polskiego Michał Holländer wyselekcjonował rasę koni huculskich.

Czarnohora ze szczytem Howerla²². Mama często śpiewała mi piękną piosenkę „Polesia Czar”. Często przy niej płakała, ja też, jak dowiedziałem się, że to już nie jest Polska.

*Pośród łąk lasów i wód toni
W ciągłej pustej życia pogoni
Żyje posępny lud
Brzęczą much roje nad bagnami
Skrzypi jadący wóz czasami
Poprzez grząską rzekę w bród
Czasem ozwie się gdzieś łosia ryk
Albo gdzieś w głębi dziki głuszcza krzyk
Potem znów cisza niczym niezmaczona
Dusza śni pustką rozmarzona
Piękny o Polesiu sen
Polesia czar, to dzikie knieje, moczary
Polesia czar, to dziwny wichru jęk
Gdy w mroczną noc z bagien wstają opary
Serce me drży, dziwny ogarnia lęk
Słyszę jak w głębi wód jakaś skarpa się miota
Serca prostota wierzy w Polesia czar
Tam, gdzie sędziwe szumią lasy
Kiedys ujrzałam pełen krasy
Cudny Polesia kwiat
Słońko jaśniejsze mi się zdało
Wszystko w krąg nas się radowało
Śmiał się do nas cały świat
Próżno mi o Tobie dzisiaj śnić
Próżno w żalu i tęsknocie żyć
Nie wrócą chwile
Szczęścia niewysłowione drzemią
Wspomnienia poqrążone
W grotach poleskich knieje*

W szóstej klasie doszedł nam nowy przedmiot – język francuski. Uczyl go pan Tabaka, który przed wojną wrócił z Francji, gdzie wiele lat tam pracował.

O nasze zdrowie dbał Szwedzki Czerwony Krzyż²³. Bez przerwy byliśmy badani, ważeni, mierzeni. Po raz pierwszy w życiu byłem u dentysty, gdzie założono mi plombę, które wypadły lub wymagały remontu dopiero po 60 latach. Do borowania zębów używano nożnej wiertarki również przy leczeniu kanałowym.

W szkole przed wejściem do klasy należało najpierw wypić tran i przekąsić kawałkiem razowego posołonego chleba. Wszyscy bronili się przed tym zabiegiem. Odwagi dodawały



Pancernik Gneisenau w całej okazałości.

panie nauczycielki, które z podniesioną głową przed wejściem do klasy przyjmowały porcję tranu. Szwedzki Czerwony Krzyż dbał również o nasze bezpieczeństwo psychiczne, bo chyba temu miała służyć ankieta zawarta w temacie wypracowania: „Co najbardziej chciałbym dostać np. na imieniny? Byliśmy wtedy po lekturze książki *W Pustyni i Puszczy*. Pamiętam gorące życzenie kolegi Apolinarego Zapiska – on chciałby dostać sztucer. Ja natomiast wyraziłem chęć na radio 10-lampowe, ale na drugi dzień poprosiłem panią, żeby pozwoliła mi poprawić mój zapis. Pani pozwoliła, a ja poprawiłem na radio 20-lampowe.

Podłogi w klasach były drewniane z heblowanych desek. W szkole chodziło się w normalnych butach lub drewniakach, w tych samych, co po ulicy. W związku z tym na przerwach w klasach i na korytarzach unosiły się tumany kurzu. Dyrektor szkoły nakazał podłogi w klasach i korytarzach pomalować pyłochłoniem, który wiąże kurz i nie będzie się on unosił w powietrzu, jak robiło się to w wojskowych koszarach. Rzeczywiście, kurz się nie unosił, za to smród był nie do wytrzymania.

Jest rok 1946. W czerwcu ma być ogłoszone referendum. Prasa, radio (słuchawkowe) plakaty i obwieszczenia uliczne nawoływały do głosowania „3x Tak”. Natomiast ludzie, tak jak u nas w domu dziadkowie, mama oraz sąsiedzi, całymi dniami dyskutowali nad pytaniami referendum i jak pamiętam ustalili, że będą głosować 1x tak, czyli za zniesieniem senatu. Oni naiwni wierzyli, że to referendum będzie miało jakikolwiek skutek sprawczy dla naszego ustroju.

Skutek sprawczy miały przywiezione listy wyborcze spreparowane przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem o kolchozach²⁴, o komunizmie²⁵

oraz o komunistach, którzy gdzieś na Sybirze przetrzymują mojego ojca. Pamiętam plakaty rozklejane przed referendum, sławiące władzę ludową oraz największych naszych przyjaciół – Armię Czerwoną. Plakaty te były przez nas zrywane mimo ciągłego ich pilnowania przez funkcjonariuszy UB. Na szczęście nigdy nikogo z nas nie złapali. Mam wrażenie, że powściągliwość ubowców w stosunku do naszych poczyną była spowodowana strachem przed partyzantką, która co jakiś czas nawiedzała Krasnosielc.

Takim spektakularnym działaniem było uwolnienie w dniu 1 V 1945 r. przez żołnierzy WIN²⁶ pod dowództwem Romana Dziemisz-

ziemia należała formalnie wciąż do rolników tworzących spółdzielnię, ale była przekazana w bezterminowe użytkowanie wspólnocie spółdzielczej. Od tradycyjnych spółdzielni funkcjonujących w innych krajach kolchozy różnią się tym, że wspólnota nie ma prawa się rozwiązać i żaden jej członek nie ma prawa z uczestnictwa w niej zrezygnować. Po wprowadzeniu w ZSRR obowiązku posiadania dokumentów osobistych (paszport wewnętrzny) w 1932 r. aż do 1976 r. nie wydawano ich chłopom, co uniemożliwiało lub utrudniało im odejście z kolchozu (chłop mógł tylko wyjechać czasowo na podstawie tymczasowych dokumentów, które były ważne tylko w wyszczególnionych miejscach i dniach). Członkowie kolchozu są zatem sprowadzeni praktycznie do roli pracowników etatowych, którzy dostają miesięczne wynagrodzenie za pracę i mają prawo do domu mieszkalnego oraz do uprawiania działki przydomowej. Kolchozy wciąż istnieją na Białorusi.

²⁵ Komunizm (od łac. *communis* – wspólny, powszechny) – polityczna i ekonomiczna ideologia klasyfikowana jako utopiina, której celem jest utworzenie społeczeństwa pozbawionego ucisku i wyzysku klasowego, opartego na braku własności prywatnej, kolektywnej własności środków produkcji i wspólnotowym podziale dóbr.

²⁶ WIN (Zrzeszenie „Wolność i Niezawisłość”, używana była również forma „Wolność i Niepodległość”, pełna nazwa: Ruch Oporu bez Wojny i Dywersji „Wolność i Niezawisłość”) – polska cywilno-wojskowa organiza-

²² Szczyt Howerla – najwyższy (2061 m n.p.m.) szczyt Beskidów znajdujący się w Beskidach Wschodnich, w północno-zachodniej części pasma Czarnohory, najwyższy szczyt Ukrainy. Jego stoki mają ok. 1100 m wys. Zbocza góry pokryte są lasami bukowymi i iglastymi, powyżej znajduje się piętro łąk subalpejskich. U wschodniego podnóża wypływa źródło Prutu. Teren Howerli znajduje się w obrębie Karpackiego Parku Narodowego.

²³ Szwedzki Czerwony Krzyż wiosną 1945 r. przeprowadzał na zlecenie rządu Szwecji akcję humanitarną pod nazwą „Białe autobusy”. Celem akcji początkowo było uwolnienie skandynawskich więźniów z niemieckich obozów koncentracyjnych przed zakończeniem II wojny światowej w obawie przed planowaną przez Niemców masową egzekucją i likwidacją obozów przed nadejściem frontu. W wyniku rozwoju sytuacji na wojnie i pojawiających się możliwości negocjacyjnych, po pewnym czasie akcją udało się objąć również więźniów innych narodowości.

²⁴ Kolchozy – formalnie rolnicza spółdzielnia produkcyjna, rodzaj przedsiębiorstwa rolniczego charakterystycznego dla byłego ZSRR. Słowo *kolchoz* jest skrótem od nazwy *kolektywne chłazajstwo*, które w języku rosyjskim oznacza *gospodarstwo kolektywne*. Kolchozy powstawały w wyniku zwykłego przymusowego przejęcia ziemi od indywidualnych rolników na rzecz państwa w ramach kolektywizacji rolnictwa. W odróżnieniu od sowchozów uprawiana

kiewicz ps. „Pogoda” 42 więźniów z więzienia UBP w Krasnosielcu. Roman Dziemiszewicz był bratem Mieczysława Dziemiszewicza ps. „Rój”.

Pamiętam również bitwę partyzantów z żoną i drugą kobietą będącą w domu sekretarza partii pana Suskiego. Dom ten, budynek w rynku, był przygotowany do obrony w ten sposób, że okna na parterze i pierwszym piętrze były zabezpieczone stalową siatką przeciw granatom lub zamurowane. Kanonada z broni automatycznej trwała dość długo, ale partyzanci domu nie zdobyli. Nie wiem, dlaczego, ale w istniejących zapiskach dostępnych w Internecie ten szczegół nie występuje.

W ramach pomocy z Ameryki przychodziły paczki z UNRA²⁷. Dostawali je pracownicy urzędów, nauczyciele, robotnicy, ale nie my, których ojcowie pracują w kopalni w katorżniczych warunkach pod kołem polarnym. Nam się nie należało, jako że ojciec był internowany przez NKWD jako zagrażający bezpieczeństwu ZSRR. Referendum się odbyło, jak przewidywali ludzie, 90% było 3 x tak.

Ojciec wrócił już po referendum, całkowicie odmieniony. Nie było bardziej zagorzałego antykomunisty niż ojciec. Po krótkim pobycie ojciec wyjechał w Polskę szukać dla nas miejsca. Był w Zabrze, gdzie mieszkała jego siostra z mężem, ale nie spodobało mu się miasto, ludzie i klimat. Zjechał do Wesołej, gdzie mieszkała druga siostra z rodziną, wynajął mieszkanie, wyremontował i sprowadził mamę z siostrami. Ja zostałem, żeby skończyć siódmą klasę.

Nadszedł w końcu ten dzień i 24 VI 1947 r. z mieszanymi uczuciami otrzymałem świadectwo szkoły podstawowej. Jak pytały się ciotki, czy zdałem, odpowiadałem, że tak, natomiast na uściślone pytanie, czy dobrze zdałem, odpowiadałem, że mam dwie piątki. Ciotki były zadowolone, ale nie wiedziały, że jedna piątka była ze sprawowania, druga z gimnastyki, natomiast pozostałe przedmioty to tróje od góry do dołu.

Miałem świadectwo szkoły podstawowej w kieszeni, więc mogłem już wracać do domu, czyli do Wesołej. Spakowałem się, czyli zapakowałem pajdę lub dwie chleba z serem, pożegnałem się z ciotkami i kolegami i poszedłem na stację kolejową do Jastrząbki odległej od Krasnosielca o ok. 20 km. Zajęło mi to na tyle długo, że jak ja przyszedłem, to pociąg dwie godziny wcześniej odjechał. Następny był na drugi dzień.

Przespaliśmy na stacyjnej ławie, pojadłem swoich zapasów i czekam na pociąg. Przyjechał piękny pociąg ciągniony przez parowóz.

cja antykomunistyczna założona 2 IX 1945 w Warszawie.

²⁷ UNRA – wł. UNRRA (w tłum. z ang. Administracja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy, często również Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy) – organizacja międzynarodowa utworzona w 1943 r. w Waszyngtonie w celu udzielenia pomocy obszarom wyzwolonym w Europie i Azji po zakończeniu II wojny światowej. Inicjatorami jej powstania były Stany Zjednoczone (z których pochodziło prawie 70% świadczeń), Wielka Brytania, Związek Radziecki i Republika Chińska. Największymi odbiorcami były Chiny i Polska.

Zająłem miejsce w klasie 3 i rozkoszuje się jazdą. Krótka to trwało, bo na następnych stacjach przybywało ludzi i w końcu ustąpiłem swoje miejsce siedzące jakiejś starszej pani. Następnie ustąpiłem swoje miejsce w wagonie, a sam poszedłem na dach wagonu i tak dojechałem do Warszawy na Dworzec Wileński. Tam oczekiwali mnie ojciec i wujek Malarecki, kolejarz. Wujek bardzo się przydał, bo ja w tych przesiadkach z wnętrza wagonu na jego dach zgubiłem swój bilet kolejowy, a wtedy po przyjeździe pociągu skrupulatnie sprawdzano wysiadających bilety. Wtedy przydał się wujek kolejarz, który wyprowadził mnie bezpiecznie. Z Dworca Wileńskiego musieliśmy przemieścić się na Dworzec Wschodni, skąd pociągiem towarowym dojechać do Wesołej.

Powitania, radości co niemiara, ale co mnie najbardziej zainteresowało, to wyłącznik światła. Pamiętam, że przez dosyć długi czas w ciągu dnia kilkanaście razy włączałem i wyłączałem światło, za każdym razem ciesząc się z efektu. Mama poznała mnie z kolegami z sąsiednich domów oraz z ciotecznym bratem w moim wieku oraz z cioteczną siostrą młodszą chyba o 5 lat. Ale ja do nich nie pasowałem, szczególnie z uwagi na język. Ja byłem małym Kurpiem i czasami trudno było się porozumieć, mimo iż mama pilnowała, żebym za wiele kurpiowszczyzny nie przyswoił.

Zapisałem się do harcerstwa, chodziłem na zbiórki, starałem się nawet dyskutować, wzbudzając chwilami salwy śmiechu swoim słownictwem. Ojciec uszył mi piękny harcerski mundur, mama kupiła harcerską czapkę i mogłem przystąpić do ślubowania przyrzeczenia harcerskiego. Przed tym musiałem wykuć na blachę 10 punktów Prawa harcerskiego. W sierpniu miałem wyjechać na harcerski obóz, gdzie z kilkoma jeszcze kolegami mieliśmy złożyć harcerskie przyrzeczenie. Obóz mieliśmy mieć w Gdyni na Polance Redłowskiej. Nie pamiętam, jak tam dojechalismy, ale chyba wojskowymi samochodami razem ze sprzętem, czyli z namiotami chyba dwunastuosobowymi, tzw. kanadyjkami. Musieliśmy wyjechać wcześniej rano, bo tego samego dnia namioty były ustawione i okopane. Pozostały tylko do wykonania dekoracje zewnętrzne wokół namiotów.

Większość nas morze zobaczyła po raz pierwszy. Oczywiście weszliśmy do wody i każdy spróbował, czy naprawdę woda jest słona. Gdy już to zostało ustalone, rozejrzałem się wokół. Widok był fascynujący. W odległości jakieś 100–150 m od brzegu stały trzy zatopione statki. W tym miejscu morze musiało być płytkie, ponieważ połowa każdego wystawała ponad wodę. Natomiast dalej w kierunku Gdyni widać było sylwetkę potężnego pancernika Gneisenau blokującego wejście do portu. Niemcy uciekając zatopili go u wejścia do gdyńskiego portu. Tak wyglądał przed zatopieniem go przez Niemców.

Życie obozowe przypadło mi do gustu mimo żelaznej dyscypliny, jaka panowała. Obóz był duży, ponieważ skupiał cały hufiec rembertowski. Aleja naszego biwaku liczyła ze dwadzieścia namiotów dwunastuosobowych.

Przed namiotami był zawsze idealny porządek i mimo tego dyżurni ciągle zamiatali. Dyżurnym zostawał ten, kto w jakiś sposób podpadł. Mnie i mojemu cioteczemu bratu przydarzało się to bardzo często. Pamiętam, jak w niedzielę hufiec poszedł do kościoła, a dy-

żurni zostali. Pogoda piękna, dużo ludzi zwiedzających nasz obóz, dużo dziewczyn w naszym wieku, więc trzeba zrobić jakąś drakę. Wystawiliśmy przed namiot mały stolik, trzy krzeselka oraz chleb, marmoladę, smalec i wędzoną małą flądrę oraz kawałek ciasta (ostatek z domu) i czekamy. W pewnej chwili idzie rodzina: tata, mama i dwie śliczne córki, więc wzięliśmy się za robienie kanapek. Najpierw kromkę chleba smarujemy smalcem (domowym) ze skwarkami, na to dosyć gruba warstwa marmolady, na marmoladzie ułożona polówka wędzonej flądry na flądze ciasto. Jedna z dziewczyn scenicznym szeptem mówi do matki: „Mama, zobacz, jak ci chłopcy jedzą”. Na to mama głośno oznajmiła koniec zwiedzania, a my przez dwa dni mieliśmy o czym mówić.

Najbardziej lubiłem, jak w niedzielę szliśmy do kościoła, a po kościele była defilada głównymi ulicami Gdyni ze śpiewem powstańczych piosenek. W nas, młodych chłopakach, serce rosło, jak ludzie zatrzymywali się i ukradkiem ocierali łzy.

Któregoś dnia hufiec miał zajęcia w terenie, a ja z Pawłem Malareckim byliśmy dyżurnymi i zostaliśmy na biwaku. Pogoda była ładna, morze spokojne, brak wiatru. Patrzyliśmy na zatopione statki i ja tak od niechcenia pytam „Płyniemy?”. Paweł odpowiada, że płyniemy, ale trzeba jeszcze jednego dla bezpieczeństwa. Mieliśmy jeszcze jednego, który pozostał w namiocie z powodu choroby. Poszedłem do niego i mówię, żeby płynął z nami na zatopione statki. W tym momencie Zygmunt Orłowski cudownie ozdrowiał i popłynęliśmy.

Statki te to były chyba kutry rybackie. W każdym razie dokładnie je spenetrowaliśmy. Pod pokładem znaleźliśmy puszki z farbą olejną. Na kominie wypisaliśmy swoje imiona ZYGMUNT PAWEŁ ZENEK. Zrobiło się już późno, pora wracać, ale nikt nie chce tego powiedzieć. Zerwał się lekki wiaterek, morze się lekko wzburzyło i zrobiło się chłodno. W końcu ktoś powiedział: „Panowie, wracamy”.

No i udaliśmy się w podróż powrotną. Pogoda popsuta się, wiatr wzrastał się i wiał od lądu. Zrobiło się zimno i poza nami nikogo więcej nie było. Myślałem, że do brzegu nigdy nie dopłyniemy. Długo trwały te nasze zmagania. Balem się, jak będzie z wyjściem na brzeg, ponieważ brzeg był wysoki, zabezpieczony stalową ścianą obsypaną dużymi łamanymi kamieniami. Ale los nam sprzyjał i duża fala wyniosła nas ponad usypanymi kamieniami i stalową ścianą na płaski, piaszczysty brzeg. Bardzo długo odpoczywaliśmy, gdzie nas morze wyrzuciło, w końcu zmarzliśmy i wróciliśmy do namiotu.

A tam awantura, hufiec przygotowany w pełnym rynsztunku do wymarszu na poszukiwanie trzech druhów z Warszawy. Natychmiast musieliśmy się zameldować u hufcowego. Kara była krótka, ale dotkliwa, mianowicie do końca tygodnia pełnymi kompanijnymi dyżur – a cała rzecz miała miejsce w poniedziałek. Do dyżurnych kompanijnych należało rano przynieść wodę do śniadania, przygotować śniadanie, rozdać śniadanie, wymyć kotły, przynieść z magazynu prowiant na obiad, ugotować obiad, umyć kotły i szykować się do kolacji, czyli wykonać czynności jak do śniadania. Obóz trwał miesiąc i mimo różnych wpadek wspominam go jako moją dużą przygodę.

Po powrocie do domu szykowałem się do pójścia do szkoły w Warszawie, na Pradze przy ul. Otwockiej 3. Do szkoły musiałem codziennie dojeżdżać pociągiem towarowym (osobowych jeszcze nie było). Zimą to nawet było wesoło, bo w każdym wagonie wytworzyło się stałe dobrane towarzystwo, skupione wokół żeliwnego pieca, w którym na węglach piekły się kielbaski, którymi i nas, uczniów, w duże mrozy też częstowano. Piece żeliwnia-ki były w każdym wagonie.

Szkoła zrobiła na mnie duże wrażenie. Musiałem mieć kapcie i specjalny worek, ponieważ w szkole chodziło się w kapciach. Podłogi w klasach i korytarzach były z klepki drewnianej wypastowanej i wyfroterowanej na wysoki połysk. Dyrektor szkoły pan Dargiel (imienia nie znam) był dyrektorem tej szkoły również przed wojną. Trzymał uczniowskie towarzystwo żelazną ręką. W 1950 r. decyzją władz oświatowych został przeniesiony na emeryturę, a jego miejsce zajęła pani, która przeszła szlak bojowy od Lenino do Berlina. Ona dopiero pokazała, jak można zatruć życie uczniom. Do tej pory na przerwach graliśmy w zośkę, w cymbargaję lub każdy organizował ten wolny czas według własnego planu. Pani dyrektor wprowadziła zwyczaj śpiewania pieśni o Stalinie. Jej ulubioną była „Kantata o Stalinie”. Drugą osobą w hierarchii szkoły był pan woźny.

W 1948 r. we Wrocławiu obradował Światowy Kongres Intelktualistów w Obronie Pokoju. Na wielką imprezę komunistów polskich i radzieckich do Wrocławia w sierpniu 1948 r. przyjechała śmietanka lewicujących intelektualistów z całego świata z Pabłem Picasso na czele. Sytuacja gospodarza Polski zaczęła się pogarszać. W 1948 r. zaczęto wprowadzać przymusową kolektywizację rolnictwa oraz przymusowe upaństwowianie prywatnych przedsiębiorstw. Efektem były kolejki w sklepach oraz brak towarów. Pamiętam, że aby kupić zarówno, należało do sklepu przynieść przepaloną.

Jest już rok 1949, jestem w dziewiątej klasie. Jeżeli skończę tę klasę, to będę miał małą maturę, czyli drugi szczebel w hierarchii naukowej. Pierwszy to szkoła podstawowa. Na początku roku pan od języka polskiego zadał nam wypracowanie pod tytułem „Kim chciałbym zostać, jak dorosnąć”. Napisałem to wypracowanie i, o dziwo, panu się spodobało do tego stopnia, że kazał je przeczytać przy całej klasie. Wypracowanie było o moim skrytym marzeniu zostania marynarzem.

Po lekcjach zastanowiłem się i postanowiłem marzenie to zrealizować. Zapisalem się do Ligi Morskiej i Kolonialnej i zacząłem chodzić na kurs przygotowawczy. Dostałem marynarski mundur roboczy: bluza i spodnie z płótna żaglowego. Materiał ten tym się charakteryzował, że po zmoczeniu go wodą robił się absolutnie sztywny. Spodnie po upraniu można było postawić i tak wysychały. Po ukończeniu kursu podstawowego zostałem skierowany na kurs kwalifikacyjny. Początek zajęć kwalifikacyjnych do szkoły morskiej nastąpił 1 VII 1950 r. w Kruszwicy, zajęcia praktyczne na jeziorze Gopło. Zamieszkaliśmy w barakach w ośrodku Ligi Morskiej. Zgrupowanie liczyło chyba ze 200 osób, bo byli to chętni z całej Polski.

Pobudka o godzinie 6, gimnastyka, apel, sprawdzenie stanu osobowego w kompaniach, wymarsz na śniadanie. Zajmujemy miejsca przy stołach i stojąc, czekamy na komendę



Dwie maszoperie jungów na zgrupowaniu w ośrodku Ligi Morskiej. Ja stoję piąty od prawej.

„Siad!”. W końcu komendant taką komendę wydał i zrobił się taki tumult, że komendant wydał komendę „Baczność”. Potem były komendy „Siad, powstań, siad, powstań” i tak z dziesięć razy, do czasu, aż po komendzie „Siad” był tylko jeden stuk i cisza. Następnie była komenda „Powstań!” i komenda „Koniec śniadania, wychodzić”. W ten sposób pierwszy dzień szkolenia rozpoczęliśmy bez śniadania.

Podobnie rozpoczynały się wszystkie posiłki, z tym, że przy zbyt wczesnej komendzie „Wychodzić” każdy opróżniał do kieszeni swój talerz. Gorzej było z obiadem, bo zupa musiała zostać.

Po śniadaniu o godzinie 8 początek zajęć (pływanie). Pływamy na okrętowych szalupach DZ dwumasztowych z ozaglowaniem galfowym, na razie tylko jako galernicy przy wiosłach. Załogę szalupy stanowił sternik i dziesięciu wiosłarzy (galerników). Jedno wiosło waży 18 kg. Sternik nam powiedział, że kto złamie wiosło w czasie wiosłowania, dostaje dwa dni zwolnienia z zajęć. W czasie całego szkolenia nic takiego się nie zdarzyło. O godzinie 8 musieliśmy być już na przystani, gdzie następowało przygotowanie łodzi do zajęć. Po zajęciach następował klar łodzi, czyli mycie, czyszczenie, wycieranie oraz zgłoszenie łodzi do odbioru. Przychodził sternik i z najbardziej niedostępnego na łodzi miejsca wyciągał ręką kilka ziarenek piasku. Powodowało to robowienie klaru od początku. Po zakończeniu klaru była zbiórka na placu apelowym, sprawdzenie stanu osobowego oraz odmaszerowanie do stołówki. Tam następowało ćwiczenie „Siad, powstań, siad, powstań, siad” i po kilku minutach komenda „Koniec obiadu”. Wtedy resztki nie zjedzone wędrowały do kieszeni.

Po obiedzie wychodziliśmy na plac apelowy, żeby doskonalić krok marszowy, zwroty oraz „Padnij i powstań”. To był plac tortur. Upał, ziemia spalona, udeptana krokiem marszowym, wypolerowana czołganiem, przesiąknięta naszym potem. Wśród kaprali, którzy nas tresowali, było kilku ludzkich, którzy po komendzie „Padnij” pozwolili kilkanaście sekund odpocząć.

Musztra ta trwała do godziny 18, po czym była zbiórka, sprawdzenie stanu osobowego i o 19 kolacja. Po kolacji godzina na ćwiczenia wiązania węzłów. O godzinie 22 cisza nocna,

która rzeczywiście zapadała nawet przed 22, żeby następny dzień rozpocząć o godzinie 6.

Po trzecim dniu mojego marynarskiego życia moje dłonie przypominały dwa wielkie bąble wypełnione wodą, w które trzeba było wziąć wiosło i wiosłować. Łzy same płynęły do oczu. Po następnych trzech dniach te bąble pękły, skóra przyschła i odpadła, a pod nią utworzyła się skóra tak gruba i twarda, że ręką bez młotka można było wbijać gwoździe.

Nareszcie przyszła pora na pływanie pod żaglami. Wtedy dopiero zrozumiałem, jaki geniusz układał plan zajęć, że zaczął od wiosel. Normalnymi rękami nie dalibyśmy rady przy montażu takielunku, szczególnie stalowych sztagów. Wyruszyliśmy w pierwszy rejs pod żaglami o powierzchni 30m². Wiatr był równy z jednego kierunku, więc nie było dużo halsów. Powierzchnia jeziora ok. 2100 ha, więc można było poszaleć. Na wypadek jakiegos niebezpiecznego zdarzenia, każdy z nas miał wyznaczone zadanie, które w czasie tych rejsów trenowaliśmy. Przeważnie było to zdarzenie człowiek za burtą.

Pływamy już trzeci dzień, upał jak w tropiku, więc prosimy sternika, że może przetrenujemy człowieka za burtą. Na to sternik odpowiedział, że we właściwym czasie. Po pięknej pogodzie przyszło załamanie. Deszcz leje, zimno, wiatr z porywami i nagle komenda: „Człowiek za burtą!”. Na łodzi zrobiło się zamieszanie, które trwało kilka sekund, a które sternik skrupulatnie zmierzył i orzekł, że dużo pracy przed nami. W związku z tym do końca pływania w tym dniu doskonaliśmy wykonanie komendy „Człowiek za burtą” tak intensywnie, że nawet zrobiło się ciepło.

Nieublaganie zbliżał się termin egzaminów, a my pływamy i polerujemy glebę na placu apelowym. W końcu ten dzień nadszedł. Ubraliśmy się w marynarskie mundury wyjściowe i na porannym apelu prezentowaliśmy się dość okazale.

Egzamin był pisemny i ustny z matematyki, fizyki, chemii i j. polskiego. Egzamin trwał dwa dni, po czym szanowna komisja wyjechała i kazała czekać na wynik, który miał nastąpić za kilka dni. Wreszcie wywieszono listy, z których wynikało, że 1/3 zdających oblała. Ja należałem do tych szczęśliwców, którzy zdali. Mieliśmy czekać na zawiadomienie ze szkoły,

kto został przyjęty. W ten sposób dobiegła końca nasza edukacja w obozie szkoleniowym przyszłych jungów. Już w cywilnych ubraniach na placu apelowym uroczystie pożegnaliśmy się z kadrą oficerską, kadrą instruktorską, z kadrą kuchenną oraz z miejscowymi gośćmi, po czym polecono nam zostawić nasze bagaże i na komendę „W tył zwrot!” odmaszerować dziesięć kroków. Do bagaży podeszli nasi instruktorzy i dokładnie je przetrząsnęli, wyciągając z nich galowe marynarskie mundury i czapki. Widocznie tak było zawsze, ponieważ nikt nie robił z tego afery. Znowu komenda „W tył zwrot, podejść do bagaży”. Życzenia szczęśliwej podróży, ahoy...

Tak zakończył się pierwszy etap mojej morskiej przygody. Rozpoczął się etap drugi, czyli czekanie na wezwanie ze szkoły w Gdyni. Jadąc do domu, myślałem, jak ja będę mógł żyć bez wydawanych mi komend. Po przyjeździe do domu rodzina mnie nie poznała. Byłem chudy, ale kłata piersiowa oraz bicepsy to jak u Baszanowskiego.

Został jeszcze cały sierpień wakacji, nigdzie nie wyjechałem, bo czekałem na wezwanie z Gdyni. Wreszcie jest! Otwieram i nie wierzę. „Z braku miejsc niestety nie możemy Pana przyjąć. Polecamy się na przyszły rok”. Nie mogłem tego pojąć. Dopiero mój starszy brat uświadomił mi nie dokładnie. Zapytał się, czy wypełniałem jakąś ankietę oraz czy napisałem w niej, że ojciec był aresztowany przez NKWD i wywieziony do Rosji. No i wszystko jasne.

W związku z tym załapałem się jeszcze na obóz harcerski do Wągrowca nad jeziorem Durowskim koło Poznania. Obóz był nad samym jeziorem z ładną plażą i stacjonowała tam tylko nasza drużyna z Wesołej. Ok. 2–3 kilometry dalej był obóz harcerek. Obozowiska nasze były w lesie. Między obozem naszym a harcerek był obóz hufca Rembertów. Jedyna droga do harcerek to wpław jeziorem. Ustaliśmy z Pawłem Malareckim i Jurkiem Jankowskim, że złożymy harcerkom nocną wizytę.

Po wieczornym apelu położyliśmy się spać, odczekaliśmy, aż cały namiot zaczął chrapać i tylko w kąpielówkach wymknęliśmy się z namiotu i do wody. Płynęliśmy cicho, żeby nie wystraszyć wartowników hufca Rembertów, ale oni chyba też spali, bo bez żadnych kłopotów minęliśmy ich rewir i znaleźliśmy się na terenie obozu harcerek.

Nagle rozległ się okrzyk „Stój, kto idzie? Hasło!”. Rozpierzchliśmy się na wszystkie strony. Ja byłem najbliżej jakiejś zarośniętej kępy krzaków i wskoczyłem w tę kępę. Okazało się, że ta kępa to były ciernie, które miały kolce długości ponad 2 cm, a poza tym ta kępa rosła w głębokim leju po bombie, czyli miałem ze dwa metry spadania szarpany kolcami cierni. Koledzy gdzieś zginęli, zostałem sam i słyszę męski głos: „Wychodź”. Ja, żeby się nie zdekonspirować mówię „Zaro, zaro” (uważałem, że to w gwarze poznańskiej), a sam wylamuję gałązki cierni, żeby się od nich uwolnić. Jakoś mi się udało, wyskoczyłem i biegiem do jeziora.

Ten wartownik do bohaterów z pewnością nie należał. Widocznie uznał, że jeżeli ja uciekłem, to minęło również ewentualne niebezpieczeństwo. Metodą pohukiwania sowy odnaleźliśmy się wszyscy i wpław wróciliśmy do naszego namiotu. Dopiero jak położyłem się na swoim posłaniu, to okazało się że jestem naprawdę mocno poturbowany, ponieważ część

kolców ułamała się i tkwiła w ciele. Miejsca z kolcami zaczerwieniły się i skończyło się na ambulatorium. Ale jakoś większej afery z tego powodu nie rozdmuchano.

To był sierpień 1950 r., w którym nastąpiła zmiana idei harcerstwa. Ideę skautingu zaczęto zastępować komunistyczną ideą pionierów radzieckich. Zrobiliśmy zebranie naszej trójki i po dyskusji nad stanem obecnej sytuacji postanowiliśmy w najbliższym czasie dać nogę z obozu. Sytuacja się zmieniła, gdy od następnego dnia doszły obowiązkowe pogadanki w porze poobiedniej na temat dóbr materialnych w przeliczeniu na złotówki, jakie daje np. drewno wycięte w lesie. Do tej pory harcerze traktowali przyrodę jako dobro narodowe, dar natury, które należy chronić jako powtarzalne piękno. Teraz wysyłano do lasu trójki z zadaniem przeliczenia finansowego wartości drewna uzyskanego z wyrębu danego obszaru lasu.

Decyzja zapadła. Najbliższej nocy uciekamy, zrywamy wszelkie kontakty. Rzeczywiście, po kolacji zapakowaliśmy do plecaków kilka kromek chleba ze smalcem i ulotniliśmy się niezauważeni. Na stacji w Wągrowcu załapaliśmy się na jakiś pociąg, który nas dowiózł do stacji Poznań Wschodni, gdzie konduktor nas wyrzucił. Była już noc, więc poszliśmy szukać noclegu. Znaleźliśmy pole, gdzie stały dziesiątki ustawionych snopków żyta. Każdy wybrał sobie jeden dziesiątek i urządził w nim legowisko. Moje było nawet przytulne.

Wstaliśmy rano, nie wiemy która godzina, zjedliśmy nasze kanapki i wracamy z powrotem na stację Poznań Wschodni. Wsiadliśmy do pociągu warszawskiego (oczywiście bez biletów; najbogatszym z nas był Jurek Jankowski, dysponował gotówką w kwocie 50 złotych). W przedziale, do którego wsiadliśmy, podróżowała rodzina z dwójką córek chyba w naszym wieku. Po kilku chwilach nastąpiła prezentacja, po kilku następnych byliśmy zażyłymi przyjaciółmi. Rozmowa o szkole, o obozie harcerskim, ale bez epizodu ucieczki i tak czas szybko mijał. W pewnym momencie mamusia tych panienek otworzyła walizkę i wyjęła z niej przygotowane kanapki, które wręczyła dziewczętom i w następnej kolejności nam. Oczywiście zaczęliśmy zaklinać, że nie jesteśmy głodni, ale brzmiało to niezbyt przekonująco. Nim panienki zdążyły odwinąć z papieru swoje kanapki, my swoje już zjedliśmy i pani mamusia dała nam następne, które przyjęliśmy bez sprzeciwu. W tym czasie przyszedł konduktor, zażądał biletów i wyprowadził nas na korytarz. Czerwoni jak buraki wyszliśmy. Pociąg dojeżdżał do Kutna, konduktor sprawdził, czy wysiedliśmy i czekał, aż pociąg ruszył. Był już późny wieczór, więc wyruszyliśmy szukać pola ze snopkami.

Na drugi dzień wróciliśmy na stację, zrobiliśmy zrzutkę i kupiliśmy 9 bułek po trzy dla każdego. Woda na stacji była darmo z takiego źródła. W końcu przyjechał warszawski pociąg i wyruszyliśmy do Warszawy. Nabyte doświadczenie unikania konduktora sprawiło, że dojechalismy do Warszawy. Jeszcze tylko odcinek do Wesołej i już w domu. Tu było już łatwiej, ponieważ każdy z nas miał bilet miesięczny Wesoła-Warszawa.

Po przyjeździe do domu okazało się, że czekają na mnie w Gdyni, mam wziąć tylko szczołeczkę do zębów i stawić się w Gdyni. Pomyślałem sobie, że nie jestem na czyjeś zawołanie i nie pojechałem, nawet nie odpowiedziałem na

zaproszenie. Postanowiłem resztę wakacji spędzić z koleżankami i kolegami na naszym boisku sportowym. A boisko było to nie byle jakie. Po pierwsze, wykonane przez nas w zryw społeczny, po drugie, prawie dla wszystkich dyscyplin lekkoatletycznych plus boisko do siatkówki. Na boisku tym można było trenować rzut kulą, rzut dyskiem, trenować ze sztangą. Zamiast sztangi były dwa koła kolejki wąskotorowej z oską, które zastępowały sztangę. Ponadto wymiarowe boisko do siatkówki, o którym nawet ksiądz z ambony wspomnieli. A wspomnieli dlatego, że poza dniami powszednimi graliśmy również w niedziele po mszy św., więc jak ludzie wychodzili z kościoła po sumie, to widzieli nas na boisku i oczywiście donosili księdzu. Ale ksiądz był mądry i potrafił sprawę załatwić tak, że ci, co donosili na nas księdzu, to zaczęli odnosić się do nas z wielkim szacunkiem.

Mianowicie po kazaniu na mszy zaprosił ksiądz kierownika tego boiska do zakrystii na rozmowę. Boisko znajdowało się na moim podwórku, więc uznałem, że ksiądz mnie zaprasza. Dobrałem jeszcze dwóch kolegów, którzy byli w kościele i po mszy św. stawiliśmy się w zakrystii. W tym czasie trwała budowa rozpoczętego przed wojną kościoła. Aktualnie przygotowywano się do wylania stropu nad główną nawą kościoła. Elementami konstrukcyjnymi były szyny kolejowe pochodzące z rozbiórki torów. Szyny te należało pociąć na wymiary podane w projekcie. Ksiądz zwrócił się do nas z prośbą o pomoc w cięciu tych szyn. Odpowiedzieliśmy, że oczywiście z miłą chęcią, bo nawet mamy kilku takich kolegów, którym cięcie szyn piłką do metalu sprawia wielką przyjemność. Ksiądz się lekko uśmiechnął i powiedział, kiedy mamy przyjść po wymiary szyn oraz sprzęt do cięcia, to jest oprawkę do piłki i brzeszczoty piłek oraz miarę (całówkę).

W poniedziałek wzięliśmy się do pracy. Było nas 5 osób, każdy zrobił dwa przecięcia, czyli razem 10 przecięć. Do tej pory starsi wolontariusze wykonywali dziennie maksimum 2 przecięcia. Ksiądz był zachwycony, czemu dał wyraz w kazaniu, dziękując sportowej młodzieży wesołowskiej za czynne włączenie się do budowy kościoła. Odtąd krytyczny stosunek starszej generacji społeczności wesołowskiej do młodzieży uległ znacznemu ociepleniu. Wiele akcji społecznych robiliśmy już wspólnie.

Zbliżał się 1 maja, uczniowie dostali nakaz wzięcia udziału w pochodzie. Obstałowalem u szewca modne na owe czasy pantofle. Miał być bite i ileś razy szyte. Szewc wziął miarę i po tygodniu poszedłem odebrać. Prezentowały się okazale. Żelówki miały 1 cm grubości, były widoczne chyba trzy szycia kolorową drutem, obcas był podwyższony. Przysmyrzałem i coś zacząłem marudzić, że jakby były za małe, że uciskają mnie w palce. Na to szewc mówi, że każde buty jak są nowe, to są za małe, ale z czasem się rozciągną, a jak nie chcę, to mogę ich nie brać, bo on na nie już ma chętnego. Przeprosiłem szewca za moje grymasy, zapłaciłem i szczęśliwy wróciłem do domu.

Właśnie przyjechał na rowerze kolega Marcin Kaczorowski z propozycją, żebyśmy poszli na zabawę do Okuniewa, tj. wioski niedaleko Miłosnej. Ucieszyłem się: mam nowe eleganckie pantofle, właśnie kupiłem skarpetki w paski

i każdy pasek był w innym kolorze. Były to skarpetki najbardziej bikiniarskie²⁸, jakie w tamtym czasie były w sprzedaży. Umówiliśmy się wieczorem na stacji kolejowej Miłosna, skąd na miejsce do remizy strażackiej jedna godzina drogi. Sala taneczna ładna, duża, dziewczyny też ładne, więc szykuje się szampański wieczór.

Rzeczywiście, poderwaliśmy dwie dziewczyny nie miejscowe, a przyjezdne, tak jak my, dlatego też zabawa trwała bez zakłóceń dosyć długo. Dlatego bez zakłóceń, że nasze dziewczyny były przyjezdne, a nie wsiowe, więc miejscowa kawalerka była zwolniona od strzeżenia honoru tych dziewczyn. No ale jak długo można bawić się i jednocześnie strzec honoru na sucho?! Do naszego stolika przyszedł jakiś miejscowy, usiłował coś mówić, ale mu nie wychodziło, więc zdzielił piąchą mojego kolegi. A mój kolega to ważył chyba sto kilo i wyższy był ode mnie o głowę, więc jak wstał i mu oddał, to gość przeleciał przez całą szerokość sali. No i wtedy się zaczęło. Bili się wszyscy ze wszystkimi. Butelki puste i pełne fruwały w powietrzu. My mieliśmy stół trochę na uboczu, więc przewróciliśmy go i wykorzystywaliśmy jako osłonę.

W pewnej chwili tumult i harmider w sali zmienił swoje nasilenie. Okazało się, że na salę wkroczyli dwaj milicjanci, którzy chcieli przywrócić spokój. Zaczęli sprawdzać dokumenty. My mieliśmy tylko legitymacje szkolne i zaczął się problem. Dopiero kolega Marcin zaczął mówić do jednego milicjanta „wujku” oraz tłumaczyć mu, że ten naprawdę jest jego wujkiem. Na dowód tego, że mówi prawdę, kazał przyjąć temu milicjantowi i jego koleźce do niego do domu na świeżą gorącą kaszanke, ponieważ rodzice Marcina prowadzili sklep mięsny i sami robili pyszne wyroby. Po uzgodnieniu rodzinnych koligacji milicjanci wyprowadzili nas na skraj wioski i kazali iść do domu. Teraz powstał prawdziwy problem, ponieważ moje stopy były tak poobcierane, że właściwie chodzenie było niemożliwe. W czasie próby obłaskawienia moich nóg natknęliśmy się na strugę z zimną wodą. Uznałem, że zdejmę buty, nogi wypoczną, wymoczę je i będę mógł iść dalej. Z tych moich przewidywań sprawdziło się tylko jedno, mianowicie wymoczyłem nogi. Natomiast o założeniu butów można było tylko pomarzyć. Na bosaka to mogłem iść tylko po czystej trawie lub po czystym piasku, bowiem cała powierzchnia stopy była pokryta ciecżą otoczoną cienką bolącą błoną.

Po krótkim odpoczynku nie było rady i Marcin wziął mnie na barana. Wyruszyliśmy w drogę. Jak zostałem przyniesiony do Wesołej, to w tym czasie ludzie wyszli z kościoła i cała Wesoła nas obejrzała. Jak przyszedliśmy do domu, to mama już wiedziała, że coś się stało,

tylko nie wiedziała, co. Efektem naszej eskapady było trzydniowe zwolnienie lekarskie.

W następnym tygodniu był początek roku szkolnego, czyli 1 IX 1950 r. Miałem pójść do X klasy liceum ogólnokształcącego w szkole przy ul. Otwockiej 3 w Warszawie, do tej samej szkoły, gdzie kończyłem ósmą klasę. Ubrany odświętnie pojechałem do szkoły na rozpoczęcie roku szkolnego, myśląc, że będzie to uroczystość jak zawsze, odśpiewanie Hymnu Polskiego, wysłuchanie przemówienia dyrektora szkoły, odśpiewanie „Witaj majowa jutrzeńko” (piosenka powstała na cześć uchwalenia Konstytucji 3 Maja w 1791 r.), szkolny chórkiem zaśpiewa kilka piosenek i rozejdziemy się do klas.

Tym razem było inaczej. Nie było hymnu, nie było „Witaj Majowa Jutrzeńko”, była natomiast „Kantata o Stalinie”, był referat o Planie 6-letnim²⁹ oraz piosenki typu Tysiące rąk, miliony rąk” czy „Był kapitan dzielny chwata”.

Po tych pierwszych lekcjach zebrał się w kilku kolegów z bazyliką na wałach kolejowych, ażeby przedyskutować sposób zachowywania się w zmienionych warunkach życia szkolnego. Słyszeliśmy o powstającej organizacji pod nazwą „trofiejne harcerstwo polskie”, a to nie było harcerstwo, tylko pionierzy³⁰ na wzór Komsomolu³¹. Ja jako okrzyczany bohater za ucieczkę z ostatniego harcerskiego obozu musiałem uświadamiać kolegów o zasadach bycia współczesnym harcerzem. Zasady te były proste: być posłusznym zawsze i wszędzie poleceniom partii. Z poleceniami partii się nie dyskutuje. Przysięgliśmy, że do harcerstwa się nie zapiszemy. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że powstaje Związek Młodzieży Polskiej (ZMP)³², w którym wkrótce wszyscy się znajdziemy.

Mam psa wilczura. Ładny i mądry pies, ma tylko jeden feler. Nie ma stojących uszu, więc z Pawłem Malareckim (mój cioteczny brat) wymyślił się specjalną konstrukcję drewnianą, która usztywniała uszy i utrzymywała je w pozycji stojącej (na krótko).

²⁹ Plan 6-letni (1950–1955, oficjalnie zwanym planem „budowy podstaw socjalizmu”) – drugi, po planie trzyletnim, z planów gospodarczych wprowadzonych w powojennej Polsce. Plan przyjęto w formie ustawy uchwalonej przez Sejm Ustawodawczy 21 VII 1950 r.; podobnie jak późniejsze plany pięcioletnie był jednak wielokrotnie modyfikowany i tylko w części zrealizowany.

³⁰ Pionier – członek radzieckiej Wszechzwiązkowej Organizacji Pionierskiej im. W.I. Lenina, istniejącej w latach 1922–1991.

³¹ Komsomol (ros. Комсомол) – komunistyczna organizacja młodzieży w Związku Radzieckim, powstała w 1918 roku. Nazwa jest akronimem od słów Коммунистический Союз Молодёжи (Коммунистический союз молодёжи) czyli Komunistyczny Związek Młodzieży.

³² ZMP (Związek Młodzieży Polskiej) – młodzieżowa organizacja ideowo-polityczna, działająca w Polsce w latach 1948–1957 i wzorowana na radzieckim Komsomole. Powołana została przez rządzących krajem komunistów do realizowania polityki ich partii wobec młodzieży, służyła indoktrynacji młodych, kształceniu nowych kadr dla władzy oraz pomocy w przebudowie społeczeństwa na modłę komunistyczną.

W szkole doszły nam dwa przedmioty łacina i j. angielski. Łaciny uczył bardzo sympatyczny profesor nazywany przez nas Rufusem. Tylko niektórzy profesorowie zasłużyli sobie na pseudonimy. I tak profesor od fizyki nazywał się Patefon, profesor od historii Zama (od bitwy pod Zamą w 202 p.n.e.), którą to datę do dzisiaj pamiętam dzięki opowieści profesora, jak to jeden z dowódców wojsk po bitwie spojrział na pobojuwisko, wznosił ręce do góry i wykrzyknął „Zama, o, Zama” (ZOZ 202). Pseudonimami cieszyli się tylko ci profesoro- wie, których uczniowie lubili i poważali.

Rozpoczął się pierwszy rok planu sześcioletniego, oficjalnie zwanego planem budowy podstaw socjalizmu. Plan zakładał utworzenie państwowych gospodarstw rolnych oraz stworzenie gospodarki kolektywnej, czyli kołchozów. Efektem takiej gospodarki było wprowadzenie kartek na artykuły spożywcze oraz w 1956 r. wydarzenia poznańskie, gdzie doszło do strajku robotników i ofiar śmiertelnych.

W szkole również można było zauważyć wymianę nauczycieli na młodszy rocznik. Bywali też bardzo młodzi w naszym wieku, z tym, że oni byli tak na wszelki wypadek, dla prowadzenie pogadanek politycznych, gdy np. nauczyciel prawdziwy zachorował, a tak naprawdę to oni byli wtykami UB i codziennie musieli zdawać na dzielnicy sprawozdanie, co słychać w szkole, jakie panują nastroje, jakie są zapatrywania profesorów. Na nas, uczniów, zaczęto wywierać duży nacisk, żeby zapisywać się do ZMP. Nie pamiętam już w którym roku się zapisałem, w 1950 czy w 1951. Do naszej klasy chodził chłopak, którego ojciec siedział w więzieniu z wyrokiem kary śmierci. On cuda wyprawiał, ażeby być przodującym komunistą i chyba mu się udało, ponieważ został profesorem.

Mój pies wyrósł na dużego wilczura z obwisłymi uszami. Chodził swoimi drogami i jak coś przeszkrobał, to wstydził się i zniknął nierzaz na dwa tygodnie, po czym wracał, pokazywał się kilka razy, ale nie podchodził. Mama zostawiała mu w misce jedzenie, które w nocy zniknęło i tak było ze dwa dni, po czym ja zawałęm „Pax, do nogi” i ten skruszony złoczyńca z odległości stu metrów, czolgając się, z przystankami podchodził. Wtedy ja go pogłaskałem i pies dostawał szału radości. Bardzo lubiłem te sceny, bo one pokazywały, że to był pies ładaco, ale bardzo z nami związany.

Zimą razem chodziliśmy na narty na górkę Miłówki w Wesołej. Używałem Paxa jako wyciągu. Ja zjeżdżałem na nartach, a Pax wciągał mnie na górę. Narty też miałem specjalne, hikiory w kolorze białym, jako że były to narty wojskowe (trofiejne). Nie pamiętam, w jaki sposób wszedłem w ich posiadanie. Dostałem od czerwonoarmiejca czy też znalazłem po czerwonoarmieju?

Moja najmłodsza siostra Ania też chciała, żebym powoził ją na sankach. Rozłożyłem na sankach koc, posadziłem Anię i kazałem jej się trzymać, zaprząłem do sanek Paxa i idę, a pies sanki ciągnie. W pewnym momencie drogę przebiega sąsiadów kot. Pax rzucił się za kotem, siostrzyczka pozycję siedzącą zmieniła na leżącą, a kot wskoczył na drzewo. Pies drzewo minął, ale natychmiast zawrócił, sznupek sanek ze dwa razy oplótł drzewo, a siostrzyczka jak z katapulty wyleciała w powietrze. Rozległ się przeraźliwy krzyk, mama wyskoczyła z domu, siostrzyczkę na sanki... i już

²⁸ Bikiniarze – subkultura młodzieżowa funkcjonująca w Polsce do końca lat pięćdziesiątych XX w., polski odpowiednik amerykańskich *bitników*. Bikiniarze nie stosowali się do narzucanych norm, buntowali się wobec rzeczywistości, w warunkach polskich także w wymiarze politycznym. Słowniki z przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych podawały, że bikiniarze to *młody człowiek ubierający się ekstrawagancko, w sposób przesadnie modny*.

ja jako pociągowy zawieźliśmy Anię do lekarza. Lekarz stwierdził złamanie ręki, założył gips i wróciliśmy do domu. Ja za to, co zrobiłem, dostałem pokutę w postaci spełniania wszystkich zachcianek Ani. A wyobraźnię to ona miała. Nawet czas choroby potrafiła sobie przedłużyć.

W szkole katowano nas życiorysami wielkich ludzi. Każdy wielki miał jakiś życiorys oczywiście sfabrykowany. Jak taki wielki upadał, ginął też jego życiorys. Pamiętam jak w jakiś jesienny deszczowy dzień, na lekcji wychowawczej miałem przedstawić życiorys Stalina. W klasie było nas ok. 30 osób. Późna jesień, za oknem pada deszcz, jest już na tyle ciemno, że powinno palić się światło, ale nikt nie zapalił. Ja w roli lektora rozpoczynam czytanie życiorysu. Czytam takim bezbarwnym głosem, że boję się, żebym sam nie zasnął. Po krótkim czasie okazało się, że większość słuchaczy w najlepsze śpi. Była z tego wielka draka, dostałem piętno wroga politycznego, do szkoły została wezwana mama, która nie mogła zrozumieć, gdzie jest moja wina. Kilka razy się pytała, czy przedstawiłem życiorys prawdziwy oraz czy wszyscy mnie słyszeli. W końcu dyrektorka machnęła ręką i sprawa przyschła.

Natomiast na przedmiocie nauka o Polsce to od tej pory ja byłem tym, który był wywołany i musiał odpowiadać na pytanie, na które nie odpowiadał aktualnie pytany uczeń. Przedmiotu historia nie było. Była nauka o Polsce i świecie współczesnym oraz mity greckie. Na tej lekcji przeważnie były różne atrakcje w postaci zapytań uczniów. Pyta się uczeń: „Proszę pani, a co to był „Cud nad Wisłą”?”. I co miała odpowiedzieć nauczycielka? Klasa się śmiała, nauczycielka wiedziała, że po lekcjach incydent ten będzie omawiany na dzielnicy (UB).

To był też rok, w którym odkrywano, że wszystkich wiekopomnych wynalazków dokonali rosyjscy uczeni. Najbardziej byli pokrzywdzeni nauczyciele, bo np. na lekcji historii pyta się uczeń z niewinną miną: „Pani profesor: a kto wynalazł armatę?”. Pani profesor zeszytywniała, w tym momencie ktoś podnosi dwa palce, pani mówi „Słucham cię”, na to ów uczeń bardzo poważnie: „Armatę wynalazł rosyjski uczyony Michaił Armatow”. Oczywiście śmiech, sala wesoła śpią się inne przykłady: parowóz – Parowozow, telefon – Telefonow itd., końca nie ma. A za wszystko tłumaczy się na dzielnicy pani profesorka.

Podobnym przykładem ówczesnej biologii był Iwan Mieczurin, który wsławił się krzyżówkami pszenicy o 4 i więcej kłosach. Ówczesny dowcip na temat tej pszenicy brzmiał, iż pszenica ta rośnie jak słupy telegraficzne, tylko trochę rzadziej. Na temat doświadczeń Iwana Mieczurina i Michaiła Łomonosowa krążyły przeróżne teorie, które sprawdzaliśmy przez zapytania kierowane do profesorów. Najczęstszym pytaniem była sprawa barszczu Sosnowskiego wprowadzanego do uprawy w latach pięćdziesiątych w Europie Wschodniej jako pasza dla bydła. W owym czasie była to roślina podarowana nam przez Stalina dla polepszenia kondycji naszego bydła. Do tej pory Europa Wschodnia, która doznała tej wielkoduszności, walczy z tą rośliną, która w sposób agresywny zagraża ludziom.

W 1949 r. lub w 1950 r. na trasie kolejowej Mińsk Mazowiecki-Warszawa Wschodnia



Pluton SP po pracy, ja drugi od lewej.

wymieniono wagony towarowe na wagony osobowe. Była wielka radość podróżnych, ale jednocześnie tęsknota za tym, co już nie wróci. Od tej pory jeździliśmy w wagonach osobowych, ale w jeszcze większym tłoku niż poprzednio. Do dobrych stron tej zmiany zaliczam to, iż nie trzeba było biec na stację, tylko na przełaj do torów i wskakiwało się na stopnie wagonu, jeśli pasażerowie wiszący na stopniach zrobili miejsce. Do dzisiaj zastanawiam się, jak to się stało, że nie było żadnego wypadku. Twierdzę, że to wyłącznie zasługa niezmordowanego Aniola Pana Dozorcy Mojego.

Pamiętam, jak w związku z jakimś świętem państwowym pani wysłała całą klasę, żeby przynieść z dzielnicy portrety przywódców: Stalina³³, Lenina³⁴, Dzierżyńskiego³⁵, Piecka³⁶,

³³ Józef Stalin – wł. Iosif Wissarionowicz Dzugaszwili (1878–1953) ps. Stalin, Koba, Iwanow, Wasiljew, Czyżykow, Besoszwili – radziecki polityk pochodzenia gruzińskiego, formalnie pełniący obieralne, kadencyjne funkcje sekretarza generalnego KPZR i jej poprzedniczek oraz premiera ZSRR, a faktycznie dożywotni dyktator Związku Radzieckiego, posiadający nieograniczoną władzę.

³⁴ Włodzimierz Lenin – wł. Władimir Iljicz Uljanow (1870–1924) - rosyjski polityk socjaldemokratyczny i komunistyczny, organizator i przywódca rewolucji październikowej, a następnie pierwszy przywódca Rosji radzieckiej. Współzałożyciel i lider partii bolszewickiej. Teoretyk ideologii komunizmu i twórca idei leninizmu

³⁵ Feliks Dzierżyński, wł. Feliks Edmundowicz Dzierżyński (1877–1926), ps. partyjne: Jacek, Jakub, Franek, Astronom, Józef, Domański – polski i radziecki działacz socjaldemokratyczny i komunistyczny, twórca i szef pierwszych sowieckich organów bezpieczeństwa: Czeka, GPU i OGPU, symbol terroru w rewolucyjnej i porewolucyjnej Rosji, zyskał przez to miano *Żelazny Feliks*, *Krwawy Feliks* i *Czerwony Kat*.

³⁶ Friedrich Wilhelm Reinhold Pieck (1876–1960) – wschodnioniemiecki polityk i działacz społeczny, członek niemieckiego ruchu robotniczego, komunista

Bieruta³⁷, Cyrankiewicza³⁸, Rokossowskiego³⁹ i paru innych pomniejszych. Portrety te miały wymiary 3x3m i w związku z tym były ciężkie i nieporęczne. Wynieśliśmy te portrety na ulicę i zastanawiamy się, co dalej. W końcu opanowaliśmy sytuację, do każdego portretu przydzielono 6 chłopaków jednakowego wzrostu, którzy wzięli portret na ramiona po trzech chłopaków na jeden bok portretu. W ten sposób utworzył się dosyć długi kondukt, który maszerował ulicą, ponieważ chodnik był za wąski. Idziemy tak ulicami, robiąc odpoczynki. Ludzie nam się przyglądają, robiąc złośliwe uwagi. Na drugim postoju ktoś dał propozycję, że jak byśmy zaśpiewali, to nie byłoby tak nudno. Klasa propozycję przyjęła, tylko co będziemy śpiewać? Z łaciny mieliśmy zadane nauczyć się na pamięć wiersza Owidiusza, więc wszystkim pomysł się spodobał. Konstrukcja wiersza była podobna do konstrukcji psalmu kościelnego, więc melodia też będzie pasowała. Wzięliśmy naszych wodzów na baraki, i solista zaczął: *Aurea prima sata est aetast que vindice Nullo, chór: sponte sua sine lege fide rektumque colebat*. Kondukt nasz wzbudził wielkie zainteresowanie przechodniów,

³⁷ Bolesław Bierut (1892–1956) – polski polityk, działacz komunistyczny, agent NKWD, Przewodniczący Krajowej Rady Narodowej (1944), prezydent KRN i zastępujący Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej (1944–47), prezydent RP w latach 1947–1952

³⁸ Józef Cyrankiewicz (1911–1989) – polski działacz socjalistyczny i komunistyczny, członek władz PPS, pięciokrotny premier Polski w latach 1947–1952 i 1954–1970 (funkcję tę sprawował najdłużej w historii), przewodniczący Rady Państwa, wicepremier i minister bez teki. Nigdy nie wstąpił do PZPR.

³⁹ Konstanty Rokossowski (1896–1968) – polski i radziecki żołnierz, dowódca, marszałek Polski i marszałek Związku Radzieckiego, dwukrotny Bohater Związku Radzieckiego, poseł na Sejm PRL I kadencji, wiceprezes Rady Ministrów (1952–1956), minister obrony narodowej (1949–1956), wiceminister obrony ZSRR (1958–1962)

padwały pytania, czy to jest pogrzeb? Odpowiadaliśmy, niestety nie. Ale milicja, o dziwo, nas nie zatrzymała. Tym sposobem kondukt nasz dotarł do szkoły.

W szkole już na nas czekali panowie z UB i rozpoczęło się śledztwo. Myśmy twardo stali na stanowisku, że zrobiliśmy wszystko, co było możliwe, żeby te portrety przynieść. A że przy tym śpiewaliśmy, to wojsko też śpiewa, bo przy śpiewie lepiej się maszeruje. Cała sprawa rozeszła się po kościach.

Uff. Nareszcie wakacje. Zdałem do klasy jedenastej, wkrótce matura. Nie mam świadectwa, więc nie pamiętam, jak zdałem, ale chyba trzy piątki to na świadectwie powinny być. W pierwszy dzień wakacji dostałem powołanie do SP (Służba Polsce)⁴⁰. Mam rozkaz wyjazdu, bilet na pociąg i muszę się stawić w Michałkowicach na Śląsku. Stawiłem się według rozkazu, zostałem umundurowany, dostałem przydział i miejsce w namiocie, oraz informację, że jutro pobudka o godzinie 5.

Rzeczywiście, o godzinie 5 dźwięki trąbki wyrwały nas z błogiego snu. Wszystkie czynności były wykonywane biegiem. Gimnastyka, mycie w korytach z 10 kranami, woda oczywiście tylko zimna. Śniadanie bardzo ubogie i wymarsz do pracy. Ja dostałem przydział do budowy drewnianego wiaduktu kolejowego na trasie do zakładów azotowych. Całością budowy zarządzał majster, który znał się na rzeczy. Dostałem zadanie, żebym przewiercił świdrem ręcznym otwór do założenia śruby spinającej trzy okrągłaki, każdy średnicy chyba ze 30 cm.

Zajęło mi to cały dzień, i niestety ale nie udało się przewiercić w jednej prostej linii tych trzech słupów. Zawsze świdr wyszedł bokiem w pierwszym drugim lub trzecim słupie. Przyszedł majster, popatrzył, pokiwał głową i powiedział, że jutro będzie lepiej. Rzeczywiście, po trzech dniach to ja trzy do czterech takich przewiertów robiłem dziennie. Poza mną było jeszcze trzech pracowników cywilnych, czyli cała załoga tej budowy to było razem ze mną 4 pracowników fizycznych i majster, który pełnił rolę inżyniera, majstra, zaopatrzeniowca i kulturalno-oświatowego, ponieważ ładnie śpiewał i często uprzyjemniał nam pracę swoim śpiewem.

Zmorą było rozładowywanie pociągów przeważnie z cementem. Właściwie to już było normą, że po skończonej pracy przyjeżdżał pod magazyn pociąg z cementem, który trzeba było rozładować żeby nie płacić osiowego. Pracownicy magazynowi już poszli do domu, zostaliśmy tylko my – Służba Polsce. Staraliśmy się wykonać tę robotę jak najszybciej, żeby mieć trochę czasu dla siebie. Rozładowywanie polegało na braniu na plecy worka z cementem (50 kg) i odnośnięcie go na miejsce składowania (ok. 20 m). Byli tacy mędracy, którzy brali po dwa worki. Ja też do takich należałem, do czasu, jak jeden z cywilnych pracowników zrobił nam wykład, jak ta w naszym niemięciu zabawa może się skończyć. Od tamtej pory bardzo oszczędzałem swoją osobę.

Nadszedł w końcu czas, że skończyliśmy nasz wiadukt i miał przejechać po nim pierwszy pociąg. Muszę przyznać, że nawet czułem



Maturzyści, rok 1952: od lewej: sympatyczna dziewczyna (imienia nie pamiętam), ja Zenek, Tulo Celestyn, Lidka, chyba Kucharska, Wiesia Karwowska. Prawe oko, pół czoła i kawałek czupryny z tyłu to chyba Zbyszek Tyczyński.

się dumny, kiedy razem w piątkę czekaliśmy na ten przejazd, jednocześnie patrząc na nasz wiadukt. W końcu pociąg nadjechał, lokomotywa gwizdnęła, cały skład przetoczył się po naszym wiadukcie i zniknął, a wiadukt pozostał.

Następną pracą, do jakiej zostałem skierowany, było układanie torów kolejowych na drewnianych podkładach impregnowanych kreozolem pod ciśnieniem. W upalne dni pracowało się tylko w kąpielówkach. Kreozol parował z podkładów i para osiadała na skórze, tworząc dotkliwe oparzenia. Nikt tym się nie przejmował poza poparzonym. Interwencja u naszego lekarza spowodowała rozwieszenie ulotek BHP o tematyce wykonywania głębokich wykopów. Gdyby nie ten kreozol, to praca układacza toru byłaby pracą twórczą. Lipiec szybko minął, zostaliśmy zdemobilizowani, zaopatrzeni w bilety kolejowe i do domu.

Czułem się już prawie dorosły, ponieważ podobają mi się wszystkie dziewczyny, a na naszym podwórku z uwagi na boiska był przegląd najładniejszych wesołowskich panien oraz z Miłosny i okolic. Czuliśmy się już prawie maturzystami. Początek roku szkolnego maturalnego przed nami.

Rozpoczęcie roku szkolnego w 1951 r. było najbardziej polityczne, jakie pamiętam. Chór śpiewał pieśni o Stalinie, uczniowie recytowali Majakowskiego⁴¹, Ważyka⁴², Broniewskiego⁴³, młodzież się nudziła.

⁴¹ Władimir Majakowski (1893–1930) – rosyjski poeta i dramaturg, przedstawiciel kubofuturizmu okresu rosyjskiego srebrnego wieku, współautor (z Dawidem Burlukiem, Wielimirem Chlebnikowem i Aleksiejem Kručonym) futurystycznych manifestów poetyckich (1910–1913).

⁴² Adam Ważyk, wł. Adam Wagman (1905–1982) – polski poeta, prozaik, eseista, tłumacz pochodzenia żydowskiego. Brat Leona Trystana i Samuela Wagma.

⁴³ Władysław Broniewski, wł. Władysław Kazimierz Broniewski herbu Lewart, „Orlik” (1897–1962) – polski poeta, przedstawiciel liryki rewolucyjnej, tłumacz; żołnierz Legionów Polskich, uczestnik wojny polsko-bolszewickiej.

Zaczęły się lekcje. Przedmioty ścisłe, jak chemia, fizyka czy matematyka, nie zmieniły się i były akceptowane. Natomiast przedmioty humanistyczne poza łaciną były ignorowane i wyśmiewane. Bardzo często dochodziło do takich sytuacji, gdy pani profesorka porusza jakieś zagadnienie np. z pogranicza filozofii czy historii, a uczeń wstaje i prostuje tezę pani profesor, dodając, iż tow. Lenin, Stalin lub jeszcze ktoś inny powiedział tak i tak, jako dowód podając dzieła np. Lenina t. 7 s. 380. Wszyscy wiedzieli, że to jest ściema, a uczeń chce tylko zdobyć opinię wybitnie uczestniczącego w lekcji. Znałe było często powtarzane stanowisko partii, iż nie wszystko, co nowe, jest dobre, ale wszystko, co stare, jest złe. Stanowisko to potwierdzano również współcześnie, wysadzając w Afganistanie pomniki oraz budowle sprzed kilku tysięcy lat. Do tego wzmozżona presja zapisywania się do ZMP, przychodzenia do szkoły w zielonej koszuli i czerwonym krawacie z plaketką ZMP.

W maju 1951 r. od Pawła Malareckiego dowiedziałem się o istnieniu na terenie powiatu warszawskiego, mińskiego-mazowieckiego i na terenie miasta Warszawy nielegalnej organizacji NSZ (Niepodległościowe Siły Zbrojne)⁴⁴, której „zadaniem i celem było prowadzenie walki zbrojnej celem obalenia przemocą obecnego ustroju Polski Ludowej” (przedruk z aktu oskarżenia). Paweł zapytał, czy chcę włączyć się do tej walki. Wyraziłem zgodę i umówiliśmy się na następne spotkanie celem dokonania formalnego przyjęcia oraz złożenia przysięgi.

Wreszcie wakacje, czerwiec 1951 r. Od września jestem w klasie maturalnej. Wakacje spędzam w domu, w gronie przyjaciół na naszych boiskach sportowych w LZS-Podwórk. Zaczęły tworzyć się pary. Pierwszy zaczął Janek Woch z Bubcią Hornung. To nazwisko jeszcze się powtórzy. Wśród dziewczyn na boisku pamiętam Halinę Tomaszewską (doskonała grała w dwa ognie), Barbarę Smoktunowicz, doskonałą siatkarkę, Halszkę Tkaczyk, również

⁴⁴ NSZ (Narodowe Siły Zbrojne, przez członków zwane Niepodległościowymi Siłami Zbrojnymi) – nielegalna organizacja powstała w 1942 r., zwalczana przez władze komunistyczne do połowy lat pięćdziesiątych XX w.

⁴⁰ Służba Polsce (SP) – polska państwowa organizacja paramilitarna, utworzona 25 II 1948 r. i przeznaczona dla młodzieży w wieku 16–21 lat.

siatkarkę, Ludwikę Sapieha oraz dziewczyny z Miłosnej, których imion już nie pamiętam.

Nowy rok szkolny rozpoczął się jeszcze bardziej politycznie niż w klasie 10. Wygłoszono kilka referatów o Nowej Hucie, o Planie Sześcioletnim, chór odśpiewał „Kantatę o Stalinie” oraz inne pieśni sławiące komunizm. Było kilka wierszy Majakowskiego, Broniewskiego i na zakończenie wszyscy odśpiewali pieśń „Tysiące rąk, miliony rąk” i rozeszliśmy się do klas.

Zbliżała się dwunasta rocznica napaści sowieckiej na Polskę. Zgodnie z radziecko-niemieckim porozumieniem zawartym w tajnym protokole paktu Ribbentrop-Mołotow⁴⁵ Armia Czerwona przekroczyła granice Polski. Związek Radziecki złamał podpisyany z Polską pakt o nieagresji. Spotkaliśmy się kiedyś po szkole i rozmawialiśmy o tych politycznych zawiłościach. Jediną drogą było włączenie rodziców w uzupełnianie naszej świadomości wypaczanej osobowości. Ojciec i dziadek włączyli się w akcję prostowania mojego politycznego kręgosłupa znacznie nadwężonego czteroletnim uczęszczaniem do szkoły. Codziennie (lub prawie codziennie) dziadek lub ojciec wyłączał z kontaktu kołchoźnika i opowiadali o powstaniu II Rzeczypospolitej Polskiej, o Józefie Piłsudskim, o Cudzie nad Wisłą⁴⁶, o komunistach, którzy za wszelką cenę chcieli widzieć Polskę jako 19. republikę radziecką. Kołchoźnik był to głośnik zainstalowany w domu, odbierający audycję przekazywaną metodą przewodową. Panowało przekonanie, iż może on działać w dwie strony, w mieszkaniu jako mikrofon przekazujący prowadzone w domu rozmowy.

Natomiast w szkole w dalszym ciągu robiono uczniom wodę z mózgu, np. przez lektury szkolne „Matka”, „Jak hartowała się stal”. Idealnym człowiekiem radzieckiego był Pawlik Morozow, który doniósł na swojego ojca, iż ten uciekinierem z łagrów dawał czyste blankiety dowodów tożsamości do wypełnienia oraz ukrywał zboże przed państwową komisją rolną. Tym sposobem Pawlik Morozow został patronem ruchu pionierskiego i wzorem do naśladowania dla dzieci w ZSRR oraz naszej młodzieży, natomiast ojciec Pawlika wyładował w łagrze jako wróg ludu i słuch o nim zaginął.

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia, a więc i zimowa przerwa w szkole. Umówiliśmy się z Celkiem (Tulo Celestyn), kolegą z klasy, że w tę przerwę wyjedziemy na narty do Bukowiny Tatrzańskiej. Ja powiedziałem w domu, że szkoła organizuje ferie w Bukowinie zupełnie za darmo. Mama dała mi 20 złotych, od większej kwoty mogło mi się prze-

wrócić w głowie. Celek chyba dostał tak samo. Celek przyjechał do mnie do Wesołej, wzięliśmy sprzęt, plecaki w pociąg i na Dworzec Główny. Oczywiście na gapę. Na peronie ludzi więcej, niż może peron pomieścić. Podjeżdża pociąg, wskakujemy przez okno do przedziału. Pociąg staje i w jednej chwili wagon zapełnił się maksymalnie. O sprawdzaniu biletów w ogóle nie ma mowy, jak również nie ma mowy o skorzystaniu z toalety.

Nie wiem jak, ale jakoś dojechalismy za jednym razem do Poronina. Z Poronina do Bukowiny dojechalismy autobusem w koszu na narty. Po wyjściu w Bukowinie wyglądaliśmy jak dwa śnieżne bałwany, bowiem kosz był na zewnątrz autobusu, a na drodze było z pół metra ubitego śniegu oraz świeże zasy.

Po zgrubnym otrzepaniu się ze śniegu poszliśmy na stok obok przystanku autobusowego, gdzie jeździliśmy do wieczora. Mróz, wieczór, jutro wigilia, a my bez noclegu. Idziemy do karczmy na Klinie, żeby coś zjeść i zasięgnąć języka odnośnie kwater. Przysiedliśmy się do stolika, gdzie siedzieli górale, którzy jeżdżą saniami do Poronina po ceprów⁴⁷. Górale ci podali nam nazwisko Łapka. Na pytanie, gdzie on mieszka, odpowiedzieli, że nas podwiozą. Rzeczywiście, wsiedliśmy na sanie, góral wziął lejce, powiedział „Wio” i za jakieś dwie minuty powiedział „Pr... należy się 5 złotych”. Łapka mieszkał dwa domy od tej karczmy, a ten co nas podwioził, to był Józek, syn Łapków.

Przedstawił nas rodzicom i zaczęliśmy negocjować warunki zakwaterowania. Pierwsze pytanie od gospodyni, czy chcemy łóżka z powleczeniem, czy bez powleczenia. Odpowiedzieliśmy, że oczywiście bez powleczenia. Drugie pytanie brzmiało, czy drewno do pieca sami będziemy rąbać, czy ma być porąbane. Odpowiedzieliśmy, że oczywiście sami. Na tym negocjacje się zakończyły i pokazano nam nasz pokój na górze. Pokój pokazała nam najmłodsza córka, Marysia. Była chyba w naszym wieku. Podziękowaliśmy, Marysia nas pożegnała i poszliśmy spać. Rano, naprawdę rano, bo była chyba 6, pukanie do drzwi. Otwieram, a za drzwiami stoi Marysia z tacą pokrojonego postnego ciasta (wigilia) oraz dzbankiem białej kawy. Postawiła to wszystko na podłodze, zaśmiała się i uciekła.

Nowy duch w nas wstąpił. Zjedliśmy wszystko co do ostatniej okruszki i poszliśmy zwiedzać gospodarstwo. Znaleźliśmy pod okapem drewno do porąbania oraz narzędzia: siekierę i piłę. Wzięliśmy się za rąbanie tego drewna i pytamy się gospodyni, gdzie mamy go złożyć.

Od tej pory zrodziła się obopólna sympatia. Zostaliśmy zaproszeni na wigilię, którą do dziś pamiętam. Gospodarz przyniósł do izby sropek, chyba żyta, podzielił go na cztery części i każdą część ustawił w rogu pokoju, wymawiając życzenia dobrego zdrowia dla całej rodziny, wysokich plonów oraz żeby więcej ceprów przyjeżdżało. Wigilijne menu trochę się różniło od naszego, ale była to wina trudności gospodarczych. Była fasola Jaś z czerwonym barszczem, były pierogi z serem, groch z kapustą, kluski z makiem oraz kutia. Na koniec jako deser wniesiono na stół wielką

glinianą misę do ¾ wypełnioną płynnym miodem (patoką), obok misy grube paczki opłatków (chyba nie święconych). Opłatki te każdy, kto chciał, moczył w tym miodzie i zjadał. Dla mnie było to najlepsze danie, bo było i postne, i smaczne.

Po wigilii było śpiewnie czystą gwarą góralską kolęd i pastorałek. My oczywiście mogliśmy tylko słuchać, a było czego, ponieważ oni śpiewali przepięknie. Marysia, jej starsza siostra oraz brat Józek byli w regionalnym zespole pieśni i tańca i cokolwiek śpiewali, zawsze był to śpiew na głosy.

Po kolędach poszliśmy na pasterkę. Na takiej mszy w życiu nie byłem. Jak ksiądz zaintonował „Bóg się rodzi”, a górale podchwycili, to ściany kościoła zdrząły, a płomyki świec się rozchygotały. Podobnego wzruszenia do tej pory nie doznałem.

W pierwszy i drugi dzień świąt byliśmy zaproszeni do Łapków na obiad i kolację. Śniadanie przynosiła Marysia, która nam mówiła per „pan”. Po jednym dniu z trudem, ale przeszliśmy na „ty”.

Po świątach przed Nowym Rokiem miejscowa kawalerka miała wolne, bo do Poronina po ceprów już się nie jeździło, kto miał przyjechać, to przyjechał. Zabawialiśmy się, zjeżdżając na góralskich saniach od karczmy na Klinie do kościoła. Na saniach tych było tylu chłopaków, ilu akurat się zmieściło. Znowu Anioł Boży Pan Dozorca Mój miał pełne ręce roboty, bo szybkość tych sań była duża, a sanie ważyły co najmniej z 500 kg. Kto zna Bukowinę, to może sobie wyobrazić tę jazdę. Na szczęście obyło się bez wypadku.

Józek dostał powołanie do wojska i Łapka martwił się, kto będzie woził ceprów z i do Poronina. Powiedzieliśmy Łapce, że Józek ma nas nauczyć powozić koniem oraz zdobyć furmańskie prawo jazdy. Wyruszyliśmy w pierwszą jazdę do Poronina. Prowadził Celek jako że na Radzymińskiej mieszkał w podwórku, gdzie była stajnia. Podróż odbyła się bez zakłóceń.

W powrotnej drodze mieliśmy rodzinę z dwoma córkami chyba z Łodzi. Oni zajęli miejsca w saniach, my na płozach sań i usiłowaliśmy zabawić panienki rozmową w postaci góralskich gadek. Chyba nam to wychodziło, bo panienki były zadowolone i w trakcie pobytu swego w Bukowinie zamówiły wycieczkę saniami po okolicy.

Był też ślub, na który i na wesele byliśmy zaproszeni. Mieliśmy płacić 10 zł dziennie za mieszkanie, ale goździna nam odpuściła, rzekła, iż w gospodarstwie w dwójnasób się odpłaciliśmy. Wesele było zacne, bawiła się cała Bukowina, ale było się tylko pół Bukowiny między sobą. Podobno my jako goście byliśmy nietykalni, a poza tym byliśmy w towarzystwie dziewczyn Łapków. Nie będę opisywał zwyczajów związanych ze ślubem i weselem, ponieważ nie pamiętam, widocznie za bardzo posmakowałem bimbru.

Wozenie ceprów ustalo w związku z wypadkiem, jaki mieliśmy. Trudno to nazwać wypadkiem, po prostu konie na drodze się spłoszyły i poniosły. Wyglądało to groźnie i goździna Łapka orzekł, iż w gospodarstwie bardziej się przydamy. Było więcej wolnego czasu i więcej mogliśmy pojeździć na nartach. W owym czasie istniały w górach tzw. schrony. Była to zwykła jednoizbowa koliba z półkami na ścianie oraz z paleniskiem. Zwyczaj był taki, że każdy turysta, który korzystał z tego schronu,

⁴⁵ Pakt Ribbentrop-Mołotow – umowa międzynarodowa z 23 VIII 1939 r., będąca formalnie paktem o nieagresji pomiędzy III Rzeszą i Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich, która zgodnie z tajnym protokołem dodatkowym, stanowiącym załącznik do oficjalnego dokumentu umowy, dotyczyła rozbioru terytoriów lub rozporządzenia niepodległością suwerennych państw: Polski, Litwy, Łotwy, Estonii, Finlandii i Rumunii. Bywa także określany jako IV rozbiór Polski.

⁴⁶ Bitwa Warszawska, zwyczajowo określana jako Cud nad Wisłą – bitwa stoczona w dniach 13–25 VIII 1920 r. w czasie wojny polsko-bolszewickiej.

⁴⁷ Ceper – regionalnie, lekceważąco o człowieku pochodzącym z dolin; ceprzyna, ceprzysko.

miał obowiązek zostawić jakieś pożywienie oraz drewno do pieca.

Któregoś dnia powiedzieliśmy gospodarzom, że nie będziemy w domu nocować, idziemy na Gęsią Szyję. Gospodarze informację przyjęli, a my poszliśmy. Po paru godzinach zaczął padać śnieg, po godzinie przerodził się w śnieżycę, zerwał się wiatr i zaczęły błyskawicznie tworzyć się metrowe zasy. Na szczęście natknęliśmy się na taki schron. Drzwi do schronu były przysypane śniegiem do połowy wysokości. Należało je rękami odkopać. Jeden kopał, drugi grzał ręce. Po otwarciu drzwi skrajnie wyczerpani rzuciliśmy się na niby łóżko zbite z desek stojące na słupkach. Po krótkim odpoczynku rozpaliliśmy palenisko, zjedliśmy trochę przyniesionych kanapek. Chciałem otworzyć drzwi i zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz, ale drzwi były tak zasypane, że o otwarciu nie było mowy. Wobec tego postanowiliśmy zanocować.

Rano powitał nas piękną słoneczną pogodą. Drzwi były zasypane, ale jakoś udało się je otworzyć. Wyszliśmy, a właściwie wypłynęliśmy, bo śniegu nawiało tyle, że trudno to sobie wyobrazić. Udeptaliśmy małą przestrzeń, aby móc założyć narty i w drogę do domu. Do domu wróciliśmy wieczorem, gospodarze już zaczęli się martwić.

Za kilka dni święto Trzech Króli i po święcie do szkoły. Pożegnaliśmy się z chłopakami, kolegami z wypraw saniami do Poronina. Następnie poszliśmy do domu pożegnać się z gaźdźnią, gaźdzą oraz dziewczynami Marysią i jej siostrą. Wzięliśmy narty, plecaki i chcieliśmy iść na przystanek autobusowy, ponieważ za pracę u Łapków dostaliśmy jakieś pieniądze. Wychodzimy z domu, a tu czeka na nas czterech kolegów furmanów wystrojonych w świąteczne cuchy, konie przystrojone janczarami, sanie przystrojone girlandami z kolorowych bibulek. Jeden z kolegów gra na skrzypcach, drugi na harmonii. Wszyscy łącznie z końmi przynajmniej po dwóch bimberkach. Zapraszają nas do sań, kapela gra, jeden bezrobotny polewa. Cała droga do Poronina odbywała się w nastroju iście szampańskim. W Poroninie na peronie nastąpiło kolejne uroczyste pożegnanie przypiecztowane lampą bimbrową. Przyjechał pociąg, koledzy przynieśli nas do kierownika pociągu, wręczyli mu nasze bilety, które kupili i prosili go o troskliwe zaopiekowanie się nami, oraz żeby nas wysadził z pociągu na dworcze Warszawa Wschodnia.

Z chwilą ułożenia mnie na ławce w pustym przedziale natychmiast usnąłem. Konduktor obudził nas przed dworcem Warszawa Wschodnia, poradził, żebyśmy się doprowadzili do porządku, zaparzył nam kawę i pożegnaliśmy się, bo jutro święto Trzech Króli, pojutrze do szkoły. Pożegnaliśmy się i każdy skierował się w swoją stronę.

Dostałem przez łącznika wiadomość, będzie spotkanie na temat aktualnej sytuacji politycznej oraz szkolenie z bronią pistoletem parabelum. Spotkanie jest umówione u Marka Tańskiego. Poszedłem tam na umówioną godzinę i zastałem obecnych właściciela mieszkania Marka Tańskiego, Andrzeja Kaczmareckiego ps. „Cyt” oraz Pawła Malareckiego ps. „Orzeł”. Nie było jeszcze instruktora od broni Wieśka Zadrożyńskiego z Miłosny. Po krótkiej chwili dotarł również Zadrożyński z akordeonem na plecach. Powiedział krótko o sytuacji politycznej, że jest denno, że należy spodziewać się na-

stępnych kartek oraz zwiększenia terroru ze strony władz UB. Harmonia była potrzebna do ukrycia pistoletu. Następnie przystąpiliśmy do poznawania pistoletu parabelum. Pokaz odbywał się w pokoju, gdzie stał piękny stary oszklony kredens, na dole za oszklonymi drzwiczkami stała patera, a na niej piękny urodzinowy tort bogato zdobiony kremem.

My kolejno składamy i robimy pistolet, instruktor po raz kolejny przypomina o zasa-



Stanisław Kowalczyk, ostatni dowódca WIN-u.

dzie, że pierwszą czynnością jest rozładowanie broni oraz wyciągnięcie naboju z lufy. Ale bezpiecznych rad nigdy za wiele. W pewnej chwili rozległ się huk oraz brzęk tłuczonego szkła. Okazało się, że aktualnie składający pistolet nie wyciągnął naboju z lufy. Rozległ się strzał, pocisk rozbił szybę w kredensie, zdeformował tort, przebił ścianę kredensu i utkwiał w ścianie mieszkania. Wszyscy rzuciliśmy się do sprzątania oraz szukania pocisku. Trzeba było odsunąć ten ciężki kredens od ściany i ze ściany wyłuskać pocisk. Udało się nam przed przyjazdem z pracy mamy Marka.

Na drugi dzień pytam się Marka, jak stoją sprawy. Odparł, że mama pochwaliła go, iż tak ładnie wyczyścił szybę w tym kredensie, że wyglądają, jakby ich nie było. Tym razem miała rację.

Jest połowa stycznia 1952 r. Nasza maturalna klasa szykuje się do studniówki. Na przerwach nie ustają dyskusje, przeważnie wśród dziewczyn, dotyczące ubioru na taką uroczystość. Spory przerwała pani dyrektorka, która nakazała dziewczętom przyjście w strojach organizacyjnych, tj. w zielonych koszulach i czerwonych krawatach ze znaczkiem ZMP lub w białych bluzkach i ciemnych spodnicach, chłopcy w strojach organizacyjnych lub w tym co posiadają.

W końcu przyszła ta sobota. Stawiliśmy się wszyscy, cała 11 klasa. Dzielnica ZMP w swojej nieustającej trosce o nasz intelektualny właściwy rozwój przysłała nam wodzirejkę, której zadaniem było pilnowanie, ażeby impreza odbyła się zgodnie z socjalistycznym nakazem bez wygłupów imperialistycznej cywilizacji. W związku z tym studniówkę rozpoczął szkolny chór pieśnią „Kantata o Stalinie”. W wykonanie tej pieśni musieli się włączyć wszyscy uczestnicy imprezy. Następnie utworzyliśmy

koło i chwytając się za ręce odśpiewaliśmy pieśń „Tysiące rąk, miliony rąk”, oraz „Hej, wy konie rumaki stalowe”. Następnie były tańce „Szła dziewczeczka do laseczka”, „Był kapitan dzielny chwata, który zwiedził cały świat” i tym podobne szlagiery. W tym czasie nasza grupa, chyba z pięciu chłopaków i ze trzy dziewczyny, w tym Alina Bogucka, wymknęliśmy się do magazynku ze starymi ławkami i szafami i tam w rytm śpiewanej piosenki „Gdy wszyscy święci idą do nieba, a stary Piotr na saksofonie gra” tańczyliśmy tę wściekłą rumbę. Były jeszcze „Boogi woogi” oraz śpiewy sławiące imperializm amerykański „Coca coca cola, coca coca cola, coca cola pepsi, cola dżez”.

W pewnej chwili śpiew ucichł, zapanowała cisza. Przerwałem swój taniec, który przypominał raczej objawy płasawicy i zamarłem. W drzwiach stała dyrektorka. Wygoniła nas z tego pomieszczenia, kazała iść do łazienki i otrzeć się z pajęczyn oraz umyć ręce, wrócić na salę. Kolega Sylwester (nie pamiętam nazwiska) ma powiedzieć wiersz Broniewskiego chyba „Lewą marsz”, w poniedziałek wszyscy mamy stawić się w gabinecie pani dyrektora. Najbardziej współczuliśmy Sylwskowi za ten wiersz. Ale sam sobie winien, bo kiedyś wygrał konkurs recytatorski i od tej pory był takim zapchaj dziurą.

Bardzo markotni wróciliśmy na salę balową, gdzie młodzież ochoczo śpiewała i tańczyła „Dziewczkę”, po czym pani dyrektor zapowiedziała wieczór poezji i wypchnęła Sylwkę. Sylwek pięknie wiersz zadeklamował, skłonił się, a naszej grupie tak się spodobał, że posypały się spontaniczne brawa oraz równie spontaniczne okrzyki „Bis, bis”. Sylwek wyszedł, skłonił się i zabisował. Ale nam spodobał się ten wiersz jeszcze bardziej, czyli okłaski były jeszcze bardziej rzęsiste, a wołanie o bis bardziej donośne oraz powszechne. Po trzecim bisie włączyła się pani dyrektor i dołączyła drugą wizytę w poniedziałek w jej gabinecie. Sylwek się na nas obraził i zapowiedział, że nie będzie nam podpowiadał z nauki o Polsce i świecie współczesnym, w którym to przedmiocie był dobry.

Studniówka dobiegła końca, odśpiewaliśmy jeszcze „Tysiące rąk, miliony rąk” i rozeszliśmy się do domu, ja na Dworzec Wschodni, w ostatni pociąg o 23.

W niedzielę przyjechali do Wesołej na nara-dę Tulo Celestyn, Bogdan Różański oraz Sylwek (widocznie już mu przeszło). Zaczęliśmy się zastanawiać, jaką wersję przedstawić pani dyrektor odnośnie tańców w magazynku. Któryś zaproponował, że to była nauka tańca, ale z uwagi na to, że jesteśmy absolutnie niemuzycalni i pozbawieni słuchu, to wyglądało na popisy płasawicy. Wersja ta nie przeszła, natomiast uznaliśmy, że najlepsza będzie prawda, a prawda jest taka, że tańczenie „Dziewczki” na zabawie maturalnej co najmniej nie przystoi męzczyznom w naszym wieku. Ja kończyłem 19 lat w lipcu, a bal maturalny był przy końcu stycznia.

Natomiast sprawa wieczoru poezji to sprawa wrażliwości. Cała nasza czwórka była szalenie wrażliwa na piękno w każdej postaci. Tulo wzruszył się do łez przy pierwszej zwrotce, Bogdan wzruszył się przy drugim bisie. Ja zajmowałem się Celkiem i Bogdanem, żeby z tego wzruszenia nic im się nie stało. Pani dyrektor zapowiedziała, że zwróci się do wycho-

wawcy, żeby obniżył nam stopień ze sprawowania. To już była groźba nie na żarty, ponieważ obniżone sprawowanie mogło stanowić szlaban na studia. Ale tym nie zaprzętałimy sobie głów, ponieważ wychowawcą był mgr Stanik, profesor przedwojenny, czyli człowiek mądry, a człowiek mądry nie zajmuje się plotkami. Tym sposobem afera ze studniówką rozeszła się po kościach, a studniówka była wspaniała, że do dzisiaj ją pamiętam. „Określi się kiwa, ej baburiba”.

Aresztowanie i więzienie

Jest 6 II 1952 r., godzina 23. Skończyłem odbierać lekcje i zainteresowały mnie jakieś dziwne postacie, niektóre z długą palną bronią. Za chwilę walenie w drzwi otwiera! Urząd Bezpieczeństwa. Ojciec poszedł do sieni otworzyć drzwi, został odepchnięty tak silnie, że się zatoczył. Do mieszkania wpadło trzech mężczyzn po cywilnemu z okrzykiem „Pod ścianę!”. Problem był w tym, że w całym pokoju nie było kawałka wolnej ściany. W końcu stanęliśmy wzdłuż łóżka stojącego przy ścianie. Rozpoczęła się rewizja polegająca na wyrzucaniu wszystkiego ze wszystkich szuflad oraz wyrzucanie książek z regałów. Trwało to ok. 3 do 4 godzin. Gdy już wszystko było wyrzucone z szuflad, łóżek, szafy, kredensu, szafek kuchennych, kiedy chodziło się po tym wszystkim, kazano mi się ubrać, wyprowadzono do samochodu i zawieziono na jakiś komisariat. Jazda trwała ok. godziny. Później dowiedziałem się, że zawieziono mnie na UB na ul. Cyryla i Metodego. Zaprowadzono do lochu, gdzie okienko było na wys. 4 m, postawiono twarzą do ściany i zakazano rozmów. Wydawało mi się to dziwne, bo w tym lochu byłem sam.

Jednak z czasem ten loch się zaludniał, wkrótce okazało się, że są wszyscy koledzy z Wesołej, Miłosny, Sulejówka i Woli Grzybowskiej. Powiększała się również ekipa pilnująca. W miarę zagęszczania kazano nam odwrócić się do ściany i nie rozmawiać. Należy nadmienić, że przywieziono mnie około 2³⁰–3⁰⁰, a aktualnie było już około południa. Nic dziwnego, że niektórzy po prostu zasypiali na stojąco i przewracali się. Ekipa pilnująca wyposażona w kije długości ok. 80 cm szybko przywracała zaplanowany porządek. Ja jakoś wytrzymałem, ponieważ miałem miejsce w narożniku między słupem i ścianą, czyli miałem podparcie w dwóch płaszczyznach, pleców i boku.

Po selekcji przewieziono mnie do UB na ul. Sierakowskiego, gdzie też cele więzienne były w piwnicznym lochu z niedostępnym okienkiem pod sufitem. W rogu celi leżał snopek słomy oraz brudny, lepący się koc. Tu dostałem pierwszy posiłek z chlebem. Na drugi dzień dokwaterowano mi lokatora starszego ode mnie o jakieś 3 lata. Musiałem snopek słomy podzielić na dwa. Chwilowo nic się nie działo, tak jak by o mnie zapomniano. Po tygodniu wywołano mnie, kazano zabrać osobiste rzeczy, założono kajdanki, wsadzono do samochodu osobowego marki citroen 2CV (popularna „cytryna”, powszechnie używana przez aparat bezpieczeństwa w latach pięćdziesiątych). Zawieziono mnie do Pałacu Mostow-

skich⁴⁸, gdzie siedziałem w celi chyba 8-osobowej jakieś 7 dni nie niepokojony przez nikogo.

Następnie wywołano, kazano zabrać osobiste rzeczy, założono kajdanki i wywieziono do UB w Mińsku Mazowieckim, gdzie przez nikogo nie niepokojony przesiedziałem może z 5 dni. Następnie znowu wywołanie, zabranie rzeczy osobistych, kajdanki i w drogę. Przyjechaliśmy do więzienia zwanego „Toledo” przy ul. Ratuszowej lub 11 Listopada w Warszawie (więzienie miało dwa adresy). Po wszystkich procedurach trafiłem do celi z wyborowym towarzystwem:

- kpt. żegluga wielkiej Postnikoff (imienia nie pamiętam) za szpiegostwo;
- WIN⁴⁹, Stanisław Kowalczyk – ostatni dowódca WIN, do tej pory 13-krotna kara śmierci;
- Rysiek Uklański, żołnierz Wojska Polskiego od gen. Andersa;
- student architektury, nie wiem, za co, po dwóch tygodniach wyszedł;
- jako ostatni ja, Stanisław Kamiński, NSZ, więzień śledczy, przybyły do Toledo w połowie lutego 1952 r.

Cela była mała. Stały w niej dwa zestawy piętrowych łóżek, stół kwadratowy 80x80cm, (chyba) dwie ławki, kibel w postaci wielkiego wiadra, wisząca szafka, okno wyjmowane osłonięte blindą, węglowy piec ogrzewający dwie cele z paleniskiem dostępnym z korytarza, posadzka betonowa z wylanym dywanikiem asfaltowym, kosz z blachy stalowej tak zwana blinda zasłaniający widok z okna. Ja odziedziczyłem łóżko po studencie. Poprzednio

⁴⁸ Pałac Mostowskich w Warszawie przy ul. Nowolipie 2 – zbudowany ok. 1735 r., w stanie niezmienionym przetrwał do lat dwudziestych XX w., kiedy to został zdewastowany przez wojska rosyjskie. W latach 1925–1926 odrestaurowano go. W 1939 r. spłonęła jego północna część. Pomimo powstania i spalenia Warszawy pałac przetrwał wojnę nienaruszony w 80%. W 1949 r. odbudowano go i przeznaczono na siedzibę milicji obywatelskiej. Do dzisiaj jest siedzibą Komendy Stołecznej Policji.

⁴⁹ Zrzeszenie Wolność i Niezawisłość (WIN) – organizacja zrzeszająca najliczniejszy nurt antykomunistycznego podziemia zbrojnego, wywodzący się bezpośrednio z Armii Krajowej. Jego liczebność określa się na 60–80 tys. członków. Liderzy WIN zakładali – jak się okazało, trafnie – że III wojna światowa nie wybuchnie, a Polska ma szansę na odzyskanie suwerenności jedynie w drodze przemian politycznych. Liczyli, iż cel ten osiągną w drodze wolnych, powszechnych i tajnych wyborów parlamentarnych, jakie gwarantowały Polakom postanowienia jaltańskie. Byli przeciwnikami walki zbrojnej i dążyli do rozwiązania oddziałów partyzanckich. Zadaniem WIN było wspieranie niekomunistycznych sił politycznych w dążeniu do budowy niezawisłej, demokratycznej Polski. Wizja ustroju państwa WIN mieściła się w nurcie liberalno-demokratycznym, w sferze społeczno-gospodarczej odwoływała się głównie do tradycji socjaldemokratycznej i katolickiej nauki społecznej. „Pomocnik Historyczny Polityki”, 2018, 5: 100 pytań na 100 lat historii Polski (1918–2018), s. 62.

spaleł na sienniku, który kiedyś w zamierzonych czasach był wypchany słomą. Obecnie mój siennik, tak jak i kolegów, to jest worek napełniony pyłem słomianym powstałym ze zmielonej przez długie użytkowanie słomy. Na posadzce to jeszcze można było go ułożyć, natomiast na łóżku to już trudniej. Łóżka kiedyś miały stalowe siatki, na które nakładano sienniki. Obecnie zamiast siatek są przeciągnięte trzy lub 4 druty $\varnothing$ 4 mm, na które nakładano siennik.

Moje dotychczasowe sielskie życie więźnia przerodziło się w koszmar. Mój opiekun, czyli oficer śledczy zaledwie kilka lat starszy ode mnie, widocznie nie miał żadnej rodziny, ponieważ dzień i noc przebywał w więzieniu, pastwiąc się nade mną i chyba jeszcze kilkoma więźniami. Wszystkie te niedogodności były rekompensowane towarzystwem, w jakie się dostałem. Najbardziej zaprzyjaźniłem się z Ryskiem Uklańskim, niesamowitym gawędziarzem. A miał co opowiadać. Mając piętnaście lat, znalazł się w organizacji Todt, formacji budującej umocnienia obronne. W czasie ucieczki Niemców znalazł się po stronie amerykańskiej, wstąpił do polskiego wojska na terenie Włoch, nauczył się j. włoskiego i przeszedł cały szlak bojowy na ziemi włoskiej.

Następnym gawędziarzem był Stasiek Kowalczyk ps. „Baśka”, jak mówił o sobie, ostatni dowódca organizacji WIN. Jak pamiętam z opowieści Staśka, to oddziału partyzanckiego jako takiego wtedy już nie było. Pozostał tylko Jan Kmiołek ps. „Wir” jako dowódca i Stanisław Kowalczyk ps. „Baśka” jako jego zastępca. Wiedli długie rozmowy na temat, co dalej: czy się rozplynąć, czy formować oddział i walczyć dalej. W jednej z takich dysput w stodole emocje sięgnęły zenitu i Jan Kmiołek oddał strzał z pistoletu, raniąc Staśka w rękę, Stasiek również oddał strzał, raniąc Jana Kmiołka w bok. Pamiętam, że opowiadając, przeżywał ten czyn, że do swojego dowódcy skierował broń. Wydaje mi się, że Stasiek podejrzewał, iż w ich grupie działa szpieg i stąd ta niepomahowana złość. Stasiek został aresztowany we wrześniu 1951 r. Rodziny partyzanckie wiedziały, kto jest zdrajcą, natomiast zainteresowani, czyli Jan Kmiołek, do chwili aresztowania nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia mu niebezpieczeństwa. Stasiek czuł, że coś jest nie tak i dążył do odseparowania się od licznych przyjaciół i księdza spowiednika (wtyka UB). Na tym tle doszło do tej strzelaniny. Pokazowy proces sądowy Staśka i Jana Kmiołka odbył się w Pułtusk, gdzie spędzono mieszkańców z okolicznych wsi. Jan Kmiołek został skazany na 29-krotną karę śmierci, Stanisław Kowalczyk na 14-krotną karę śmierci oraz czterdnastokrotnie po 15 lat więzienia. Niezłomni partyzanci zostali zamordowani w mokotowskiej katowni 7 VIII 1952 r.⁵⁰

Już pierwszej nocy po przybyciu do Toledo była chyba godzina 1, chrobot zamka i głos klawisza „Na K. cisza” i głos Ryśka Uklańskiego „Kamiński, wychodź” – krzyknął klawisz i Rysiek do mnie „Wychodź i to szybko, bo będzie źle”, więc ja szybkoitko w biełiżnie, na bosaka, zameldowałem się klawiszowi i tak jak stałem, boso, poprowadził mnie do śledczego.

⁵⁰ Jan Kmiołek: https://pl.wikipedia.org/wiki/Jan_Kmiołek (dostęp 10 XII 2018 r.).

Śledczy był zajęty i kazał poczekać. Klawisz zaprowadził mnie do korytarzowej łazienki, gdzie dwa duże okna były szeroko otwarte, posadzka z terakoty, a ja w bieliźnie i na bosaka. Na dworze mróz poniżej 20°C (połowa lutego). W życiu tak nie zmarzłem. Śledczy zawołał mnie gdzieś po dwóch godzinach, ale ja nie mogłem wyksztusić ani słowa. Usłyszałem więc, kim ja jestem, kim jest moja rodzima, że ja żyję, to jest jakieś nieporozumienie, ale on, śledczy, postara się to zmienić, po czym zawołał klawisza i kazał mnie odprowadzić. Do rana pod kocem nie rozgrzałem się.

Po śniadaniu koledzy współwięźniowie udzieliли mnie kilku ważnych wskazówek odnośnie zachowania wobec klawisza. Klawisz ma zawsze rację. Jeżeli w nocy przychodzi klawisz i wymawia pierwszą literę twojego nazwiska, to gdybyś miał najpiękniejszy sen, gdyby ci się śniła Sofia Loren, z którą masz randkę, to musisz zostawić Sofię, obudzić się, podać swoje nazwisko, założyć drewniaki (ważne) i być absolutnie przytomnym. Od tej pory moje nocne śledztwa trwały codziennie od około godziny 0:00 do godziny 3:00.

Pierwsze dwa miesiące śledztwo dotyczyło mojego życiorysu. Ja przychodziłem, wysłuchiwałem przemowy oficera, jakim jestem zerem, z jakiej zdegenerowanej rodziny pochodzę, ale mimo wszystko mam trochę szczęścia, bo on ze mnie robi człowieka. Po czym następowało polecenie „Zapodajcie swój życiorys”. Wręczał mi ołówek (chyba kopiowy) oraz kartkę papieru A4. Jak ja przez co najmniej miesiąc pisałem codziennie swój życiorys, który był weryfikowany co do każdego słowa, to napisanie teraz życiorysu to była sprawa na 15 minut. Ja musiałem udawać, że piszę, zastanawiam się, skreślam, proszę o drugą kartkę i tym podobne androny, po to, żeby za wcześniej nie skończyć pisania. Wtedy ten czas do godziny trzeciej trzeba by było spędzić w łazience przy otwartych dużych dwóch oknach, ale na szczęście w drewniakach.

W końcu nadszedł taki okres w śledztwie, że koniecznie chciano mnie wmanipulować w szpiegostwo na rzecz obcych wywiadów, a konkretnie Stanów Zjednoczonych lub Anglii. Skutkowało to wyrokiem odsiadki dłuższej o kilka lat. Absolutnie się do tego nie przyznawałem, wobec tego już o 23 byłem budzony po to, żeby te 2 do 4 godzin przestać w łazience. Doszło do konfrontacji z osobą, która twierdziła, że taką działalność prowadziłem. Na konfrontacji potwierdziłem całą do-tychczasową moją wersję wydarzeń z której wynikało, iż działalności szpiegowskiej nie prowadziłem. Od razu z pokoju przesłuchań trafiłem do karceru (na szczęście w drewniakach). Karcer było to pomieszczenie na tyle duże, że mieścił się w nim kibel oraz mogłem z podkurczonymi nogami na posadzce usiąść, wysokie na tyle, że nie mogłem się wyprostować. Pomieszczenie mokre, śmierdzące, bez okna.

Rano klawisz przynosił kubek czarnej gorzkiej kawy i ćwierć małego bochenka chleba (30 dag). To była całodzienna racja żywnościowa. Po trzech dniach strażnik zaprowadził mnie do pokoju przesłuchań, gdzie od początku walowano sprawę szpiegostwa. Ja w dalszym ciągu trwałem przy swojej wersji. Śledczy powiedział, że wracam tam, skąd przyszedłem na następne 3 dni. Nic nie odpowiedziałem i strażnik wyprowadził mnie do łazienki, gdzie stałem

ok. 0,5 godziny. Po powrocie do pokoju przesłuchań śledczy polecił odprowadzić mnie do celi. W ten sposób skończyła się sprawa mojej działalności szpiegowskiej.

Odnośnie żywienia to był taki przypadek, że nasza koleżanka Zosia Przysówna, lokatorka sąsiedniej celi, podczas odbierania obiadu nałożyła miskę z gorącą kaszą klawiszowi na głowę. Powodem było to, iż w tej kaszy było więcej robaków niż krup kaszy. Oczywiście Zosia wyładowała w karcerze.

Na rozprawie sądowej prokurator postawił mi zarzuty z artykułu 86 par. 2 (przynależność do nielegalnej organizacji) oraz z artykułu 13 par. 2 w związku z art. 7 (szpiegostwo). Za te wykroczenia prokurator żądał kary 8 lat więzienia. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie w dniu 29 V 1952 r. skazał mnie z art. 86 par. 2 na karę 6 lat więzienia, przepadek mienia oraz utratę praw publicznych i obywatelskich na lat 3. Sąd nie wziął pod uwagę zarzutu szpiegostwa tj. art. 13 par. 2 w związku z art. 7 Dekretu z dnia 13 VI 1946 r., czyli moja determinacja opłaciła się, wyrok był o dwa lata krótszy.

Założyciel naszej organizacji Tadeusz Grubek został skazany na karę śmierci, jego zastępca Józef Zouner został skazany również na karę śmierci. Kolega z podwórka Adam Smoktunowicz dostał dożywocie. Wielu kolegów z Miłosny i okolic dostało wyroki po 15 i 12 lat więzienia. Kary dodatkowe, jak przepadek mienia, utrata praw publicznych i obywatelskich były dokładane zawsze. Od tej pory przestałem być więźniem śledczym, a stałem się więźniem karnym. W związku z tym wszystkie noce były przepasane.

Ostatnio dużo mówiono się o uchwaleniu nowej konstytucji. Z tym wydarzeniem wiązaliśmy również ustawę o amnestii. Mury więzienne dzień i noc przynosiły nowe wiadomości, które następnego dnia były dementowane i zastępowane innymi zupełnie przeciwnymi. W końcu nadszedł ten dzień, czyli 22 VII 1952 r., kiedy to została uchwalona nowa Konstytucja RP⁵¹. Dzień wtedy był piękny, słoneczny, od samego rana z rozstawionych na ulicach głośników płynęły dźwięki marszów wojskowych oraz skocznych modnych piosenek, np. „Wio, koniku”.

Na obiad była pyszna grochówka z mięsem, które jadłem ostatni raz przed 6 II 1952 r. Zjedliśmy tę pyszną grochówkę, każdy wymyśl swoją miskę, gdy znowu chrobot klucza, otwierają się drzwi i klawisz rozradowany mówi „Dolewka”, więc jak tu nie wziąć?! Zapełniliśmy swoje miski. Po pewnym czasie znowu chrobot klucza, otwierają się drzwi i klawisz krzyczy „Miski!”. Wszystkie miski są zajęte, więc przelaliśmy grochówkę do miski ogólnej przeznaczonej do mycia rąk i twarzy, a odzyskane i wypłukane podstawiamy do napełnienia. Tym razem jest pyszny czerwony barszczyk z fasolą duży Jaś. Pojedliśmy sobie setnie, ale znowu chrobot klucza i głos klawi-

sza „Miski!”. Z trudem wygospodarowaliśmy trzy puste. Tym razem uraczono nas marynowanym dorszem, bardzo smacznym, z zapasów wojskowych, o lekkim zapachu drugiej świeżości.

Na wołanie, że jest kolacja starszy celi odpowiada, że nie jesteście zainteresowani. Do rana wszystkie miski były puste i czyste, cała grochówka została zjedzona. Po śniadaniu takim jak zwykle, czyli czarnej kawie i suchym chlebie, do naszej celi wprowadzono nowego lokatora o nazwisku Klepitko. W nocy chrobot klucza, otwieranie drzwi i głos klawisza: „Na O!”. Odpowiedziała cisza. Nie było wśród nas nikogo na O. Klawisz powtórnie ryknął: „Na O!”. Znowu cisza. Klawisz znowu ryknął „Klepitko!”. Klepitko zerwał się przestraszony, a my śmialiśmy się do rana.

Jutro Wielkanoc. Wieczorem dosyć długo rozmawialiśmy o swoich bliskich, o zwyczajach związanych z tym świętem, o strzelaniu w czasie Rezurekcji, o śmigusie-dyngusie. Miałem przepiękny sen. Śniło mi się, że jestem w domu, mama szykuje wielkanocne śniadanie, stół zastawiony różnymi przysmakami. Za stołem siedzę tylko ja, potwornie głodny. Wkoło rozlega się radosny głos dzwonów zwiastujących Zmartwychwstanie Pana. Przysunąłem do siebie półmisek ze smażonymi kotletami schabowymi, wziąłem jednego w rękę i usiłuję ugryźć, ale nie mogę. Jest tak twardy, że nie mogę sobie z nim poradzić i w końcu się obudziłem z narożnikiem koca w ustach, z głową nabitą wolnościowymi mrzonkami. Jedno, co było realne z tego snu, to dźwięk dzwonów z praskich kościołów.

Jako więźniowie karni, a nie śledczy, mieliśmy możliwość korzystania ze spacerów, z których każdy starał się coś przynieść, co mogło się przydać. W celi przydawało się wszystko. Ja uczyłem Ryśka Ukleńskiego matematyki, mnie uczył Rysiek j. włoskiego, kapitan żegluga wielkiej – nawigacji, wszystkich nas uczył Stasiek Kowalczyk polityki.

Bardzo poszukiwanym materiałem były kawałki czerwonej cegły, którymi pisaliśmy i rysowaliśmy na asfaltowej posadzce. Koledzy namówili mnie jako małodłata, żebym napisał do naczelnika prośbę o przydział zeszytu i ołówka do celów naukowych. Naczelnik stanął na wysokości zadania i przydzielił tabliczkę z rysikiem. Tabliczka w rozmiarze A4 była dwustronna: na jednej stronie była kratka, na drugiej stronie linie. Najpierw ucieszyliśmy się, ale okazała się mało przydatna, ponieważ my operowaliśmy wzorami na całą szerokość celi, to jest długość ok. 4 m, a tabliczka miała długość 30 cm. Tabliczka była przydatna przy nauce j. włoskiego, szczególnie przy gramatyce.

Czas mijał na rozmowach ze wszystkimi, kto się zgłosił. Oczywiście rozmawialiśmy alfabetem Morse’a. Nie wiedziałem, że można dojść do takiej wprawy. Wprawdzie początki były trudne, wiele razy posyłano mi bębienie pięścią w ścianę za błędy lub zbyt wolne nadawanie. Z czasem ja takie bębnienia przekazywałem swoim rozmówcom. Łączność była zorganizowana wysmienicie, mimo że nikt nikogo nie znał. Na przykład dostaliśmy wiadomość, że do celi 85 został przywieziony więzień WIN-u. Z celą 97 sąsiadowałem przez ścianę. Zostałem powiadomiony, że zaraz po kolacji koledzy tego więźnia będą chcieli przesłać mu ważne wiadomości. Natychmiast wy-

⁵¹ Konstytucja z 1952 r. - Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (zwana też konstytucją stalinowską lub konstytucją lipcową) – polska konstytucja uchwalona przez Sejm Ustawodawczy 22 VII 1952 r., opublikowana 23 VII 1952 r., weszła w życie 23 VII 1952 r. z mocą obowiązującą od 22 VII 1952 r. i zmieniona z dniem 31 XII 1989 r. na Konstytucję Rzeczypospolitej Polskiej.

słałem specjalną wiadomość do wszystkich o zawieszeniu wszelkich rozmów w obszarze godzina po kolacji. Nie było przypadku, żeby ktokolwiek się z tych ustaleń wyłamał. Co jakiś czas do celi przydzielano nam kogoś nowego. Ostatnio wpadł student architektury, nie pamiętam, za co, ale potrafił ładnie rysować. Robił nam portrety, rysując cegłą na posadzce.

Cela nasza sąsiadowała z celą naszych dziewczyn (z NSZ). Okno naszej celi wychodziło na spacerniak, gdzie podglądaliśmy nasze dziewczyny. W tym celu Rysiek Uklański zrobił między ścianą blindy zasłaniającą okno, a ścianą muru otwór na tyle duży, że można było obserwować cały spacerniak.

Pewnego dnia stała się rzecz niesłychana: korytarzowi dali nam po obiedzie kocioł z resztką zupy, a była to grochówka. Przeważnie kocioł ten trafiał do dziewczyn. Zupę podzieliliśmy, zjedliśmy, kocioł umyliśmy (nie pisany zwyczaj: kto dostaje kocioł, ten go myje). Któryś z kolegów mówi do studenta: „Ty, architekt, narysuj na tym kotle coś dla naszych dziewczyn”. Kocioł był nowy, błyszczący, chyba aluminiowy. Architekt zabrał się do roboty i w ciągu chyba 20 minut drutem z łóżka na ścianie kotła narysował roześmianego puculowatego marynarza z bukietem polnych kwiatów oraz list – treści nie pamiętam, ale to był list miłosny. Każdy z nas pod tym listem się podpisał. Oddaliśmy kocioł.

Po kilkunastu minutach chrobot zamka, otwierają się drzwi i głos klawiszka: „Okienko na korytarz, sienniki na korytarz”. Wykonaliśmy polecenie, klawisz zamknął drzwi, a my zastanawiamy się, co dalej. Dalszy ciąg będzie pewnie po kolacji. Rzeczywiście, po kolacji otwierają się drzwi i klawisz rozkazuje: „Ławka na korytarz, ubrania na ławkę, drewniaki na korytarz, koce na ławkę, dobranoc”. Na dworze mróz ze 20°, okna nie ma, ubrań nie ma, butów nie ma, kocy nie ma, piec nie grzeje. Pierwszą noc przelataliśmy po celi. Szczęście, że na dzień ubrania, sienniki, koce, buty wracali do celi. Okno pozostawało na korytarzu. Drugą noc podobnie. Trzecią noc po 1 godzinie kolejno spaliliśmy na drewnianym stole. Czwartą noc każdy organizował sobie sam. Ja postanowiłem przespać się na drutach swojego łóżka. Pobudka była o godzinie 6. Starszy celi zdawał klawiszowi raport o stanie liczbowym, czy nikt nie zginął. Ja stwierdziłem, że mam zupełnie niewładną rękę, nie mogę nią operować. Jak chcę coś wziąć do prawej ręki, to najpierw muszę lewą ręką wyprostować prawą dłoń, włożyć coś w tę dłoń i lewą ręką zamknąć dłoń. W dzień nie wolno było używać łóżek, ale w naszej sytuacji już żadne zakazy nie działały. W ten sposób dobrnęliśmy do siódmego dnia kary i ósmą noc spędziliśmy w luksusowych warunkach na siennikach, pod kocami, ale z dostępem świeżego powietrza, ponieważ okno pozostało na korytarzu.

Czas mijał, do celi przyszli nowi lokatorzy, Rysiek Wiewiór i jego kolega ze sprawy, odszedł architekt i jeszcze jeden więzień kryminalny za wyrzucenie człowieka z pociągu na trasie Warszawa-Wołomin. Został odesłany na Gęsiówkę (więzienie dla kryminalistów). Reszta towarzystwa została. Jak pamiętam, była to już późna jesień. Wszyscy byli już więźniami karnymi i przysługiwał nam już lepszy rygor, mogliśmy np. wypożyczać książki z biblioteki więziennej. Kłopot był z tym, iż cenzor był szybszy w ocenach niż ja w czytaniu. Przez 18

miesiący udało się przeczytać w całości jedną książkę: „Kubusia Fatalistę i Jego Pana” Denisa Diderota. Natomiast inne książki były konfiskowane jako nieprawomyślne i nie było żadnej racjonalnej przyczyny, żeby np. „Matkę” Gorkiego uznać za książkę nieprawomyślną, a jednak cenzorzy ją też zabrali, książkę „Cichy Don” Szolochowa i wiele innych książek autorów zachodnich, wschodnich i północnych.

Nie było co czytać, dzień się dłużył, w końcu ktoś wpadł na pomysł, żeby zrobić szachy. Każdy z celi przeznaczka kawałek chleba na jedną figurkę. Jury zaleciło, żeby jednego dnia lepić podobne co do wielkości figurki, żeby każdy zużył tyle samo chleba. Chleb należało żuć długo, potem lepić figurkę. Figurki białe miały kolor chleba, figurki czarne miały domieszkę sadzy ze spalonej szmaty. W piecu grzewczym mieliśmy wyjmowalny jeden kafel i do kanału dymowego wpuszczano się podpaloną szmatę, która zamieniała się w piękną czarną sadzę. Do rozniecenia ognia potrzeba było kawałek szmaty z koszułi oraz trochę wytartej z kibla rdzy. Rdzę ściśle zawijało się w tę szmatę, po czym drewniakiem wałkowało się to zawiniątko do czasu, aż się zapaliło i ogień gotowy. Trwało to ze trzy minuty. Po miesiącu mieliśmy szachy. Takim zawziętym szachistą był Rysiek Wiewiór, który mógł grać bez przerwy. Przeważnie grali o Zosię Przysównę. Wygrany mógł patrzeć na Zosię przez cały spacer, przegrany musiał siedzieć tyłem do okna.

Pod koniec 1952 r. w Toledo został utworzony oddział młodzieżowy, do którego zostali przeniesieni więźniowie poniżej 20 roku życia, wśród których ja również się znalazłem.

Święta Bożego Narodzenia spędziłem jeszcze w „Toledo”. Podzieliliśmy się chlebem zebranym ze zrzutki uczestników podziału. Zaśpiewaliśmy półgłosem kolędę „Bóg się rodzi”, po tym były wspominki, jak wyglądały wigilie w naszych domach. Był to przegląd wigilii w poszczególnych regionach Polski. Niejednemu iza zakręciła się w oku. W marcu 1953 r. był transport więźniów młodocianych do przygotowanego więzienia w Jaworznie⁵² koło Katowic.

⁵² Więzienie w Jaworznie (koło Katowic) istniało w latach 1951–1956, było więzieniem dla młodocianych więźniów politycznych. Trafiali do niego więźniowie, których wiek nie przekraczał 21 roku życia. W latach 1943–1945 w miejscu więzienia był podobóz niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau. Po zakończeniu wojny służył jako obóz przejściowy dla przesiedlanych Niemców. W kolejnych latach powiększała się liczba osób skazanych za przestępstwa kryminalne. Więźniowie byli wychowywani przez pracę na wzór człowieka radzieckiego w oparciu o metody sowieckiego pedagoga Antoniego Makarenki. Sprowadzało się to do intensywnego szkolenia ideologicznego oraz zatrudnienia w kopalniach Jaworznickiego Okręgu Węglowego (praca na najgorszych, mokrych i zagrożonych wybuchem metanu pokładach); stolarni wytwarzającej skrzynki na amunicję i broń; ślusarni; w zakładzie prefabrykacji betonu (cieszącym się szczególnie złą sławą ze względu na warunki pracy – beton do krwi uszkadzał skórę rąk, na które osadzeni nie dostawali żadnych rękawic ochronnych) i innych zakładach. Jak twierdził naczelnik więzienia Salomon Morel,

Przyjechaliśmy do Jaworzna w kolejowych więziarkach rano w dniu śmierci Stalina 5 III 1953 r. Nie pamiętam, jak z dworca w Jaworznie dostaliśmy się do obozu w Jaworznie, ale chyba wojskowymi ciężarówkami. Rozlokowano nas w tzw. celach przejściowych. Wieczorem po kolacji zgromadzono wszystkich nowych w dużej sali celem wysłuchania wstrząsającej wiadomości o śmierci Ojca Narodów Józefa Stalina. Ja z naszymi kolegami siedzieliśmy na końcu sali i opowiadaliśmy kawały przeważnie śmieszne. Jeden był na tyle śmieszny, że nasza trójka wybuchła śmiechem. Natychmiast znaleźliśmy się na siedmiomiodnym dołku (w karcerze). To był inny karcer, w porównaniu z „Toledo” to był „Hilton”. Była to cela, w której mieścił się kibelek, drewniane nary z nieheblowanych desek, ale za to z podwyższeniem pod głowę, warstwa wody grubości ok. 2 cm na posadzce, nieustające kapanie wody z sufitu w różnych miejscach. Szerokość tej celi była ok. 1,5 m. Dziennie strażnik przynosił 1 posiłek, nie pamiętam, który, ale chyba obiad.

Po 7 dniach przeniesiono nas do przejściówki, skąd codziennie wybierano fachowców do różnych prac. Do naszej grupy dołączył jeszcze jeden kolega, Czesław, nie pamiętam, skąd pochodził, ale znany był z tego, iż w wyrazie miód potrafił zrobić cztery błędy ortograficzne. Czesio nie odstępował mnie na krok.

Stoimy na apelu i strażnik wyczytuje zawody: „Zduny, wystąp”. Tylko my wystąpiliśmy. Strażnik nas zabrał i prowadzi chyba przez trzy bramy do wolno stojącej willi. Dzwoni, otwiera drzwi młoda kobieta, strażnik mówi „Przyprowadziłem zdunów”, zasalutował i wyszedł. My zostaliśmy. Pani pokazała nam piec, wielgachny do sufitu, z wielkich ozdobnych kafli. Jak w tym piecu się rozpałało, to on strasznie

umieszczeni tu więźniowie byli bandytami i dlatego ciężką pracą powinni się zrehabilitować za zbrodnie popełnione wobec Polski Ludowej. Wychowawcy zostali specjalnie przeszkoleni przez Ośrodek Badań Pedagogicznych w Warszawie do pracy z młodzieżą. Za zadanie mieli zmieniać poglądy podopiecznych i skłócać ze sobą osadzonych oraz promować donosicielstwo (w zamian za obietnicę wcześniejszego wyjścia na wolność, zastosowania amnestii lub przyznania innych przywilejów np. pisanie dodatkowych listów). Szkolenia ideologiczne prowadzili specjalnie przygotowani tak zwani wychowawcy. Jednakże program wychowawczy w jaworznickim więzieniu nie powiódł się, jak przyznał jeden z tutejszych funkcjonariuszy w raporcie dla Centralnego Zarządu Więziennictwa. Więźniowie okazali się bardziej inteligentni od wychowawców. Problemem osadzonych były głodowe racje żywnościowe. Przyczyną zaprzestania tego eksperymentu edukacyjnego był bunt osadzonych z 15 V 1955 r., spowodowany zastrzeżeniem śpiącego więźnia – Stanisława Barana, który legalnie odpoczywał po nocnej zmianie w kopalni. W dniu 31 XII 1955 r. zlikwidowano więzienie w takiej formie. Dnia następnego ośrodek zmienił nazwę na Centralne Więzienie Jaworzno. Przyjmowano do niego jedynie osoby młodociane skazane za przestępstwa pospolite, z wyrokami do lat pięciu i zdolne do pracy w górnictwie. Jednak 31 VIII 1956 r. na wniosek lokalnych władz więzienie zlikwidowano.

dymił. Powiedziałem, że to jest drobiazg, ale piec trzeba będzie rozebrać, ponieważ wszystkie lufty zapchane. Pani bardzo się zatrzwożyła tym bałaganem, jaki ją czeka. Uspokoilem, iż żaden pyłek na podłogę nie spadnie.

I z Czesiem wzięliśmy się za rozbiórkę pieca. Rozbiórkę prowadziliśmy bardzo precyzyjnie, wyjęte kafle były myte i wycierane przed domem. Pani była zachwycona. Jak nam opowiadała, podzieliła się tą opinią z mężem, który, jak powiedziała, całkowicie ją podzielił. Tak nam minął pierwszy dzień pracy. Strażnik odprowadził nas do celi. Oczywiście wszyscy byli ciekawi, jaką pracę dostaliśmy. Zapytano się, gdzie to było. Dokładnie opisaliśmy ten dom oraz jego otoczenie. Wtedy zaległa cisza. Po chwili jeden z rozmówców powiedział, że pracujemy w domu naczelnika Jędrzejewskiego, a on jest jeszcze gorszy niż był Salomon Morel. Mamy przechłapanie i musimy się zastanowić, jaką przyjmujemy taktykę. Od tej pory to jest sprawa nas wszystkich i będziemy ją omawiać każdego dnia po pracy.

Następne dni miały spokojnie, pani naczelnikowa rano częstowała nas białą kawą z cukrem oraz chrupiącymi bułeczkami. Rozbórka pieca dobiegała końca, my nie mieliśmy żadnego planu, jak zakończyć rozpoczętą pracę. Przecież kiedyś ta rozbórka się zakończy i co dalej? Na szczęście pan naczelnik był na jakimś dłuższym wyjeździe i z tej strony na razie nic nam nie groziło. W końcu ten dzień nastał, umyliśmy ostatni kafel, strażnik dostarczył furmankę gliny, którą należało przerobić, co zajęło nam tydzień.

Jakiś tydzień przed moim aresztowaniem w domu mieliśmy remont kuchni. Przyszedł zdun i wykonał czynności, które my do tej pory wykonaliśmy. Teraz rzecz najtrudniejsza: budowa. Trzy razy rozpoczynaliśmy budowę i za każdym razem kończyliśmy na drugim rzędzie kafli, ponieważ konstrukcja ta od pionu miała zawsze odchylenie chyba ze 20 cm, za każdym razem w innej płaszczyźnie. Sprawę definitywnie rozwiązał pan naczelnik, który od razu wysłał nas na siedmiodniowy dołek z adnotacją, że po skończeniu kary mamy być na izolacie. Tak się zakończyła praktyka w rzemiośle zduna.

Po skończeniu kary na dołku wróciliśmy do celi, ale nie izolatki, a przejściówki. Widocznie szkoda było stracić takich fachowców. Znowu zaczęły się apele i wyczytywanie wyuczonych zawodów. Było już lato, i na jednym z apeli wyczytano: „Dekarze, wystap”. Wystąpiliśmy z Czesiem. Rozprowadzający mówi nam, że mamy sprawdzić wszystkie dachy baraków, uszkodzenia pokrycia naprawić. Zażądałem drabiny do wejścia na dach, całówki oraz ołówka i zeszytu do spisania wielkości powierzchni napraw. Rozprowadzający z uznaniem popatrzył na mnie, przyniósł zeszyt i ołówek, zaprowadził nas do szopy i kazał wybrać drabinę. Pokazał również zakres naszej pracy. Było to ze dwadzieścia albo więcej baraków o różnej wielkości od 50 m² do 400 m². Weszliśmy na pierwszy dach, który nadawał się wyłącznie do całkowitego remontu, a nie do miejscowych napraw. W związku z tym poszukaliśmy pustych worków po cemencie, rozłożyliśmy te worki na dachu i oddaliśmy się absolutnemu nieróbstwu, przy okazji opalając się późnonajowym słońcu. Tak spędziliśmy całe lato. Następnie dostaliśmy przydział do pracy na stolarni. Ja miałem robić skrzynki na

granaty, stojaki na broń długą, szafki na akta. Według specyfikacji i wymagań wojskowych skrzynka, którą wojsko przyjmie, musi spełniać próbę szczelności, zamknięta i zanurzona w wodzie przez ileś minut musi wewnątrz pozostać sucha. Nasze skrzynki miały dziury pół centymetra szerokości i nikt tym się nie przejmował. W więzieniu można było naocznie się przekonać o wyższości gospodarki socjalistycznej nad każdą inną. Brakarz, który miał pilnować, żeby gotowe wyroby były zgodne z zamówieniem przed końcem miesiąca, sam przynosił stare, odrzucone skrzynki i przystawiał pieczętkę zgodności. Brakarz też brał udział we współzawodnictwie pracy i podpisywał listę dzień za dwa w przypadku znacznego przekroczenia normy (dzień za dwa znaczyło, że za dzień pracy ze znacznym przekroczeniem normy miał zaliczone dwa dni odsiadki). W ten sposób na stolarni przepracowałem rok bez wypadku. Należy dodać, że maszyny stolarskie wśród znawców są uważane za najbardziej niebezpieczne. Rzeczywiście, wszyscy, którzy pracowali na maszynach, ulegli wypadkom. Najczęstszymi było utrata palca lub uszkodzenie ręki.

Przy końcu 1953 r. zostałem przeniesiony do pracy w kopalni węgla kamiennego „Sobieski”. Praca w stolarni w stosunku do pracy w kopalni to był urlop na Hawajach. Mimo iż kopalnia ta na owe czasy była w miarę nowoczesna, a pokłady węgla miały ponad 2 m wysokości, to praca odbywała się ręcznie. Obsługę przodka stanowiło 3 osoby: górnik strzałowy oraz dwóch śleprów (ładowaczy). Zadaniem górnika było wywiercenie otworów strzałowych, założenie ładunków, podłáczenie lontów, odpalenie i policzenie wybuchów. Wybuchów musiało być tyle, ile założono ładunków. Zadaniem ładowaczy było załadowanie urobionego węgla na wagoniki, przepchnięcie wagoników do chodnika zbiorczego, podczepienie ich do haszpla (wciągarki) i wciągnięcie całej szoliz składającej się z sześciu wagoników na wyższy poziom, gdzie kursują już kolejki elektryczne, które cały urobek przewożą do podszybia. Z podszybia wagoniki ręcznie przepychane są do szybu, skąd wywożone na powierzchnię. Kopalnia nie była zagrożona wybuchem gazu, natomiast od przedwojnia paliło się złoże, przed wojną omurowane cegłą. Teraz w wolnych chwilach odpoczywaliśmy, siedząc i grzejąc się, oparci o ceglana ścianę. Tak dla ciekawości, całe podszybie obsługiwały kobiety ubrane w stare, podarte waciaki, szare gumowce, umorusane, w chustkach na głowach. Była to najlepsza wizytówka socjalizmu. Również powinny to zobaczyć kobiety, walczące feministki.

Ciekawym urządzeniem technicznym była tak zwana bona. Był to płat blachy grubości chyba ok. 14 mm i wielkości ok. 1,5x1,5 m (lub większy w zależności, ile odgałęzień torów odchodziło od danego torowiska). Na urządzeniu tym przekręcało się wózek z toru, który łączył się z torem głównym pod dowolnym kątem. Bonę obsługiwały dwie kobiety. Początkowo ta operacja wydawała się niemożliwa do wykonania, każdy wózek z węglem ważył ponad 1000 kg. Po kilku dniach pracy, zmianę kierunku jazdy wózka wykonywało się bez specjalnego wysiłku, angażując w tę operację energię kinetyczną, jaką posiadał jadący wózek.

W czasie mojej pracy w kopalni doszło do dwóch poważnych wypadków. Pierwszy wypadek nastąpił po ostrzale na przodku i wywiezieniu urobku. Górnik zajął się obudową stropu. W pewnej chwili nastąpił zawal i olbrzymi kamień przyparł naszego górnika do ściany, nie czyniąc mu żadnej krzywdy. Górnik nie mógł się ruszyć, a my nie mogliśmy ruszyć kamienia. Górnik zaczął prosić: „Chłopy, ratujta!”. Doszliśmy do wniosku, że nadeszła chwila, kiedy można z górnikiem negocjować warunki właściwej obudowy przodka po ostrzale. Górnik przysięgał na wszystkie świętości, że od tej pory będzie skrupulatnie przestrzegał zasad BHP. Należy jeszcze dodać, że nasz górnik był etatowym przodownikiem pracy. Wygrywał wszystkie konkursy oraz zgarniał wszystkie nagrody za współzawodnictwo pracy. Ale jak jedliśmy drugie śniadanie, przeważnie było to po ostrzale, to górnik siadał na najwyższej hałdzie węgla, wyciągał z kieszeni kurtki zawinięte w gazetę swoje śniadanie i ukradkiem odwijając gazetę, odgryzał po kawalku. Nigdy nie mogliśmy podpatrzeć, co ten górnik je. My siedzieliśmy niżej pod ścianą. Ale za to w sobotę na śniadanie górnik przychodził do nas, siadał pod ścianą, wyciągał swoje zawiniątko opakowane w gazetę, mówiąc: „Ciekawe, co nam matka dała na śniadanie? O! Chlebek z kielbaską”. My mieliśmy codziennie na śniadanie chlebek z kielbaską, ponieważ końska kielbasa bardzo smaczna była po 5 zł za kilogram, a my jako górnicy mogliśmy z naszych pieniędzy robić tzw. wypiski. My mieliśmy normalne pensje. Zarząd więzienia potraczał z tych pensji za nasze wyżywienie, mieszkanie, opiekę dojazd do pracy i z pracy, ewentualne chorobowe. To, co zostało, było dzielone na konto A i konto B. Z konta A wypłacano pieniądze przy wychodzeniu na wolność, z konta B robiliśmy zakupy na własne potrzeby. Limit gotówkowy był ustalany centralnie. Po trzech latach pracy w więzieniu moje konto A było tak zasobne, że wystarczyło na kupno płaszcza z gabardyny (hit sezonu).

Któregoś dnia rozpoczęliśmy fedrunek z nowego chodnika, który odchodził od upadowej, którą transportowaliśmy wózki z węglem. Upadowa to był bardzo stromy chodnik (nachylenie ze 45°) prowadzący z niższego poziomu kopalni na wyższy. Ustawiliśmy szolę, daliśmy sygnał i szola ruszyła. Po kilkunastu minutach usłyszeliśmy jakiś obcy nasilający się hałas, walenie się całej obudowy górniczej, zgasły wszystkie lampy, płynąca gorąca podsadzka, kłęby pary i huk wózków uderzających w ceglana ścianę pożarową. Nastała cisza, słychać tylko płynącą podsadzkę, której poziom w chodniku wciąż się podnosił. Z Jankiem nawiązaliśmy kontakt głosowy, ale gdzie jest górnik? Zaczęliśmy się zastanawiać, co robić dalej, szczególnie, jak odszukać górnika. Zaczęliśmy w odstępach ok. 3-metrowych na kolanach badać spąg i wyobrażać sobie, w którym miejscu jesteśmy.

Nagle zauważyłem chybocący się płomyk lampy górniczej. Nawiązaliśmy kontakt głosowy. Okazało się, że to operator wciągarki Władek Piekarz, zaniepokojony ciszą, postanowił sprawdzić, co się stało. Dopiero on uświadomił nas o rozległości zawalu. Okazało się, że cała szola, 6 wózków, gdzieś na podskoku odcepiała się i w beładzie zaczęła zjeżdżać w dół, rujnując całą obudowę górniczą i powodując zawal na całej trasie. Odszukaliśmy swoje la-

tarki, odnaleźliśmy górnika lekko przysypanego. Władek poszedł na górę po pomoc i zaczęło się sprzątanie. W pierwszej kolejności odbudowaliśmy łączność między przodkiem a operatorem wciągarki, następnie zaczęto usuwać zawalę. Do pomocy przysłano nam ekipę rabusiów, tj. najlepszych cieśli, którzy wyspecjalizowali się w odzyskiwaniu drewna z wyeksploatowanych wyrobisk.

Tym sposobem powoli nasze wyrobisko wracało do dawnej świetności. Z jednej rzeczy byliśmy najbardziej zadowoleni, mianowicie na stanowisku wysyłowym szoli utworzono sygnalizację z górną stacją polegającą na zamontowaniu dużego przycisku, którym można było nadawać sygnały długie lub krótkie słyszalne przez nadającego. Do tej pory było tak, że sieć niskoprądowa była używana przez łączenie dwóch przewodów krótko lub dłużej. Zasady łączności były proste: dwa dłuższe dzwonki – jechać, jeden dzwonek – stać. Przez łączenie przewodów nie można było precyzyjnie przekazać sygnału, przez co operator wciągarki dostawał furii. Przed tą awarią przez rok czasu walczyliśmy o zainstalowanie przycisku. Elektryk przychodził kilka razy, raz nawet przewody przetarł szmatą, ale przycisku nie założył. Tym razem nie daliśmy się zwieść i poprzez sztygara sprawa przycisku została załatwiona.

Początek roku 1954, ostra zima, temperatura w dzień -20°C . Pracowałem wtedy na przodku upadkowej prowadzącej na niższy poziom kopalni. Przekop był nie w węglu a w kamieniu i na dodatek przez ten żwir przechodziła żyła wodna w postaci rzeki, w związku z tym wszyscy byliśmy przemoczeni. Chodnik był niski tak, aby zmieścił się wózek kolejki. Koniec szczyty, za godzinkę będziemy brać gorącą kąpiel. Wyjeżdżamy na powierzchnię, odliczanie, dwóch brakuje. Stoimy godzinę, dwie; obmarzłem całkowicie, bardzo chce mi się spać, ale walczę z tym, bo wiem, iż to jest bardzo niebezpieczny objaw. W końcu po trzech godzinach stania zguby się znalazły. Tu nie chodziło o ucieczkę, oni po prostu zeszli do starej części kopalni, gdzie jeszcze leżały drewniane taczki do przewozu węgla. Jak to się wszystko razem trzymało (drewniana obudowa), to do dzisiaj nie wiem. Wszystkie elementy drewnianej obudowy były porośnięte białymi sznurkami, palec w drewno wchodził bez żadnego oporu, a za każdym stemplem stał Skarbnik. Stemple miały średnicę 30 cm. W świetle karbidowej latarki widok był niesamowity. Byłem tam wiele razy, ponieważ drogę tę pokazał mi pewien stary górnik, który jeszcze przed wojną w tym miejscu pracował, a był to dobry skrót z mojego przodka do podszymbia. W końcu zguby się znalazły, załadowaliśmy się na ciężarówki i odjechaliśmy do obozu z myślą o rychłej kąpeli. Po przyjeździe okazało się, że kąpeli nie będzie, ponieważ nie

ma wody. Zmieniliśmy tylko ubrania i umorusani rozeszliśmy się do swoich pomieszczeń. Miniony dzień przypłaciłem ciężkim przeziębieniem i dwutygodniowym szpitalem.

W końcu jest amnestia i z pobieżnych wyliczeń wynika, że pod koniec 1954 r. wyjdę. W krótkim czasie po opisanej awarii miałem nieprzyjemny wypadek, mianowicie wszedł mi w stopę kawałek drutu ze stalowej liny pociągowej. Drut ten był na tyle długi, że przebił stopę i wyszedł w śródstopiu na wysokość ok. 2 cm. Chciałem zdjąć but, ale ten drut był tak zardzewiały, a zelówka tak go mocno trzymała, że było to niemożliwe. Na przodku nie mieliśmy żadnych narzędzi, więc musiałem pójść na górę do operatora wciągarki po kom-

mama oraz jego dziewczyna. Ucieszył się ale i zmartwił, ponieważ na czole między oczami wyrósł mu guz wielkości śliwki węgierki. Powiedziałem Jankowi, że mogę mu tę ozdobę usunąć. Znam się na tym, to jest tak zwany kaszak. Wujek Władek miał taki jak wrócił z Dachau i jego operował miejscowy fryzjer (w Krasnosielcu).

Janek bardzo się ucieszył i zaczęły się przygotowania do operacji. Wydział mechaniczny na ślusarni miał przygotować skalpel. Łapiduchy z miejscowego lazaretu mieli przygotować jakieś płyny odkażające. Wytypowano asystentów do operacji: Wiesiek Kaczorowski miał siedzieć na nogach operowanego, ja jako główny operujący miałem siedzieć na pier-

siach, prawą ręką miał zająć się Marek Tański, lewą ręką Leszek Ogłaza z Łodzi. Rezerwowym został Bohdan Chodak. Został wyznaczony dzień oraz godzina. Pamiętam, że była to niedziela, bo w niedzielę wszyscy są w zasięgu ręki. Godzina – zaraz po obiedzie. Ślusarnia przygotowała skalpel chyba z piłki do metali, łapiduchy zorganizowali krople walerianowe jako jedyny środek odkażający. Mówili, że krople te są na spirytusie i zadanie spełnią. Poza tym w lazarecie był jeszcze tylko chlor do odkażania ubikacji, więc łapiduchy orzekły, że waleriana będzie lepsza. Zaraz po obiedzie cała operacyjna ekipa przeszła na łóżko operowanego. Ułożyliśmy Jasia wygodnie, miejsce operowane łatwo dostępne. Ktoś dał pomysł, żeby operacji dokonać pod narkozą, ale nie było chętnego do podania tej narkozy, a poza tym nie mieliśmy przygotowanej żadnej pały. Skończyło się na walerianie. Obmyłem walerianą rękę oraz skalpel, obmyłem również miejsce operowane i przyległości. W tym czasie na twarzy Janka pojawił się kroplisty pot. Krople były wielkości grochu. Wtedy przydał się rezerwowi Bohdan Chodak, który z czułością ocierał pot z twarzy Janka. Zrobiłem cięcie tym lancetem, ale on nawet rysy na skórze nie zrobił, a miał być ostrzejszy od brzytwy. Dopiero metodą wycinania czopów w desce, czyli przyłożenie czubka noża do czoła i uderzenie otwartą dłonią w nóż. Dopiero wtedy skóra została przecięta i ukazał się woreczek z białą ka-

szą. Z wielką pieczołowitością usunąłem ten woreczek nie gubiąc ani ziarenka kaszy. Przemylem ranę walerianą, ścisnąłem dwie rozcięte powierzchnie i kazałem Jankowi tak trzymać jak może najdłużej. Z Janka pacjent był idealny, trzymał swoją ranę przez całą noc.

Po porannej pobudce stwierdziliśmy, że rana jest sucha, zasklepiona, właściciel rany zadowolony, uśmiechnięty, złożył mi i całemu personelowi operacyjnemu serdeczne podziękowania. Po śniadaniu zapisał się do lekarza na opatrunek. Na pytanie strażnika, skąd to rozcięcie, odpowiedział, że nie zauważył otwartych drzwi do celi. Za cztery czy pięć dni nastąpiło to wyczekiwane widzenie, Janek pre-



Sto lat młodej parze!

binerki. Dopiero kombinerkami udało mi się ten drut ze stopy wyciągnąć. Jakoś do końca zmiany dotrwałem i swoją normę wykonałem. Po powrocie do więzienia i kąpeli chciałem pójść na izbę chorych na opatrunek, ale już nie było żadnego lekarza i obeszło się bez opatrunku. Do dziś zastanawiam się, jak to się stało, że taki zardzewiały drut nie spowodował zakażenia. Bez włączenia do akcji mojego Anioła Bożego Pana Dozorcy sprawa jest nie do rozwikłania. Przyjęcie uczestnictwa Anioła Bożego Pana Dozorcy sprawę absolutnie tłumaczy.

Kolega Janek Woch dostał z domu wiadomość, że wkrótce przyjeżdża na widzenie jego

zentował się okazałe, po ranie nie było śladu. Zmarszczka na czole pokrywała się z blizną po cięciu. Ja dostrzegłem w tym zdarzeniu interwencję Aniola Pana Dozorcy Mojego. Teraz po latach to wiem, że aby dokonać takiej operacji, to trzeba mieć nie więcej jak 19 lat, i takiego Aniola Pana Dozorcy Bożego.

Już nie pamiętam dlaczego, ale znów znalazłem się na przejściowce razem z Czesiem. I znowu razem dostaliśmy bojowe zadanie: uzupełnić szyby w oknach wszystkich baraków. Ochoczno wzięliśmy się do pracy. Administracja zapewniała dostawę szkła, my wykonywaliśmy swoje normy. Efekt naszej pracy był taki, że przywożone szkło było wykorzystane, z tym iż żadna szyba z tego szkła nie została wstawiona. Po obozie zaczęła krążyć pogłoska, iż jest szykowany pułk więźniów jako wojskowa pomoc dla Korei Północnej. Podobno pogłoska ta miała swoje realne podstawy. Ówczesne władze były zdolne do różnych rzeczy.

Wreszcie nadszedł dzień 24 X 1954 r., z \ więziennego radiowęzła popłynęła skoczna muzyka nadawana przed wyczytaniem listy wychodzących na wolność. Usłyszałem swoje nazwisko i już nocnym pociągami z Katowic jechałem do Warszawy.

Wolność, studia, małżeństwo

Razem z wolnością dołączył obowiązek meldowania się raz w tygodniu w komisariacie Milicji Obywatelskiej w Wesolej. Rozpocząłem szukanie pracy, ale jedynym dokumentem, jaki posiadałem to było zwolnienie z więzienia. Rozmowa na temat pracy kończyła się z chwilą okazania tego dokumentu. Na komisariacie milicji zaczęto mnie straszyć, że jeśli nie znajdę pracy, to aresztują mnie za szubrawczy styl życia. W końcu znalazłem pracę w przedsiębiorstwie budowy osiedla Muranów, tam, gdzie stoi kościół, gdzie w tych latach wydarzył się cud w postaci światła na jednej z wież kościo-



Nasze wesele w ogrodzie.



Córeczka Alinka urodzona 11 V 1958 r.

ła. Dostałem pracę jako trzeci pomocnik drugiego pomocnika magazyniera w magazynie materiałów budowlanych przy ulicy nie pamiętam jakiej, ale to nie ma znaczenia, bo w koło były same gruzy, widać było tylko kościół. Na tym gruzowisku był wygrodzony plac, ogrodzony siatką na słupach drewnianych, w środku drewniany barak, gdzie mieściło się nasze biuro. Magazyn ten zabezpieczał materiały budowlane dla powstającego na tym gruzowisku osiedla. Materiały były dostarczane na budowę furmankami. Z obserwacji wynikało, że każdy wozak wywoził coś z budowy dla siebie (tak zwaną kite). Przeważnie były to drewniane okna, glazura, terakota itp. Kierownikiem tego magazynu był dobry fachowiec, ponieważ przy tak niespójnej gospodarce utrzymywał się na stanowisku. Nazwiska niestety nie mogę sobie przypomnieć.

Po ok. 2 miesiącach mojej pracy do magazynu było włamanie. Włamał się jakiś figlarz, bo z magazynu farb urządził magazyn figur malarskich. W kombinezonach robotniczych związał sznurkiem końce rękawów oraz nogawki spodni, w tak spreparowany kombinezon

powieszony na sznurku wlał ile się zmieściło białej farby olejnej oraz przykrył czapką. Takich postaci wykonał kilka. Oczywiście kierownik zgłosił włamanie na milicję, która wdrożyła śledztwo. Nie wiem, jak ono się zakończyło, bo ja się z pracy natychmiast zwolniłem. Mam wrażenie, że jeżeli milicja komuś postawiła zarzuty, to zastępcy kierownika, który odpowiadał za magazyn farb i lakierów, a w którym to magazynie stwierdzono duże braki.

Teraz miałem już zaświadczenie z ostatniej pracy, toteż nową znalazłem szybko. Nową pracą była Spółdzielnia Pracy Rzemiosło i Technika, gdzie zostałem przyjęty na stanowisko kierownika robót małych budowli. Jest już rok 1955. Zacząłem szukać szkoły wieczorowej, żeby zrobić maturę. Niestety, zawsze kończyło się na wypełnieniu ankiety personalnej, po wypełnieniu której okazywało się, że niestety nie ma już miejsc. W końcu tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego 1955/1956 trafiłem do szkoły im. H. Kołłątaja. Rozmo-

wę wstępną przeprowadzał nauczyciel akademicki pan Norwa (imienia nie pamiętam). Pan Norwa pochodził z Łomży, ja też pochodziłem z Łomży. Po krótkim egzaminie na temat Łomży pan profesor podał moją ankietę, polecił wypełnić nową bez wpisywania zdarzeń związanych z więzieniem oraz z aresztowaniem przez NKWD i wywózką do Rosji mojego ojca. Wypełniłem ankietę, napisałem podanie o przyjęcie mnie do szkoły do klasy maturalnej, pan profesor na moim podaniu napisał „zgoda” i tak stałem się uczniem wieczorowego Liceum Ogólnokształcącego im. Hugona Kołłątaja.

W tym czasie dostałem wezwanie do wojska. Pojechałem do Otwocka i stawiłem się przed komisją poborową. Sierżant, który mną się opiekował, wytłumaczył mi, jaką jestem zakazą dla społeczeństwa i jednocześnie dla niego sierżanta, że on musi specjalnie dla mnie przygotować na dzisiaj rozkaz wyjazdu. Na co ja grzecznie odpowiedziałem, że nigdzie się nie wybieram. Na to sierżant odpowiedział „Wybierasz się do wojska, już oni tam robią z ciebie człowieka”. Tłumaczę sierżantowi, że do-

datkowo jeszcze jestem skazany na pozbawienie praw publicznych i honorowych na lat 3. Wynika z tego, że nie będę mógł złożyć przysięgi wojskowej. Wtedy dowódca jednostki, do której przyjadę będzie chciał wiedzieć, kto posłał mu tego kartofla. „Radzę, panie sierżancie, żeby pan podał ten rozkaz wyjazdu, a ja wrócę do domu na własny koszt. Będzie to rozwiązanie dobre dla nas obu”. Odpowiedzią sierżanta było „Spieprzaj”.

W szkole pierwszego września rozpocząłem naukę w klasie 11. Były dwie klasy 11 – klasa A i klasa B. W klasie B były ładniejsze dziewczyny i nawet nosiłem się z zamiarem zmienić klasę z A na B, ale do tego nie doszło, natomiast doszło do przypadkowej rozmowy z najładniejszą dziewczyną z klasy B. Nazywała się Janeczka Jarmocówna, a ponieważ już znaliśmy się, to na każdą przerwę lekcyjną biegłem piętro niżej pod ich klasę, żeby porozmawiać. W ten sposób doszło do pierwszej randki, na którą spóźniłem się chyba ze dwie godziny i stałem się brudny, pochłapany wapnem. Ale widocznie było coś, co sprawiło, iż zapoczątkowane uczucie wzmacniało się i w końcu eksplodowało na ławce przed Pałacem Kultury moimi oświadczeniami. Oświadczyłem się i zostałem przyjęty. Zostali jeszcze rodzice mojej przyszłej. Pokonałem i tę przeszkodę i dostałem błogosławieństwo.

W tym czasie studiowałem już na pierwszym roku studiów na Politechnice Warszawskiej. Na politechnikę dostałem się również dzięki prof. Norwie, który tam prowadził ćwiczenia z matematyki. On pomógł mi wypełnić kilkustronicową ankietę personalną oraz załatwił w dziekanacie, że specjalnie się mną nie interesowano. To był rok 1956, rok zawirowań politycznych, strajku w Cegielskim oraz masówce w Politechnice Warszawskiej, gdzie premiera Cyrankiewicza obrzucono skarpetkami. Cały dzień wisiałem na jakimś słupie w auli, żeby być świadkiem toczącej się dyskusji. Później nastąpiła inwazja Armii Radzieckiej na Węgry. Następnie w ramach solidarności z narodem węgierskim na Politechnice ogłoszono strajk. Zajęcia nie odbywały się, natomiast studenci oblegali na zewnątrz gmach politechniki i ganiłi się z ZOMO⁵³ po placu przed politechniką. W auli politechniki otwarto wystawę związaną z powstaniem węgierskim, było kilku naocznych świadków, którzy opowiadali o tragicznych zdarzeniach na ulicach węgierskich miast. Wystawa była otwarta, lecz nie było zwiedzających. Wokoło politechniki stały oddziały ZOMO, do auli mogli wejść tylko studenci politechniki na podstawie legitymacji studenckiej. W auli kręciły się jakieś podejrzane typy, niby autentyczni świadkowie rewolucji węgierskiej, i szukali chętnych do dyskusji na temat tych zająć. Dla mnie była to widoczna prowokacja.

Sam byłem obiektem takiej prowokacji. Idę przez teren politechniki, podchodzi chłopak,

coś tam zagaduje i w pewnym momencie mówi, że w Nowej Kreszlarni jest magazyn broni i łatwo byłoby go zdobyć, a wtedy Warszawa jest nasza. Podprowadziłem go, gdzie pełnił dyżur nasz mocno wtajemniczony kolega, natychmiast wkoło nas zrobiło się tłoczno i mówię temu koledze: „Gość ma ciekawą propozycję zdobycia broni”. Ja odszedłem, gość został i pewnie odechciało mu się czynić za darmo propozycji nie do odrzucenia. A tak na marginesie, to w kreszlarni były karabiny mauserzy, ale przewiercone i przydatne tylko studentom do ćwiczeń prezentują broń na studium wojskowym.

Mimo tych różnych przeszkód pierwszy rok studiów został zaliczony i w 1957 r. byłem studentem drugiego roku studiów, mając niestety już 24 lata. Postanowiłem przyspieszyć stabilizację człowieka dorosłego przez zawarcie związku małżeńskiego z Janeczką Jarmocówną. Ślub cywilny odbył się 25 IV 1957 r., ślub kościelny 30 VI 1957 r., nasza córka Alinka urodziła się 11 V 1958 r.

Sprawy formalne stabilizacji życia człowieka dorosłego zostały załatwione, pozostały sprawy bytowe życia codziennego. Do tej pory jakoś radziłem sobie, pracując w spółdzielni studenckiej lub rozładowując wagony na dworcu głównym.

Na trzecim roku studiów czasu już było coraz mniej. Pamiętam, jak miałem oddać projekt przejściowy z konstrukcji stalowych. Była to wielka stalowa kratownica na kalce A-0. Rysunek skończyłem rano i zostawiłem na stole kreślarskim, a sam popędziłem do jakiejś lewej pracy. Przychodzę do domu, Alinka wybiega na spotkanie i mówi, że wydajnie pomogła mi w rysunku, który zostawiłem na stole. Rzeczywiście, cały rysunek pokreślony piórkiem tak mocno, że miejscami jest podarty. Na pewno nie nadaje się do okazania ani renowacji. Nie było innej rady, usiadłem i w ciągu dwóch nocy rysunek odtworzyłem. Od tej pory żadnych prac nie zostawiałem bez nadzoru.

Praca zawodowa

Z uwagi na zwiększane koszty utrzymania postanowiłem zmienić studia na wieczorowe, oraz pójść do pracy. Pracę dostałem w Miejskim Przedsiębiorstwie Robót Inżynierskich przy ul. Marszałkowskiej 77/79 na stanowisku technika budowy. Zostałem skierowany na budowę tunelu pod Wisłą. Prace były wykonywane metodą kesonową. W związku z tym praca w kesonie trwała 4 godziny, po pracy była obowiązkowo filiżanka mocnej czarnej kawy i 4 godziny odpoczynku w czystym łóżku ze świeżą pościelą. Ponadto poza pensją był jeszcze należny dodatek kesonowy w kwocie kilkuset złotych. Wobec warunków pracy były wprost wyśmienite.

Budowa była prowadzona z dwóch kierunków: z Żerania oraz z Marymontu. Kierownikiem odcinka żerańskiego był inż. Edward Czyżewski, późniejszy kolega i przyjaciel domu. Nadzór geodezyjny nad budową tego odcinka pełnił geodeta inż. Czesław Szelaż. Kierownikiem budowy odcinka z Marymontu był inż. Donat Hopfer, późniejszy kolega i przyjaciel domu. Nadzór geodezyjny nad budową odcinka Marymont pełnił geodeta inż. Stanisław Massalski. Dojazd na budowę był dosyć trud-

ny. Najpierw tramwajem linii 7 do Placu Narutowicza, następnie tramwajem do Placu Starynkiewicza, skąd autobusem do ulicy Gwiaździstej (Fabryka Łożysk Toczących), następnie chyba ze 2 km pieszo przez gruzowisko (obecnie Wisłostrada). Lokalizacja tunelu była dokładnie od Marymontu do elektrociepłowni Żerań. W pierwszej kolejności, zarówno od strony Marymontu jak i Żerania, należało wybudować pionowe szyby głębokości chyba ok. 25 m oraz zakotwić w nich poziome śluzy. Prace wykonywano początkowo metodą opuszczania studni, następnie po osiągnięciu poziomu wodonośnego metodą kesonową. Po osiągnięciu żądanej głębokości dna studni i usytuowania śluz, włączono sprężarki, które do śluzy tłoczyły sprężone powietrze. Pierwsze drzwi śluz zostały zamknięte. Drzwi śluz prowadzące do tunelu pozostały otwarte. W ten sposób śluz a i tunel znalazły się w nadciśnieniu spowodowanym pracującymi kompresorami. Wtedy można było swobodnie prowadzić wykop tunelu już bez przecieków wody, która została wyparta z przestrzeni roboczej. Po zakończeniu zmiany pracownicy zbierali się w śluzie, drzwi prowadzące ze śluz do tunelu zostały zamknięte, ale w śluzie pozostało nadciśnienie na przykład 150 kN tj. 15 ton na m². Otwarcie drzwi przy takim docisku jest niemożliwe. Śluzowy powoli zaczął spuszczać powietrze. Trwało to zależnie od istniejącego ciśnienia: im wyższe ciśnienie w śluzie, tym dłuższe śluzowanie. Przeważnie śluzowanie trwało około godziny do półtorej. Zwykły katar eliminował pracownika z dniówki. Po prześluzowaniu i kąpieli w łaźni była obowiązkowa gorąca czarna mocna kawa i czterogodzinny odpoczynek na łóżku w czystej pościeli. Po spełnieniu tego rytuału można było iść do domu.

W ciągu zmiany przy dobrych warunkach gruntowych wykonywano 1 m postępu robót. Przekrój poprzeczny tunelu miał kształt jajowy o przekroju około 20 m². Wszyscy kesoniarze mieli legitymacje dla okazania milicji, że nie są pod wpływem alkoholu tylko przechodzą chorobę kesonową. Objawy dla upojenia alkoholowego i choroby kesonowej są takie same. W związku z tym każdego delikwenta chwiejącego się na nogach milicja ładowała do radiowozu i na sygnale dostarczała na budowę, gdzie następowało pisemne potwierdzenie odbioru delikwenta. Milicja odjeżdżała, a delikwenta pakowano do śluz lub dawano mu szklankę czarnej kawy i pakowano do łóżka w zależności od stwierdzonej dolegliwości.

Tak mijały dni, tunel się wydłużał, wszyscy czekali na zbitkę, czyli spotkanie kesoniarzy marymonckich i żerańskich. Na ten dzień zapowiadana była wielka feta, już nawet wyznaczono datę zbitki. Nie przewidziano jednak przypadków losowych, które mogą pokrzyżować najlepsze plany. Oto w nocy dokopano się do wielkiej zastoiny kurzawki (bardzo drobny mocno nawodniony piasek). Kurzawka ta zaczęła się wylewać do wykonanego już tunelu. Będąc na zmianie geodeta wydał polecenie zwiększenia ciśnienia do 2 atmosfer. Spowodowało to dłuższe śluzowanie oraz zwiększoną penetrację powietrza przez górotwór. Stan ten trwał chyba ze 2 tygodnie. Przez ten czas nie zdołano wykonać ani centymetra postępu robót.

Pamiętam ten dzień, był to już schyłek zimy, ale Wisła była jeszcze zamrznięta. Siedziałem w swoim pokoiku i pracowałem, a okno wy-

⁵³ ZOMO (Zmotoryzowane Odwoły Milicji Obywatelskiej) – oddziały Milicji Obywatelskiej powołane w drugiej połowie 1956 r. (po Poznańskim Czerwcu) do zaprowadzania porządku w sytuacjach wyjątkowych (dosł. „likwidacji zbiorowych naruszeń porządku publicznego”), a także do udzielania pomocy ludności w czasie klęsk żywiołowych i ochrony imprez masowych.

chodziło na Wisłę. Nagle usłyszałem głuchy huk i ujrzałem gejzer wody z kawałami lodu bijący w niebo na wysokość ok. 20 m. Okazało się, że ciśnienie powietrza przebiło się przez cały górotwór i utworzyło otwór średnicy ok. 30 cm w nadbudowie tunelu. Ciśnienie w tunelu zaczęło spadać, woda zaczęła zalewać tunel, w związku z czym znówu zwiększono ciśnienie. Z Metroprojektu, który opracował projekt techniczny tunelu, przyjechali na budowę projektanci pod kierownictwem inż. Witolda Pytowskiego, generalnego projektanta, celem opracowania projektu naprawy. Dyskusje trwały ze 3 dni i ustalono, że należy na miejsce bijącego gejzera ułożyć warstwę papy nasypać na tę papę warstwę piasku grubości chyba 2 m o powierzchni ok. 600 m². Na tej powierzchni ułożyć dwie warstwy papy oraz całość przykryć tkaniną brezentową. Całość przykryć warstwą piasku o grubości 2 m. Wszystkie te zalecenia zostały wykonane, ucieczka powietrza powstrzymana i przystąpiono do usuwania uszkodzeń oraz normalnej pracy.

Jest rok 1960 i zbliża się połączenie dwóch części tunelu, czyli zbitka, która nastąpiła chyba w lipcu. Nie byłem uczestnikiem tego wydarzenia, ponieważ w tym czasie byliśmy z rodziną na urlopie. Opowiadali koledzy, jak w czasie uczty wydanej z tej okazji przez prezydenta Warszawy inż. Zelenia urządzono owację dyrektorowi przedsiębiorstwa, podrzucając go do góry, wznosząc okrzyki „Niech żyje!”. Gdy dyrektor był w górze, ktoś krzyknął „Zdrowie pana dyrektora!”. Wszyscy chwycili kieliszki, zapominając o szybującym dyrektorsze, który spadł na zastawiony stół i doznał szeregu ran ciętych od rozbitych butelek, szklanek i kieliszków. Dyżurna karetka pogotowia odwiozła pana dyrektora na Hożą.

Z budowy na Żeraniu zostałem oddelegowany na budowę Huta Warszawa, gdzie była wprowadzana nowa technologia odlewania stali, tzw. technologia ciągłego odlewania. Była to technologia radziecka (innych wtedy w Polsce nie było). Trafiłem na czas rozbijania istniejących żelbetowych fundamentów pod piec oraz walce. Były wielkości tego mieszkania tylko o wiele wyższe. Rozbijanie prowadzono metodą minerską, projekt i odstrzał prowadzony był przez wyspecjalizowaną jednostkę wojskową.

Na budowie tej pracowałem tylko rok, po czym zostałem oddelegowany na budowę największej przepompowni ścieków zlokalizowanej w bliskiej odległości od elektrociepłowni Żerań. Kierownikiem budowy był kolega Edward Czyżewski. Była to ciekawa budowa ze względu na jej wielkość i nowoczesną technologię. Dość powiedzieć, że poziom podłogi w piwnicy był 12 m niżej od poziomu terenu, na którym posadowiono przepompownię. Lokalizacja przepompowni była tuż za wałami przeciwpowodziowymi, a z przepompowni wychodził żelbetowy kanał o przekroju 2x2 m, kończąc się w nurcie Wisły, przecinając wały przeciwpowodziowe. Kanałem tym były przesyłane do nurtu Wisły nieczystości płynne z całej przepompowni, a przepompownia zbierała je z całej Pragi. Można wyobrazić sobie, jak wyglądała wtedy Wisła. Przed rozpoczęciem wykopów pod fundamenty należało obniżyć poziom wody gruntowej. Zadanie to miały wykonać pompy głębinowe zainstalowane i pracujące już od pół roku.

W marcu 1962 r. skończyłem studia, zdałem egzamin i dostałem dyplom inżyniera budow-

nictwa lądowego. W pracy awansowałem na stanowisko kierownika budowy. Poprzedni kierownik przeszedł na inną budowę, a ja stałem się jedynym odpowiedzialnym za wszystko. Pamiętam, jak przyszedł do mnie sąsiad, mieszkaniec tego regionu z pretensją, że przez budowę wyszła studnia na jego posesji. Wysłałem majstra, żeby obejrzał tę studnię. Na drugi dzień wysłałem zestaw wiertniczy z założą celem pogłębienia tej istniejącej studni i usunięcia awarii, co zostało wykonane. Do dzisiaj pamiętam zdziwienie i minę tego sąsiada, oraz ile musiałem mu tłumaczyć, iż nic nie jest mi winien, ponieważ rzeczywiście brak wody w jego studni jest wynikiem pracy tych kilkunastu pomp odwadniających teren budowy.

Przez cały czas trwania budowy prowadziłem wykresy stanu wody i w 1962 r. na „Święto Anki” przybór wody był tak szybki, że straciliśmy spychacz, który zabrała woda. Całe szczęście, że ten duży żelbetowy kanał był już w nurcie rzeki, a wały były odbudowane. Na szczęście w tym dużym kanale kazałem wymurować dwie niezależne tamy grubości 51 cm w odległości 3 m jedna od drugiej. Jak poszła duża woda, pierwsza tama została zniszczona, druga tama wytrzymała i Praga została uratowana.

Równoległe z budową przepompowni wykonywaliśmy przepust pod ul. Modlińską dla przepuszczenia jakiegoś cieku. W związku z tym należało przebudować całe skrzyżowanie, gdzie na uboczu stał stary, spróchniały drewniany krzyż, który w ramach przebudowy został rozebrany. Pewnego dnia do biura budowy przyszły dwie starsze panie z prośbą o postawienie nowego krzyża w miejsce starego, rozebranego. Rzeczywiście sprawa była z pozoru prosta. Budowa krzyż usunęła, budowa winna go przywrócić. W praktyce procedura ta trwałaby ze dwa lata. Ja tam pracowałem i jeszcze będę pracował ze dwa lata i nie mogłem pozwolić, żebym stał się osobą niechcianą w tej społeczności. Następnego dnia krzyż już stał w miejscu niekolizyjnym ku ogólnemu zadowoleniu mieszkańców. Po kilku dniach przed końcem pracy do biura budowy przyszło kilka osób, w tym te dwie panie, które były z interwencją w sprawie demontażu krzyża. Była to delegacja miejsowego osiedla, która złożyła na moje ręce podziękowanie i bukiet białych lilii za szybkie załatwienie sprawy krzyża. Zastanawiałem się, jak to się stało, że sprawa ta nie dotarła do dyrekcji przedsiębiorstwa. Może była tu ręką Anioła Bożego Pana Dozorcy mojego?

Budowa przepompowni dobiegała końca. Pierwszy zrzut ścieków do Wisły został pomyślnie przeprowadzony chyba w 1962 r. Od tej pory nad miejscem, gdzie następował zrzut ścieków, krążyło duże stado ptaków, które znikły w momencie, gdy ścieki skierowano do oczyszczalni „Czajka”, co nastąpiło chyba po kilkudziesięciu latach.

Z chwilą zakończenia budowy zostałem skierowany na budowę bazy transportowej, której inwestorem było Przedsiębiorstwo Robót Zmechanizowanych Budownictwa Komunalnego, w skrócie PRZTBK, czyli „Tabaka”. Inaczej tego przedsiębiorstwa nie nazywano. Budowa była zlokalizowana na Żeraniu przy ul. Odlewniczej. W zakres budowy wchodziły dwie hale naprawcze, budynek socjalny oraz drogi i place postojowe. Jednocześnie z powołaniem na no-

wą budowę dostałem awans na Kierownika Grupy Robót oraz podwyżkę 2 dolary (czyli 200 zł) miesięcznie. Awans na kierownika grupy robót oznaczał, że za te same pieniądze mogę prowadzić kilka budów jednocześnie.

Kilka miesięcy po rozpoczęciu robót na Żeraniu przy ul. Odlewniczej dostałem polecenie objęcia nowej budowy, na szczęście też na Żeraniu. Była to budowa bazy technicznej dla własnego przedsiębiorstwa. Budowa składała się z obiektów: budynek socjalny, hala montażowa, basen pożarowy drogi i place, bocznica kolejowa. Rozpoczęliśmy budowę w 1963 r. od budowy basenu pożarowego, który służył nam przez dwa lata jako basen rekreacyjny w czasie letnich upałów. Tak na marginesie. To basen ten działa do dzisiaj, mimo że przez te lata nie przeprowadzano jego remontu.

Z budową tą związane jest pewne wydarzenie. W projektowaniu konstruktorzy budowlani posługiwali się tablicami matematycznymi, gdzie kąty były podawane w stopniach, natomiast kolejarze podawali kąty w gradach (tak przedstawiało sprawę biuro projektów). W efekcie myśmy wybudowali rampę przeładunkową, kolejarze doprowadzili tory kolejowe, ale one były odległe od rampy o ponad 2 m. Była wielka awantura, ale w rezultacie musieliśmy wykonać nową rampę. Na kolejarzy nie było sposobu.

W kwietniu 1964 r. zdałem egzamin i otrzymałem uprawnienia budowlane w zakresie kierowania robotami budowlanymi oraz otrzymałem propozycję wykonania pod tunelem średnicowym⁵⁴ w Alejach Jerozolimskich w Warszawie przejścia dla tunelu przyszłego metra. Propozycję przyjąłem, bo była ciekawa. Na radzie w dyrekcji przyjęto zasady mojego wynagrodzenia. Ustalono, iż do końca tej budowy, czyli chyba do 1 V 1965 r., będę otrzymywał dodatek za pracę na drugiej i trzeciej zmianie, czyli razem podwójną aktualną moją pensję. Sprawa została załatwiona, podaliśmy sobie ręce, a ja wziąłem się do pracy, czyli przygotowywaniem placu budowy. Sam plac budowy znajdował się w tunelu średnicowym w miejscu najszerszego międzytorza. Na budowę wchodziło się po drabinie z chodnika naprzeciw hotelu Metropol. W tym celu został w stropie tunelu wykuty otwór o wymiarach 1 mx1 m i wstawiona odpowiedniej długości drabina. Pierwszą czynnością było zamontowanie instalacji obniżającej poziom wody gruntowej. Prowadzono co godzinę pomiar wydajności pomp za pomocą pomiaru wysokości wypływającej wody ze skrzyni Ponceleta. Kierownictwo tej budowy było zlokalizowane naprzeciw hotelu Metropol i składało się z dwóch barakowozów na owe czasy dość eleganckich. Jeden barakowóz służył za biuro, drugi był barakowozem socjalnym z miejscem

⁵⁴ Tunel średnicowy w Warszawie – kolejowy tunel średnicowy o całkowitej długości 2310 m poprowadzony pod centrum Warszawy na trasie warszawskiej linii średnicowej, łączącej trzy główne dworce kolejowe: Warszawa Wschodnia, Warszawa Centralna i Warszawa Zachodnia. Wewnątrz podwójnego tunelu biegną dwa tory linii dalekobieżnej (od strony północnej) i dwa tory linii podmiejskiej (od strony południowej). Długość właściwego tunelu, liczona od stacji Powiśle do stacji Śródmieście, wynosi 1175 m.

do spania. Miałem kilka razy propozycję wynajęcia barakowozu socjalnego przez personel wyższy hotelu Metropol, ale do transakcji nie doszło.

Praca była dość urozmaicona, bo rano na godzinę 7 byłem na Żeraniu na Odlewniczej, następnie przejeżdżałem na bazę własną MPRIInż, następnie znów na bazę na odlewniczej, skąd w wywrotkę i do Grand Hotelu na kawę. Moja wywrotka parkowała na parkingu przed hotelem i nikomu to nie przeszkadzało. Wywrotka ta była moim środkiem lokomocji przez następne lata. Kierowcą był typowy cwaniak z Targówka, którego nazwałem Galamboszem⁵⁵.

Pierwsza wypłata na nowych warunkach została dokonana według zapisanej ugody. Natomiast następna wypłata została dokonana bez tych dodatków zmianowych. Ja się oburzyłem tym bardziej, że budowa przejścia szła zgodnie z harmonogramem. Czuję się oszukany i złożyłem pozew do Komisji Rozjemczej. Rozprawa się odbyła, przewodniczącym komisji był kolega, kierownik budowy. Oczywiście sprawę wygrałem, lecz po kilku dniach dyrekcja doszukała się kilku uchybień formalnych i rozprawę należało powtórzyć. Powtórna rozprawa się odbyła, przewodniczącym był przedstawiciel dyrekcji. Oczywiście sprawę przegrałem i w rezultacie zostałem z trzema budowami, ale z jedną pensją. Szczęście, że budowy te były ciekawe technicznie i to wciągało, dawało dodatkowy impuls do pracy. Koniec pracy w tunelu średnicowym zaplanowano chyba na 1 V 1965 r., ponieważ 1 V 1965 r. miało nastąpić otwarcie drugiej nitki torów w tunelu średnicowym. Pracy było jeszcze wiele, zważywszy, iż na międzytorzu można było pracować w nocy tylko 3 godziny (nocna przerwa w kursowaniu pociągów) oraz w dzień tylko 1 godzinę. Początek i koniec pracy oznajmiał trębacz grając na myśliwskim rogu.

Kiedyś w ciągu dnia wezwał mnie do biura dyrektor i przedstawił kilku dżentelmenów ogolonych na zero oraz kierownika produkcji filmu „W pustyni i w puszczy”. Panowie ci poszukiwali bardzo hałaśliwego miejsca dla nakręcenia jakiegoś specjalnego filmu. Umówiliśmy się na drugi dzień na górze naprzeciw Metropoli. Zjawili się punktualnie i zeszliśmy po drabinie na dół na międzytorze. Zawołałem majstra, powiedziałem, w czym rzecz i kazałem przygotować wibromłot, który wbijał w grunt stalowe ścianki (larseny). Kazałem ustawić dwie brygady każda po 6 ludzi z ciężkimi młotami pneumatycznymi (typu atlas), którymi wykuvano wnęki w ścianach tunelu dla osadzenia blachownic odciążających ściany tunelu. Na mój znak wszystkie te urządzenia miały zostać włączone i pracować. Filmowcy ustawili swoje urządzenia rejestrujące oraz czujniki, które rejestrowały siłę głosu, sami założyli tłumiki na uszy. Gdy wszystko było już gotowe, dałem znak i rozpętało się piekło. Czujniki rejestrujące siłę głosu wychyliły się do oporu, a wskazówki wygięły się. Filmowcy rzucili się na swoje urządzenia, usiłując je wyłączyć. Każdy coś krzyczał, ale w tym hałasie to nawet swoich myśli nie było słychać. Rezultat był taki, że, jak twierdzili filmowcy, połowa przywiezionych przez nich urządzeń to już jest

złom, natomiast praca, którą mieli wykonać, nie została nawet rozpoczęta. Pożegnałem się z filmowcami, oferując im swoje dalsze usługi.

Praca w tunelu średnicowym dobiegała końca i dyrekcja zorganizowała na budowie wielką naradę z udziałem Ministerstwa oraz kolejarzami i podwykonawcami. Przyszło chyba ze 40 osób, a ja miałem tylko dwa barakowozy oraz w programie wystąpienie na temat przebiegu budowy z omówieniem ciekawszych rozwiązań konstrukcyjnych. Część słuchaczy była w barakowiezie, reszta na zewnątrz. W pewnym momencie słychać jakieś zamieszanie i do barakowozu przepycha się geodeta inż. Stanisław Massalski, który w tunelu wyznaczał osł jakiejś instalacji i charakterystyczne punkty stabilizował wstrzelanymi stalowymi kołkami. Przyszedł, żeby zameldować, iż amunicja do tego pistoletu jest do kitu i na dowód przystawił pistolet do podłogi i pociągnął za spust. Usłyszeliśmy tylko głuchy trzask. Ktoś z obecnych wyraził zainteresowanie tym młotkiem, jako że była to nowość, więc pan inżynier przejął prowadzenie spotkania i demonstrował możliwości wbijania kołków w różnych położeniach. W końcu przystawił młotek do krawędzi blatu mojego biurka i stało się. Rozległ się huk, plastikowa obwódka blatu biurka rozprysła się, ja zamarłem. Wyjrzałem na dwór, ale pod ścianą nikt na szczęście nie leżał. Towarzystwo już trochę ochłonęło, więc zaczęliśmy oglądać zniszczenia. Pocisk zniszczył blat biurka, przebił i poszarpał dziennik budowy leżący w szufladzie biurka i na wysokości około 30 cm od podłogi przebił ścianę barakowozu. Że nikogo nie zabił, to chyba zasługa Anioła Bożego Pana Dozorcy Mojego. Oczywiście nasza narada została zakończona, pogłębiona praktycznym poznaniem możliwości pistoletu grom do wstrzeliwania stalowych kołków.

Wracając do Żerania: budowa naszej hali została zakończona, budynek socjalny i hala remontowa wysprzątana, pozostała jeszcze jedna czynność, mianowicie kontrola szczelności instalacji wodociągowej, którą miało wykonać Miejskie Przedsiębiorstwo Instalacyjne – wykonawca tej instalacji. Była to sobota, kontrola wypadła pozytywnie, brak spadków ciśnienia, czyli brak przecieków na złączach. Podpisaliśmy protokoły, pożyczaliśmy sobie dalszej owocnej współpracy i rozeszliśmy się do domów.

W poniedziałek po przyjeździe do pracy zastałem widok, który porażał. Piękna posadzka w budynku socjalnym, była przykryta warstwą wody grubości kilku centymetrów. Ceglane kanały instalacyjne rozmyte, ścianki działowe popękane bądź zwalone. Telefon do wykonawcy, protokoły zniszczeń i przystąpiliśmy do usuwania uszkodzeń. Taka awaria bardzo źle wpływa na morale załogi.

Również na budowie bazy transportowej było kilka potknięć w trakcie prowadzenia robót. Pierwsze potknięcie spowodowałem ja przy wyznaczaniu położenia budynku. Biuro projektów popełniło błąd w opisie elewacji budynku. Elewacje zachodnią opisano jako wschodnią, a wschodnią jako zachodnią i tak usytuowano budynek. Mój błąd polegał na tym, że nie sprawdziłem projektów branżowych, jak są usytuowane. Sprawa wyjaśniła się, jak przyjechało MPWIK zakładać wodomierz, który zaczęli montować w prawym skrzydle budynku. Po przeprowadzonej z monterami rozmowie

oraz przejrzeniu całej dokumentacji stwierdziłem swój błąd. Problem polegał na tym, że budynek był podpinnicowany tylko w połowie długości. Aktualnie była wykonana połowa budynku nie podpinniczona, która powinna być podpinniczona. Skóra mi ścierpła, ponieważ wiedziałem, jakie będą reperkusje tego incydentu. W pierwszej kolejności zadzwoniłem do kolegów kierowników budów, żeby wypożyczili mi tylu murarzy, ilu mogą. Stawiło się chyba 10 murarzy, którzy przystąpili do odcinkowego podbijania fundamentów. Podbić, czyli podmurować fundament, należało do wysokości 2 m. Pracowaliśmy w sobotę, w niedzielę, w poniedziałek 14 godzin i we wtorek 14 godzin. Następnego dnia budowę odwiedził dyrektor biura, sekretarz partii oraz czynnik społeczny z pytaniem, co u nas się dzieje. Odpowiedziałem, że w porządku pracujemy zgodnie z harmonogramem. Wtedy sekretarz nakazał dostarczyć protokół strat przedsiębiorstwa spowodowanych moją pomyłką. Dostałem taki protokół, z którego wynikało, że przedsiębiorstwo na tej operacji zarobiło kilkanaście tysięcy złotych. Sekretarz jak przeczytał, to myślałem, że padnie ze złości. Powołano komisję do zbadania tej sprawy, która przyznała mi rację. Bowiem na budowie walało się kilkadziesiąt metrów sześciennych nieużytecznego gruzu budowlanego, który należało wywieźć za opłatą na zwałkę odległą 30 km od budowy, gruz ten został zagospodarowany na miejscu w czasie prac naprawczych. Podpinniczenie drugiej części budynku wymagało wykonania wykopu, który dał budowie 450 m³ bardzo dobrego piasku tynkarskiego. Kosztorysant wyliczył, iż per saldo, po potrąceniu kosztów materiałów zużytych na przywrócenie budynku do wersji projektowej, przedsiębiorstwo zyskało kilkanaście tysięcy złotych, a ja zyskałem zaprzyśiężonego wroga w osobie sekretarza organizacji partyjnej. Co drugi dzień miałem na budowie kontrole w osobie sekretarza oraz czynnika społecznego. Sprawdzano absolutnie wszystko, czy robotnicy mają dostęp do wody, czy stosują kremy ochronne na ręce, czy chodzą w kaskach itp.

Któregoś dnia odesłałem do dyspozycji dyrektora robotnika, który spił się na budowie. Wybuchła wielka awantura, ponieważ ten pracownik był partyjny i bardzo zasłużony, ale nawet on sam nie wiedział, dlaczego. Wojna trwała na całego, w końcu kolega Edward Czyżewski pouczył mnie, że albo zapiszę się do partii, albo z hukiem mnie wywalą z roboty. Uczyniłem, jak mi Edward radził i stał się cud. Szykany ustały, sporny robotnik został przeniesiony na inną budowę, przedstawienie przeze mnie budynku socjalnego zostało zapomniane.

Któregoś dnia przychodzi do mnie majster Domżański z propozycją, żebyśmy kupili jednodniowe kurczaki, dozorca będzie się nimi opiekował, a my będziemy mieli pieczone na wyprawienie na budowie imienin. Od robotników kupimy worek pszenicy, resztę kury same sobie znajdą. Majster sprowadził 60 jednodniowych kurczaków rasy leghorn i zaczęła się hodowla kur. Należy dodać, że budowa nasza sąsiadowała z wytwórnią asfaltu. Wytwórnia ta niesamowicie dymiła czarnym duszącym dymem. Kury rosły, początkowo były śnieżnobiałe i z czasem stawały się czarne i było ich z każdym dniem mniej. Okazało się, że nasz dozorca codziennie robi sobie pieczone. Nim się zorientowaliśmy, zostało tylko cztery kury,

⁵⁵ Galambosz – właściciel konika z piosenki „Wio, koniku”.

po dwie dla mnie i dwie dla majstra. Imieniny były bez pieczęstego.

Druga awaria w hali remontowej powstała z winy przedsiębiorstwa MPI, które było wykonawcą instalacji CO w hali. Była już wczesna zima, ale temperatury powietrza były wciąż dodatnie. MPI wykonało instalację CO w hali oraz wykonało próbę szczelności tej instalacji. Była to sobota. W sobotę pracowało się do godziny trzynastej. Problem w tym, iż zapomniano spuścić wodę po zakończeniu próby. Temperatura powietrza zaczęła spadać. Zadzwoniłem do MPI, ale tam już nikogo nie było, a komórek wtedy też jeszcze nie było. Temperatura wciąż spada. W hali słychać było pęknięcie grzejników, gdzie widoczne były wstążki lodu wyciskane przez zamarzającą wodę. Nic już nie można było zrobić, zamknąłem budowę i poszliśmy do domu. Na drugi dzień przyjechała z MPI komisja, spisała protokół, w którym stwierdziła, iż naprawa jest możliwa po rozmarznięciu wody, czyli na wiosnę.

Osobnym problemem były kradzieże na budowie. Zdarzyło się tak, iż było betonowanie konstrukcji, które przeciągnęło się do późnych godzin wieczornych. Cały sprzęt, jak kable energetyczne, przedłużacze, pozostały na placu. Rano stwierdziłem, iż cały ten sprzęt został skradziony. Powiadomiłem milicję. Przyszedł dzielnicowy i dał mi dobrą radę, żebym zatrudnił największego złodzieja z Targówka, który aktualnie wyszedł z więzienia. Wtedy będę mógł nawet pozbyć się dozorcę. Skorzystałem z tej rady i poprosiłem dzielnicowego, żeby przysłał mi tego geroja⁵⁶. Przyszedł młody człowiek w wieku ok. 25 lat w randze pułkownika, tak przynajmniej wynikało z tatuaży, jakie posiadał. Wstępnie oświadczył, iż on zgodzi się pracować, ale tylko do zimy, ponieważ w zimie to on idzie do więzienia, bo nie jest głupi, żeby w zimie na mrozie pracować na budowie. Stał się moim sezonowym pracownikiem i nawet starał się pracować. Faktem jest, iż odkąd został pracownikiem, nie odnotowałem na budowie jakiegokolwiek kradzieży. Któregoś dnia w listopadzie przyszedł do mnie do biura, żeby się pożegnać. Podziękował za pracę i powiedział, żebym się nie martwił, bo budowa w dalszym ciągu będzie chroniona. I tak było.

Jest 1 V 1965 r., tunel średnicowy gotowy na przyjęcie pociągów. Międzytorze wysprzątane, dziura komunikacyjna w stropie tunelu zalana betonem. Nie pamiętam, o której godzinie puszczono pociąg drugą nitką tunelu, ale tam byłem. Budowy na Żeraniu w zasadzie już zakończone. Na każdej jeszcze jest ekipa pod wodzą majstra, robiąc ostateczny przegląd.

Ja zostałem przeniesiony na budowę Modernizacji Filtrów Warszawskich⁵⁷, obejmując

stanowisko kierownika grupy robót po koleździe inż. Edwardzie Czyżewskim, który przeszedł na wyższe stanowisko w dyrekcji biura. Modernizacja Filtrów była największą i najbardziej prestiżową budową w Warszawie. Była na tyle prestiżowa, że dostałem specjalną pieczętą wielkości 105x148 mm z napisem po przekątnej FILTRY. Początkowo zamówienie na materiały budowlane potwierdzone tą pieczęcią nie mogło pozostać bez realizacji. Z czasem moc sprawcza tej pieczęci słabła, aż doszła do zera.

Prace na Filtrach rozpocząłem od rozbiórki podziemnego ceglanego zbiornika na wodę wybudowanego przez inż. Lindleya chyba w latach 1876–1880. W życiu czegoś podobnego nie widziałem. Cała konstrukcja zbiornika była ceglana, z włoskiej cegły glazurowanej w kolorze morskiej wody. Słupy podtrzymujące sklepienia chyba w kolorze jaśniejszym. Jeden taki zbiornik należało dozebrać. Przygotowałem sprzęt, czyli dwie duże sprężarki ARPIC oraz dwie drużyny robotników po 6 osób z młotami pneumatycznymi ATLAS (najcięższe). Około godziny 15, czyli tuż przed końcem pracy, przychodzi do mnie brygadzysta od tej rozbiórki i na moje biurko wysypuje zawartość helmu, prosząc jednocześnie o inną pracę, ponieważ zawartość helmu to jest jego urobek za całą zmianę. Natychmiast poszedłem zobaczyć efekt pracy moich dwóch drużyn. Rzeczywiście, nikt nie zdołał przebić się przez ścianę zbiornika. Trochę go podrapali i to było wszystko.

Zwołałem na następny dzień naradę z udziałem Zjednoczenia celem zatrudnienia wojskowych saperów. Po obejrzeniu efektów jednodniowej pracy 12 ludzi bez słowa sprzeciwu Zjednoczenie wyraziło zgodę. Za dwa dni na budowę przyjechał dowódca saperów. Obejrzał obiekt i nakazał żeby nie odkopywać go. Zbiornik cały był obłożony gliną i obsypany ziemią. Na stropie grubość ziemi wynosiła ponad 80 cm. Następnego dnia przyjechała ekipa saperów, która rozpoczęła wiercenie otworów strzałowych. Trwało to więcej niż tydzień. W końcu ustaliliśmy termin odstrzału na sobotę godzinę 18. Powiadomiłem milicję, żeby na ten czas wstrzymała ruch na ul. Filtrowej. Natomiast ja powiadomiłem lokatorów pobliskich budynków, żeby pootwierali okna. Nastąpiło odpalenie ładunków, powierzchnia zbiornika uniosła się i opadła. Na ulicę nie spadł żaden kamień, nie wypadła żadna szyba. Z tej okazji wydałem przyjęcie i fetowaliśmy saperów do późnej nocy, po czym każdy uczestnik został odwieziony do domu samochodem ciężarowym przystosowanym do przewozu ludzi.

Na drugi dzień przyjechały zamówione samochody do wywozu na zwalę powstającego ceglanego gruzu. Zainteresował nas parkujący przed bramą milicyjny samochód. Okazało się, że załoga samochodu zbierała haracz od kierowców, ponieważ gruz ten był bardzo lakomym materiałem budowlanym i zamiast na zwalę, był sprzedawany prywatnym zainteresowanym. Przed bramą Filtrów od wczesnych godzin rannych ustawiała się kolejka samochodów niezamawianych przez budowę. W związ-

ku z tym odwołałem z „Tabaki” wszystkie zamówione samochody. Gruz z budowy został wywieziony za darmo z pomocą milicji, a majstrowie, którzy się zajmowali wywózką tego gruzu, mieli dodatkowe finanse na uroczystości, które wydawała budowa, np. imieniny kierownika, imieniny majstra, narodziny wnuka naszego zasłużonego najstarszego robotnika, zakończenie betonowania ważnej konstrukcji i tym podobne. Dlatego z pomocą milicji, gdyż wytworzył się niepisany zwyczaj, że milicja tylko raz pobierała haracz od kierowców. Później na trasie nikt już ich nie niepokoił.

Praca była bardzo ciekawa i zmuszająca do ciągłego rozwiązywania różnych problemów. Np. zwykłe betonowanie fundamentu o powierzchni 1 ha – teraz to jest proste, podjeżdżając gruchą z betonem, ładując beton do pompy i pompa podaje w dowolne miejsce. Ja musiałem zaprojektować i wykonać drewniane pomosty długości ponad 1 km o możliwym obciążeniu 300 kg/m², wykonać projekt betonowni, wykonać go fizycznie, ustawić betoniarkę, silosy na piasek, żwir i cement, w okresie zimowym przygotować nagrzewnice, ciepłaki oraz wytwornicę pary do rozmrażania betoniarki. Pamiętam betonowanie fundamentu pod budynki pulsatorów. Była ciepła zima, temperatura powietrza dodatnia, a budowa trochę spóźniona w stosunku do harmonogramu. Z uwagi na temperaturę powietrza (od kilku dni dodatnią) zdecydowałem o rozpoczęciu betonowania fundamentu pod pulsatory lub pod filtry. Pulsatory są to dwa budynki szczytami stojące do ul. Filtrowej, budynek Filtrów stoi za pulsatorami. Powierzchnia fundamentu ok. hektara, grubość płyty fundamentowej 1 m. Było to ok. 10 dni przed Sylwestrem chyba 1968 r. Przygotowano dwie lokomobile (wytwornice pary), plandeki oraz maty słomiane do przykrycia świeżego betonu, załadowano silosy cementem, piaskiem i żwirem, ustawiono przenośniki taśmowe do podawania do silosów piasku i żwiru, zgromadzono zapasy chlorku wapnia do podniesienia temperatury wiązania cementu. Pogoda wciąż piękna, ciepło, bez deszczu. Rozpoczęto betonowanie. Należy dodać, iż takiego betonowania nie można przerwać, ono musi trwać do końca. Wszystko toczyło się według planu. Pamiętam, że koniec betonowania był zaplanowany na jeden dzień przed Sylwestrem, na pierwszej zmianie w systemie pracy trózmianowej. Pierwszy dzień betonowania zakończył się pomyślnie, bezawaryjnie, z ociepleniem i właściwą pielęgnacją betonu. Pojechałem do domu na koniec drugiej zmiany, czyli o godzinie 22.

Na drugi dzień wstając rano, termometr za oknem wskazuje -26°C. Szybko śniadanie i na budowę... a tam koniec świata. Z betoniarki zwisa trzymetrowy jezior zamarzniętego betonu, lokomobile zamarznięte, brezentowe plandeki mokre i zamarznięte nie do ruszenia. Po kilku godzinach udało się opanować sytuację na tyle, że można było kontynuować betonowanie. Pomogła nam trzecia zmiana, w którą wysłałem samochód do Pułtuska. Generalnie budowa bazowała na chłoporobotnikach przywożonych z Pułtuska i okolic. Z Warszawy byli tylko starzy fachowcy, jak cieśle, blacharze, kanalarze od głębokich wykopów zachowani jeszcze z czasów budowy metra w latach pięćdziesiątych. Z pomocą trzeciej zmiany wróciliśmy do rytmu normalnej pracy. Noc przed Sylwestrem spędziłem na budowie, pilnując

⁵⁶ Geroj – bohater.

⁵⁷ Filtry warszawskie – długość właściwego tunelu, liczona od stacji Powiśle do stacji Śródmieście, wynosi 1175 m. Zespół jest częścią systemu wodociągów warszawskich wybudowanych w latach 1883–1886 z inicjatywy prezydenta miasta Sokratesa Starynkiewicza według projektu Williama Lindleya i Williama Heerleina Lindleya. W kolejnych latach został on rozbudowywany i uzupełniony o nowe obiekty. Obecnie jest częścią Zakładu Centralnego Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji. W 1973 i 2008 r. większość

obiektów znajdujących się na terenie Zespołu Stacji Filtrów została wpisana do rejestru zabytków. W 2012 r. cały kompleks został uznany za pomnik historii.

betonowania. W Sylwestra mróz trochę zelżał. Betonowanie dobiegało końca i o godzinie 22 zakończyliśmy cały proces. Złożyliśmy sobie nawzajem życzenia wzmocnione musztardówką czystej Wyborowej. Wywrotka odwiozła mnie do domu, robotników z I, II i III zmiany samochody też odwiozły do domów.

W domu żony już nie było, ponieważ umówiliśmy się u znajomych na zabawę sylwestrową i ja miałem tam ewentualnie dobić. Szybki prysznic, w wywrotkę i na Plac Narutowicza, gdzie było umówione spotkanie. Sęk w tym, iż nie znałem dokładnego adresu lokalu. Na Placu Narutowicza kupiłem chyba z pięć balonów i z tym bukietem zadzwoniłem do pierwszych drzwi na parterze. Otworzył młody człowiek w garniturze, lekko zdziwiony pytając „Pan do kogo?”. Ja mu odpowiadam, że szukam mojej żony. On mnie wciągnął do mieszkania, mówiąc, żebym się nie martwił, jest tu kilka samotnych pań, może coś dobiore. Nim się zorientowałem, już miałem nalaną pięćdziesiątkę i natychmiast drugą. Wypiliśmy, podziękowałem, pożegnaliśmy się jak starzy znajomi i poszedłem do drugich drzwi, gdzie scenariusz był podobny. W trzecich drzwiach znalazłem swój skarb, mimo że byłem już lekko zamroczony. Sylwester był szampański, poszliśmy z życzeniami oraz z szampanem do stojącego na Placu Narutowicza bardzo smutnego milicjanta, ale nie pamiętam, jak to się skończyło, czy życzenia przyjął, czy nas przeogolił.

Jak przyszła wiosna i udało się ściągnąć z fundamentu wszystkie plandeki, maty słomiane oraz inne pozostawione elementy ocieplające, po rozdeskowaniu boków fundamentu okazało się, że warstwa betonu grubości 2–3 cm jest przemarznięta i samoistnie odpada od fundamentu. Za trzy dni wraca z urlopu inspektor nadzoru inż. Pawlina, który nie może zobaczyć takiego stanu fundamentu. Przez dwa dni 100 robotników skuwało przemarzniętą warstwę fundamentu i nakładało nową warstwę betonu wysokiej klasy. Po powrocie z urlopu inspektor obejrzał dokładnie cały fundament, pochwalił załogę za dobrą pracę w tak ciężkich warunkach. Mam wrażenie, że inspektor odkrył naszą tajemnicę, ponieważ świeży beton miał inną barwę, ale nie chciał nam psuć dobrego samopoczucia.

Konstrukcja żelbetowa pulsatorów z uwagi na skomplikowaną technologię oczyszczania wody oraz jej przesyłu między operacjami była bardzo trudna z uwagi na różne tunele, przepusty, spadki i grodzie. Najtrudniejszą sprawą było wykonanie drewnianych szalunków skomplikowanej konstrukcji. Niestety, pierwsze betonowanie ścian i wnętrza pulsatorów spowodowało awarię szalunków, stemple średnicy 20 cm łamały się jak zapalki, grubość ścian konstrukcji zamiast 25–30 cm wynosi 50 cm. Takie masy świeżego betonu wydzielają dużo ciepła, poza tym brak powietrza poważnie utrudniał akcję ratunkową. W efekcie betonowanie zostało zakończone, ale ślady tej katastrofy widoczne są do dzisiaj w postaci zniekształconych ścian tuneli.

Pamiętam ostrzeżenie Instytutu Meteorologii o nadciągającej burzy i silnym wietrze. Monterzy właśnie skończyli montować wielki wieżowy dźwиг szynowy wysokości ok. 80 m z wysięgnikiem ok. 70 m. Dzień i noc pracowałem wraz z grupą monterów nad zabezpieczeniem tego dźwigu przed wywróceniem.



Nagroda I stopnia za wybitne osiągnięcia twórcze w dziedzinie architektury. Ja w pierwszym rzędzie, trzeci od prawej.

Rzeczywiście rozszała się burza, wiatr wiał ponad 100 km/godzinę. Dźwig kiwał się, ale tylko na swojej wysokości, natomiast nie odrywał się od ziemi. W Warszawie w tę noc przewróciły się dwa dźwigi. Nasz został uratowany. Budynki pulsatorów zostały wybudowane. Stropodach budynków z płyt panwowych izolowany termicznie od wewnątrz budynku. Płyty między sobą przed zalaniem betonem były zalewane masą chemiczną z utwardzaczem, ażeby uchronić spoiny płyt przed korozją spowodowaną parą wodną. Po wybudowaniu pulsatorów oraz komory SA-2 przystąpiliśmy do budowy obiektu Filtrów.

Poza pracą kwitło również życie kulturalne. Chodziliśmy często do teatru na dobre sztuki, chodziliśmy do restauracji Trojka, do restauracji Bazyliżek oraz do Grand Hotelu na Olimp na potańcówki, spotykaliśmy się w domach z przyjaciółmi. A nasi przyjaciele mieli niezemskie pomysły.

Późnym wieczorem dzwonek do furtki. A dzwonek był nie byle jaki, bo to była chyba kościelna sygnatka. Do nas dzwoniło się 3x, do ciotki Toli 2x, a do lokatora 1x. W każdym razie zawsze całe Okęcie wiedziało, kiedy mamy gości. Rzeczywiście, przed furtką stało czterech panów z wielkim bukietem polnych kwiatów oraz z jakimiś torbami. Zszedłem do furtki, a tam kwiat naszego MPRInż-u: Gerard Pordzik, Edek Czyżewski, Donat Hopfer oraz młody adept zawodu inżyniera Leszek Jenger, który znał na pamięć całą książkę „Słówka” Boya-Żeleńskiego i przy wszystkich uroczystych okazjach z wdziękiem podpisywał się tą znajomością. Słowa powitania wygłosił Gerard Pordzik, który na początku stwierdził, iż takiej kawy, jaką parzy Janeczka (moja żona), to nigdzie nie ma i w związku z tym przyszli do nas na kawę, a przy okazji przynieśli dla Janeczki upominki. Cóż było robić, zaprosiłem szerokim gestem wszystkich do domu.

W domu okazało się, że nasi goście, idąc do nas przez pola, rwali, co na tych polach rośło, więc przynieśli młode kartofle, główkę kapusty oraz kilka kalarepek. Janeczka zadecydowała, że każdy czyści lub obiera swoje przyniesione wykopaliska. Tak się też stało, po czym wszystko zostało ugotowane i ze smakiem zjedzone oraz popite wyborną kawą parzoną

w szklance, jak nawiał Gerard. Ale co zrobić z tak interesująco rozpoczętym wieczorem? Po krótkiej naradzie stwierdziliśmy, że Zula (żona Edka Czyżewskiego) może się obrazić, że nie brała udziału w tak miłym i sympatycznym spotkaniu. Postanowiliśmy Zulę odwiedzić w domu, a była już godzina chyba po 22. Wyśłaliśmy więc Gerarda, specjalistę od polnych kwiatów, aby przygotował bukiet i tak zaopatrzeni poszliśmy z wizytą. Edek miał klucz od swojego mieszkania, więc bez trudu się dostaliśmy. Pozostała ostatnia trudność, jak obudzić Zulę, żeby nie było awantury. Tę czynność powierzyliśmy Edkowi jako osobie najlepiej znającej zwyczaje i temperament swojej małżonki. Pamiętam pytanie Zuli: „To ilu was jest?”. Na to Edek odpowiedział, że „Z tobą, kochanie, będzie 7 osób”. „Idioty” – powiedziała Zula i zaczęła się ubierać. Gerardowi nie podobala się jej sukienka i stwierdził, że przy takiej okazji i dla takich gości musi być bardziej elegancka, po czym sam wybrał jej sukienkę. Zula się przebrała, wszyscy orzekli, że teraz to możemy iść do Trojki lub do Grandu na Olimp. Nie pamiętam, która opcja zwyciężyła, ale po wyjściu z tramwaju dopadł nas taki deszcz, że wszyscy byli absolutnie przemoczeni. Ale tańce się odbyły.

W lipcu 1969 r. złożyłem wypowiedzenie z pracy w MPRInż. Jednocześnie rozpocząłem pracę w Biurze Konstrukcyjno-Technologicznym Maszyn i Urządzeń Budowlanych na stanowisku starszego projektanta konstrukcji budowlanych. Biuro mieściło się przy ul. Wolność 7/9 w Warszawie. Biuro zajmowało się projektowaniem budynków mieszkalnych w systemie WK-70 oraz fabryk domów. W 1972 r. biuro zmieniło nazwę na Centralny Ośrodek Badawczo-Rozwojowy ZREMB. W tym czasie projektowaliśmy fabrykę domów w Płocku, Starachowicach oraz w Radomiu. Lokalizacja fabryki domów była na terenie przyległym do huty w Starachowicach. W tym czasie na całym terenie huty trwał remont urządzeń podziemnych, jak rurociągi sieci ciepłej, kanalizacji, wodociągu oraz sieci elektrycznej i niskoprądowej. W związku z tym cały teren zaplecza huty był rozkopany do granic możliwości. Nasza fabryka domów była już fizycznie na ukończeniu.



Przypis Redaktora Wydania: Magazyn wysokiego składowania Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu po pożarze, który miał miejsce w 1987 r. Doszczętnie spłonęły nowoczesne hale, w których wielopiętrowo składowano podzespoły służące do montażu produkowanych w zakładzie samochodów osobowych. Po tym pożarze wprowadzono w Polsce znaczące zmiany w projektowaniu budynków tego typu. Na fotografiach powyżej widać, jak zniekształciła się stalowa konstrukcja budynku pod wpływem temperatury pożaru. źródło fot. internet.

To była epoka Edwarda Gierka⁵⁸, a więc drzwi na zachód zostały leciutko uchylone. Wtedy pierwszy raz w życiu zobaczyłem kalkulator elektroniczny. Biuro uzyskało pozwolenie na zakup amerykańskich kalkulatorów i każdy projektant dostał takie narzędzie. Były to kalkulatory czterodziałaniowe oraz posiadały pełny zakres funkcji trygonometrycznych. W pracowni był jeden kalkulator mechaniczny ręczny, popularnie zwany kręciółkiem. Używała go pani sekretarka pracowni do wykonywania miesięcznych sprawozdań, posiłkując się dodatkowo wielkimi drewnianymi liczydłami. Pamiętam, jak sprawdzaliśmy działania na funkcjach trygonometrycznych suwakiem logarytmicznym i amerykańskim kalkulatorem, za każdym razem wynik był identyczny, w kalkulatorze prawdziwy, na suwaku przybliżony. Robiliśmy zakłady, kto szybciej wykona skomplikowane obliczenie: na suwaku czy na kalkulatorze. Zawsze wychodziło, że szybszy był suwak. Ale z czasem suwak został odkładany i do łask dopuszczany kalkulator.

W naszej pracowni budowlanej był kolega, który obliczenia czterodziałaniowe wykonywał w pamięci, ale zawsze musiał w rękę trzymać suwak. Kiedyś zrobiliśmy mu psikusa i schowaliśmy jego suwak. Chłop pół dnia szukał tego suwaka, bo nie mógł rozpocząć pracy. Siedział przy biurku zmartwiony, w końcu ktoś włożył mu w rękę linijkę od kulmana (stół kreślarski). Gość popatrzył, zaskoczył i do końca pracy liczył z linijką w rękę.

W 1970 r. ukończyłem na Politechnice Warszawskiej dwusemestralne studium podyplomowe w zakresie betonu sprężonego i prefabrykacji. W latach siedemdziesiątych powstało szereg fabryk domów na licencji niemieckiej. Za projekt fabryki domów w Płocku otrzymałem państwową nagrodę Ministra Szkolnictwa Wyższego i Nauki. Nie wiem, co w tej chwili dzieje się z tą fabryką, ale słyszałem, że jakieś elementy stropów są w niej produkowane. Osobiście byłem projektantem kon-

strukcji i architektury fabryki domów w opisanych już Starachowicach, w Częstochowie, w Nowym Sączu, w Radomiu oraz częściowo w Warszawie. W Warszawie zaprojektowałem urządzenie do wzbogacania cementu domieszką żużla wielkopiecowego, w owym czasie hit w produkcji betonu. Urządzenie składało się ze stalowej wieży wysokości chyba 15 m, na której był posadowiony silos o pojemności 120 ton. Do tego silosu miał być podawany transportem pneumatycznym mielony żużel wielkopiecowy, skąd był dozowany do betoniarki w czasie produkcji betonu. Pamiętam, jak po zmontowaniu wieży oraz zamontowaniu na niej silosu o pojemności 120 ton zobaczyłem tę konstrukcję, to po plecach przeszły mi ciarki. Natychmiast wróciłem do biura i zacząłem sprawdzać wykonane obliczenia całej konstrukcji. Zajęło mi to tydzień, licząc w tym również noce. Na ten czas wstrzymałem operację wykonania próbnego obciążenia konstrukcji. Wyniki obliczeń okazały się zadawalające, przystąpiono więc do próbnego obciążenia konstrukcji. Wieżę i silos opleciono tensometrami i przystąpiono do napełniania silosu zmielonym żużlem wielkopiecowym z nadatkiem wagowym 15%. Konstrukcja pozostała pod obciążeniem 2 dni. Po tym okresie przystąpiono do zestawienia uzyskanych wyników, które okazały się zgodne z oczekiwaniami i na tej podstawie urządzenie uzyskało dopuszczenie do użytkowania. Próbne obciążenia konstrukcji wykonała Politechnika Warszawska. Wkrótce po włączeniu tego urządzenia do eksploatacji wyszło zarządzenie zakazujące używania żużla wielkopiecowego oraz popiołów jako dodatków do cementu z uwagi na stwierdzoną radioaktywność żużla. W związku z tym moją konstrukcję chyba rozbrano.

W 1972 r. pracownia transportu pneumatycznego kierowana przez inż. Wojciecha Zmorzyńskiego dostała zlecenie na wykonanie projektu stacji przesyłowej cementu w Olsztynie. Stacja miała składać się z 6 silosów o pojemności 360 ton każdy, rurociągów transportowych oraz stacji dyspozytorskiej. Zadaniem stacji było przejęcie cementu luzem z wagonów kolejowych do silosów stacjonarnych i zaopatrywanie w cement budowy w rejonie Olsztyna. Projektantem prowadzącym ten temat został mgr inż. Mieczysław Kabat. Najważniejszym zagadnieniem w tym temacie był projekt techniczny silosu na cement. Należy

dodać, że w tym czasie obliczenia do projektów technicznych wykonywało się ręcznie przy pomocy suwaka logarytmicznego. Mietek przygotował projekt wstępny zbiornika, gdzie poszycie części cylindrycznej miało być z blachy stalowej grubości 6 mm. Problemem była pierwsza carga stojąca na pierścieniu zbiornika, czy jej grubość może pozostać 8 mm, czy zwiększyć ją do 10 mm. Z tym problemem przyszedł do mnie projektant, aby go przedyskutować. Mietek był za grubością 8 mm, ja byłem za 10 mm. Każdy z nas podpierał się fachową literaturą. Pamiętam, że na dyskusjach zeszło nam kilka godzin. Również inż. sprawdzający z Mostostalu uczestniczył w tych dyskusjach. Zwyciężyła wersja projektanta, czyli 8 mm. Projekt zbiornika został wykonany, podpisany przez sprawdzającego i dopuszczony do realizacji.

Po kilku miesiącach jest z Olsztyna telefon. Dzwonili z budowy, że coś niedobrego dzieje się z napełnianymi silosami, mianowicie zaczynają fałdować się części cylindryczne zbiorników. Szef pracowni inż. Zmorzyński zalecił natychmiastowy wyjazd do Olsztyna. Z uwagi na to, że ja byłem najbardziej wprowadzony w temat, dostałem polecenie od swojego szefa inż. Zdzisława Sałacha, żebym również wyjechał razem z projektantem. Wyjechalśmy przed zakończeniem pracy gdzieś około godziny 14 samochodem marki trabant. Dojeżdżamy do Olsztyna i z daleka nasza przesyłownia cementu widoczna jak na dłoni. Pytam się Mietka, ile było tych silosów? Mietek odpowiada, że sześć. Już bez słowa dojechalśmy na miejsce. Widok okropny. Jeden silos skrzycony i zwalony, samochód przysypany cementem oraz przygnieciony poskręcanym żelastwem z konstrukcji silosu. Katastrofa wydarzyła się ze dwie godziny przed naszym przybyciem. W powietrzu rozpylony cement, nie ma czym oddychać. Cały teren ogrodzony milicyjną taśmą. Oglądamy pobojowisko ze ściśniętym sercem. Wychodzi z biura milicjant i mówi, że tu nie wolno chodzić. Mietek odpowiada, że on jest projektantem tego silosu. Milicjant informuje z ukłonem, że pan prokurator przyjmuje w pokoju nr 3. Ja w międzyczasie obszedłem cały teren katastrofy oraz rozmawiałem z dozorcą, który był świadkiem wypadku. Okazuje się, że w czasie napełniania cementowozu, czyli opróżniania silosu, po przekręceniu kurka z powietrzem po kilkunastu

⁵⁸ Edward Gierek (1913–2001) – polski polityk, działacz komunistyczny, w latach 1970–1980 I sekretarz KC PZPR, poseł na Sejm PRL I, II, III, IV, V, VI, VII i VIII kadencji. Członek Rady Państwa (1976–1980), w latach 1971–1981 członek prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu.

sekundach nastąpiła katastrofa, silos się skrzył i runął na ziemię, grzebiąc również cementowóz. Kierowca siedzący w siofierce zginął na miejscu. Pogotowie odjechało jakieś pół godziny przed naszym przybyciem. Ja dostałem z biura telefon, że mam zostać i kierować akcją obrony pozostałych silosów.

Na drugi dzień na budowie zaroilo się od przedstawicieli władz miasta, Komitetu Miejskiego PZPR⁵⁹, milicji i wojska. Debatowano nad bezpiecznym opróżnieniem pozostałych silosów. Debaty trwały przez kilka dni przybierając chwilami formę zabawną. Stawiano na przykład propozycję, ażeby wojsko z armaty przestrzeliło silos, wtedy cement przez otwór po pociśku znacznie się wysypować. Nasi specjaliści od transportu pneumatycznego kilka razy prosili o głos, ale byli lekceważeni. Dopiero na zdecydowane żądanie kolegi Andrzeja Ćmielaka towarzystwo się uciszyło, a inż. Ćmielak przedstawił plan działania. Mianowicie należało otworzyć zawory przy silosach, powodując opróżnianie zbiornika, a sterowaniem opróżniania silosów kierować ze stacji dyspozytorskiej.

Pozostała sprawa odkręcenia zaworów przy silosach. Do tej czynności jako bardzo niebezpiecznej zgłosił się sekretarz miejscowej PZPR z dwoma towarzyszami, którzy mieli trzymać drabinę (zawory były na wysokości około 2,20 m od terenu). Tak duże niebezpieczeństwo było raczej wydumane. Wszyscy (poza nami specjalistami) powtarzali, że dotknięcie drabiną do obudowy silosu może spowodować katastrofę. Na bohatera, który miał odkręcić zawory, zgłosił się sekretarz partii Urzędu Miasta Olsztyn. Do trzymania drabiny zgłosiło się, jak podano wyżej, dwóch odważnych, nie pamiętam, z jakiej instytucji. Z najwyższą uwagą podstawili pod silos drabinę, nie dotykając nią silosu. Na drabinę wszedł sekretarz dość okazałej postury, drabina się zachwiała, jeden z trzymających drabinę potknął się i ta aluminiowa drabina z całą siłą wałnęła w silos robiąc niesamowity hałas. Wszyscy obserwatorzy wstrzymali oddech, czekając, kiedy zacznie się walić silos. Nic takiego się nie stało, poza tym, że sekretarzowi krople potu uperliły twarz. Ale cisza trwała kilka sekund, po czym sekretarz przekreślił rączkę od zaworu, szedł z drabiny i oddalił się do strefy bezpiecznej. Andrzej Ćmielak z dyspozytorni uruchomił opróżnianie zawartości silosu wprost na ziemię, skąd ciężarówkami cement wywieziono na budowy. Pozostałe silosy też posiadały odkształcenia płaszcza, ale nie były maksymalnie napelnione. Opróżnianie tych silosów nastąpiło przez cementowozy, które cement rozwiozły na budowy.

Właściwie część widowiskowa tej katastrofy została zakończona. Pozostało żmudne wycinanie zniekształconych elementów i w ich miejsce wstawianie elementów nowych. Częścią obliczeniową tej operacji zajmowała się Politechnika Poznańska oraz inż. Kabat. Częścią fizycznej naprawy Olsztyńskiej Przedsię-

biorstwo Budowlane. Kierownikiem budowy był inż. Szlachetko, mieszkaniec Olsztyna (imienia nie pamiętam). Rekonstrukcja najbardziej uszkodzonego zbiornika trwała chyba ok. 2 tygodni, czyli rewelacyjnie krótko. Następnie zbiornik został opleciony tensometrami oraz czujnikami rejestrującymi odkształcenia płaszcza zbiornika, oraz całego zbiornika jako bryły. Po wykonaniu tych prac przystąpiono do kontrolowanego napelniania zbiornika cementem. Napelnianie trwało dość długo, ponieważ dane z tensometrów i czujników były zapisywane ręcznie. Po kilku dniach panowie z Politechniki Poznańskiej zwołali zebranie całej załogi i zakomunikowali, że wyniki są rewelacyjne i zbiornik można napelnić na maxa, ile się zmieści.

Z tej to okazji wieczorem wydaliśmy sobie przyjęcie (chyba składkowe) z przewagą posiłków płynnych. Pań na tym przyjęciu nie było, więc było bardzo swojsko. Politechnika na dużym pustym stole zaprezentowała taniec ludowy „kazaczok”. Następnie były inne tańce, ale nie pamiętam jakie, ponieważ ja nie tańczyłem. Na tej uroczystej kolacji zabrakło projektanta tego silosu, Mieczysława Kabata, który przebywał w szpitalu. Czuliśmy się w obowiązku wyrównać tę lukę toastami „Zdrowie projektanta”, które z czasem stawały się coraz częstsze. Noc spędziliśmy na budowie, rano myjąc się pod szlauchem z wodą. Należy jeszcze dodać, że ja jestem już w tej delegacji 3 tygodnie. Wprawdzie jest lato (lipiec lub sierpień), a ja w dżinsach i w koszulce z krótkimi rękawami. Wprawdzie swoją koszulkę prałem już z pięć razy, ale przydałaby się świeża. Kilka razy byłem na objeździe u pana Szlachetki (kierownika budowy). Ojciec pana Szlachetki był gajowym lub leśnikiem, więc zawsze na obiad była dziczyzna.

Jest rok 1980. Strajki robotników, na ulicach zadymy, zomowcy pałują, kogo dopadną. Kolega z mojej pracowni, Andrzej, bardzo ciekawo świata, młodszy ode mnie o jakieś 30 lat, poszedł sobie w niedzielę na spacer na Starówkę. Usiadł na ławeczce pod Kolumną Zygmunta i relaksuje się. Podchodzi trzech zomowców i pytają, co on tu robi. Andrzej odpowiada, że jest na spacerze i odpoczywa. Na to zomowcy, żeby znalazł sobie inne miejsce do odpoczywania. Andrzej zapytał „A co, tu nie wolno?”. Andrzej przyszedł do pracy chyba dopiero we środek. Nie poznaliśmy go. Cała twarz w kolorze buraka. Zdjął koszulkę, okazało się, że całe ciało również w kolorze cwikły.

Pamiętam, jak wzięliśmy z żoną udział w jakiejś demonstracji politycznej na Starym Mieście. Szliśmy wąską ulicą na Starym Mieście. Wszystkie sklepy pozamykane, wszystkie drzwi do mieszkań zamknięte. Na końcu ulicy, którą szedł tłum demonstrantów, stał kordon milicji zamykający tę ulicę. Jedyne miejsce ucieczki to wolna uliczka prowadząca na Nowe Miasto, z której to szansy prowadzący demonstrację skorzystali. Na rynku Nowego Miasta pełno prowokatorów wykrzykujących hasła „Precz z komuną” lub drących państwowe flagi. Szybko opuściliśmy ten plac.

W listopadzie 1980 r. powstały wolne związki zawodowe „Solidarność”⁶⁰. Przynależność

do tych związków była zaszczytem. Cała nasza pracownia oraz pracownia transportu pneumatycznego, z którą zajmowaliśmy salę, należała do „Solidarności”. Był wyznaczony specjalny łącznik, który codziennie jeździł na Uniwersytet Warszawski po materiały oraz bieżące wiadomości, bowiem na uniwersytecie mieściła się Główna Kwatera Związku. Na początku roku 1980, jeszcze za czasów Gierka, istniała tendencja bratania się solidarności z PZPR. U nas, czyli w ZREMB-ie, bywało tak, iż zebrania odbywały się wspólnie. Na zebraniach tych zarówno partyjniacy, jak i solidarnościowcy krytycznie wyrażali się o rządzie oraz o socjalistycznej gospodarce.

Po zmianie na stanowisku I Sekretarza PRL, gdzie w miejsce Edwarda Gierka funkcję I Sekretarza objął Stanisław Kania⁶¹, sytuacja się zmieniła. Otóż nowy sekretarz zakazał takiego bratania się i zalecił, żeby członków NSZZ „Solidarność” uznawać za wrogów. W związku z tym ja swoją legitymację partyjną rzuciłem na biurko zakładowemu sekretarzowi, którym aktualnie był kolega elektryk Zygmunt Zgoła. Do tej pory nie rozmawiałem z Zygmuntem na ten temat, to znaczy, czy miał jakieś kłopoty w pracy związane z tym faktem.

Budowa fabryki domów w Starachowicach dobiegała końca, kiedy otrzymaliśmy poufną wiadomość, że budowę będzie wizytował premier Jaroszewicz⁶², który przyjedzie (tu podano datę), ale będzie to wizyta niezapowiedziana. Przed tym niezapowiedzianym dniem dyrektor biura inż. Luba zwołał naradę kierowników pracowni oraz projektantów prowadzących celem unaocznienia powagi sytuacji.

Dwa dni przed datą X na budowie wydarzyła się dość poważna awaria. W wytwórni betonu automatycy wprowadzili automatyczną dostawę betonu do linii formowania. Automatyka ta polegała na tym, iż pod betoniarę podjeżdżał wózek, operator naciskał guzik i wózek został załadowany betonem oraz wysłany do linii formowania. Lokalizacja betonowni była poza halą. Automatycy, żeby wpuścić wózek do hali, zaprojektowali i wykonali drzwi otwierane automatycznie przez jadący wózek. Automatyka ta polegała na mechanicznym uruchomieniu

obrony praw pracowniczych, do 1989 r. również jeden z głównych ośrodków opozycji przeciw rządowi Polski Ludowej i socjalizmowi.

⁶¹ Stanisław Kania (ur. 1927 r., w chwili druku niniejszego tekstu ma 91 lat) – polski polityk, poseł na Sejm PRL VI, VII, VIII i IX kadencji (1972–1989), w latach 1980–1981 I sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, członek Rady Państwa (1982–1985).

⁶² Piotr Jaroszewicz (1909–1992) – polski nauczyciel, polityk i działacz komunistyczny, wicepremier od 1952 do 1970 r., minister górnictwa i następnie górnictwa węglowego (1954–1956), poseł na Sejm Ustawodawczy oraz na Sejm PRL I, II, III, IV, V, VI, VII i VIII kadencji. Generał dywizji Wojska Polskiego, prezes Rady Ministrów w latach 1970–1980, członek prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu (1971–1981) oraz członek Komisji Wojskowej Biura Politycznego KC PZPR, nadzorującej Wojsko Polskie od maja 1949. Zamordowany wraz z żoną w nocy z 31 VIII na 1 IX 1992 r.

⁵⁹ PZPR (Polska Zjednoczona Partia Robotnicza) – monopartia socjalistyczna utworzona 15 XII 1948 r. poprzez połączenie Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej po przeprowadzeniu czystek w ich szeregach. Określana również jako realno-socjalistyczna, sprawująca rządy w PRL w latach 1948–1989.

⁶⁰ Solidarność (Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”) – ogólnopolski związek zawodowy powstały w 1980 r. dla

krzywki przez jadący wózek, krzywka zamykała obwód elektryczny, który uruchamiał mechanizm otwierania drzwi. Dzień przed wizytą w czasie sprawdzania działania urządzeń wysłano obciążony wózek, żeby przebył całą trasę od betoniarki do linii formowania. Niestety, wózek przejechał, ale bez automatyki, bo ta nie zadziałała. W rezultacie wózek zdemolował pół ściany hali betonowni, torowisko, po którym jechał, nie wspomnę już samego wózka. Przyczyna? Nie zadziałała krzywka, nie otworzyły się drzwi dla przepuszczenia wózka. Mieliśmy ¾ dnia i noc na naprawienie tych szkód. Na szczęście technicy, którzy byli z nami, zabrali samochód narzędzi. O godzinie 10 następnego dnia wszystko było naprawione za wyjątkiem wózka, który wyrzuciliśmy na złom. Beton miał być podawany do linii formowania mechaniczną taczka. Razem z nami całą noc pracowała na terenie huty ekipa porządkująca teren. Cały teren huty łącznie z wykonanymi nowymi kanałami i ułożonymi rurami CO został spychaczami wyrównany, zasypany oraz posypyany czarnoziemem. Po południu rosły już posadzone lub powtykane choinki. Po południu lubiący zbierać grzyby poszli sprawdzić czy rosną, reszta łącznie z paniami zaczęła przygotowania do uroczystej kolacji z okazji zakończenia robót i przekazania tej fabryki inwestorowi. Rozeszła się pogłoska, że z tej samej okazji ja, jako szef montażu, mam otrzymać talon na samochód. Rzeczywiście, talony były, ale otrzymali je sekretarz partii w Starachowicach oraz jeszcze chyba dwóch notabli.

Następnego dnia odbyła się uroczystość przekazania miastu wykonanej fabryki domów, wprowadzie bez węzła betoniarskiego i linii dostarczania betonu, ale reszta działała. Premier podziękował za wykonaną pracę, pochwalił biuro projektów oraz miejscowe przedsiębiorstwo wykonawcze i pojechał, natomiast ekipa z huty zabrała się do pracy aby odkopać zasypane kanały, wydobyć uszkodzone rury i w ogóle przywrócić stan zagospodarowania terenu sprzed wizyty premiera.

Grzybiarze wrócili z lasu z pełnymi koszami pięknych grzybów, więc wszyscy stanęli do czyszczenia i segregacji tego towaru. Samoistnie wyłonili się specjaliści od spraw kulinarnych, którzy przygotowali grzyby w śmietanie, których nie powstydzili by się szef kuchni hotelu Bristol. Dzięki szczodrości dyrektora zakładu fabryki domów oraz naszego dyrektora uzyskaliśmy dość pokaźny zastrzyk finansowy, który natychmiast specjaliści od spraw PR zamienili uzyskane finanse na artykuły spożywcze płynne i stałe. Ja miałem ze sobą przedwojenną, sprawną naftowy prymus, który w kuchni zrobił furorę raz ze względu na starożytny wygląd, dwa, że cały czas służył w kuchni jako stała podgrzewarka. Część oficjalna imprezy zakończyła się z chwilą wyjazdu premiera, natomiast część artystyczna miała się rozpocząć chyba o godzinie 17 w hali w dużym pomieszczeniu linii formowania, dla dyrekcji fabryki domów, sekretarza pop oraz naszej dyrekcji czyli biura projektów. My, czyli projektanci, mieliśmy imprezę na pięterku w części socjalnej. Na naszej imprezie mieliśmy muzykę z płyt oraz towarzystwo pań, które zaprosili kawalerowie elektrycy. Panie te były to przeważnie operatorki suwnic oraz innych jeżdżących urządzeń, więc na naszej imprezie było gwarno, wesoło i przyjemnie, natomiast



na imprezie dyrekcyjnej cicho i nudno. Nic więc dziwnego, że do nas zaczęli przenikać uczestnicy imprezy dyrekcyjnej. Początkowo było to na zasadzie zapytania, czy można się przyłączyć. Później szef od marketingu (elektryk) wydał zarządzenie, że przepustką do zajęcia miejsca przy naszym stole jest udział alkoholowy w wysokości 0,5 litra alkoholu dowolnej marki. Były tańce, dyskusje, ale nikt się nie pił. Ze Starachowicami byliśmy jeszcze związani załatwieniem problemu dostawy betonu do linii formowania.

Dostałem nowe zadanie: projekt fabryki domów w Częstochowie i Nowym Sączu. Byłem jedynym inżynierem budowlanym w całym biurze projektów ZREMB. Drugi inżynier, Bogusław Jarzembowski, poważnie zachorował i w rezultacie pozostałem tylko ja. Pamiętam ten okres, do domu po pracy wracałem na kolację. Wtedy zaczął się koszmarny brak absolutnie wszystkiego. Pamiętam luksusowy sklep obuwniczy w Nowym Sączu. Eleganckie wnętrze, pięć sprzedawczyń rozwiązujących krzyżówki, a na ścianie ekspozycji wystawiony by jeden damski pantofel. Do tego sklepu zaszedłem z kolegami w celu kupienia dla kolegi jakichkolwiek butów, ponieważ w czasie podróży kuszetką ktoś w nocy ukradł jego buty. W związku z tym kolega paradował w gumiakach, które wypożyczyła mu budowa. Braki w zaopatrzeniu były tak duże, że na prowincji, w małych miastach i wioskach, zwykły chleb sprzedawano tylko dla mieszkańców, co nale-

żało udowodnić dowodem osobistym. Pamiętam, jak przyjechałem do Mikoszewa, gdzie prowadziłem budowę naszego ośrodka wypoczynkowego. Poszedłem do sklepu, żeby zrobić jakieś zakupy, a była to sobota. Sprzedali mi tylko gazetę „Trybunę Ludu”. Artykuły spożywcze były tylko dla miejscowych.

Wkrótce po tym zdarzeniu, w kwietniu 1982 r., za zgodą mojej dyrekcji przeszedłem do pracy w Przedsiębiorstwie Systemów Komputerowych, gdzie objąłem stanowisko kierownika pracowni projektowej. Pracownia zajmowała się projektowaniem obiektów z blach profilowych typu BISTYP–LEGIONOWO. Projektowaliśmy różne obiekty: szkoły, urzędy pocztowe, budynki biurowe itp. Praca ta nie bardzo mi odpowiadała z uwagi na małe motywacje zawodowe.

W przedsiębiorstwie tym pracowałem cztery lata do lipca 1985 r. i na podstawie porozumienia stron dostałem przeniesienie do Przedsiębiorstwa Projektowania i Realizacji Inwestycji MOTOPROJEKT mieszczącego się przy ul. Wspólnej 62.

Biuro zajmowało cały budynek i na owe czasy pracowało w nim około 1000 osób. Pamiętam mój pierwszy dzień pracy. Zgłosiłem się do dyrektora technicznego inż. Frączka (imienia nie pamiętam). Dyrektor w krótkich słowach wprowadził mnie w zagadnienia, którymi zajmowała się pracownia, a był to projekt odlewni żeliwa dla całej RWPG, czyli najnowocześniejsza odlewnia żeliwa całkowicie zauto-

matyzowana o powierzchni 15 ha pod dachem. Terminy napięte, a wszystkich pracowników, pełniących obowiązki kierownika pracowni Zygmunt Pietrzak architekt wypuścił na urlop. Razem ze mną pracę rozpoczęła technik pani Wanda Malczyk. Zygmunt powiedział nam, jakie prace są najpilniejsze i razem z panią Wandą stanęliśmy za kulmanami i wykonaliśmy projekt techniczny sieci ciepłej dla małego osiedle mieszkaniowego. Tak trwało to 2 tygodnie, po czym zaczęli powracać pracownicy z urlopów. W największym nasileniu pracownia liczyła 45 osób. Poza projektem i budową odlewni równolegle prowadziliśmy rozbudowę FSO Żerań⁶³. Prowadziliśmy rozbudowę hali tłoczni oraz projekt nowego magazynu wytłoczek z elektroniczną kontrolą przechowywania elementów oraz manipulatorami przejezdnyimi do odszukania i dostarczenia wybranych elementów. Należy dodać, że nośność stropu tego magazynu wynosiła 15 ton/m². Przy projektowaniu tego stropu dużo pracy włożyła pani inż. Zofia Czerniewska.

W dniu 21 II 1987 r. w FSO na Żeraniu wybuchł pożar w istniejącym magazynie wysokiego składowania. Magazyn ten, długości ok. 100 m, szerokości chyba 24 m oraz wysokości ok. 34 m służył do przechowywania części samochodowych oraz części silników. Przechowywane części były składowane w kontenerach stalowych o wymiarach ok. 1,2x1,2 m i długości ok. 2,0 m. Składowane części były owinięte natłuszczonym papierem lub falistą tekturą. Kontenery były ustawiane jeden nad drugim w swoich gniazdach. Każdy kontener miał swój stały adres. W odległości ok. 4,5 m od czoła ustawionych kontenerów były ustawiane następne rzędy. W powstałej wolnej przestrzeni między kontenerami zainstalowano jeżdżący manipulator, którego zadaniem było odszukanie i wyciągnięcie kontenera z potrzebnymi częściami. Pożar wybuchł w nocy i mimo interwencji zakładowej straży pożarnej oraz kilku jednostek straży zawodowej spłonął całkowicie. Należy dodać, iż był to budynek całkowicie w konstrukcji stalowej, znajdowały się w nim podzespoły stalowe lub z metali kolorowych owinięte w natłuszczony papier.

Po przyjeździe do pracy, następnego dnia dostałem wiadomość, żeby zgłosić się do dyrektora. Po krótkiej rozmowie wyjechaliśmy do FSO. Tam jeszcze pożar trwał, strażacy ugasili jedno miejsce, pożar wybuchał w innym. Ujrzeliśmy górę spletanego żelastwa. Konstrukcja nośna hali pomieszana z kontenerami oraz ich zawartością. Wszystko splecione, zglejowane (spalone, nadtopione) z miejscami żywego ognia. Na naprzędzie zorganizowanej naradzie władze nadrzędne podjęły uchwałę o konieczności odbudowy spalonego magazynu. Kierownikiem projektu oraz głównym konstruktorem zostałem ja oraz inż. Androsz jako projektant płyty żelbetowej w poziomie plus/minus 0.

⁶³ FSO (Fabryka Samochodów Osobowych) – polskie przedsiębiorstwo przemysłu motoryzacyjnego produkujące samochody osobowe, zlokalizowane w Warszawie w dzielnicy Praga-Północ na Pelcowiznie, zbudowane od podstaw na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych XX w. W latach 1986–2003 w skład FSO wchodził Zakład Samochodów Dostawczych w Nysie.

Najważniejszym w tej chwili zadaniem była możliwość dotarcia do tego złomowiska celem usunięcia spalonej konstrukcji, która w dalszym ciągu stwarzała zagrożenie. Kierownikiem odbudowy tego magazynu został inż. Roder z grupą wykonawców ze Śląska. On to zaprojektował i wykonał lancę z rury duralowej długości ok. 5 m zakończoną palnikiem acetylenowym. Lancą tą robotnik z bezpiecznej odległości wycinał zniszczone elementy stalowe, które wciągarką były usuwane. Była to ciężka i bardzo niebezpieczna praca, bowiem do wycięcia i usunięcia było ponad 800 ton stali, a w tym złomowisku ciągle wybuchały nowe pożary.

Centralne Laboratorium Kryminalistyczne Policji usiłowało wzniecić taki pożar w warunkach laboratoryjnych. Ustawiono taki sam odcinek ściany z ustawionymi kontenerami o takiej samej wysokości, takimi samymi pustymi przestrzeniami tworzącymi kominy powietrzne. Kontenery były załadowane materiałami, takimi samymi, jakie znajdowały się w spalonym magazynie. Wielokrotne próby podpalenia naolejonych opakowań nie wznieciły spodziewanego pożaru. Dopiero po wielu próbach zdołano wzniecić taki ogień, że metale lekkie jak aluminium, miedź, cynk paliły się żywym ogniem, stal topiła się i płynęła strugą. Widziałem to wszystko na nagranych filmie, który Centralne Laboratorium Kryminalistyki pokazało projektantom.

W lutym 1988 r. po roku prac magazyn wysokiego składowania został przekazany do użytkowania fabryce samochodów osobowych na Żeraniu. W związku z tym była wielka uroczystość, przemówienia, odznaczenia i nagrody. Znowu rozeszła się pogłoska, że ja mam dostać talon na poloneza. Przyznam się, że trochę w tę pogłoskę uwierzyłem, ale zostałem szybko wyprowadzony z błędu. W komisji odbioru technicznego magazynu był również kierownik Urzędu Dozoru Technicznego, który zakwestionował konstrukcję drabin pożarowych, których szczeble wykonano z prętów okrągłych, a nie jak stanowiła instrukcja UDT z prętów kwadratowych. Stanowisko szefa UDT mogło doprowadzić do konieczności wymiany drabin na nowe. Należy dodać, że wykonane drabiny miały specjalną konstrukcję, gdzie podłuznice drabin były jednocześnie rurami do podawania wody pożarowej. Odbyło się kilka posiedzeń komisji jawnych, oraz kilka niejawnych i w końcu został podpisany protokół rozbieżności, w którym uznano szczeble z prętów okrągłych jako spełniające wymogi instrukcji UDT odnośnie drabin. Uroczystości przebiegały już bez zakłóceń. Ja 22 II 1988 r. dostałem dyplom uznania i honorowy tytuł oraz odznakę Zasłużony dla FSO, szef UDT dostał talon na Poloneza.

Spalonym magazynem oraz jego odbudową zainteresowała się Centralna Komisja Nagród Ministra Gospodarki Przestrzennej i Budownictwa, która zażądała rysunków oraz opisów dotyczących faz projektowania i odbudowy. Do tych celów zatrudniliśmy znajomych architektów kol. Barbarę i Tomasza Wekka. Oni tak to ładnie przedstawili, że cały nasz zespół za udział w projekcie i odbudowie magazynu w 1989 r. otrzymał nagrodę I stopnia za wybitne osiągnięcia twórcze w dziedzinie architektury i budownictwa. Wręczenie nagród odbyło się w Pałacu Prezydenckim. Poza dyplomami były również gratyfikacje pieniężne.

Pamiętam, jak tuż przed godziną piętnastą, czyli tuż przed końcem pracy, przyszedł dalekopis z Lublina, żeby natychmiast przyjeżdżać, bo na odlewni wydarzyła się katastrofa: przepaliła się ściana żeliwiaka (piec hutniczy stosowany do wytopu żeliwa), część żeliwa wypłynęła na zewnątrz. Więc natychmiast w samochod: dyr. ds. technicznych, inż. Frączek, technolog generalny projektant inż. Kazimierz Zawadzki, projektant tego żeliwiaka (nazwiska nie pamiętam) oraz ja, konstruktor budowlany, jedziemy do Lublina.

Całą drogę rozmawialiśmy o tej katastrofie, zakładając różne wersje przyczyn tego wypadku. Po przyjeździe na miejsce mieliśmy opracowany plan działań. Widok, jaki zastaliśmy, mógł przyprowadzić o zawał serca. W ścianie pieca była dziura wielkości bochenka chleba, przez którą wylało się i zastygło w dole chyba połowę żeliwa, pozostała część zastygła w piecu. Pamiętam, że dwoma suwnicami wywieźliśmy w bezpieczną strefę wydłubane z fundamentów resztki pieca. Konstrukcja wsporcza suwnic trzęsła się, jęczała, ale na szczęście wytrzymała i obeszło się bez następnej katastrofy. Na szczęście obyło się też bez żadnego wypadku z ludźmi. Pracowaliśmy w pocie czoła dwa dni i noc, ażeby doprowadzić miejsce wypadku do stanu bezpiecznego wejścia ekipy remontowej oraz wydać decyzję o stanie konstrukcji stropu w miejscu awarii.

W dniu 4 VI 1989 r. odbyły się pierwsze częściowo wolne wybory (wybory kontraktowe). Tym sposobem komuna została lekko zarysowana. Wszyscy uznaliśmy, że idzie na lepsze, tylko trzeba tego dobrego pilnować. Mędrcy od ekonomii spod znaku pana prof. Balcerowicza⁶⁴ tworzyli nowe teorie, a inflacja szybowiała pod niebiosa. Tytuł milionerów w Polsce to jeszcze nie było. Ja zarabiałem miesięcznie ponad 35 mln zł, które przeliczono w czasie wymiany pieniędzy w stosunku 1 do 10:000, czyli za 10 000 starych zł otrzymywało się 1 nowy zł. Kraj zmagiał się z różnymi kłopotami z zarządzaniem państwem. Przedsiębiorstwa państwowe zaczęły popadać w długi, biura projektów nie miały zamówień lub zleceńodawcy nie mieli czym zapłacić za wykonane projekty.

Wtedy z pomocą przyszły nam państwa zachodnie. Pomoc ta polegała na wizycie biznesmana zachodniego w przedsiębiorstwie, które go zaprosiło, fachowej rozmowie z dyrekcją oraz miejscowymi specjalistami na temat, jak wyjść z tego marazmu. Oczywiście nic z tego nie wyszło, ponieważ ten biznesman nie przyjechał ze zleceniem na projekt np. fabryki, lecz na przyjemną wycieczkę z żoną, z pobytem

⁶⁴ Leszek Balcerowicz - (ur. 19 stycznia 1947) – polski polityk i ekonomista, doktor habilitowany nauk ekonomicznych, nauczyciel akademicki, profesor nadzwyczajny Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie. Wiceprezes Rady Ministrów i minister finansów w rządach Tadeusza Mazowieckiego (1989–1991), Jana Krzysztofa Bieleckiego (1991) i Jerzego Buzka (1997–2000), poseł na Sejm III kadencji (1997–2000), prezes Narodowego Banku Polskiego (2001–2007). Drugi przewodniczący Unii Wolności (1995–2000). Założyciel i przewodniczący rady think tanku Forum Obywatelskiego Rozwoju. Kawaler Orderu Orła Białego.

w luksusowym hotelu Marriott na koszt zapraszającego.

Nasz zaproszony specjalista z Francji odwiedził nasze biuro jeden raz, gdzie w godzinnej rozmowie przedstawiliśmy nasze problemy związane z brakiem zleceń, a tym samym z brakiem pracy. Niestety, nasz zaproszony ekspert nie widział innej możliwości poprawy naszej sytuacji, jak zgłoszenie upadłości firmy. W ten sposób biuro nasze zaczęło się rozpadać. Jeszcze zdążyliśmy zamontować w lubelskiej odlewni całkowicie automatyczną linię odlwania małych wyrobów, zwaną linią 7. Z powodu nie płacenia rachunków za prąd zakład energetyczny odciął zasilanie. Nie ma bardziej przegniebiającego widoku jak potężny zakład będący w bezruchu.

Ostatni raz byłem na odlewni w 1994 r. Wszedłem do ciemnej hali, popatrzyłem na stojące podwieszane przenośniki, puste i zimne piece żeliwiaki, suwnice w bezruchu to łza zakręciła się w oku. Zastanawialiśmy się w gronie kolegów jaka była przyczyna, że tak wielka inwestycja została zmarnotrawiona. Prawdopodobnie dlatego, że była tak wielka. Odlewnia ta mogła zaspokoić we wszelkie odlewy prawie całą Europę. A przecież inne państwa, jak Niemcy, Francja i Włochy też miały swoje odlewnie, które powinny pracować. Odlewnia lubelska z chwilą jej zamknięcia osiągała zaledwie 40% swojej wydajności. Likwidatorom odlewni za wyprzedaż wyposażenia po kosmicznej cenie złomu prokuratura postawiła zarzuty niegospodarności. Akta sprawy zostały przekazane do sądu. Biuro nasze popadało w kłopoty finansowe spowodowane brakiem zleceń. Dwukrotnie musiałem zwalniać pracowników i doszło do tego, że ze stanu osobowego pracowni 45 pracowników w roku 1993 pozostało 18 w roku 1994.

W połowie roku 1994 biuro nasze kupili Wietnamczycy i oczywiście wprowadzili swoje zwyczaje. Wtedy złożyłem wniosek o przejście na wcześniejszą emeryturę. Pracę zakończyłem 31 XI 1994 r. Z tej okazji wydałem przyjęcie dla całej mojej pracowni oraz dla osób zaprzyjaźnionych z pracowni współpracujących.

Po przejściu na emeryturę zacząłem pracować na swój prywatny rachunek. Na początek kupiłem komputer, drukarkę oraz nawiązałem kontakt z Biurem Komputerowego Wspomagania Projektowego Cadsis w Opolu. W biurze tym zakupiłem w ciągu roku 1995 pakiet programów do analizy statyczno-wytrzymałościowej i wymiarowania płaskich konstrukcji prętowych. W pakiecie tym były następujące tomy: „RM-WIN Analiza statyczno-wytrzymałościowa płaskich konstrukcji prętowych”, „RM-ŻELB Wymiarowanie elementów żelbetowych”, „RM-STAL Wymiarowanie prętów konstrukcji stalowych”, „RM-SPOL Wymiarowanie połączeń prętów konstrukcji stalowych”, „RM-DREW Wymiarowanie prętów konstrukcji drewnianych”, „PL-WIN Analiza statyczna i kinematyczna oraz wymiarowanie konstrukcji płytowych”.

Nawiązane kontakty w czasie pracy w Moto-projekcie teraz zaczęły przynosić owoce. Początkowo były to zlecenia od architektów na projekty konstrukcji budynków mieszkalnych,

sklepów oraz orzeczeń na temat wytrzymałości stropów w zabytkowym budynku w Krakowie oraz wytrzymałości fundamentów w starych budynkach w Warszawie.

Od roku 1995 należę do Związku Kombatan-tów i Osób Represjonowanych Okresu stalinowskiego. Posiadam następujące odznaczenia państwowe: z Urzędu do Spraw Kombatan-tów: Medal Pro Memoria i Medal Pro Patria 8 I 2013 r., legitymację Weterana Walk o Niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej; z Rady Narodowej m.st. Warszawy Złota odznaka honorowa Za Zasługi dla Warszawy; z Fabryki Samochodów Osobowych Żerań Dyplom i Odznaka Zasłużony dla FSO; Rzeczpospolita Polska Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

W ciągu 1995 r. niezbyt biegle, ale nauczyłem się posługiwać tymi programami oraz poznałem program AUTO-Cad. Początkowo swoje umiejętności doskonaliłem przy projektowaniu konstrukcji domków jednorodzinnych. W 2006 r. przyjąłem zlecenie na projekt dużej, automa-

Pamiętam, jak po przekazaniu galwanizerni do eksploatacji następnego dnia po przyjeździe do pracy zastaliśmy kompletnie zniszczone plastikowe rurociągi średnicy Ø 500 mm. Finowie zaoszczędzili i zamiast zastosować rurociągi do gorącej wody, zastosowali do zimnej. Efekt był taki, że te potężne rury leżały na ziemi, kompletnie zniekształcone.

Podziw polskiego kierownictwa budowy wzbudziła suwnica obsługująca wanny galwaniczne. Suwnica ta w czasie rozruchu często samoistnie zmieniała ustawienia zadane przez projektanta i wtedy wykonywała zupełnie nieprzewidziane czynności. Właściwe ustawienie programu następowało w Lahti w Finlandii, po telefonicznym zgłoszeniu awarii. Teraz to jest zrozumiałe, ja ze swoim komputerem bardzo często goszczę telefonicznie w mieszkaniu Tomka, męża Basi (średnia wnuczka), gdzie dokonuje on właściwych poprawek w programie, który ja bezwiednie zmieniałem.

Rodzina

Rok 1991 był rokiem tragicznym dla naszej rodziny. W dniu 17 VII 1991 r. zmarł nasz ojciec i w niespełna dzień później zmarła nasza mama. Właściwie to zostaliśmy sami z zięciem, córką i dwoma wnuczkami. Do tej pory w opowieściach rodzinnych w razie różnicy zdań na jakiś temat zawsze można było odwołać się do kogoś starszego, który mógł pamiętać omawiane zdarzenie i spór definitywnie rozstrzygnąć. Teraz nie było już kogo zapytać się lub poprosić o potwierdzenie zaistniałego zdarzenia.

W dniu 23 I 2012 r. zmarł nieodżałowany nasz przyjaciel i jednocześnie teść naszej córki Ignacy Wall, działacz społeczny, ogrodnik, człowiek prawy, wielkiego charakteru i wielki patriota. Cześć Jego Pamięci.

Nasze trzy wnuczki już dorosły, pokończyły studia i nadszedł czas wesel. Pierwsza wyszła za mąż średnia wnuczka mgr inż. Barbara Wall, od 27 VI 2015 r. pani mgr inż. Barbara Adamiec. Mężem Basi został dawny szkolny kolega, obecnie informatyk po Politechnice Warszawskiej, inż. Tomek Adamiec.

Jako druga wyszła za mąż najstarsza wnuczka mgr Małgorzata Wall, od 10 VI 2016 r. mgr Małgorzata Rokosz. Mężem Małgosi został Michał Rokosz.

Jako trzecia wyszła za mąż najmłodsza wnuczka, lekarz Zuzanna Wall, od 17 VI 2017 r. Zuzanna Rybaczek. Mężem Zuzi został Mateusz Rybaczek, chirurg z tego samego wydziału.

My, dziadkowie, awansowaliśmy 18 IV 2016 r. za sprawą Uli Adamiec, córki Basi i Tomka, z dziadków na pradiadków. Na szczęście następne awanse już nam nie grożą. Obecny status obejmie całą zbliżającą się populację niemowlaków.



Dziewczynka to moja późniejsza żona Janina wraz ze swoją

tycznej galwanizerni w koprodukcji z Fińską firmą *Galvatek*. Firma *Galvatek* dostarczała technologię galwanizerni, natomiast moim zadaniem było opracowanie projektu budowlanego, wpasowania tej galwanizerni w starą halę. PZL Zleceniodawcą był EADS PZL Warszawa Okęcie S.A. Zaczęliśmy pracę na wiosnę, na drugą wiosnę galwanizernia ruszyła i pracuje do tej pory. Byłem jedynym konstruktorem budowlanym w całym zespole projektowym, a poza samą galwanizernią należało przebudować całą przedwojenną halę fabryczną wysokość ponad 12 m z dachem szwedowym oraz wykonać bogato rozbudowaną część posadzki cztery metry poniżej istniejącej posadzki. Byłem jednocześnie projektantem konstrukcji budowlanych oraz kierownikiem budowy. Firma fińska dostarczyła technologię oraz zamontowała urządzenia związane z tą technologią. Powstała piękna kolorowa galwanizernia, w której było czysto jak w szpitalu.

Rodzina mojej żony, Janiny Kamińskiej z domu Jarmoc

W 1939 r. już po zajęciu Polski przez Niemców, na Okęcie dotarł Leon Wesołowski, brat Jadzi Jarmoc, matki mojej żony. Leon w czasie wojny walczył na froncie wschodnim, gdzie dostał się do niewoli niemieckiej, z której uciekł i pod koniec listopada 1939 r. dotarł do domu Jarmoców w Warszawie. W jakiś czas później do domu wrócił również Andrzej Bruczyński, który też walczył na froncie wschodnim. W efekcie w domu przy ul. Zawiszy Czarnego 1 na początku niemieckiej okupacji mieszkali osoby: Jadwiga Jarmoc z córką Janiną; siostra Jadwigi, Antonina Bruczyńska z mężem; państwo Pawłowscy; państwo Gulini; Leon Wesołowski, brat Jadwigi i Antoniny.

Dom był bez kanalizacji, bez wody (studnia i WC w podwórku), była tylko elektryczność. Trzeba było przyzwyczaić się do okupacji, do łapanek młodych kobiet do pracy w polu u pruskich baorów. Ze wszystkich łapanek teściowa wychodziła zwycięsko, z uwagi na doskonałą znajomość j. niemieckiego Antoniny i Andrzeja Bruczyńskich, którzy zawsze ją wybroniли. Znane było opowiadanie, jak w czasie takiej łapanki teściowa schowała się w pokoju za drzwiami, ale na przeciwległej ścianie wisiało lustro. Jak wachman przechodził, to wzrokowo się spotkali, ale wachman udał, że nie widzi.

Powoli życie wracało, mimo aresztowań, łapanek, godziny policyjnej i braku wszystkiego, co jest niezbędne do życia. Leon dostał się do pracy w Ursusie w fabryce traktorów, gdzie pracował na wydziale mechanicznym, obsługując jakąś maszynę. Efektem pracy było otrzymanie kartek żywnościowych oraz mocnej kenkarty⁶⁵ jako pracującego dla Rzeszy.

Siostry Jadwiga Jarmoc i Antonina Bruczyńska bez przerwy martwiły się o Leona, młodego wówczas mężczyznę, który po przyjeździe z pracy do domu każdego dnia miał wychodne, jak mówił, był umówiony albo z kolegami, albo z dziewczyną. Zapomniał tylko dodać, że jeszcze miał zbiórki w organizacji AK zgromadzenie „Garluch”, do którego dotarł dzięki poparciu Andrzeja Bruczyńskiego.

Nocą w styczniu lub lutym chyba 1943 r. do domu wpadło Gestapo z zamiarem aresztowania pana Pawłowskiego. Pawłowski zerwał się z łóżka w koszuli i w kałesonach, na bosaka wyskoczył przez okno. Zandarm, który był w eskorcie, wystrzelił z karabinu Mauser, ale na szczęście trafił tylko w okno. Ekipa aresztująca wyskoczyła na podwórkę i po śladach na śniegu usiłowali odnaleźć drogę ucieczki zbiega. Na szczęście w ogrodzie było tyle śladów, że Niemcy zrezygnowali z dalszych poszukiwań.

Natomiast bohater wydarzeń udał się do swojej rodziny zamieszkającej w prymitywnych



Moja teściowa, Jadwiga Jarmoc z domu Wesołowska.



Mój teść Michał Jarmoc.

domkach przy Alei Krakowskiej. Ale rodzina go nie przyjęła. Na drugi dzień teściowa znalazła go rano schowanego w ogrodowej altance. Miał bardzo dużo szczęścia, bo w nocy, na bosaka w koszuli i w kałesonach przebiegł od naszego domu do Alei Krakowskiej w okolicy ul. 17 stycznia i z powrotem, nie spotykając patrolujących Niemców. Teściowa wzięła go do domu, zapakowała do łóżka, aspiryna, herbata z miętą i reszta w rękach Opatrzności. Widocznie dobre to były ręce, bo chłop przeżył. Ale co dalej? Teściowa wysprzątała skrytkę w piwnicy, zaniósła pościel, poprawiła maskowanie i to było lokum dla pana Pawłowskiego na przeszło pół roku. Wszystkie operacje związane z istnieniem w piwnicy uciekiniera musiały być wykonywane w ścisłej tajemnicy.

Mimo tych zabiegów jeden z lokatorów poznał tę tajemnicę i oświadczył teściowej, że jeżeli Pawłowski do rana nie opuści tego domu, to on doniesie na policję, bo nie chce ginąć za kogoś. Według takiego postawienia sprawy przez lokatora pan Pawłowski został przeniesiony na wieś do domu państwa Liwińskich, który stał w pobliżu domu też państwa Liwińskich, ale tych, u których mieszkali



Tuż przed wojną, ostatnie zdjęcie rodzinne: Jadwiga Jarmoc, Michał Jarmoc, córeczka Janeczka.

wszyscy uciekinierzy z domu Jarmoców w czasie bombardowania Okęcia.

⁶⁵ Kenkarta (niem. *Kennkarte*, karta rozpoznawcza) – dokument tożsamości wydawany obligatoryjnie przez okupacyjne władze niemieckie, na mocy rozporządzenia Hansa Franka z 26 X 1939 r., wszystkim nieniemieckim mieszkańcom Generalnego Gubernatorstwa, którzy ukończyli 15 rok życia. W początkowym okresie okupacji poświadczaniem tożsamości były przedwojenne polskie dowody osobiste.

Pan Pawłowski wojnę przeżył, okazało się, że był w konspiracji z ramienia PPR⁶⁶. W związku z tym po wojnie początkowo był wójtem w gm. Skorosze, natomiast później był w ochronie prezydenta Bieruta i wyjeżdżał razem ze swoim pryncypałem we wszystkie zagraniczne podróże. W czasie tych wyjazdów wyposażył pracownię biologiczną szkoły im. Hugona Kołłątaja, w której uczył się jego syn. Dzięki panu Pawłowskiemu teściowa utrzymała swój dom bez przydziału lokatorów, a teść po demobilizacji i przyjeździe z Anglii dostał pracę w Instytucie Lotnictwa. Jednym słowem, pan Pawłowski zachował się, jak trzeba.

Moja teściowa Jadwiga Jarmoc urodziła się 20 X 1909 r. w Kwidzynie jako siódme dziecko w rodzinie. Wszystkich dzieci było dwanaścioro. Ojciec był młynarzem, matka prowadziła dom. Jadwiga posiadała wykształcenie średnie, pracowała przed wojną w biurze Polskich Zakładów Lotniczych Skoda. Wychowywała ją starsza siostra Tola, która w latach trzydziestych wraz z mężem Andrzejem Bruczyńskim z Wielkopolski przenieśli się do Warszawy, zabierając ze sobą Jadwigę. Zamieszkali w domu fabrycznym wybudowanym dla kadry inżynierskiej i dowódczej pracowników Polskich Zakładów lotniczych Skoda. Mąż Toli był zawodowym wojskowym, w młodości pilotem, w latach trzydziestych w fabryce Skoda z ramienia wojska kontrolerem jakości wytwarzanych wyrobów.

W 1933 r. Jadzia wyszła za mąż za Michała Jarmoca, zawodowego wojskowego, mechanika od silników lotniczych. Młode małżeństwo zamieszkało do czasu ukończenia budowanego własnego domu u Toli i Andrzeja Bruczyńskich w domu fabrycznym. Własny dom został ukończony w 1937 r. Jadwiga z Michałem oraz Tola z Andrzejem przenieśli się do nowego domu. W tym samym roku Michałowi i Jadwidzie urodziła się córka Janeczka, obecna moja żona.

W dniu 1 IX 1939 r. warszawskie lotnisko stało się głównym celem niemieckich nalotów bombowych. Pierwsze bomby spadły na wytwórnię silników oraz na dom fabryczny, gdzie mieszkał Bruczyński z żoną. Udało się ocalić i wynieść swoje rzeczy osobiste oraz zagospodarowanie mieszkania. Rzeczy te przeniesiono do mieszkania Jarmoców na ul. Zawiszy Czarnego. Nie wiem, kto tego dokonał, ponieważ w całej rodzinie nie było ani jednego mężczyzny. Jarmoc, Bruczyński i Leon Wesołowski byli na wojnie na froncie wschodnim. Bombardowania nasilały się i na naradzie mieszkańców domu podjęto decyzję o ucieczce na wieś do Lesznawoli koło Magdalenki odległej od Warszawy o kilkanaście kilometrów. Oczywiście cała wyprawa odbyła się na piechotę, a prowadziła dwuletnia Janeczka, obecnie moja

⁶⁶ PPR – Polska Partia Robotnicza, polska partia komunistyczna utworzona 5 I 1942 r. w Warszawie w czasie okupacji niemieckiej przez przybyłych z ZSRR polskich komunistów z tzw. Grupy Inicjatywnej, poprzez połączenie organizacji Związek Walki Wyzwolenkowej (utworzonej we wrześniu 1941 r.) z kilkoma istniejącymi wcześniej konspiracyjnymi grupami komunistycznymi, takimi jak: „Młot i Sierp”, Stowarzyszenie Przyjaciół ZSRR, Grupa Biuletynu Radiowego, Spartakus, Sztandar Wolności oraz grupa „Proletariusz”.



Potwierdzenie zameldowania Leona Wesołowskiego u Jadwigi Jarmoc.

żona. Jakoś szczęśliwie mimo ostrzału z powietrza przez niemieckie samoloty udało im się dotrzeć do celu. Zamieszkali u gospodarza pana Liwińskiego. Swoją podróż każdy opłacał według swoich możliwości: pomocą w polu, pomocą w gospodarstwie, pomocą psychologiczną. Jadzia Jarmocowa wróżyła z kart i miała takie powodzenie, że pacjentki rządne pomocy psychologicznej musiały umawiać się według kolejności zgłoszeń.

Mąż Jadzi, Michał Jarmoc, jako zawodowy wojskowy był już na froncie i Jadzia nic o nim nie wiedziała. Dopiero po kilku miesiącach zaczęły przychodzić listy z różnych miejsc Europy i Afryki. Michał Jarmoc wrócił do Polski po zakończeniu wojny.

Andrzej Bruczyński

Wujek Andrzej Bruczyński z początkiem września 1940 r. po powrocie z frontu dostał pracę na swoim dawnym miejscu, czyli w Polskich Zakładach Lotniczych przejętych przez władze niemieckie, jako mechanik silnikowy. Też miał kartki żywnościowe oraz mocną kenkartę. Jadwiga Jarmoc zajmowała się domem i córką Janeczką. Z Bruczyńskim nawiązał kontakt chorąży pilot Antoni Wolniczek, ps. „Napora”, były instruktor pilotażu w Dęblinie i Aeroklubie Warszawskim, który utworzył jeden z pierwszych konspiracyjnych oddziałów lotniczych Związku Walki Zbrojnej (ZWZ)⁶⁷. Zaproponował Bruczyńskiemu współpracę z wydziałem – zorganizowanie konspiracyjnej siatki wywiadowczej na terenie lotniska i fabryki. „Napora” został łącznikiem, zlecał zadania i odbierał meldunki od Bruczyńskiego, który obrał pseudonim „Faja”. Zebrane materiały przekazywał „Naporze” lub na hasło w kawiarni Madryt na Nowym Świecie. Bruczyński do konspiracji pozyskał sekretarkę kierownika wydziału remontu silników bezpośrednio podległego Ministerstwu Lotnictwa III Rzeszy

⁶⁷ Związek Walki Zbrojnej (ZWZ) – Siły Zbrojne w Kraju podczas II wojny światowej, w okresie od 13 XI 1939 do 14 II 1942 r., a następnie przemianowane na Armię Krajową

w Berlinie. Podsluchiwała rozmowy telefoniczne, robiąc z nich notatki oraz udostępniała dokumenty, korespondencję i tajne akta, z których sporządzał odpisy. Wykrał też mapę sytuacyjną „Fliegerhorst und Landung platze in Deutschland und den besetzten Gebieten” (Lista lotnisk i lądowisk w Niemczech i krajach okupowanych). Mapę dostarczono ppłk Jerzemu Kirchmayerowi z szefostwa ZWZ Okręg warszawski. Mapę tę przekazano do Londynu.

Innym spektakularnym wyczynem, którego dokonał Andrzej Bruczyński, było wyniesienie z magazynu lotniczego km-u (karabinu maszynowego), który przekazano do sztabu Szefostwa lotnictwa.

Wiosną 1942 r. Andrzej Bruczyński wysłany został na zwiad do Lwowa. Przez cały okres działalności konspiracyjnej w swoim mieszkaniu ukrywał ludzi, którym groziło aresztowanie. W piwnicy była wykonana skrytka, w której mieścił się człowiek.

Nocą 28 VIII 1942 r. Andrzej Bruczyński został aresztowany przez Gestapo i osadzony na Pawiaku⁶⁸. Był jednym z ok. 250 osób aresztowanych w związku z działalnością agenta Gestapo Ludwika Kalksteina. Na Pawiaku Bruczyński ze względu na doskonałą znajomość j. niemieckiego pełnił funkcję tłumacza na Oddziale V, później na oddziale II. W listopadzie przesłuchiwany był w więzieniu śledczym Gestapo na Alei Szucha⁶⁹. Swoje przeżycia pt.

⁶⁸ Pawiak – nieistniejące więzienie przy ul. Dzielnej 24/26 w Warszawie, mieszczące się w gmachu wzniesionym w latach 1830–1835 według projektu Henryka Marconiego pomiędzy ulicami Dzielną, Pawią i Więzienną. Kompleks więzienia składał się z oddziału męskiego oraz oddziału kobiecego, nazywanego Serbią. W latach 1939–1944 Pawiak był największym niemieckim więzieniem politycznym na terytorium okupowanej Polski.

⁶⁹ Aleja Szucha – ulica w śródmieściu Warszawy, biegnąca od placu Unii Lubelskiej do placu Na Rozdrożu. Nazwa upamiętnia Jana Chrystiana Szucha, architekta projektującego warszawskie założenia krajobrazowe i ogrody królewskie Stanisława Augusta Poniatowskiego. W 1900 r. tam powstał kompleks budynków Korpusu Kadetów. Jesienią 1939 r., po

Byłem tłumaczem na Pawiaku opublikował w pracy zbiorowej *Wspomnienia więźniów Pawiaka* wydanej w 1964 r.

W kwietniu 1943 r. w nocnym transporcie liczącym 399 więźniów został wywieziony z Pawiaka do KL Auschwitz II-Birkenau (Oświęcim-Brzezinka). W listopadzie 1944 r. został przewieziony do AL Reichenau (Rychnow-Czechy) obozu pracy - podobozu KL Gross-Rosem (Rogoźnica). Nocą z 7 na 8 V 1945 r. władze obozowe zarządziły ewakuację obozu, lecz po kilkukilometrowym marszu kolumna została zawrócona. Z dniem 8 V 1945 r. obóz wyzwoliły czołowe oddziały Armii Radzieckiej.



Andrzej Bruczyński.

Po kilkumiesięcznym pobycie u krewnych w Pudliszkach, gdy polepszył się stan jego zdrowia, powrócił do Warszawy. Założył mały warsztat wulkanizacyjny dętek i naprawy rowerów, a później jako rzemieślnik zrzeszony w warszawskiej Spółdzielni Mechaników i Optyków prowadził własny warsztat mechaniki precyzyjnej. Od 1947 r. zajął się konstruowaniem szeregu specjalistycznych urządzeń pomiarowych – twardościomierzy różnych typów. Był wynalazcą i racjonalizatorem i za swoje innowacyjne konstrukcje wielokrotnie został nagradzany medalami i dyplomami.

W 1971 r. za udział w Powstaniu Wielkopolskim⁷⁰ Uchwałą Rady Państwa został mianowany na stopień podporucznika. Odznaczony był między innymi krzyżami pamiątkowymi Dywizji i Frontu Lit.-Biał., Srebrnym Medalem za długoletnią służbę, Medalem dziesięciolecia Odzyskania Niepodległości, Brązowym Krzyżem Zasługi, a w PRL Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym Krzyżem Zasługi, Medalem Zwycięstwa i Wolności

kapitulacji Warszawy, gmachy zostały przejęte przez Gestapo, SD i Ordnungspolizei, a ulica znalazła się w centrum niemieckiej dzielnicy policyjnej.

⁷⁰ Powstanie Wielkopolskie – powstanie polskich mieszkańców Prowincji Poznańskiej przeciwko Rzeszy Niemieckiej, toczące się na przełomie lat 1918–1919. Polacy domagali się powrotu ziem zaboru pruskiego do Rzeczypospolitej, umacniającej swoją niepodległość.



Andrzej Bruczyński z żoną. Zdjęcie ślubne.



Andrzej Bruczyński.

Krzyżem Partyzanckim i Wielkopolskim Krzyżem Powstańcym.

Andrzej Bruczyński zmarł 20 I 1977 r. w Warszawie. Pochowany został na Powązkach wojskowych w kwaterze Powstańców Wielkopolskich. Żona Antonina zmarła 20 V 1984 r. Pochowana została przy mężu⁷¹.

⁷¹ Przedruk z Magazynu „Lotnictwo z Szachownicą” Nr 59 artykuł Podporucznik mechanik Andrzej Bruczyński 1893–1977.

Michał Jarmoc

Michał Jarmoc też starał się pomagać w tych ciężkich czasach i jak tylko mógł, a to przez Czerwony Krzyż przysyłał paczki z różnymi rzeczami. Na przykład Jadzia dostaje paczkę, a w paczce jeden but. Za tydzień przychodzi druga paczka, a w paczce drugi but do pary. Okazało się, że paczki z Czerwonego Krzyża były w Europie okradane. Dziadek przysyłał różne rzeczy: koniak, cygara, czekoladę, wspomniane buty itp. Cały otrzymywany żołd przysyłał do Polski. Jadzia rzeczy te sprzedawała i jakoś się żyło. Koniak był zostawiany na lekarstwo dla Janeczki, która gdy była przeziębiona dostawała kogel-mogel z koniakiem. Podobno pomagało.

Szkółę średnią – technikum mechaniczne – Michał Jarmoc kończył w wojsku⁷². W tym czasie był w 111 eskadrze myśliwskiej, w III Dywizjonie Myśliwskim w stopniu sierżanta (majstra wojskowego). Dowódcą eskadry był kpt. pilot Gustaw Sidorowicz. Dowódcą Dywizjonu był major pilot Zdzisław Krasnodębski. Dowódcą zgrupowania myśliwskiego był płk pilot Stefan Pawlikowski. Dywizjon składał się z trzech eskadr 111, 112 i 113 eskadry. Na lotnisku Okęcie stało w pogotowiu ok. 30 samolotów P.11. W dzień i w nocy były dyżury ostrego pogotowia, nie można było opuszczać lotniska bez zezwolenia. Z dniem 29 VIII 1939 r. teść dostał zezwolenie na wyjście na noc do domu, a mieszkali na terenie Zakładów Lotniczych w tzw. domu fabrycznym. W nocy przybiegł do mieszkania teściów goniec z rozkazem natychmiastowego stawienia się w eskadrze. Z domu wyszedł cichaczem, żeby nie obudzić dziecka, 20-miesięcznej córki. Nie miał pojęcia, że jest to pożegnanie z rodziną na siedem lat.

W eskadrze dostał rozkaz wyjazdu na lotnisko zapasowe do Zielonki pod Warszawą. W Warszawie trwała już wojna. Naloty niemieckich bombowców burzyły ważne obiekty miejskie i wojskowe. Dywizjon dziadka został przesunięty z lotniska zapasowego w Zielonce na lotnisko zapasowe koło Zaborowa pod Warszawą. W czasie walki powietrznej nad Zaborowem por. pilotowi Palusińskiemu został odstrzelony drążek sterowy. Lądował przymusowo bez drążka. Była odstrzelona chłodnica olejowa, podziurawiony kadłub zalany olejem ale pilot miał na szczęście, że pociski jego ominęły. W późniejszym czasie złożył ofiarę swojego życia za Ojczyznę w walkach powietrznych nad Londynem. Sierż. pilot Kołcon został w czasie walk zestrzelony nad Okęciem. Po kilku dniach z Zaborowa dywizjon został przesunięty na zapasowe lotnisko pod Lublinem.

Michał Jarmoc tak wspominał ten okres: *Bombardowania nasilały się, nasze samoloty jeszcze walczyły, ale było co raz gorzej, brakowało paliwa. Cofaliśmy się z dywizjonem aż do rumuńskiej granicy. Władze rumuńskie dziesiątego października 1939 roku na granicy nas internowały, rozbrowiły, a nas pod eskortą wywieziono do Tulczy na wieś Satano. Tam przebywaliśmy około 5 dni u gospodarzy. Mielismy swojego lekarza Dywizjonu, który nas zaszczepił przeciw malarii, bowiem w tym czasie panowała tam epidemia malarii i w każdym domu można było spotkać jedną lub więcej*



st. sierżant Michał Jarmoc.

osób chorych na malarię. Z Santano odwieziono nas do obozu w Pitesci, gdzie mieściła się szkoła podchorążych rumuńskich. Byliśmy obstawieni żołnierzami wokoło, gdyż rodacy masowo stamtąd uciekali. W obozie porucznik Czarny wyznaczył mnie szefem zastępcy kompanii, w której było 200 osób. Pobierałem prowiant i utrzymywałem porządek na sali. W moim pomieszczeniu przetrzymywałem lewe dowody, robiłem fotografie, sprowadzałem cywilne ubrania z miasta i organizowałem z porucznikiem Czarnym ucieczki z obozu oraz nawiązywałem łączność z kryjówkami w mieście.

Władze rumuńskie mocno zaostrzyły dyscyplinę w obozie. Kogo złapali bez przepustki na miejsce lub przy wejściu do obozu, zamykali w szafie gdzie można było tylko stać i tak trzymali przez 24 godziny.

Polacy, którzy nie byli szczepieni przeciwko malarii w dużej liczbie chorowali na tę chorobę. Były także wypadki śmiertelne, jeżeli ktoś nie wytrzymał 41° gorączki.

W połowie października 1939 roku uciekłem z obozu razem z grupą przez siebie zorganizowaną do Bukaresztu, a stamtąd dostałem skierowanie do portu Balchik nad morzem Czarnym. W późniejszym czasie porucznika Czarnego już nie spotkałem, nie wiem również czy nazwisko jego było prawdziwe. W Balchiku spotkałem dużą liczbę rodaków lotników, którzy oczekiwali na wyjazd do Francji. W Balchiku mieszkaliśmy w prywatnych mieszkaniach. Ludność tamtejsza była bardzo przychylna dla nas. Ja mieszkalem u Bułgara pana Stefana Jordanów. Przypominam sobie, kiedy opuszczałem Balchik wszyscy w rodzinie Jordanów poplakali się razem ze mną, życzyli żebym jak najprędzej powrócił do wolnej Ojczyzny. W Balchiku otrzymywałem 100. lei na całodienne wyżywienie i mieszkanie.

Rodacy w Balchiku byli nastawieni patriotycznie, każdy chciałby jak najprędzej dostać się do wojska aby wspólnie odzyskać ojczyznę.

Gdy 5 listopada 1939 r., grecki statek Patris wynajęty przez naszą organizację zabierał naszych rodaków, padał duży deszcz, ja osobiście bardzo czekałem nad morzem do godziny 2 w nocy aby dostać się na statek poza normą. Przybył łącznik i zakomunikował, że już na statek nikogo nie wpuszczą z powodu przelado-

wania. Statek Patris był przygotowany na 350 osób a zabierał 1400 osób. Za opłatą 200 lei rybacy łódkami w nocy dowozili chętnych na podróż. Ja tym statkiem nie mogłem odpłynąć, udało się to dopiero 20 grudnia 1939 roku.

Wspomnienia Michała Jarmoca z drogi Balchik-Bejrut

Gdy wpłynęliśmy do Konstantynopola ujrzeliśmy setki różnokolorowych reflektorów. Wpłynęliśmy do kanału Dardanele-Bosfor przy pomocy pilota, który nas przeprowadził. U brzegów morza Egejskiego spotkałem angielskie okręty wojenne. Nasz statek został na morzu Egejskim sprawdzony przez angielski patrol. Morze Egejskie było bardzo wzburzone, ja zachorowałem na morską chorobę, lekarze stwierdzili skręt kiszek. Statek Patris rzucany był jak piłka, był nadany sygnał S.O.S. Prawdopodobnie statek już leżał na boku kiedy znaleźliśmy się u brzegów Bejrutu. Na Morzu Śródziemnym zobaczyliśmy setki delfinów, które towarzyszyły nam w podróży. Był postój statku przed portem, w tym czasie wyskoczyło dwóch naszych rodaków aby się wykapać i popływać, jednak po odpłynięciu od statku obaj utonęli. Było to smutne przeżycie. W Bejrucie w tym czasie była ładna pogoda, w dzień +40° w nocy +10° Celsjusza. Była to pora dojrzewania pomarańczy i cytryn. Wokół Bejrutu były duże ogrody pomarańczy i cytryn, które w tym czasie były jeszcze zielone. Natomiast nad rzeką za Bejrutem, tam gdzie były nasze namioty – duże plantacje bananów, też jeszcze zielonych. W tym czasie widziałem na polach uprawy warzyw i zbóż. Żyto było już w kłosie. Ludność prawie arabska, częstowali nas owocami a jak poszliśmy kupić pomarańcze, to pieniędzy brać nie chcieli. W rozmowie nam współczuli, bardzo interesowali się naszym losem.

Zamieszkaliśmy za miastem w namiotach nad rzeką. W namiotach podłoga była na palach. Okazało się w późniejszym czasie, że pale były przywiezione, aby w czasie dużego deszczu woda mogła swobodnie przepływać, w innym przypadku woda mogłaby zmyć namiot. W czasie nocy należało dobrze sznurować namiot, ażeby szakale nie ugryzły nogi. Całą noc było słychać ich wycie i szczekanie. Był taki przypadek kiedy poszliśmy do restauracji coś zjeść, zaczęliśmy studiować menu żeby nie trafić na ostrygi. W tym czasie podszedł do nas kelner i zapytał się po polsku, czy chcecie kotlet z kapustą. Był to Polak z rodziny, która przybyła z Rosji po rewolucji 1918 roku. Przypominam sobie jak około 60 starców oskardami zruszało ziemię na skalistym terenie pod Bejrutem a później siali soczewicę.

⁷² M. Jarmoc, *Wspomnienia wojenne*.

Wspomnienie z podróży: Bejrut, Aleksandria, Algier, Marsylia

Drugiego stycznia 1940 roku opuściłem Bejrut na statku Patria, francuskim trzy kominowym transportowcu. Statek wypłynął z portu załadowany około 4000 żołnierzami o różnych kolorach skóry. Po drodze statek zawinął do Aleksandrii, gdzie była przygotowana duża liczba bali bawełny, którą nocą załadowano na statek. Wokół statku na łodziach kręcili się Egipcjanie sprzedając egipskie pamiątki jak portfele, torebki, walizki z ozdobami egipskimi. W porcie był duży ruch statków. Po wypłynięciu z Aleksandrii po drodze statek zawinął do portu Algier, gdzie wylądowano dużą liczbę żołnierzy, prawdopodobnie na urlop. Jednocześnie doładowano towaru. Wieczorem wypłynęliśmy w morze, kierunek Marsylia. Cały rejs był bardzo niebezpieczny z powodu silnej burzy. Statek chociaż był duży jednak trzeszczał od uderzeń fal wodnych. Tworzyły się duże góry wodne, od czasu do czasu śruba była słyszana, czyli była na wierzchu. Jak woda odpływa od statku to prawie do dna statku była widzialna przepaść. Po przybyciu do Marsylii wywieziono nas do obozu „Karpiani” w okolicach Marsylii. Był to obóz dla niemieckich jeńców wojennych wybudowany w 1914 roku. Składał się z drewnianych baraków w oplakany stan. Ściany dziurawe, przez szczeliny wiatr hulał tak, że trzeba było dużo palić w piecach żelaznych opałem nazbieranym przez nas w lesie. Spanie w nocy było pod sześcioma kocami. Trzymaliśmy cało noc dyżury aby nie wygasł ogień. Po kwarantannie odesłano nas częściowo do bazy lotniczej Bron m umieszczono nas w barakach, spaliliśmy na podłodze, na której była słoma. Był smutny, bezczynny nastrój. W tym czasie nie były nawiązane jakiejkolwiek stosunki między Polskim Rządem a Rządem Francuskim. Po nawiązaniu stosunków między rządami zaczęliśmy chodzić do hangaru zapoznawać się ze sprzętem francuskim. Nasi piloci byli również dopuszczani do latania na ich samolotach. W czasie treningu na samolocie myśliwskim „Morane” por. pilot Januszewicz był dowódcą 111 eskadry myśliwskiej wypowiedział to słowa: „Myślałem, że odegram się za naszą spaloną Warszawę, jednak jak przypikuję na Moranie to skrzydła wyginają się do góry i koniecznie trzeba wyrównywać, a na swojej P11 jak pikowałem z wysokości to byłem pewny, że samolot wytrzyma i nic się nie zepsuje.” Pamiętam jak pierwsza partia pilotów polskich była odsyłana do francuskich eskadr bojowych. Ówczesny premier Rządu Polskiego generał Sikorski w przemówieniu wypowiedział: „Rodacy, wiem, że chcielibyście jak najprędzej włączyć się do walki o oswobodzenie naszej ojczyzny, jednak ta wojna nie będzie się toczyć o sprawę Polski, a będzie się toczyć o sprawę Świata, i wszyscy zdążycie wziąć w niej udział. Z chwilą uzyskania możliwości przez naszych pilotów chodzenia do hangarów obsługi samolotów, przeniesiono personel techniczny do pomieszczenia za hangarem, byli tam Polacy i Francuzi. Pewnego dnia o wschodzie słońca przylecieli Niemcy i zbombardowali bazę. Było zabitych około 17 osób, na szczęście nie było w tym naszych rodaków.

W marcu 1940 roku zostałem wyznaczony przez Polskie Dowództwo na szefa mechaników

jednostki lotniczej i wyjazd na front belgijski pod dowództwem kapitana pilota Kuziana. Z personelem udałem się do bazy lotniczej Tours, gdzie otrzymałem w oplakany stan samoloty myśliwskie „Morany”, które osobiście doprowadziłem do sprawności bojowej. Z Tours odesłano eskadrę do dużej angielskiej bazy lotniczej Anders.

Po kapitulacji Francji eskadra cofała się nad Kanałem La Manche do morskiej bazy lotniczej La Rochelle, a później do bazy morskiej Bordeaux. Tam gospodarze polecieli zdać samoloty i sprzęt techniczny. Ja osobiście dostałem polecenie od dowódcy kapitana Kuziana, aby zakomunikować obsłudze rozejście się do polskich rodzin bo nie mamy innego wyjścia, Niemcy są już blisko. Port morski był już obsadzony przez niemieckie łodzie podwodne. Francuzi nie chcieli dać żadnej pomocy, odmówili wydania samochodów. Z własnej inicjatywy zdobyłem duży samochód ciężarowy, zastawiony przez Anglików, którzy w nocy odlecieli z bazy Anders. Zarezerwowałem paliwo i żywność dla żołnierzy i drogą kołową nad hiszpańską granicą dostaliśmy się do morza Śródziemnego. Trudna to była droga. Nieznana, górzysta, na drodze spotykało się narzędzia rolnicze jak poodwracane żelazne brony, sprzęty itp. Na drogach był zastawiony również sprzęt wojskowy bez opieki jak wozy ciężarowe oraz duża liczba cystern z paliwem.

Bez specjalnych kłopotów dotarliśmy do bazy lotniczej La Rachele, gdzie lotnisko było obstawione samolotami w kilka rzędów. Były to przeważnie samoloty sportowe lub szkoleniowe. Początkowo nasza jednostka lotnicza była odesłana i działała na polecenie władz francuskich. Jednak w krótkim czasie byliśmy po stronie lotniska, gdzie byli Anglicy. Była to baza samolotów Fairey. Po przejściu na stronę lotniska gdzie stacjonowali Anglicy poczuliśmy się jako potrzebni żołnierze, sojusznicy wojenni. Anglicy nawiązali z nami przyjacielski kontakt żołnierski, przyłączyli nas do swojego zaopatrzenia żywnościowego. Wyżywienie było podawane przez obsługę angielską, stołówka - messa była w namiocie. Wszystko zaczęło się od przybycia do naszej bazy Air- Marchal (nazwiska nie pamiętam) z wizytą i tłumaczem polskim. Wypytywał co nam potrzeba, jakie macie niedociągnięcia gospodarcze. Kiedy mu przedstawiłem sytuację o zaopatrzeniu nas w żywność przez Francuzów, która była nijaka. Air - Marchal powiedział do „Fl - lewtomanta” angielskiego „to zaopiekujcie się Palakami” i odjechał. Za jakieś 30 minut przyjechali Anglicy samochodami i zabrali cały nasz sprzęt techniczny przewożąc go ze strony francuskiej na stronę angielską. Tam Fl-sergent zwrócił się do mnie z pytaniem gdzie chcemy postawić namioty, wybierz sobie miejsce. Oczywiście wybrałem około 800 m od ich baraków w zaroślach paproci. W późniejszym czasie zarządziłem wykopywanie rowów odlamkowych w pobliżu namiotów. Rowy te bardzo się przydały w czasie nalotu bombowego. Do swojej pomocy technicznej miałem przydzielonego szeregowca francuskiego, który nie znał sprzętu technicznego i samolotów. Nic mi w gospodarce technicznej nie mógł pomóc. Kiedy dostałem od dowódcy polecenie zmiany miejsca postoju, a mój pomocnik dowiedział się że jedziemy na front to zwał i więcej go nie widziałem.

Z bazy Anders, w nocy Anglicy odlecieli samolotami do Anglii i całą swoją bazę podpaliłi.

Były tam magazyny amunicji, żywność i sprzęt techniczny.

Wspomnienia po przybyciu do morza Śródziemnego do portu Wendes

Z bazy Anders wywiozły Nas statki angielskie i przywiozły do Oranu. Z portu wywieźli Francuzi samochodami w głąb lądu około 50 km. Mieszkaliśmy pod drzewem figowym, po którym lażyły zielone jaszczury długości około 40 cm. Tamtejszy Arab oswoił nas biorąc jaszczurę za kołnierza i wkładając jego paszczę w swoje usta dając tym znak, że nie są one groźne. Po pięciu dniach przywieźli nas do Oranu i pociągami w odkrytych wagonach jechaliśmy przez 70 godzin do Casablanki w Maroku. Po drodze w drugim dniu jazdy był wydany obiad w jakiejś osadzie. W czasie jazdy padał duży deszcz. Po przybyciu do Casablanki Francuzi ulokowali nas w hangarze samolotowym. Przebywaliśmy tam 8 dni. Później małymi statkami angielskimi odtransportowano nas brzegiem morza do Gibraltaru. Tam przeładowano nas do statków towarowych (węglarek).

Byłem naocznym świadkiem jak pancerniki, krążowniki i transportowce w dużej grupie wypłynęły z Gibraltaru na morze Śródziemne i po paru dniach powróciły. W czasie nieobecności floty była słyszana kanonada z armat dochodząca z kierunku morza. Jak się później okazało, było to ultimatum do marynarki francuskiej w Oranie o podporządkowanie się władzom angielskim z całą swoją flotą morską na morzu Śródziemnym.

Droga morską z Gibraltaru do Anglii

Z Gibraltaru wypłynęło 19 statków załadowanych naszymi rodakami. W osłonie były cztery torpedowce. Kierunek do Ameryki. Przez 13 dni płynęliśmy Atlantykem i wpłynęliśmy od północy między Irlandią a Anglią do portu morskiego Liverpool. Po drodze byliśmy bombardowani, jednak nad naszą flotą znalazła się Catalina, wodnopłat, który stoczył bitwę powietrzną. W krótkim czasie przyleciały Hurricany i zmusiły powietrznych piratów do ucieczki. Od tego czasu byliśmy eskortowani przez samoloty RAF-u. Po przybyciu do portu była bardzo duża mgła, musieliśmy czekać aż się rozszedła. W samym porcie pływały barki i wylały miny narzucane w nocy przez niemieckie samoloty. W samym porcie po ustąpieniu mgły widziałem dużo zatopionych morskich statków. Z wody widać było wystające maszty.

Po wylądowaniu odwiedziono nas pociągami do Glasgow. W pociągu podano nam pożywienie i napoje.

Pobyt w Glasgow od 18 VII do 17 VIII 1940 r.

W czasie Pobytu w Glasgow zacząłem uczyć się języka angielskiego w parku miejskim. Tam podpatrzył mnie „Szkot” Anglik i zaczął mnie pomagać po niemiecku, z której to pomocy dużo skorzystałem.

17 VIII 1940 roku wyjechaliśmy do bazy Gloucester, gdzie była wybudowana duża liczba baraków dla żołnierzy. Na noc teren był zadymiany tak, że o godzinie 15 było ciemno od dymu. Co noc, prawie po dachach przelatywały nad nami niemieckie bombowce i bombardowały środkową Anglię. W tym czasie, w pobliżu została zbombardowana i spalona fabryka śmigieł lotniczych. Podczas ostrzału artylerii przeciwlotniczej odłamki pocisków padały na dachy naszych baraków, dziurawiąc je.

Z chwilą zmroku wszyscy opuszczali baraki i oddalali się od trasy przelotu. Był to czas dla nas Polaków ponury i beznadziejny. Skupisko Polaków było duże i bezczynne.

Dwudziestego szóstego października 1940 roku odesłano mnie do Blackpool, tam znowu było beznadziejne wyczekiwanie na jakiś przydział lub do jakiejś szkoły. Mnie po przeegzaminowaniu przez Anglików odesłano do bazy lotniczej Lichfield 51MU RAF. W tej bazie RAF było około 200 naszych żołnierzy, gdzie poznawaliśmy sprzęt angielski. Mnie wyznaczono szefem mechaników w tym zespole. Anglicy byli początkowo nastawieni z rezerwą, ale kiedy zauważyli, że Polacy znają pracę przy samolotach, chociaż nie znają ich języka, nawiązali z nami przyjacielskie stosunki. Nasi żołnierze samodzielnie robili brakujące narzędzia. To im się podobało i przez to jeszcze większą przyjaźnią nas obdarzali. Ja osobiście byłem traktowany jako Fl - sergent (starszy sierżant). Był to najwyższy stopień podoficerski. Była taka sytuacja, kiedy Anglicy nie mogli zapuścić silnika „Pegaz” na samolocie „Wellington”. Kręcili go parę dni i nie chciał zaskoczyć. Ja poprosiłem, żeby mnie dali popróbować sprawdzić silnik i zapuścić go. Zgodzili się. Niespełna po dwóch godzinach uruchomiłem silnik. Skoczyli do mnie z zapytaniem, co to był za powód, że nam nie udało się uruchomić, a ty tego dokonałeś?. Kto ty jesteś, nie znasz naszych silników i mowy, a zapuściłeś? Gdy wyjaśniłem im, że znam wasze silniki i jestem mechanikiem lotniczym, wtedy zrozumieli, że Polacy są dobrymi fachowcami. Po tych fachowych doznaniach Anglicy zaczęli dopuszczać do naszych żołnierzy do obsługi samolotów razem z obsługą angielską. Baza RAF w Lichfield była magazynem, z którego samoloty Wellington były dostarczane do eskadr bojowych, a w Lichfield były konserwowane i przygotowywane do lotu.

Niemcy prawie każdego dnia, od godziny 11.30 do 14.00, byli na dużej wysokości. i nikt do nich nie wylatywał, bo angielskie samoloty nie miały takiego pułapu. W czasie zimy 1940 roku na lotnisku było około jednego metra śniegu. Bez przerwy trzeba było odgarniać aby mogły lądować i startować samoloty.

17.III.1941 roku powołano mnie do dywizjonu 316 w stopniu Fl-sergent. Dowódcą Fly - eskadry był kpt. pilot Wilczewski, a dywizjonu major pilot Gapsiewicz.

Dywizjon stacjonował na lotnisku Pembry w południowej Walii. Miał za zadanie patrolo-

wanie portu, zatoki, a także patrolowanie nad bazą morską „Swansea”. Tam zginął w wypadku samolotowym por. pitot Ander, lecąc z Pembry do Swansea na samolocie sportowym z drugim pilotem po inny samolot. Na trasie napotkali balony zaporowe, które po zaczepieniu spowodowały śmierć obu pilotów. Por. pil. Ander został pochowany w Pembry w południowej Walii. Dywizjon zmieniał często miejsce swojego postoju. Pamiętam, że stacjonowaliśmy na półwyspie Kornwalia, pomiędzy Bristolem a Exeterem, w środkowej Anglii w paru miejscach, a także w Northold skąd były wyprawy wmiotania nad brzegami Francji, a także osłona bombowców.

Uzupełnienie z Pembry

W czasie patroli nad morzem, koło zatoki, sierżantowi pilotowi Dobrzyńskiemu zapalił się silnik Merlin na samolocie Hurricane. Pilot zmuszony był skakać na spadochronie, który spadł do wody. Miał on poparzoną twarz i ręce, jednak własnymi siłami odcepił spadochron i płynął do brzegu, gdzie patrol go wyłowił i zabrał na łódź ratunkową, a później odwiózł do szpitala. Pilot przeżył. Silniki Merliny dość często zapalały się. Początkowo był widoczny dym, później ogień. Powód był taki, że koszulki cylindrów przepuszczały glikol (ciecz chłodząca) do cylindrów, który z kolei palił się.

Przy końcu 1943 roku z powodu choroby i złego samopoczucia, na moją prośbę zwolniono mnie z obowiązków szefa mechaników. Odesłano mnie do fabryki silników lotniczych „Luton” celem zapoznania się z tamtejszą pracą. Tam częściowo przez tydzień pracowałem przy montażu silników „Pegaz”. Po dwóch tygodniach Anglicy polecieli mi abym objął stanowisko kontrolera na montażu silników wewnątrz i zewnątrz. Byłem bardzo poważany, a także otrzymywałem uznanie za swoją pracę. Praca odbywała się 11 godzin z przerwą 1-godzinną na obiad. Byli tam żołnierze z różnych stron Imperium Brytyjskiego. Przyjeżdżali z różnych stron na 6-cio miesięczne przeszkolenie aby otrzymać awans. Po dwóch miesiącach z „Luton” powołano mnie do 18 OTU (18 Oddział Szkolenia Bojowego), gdzie było zgromadzenie polskich załóg, celem zgrywania się na samolotach Wellington z silnikiem gwiazdowym „Herkules”. W 18 OTU treningi odbywały się w dzień i w nocy. Mnie wyznaczono na zastępcę szefa mechaników. Pracy było dużo przy samolotach, gdyż latały one w dzień i w nocy po 10 godzin bez przerwy. Nastrój naszych młodych pilotów był dobry pomimo, że było dużo wypadków przy starcie lub lądowaniu. Powodem było za krótkie lotnisko w „Bramkot”. Jednak załogi młodzieżowe czekały na kolejną, ażeby jak najprędzej wziąć udział w nalotach operacyjnych na Niemcy. W roku (nie pamiętam w którym) kilka razy brały udział wszystkie samoloty szkolne w nalocie operacyjnym na Kolonię.

W 1944 roku zostałem skierowany do Szkolnictwa Bazy Polskiej „Newton”. Tam wyznaczono mnie na szefa mechaników zespołu samolotów „Oxford” – przemienionych na bombowce. Ruch na lotnisku był bardzo duży. Miałem 20 samolotów, a w powietrzu było 15. Szkolenie było przeważnie załóg polskich.

Po zakończeniu wojny, na apel Rządu Jedności Narodowej zgłosiłem chęć powrotu do kraju. W dniu 8 lipca 1946 roku przybyłem do kraju, zostałem zdemobilizowany przez RKU - Włochy do cywila w stopniu starszego sierżanta (majstra wojskowego). Złożyłem podanie o pracę w Polskich Linjach Lotniczych na Okęciu. Po sześciu miesiącach otrzymałem odpowiedź odmowną, że z powodu braku etatów przyjęty być nie mogę.

Jednocześnie w listopadzie 1946 roku złożyłem podanie o pracę w organizującym się Instytucie Lotnictwa, gdzie zostałem przyjęty 1 lutego 1947 roku jako technik mechanik. Później przemianowano mnie na starszego mistrza, gdzie pracowałem do 1 kwietnia 1970 roku czyli do przejścia na emeryturę. Jeszcze do 1977 r. pracowałem w Instytucie na części etatu, na tym samym stanowisku.

Po wypełnieniu sumiennie obowiązku obywatelskiego dla Ojczyzny w czasie wojny, w kraju w pracy zawodowej w Instytucie Lotnictwa zostałem wyróżniony w 1960 roku srebrnym krzyżem zasługi, a w 1969 roku Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Otrzymałem również odznaczenie francuskie Medaille commemorative de la guerre 1939-1945. Angielskie odznaczenie War Medal 1939-1945 oraz Defense Medal. Także otrzymałem medale za obronę Warszawy oraz medal Zwycięstwa i Wolności.

Teraz jestem na emeryturze i cieszę się wypoczynkiem, którego mam w nadmiarze.

St. sierżant Michał Jarmoc zmarł 3 VI 1999 r.

Na tym zakończę opisywanie swoich oraz innych członków rodziny przygód, ponieważ one uleciały, pozostały tylko obowiązki, takie jak poranne wstanie, toaleta, śniadanie, przyjęcie porcji leków, trochę telewizji... I tak mija dzień za dniem, ale pozostały wspomnienia i one rozświetlają to nudne bezrobotne dni.

Stanisław Kamiński

Opracowanie redakcyjne: Katarzyna Sieczko
oraz Maria Weronika Kmoch
Współpraca korekcyjna, edytorska
oraz graficzna:
Sławomir Rutkowski

Apel do mojej córeczki Ali

Życzylbym sobie, aby te zapiski rodzinne były prowadzone co najmniej do 2300 r., ażeby nasi następcy nie musieli się zastanawiać, skąd się wzięli. Od ciebie będzie zależał dalszy pisany los rodziny Wallów, Rokoszków, Adamców, Rybaczków oraz ich następców. A będzie się działo, oj będzie... Ale Ty to potrafisz.

Stanisław Kamiński
Warszawa, kwiecień 2018 r.



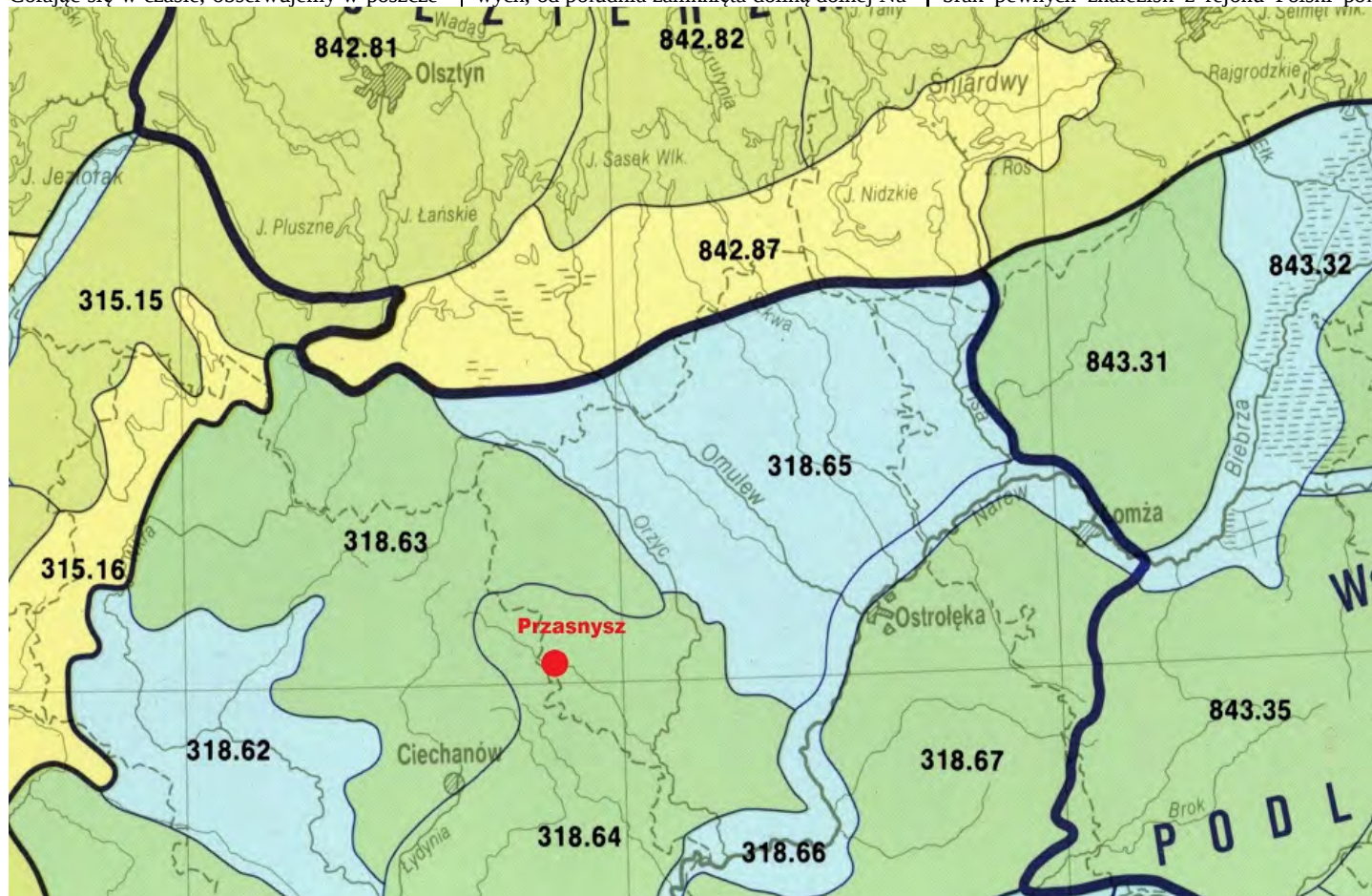
Międzyrzecze Orzyca i Omulwi do początku epoki brązu

dr Wojciech Borkowski

Granica obecnych województw mazowieckiego i warmińsko-mazurskiego w rejonie Chorzel jest jednym z najstarszych obszarów granicznych na Niżu Europejskim. Przez minione kilkadziesiąt lat, od ustalenia granicy między Państwem Zakonu Najświętszej Marii Panny a Księstwem Mazowieckim w dniu 8 X 1343 r., istniała w tym rejonie granica polityczna. Cofając się w czasie, obserwujemy w poszcze-

kończy się zasięg Niżu Środkowoeuropejskiego i zaczyna obszar Pojezierza Wschodniobałtyckiego. Na wschód od środkowego biegu Orzyca poprzez doliny dopływów środkowej Narwi: Omulew, Rozogę, Szkwę po dolną Pisę wydziela się Równina Kurpiowska, od północy ograniczona Równiną Mazurską z wytopiskami jezior polodowcowych, od południa zamknięta doliną dolnej Na-

na została przez tundrę parkową, porośniętą brzozą i sosną. Był to okres stwarzający możliwość stałego osadnictwa w tym rejonie, pierwszy od wielu tysięcy lat. W tym okresie prawdopodobnie na interesujące nas obszary mogły przenikać grupy ludzkie z kręgu określonego przez nas jako ugrupowania kultury hamburskiej lub pokrewne. Niestety, jak dotąd brak pewnych znalezisk z rejonu Polski pół-



Regiony fizjograficzne pogranicza Mazowsza oraz Warmii i mzur.

gólnych okresach istnienie granicy terytorialnej pomiędzy grupami ludzkimi w tym właśnie rejonie. Oczywiście im dalej wstecz spojrzymy, tym trudniej śledzić dokładne różnice kulturowe i mniej precyzyjnie możemy wyznaczać granice stref zasiedlenia. Niemniej, mamy chyba do czynienia z rejonem, w którym dość często w przeszłości dochodziło do kontaktów różnych grup ludzkich, a obszar dolin lewobrzeżnych dopływów środkowej Narwi zasiedlany był sporadycznie i na krótko, stanowiąc pas „ziemi niczyjej”.

Rzut oka na obraz geomorfologii regionu pozwala zrozumieć niektóre przesłanki takiego stanu rzeczy. W skali kontynentu w tym rejonie

rwii i Międzyrzeczem Łomżyńskim. Od zachodu Równina Kurpiowska graniczy z Wysoczyzną Ciechanowską i Wzniesieniami Mławskimi, a od wschodu z Wysoczyzną Koleńską. Równina Kurpiowska obejmuje obszar sandru mazurskiego na południe od fazy leszczyńskiej zlodowacenia wiślańskiego i opada w kierunku doliny dolnej Narwi od ok. 130–120 m n.p.m. do ok. 100–90 m n.p.m. Jej powierzchnia to ok. 2400 km².

Ok. XII tys. p.n.e., po długotrwałym okresie zlodowacenia na terenach Niżu Środkowoeuropejskiego, nastąpiło stosunkowo złagodzenie warunków klimatycznych. Tundra bezdrzewna strefy okołolodowcowej zastąpi-

no-wschodniej, które moglibyśmy wiązać z tym epizodem. Znaleziska z obszarów dzisiejszej Litwy, Kaszety (Kašetos) i Ukrainy północnej (Pribor) oraz zachodniej Białorusi (rej. Jez. Odriżyn) wskazują na prawdopodobieństwo takich penetracji również na obszar nas interesujący¹. Ewentualne ślady penetracji ludności kultury hamburskiej (jednozadziore) przypadałyby na okres Bölling². Na południe

¹ K. Szymczak, *Epoka kamienia Polski północno-wschodniej na tle środkowoeuropejskim*, Warszawa 1995, s. 16–20.

² Okres Bölling (okres klimatyczny) – interstadiał w czasie późnego glacjału. Jest cieplej-

od omawianego obszaru w tym czasie można spodziewać się zespołów kulturowych z kręgu magdaleńskiego.

Okres allerödski³ był ostatnią ciepłą oscylacją plejstocenu. W tym czasie tereny Nizy Europejskiego pokryte były lasami z dominacją sosny i brzozy. W okresie wczesnego Allerödu pojawiły się na obszarze Pojezierza Wschodniobałtyckiego grupy ludzkie posługujące się m.in. liściakami. Najstarsze ślady pobytu takich grup odkryto na stanowiskach Bohatery Leśne, gm. Lipsk n/Biebrzą, Puchówka, gm. Wieliczka i Wołkusz, gm. Lipsk n/Biebrzą. Zaliczone one zostały ostatnio do tzw. kultury perstuńskiej⁴. Na południe od tej kultury znajdujemy zespoły o odmiennej tradycji kulturowej, należące do kręgu kultur tardigraveckich⁵, określane mianem kultury witowskiej⁶.

Kolejne zimne wahnięcie klimatyczne Dryasu⁷ III zaowocowało zmianami florystycznymi i faunistycznymi, co pociągnęło za sobą zapewne zmiany ludnościowe lub kulturowe widoczne w materiale archeologicznym. Wschodnia część Nizy Europejskiego porastana była przez lasy iglaste. Obszar Pojezierza Wschodniobałtyckiego to, w owym czasie, rejon tundry i lasotundry. Zespoły wczesnoliściakowe kultury perstuńskiej zastąpione zostały najpierw przez tzw. kulturę wołkuszanską⁸ znaną m.in. ze stanowisk: Woźna Wieś, gm. Rajgród, Wołkusz, gm. Lipsk n/Biebrzą. Od południowego zachodu sąsiadowała z nią kultura witowska. Granica między tymi kulturami pokrywała się zapewne z granicami tundry i lasu borealnego.

Młodsza część okresu Dryasu III, w efekcie zmian klimatu na bardziej kontynentalny, zaznaczyła się aktywnym procesem wydmotwórczym. Niz Europejski porośnięty był w części wschodniej przez las iglasty, a w części zachodniej laso-tundrą ze strefą przejściową świetlistego lasu parkowego z grupami sosen i brzoź. W pierwszej połowie okresu preborealnego następuje szybki rozwój mało zwartych zbiorowisk leśnych brzoźowo-sosnowych z domieszką wierzby, osiki i jarzębiny, a następnie wiązu przy pewnej przewadze brzozy w rejonach północno-wschodnich⁹.

Druga połowa Dryasu III i początek okresu preborealnego to okres rozwoju klasycznej kul-

tury świderskiej, z kręgu kultur z liściakami. Zespoły tej kultury występują na obszarze Pojezierza Wschodniobałtyckiego oraz na Nizy Europejskim. Wyraźnie jednak widoczna jest granica występowania znalezisk liściaków na południowy wschód od międzyrzecza Omulwi i Orzyca. Zespoły zwarte odnaleziono na obszarze dzisiejszej Puszczy Kurpiowskiej: Łączki, gm. Łyse¹⁰, Myszyniec, gm. loco¹¹. Brak ich natomiast zupełnie na obszarze Wysoczyzny Ciechanowskiej czy Wzniesień Mławskich. Pojawiają się znowu w dolinie środkowej Wisły. Można przyjąć hipotezę o granicy pomiędzy dwiema prowincjami surowcowymi (być może odłamami tej samej kultury ludzkiej): północno-wschodniej (bazującej niemal wyłącznie na krzemieniu kredowym – bałtyckim) oraz środkowopolskiej (z przewagą narzędzi z krzemienia czekoladowego)¹². Sugerowana przez materiał archeologiczny pustka osadnicza w okresie drugiej połowy Dryasu III i w początkach okresu preborealnego na interesującym nas obszarze nie wydaje się być wynikiem odmienności przyrodniczej, jak miało to miejsce szczególnie w okresach późniejszych, ale zdaje się być pochodną oddalenia od złóż surowca: z jednej strony krzemienia czekoladowego na południu, z drugiej kopalnianego krzemienia kredowego – bałtyckiego na północ i wschód od międzyrzecza Omulwi i Orzyca.

Narastające wielkie zmiany klimatyczne wczesnego holocenu spowodowały, po kilkusetletniej obecności na terenie Pojezierza Wschodniobałtyckiego kultury świderskiej, rozpad układu kulturowego i formowanie się nowych epipaleolitycznych grup ludzkich. Dalsza dynamiczna ekspansja bardziej zwartych zbiorowisk leśnych, w połączeniu z zastępowaniem brzozy przez wiązy i leszczynę, stopniowo zmienia warunki florystyczno-faunistyczne omawianego obszaru. Stanowiska postświderskie z tego czasu występują wyłącznie na północ i wschód od międzyrzecza Omulwi i Orzyca. Są to m.in.: Tumiany, gm. Barczewo, Wołkusz, gm. Lipsk n/Biebrzą, Stara Różanka, gm. Kętrzyn, Elk, gm. loco i Płonka-Strumianka, gm. Łapy. W tym czasie na południowy wschód od międzyrzecza Omulwi i Orzyca formują się jednostki należące do nowego okresu środkowej epoki kamienia – mezolitu z kulturą komornicką¹³.

W okresie borealnym na terenach Nizy Europejskiego następowało dynamiczne zastępowanie preborealnego lasu iglastego lasem mieszanym, a następnie, w początkach okresu atlantyckiego, lasem liściastym z dominacją wiązu, a później leszczyny, lipy, dębu jesionu i olszy¹⁴. W tym czasie, pomiędzy częścią wschodnią i zachodnią Nizy, rozpoczęło się różnicowanie, które przebiegało m.in. przez obszar Pojezierza Wschodniobałtyckiego. Na

zachodzie dominują już lasy liściaste, gdy na wschodzie trwają lasy mieszane. Takie różnicowanie otoczenia przyrodniczego koresponduje ze strefami zasiedlenia w tym czasie. Na północnym wschodzie interesującego nas obszaru pogranicza mamy zatem osadnictwo kultury kundajskiej, a na południowym wschodzie ludność północnego kręgu kultur mezolitycznych¹⁵ znanych m.in. ze stanowisk Dudka, gm. Wydiminy i Pareza Mała, gm. Biskupiec. Osadnictwo to nie przekracza jednak międzyrzecza Omulwi i Orzyca na południe, od którego panuje dalej kultura komornicka poświadczona nielicznymi zespołami ze stanowisk: Grady-Woniecko, gm. Rutki i Mszano, gm. Brodnica. Do wytwórczości tej ostatniej należą prawdopodobnie motyki ornamentowane z poroża jeleni pochodzące m.in. z Ostrołki, gm. Loco, Pułtusk, gm. loco i Woźnik, gm. Mały Płock oraz kościany haczyk z miejscowości Steda Wielka, gm. Wielbark.

W drugiej połowie okresu atlantyckiego granica stref roślinnych uległa przesunięciu w kierunku północno-wschodnim, a wraz z nią przesunięciu uległy zapewne grupy ludności związane z eksploatacją określonych ekosystemów. Na interesującym nas obszarze występuje osadnictwo mezolitycznej kultury janisławickiej, rozpoznanej m.in. na stanowiskach: Otok, gm. Ostrołęka i Łęg Starościński – Leśna Góra, gm. Lelis. Interesującym dla naszych rozważań wydaje się fakt, że większość badaczy wydzieliła z kręgu janisławickiego odrębną jednostkę terytorialną o swoistych cechach inwentarzy krzemieniowych, zwaną grupą wschodnią kultury janisławickiej¹⁶, kulturą północno-janisławicką¹⁷ czy też skrajnie kulturą Maksimonis¹⁸. Jej południowo-zachodnia granica wydaje się przebiegać w okolicy międzyrzecza Omulwi i Orzyca. Obecność kultury janisławickiej w interesującym nas rejonie stwierdzono m.in. na stanowiskach w: Dąbrówce Ostowskiej, Czarzastych Wielkich i Dzierżęce Nadborach w gm. Chorzele oraz w Chłopie Łące gm. Krasnosielc. W tym samym czasie od południa na obszar Nizy wkraczają pierwsi rolnicy reprezentujący nowy system ekonomiczny – gospodarkę wytwórczą.

W kolejnym okresie subborealnym postępowały zmiany w zbiorowiskach leśnych spowodowane tak czynnikami naturalnymi, jak i znaczącą się w tym okresie działalnością człowieka¹⁹. Po redukcji obecności w zbiorowiskach leśnych wiązu, a następnie także jesionu i lipy, a wzroście udziału dębu i leszczyny, następuje także ekspansja grabu i buka. Szata roślinna w omawianym rejonie zbliża się do potencjalnej szaty roślinnej doby współcze-

szym okresem pomiędzy najstarszym a starszym dryasem. Trwał od ok. 11 720 p.n.e. do 11 590 p.n.e. Nazwa pochodzi od jeziora o tej samej nazwie w środkowej Jutlandii.

³ Okres allerödski (okres klimatyczny) – ciepły okres interstadialny u schyłku ostatniego glacjału, pomiędzy starszym i młodszym dryasem. Nazwa pochodzi od stanowiska Allerød niedaleko Kopenhagi w Danii.

⁴ K. Szymczak, *Epoka kamienia Polski północno-wschodniej...*, s. 21–27.

⁵ *Kultury i ludy dawnej Europy*, red. S.K. Kozłowski, Warszawa 1981, s. 56.

⁶ Kultura witowska – kultura paleolitu schyłkowego występująca na terenie Polski, związana genetycznie z kulturami graweckimi.

⁷ Dryas – faza klimatyczna, nazwa pochodzi od dębika ośmiopłatkowego, tundrowo-górskiej krzewinki.

⁸ K. Szymczak, *Epoka kamienia Polski północno-wschodniej...*, s. 30–48.

⁹ M. Ralska-Jasiewiczowa, *Ewolucja szaty roślinnej*, [w:] *Geografia Polski. Środowisko przyrodnicze*, Warszawa 1991, s. 110.

¹⁰ Z. Sulgostowska, *Prahistoria międzyrzecza Wisły, Niemna i Dniestru u schyłku plejstocenu*, Warszawa 1989, s. 113–114.

¹¹ Tamże, s. 114, tab. III, 6, 7.

¹² K. Szymczak, *Epoka kamienia Polski północno-wschodniej...*, s. 58, mapa 7; *Kultury i ludy dawnej Europy...*, mapa 13.

¹³ J.K. Kozłowski, S.K. Kozłowski, *Pradzieje Europy od XL do IV tysiąclecia p.n.e.*, Warszawa 1975, s. 296–298, mapa 15.

¹⁴ M. Ralska-Jasiewiczowa, *Ewolucja szaty roślinnej...*, s. 110–114.

¹⁵ J.K. Kozłowski, S.K. Kozłowski, *Pradzieje Europy od XL do IV tysiąclecia p.n.e.*, mapa 10.

¹⁶ S.K. Kozłowski, *Mesolithic in Poland. A New Approach*, Warszawa 1989, s. 161. Kultura janisławicka – późnomezolityczna kultura, zwana również cyklem wiślańskim. Nazwa jednostki kulturowej związana jest z miejscowością Janisławice koło Skierniewic.

¹⁷ K. Szymczak, *Epoka kamienia Polski północno-wschodniej...*, s. 120–137.

¹⁸ L.L. Żalizinjak, *Mezolit Jugo-vostočno Polesja*, Kiev 1984, rys. 39.

¹⁹ M. Ralska-Jasiewiczowa, *Ewolucja szaty roślinnej...*, s. 118–119.

snej. Na całym obszarze dzisiejszej Polski dominują zaawansowane kultury neolityczne.

W bezpośrednim sąsiedztwie międzyczecza Omulwi i Orzyca docierają grupy kultury pucharów lejkowatych. Ich obecność poświadczają pojedyncze znaleziska kamiennych toporów i siekier. Zwarte osadnictwo neolityczne nie wkracza jednak na obszar Pojezierza Wschodniobałtyckiego, ani nawet na teren porastającej pas pogranicza Puszczy Zagajnica. Obszar na północ i wschód od zakola Orzyca w połowie okresu subborealnego to domena kultur paraneolitycznych. Ludność ta pozostawała generalnie na etapie gospodarki mezolitycznej, choć posługiwała się swoistą ceramiką (zwaną ceramiką strefy leśnej). Najdalej na północ spotykamy stanowiska kultury Narva, a w najbliższym sąsiedztwie interesujących nas terenów występują zespoły kultury niemieńskiej²⁰ na stanowiskach: Młynarze, gm. Różan, Woźna Wieś, gm. Rajgród, Otok, gm. Ostrołęka i Pianki, gm. Zbójna, a także w trakcie badań powierzchniowych m.in. w Budkach, gm. Chorzele, Witowym Moście, gm. Baranowo, Sielcu Nowym, gm. Krasnosielc, Sypniewie, gm. *loco* oraz w miejscowości Szla, gm. Przasnysz.

Wokół stref zajętych przez osadnictwo neolityczne na obszarach Niżu Środkowoeuropejskiego spotykane są liczne stanowiska postmezolityczne pozostawione przez grupy łowiecko-rybacko-zbierackie. Efektem tych wielowiekowych kontaktów było powstanie oryginalnych „niżowych” kultur neolitycznych. Zbiegło się to z atlantyckim optimum klimatycznym. W kompleksach leśnych miejsce sosny zajmuje dąb i olszyna. Jedną z pierwszych i najważniejszych formacji rolniczych Niżu Europejskiego była kultura pucharów lejkowatych (od charakterystycznego typu naczyń ceramicznych)²¹. Powstała w poł. V tys. p.n.e., by w trakcie kilku stuleci objąć teren od Niziny Północnoniemieckiej po góry Bug²². Zwarte osadnictwo tej kultury nie wkroczyło jednak na obszar Pojezierza Wschodniobałtyckiego, a także na obszar Puszczy Zagajnica. Stanowiska grupy wschodniej tej kultury znajdujemy na obszarze tzw. Starego Mazowsza aż po granice północno-wschodnie Wysoczyzny Ciechanowskiej, a także na obszarze doliny Środkowej Narwi. Poza zwartym zasięgiem spotykamy pojedyncze znaleziska narzędzi (topory i siekiery) i nieliczne fragmenty ceramiki. Wskazują one na incydentalne wyprawy w głąb obcego terytorium, gdzie żyły paraneolityczne grupy łowców, rybaków i zbieraczy. Środowisko przyrodnicze puszczy, a zwłaszcza słabe gleby i zwarta pokrywa leśna, nie sprzyjały gospodarce opartej na uprawie roli systemem

ogrodowym i hodowli bydła, trzody oraz kóz i owiec. Obrządek pogrzebowy kultury pucharów lejkowatych należał do typu megalitycznego. Zmarłych chowano w kamiennoziemnych grobowcach w kształcie trapezów lub wydłużonych trójkątów, których komory grobowe często układane były z kamiennych płyt. Jako wyposażenie grobowe wkładano liczne naczynia ceramiczne, krzemienne noże, siekiery i kamienne topory. Znaleziska kultury pucharów lejkowatych pochodzą m.in. z: Rostkowa, gm. Czernice Borowe, Rycic, gm. Chorzele i Romanowa, gm. Maków Maz.

Późna faza neolitu (od schyłku IV tys.), wyznaczona na obszarze Niżu Środkowoeuropejskiego przez pojawienie się plemion tzw. kultury amfor kulistych²³, zbiega się w czasie z okresem suchego wahnięcia klimatycznego, co w konsekwencji doprowadziło do pogłębienia odlesień i wypierania ku północy zwartych kompleksów leśnych na korzyść stepu i lasostepu. Takie przeobrażenia sprzyjały pasterstwu i pastersko-łowieckiej gospodarce, która przeważała wśród grup posługujących się charakterystycznymi naczyniami, zwanymi amforami kulistymi. Wypasano bydło i półdzikie świnię. Korzystano z dolin rzecznych w celu uprawy zboża, ale nie gardzono łowiectwem i rybołówstwem²⁴. Nie dziwi zatem, że ludność późnoneolityczna dużo chętniej wkraczała na tereny Pojezierza Wschodniobałtyckiego niż jej poprzednicy. Stanowiska tej kultury spotykamy na terenie Pojezierza Mazurskiego, choć nie była to zapewne długotrwała obecność. Brak natomiast śladów osad amfor kulistych na obszarze bezpośrednim na północny wschód od granicznego międzyczecza Orzyca i Omulwi, czyli na obszarze Równiny Kurpiowskiej. Pojedyncze znaleziska siekier związane są prawdopodobnie z wyprawami po bursztyn, a nie z działalnością typowo gospodarczą. Bardzo charakterystyczny obrządek pogrzebowy tej kultury należy także do typu megalitycznego. Zmarłych chowano w towarzystwie darów grobowych w kamiennych skrzyniach wkopywanych w ziemię. Obok charakterystycznych naczyń do jamy grobowej wkładano narzędzia z krzemienia i siekiery o starannie gładzonych ostrzach. Stanowiska kultury amfor kulistych odkryto m.in. w Rembielinie, gm. Chorzele, Sielcu Nowym, gm. Krasnosielc, Gąsewie Nowym i Szczeglinie, gm. Sypniewo, Makowicy, gm. Maków Mazowiecki, Ulatowie-Zalesiu, gm. Krzynowłoga Mała, Grudusku, gm. *loco* oraz Budach Rządowych, gm. Jednorzec, a także w Czarni, gm. Myczyniec, Łysych, gm. *loco* oraz w miejscowości Orzół, gm. Baranowo.

Ostatnia faza napływu ludności neolitycznej z południa na omawiany przez nas obszar to koniec okresu atlantyckiego i początek fazy subborealnej. Te grupy ludzkie, od sposobu zdobienia ceramiki, nazywamy kulturą cerami-

ki sznurowej²⁵. W poł. III tys. na terenie całego Niżu Europejskiego pojawiły się plemiona ludzkie posługujące się ceramiką zdobioną odciśkami sznura, o typowym charakterystycznym sposobie grzebania zmarłych pod kurhanami²⁶. Z czasem tzw. kurhany starszoznurowe zastąpiły cmentarzyska płaskie ze standardowym wyposażeniem: naczynia „sznurowe”, krzemienista siekiera, nóż, strzały z krzemieniami grotami i topór kamienny. Bardzo mało wiemy na temat gospodarki tych plemion. Poza niewątpliwymi śladami uprawy roli na nielicznych stanowiskach większość pozostałości wskazuje na pastersko-koczowniczy tryb życia. Ślady pobytu „sznurowców” znajdujemy zarówno na obszarze Wzniesień Mławskich i Wysoczyzny Ciechanowskiej jak i Równiny Kurpiowskiej. Obecność plemion kultury ceramiki sznurowej stwierdzono na stanowiskach w: Rostkowie i Obrębcu, gm. Czernice Borowe, Tańsku-Kęsosze, gm. Dzierzgowo, Krasnosielcu Nowym, gm. Krasnosielc oraz Małowidzu i Lipie, gm. Jednorzec.

Kolejny okres subborealny zaznaczył się początkowo ochłodzeniem i osuszeniem klimatu. W obrębie lasów mieszanych zmniejszył się udział grabu i olszyny na korzyść sosny i dębu. Ciągłe zmniejszanie się ilości opadów powodowało obniżanie poziomu wód gruntowych, a w konsekwencji także poziomu jezior i rzek. Na obszar Równiny Kurpiowskiej wkraczają od południa plemiona kultury trzcinieckiej (nazwa od miejscowości), reprezentujące nową epokę w dziejach ludzkości, zwaną epoką brązu²⁷.

dr Wojciech Borkowski

fot. na s. 2 Krasnosielckiego Zeszytu Historycznego Nr 37.

²⁰ Kultura niemiejska – kultura archeologiczna powstała w okresie mezolitu w VII–IV tysiącleciu p.n.e. na terenach zachodniej Białorusi, południowej Litwy i Mazur (dorzecza Niemna, Wili, Prypeci i Narwi).

²¹ Kultura pucharów lejkowatych – jedna z kultur neolitu z kręgu kultur naddunajskich, występująca w Europie między 3700–1900 p.n.e., na terenach Jutlandii, Szwecji, Niemiec, Holandii, Polski oraz części Wołynia i Podola.

²² T. Wiślański, *Kształtowanie się miejscowych kultur rolniczo-hodowlanych. Plemiona kultury pucharów lejkowatych*, [w:] *Prahistoria ziem polskich*, t. 2: *Neolit*, red. W. Hensel, T. Wiślański, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk 1979, s. 165 i n.

²³ Kultura amfor kulistych – kultura neolityczna, występowała w latach 3100–2600 p.n.e. w dorzeczu Łaby, w Polsce, Mołdawii, na Wołyniu i Podolu. Nazwa tej kultury pochodzi od charakterystycznego dla niej typu wyrobów ceramicznych o kulistym brzuscu.

²⁴ Tenże, *Krąg ludów subneolitycznych w Polsce*, [w:] tamże, s. 261 i n.

²⁵ Kultura ceramiki sznurowej – archeologiczna kultura epoki eneolitu z kręgu kultur naddunajskich datowana na III tys. p.n.e.

²⁶ J. Machnik, *Krąg kulturowy ceramiki sznurowej*, [w:] tamże, s. 337 i n.

²⁷ J. Miśkiewicz, *Kultura Trzciniecka*, [w:] *Prahistoria Ziemi Polskiej*, t. 3, Wrocław-Warszawa 1978, s. 173 i n.



Okres wpływów rzymskich i wczesne średniowiecze na Północnym Mazowszu

dr Wojciech Borkowski

Okres wpływów rzymskich¹ na Mazowszu stanowił kontynuację rozwojową społeczności kultury przeworskiej, uformowanej w okresie późnolateńskim². Omawiane w opracowaniu Z. Miecznikowskiego cmentarzyska późnolateńskie w Dobrzankowie i Kitkach, gm. Dzierzgowo, Magnuszewie Małym, Przeradowie i Szelkowie gm. Szelków, Purzycach-Trojanach gm. Grudusk czy Stupsku gm. *loco* kontynuują się w okresie wpływów rzymskich. Także niektóre osady z okresu lateńskiego, jak np. stanowisko Łysa Góra, określane w literaturze archeologicznej jako „Rembielin stanowisko nr 1”, przedłużają swój byt, czasami przekształcane na cmentarzyska³.

¹ Wpływy rzymskie – w archeologii termin chronologii względnej określający III okres epoki żelaza, odnoszący się do obszarów Barbaricum. Następuje, w zależności od terenów, po okresie lateńskim lub młodszym okresie przedrzymskim, a poprzedza okres wędrówek ludów. Rozpoczął się w początkach n.e., wraz z ustabilizowaniem się granicy cesarstwa rzymskiego na linii Renu i Dunaju. Koniec okresu jest utożsamiany z początkiem wędrówek ludów (375) i klęską Rzymian pod Adrianopolem (378). Tradycje okresu wpływów rzymskich jednak utrzymywały się na wielu obszarach co najmniej do połowy V w. Różni się 3 główne fazy rozwojowe (B, C i D) – których cezurę stanowi kolejno: II połowa II w. i schyłek IV w. – dzielone na kilka krótszych stadiów ujętych w ramy systemu Eggera-Godłowskiego. Okres ten stanowi najlepiej chronologicznie opracowany odcinek pradziejów Europy.

² T. Dąbrowska, *Mazowsze w młodszym okresie przedrzymskim*, [w:] *Starożytne Mazowsze. Materiały z sesji archeologicznej 19 października 2006 r. w Pułtusku*, red. M. Zieleniewska-Kasprzycka, Warszawa 2006, s. 44–46.

³ Datowania stanowisk z okresów przedrzymskiego, rzymskiego i późnorzymskiego w artykule zostały oparte w większości na niepublikowanym opracowaniu J. Andrzejewskiego J. Andrzejewski, *Nekropola w Modle a późna faza kultury przeworskiej na północnym Mazowszu* z 2009 r., stanowiącym przedmiot Jego pracy doktorskiej i udostępnione łaskawie dla potrzeb niniejszego artykułu, za co składam dr. Jackowi Andrzejewskiemu serdeczne podziękowania. W. Borkowski, Z. Miecznikowski, *Początki osadnictwa na terenie pogranicznego północnego Mazowsza*, [w:] *1000 lat pogranicza Chorzel. Materiały z sesji popularnonaukowej zorganizowanej w Chorzelach 28 sierpnia 2010 roku*, red. M. Wiśnicki, Chorzele 2011, s. 30–31.

Podstawę gospodarki ludności kultury przeworskiej stanowiło rolnictwo i hodowla bydła. Uprawiano przede wszystkim żyto, owies, jęczmień i proso, a na żyznych glebach pszenicę i rośliny strączkowe a także konopie i len.

Z interesującego nas obszaru Ziemi Przasnyskiej pochodzą nieliczne dobrze poznane stanowiska datowane na okres rzymski. Wspomniane w opracowaniu Z. Miecznikowskiego cmentarzysko w Dobrzankowie przebadane zostało w 1961 r., w wyniku czego ujawniono ok. 30 zespołów grobowych, należących do kultury przeworskiej. Odkryte groby, obok skremowanych szczątków ludzkich, zawierały charakterystyczne dla omawianej kultury wyposażenie grobowe w postaci uzbrojenia oraz przedmiotów codziennego użytku. Na podstawie przeprowadzonych badań stwierdzono, że cmentarzysko używane było w późnym okresie lateńskim oraz w młodszym stadium fazy B₂ okresu rzymskiego (mniej więcej II poł. II w. n.e.) (grób 26)⁴.

W Bogatem przebadano częściowo osadę kultury przeworskiej. Prace prowadzono częściowo w 1998 oraz 2000 r. W trakcie wykopalisk odkryto dobrze zachowane relikty domostw, a wyjątkowymi znaleziskami były: duże naczynie służące do przechowywania mleka oraz naczynie zdobione ornamentami swastyk i trójkątów. Ślady budynków w postaci licznych dołków posłupowych odkrytych w Bogatem pokazują, że ówczesne domostwa były stosunkowo niewielkie (powierzchnia zabudowy nie przekraczała 24 m²). Położenie osady w okolicy obfitującej w żyzne gleby oraz brak pozostałości urządzeń rzemieślniczych sugeruje, że w okresie wpływów rzymskich mieszkańcy zajmowali się uprawą roli i hodowlą zwierząt. Osada w Bogatem zamieszkała była zarówno w późnym okresie lateńskim, jak i w okresie wpływów rzymskich B₁ (I poł. I w. n.e.)⁵. Zabijki metalowe (szczególnie charakterystyczne wąskie, brązowe okucie pasa) wskazują na przeżywanie się społeczności przeworskiej w tych okolicach w okresie B₂ (przełom I i II

w. do poł. II w. n.e.). Nieliczne fragmenty ceramiki mogą wskazywać na obecność elementów późniejszej kultury wielbarskiej⁶.

Z przeworskiego stanowiska w Kitkach pochodzi znalezisko grobowego depozytu grotyw strzał, niezwykle rzadkiego na cmentarzyskach przeworskich i datowanego na schyłek okresu rzymskiego lub początek późnorzymskiego⁷.

W Węgrze nad górną Węgierką znajdują się dwa kolejne stanowiska. Jedno z nich posiada cechy typowo przeworskie. Występujące na nim groby z bronią reprezentują młodszy odcinek fazy B₂⁸. W Pawłowie Kościelnym natomiast na ponowne odkrycie czeka wzmiankowane w źródłach cmentarzysko z młodszego okresu przedrzymskiego lub okresu rzymskiego⁹.

Zbadanym w całości stanowiskiem jest cmentarzysko w Dzierzgowie¹⁰. Obok ok. 30 grobów odkryto tam konstrukcje kamienne. Najstarsze pochówki z Dzierzgowia, datowane zapinkami kapturkowymi serii wschodniej oraz silnie profilowanymi zapinkami typu Liana 2, pochodzą z młodszego fazy B₂ i B₂/C₁. Cmentarzysko z Dzierzgowia oraz wzmiankowane po-

⁶ J. Andrzejewski, *Nekropola w Modle...*, s. 428. Kultura wielbarska (inaczej gocko-gepidzka oraz wschodniopomorsko-mazowiecka) – kultura archeologiczna epoki żelaza rozwijająca się między I a V wiekiem, na terenach obecnej północnej i wschodniej Polski oraz zachodniej Ukrainy. Nazwa tej kultury pochodzi od eponimicznego stanowiska w Wielbarku (obecnie dzielnica Małborka).

⁷ J. Andrzejewski, *Nekropola w Modle...*, s. 294.

⁸ Tenże, *Dwa cmentarzyska z okresu wpływów rzymskich w Węgrze. Koniec pewnego mitu*, [w:] *Pogranicze trzech światów. Mazowsze u schyłku starożytności*, red. A. Jarzec, W. Nowakowski, A. Szela, Warszawa 2016, s. 25; tenże, *Nekropola w Modle...*, s. 428.

⁹ A. Borkowski, *Z ziemi Zawkrzeńskiej*, „Z Otcłani Wieków”, 1 (1926), 1–2, s. 11–12.

¹⁰ M. Piotrowski, A. Szela, *Pogranicze trzech światów – cmentarzysko kultury przeworskiej w Dzierzgowie, na północnym Mazowszu*, [w:] *Oficina archaeologica optima. Studia ofiarowane Jerzemu Okuliczowi-Kozarynowi w siedemdziesiątą rocznicę urodzin*, red. W. Nowakowski, A. Szela, Warszawa 2001, s. 165–173; A. Szela, *Dzierzgowo, pow. mławski. Cmentarzysko z pogranicza trzech światów*, [w:] *Pogranicze trzech światów. Kontakty kultur, przeworskiej, wielbarskiej i bogaczewskiej w świetle materiałów z badań i poszukiwań i poszukiwań archeologicznych*, red. W. Nowakowski, A. Szela, Warszawa 2006, s. 225–238.

wyżej stanowiska z Węgry i Piastowa tworzą najbardziej na północ wysuniętą zwartą grupę przeworskich nekropolii z grobami wyposażonymi w broń, datowaną na okres B₂.

Ok. poł. II w. n.e. osadnictwo kultury przeworskiej na obszarze północnego Mazowsza ulega załamaniu. Związane jest to z migracją grup ludności należących do kultury wielbarskiej. Kultura ta utożsamiana jest z germańskim plemieniem Gotów, którzy na początku I w. n.e. osiedlili się na obszarze dzisiejszego Pomorza Gdańskiego, a następnie dotarli aż do wybrzeży Morza Czarnego. Szlak tej wędrówki przebiegał przez prawobrzeżne Mazowsze. Ludność omawianej kultury stosowała zarówno ciałopalny, jak i szkieletowy obrządek pogrzebowy. Dostępnym często oba rodzaje pochówków występują wspólnie na obszarze jednego cmentarzyska. W przeciwieństwie do kultury przeworskiej charakteryzowały się one brakiem wyposażenia grobów męskich w broń, jak również przedmiotów wykonanych z żelaza. Niezwykle interesujący jest problem ekspansji kultury wielbarskiej na tereny Mazowsza prowadzący do załamania się osadnictwa przeworskiego na tym obszarze¹¹. Z drugiej strony należy stwierdzić, że pewna część ludności przeworskiej pozostała na omawianym terenie żyjąc w pokojowej egzystencji z grupami ludności kultury wielbarskiej. Często cmentarzyska wielbarskie zakładane są w miejscach wcześniejszych cmentarzysk przeworskich lub też nekropole wykorzystywane są jednocześnie przez obie społeczności. Nie ulega jednak wątpliwości, że w I ćwierci III w. n.e. osadnictwo wielbarskie na obszarze prawobrzeżnego Mazowsza jest już w pełni ugruntowane¹².

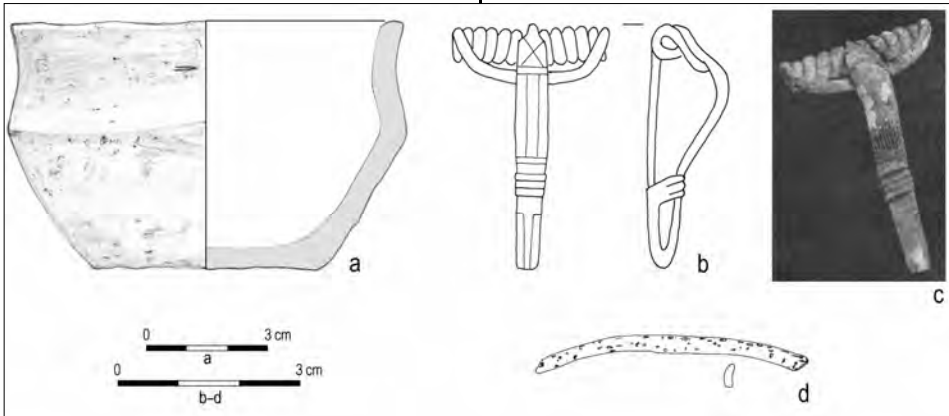
Częściowo rozpoznany stanowiskiem wielbarskim na interesującym nas obszarze jest cmentarzysko kurhanowe w Kitkach. Cechą charakterystyczną obrządku pogrzebowego na cmentarzyskach wielbarskich jest brak grobów męskich wyposażonych w broń oraz zdecydowana przewaga przedmiotów wykonanych z brązu i srebra nad przedmiotami żelaznymi, powszechnymi w grobach kultury przeworskiej. W kurhanie nr 1 w Kitkach nawet okucia trumny kłodowej i gwoździe służące do ich umocowania były wykonane z brązu¹³. Oprócz okuć trumny w kurhanie znaleziono grociki do strzała, wykonane z brązu, fragmenty naczyń, w tym jednego kształtowanego na kole, grzebień rogowy, posrebrzaną sprzączkę oraz płytkowe okucie do pasa. Drugi z przebadanych grobów należący do kultury wielbarskiej zawierał, obok okuć trumny, naczynia gliniane, fragmenty szklanego pucharka, grzebień rogo-

wy, miniaturowy nożyk brązowy i brązową sprzączkę do pasa. Faza wielbarska cmentarzyska datowana jest na III–IV w. n.e. (okres C₁–C₃ okresu późnorzymskiego)¹⁴.

Bardzo istotne znaczenie dla postępu gospodarczego w okresie wpływów rzymskich miał rozwój metalurgii żelaza. Dostęp do łatwych w eksploatacji rud darniowych na obszarach podmokłych w dolinach rzek Równiny Kurpiowskiej mógł być motorem wypraw, podejmowanych zarówno przez ludność kultury przeworskiej z południa i południowo-wschodu, jak i przedstawicieli kultury kurhanów zachodniobałtyjskich i zajmującej ich miejsce w okresie późniejszym kultury bogaczewskiej od północy. Do tego dodać należy wędrówkę reprezentujących kulturę wielbarską plemion gockich, która to odbywała się zapewne także poprzez doliny rzeczne Równiny Kurpiowskiej w II–IV w. n.e.

W IV i V w. n.e. widoczny jest gwałtowny zanik osadnictwa kultur z okresu rzymskiego, nie tylko na Mazowszu, ale również na obszarze większości ziem polskich. Bezpośrednią przyczyną takiego stanu rzeczy były niepokoje wywołane najazdem huńskim, który w 375 r. doprowadził do upadku nadczarnomorskich królestwa Ostrogotów, rozpoczynając tym samym okres wędrówek ludów. W tym czasie

Podstawowym zasobem nowych osadników, odnajdywanym w badaniach archeologicznych, były niezdobione naczynia lepiące ręcznie z miejscowej gliny bez użycia koła garncarskiego. Bardzo rzadko znajdowane są na osadach z tego czasu narzędzia, ozdoby czy broń. Zamieszkiwano jamowe domostwa na terenie nieobronnych osiedli. Ludność zajmowała się rolnictwem, hodowlą, rybołówstwem i zbieractwem. Z Ziemi Przasnyskiej nie znamy z tego okresu żadnych przebadanych stanowisk. Najbliższa osada i grodzisko w Szeligach, pow. płocki, dostarczyły danych dotyczących uprawiania: kilku gatunków pszenicy, prosa, jęczmienia zwiastu i soczewicy. Na osadzie odkryto kości zwierząt udomowionych: bydła krótkorogiego¹⁶ (niskiego – 106–115 cm wysokości w kłębie – ale łatwego do prowadzenia półdzikiej hodowli), świni, owcy, kozy, koni, psów i kury domowej. W rzekach i jeziorach łowiono brzozy, leszcze, płocie, szczupaki i sumy, posługując się żelaznymi haczykami. Polowano, głównie dla zdobycia skór i poroża, na kuny, borsuki, tchórze, wiewiórki, wydry, bobry, niedźwiedzie, zające, samy i jelenie¹⁷. Z omawianego okresu pochodzi także założenie grodzowe w Szeligach. Jest to jedyny znany na Mazowszu obiekt sztucznie umocniony, datowany na okres VI lub początek VII w. Pozosta-



Węgra, gm. Czernice Borowe. Przedmioty odkryte w 1961 roku. a – gliniana misecznica; b – zapinka ze stopu miedzi; c – resztki tkaniny widoczne na zapince; d – drut żelazny. a – rys. A. Potoczny, b, d – rys. A. Potoczny. Źródło: J. Andrzejewski, *Dwa cmentarzyska z okresu wpływów rzymskich w Węgrze. Koniec pewnego mitu*, [w:] *Pogranicze trzech światów. Mazowsze u schyłku starożytności*, red. A. Jarzec, W. Nowakowski, A. Szela, Warszawa 2016, s. 22.

doszło do prawie całkowitego wyludnienia terenów obecnej Polski. Mieszkające tu wcześniej plemiona germańskie migrują w większości na zachód lub południe Europy. Jednak już w VI w. n.e. bizantyjskie źródła pisane odnotują kolejnych mieszkańców tych ziem – Słowian.

W schyłku VI lub na początku VII w. pojawiają się nowi osadnicy, których można na podstawie ciągłości kulturowo-etnicznej utożsamiać z ludnością słowiańską. Przyjmuje się, że ogólnym kierunkiem migracji Słowian na teren obecnych ziem polskich, w tym Mazowsza, był wschód lub południowo-wschód¹⁵. Na Ziemię Przasnyską dotarli zapewne doliną Bugu, a następnie Narwi i jej prawobrzeżnych dopływów: Orzyca i Węgry.

Je osady miały charakter otwarte.

Aż do końca IX w. na Mazowszu nie dochodzi do zmian jakościowych. Następuje jedynie zwiększenie liczby stanowisk, co sugeruje wzrost populacji. Nie ma natomiast oznak różnicowania społecznego. Tworzą się w tym okresie pierwsze, zapewne wczesno-plemienne struktury osadnicze. Najbliższa Ziemi Przasnyskiej uformowała się pomiędzy Wisłą, Raciąż-

¹¹ Wydaje się, że inwazja ta, ukierunkowana na południowo-wschód, nie miała charakteru pokojowego, o czym mogą świadczyć liczne ślady agresji w postaci spalonych domostw, które zostały odkryte podczas badań archeologicznych na osadach kultury przeworskiej położonych w innych rejonach Polski.

¹² A. Kokowski, *Goci między Bałtykiem a Morzem Czarnym*, [w:] *Wandalowie, strażnicy bursztynowego szlaku. Państwowe Muzeum Archeologiczne 8 marca – 16 czerwca 2004*, Warszawa 2004, s. 234–237.

¹³ J. Okulicz, *Problematyka okresu wpływów rzymskich na Mazowszu i Podlasiu w świetle nowych badań*, [w:] *Badania archeologiczne na Mazowszu i Podlasiu*, red. A. Kempisty, S.K. Kozłowski, Warszawa 1975, s. 87–88.

¹⁴ A. Kempisty, *Obrządek pogrzebowy w okresie rzymskim na Mazowszu*, „Światowit”, 26 (1965), s. 45.

¹⁵ M. Dulinić, *Najważniejsze problemy archeologii wczesnego średniowiecznego Mazowsza*, [w:] *Starożytne Mazowsze...*, s. 71.

¹⁶ Np. *Bos taurus Taurus* wywodzącego się w prostej linii z rodzimego tura *Bos primigenius*. Jednym z bardzo nielicznych miejsc, w którym w XIV w. żyły tury, było Mazowsze, gdzie przywilej polowania na nie był jedynie w rękach książąt. Ostatnia samica populacji mazowieckiej padła z przyczyn naturalnych w 1627 r. w Puszczy Jaktorowskiej. B. Dymek, *Ostatnia ostoja turów na Mazowszu*, „Rocznik Mazowiecki”, 19 (2007), s. 32.

¹⁷ M. Dulinić, *Najważniejsze problemy archeologii...*, s. 73–74; W. Szymański, *Szeligi pod Płockiem na początku wczesnego średniowiecza. Zespół osadniczy z VI–VII w.*, Wrocław 1967.

nicą lub Orzycem i Skrwą. Z tego obszaru znane jest kilkunastu osada w miejscowości Unierzyż, pow. mławski. Wprawdzie pojawiły się już liczniejsze grody obronne (np. Podebłocie, pow. garwoliński i Nasielsk), ale na Mazowszu północnym zdecydowanie przeważały osady otwarte. Zamieszkiwano chaty o konstrukcji zrębowej, o powierzchni ok. 16 m², z kamiennymi piecami lub paleniskami. W domostwach umieszczano jamy zasobowe lub piwniczki. Korzystano także z wcześniejszych ziemianek. Prawie zupełnie nie znamy form obrządku pogrzebowego z tych czasów. Być może jest to wynik zmiany w sposobie traktowania zmarłych i zastosowania grobów na powierzchniowych¹⁸.

W produkcji ceramicznej dalej przeważało ręczne lepienie naczyń ale pojawiają się coraz liczniejsze naczynia obtaczane na kole. W ornamentyce naczyń z VIII–IX w. przeważa z wielokrotnioną linią falistą.

Dopiero w wieku X na obszarze Mazowsza upowszechnia się użycie do obtaczania naczyń koła, a ornamentyka naczyń przyjmuje, obowiązujący w następnych stuleciach, motyw dookołnych linii żłobkowanych. Jest to wyznacznikiem rozkwitu struktur terytorialnych na Mazowszu¹⁹. Mieszkańcy północnego Mazowsza w II poł. IX i w wieku X n.e. skupiali się w licznych osadach otwartych oraz całej sieci przysiółków, rozmieszczonych na zboczach dolin lub wyniesieniach w ich obrębie.

W tym okresie na obszarze całej zachodniej Słowiańszczyzny formuje się organizacja plemienna-grodowa, mająca przemożny wpływ na kształtowanie się sieci osadnictwa. Grody stają się nie tylko ważnymi punktami w sieci militarnej, ale także węzłowymi punktami komunikacyjnymi i ośrodkami wspólnot plemiennych. Ośrodki przygodowe powstały m.in. w Mokrzcu, Nasielsku, Raciążu, Święcku Strumiannach, Ciechanowie, Grudusku i Sypniewie²⁰. Chronologię pozostałych obiektów w Grzebsku, Radzikowie, Stupsku i Tańsku-Przedborach na podstawie naczyń glinianych określono od II poł. X do XII w.²¹.

W drugiej połowie X w. Mazowsze, w świetle nielicznych źródeł pisanych, znalazło się w orbicie politycznych wpływów państwa wczesnopiastowskiego²². Nowa władza znalazła oparcie w grodach znanych z tzw. „falsyfi-

katu mogielniczego”, który wymienia m.in. położone najbliższej Ziemi Przasnyskiej: Ciechanów, Grudusk, Grzebsk, Nasielsk, ale prawdopodobnie także Sypniewo, odbudowane po zniszczeniu wcześniejszej jego fazy.

Jedną z ważniejszych konsekwencji piastowskiej dominacji było zapewne zaprowadzenie religii chrześcijańskiej na terenie podporządkowanego Mazowsza. Ma to swoje odbicie w stopniowo rozprzestrzeniającym się obrządku szkieletowym, który wypierał pogański rytuał ciałopalenia. W okresie X–XI w. n.e. na Mazowszu reprezentowany jest obrządek mieszany.

W kolejnych stuleciach do XIII w. na cmentarzyska przeważa zdecydowanie szkieletowy obrządek, przy czym występują cmentarzyska w obstawach kamiennych, bez obstaw i mieszane.

Chowanie zmarłych w grobach tzw. typu mazowieckiego, których wyznacznikami są obstawy kamienne, często o charakterze niemal monumentalnym, oraz obfitość wyposażenia, w tym szczególnie broni²³, rozpoczęło się w XI w. n.e. i przetrwało do I poł. XII w.²⁴. Obecność obstaw kamiennych, typologiczne nawiązania oraz stylizyka wyposażenia tych grobów pozwoliła na sformułowanie hipotezy o wikingo-ruskim (warskim) pochodzeniu pochowanych wojowników²⁵. Wytlumaczeniem tego zjawiska może być przybycie wojowników ruskich, przysłanych przez Jarosława Mądrego na



Piastów, gm. Krzynowłoga Mała. Przedmioty żelazne z grobów. Źródło: G. Orlińska, *Najdawniejsze dzieje okolic Krzynowłogi Małej*, „Krzynica”, 2010, 3 (13), s. 6–8.

pomoc Kazimierzowi Odnowicielowi w trakcie walk o Mazowsze.

Z momentem pojawienia się pierwszych źródeł pisanych i wejścia Mazowsza w skład ziem monarchii piastowskiej kończy się przedhistoryczny okres Ziemi Przasnyskiej, a rozpoczyna się jej historia.

Sam Przasnysz na tle przedstawionego powyżej osadnictwa wczesnośredniowiecznego nie może pochwalić się jak dotąd tak dawną metryką. Założycielem miasta w XIII w. był bowiem, według danych historycznych, Konrad Mazowiecki. Jest jednak promyk nadziei na odnalezienie starszych faz osadniczych. W trakcie badań na dziedzińcu dawnej Powiatowej Rady Narodowej natrafiono, w najniższych warstwach wykopu, na ceramikę, która może być datowana na wiek XII²⁶. Może dalsze badania na terenie miasta pozwolą na odkrycie kolejnych obiektów wczesnośredniowiecznych.

dr Wojciech Borkowski

Fot. na s. 140 Krasnosielckiego Zeszytu Historycznego Nr 37.

²⁶ E. Kowalczevska, *Przasnysz miasto*, „Informator Archeologiczny”, 1973, s. 262.

¹⁸ M. Dulinicz, *Najważniejsze problemy archeologii...*, s. 80.

¹⁹ Tamże, s. 83.

²⁰ Ten zespół posiada szeroką chronologię od VIII do XIII w. J. Ościsłowski, *Uwarunkowania geograficzne lokalizacji grodów na północnym Mazowszu (X–pocz. XIII w.): problematyka badań interdyscyplinarnych*, „Rocznik Muzeum Mazowieckiego w Płocku”, 19 (2011), s. 23.

²¹ Dla dwóch grodzisk uzyskano również daty C14, są to Tańsk-Przedbory z datą 890–1020 AD oraz Grzebsk z datami 1270–1400 AD i 1220–1290 AD (wszystkie z 95,4% prawdopodobieństwem). M. Dulinicz, *Czy istniała „Marchia Grzebska”?*, [w:] *Pogranicze polsko-pruskie i krzyżackie. Materiały z konferencji naukowej*, Górzno, 1–2 czerwca 2002 r., red. K. Grądzki, Włocławek–Brodnica 2003, s. 173–174; J. Ościsłowski, *Uwarunkowania geograficzne lokalizacji grodów...*, s. 26.

²² M. Dulinicz, *Najważniejsze problemy archeologii...*, s. 97.

²³ T. Kordala, *Wczesnośredniowieczne cmentarzyska szkieletowe na północnym Mazowszu*, Łódź 2006.

²⁴ M. Dulinicz, *Najważniejsze problemy archeologii...*, s. 103; L. Rauhut, *Wczesnośredniowieczne cmentarzyska w budowie kamiennej na Mazowszu i Podlasiu*, „Materiały Starożytne i Wczesnośredniowieczne”, 1 (1971), s. 435–656.

²⁵ T. Kordala, *Wczesnośredniowieczne cmentarzyska szkieletowe...*, s. 231–250.



Ziemia przasnyska w pradziejach do przełomu er

Zbigniew Miecznikowski

Celem niniejszego artykułu jest zaprezentowanie osadnictwa pradziejowego Przasnysza i okolic od epoki kamienia do okresu wpływów rzymskich. Nie jest to zadanie łatwe ze względu na niezbyt bogatą bazę źródłową, która obok nielicznych prowadzonych w tym rejonie prac wykopaliskowych opiera się w znacznej mierze na badaniach powierzchniowych realizowanych w ramach Archeologicznego Zdjęcia Polski¹. Pozwala ona jednak na odtworzenie przeszłości wydzielonej przez regionalistów ziemi przasnyskiej, obejmującej swym zasięgiem obszar dawnego powiatu przasnyskiego, który w latach 1954 i 1975 podzielony został pomiędzy trzy nowe województwa². W procesie tym nie bez znaczenia będą również odkrycia archeologiczne pochodzące z terenów sąsiednich oraz innych rejonów Mazowsza.

Najstarsze ślady obecności pierwszych grup ludzkich, które osiedliły się w pobliżu Przasnysza pochodzą z okresu paleolitu schyłkowego (15 000–9000 lat przed Chr.). Ich pozostałości w postaci krzemiennych i kościanych narzędzi należących do kultury magdaleńskiej odkryto podczas badań archeologicznych prowadzonych na stanowisku nr 1 w Grudusku gm. Iłowo³. O wyjątkowości tego odkrycia może świadczyć fakt, że jest to najdalej na północ wysunięte obozowisko ludności magdaleńskiej na Niżu Polskim⁴. Omawiana kultura wykształciła się ok. 18 000 lat temu na terenach południowo-zachodniej Francji i północnej Hiszpanii, skąd rozprzestrzeniła się na znaczne obszary Europy, docierając najdalej do jej środkowo-wschodniej części. Nieliczne stanowiska magdaleńskie zlokalizowane na obszarze ziem polskich znane są przede wszystkim z południowych i wyżynnych części naszego kraju. Wśród nich najstarszym⁵ i zarazem najciekaw-

szym jest położona na Wyżynie Krakowsko-Częstochowskiej Jaskinia Maszycka. Na szczególną uwagę zasługują odkryte na tym stanowisku ludzkie szczątki kostne należące do grupy liczącej 16–20 osób. Została ona uśmiercona podczas napadu połączonego prawdopodobnie z aktem kanibalizmu, o czym mogą świadczyć połupane kości czaszek. Zamieszkująca Jaskinię Maszycką ludność magdaleńska pozostawiła po sobie bogaty zespół zabytków takich jak wykonane z kości i rogu ornamentowane groty oszczepów czy specjalne oprawy narzędzi kamiennych (tzw. navettes). Wyroby te nawiązują do analogicznych egzemplarzy pochodzących z terenów wschodniej Francji⁶. Żyjące w środowisku tundrowym lub na pograniczu tundry i lasu społeczności należące do kultury magdaleńskiej uważane są powszechnie za wyspecjalizowanych łowców reniferów. Oprócz nich polowano również na suhaki, bizony, tury, konie, jak również na drobne ssaki m.in. zające⁷.

Kolejne ślady osadnictwa schyłkopaleolitycznego pochodzące bezpośrednio z terenów ziemi przasnyskiej odkryte zostały na wielokulturowym stanowisku nr 2 w Witowym Moście, gm. Baranowo. Odnoszą się one w zasadzie do jednego krzemiennego narzędzia (rylcza rylca klinowego) wykonanego z krzemienia czekoladowego w technice rdzenia dwupiętowego⁸. Zabytek ten możemy łączyć z kulturą świderską, której pojedyncze stanowiska znane są również z niezbyt odległych od Przasnysza okolic Ciechanowa m.in. Prążewa gm. Ciechanów i Kondrajca Szlacheckiego gm. Golińsk.

Rozwój omawianej kultury przypada na okres późnoglacialnego ochłodzenia zwanego Dryasem III (ok. 11–10 tys. lat temu). Charakteryzował się on zmniejszeniem zasięgu lasów i pojawianiem roślinności tundrowej. Podobnie jak w przypadku ludności kultury magdaleńskiej również społeczności świderskie specjalizowały się w łowach na renifery. Główną bronią używaną w polowaniach był łuk. Wystrzeliwane z niego strzały uzbijano w krzemienne groty określane przez archeologów mianem „liściaków”. Obozowiska kultury świderskiej znane są przede wszystkim z tara-

sów nadrzecznych i piaszczystych wydm zlokalizowanych w pobliżu cieków wodnych, wzdłuż których przebiegały główne szlaki wędrówek reniferów⁹.

Pod koniec X tysiąclecia przed Chr. nastąpił koniec epoki lodowej (plejstocenu), wraz z nim rozpoczęło się ocieplenie klimatu nazywane holocenem, które trwa do dnia dzisiejszego. Równoległe ze wzrostem temperatury pojawiają się bory sosnowe, do których stopniowo dołączały drzewa liściaste (m.in. brzoza, dąb). W nowym leśnym środowisku dominować zaczęły zwierzęta żyjące w ograniczonych rewirach, małych stadach lub pojedynczo m.in. jelenie, dziki, łosie, tury, wilki i wiele innych znanych nam obecnie. Charakterystyczne dla tundry stada reniferów wędrują na północ, wymuszając tym samym migrację części polujących na nie schyłkopaleolitycznych społeczności, które podążają za nimi. Ci, którzy pozostali, musieli przystosować się do życia w nowych warunkach środowiskowych. Różnorodność i specyfika fauny doprowadziła do zmiany strategii łowieckiej polegającej na porzuceniu polowań w zorganizowanych grupach, które zastąpione zostały przez myślistwo typu traperskiego. Obok łowiectwa ważną rolę w zdobywaniu pożywienia zaczęło odgrywać rybołówstwo oraz zbieractwo tzw. „darów lasu” m.in. grzybów, jagód, orzechów¹⁰. Pod względem archeologicznym żyjące we wczesnym holocenie na Niżu Europejskim ostatnie społeczności zbieracko-łowieckie klasyfikowane są w ramach środkowej epoki kamienia nazywanej mezolitem (9000–5500 lat przed Chr.). Prowadziły one półosiadły tryb życia zakładając swe obozowiska na piaszczystych wydmach położonych w pobliżu zbiorników lub cieków wodnych. Ich zabudowę tworzyły najczęściej lekkie konstrukcje szalasowe, jak również obiekty mieszkalne zagłębione w ziemię¹¹. Niezależnie od procesów adaptacyjnych społeczności paleolitycznych, na tereny naszego kraju napływają również przystosowane już do życia w nowych warunkach klimatycznych grupy ludzkie.

¹ Większość podanych w niniejszym tekście stanowisk odkrytych zostało w ramach AZP. Ich szczegółowa dokumentacja znajduje się w archiwum Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Warszawie delegatura w Ostrołęce i Ciechanowie.

² Z. Polakowski, *Przewodnik turystyczny po Ziemi Przasnyskiej*, Przasnysz 1992, s. 4.

³ Informacja ustna uzyskana od mgr. Stanisława Petrykowskiego, który kierował pracami wykopaliskowymi w Grudusku.

⁴ R. Schild, *Introduction*, [w:] *Wilczyce. A late Magdalenian Winter Hunting Camp in Southern Poland*, red. tenże, Warszawa 2014, s. 17; fig. 1.1.

⁵ Uzyskane dla Jaskini Maszyckiej daty radiowęglowe mieszczą się w granicach od 15 490 do 14 520 lat temu. J.K. Kozłowski, *Wielka*

Historia Świata, t. 1: *Świat przed „rewolucją” neolityczną*, Kraków 2004, s. 548.

⁶ Tamże.

⁷ P. Kaczanowski, J.K. Kozłowski, *Wielka Historia Polski*, t. 1: *Najdawniejsze dzieje ziem polskich (do VII w.)*, Kraków 1998, s. 86.

⁸ Z. Sulgustowska, *Kontakty społeczności późnopalolitycznych i mezolitycznych między Odrą, Dźwiną i górnym Dniestrem*, Warszawa 2005, s. 237.

⁹ S. Sałaciński, J. Tomaszewski, *Mazowsze w epoce kamienia*, „Z otchłani wieków”, 56 (2001), 1–2, s. 13.

¹⁰ J.M. Burdukiewicz, *Mezolityczni myśliwi*, [w:] *Polska. Dzieje cywilizacji i narodu*, t. 1: *U źródeł Polski (do roku 1038)*, red. M. Derwich, A. Żurek, Warszawa-Wrocław 2002, s. 26.

¹¹ Tamże, s. 28.

Obok zmian środowiska naturalnego cechą charakterystyczną mezolitu są także specyficzne dla tej epoki niewielkie narzędzia krzemienne (tzw. mikrolityzacja). Wśród nich do najczęściej produkowanych należą małe ostrza o geometrycznych kształtach przypominających trapezy, trójkąty i prostokąty. Używane były one jako groty strzał lub tzw. zbrojniki, które umieszczano w kościanych, rogowych lub drewnianych oprawach harpunów¹².

Na interesującym nas terenie najbardziej cenne ślady osadnictwa zbieracko-łowieckiego społeczności mezolitu znane są przede wszystkim z badań archeologicznych mających miejsce na wspomnianym już wcześniej stanowisku nr 2 w Witowym Moście. Podczas prac wykopaliskowych natrafiono tam na wióry, rdzenie oraz niewielkie serie trójkątów rozwartościennych i mikrolitycznych drapaczy należących do kultury komornickiej. Obok nich odkryto również zabytki związane z kulturą janisławicką. Były to rdzenie, skrobacze i pazury oraz wykonane z krzemienia czekoladowego i świeciechowskiego zbrojniki typu Wieliszew. Z osadnictwem jednej z wymienionych kultur należy łączyć zarówno otrzymane daty $C14\ 8320 \pm 90$; 8160 ± 80 lat temu¹³, jak również zagłębienie interpretowane jako mezolityczna konstrukcja mieszkalna z paleniskiem na zewnątrz¹⁴. Inne stanowiska mezolityczne związane z kulturą janisławicką znane są przede wszystkim z północnych części powiatu przasnyskiego: Dąbrówki Ostrowskiej, Dzierzgi Nadbory i Czarzastych Wielkich gm. Chorzele.

W połowie VI tysiąclecia przed Chr. rozpoczyna się ostatni okres epoki kamienia – neolit (5500–2300/2200 lat przed Chr.). Jego początki na ziemiach polskich związane są z przybyciem z południa pierwszych społeczności o rolniczo-hodowlanym modelu gospodarki, które w poszukiwaniu nowych terenów uprawnych zasiedlają stopniowo najbardziej żyzne ziemie naszego kraju. Określane są one mianem kultur ceramiki wstęgowej rytej, a należąca do niej ludność, oprócz uprawy roślin i hodowli zwierząt, przynosi również szereg nowinek technicznych w postaci lepienia glinianych naczyń, tkania odzieży czy glądzenia kamiennych narzędzi.

Na omawianym terenie osiągnięcia tzw. „rewolucji neolitycznej” docierają znacznie później. Niezbyt żyzne gleby północnego

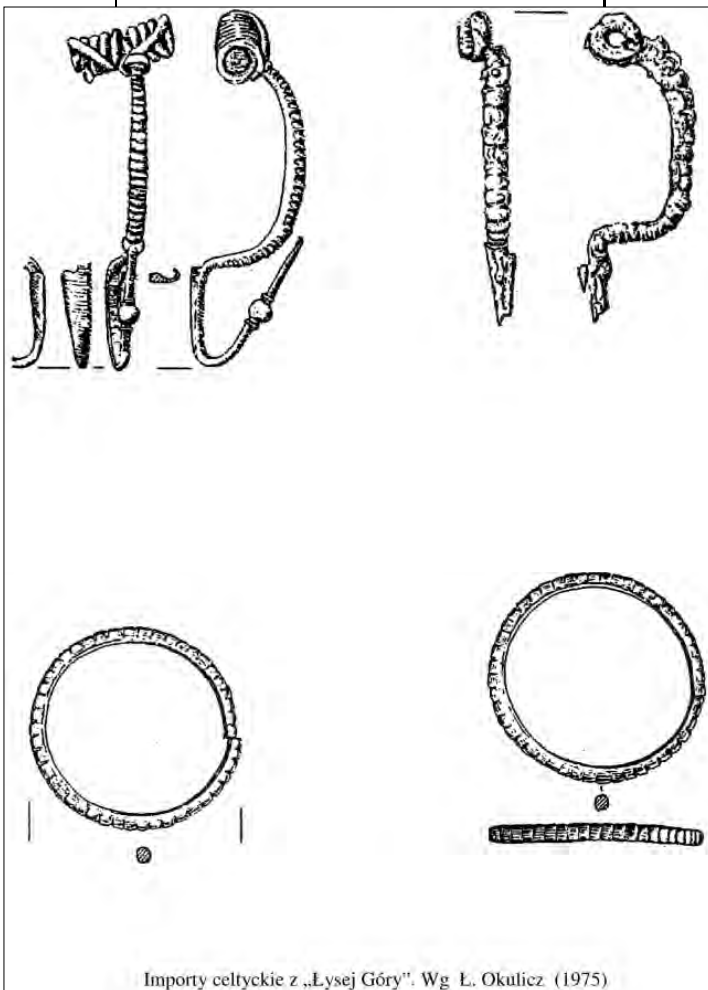
Mazowsza nie stanowiły bowiem zbyt atrakcyjnego miejsca dla społeczności wstęgowych. Dopiero wykształcenie się ok. połowy V tysiąclecia przed Chr. kultury pucharów lejkowatych doprowadziło do stopniowego upowszechnienia się uprawy roślin i hodowli zwierząt na ziemiach polskich. Jej powstanie interpretowane jest najczęściej jako efekt wzajemnych kontaktów pomiędzy mezolitycznymi

z Nowej Wsi gm. Chorzele¹⁷, reprezentującej typ B według typologii B. Balcera¹⁸.

Na szczególną uwagę w charakterystyce omawianej kultury zasługuje obrządek pogrzebowy związany z tzw. ideą megalityczną. Wyrażała się ona w budowie olbrzymich kilkudziesięciometrowych grobowców o trapezowatym lub trójkątnym kształcie, skonstruowanych z wielkich głazów narzutowych przykrytych nasypem ziemnym. Występujące na Kujawach tego typu obiekty osiągały długość dochodzącą do 130 m i zawierały od 1 do 3 zmarłych¹⁹. Na Mazowszu jak do tej pory odkryto tylko jeden taki grobowiec w Rybnie koło Sochaczewa. Nie można jednak wykluczyć, że znaczna ich część nie dotrwała do dnia dzisiejszego i uległa zniszczeniu w późniejszych okresach²⁰.

Kolejną kulturą archeologiczną okresu neolitu, której nieliczne stanowiska odkryte zostały w okolicach Przasnysza, jest kultura amfor kulistych. Na obszarze ziem polskich jej początki datowane są na ok. 4000/3600 lat przed Chr. Zaliczane do niej grupy ludności uprawiały różne typy półosiadłego pasterstwa połączonego z okazjonalną uprawą roślin. Szczególnie wysoki status hodowli wydają się potwierdzać pochówki krów oraz wspólne groby kryjące szczątki ludzi i zwierząt²¹. Na obszarze Mazowsza kultura amfor kulistych znana jest przede wszystkim z niewielkich cmentarzysk składających się z 2–3 grobów, położonych na wzniesieniach lub ich zboczach. Najbardziej rozpoznawalną formą grobu będącego echem idei megalitycznej, był wkopany w ziemię grób skrzynkowy o prostokątnym lub trapezowatym kształcie. Budowano go

używając do tego celu płyt lub głazów kamiennych układanych płaską stroną do wnętrza. Do komory grobowej wkładano zazwyczaj co najmniej dwóch zmarłych ułożonych w pozycji skurczonej na boku. Na drogę w zaświaty wyposażano ich w naczynia, siekiery, dłuta krze-



Importy celtyckie z „Łysej Góry”. Wg L. Okulicz (1975)

Importy celtyckie z Rembielina.

społecznościami zbieracko-łowieckimi, a przybyłymi z południa grupami o rolniczo-hodowlanym modelu gospodarki. Proces upowszechnienia możliwy był dzięki zastosowaniu sprzężanej orki, polegającej na użyciu radła ciągniętego przez zwierzęta¹⁵, połączonej z rozwiniętym na szeroką skalę systemem wypaleniskowym. Wpłynęło to na poszerzenie się arealu pól oraz objęcie uprawą mniej żyznych terenów¹⁶.

Stanowiska kultury pucharów lejkowatych w pobliżu Przasnysza odkryte zostały m.in. w Rostkowie gm. Czernice Borowe oraz manowie gm. Maków Mazowiecki. O cji omawianego terenu mogą świadczyć również charakterystyczne dla tej kultury leżiska topora z guzikowatym obuchem z ciec gm. Chorzele i siekiery czworosiennej

¹² M. Kobusiewicz, *500 tysięcy najtrudniejszych lat*, Warszawa 1994, s. 124.

¹³ J. Sobieraj, *Obozowisko ze środkowej i młodszej epoki kamienia w Witowym Moście st. 2, gm. Baranowo, woj. mazowieckie*, [w:] *Kultura janisławicka w Polsce północno-wschodniej i na terenach sąsiednich*, red. E. Kawłek, Ostrołęka 2003, s. 109–110.

¹⁴ Z. Sulgustowska, *Kontakty społeczności późnopalolitycznych...*, s. 238.

¹⁵ P. Kaczanowski, J.K. Kozłowski, *Najdawniejsze dzieje ziem polskich...*, s. 117.

¹⁶ J. Kruk, *Studia osadnicze nad neolitem wyżyn lessowych*, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk 1973, s. 177; tenże, S. Milisauskas, *Rozkwit i upadek społeczeństw rolniczych neolitu. The Rise and Fall of Neolithic Societies*, Kraków 1999, s. 104–105.

¹⁷ Oba zabytki znajdują się w zbiorach Muzeum Historycznego w Przasnyszu, ich numery inwentarzowe to: MHP/A/20 i MHP/A/30.

¹⁸ B. Balcer, *Ćmielów – Krzemionki – Świeciechów. Związki osady neolitycznej z kopalniami krzemienia*, Warszawa 2002, s. 90; tenże, *Krzemień świeciechowski w kulturze pucharów lejkowatych. Eksploatacja, obróbka, rozprzestrzenienie*, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk 1975, s. 116; tenże, *Wytwórczość narzędzi krzemiennych w neolicie ziem polskich*, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk-Lódź 1983, s. 42.

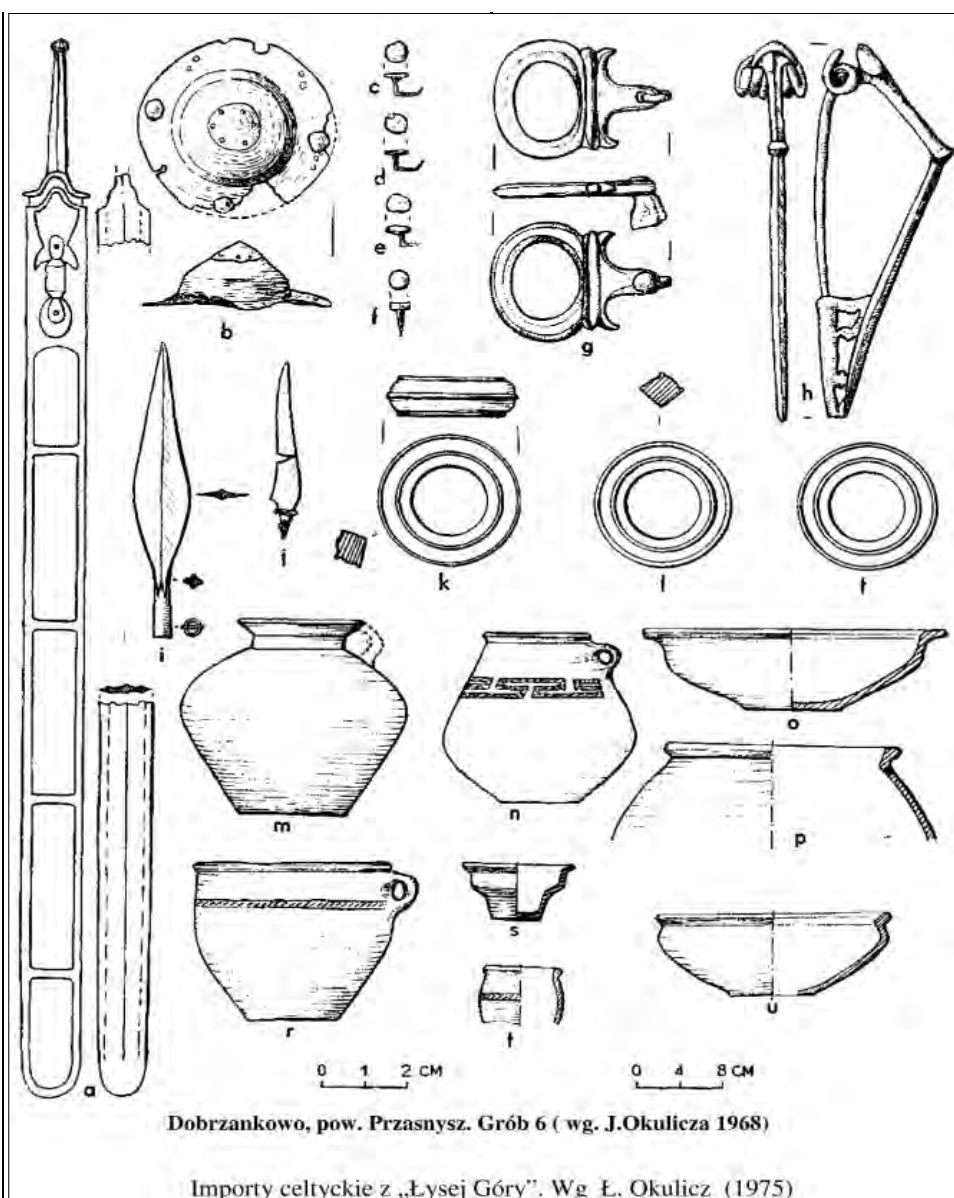
¹⁹ R. Grygiel, *Polskie piramidy*, [w:] *Polska. Dzieje cywilizacji i narodu*, t. 1..., s. 46.

²⁰ B. Matraszek, *Groby megalityczne na Mazowszu*, „Z otchłani wieków”, 56 (2001), 1–2, s. 22–24.

²¹ P. Kaczanowski, J.K. Kozłowski, *Najdawniejsze dzieje ziem polskich...*, s. 131.

mienne, ozdoby bursztynowe oraz zwierzęta²². W pobliżu Przasnysza grobowce skrzynkowe kultury amfor kulistych odkryte zostały w Makowicy gm. Szelków²³ oraz Gąsewie Nowym²⁴ i Szczeglinie (Nowym ? Poduchownym ?) gm. Sypniewo²⁵. Inne stanowiska związane z omawianą kulturą znane są m.in. z Rembielina gm. Chorzele, Ulatowa-Zalesia, gm. Krzynowłoga Mała oraz Gruduska gm. loco. Na szczególną uwagę zasługują związane z kulturą amfor kulistych znaleziska szczątków udomowionego konia. Na Mazowszu kości tego zwierzęcia (dwa osobniki dorosłe i źrebię) odkryte zostały na przebadanym w 1914 r. cmentarzysku w Potyrach gm. Naruszewo²⁶.

Zapoczątkowana przez społeczności neolityczne ekstensywna gospodarka rolnicza bazująca na wypalaniu lasów pod pola uprawne doprowadziła w efekcie do przekształceń środowiska naturalnego. W miejsce gęstych niegdyś lasów zaczęły powstawać zbiorowiska roślinne sprzyjające wypasom zwierząt. Doprowadziło to do pojawienia się na obszarze ziem polskich w III tysiącleciu przed Chr. kultury ceramiki sznurowej, której to społeczności preferowały pasterski model gospodarki. Na omawianym terenie stanowiska sznurowe znane są m.in. z Rostkowa i Obrębca gm. Czernice Borowe oraz Krasnosielca Nowego gm. Krasnosielc. Śladami pobytu mogą być również znaleziska charakterystycznych dla tej kultury toporów kamiennych pochodzących być może ze zniszczonych w przeszłości grobów. Przykładem takiego zabytku jest asymetryczny topór z Małowidza gm. Jednorzec²⁷, który pod względem typologicznym nawiązuje do wyróżnionych przez Piotra Włodarczaka egzemplarzy typu H odmiana H2²⁸. Na obszarze Wyżyny Małopolskiej tego typu formy występują w bardzo szerokim przedziale chronologicznym 2550–2300/2200 lat przed Chr.²⁹.



Dobrzankowo, pow. Przasnysz. Grób 6 (wg. J. Okulicza 1968)

Importy celtyckie z „Łysej Góry”. Wg Ł. Okulicz (1975)

²² W. Borkowski, B. Matraszek, S. Sałaciński, *Mazowsze w epoce kamienia*, [w:] *Starożytnie Mazowsze. Materiały z sesji archeologicznej, która odbyła się dnia 19 października 2006 r. w Pułtusku*, Warszawa 2006, s. 19.

²³ J. Marciniak, *Neolityczne groby skrzynkowe w powiecie makowsko-mazowieckim*, „Z otchłani wieków”, 12 (1937), s. 63; S. Nosek, *Kultura amfor kulistych w Polsce*, Wrocław-Warszawa-Kraków 1967, s. 142.

²⁴ W. La Baume, *Jungsteinzeitliche Kugelamphoren Kultur in Ost-und Westpreussen, Sitzungsberichte der Alturmgesellschaft Prussia*, Königsberg 1943, s. 71; E. Kempisty, *Kultura amfor kulistych na Mazowszu i Podlasiu*, „Materiały Starożytne i Wczesnośredniowieczne”, 1 (1971), s. 13.

²⁵ J. Marciniak, *Neolityczne groby skrzynkowe...*, s. 63; W. La Baume, *Jungsteinzeitliche Kugelamphoren Kultur...*, s. 71; S. Nosek, *Kultura amfor kulistych...*, s. 142.

²⁶ L. Sawicki, *Groby megalityczne w Potyrach w pow. Płońskim, z. Warszawskiej*, „Wiadomości Archeologiczne”, 5 (1920), 3–4, s. 127–128.

²⁷ Zabytek znajduje się w zbiorach Muzeum Historycznego w Przasnyszu, nr inw. MHP/A/18.

²⁸ P. Włodarczak, *Kultura ceramiki sznurowej na Wyżynie Małopolskiej*, Kraków 2006, s. 35–36.

²⁹ Tamże, s. 120, tab. 34; s. 127.

Wypożyczenie grobu kultury przeworskiej z Dobrzankowa.

Ludność kultury ceramiki sznurowej chowała swych zmarłych w grobach przykrytych nasypem kurhanowym. Były to z reguły groby szkieletowe, których wyposażenie stanowiły elementy uzbrojenia (groty strzał, topory) oraz ceramika i ozdoby. Z obszaru byłego powiatu przasnyskiego pochodzi jedyny jak do tej pory przebadany na północnym Mazowszu kurhan kultury ceramiki sznurowej. Odkryty został w miejscowości Tańsk-Kęsocha gm. Dzierzgowo. Związany jest on z wczesną fazą rozwoju omawianej kultury w Polsce północno-wschodniej. Jego średnica wynosiła ok. 10 m, wysokość natomiast 1,25 m. Pod kamienno-ziemnym nasypem natrafiono na spalone szczątki sześciu osobników, oraz pozostałości po palisadzie. W skład wyposażenia grobowego wchodziły trzy naczynia: amfora, niski zdobiony ornamentem jodełki puchar oraz puchar o przycieranej powierzchni i zdobieniu w postaci odcisków palców pod krawędzią. Chronologię omawianego kurhanu wyznaczają otrzymane daty radiowęglowe C14 3880±100 BP (1930 conv. B.C.)³⁰.

³⁰ B. Bargiel, A. Zakościelna, *Stan badań nad neolitem i wczesną epoką brązu na wschodnim Mazowszu i Podlasiu*, [w:] „Archeologia Mazowsza i Podlasia. Studia i materiały”, t. 3:

Obok kultur o rolniczo-hodowlanym modelu gospodarki w okresie neolitu funkcjonowały również społeczności, których głównym źródłem utrzymania pozostawało nadal zbieractwo, łowiectwo i rybołówstwo. Ze zdobyczy rewolucji neolitycznej przyswoiły one sobie tylko wytwarzanie ceramiki oraz technikę gładzenia narzędzi kamiennych. Społeczności te określane są najczęściej mianem subneolitycznych, a ich osady, podobnie jak w okresie mezolitu, zakładane były na piaszczystych wydmach położonych w pobliżu cieków wodnych. Największą liczbę znalezisk związanych z osadnictwem ludności subneolitycznej dostarczyło wymieniane już dwukrotnie stanowisko nr 2 w Witowym Moście gm. Baranowo. Natrafiono tam liczne zabytki (ceramika, narzędzia krzemienne) należące do kultury nie-meńskiej³¹. Inne jej stanowiska odkryto w Budkach gm. Chorzele i Szli gm. Przasnysz³².

Problemy przeszłości Mazowsza i Podlasia, red. M. Duliniak, Warszawa 2005, s. 42–43.

³¹ J. Sobieraj, *Obozowisko ze środkowej i młodszej...*, s. 110; Z. Sulgustowska, *Kontakty społeczności późnopolitycznych...*, s. 237.

³² H. Pilcicka-Ciura, *Archeologiczne badania rozpoznawcze na trasie projektowanego wodociągu „Szla” w miejscowościach Szla i Krępa*

Ok. 2300/2200 lat przed Chr. na obszarze ziem polskich rozpoczyna się nowy okres w dziejach ludzkości określany mianem epoki brązu. Jej głównym wyróżnikiem są coraz częściej pojawiające się przedmioty wykonane z tego metalu. Brąz był już znany w V i IV tysiącleciu przed Chr. w Mezopotamii i Egipcie. Na tereny Europy znajomość brązu dotarła z terenów Bliskiego Wschodu w III tysiącleciu przed Chr.³³

Początki nowej epoki nie przynoszą tak rewolucyjnych zmian jak neolit. Nadal głównym źródłem egzystencji ówczesnych społeczeństw jest rolnictwo i hodowla zwierząt, a większość narzędzi w dalszym ciągu wytwarzana jest z kamienia. Wynikało to z faktu, że podstawowe składniki brązu, czyli miedź i cyna, były znacznie trudniej dostępne niż dosyć powszechny kamień. Dla obszaru ziem polskich decydującą rolę odgrywały centra metalurgiczne zlokalizowane na terenie Siedmiogrodu i Niziny Węgierskiej, we wschodnich obrzeżach Alp, Turynгии oraz na terenie północnych Niemiec i Danii. Produkowane w nich specyficzne typy ozdób i narzędzi brązowych, dzięki funkcjonującym w tym okresie szlakom handlowym, docierały do odległych rejonów Europy³⁴.

Na tereny Mazowsza północnego osiągnięcia epoki brązu docierają, podobnie jak proces neolityzacji, z pewnym opóźnieniem. Zdaniem niektórych badaczy jej początki na obszarze Polski północno-wschodniej należy datować na ok. 1950 lat przed Chr.³⁵. Na omawianym obszarze w początkowych fazach epoki brązu odnotować możemy ślady penetracji powstałej na podłożu kultury ceramiki sznurowej kultury mierzanowickiej. Świadczyć o tym mogą znaleziska dwóch charakterystycznych dla tego ugrupowania zabytków wykonanych z krzemienia wołyńskiego: płoszcza (szyletu) z Jednoróżca gm. loco oraz dwusiecznej siekiry z Jastrząbki gm. Baranowo³⁶. Należy jednak podkreślić, że jest to w stosunku do południowych obszarów naszego kraju osadnictwo peryferyjne i bardzo ubogie³⁷.

Wczesna epoka brązu to również stopniowy napływ pierwszych wyrobów wykonanych z tego metalu. Reprezentowane są one przez znaleziska dwóch niewielkich zbliżonych do trójkąta głównych szyletów. Zabytki tego typu należą do niezbyt licznych na terenach położonych na wschód od Wisły. Zostały one odkryte w Zwierzyńcu gm. Krasnosielc i Drążdżewie

Nowym gm. Jednoróżec³⁸. Ich przynależność kulturowa ze względu na różnorodne analogie związane z kilkoma jednostkami archeologicznymi nie jest jednak możliwa do określenia³⁹.

Kolejne społeczności epoki brązu, których ślady pobytu odkryte zostały w pobliżu Przasnysza, określane są mianem kultury trzcinieckiej. Jej nieliczne jak do tej pory stanowiska odkryto m.in. w Woli Błędowskiej gm. Baranowo, Cichowie, Skierkowie i Ulatowie-Dąbrówce gm. Krzynowłoga Mała. Na obszarze ziem polskich osadnictwo trzcinieckie charakteryzowało się niewielkimi osadami lokowanymi często na piaszczystych wydmach położonych w pobliżu dolin rzecznych i strumieni. Były to zarówno osady stałe jak również krótkotrwałe obozowiska. Na szczególną uwagę zasługuje dosyć zróżnicowany obrządek pogrzebowy. Na Mazowszu i Podlasiu odkryto jak do tej pory zarówno pochówki szkieletowe, jak również płaskie groby ciałopalne charakterystyczne dla schyłkowych faz tej kultury⁴⁰.

Obok pojawienia się przedmiotów z brązu jednym z wyróżników omawianej epoki było również upowszechnienie się ciałopalenia, które na wiele wieków stało się dominującą formą obrządku pogrzebowego. Rozprzestrzenienie kremacji na ziemiach polskich związane jest z pojawieniem się w XIV w. przed Chr. ludności kultury łużyckiej, która paliła swych zmarłych na stosie i składała ich skremowane szczątki do glinianych naczyń lub pojemników organicznych zakopywanych w ziemi. Duża ilość takich pochówków prowadziła do powstawania rozległych cmentarzysk określanych mianem pól popielnicowych. Północne krańce Mazowsza znalazły się w zasięgu tzw. grupy północnomazowieckiej kultury łużyckiej. Jej cechą charakterystyczną są płaskie lub kurhanowe cmentarzyska przykryte wielowarstwowym brukiem kamiennym, pod którym znajdowały się ciałopalne pochówki popielnicowe lub jamowe. Wyposażenie grobów było dosyć ubogie, najczęściej znajdowano w nich drobne przedmioty krzemienne lub brązowe oraz małe naczynia gliniane, tzw. przystawki⁴¹. Dla omawianego terenu szczególne znaczenie mają badane archeologicznie nekropole w Ożumiechu i Cichowie gm. Krzynowłoga Mała. Pierwsza z nich funkcjonowała od drugiej połowy III do początków V okresu epoki brązu (ok. 120–800 lat przed Chr.)⁴², druga natomiast

od IV do VI okresu epoki brązu (ok. 1150–750 lat przed Chr.)⁴³.

Z kulturą łużycką związane są również najstarsze jak do tej pory ślady obecności człowieka na terenie Przasnysza. Wyznacza je zarówno luźne znalezisko glinianego naczynia zasobowego z ulicy Świerczewo, jak również badana wykopaliskowo osada tej kultury zlokalizowana przy ulicy Dworskiej⁴⁴. Stanowiska łużyckie znane są również m.in. z Rostkowa, Dzielina i Pierzchał gm. Czernice Borowe, Żbik i Kozina gm. Krasne oraz Krajewa-Wiercioch gm. Krzynowłoga Mała. Na szczególną uwagę zasługuje również znalezisko wykonanego z brązu szyletu z szeroką sztabą do rękocyfki pochodzące z Drążdżewa gm. Krasnosielc⁴⁵.

W połowie VIII w. przed Chr. rozpoczyna się na obszarze ziem polskich epoka żelaza. Jej początki związane są ze stopniowym napływem przedmiotów żelaznych, które w Mezopotamii i Egipcie znane były już w okresie od VI do III tysiąclecia przed Chr. Upowszechnienie się metalurgii bazującej na lokalnych rudach żelaza nastąpiło jednak dopiero w II tysiącleciu przed Chr. na Bliskim Wschodzie w państwach Hetytów i Mitanii. Następnie technologia ta dzięki ludom greckim i italskim dotarła w VIII w. przed Chr. na obszar Europy Środkowej⁴⁶.

We wczesnej epoce żelaza w zachodniej części Europy kształtuje się tzw. kultura halsztacka, która od początku swego istnienia pozostaje pod wpływem cywilizacji śródziemnomorskich. Wyrazem tych wpływów było wykształcenie się warstwy książęcej oraz budowa osad obronnych wzorowanych na akropolach greckich miast. Społeczności halsztackie opanowały metalurgię żelaza, eksploatowały złoża mineralne oraz przekazywały na ziemie polskie cywilizacyjne osiągnięcia społeczeństw kręgu śródziemnomorskiego⁴⁷. Okres dominacji wymienionej wyżej kultury nazywany jest okresem halsztackim, a jego dwie ostatnie fazy C (750–550 lat przed Chr.) i D (550–400 lat przed Chr.) wchodziły w skład wczesnej epoki żelaza na ziemiach polskich.

W okresie halsztackim C na omawianym terenie dominuje nadal osadnictwo związane z kulturą łużycką. W dziedzinie wytwórczości

Stara gm. Przasnysz, maszynopis w Archiwum Muzeum Historycznego w Przasnyszu, s. 10.

³³ B. Gediga, *Epoka brązu i wczesne okresy epoki żelaza*, [w:] *Via Archaeologica. Archeologiczne badania ratownicze w programie budowy autostrady w Polsce*, red. A. Krzyżaniak, Warszawa 2005, s. 46.

³⁴ P. Kaczanowski, J.K. Kozłowski, *Najdawniejsze dzieje ziem polskich...*, s. 141.

³⁵ J. Dąbrowski, *Epoka brązu w północno-wschodniej Polsce*, Białystok 1997, s. 88.

³⁶ Oba zabytki znajdują się w zbiorach Muzeum Historycznego w Przasnyszu. Ich numery inwentarza to: MHP/A/26 i MHP/A/22.

³⁷ B. Bargieł, A. Zakościelna, *Stan badań nad neolitem i wczesną epoką brązu...*, s. 43.

³⁸ Zabytki znajdują się w zbiorach Muzeum Historycznego w Przasnyszu, ich numery inwentarzowe to: MHP/A/68 i MHP/A/69.

³⁹ Informacja ustna uzyskana od mgr. Łukasza Karczmarskiego z Działu Epoki Brązu i Wczesnej Epoki Żelaza Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie.

⁴⁰ M. Mogelnicka-Urbani, *Problemy epoki brązu i wczesnej epoki żelaza na Mazowszu i Podlasiu*, [w:] *Najstarsze dzieje Podlasia w świetle źródeł archeologicznych*, red. B. Bryńczak, P. Urbańczyk, Siedlce 2001, s. 57.

⁴¹ Taż, *Kultura łużycka na Mazowszu i Podlasiu*, [w:] *Archeologia Mazowsza i Podlasia. Studia i materiały*, t. 3..., s. 69–71.

⁴² T. Purowski, *Wstępne wyniki badań przeprowadzonych w latach 1980, 1982–1984 na cmentarzysku kultury łużyckiej w Ożumiechu na północnym Mazowszu*, [w:] *Officina archaeologica optima. Studia ofiarowane Jerzemu Okuliczowi-Kozarynowi w siedemdziesiątą rocznicę urodzin*, red. W. Nowakowski,

A. Szela, Warszawa 2001, s. 181; tenże, *Cmentarzysko kultury łużyckiej w Ożumiechu na północnym Mazowszu*, Warszawa 2003, s. 133.

⁴³ G. Orlińska, *Cmentarzysko kultury łużyckiej w Cichowie*, „Archeologia Żywa. Archeologia Mazowsza”, 4 (2005/2006), s. s. 9.

⁴⁴ Z. Miecznikowski, *Wyniki ratowniczych badań wykopaliskowych przeprowadzonych na ulicy Dworskiej w Przasnyszu, nr działki 584/129. Przasnysz st. I, AZP 40-65/20*, 2015, maszynopis w archiwum WOUZ delegatura w Ostrołęce.

⁴⁵ J. Kostrzewski, *Skarby i luźne znaleziska metalowe od eneolitu do wczesnego okresu żelaza z górnego i środkowego dorzecza Wisły i górnego dorzecza Warty*, „Przegląd Archeologiczny”, 15 (1964), s. 32, 99, tabl. VII. 1; J. Zychlińska, *Recepcja importu nordyjskiego na ziemiach polskich we wczesnych fazach kultury łużyckiej*, Poznań 2008, s. 65–66, 193.

⁴⁶ B. Gediga, *Epoka brązu i wczesne okresy epoki żelaza...*, s. 48.

⁴⁷ Taż, *Świećność kultury łużyckiej*, [w:] *Polska. Dzieje cywilizacji i narodu*, t. 1..., s. 68–69.

narzędzi, broni i ozdób społeczności tej kultury w dalszym ciągu bazowały na metalurgii brązu. Dlatego też przez niektórych badaczy okres halszacki C, na obszarze północno-wschodniej Polski uznawany jest jako kolejny VI (750–620 lat przed Chr.) okres epoki brązu⁴⁸. W pobliżu Przasnysza stanowiska kultury łużyckiej datowane na wczesną epokę żelaza znane są m.in. Z Budek, Rycic, gm. Chorzele oraz Purzyc-Pomianów gm. Grudusk. Na szczególną uwagę zasługuje odkrycie jamowego pieca do wypalania ceramiki z Bogatego gm. Przasnysz⁴⁹ oraz skarb ozdób brązowych (3 naszyjniki, 1 bransoletka) z Drążdżewa Małego gm. Krasnosielc⁵⁰.

Mający miejsce w kolejnych fazach wczesnej epoki żelaza stopniowy zanik osadnictwa kultury łużyckiej doprowadził do wykształcenia się na jej podłożu nowych grup ludności określanych przez archeologów mianem kultury pomorskiej, kultury grobów kloszowych i kultury kurhanów zachodniobałtyjskich. Przejawem tych zmian na Mazowszu może być cmentarzysko w Siemiątkowie Koziebrodzkim gm. loco, gdzie jamowe i popielnicowe groby kultury łużyckiej zawierają elementy kultury kurhanów zachodniobałtyjskich i grobów kloszowych⁵¹.

Pierwsza z wymienionych kultur – pomorska – wykształciła się na przełomie okresu halszackiego C/D na Pomorzu Wschodnim, skąd rozprzestrzeniła się na znaczne obszary Polski. Jej cechą charakterystyczną na rodzimych terenach były popielnice z wizerunkiem twarzy oraz cmentarzyska wielorodzinne składające się z kilku grobów zbudowanych z płyt kamiennych, w których znajdowało się najczęściej kilkanaście pochówków⁵². Na Mazowsze grupy ludności należące do kultury pomorskiej docierają u schyłku okresu halszackiego D. Obok charakterystycznych grobowców skrzynkowych znacznie częściej występują na tym terenie popielnicowe groby zbiorowe obwarowane kamieniami. Jako popielnice spotykane są naczynia baniaste i wazowate zdobione ornamentem rytym. Oprócz nich występują również małe naczynia pełniące funkcję przystawek oraz dary grobowe w postaci drobnych przedmiotów z kości i metali. Sporadycznie natomiast spotykane są urny twarzowe⁵³.

⁴⁸ J. Dąbrowski, *Epoka brązu w północno-wschodniej Polsce...*, s. 88.

⁴⁹ H. Pilcicka-Ciura, *Wstępne wyniki badań stanowiska wielokulturowego w miejscowości Bogate gm. Przasnysz (osadnictwo z epoki brązu, osada z okresu wpływów rzymskich, osada wczesnośredniowieczna)*, [w:] *Kurpiowszczyzna. Identyfikacja – Odmienność. Materiały z archeologicznej sesji popularno-naukowej*, Ostrołęka 2000, s. 38.

⁵⁰ Informacja o skarbie pochodzi ze strony internetowej Mazowieckiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków (<http://www.mwzkz.pl/archiwum-wiadomosci-archeologia-przeglad/50-archeologiapub/1056-skarb-z-drzedzowa>, dostęp 16 VIII 2017 r.).

⁵¹ M. Mogelnicka-Urban, *Kultura łużycka na Mazowszu i Podlasiu...*, s. 70.

⁵² Taż, *Problemy epoki brązu i wczesnej epoki żelaza...*, s. 71.

⁵³ T. Purowski, *Problemy badań nad kulturą grobów kloszowych na Mazowszu*, [w:] „Ar-

Wymieniona jako druga kultura grobów kloszowych wykształciła się w dorzeczu środkowej Wisły u schyłku okresu halszackiego D. Swą nazwę zawdzięcza ona specyficznej formie grobu składającego się z popielnicy przykrytej misą oraz odwróconym do góry dnem naczyniem (kloszem). Na cmentarzyskach kloszowych spotykane są również konstrukcje kamienne w postaci skrzyń, wieńców z kamieni, bruków itp. Stosunkowo często obok pochówków ludzkich występują groby zwierzęce lub ludzko-zwierzęce wyposażone w zabytki metalowe⁵⁴. Groby należące do wymienionych wyżej kultur występują również na wspólnych cmentarzyskach, dzięki czemu uznawane są one przez niektórych badaczy za należące do jednej kultury pomorskiej⁵⁵. Stanowiska archeologiczne, które możemy określić jako należące do wspólnego kręgu pomorsko-kloszowego, znane są m.in. z Rzodkiewnicy, Przątalin, Rembielina gm. Chorzele, Drążdżewa gm. Krasnosielc i Dzierzgówka, gm. Dzierzgowo.

Wraz z rozwojem kultury pomorskiej i kultury grobów kloszowych na północnych krańcach Mazowsza widoczna jest również ekspansja kultury kurhanów zachodniobałtyjskich. Jej cechą charakterystyczną są kulistodenne naczynia i swoisty system osadniczy oparty na sieci niewielkich osiedli obronnych, nawiązujący do kultur grodziskowych strefy leśnej Europy Wschodniej. Osiedla obronne zakładane były najczęściej na odosobnionych wzniesieniach morenowych i półwyspach rzek lub jezior, wysokich brzegach cieków wodnych lub bezpośrednio na wyspach jezior. Umacniano je dodatkowymi wałami kamiennymi, palisadami i częstokołami. Na obszarze Warmii i Mazur spotyka się również osiedla nawodne budowane na pomostach rusztowych w płytkich zatokach jezior i rzek. Zbudowę osiedli obronnych kultury kurhanów zachodniobałtyjskich stanowiło najczęściej od 6 do 8 domostw o konstrukcji słupowej rozmieszczonych wokół majdanu, były one najprawdopodobniej użytkowane przez jedną wspólnotę składającą się z kilku rodzin⁵⁶. Na omawianym terenie jedynym tego typu obiektem jest grodzisko w Krajewie Wielkim gm. Krzynowłoga Mała. Jego zachowane do dnia dzisiejszego wymiary wynoszą 10 x 20 m, wysokość wałów dochodzi natomiast do 4,5 m. Przeprowadzone w roku 1965 badania sondazowe wykazały istnienie kamiennego wału, do którego od strony majdanu przylegała warstwa składająca się z piasku, mułu z czarnymi prze-

cheologia Mazowsza i Podlasia. Studia i materiały”, t. 3..., s. 93–94.

⁵⁴ M. Mogelnicka-Urban, *Problemy epoki brązu i wczesnej epoki żelaza...*, s. 72–73.

⁵⁵ T. Malinowski, *Kultura pomorska z wraz z tzw. kulturą grobów podkoszowych*, [w:] *Pradzieje ziem polskich*, t. 2: *Od paleolitu do środkowego okresu lateńskiego*, cz. 2: *Epoka brązu i początki epoki żelaza*, red. J. Kmiecinski, Warszawa-Łódź 1989, s. 573–582.

⁵⁶ Ł. Okulicz, *Kultura kurhanów zachodniobałtyjskich we wczesnej epoce żelaza*, Wrocław 1970, s. 72; taż, *Kultura kurhanów zachodniobałtyjskich*, [w:] *Prahistoria ziem polskich*, t. 4: *Od środkowej epoki brązu do środkowego okresu lateńskiego*, red. J. Dąbrowski, A. Gardawski, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk 1979, s. 179–180.

warstwieniami będących być może pozostałościami budowli mieszkalnych⁵⁷.

Inną cechą charakterystyczną omawianej kultury jest upowszechnienie się kurhanowego obżędku pogrzebowego. Najczęściej spotykanym typem kurhanu był nasyp z wielowarstwowym płaszczem kamiennym lub kamiennieziemnym, ograniczony najczęściej pojedynczym lub kilkoma wieńcami kamiennymi. Przykrywał on skrzynię zbudowaną z płyt kamiennych, do której składano kilka lub kilkanaście popielnic zawierających skremowane szczątki zmarłego. Dla północnego Mazowsza charakterystyczne są rozległe cmentarzyska kurhanowe złożone z niewielkich nasypów o formach owalnych, łódkowatych i prostokątnych, przykrywające warstwę stosu ciałopalnego z resztkami przepalonych kości oraz drobnych fragmentów ceramiki. Pochówki te zastąpione zostały w późniejszym okresie przez duże kurhany kryjące popielnicowe lub bezpopielnicowe groby zbiorowe umieszczone w skrzyniach lub na brukach kamiennych⁵⁸.

Na omawianym terenie tego typu cmentarzyska znane są przede wszystkim z obszarów położonych wzdłuż górnego biegu Orzycy. Wśród nich archeologicznie przebadane zostały nekropole w Łączyńcu Starym⁵⁹, Tańsku-Kęsosze gm. Dzierzgowo⁶⁰, Piastowie gm. Krzynowłoga Mała⁶¹ i Kitkach⁶². Oprócz nich stanowiska kultury kurhanów zachodniobałtyjskich odkryte zostały m.in. w Jedlinie gm. Chorzele, Dzierzgówku i Kamieniu gm. Dzierzgowo. Omawianą kulturę cechuje również niewielki stopień rozwoju produkcji rzemieślniczej. Występujące na jej obszarze przedmioty metalowe importowane były z terenów kultury łużyckiej i pomorskiej, a także z kręgu kultur nordyjskich. Gospodarka oparta była przede wszystkim na hodowli zwierząt, znacznie mniejszą rolę odgrywało rolnictwo⁶³.

⁵⁷ Taż, *Sprawozdanie z badań sondażowych na grodziskach w Krajewie Wielkim i Tańsku-Przedborach*, pow. Przasnysz, „Sprawozdania Archeologiczne”, 19 (1968), s. 361–362.

⁵⁸ J. Okulicz-Kozaryn, *Kultura kurhanów zachodniobałtyjskich*, [w:] *Pradzieje ziem polskich*, t. 2: *Od paleolitu do środkowego okresu lateńskiego*, cz. 2: *Epoka brązu i początki epoki żelaza*, red. J. Kmiecinski, Warszawa-Łódź 1989, s. 589–590.

⁵⁹ Ł. Okulicz, *Cmentarzysko kurhanowe z wczesnej epoki żelaza w miejscowości Łączyńcu Starym*, pow. Przasnysz, „Materiały Starożytne i Wczesnośredniowieczne”, 1 (1971), s. 99–125.

⁶⁰ Taż, *Cmentarzysko kurhanowe w miejscowości Kęsocha pow. Przasnysz*, „Światowit”, 33 (1972), s. 121–142; taż, *Cmentarzyska kurhanowe z wczesnej epoki żelaza w miejscowości Gródki*, pow. Działdowo oraz Kęsocha, pow. Przasnysz, „Sprawozdania Archeologiczne”, 15 (1963), s. 119–122.

⁶¹ A. Niewęglowski, *Kurhany z wczesnego i środkowego okresu lateńskiego w miejscowości Piastów*, pow. Przasnysz, „Światowit”, 24 (1962), s. 235–248.

⁶² D. Sikorski, *Kitki: dwa wczesnożelazne cmentarzyska ciałopalne z Mazowsza Północnego*, Warszawa 2000.

⁶³ P. Kaczanowski, J.K. Kozłowski, *Najdawniejsze dzieje ziem polskich...*, s. 187.

Osadnictwo wymienionych wyżej kultur występujących we wczesnej epoce żelaza kontynuowane jest również okresie lateńskim⁶⁴. Charakteryzuje się on dominacją plemion celtyckich, które odegrały znaczącą rolę w procesie kulturowym i cywilizacyjnym Europy. Początki okresu lateńskiego na ziemiach polskich datowane są na ok. 400 lat przed Chr. i związane są z pojawieniem pierwszych plemion celtyckich na obszarze naszego kraju. Enklawy osadnictwa celtyckiego znajdowały się na Górnym i Dolnym Śląsku, w części Małopolski, na Kujawach oraz w dorzeczu Sanu. Dla omawianego terenu niezwykle ważne jest pochodzące z tego okresu, a funkcjonujące być może już od schyłku wczesnej epoki żelaza stanowisko Łysa Góra określane w literaturze archeologicznej jako „Rembielin stanowisko nr 1”. Jest to niewielka piaszczysta wydma położona na prawym brzegu Orzycy w odległości ok. 1600 m na północny zachód od Chorzel. Wieloletnie badania archeologiczne przeprowadzone na tym stanowisku doprowadziły do odkrycia ciepłopalnego cmentarzyska oraz osady o charakterze mieszkalno-produkcyjnym, które użytkowane było prawdopodobnie od końca wczesnej epoki żelaza do końca okresu lateńskiego, a nawet początków okresu wpływów rzymskich⁶⁵. Stanowisko to, mimo wieloletnich prac archeologicznych, jak na razie nie doczekało się jednolitej monografii podsumowującej wszystkie sezony badań, stąd też w literaturze możemy spotkać dosyć rozbieżne informacje dotyczące jego przynależności kulturowej. Początkowo łączone było z kulturą kurhanów zachodniobałtyjskich⁶⁶, następnie z kulturą grobów kloszowych⁶⁷, kulturą pomorską⁶⁸ i ponownie z kulturą kurhanów zachodniobałtyjskich⁶⁹. Wydaje się jednak, że grupa ludności zamieszkująca i użytkująca Łysą Górę w pradziejach była typową społecznością pogranicza kulturowego, w której mieszały się wpływy wymienionych wyżej kultur oraz w późniejszym okresie kultury przeworskiej⁷⁰.

Na szczególną uwagę wśród zabytków pochodzących z Rembielina zasługuje odkryty podczas przeprowadzonych tam badań arche-

ologicznych najstarszy na Mazowszu zespół 14 zabytków pochodzących z kręgu kultury celtyckiej. Jest to zbiór składający się z wykonanych z brązu bransolet poprzecznie karbowanych, bransolety z pieczętkowatymi końcami, brązowych i żelaznych zapinek wczesnolateńskich datowanych na okres lateński B (400–275 lat przed Chr.), oraz narzędzi pracy siekiery i dłuta, których chronologia przypada na okres lateński C (275–120 lat przed Chr.) lub przełom okresów C i D (120 lat przed Chr.)⁷¹. Wystąpienie tak daleko na północ zabytków wyprodukowanych przez celtyckich rzemieślników łączone jest z funkcjonowaniem w tym czasie szlaku bursztynowego, którego jedno z odgałęzień przebiegać mogło przez północne Mazowsze⁷².

Wspomniana wyżej dominacja i oddziaływanie plemion celtyckich (tzw. proces latenizacji) doprowadziły w efekcie do ogromnych zmian kulturowych na obszarze ziem polskich. Na podłożu starych kultur z wczesnej epoki żelaza kultury pomorskiej i kultury grobów kloszowych wykształca się ok. połowy III w. przed Chr. kultura przeworska. Utożsamiana jest ona obecnie z germańskimi plemionami Wandali oraz ich odpowiednikami w źródłach antycznych, tzw. Związkiem Lugijskim⁷³. Na szczególną uwagę zasługuje jej obrządek pogrzebowy. Dominującą formą grobu był grób jamowy, do którego składano spalone szczątki, wysypując często wraz z nimi do jamy grobowej resztki stosu. W podobny sposób postępowano z prochami zmarłego, które umieszczane były w popielnicy. Dary grobowe w postaci uzbrojenia, ozdób, narzędzi i naczyń palone były na stosie wraz z ich właścicielem, a następnie w rytualny sposób niszczone⁷⁴. Z interesującego nas terenu stanowiska przeworskie znane są m.in. z Przasnysza, Szli, Karwacza, Gór Karwackich i Dobrzankowa gm. Przasnysz oraz Czarzastych Wielkich i Opaleńca gm. Chorzele.

Najwięcej jednak informacji związanych z obrządkiem pogrzebowym omawianej kultury dostarczyło cmentarzysko w Dobrzankowie. Podczas przeprowadzonych na nim badań archeologicznych odkryto 35 grobów ciepłopalnych, wśród których 19 datowanych jest na późny okres lateński (młodszy okres przedrzymski⁷⁵). Większość z nich reprezentowana była przez pochówki popielnicowe. Obok standardowego wyposażenia w niektórych grobach wystąpiły również unikatowe w skali całego kraju zabytki. Zaliczyć możemy do nich odkry-

ty w grobie 32 miecz jednosieczny zdobiony u nasady głowni ornamentem zygzakowatej linii. Z obszarów Mazowsza znanych jest tylko 20 egzemplarzy tego typu broni⁷⁶. Miejsce, w którym doszło najprawdopodobniej do powstania mieczy jednosiecznych w omawianym okresie są nadbałtyckie tereny zajęte przez kulturę oksywską. Jest to forma rodzima wykształcona z występujących w kulturze pomorskiej długich noży z trzpieniem do rękojeści, na którym często występowały nity do mocowania okładzin⁷⁷.

Za równie unikatowe należy uznać miecze dwusieczne z grobów 6 i 34, których pochwy nie posiadają analogii zarówno w kulturze przeworskiej, jak również wśród innych społeczności europejskich⁷⁸. Przeprowadzona analiza metaloznawcza mieczy wykazała, że zostały one wykute z surowca typowego dla Skandynawii lub Nadrenii⁷⁹. Nie można jednak wykluczyć ich miejscowej produkcji z wykorzystaniem przywiezionej w ramach wymiany handlowej rudy żelaza⁸⁰. Należy dodać również, że w skład wyposażenia grobu 34 wchodziło także umbo tarczy pochodzące z terenów bałkańskich⁸¹. Uzbrojenie z grobów 6 i 34 uważane jest za importy pochodzące ze świata celtyckiego⁸².

Oprócz Dobrzankowa późnolateńskie cmentarzyska przeworskie znane są m.in. z Kitek, gm. Dzierzgowo, Magnuszewa Małego, gm. Szelków, Purzyc-Trojan gm. Grudusk czy Stupska gm. loco. Osadnictwo kultury przeworskiej na terenie północnego Mazowsza kontynuowane było również w okresie w wpływów rzymskich. Jego załamanie nastąpi dopiero wraz z przybyciem na te tereny plemion gockich określanych przez archeologów mianem kultury wielbarskiej.

Zbigniew Miecznikowski

Fot. na stronach 59-60 Krasnosielskiego Zeszytu Historycznego Nr 37.

⁶⁴ Okres lateński określany jest również jako przedrzymski.

⁶⁵ Ł. Okulicz, *Sprawozdanie z badań cmentarzyska z wczesnej epoki żelaza w Rembielinie powiat przasnyski*, „Rocznik Olsztyński”, 11 (1975), s. 205.

⁶⁶ Taż, A. Pozarzycka, W. Nowakowski, *Stanowisko z wczesnej epoki żelaza w Rembielinie, pow. Przasnysz*, „Sprawozdania Archeologiczne”, 26 (1974), s. 70; Ł. Okulicz, *Sprawozdanie z badań cmentarzyska z wczesnej epoki żelaza w Rembielinie...*, s. 208.

⁶⁷ Ł. Okulicz, *Osada i cmentarzysko w Rembielinie, woj. Ostrołęka. Monografia stanowiska na podstawie wyników badań prowadzonych w latach 1971–1974*, Warszawa 1980, maszynopis w IA UW, s. 265–274.

⁶⁸ A. Waluś, *Zabytki kultury lateńskiej z Rembielina, woj. ostrołęckie*, „Barbaricum”, 2 (1992), s. 89.

⁶⁹ M.J. Hoffmann, *Źródła do kultury i osadnictwa południowo-wschodniej strefy nadbałtyckiej w I tysiącleciu p.n.e.*, Olsztyn 1999, s. 141.

⁷⁰ D. Manasterski, *Jamowy grób ciepłopalny z żelazną sprzączką do pasa, ze stanowiska I w Rembielinie, powiat przasnyski*, [w:] *Officina archaeologica optima...*, s. 130.

⁷¹ A. Waluś, *Zabytki kultury lateńskiej...*, s. 94–96.

⁷² Z. Woźniak, *Kultura pomorska a kultura lateńska*, [w:] *Kultura pomorska i kultura grobów kloszowych razem czy osobno? Materiały z konferencji w dniach 24–26 listopada 1993 r.*, Warszawa 1995, s. 206.

⁷³ A. Kokowski, *Polska starożytna*, Warszawa 2005, s. 51, 163–164.

⁷⁴ T. Makiewicz, *Germanie nad Odrą i Wisłą*, [w:] *Polska. Dzieje cywilizacji i narodu*, t. 1..., s. 103.

⁷⁵ W Dobrzankowie groby kultury przeworskiej datowane są od ok. 120 lat przed Chr. po lata 80 naszej ery (od fazy A2 po fazę B2). T. Dąbrowska, *Młodszy okres przedrzymski na Mazowszu i zachodnim Podlasiu. Zarys kulturowo-chronologiczny*, „Materiały Starożytne i Wczesnośredniowieczne”, 7 (2008), s. 131.

⁷⁶ Tamże, s. 45.

⁷⁷ P. Łuczkiwicz, *Uzbrojenie ludności ziem polskich w młodszym okresie przedrzymskim*, Lublin 2006, s. 66–67.

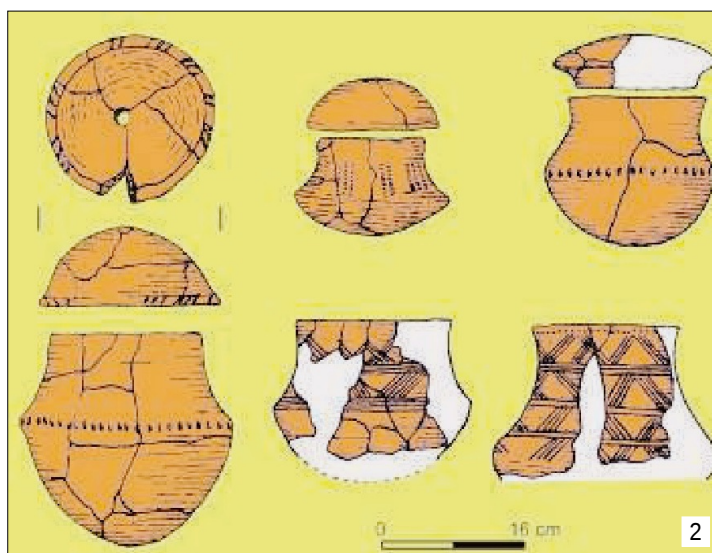
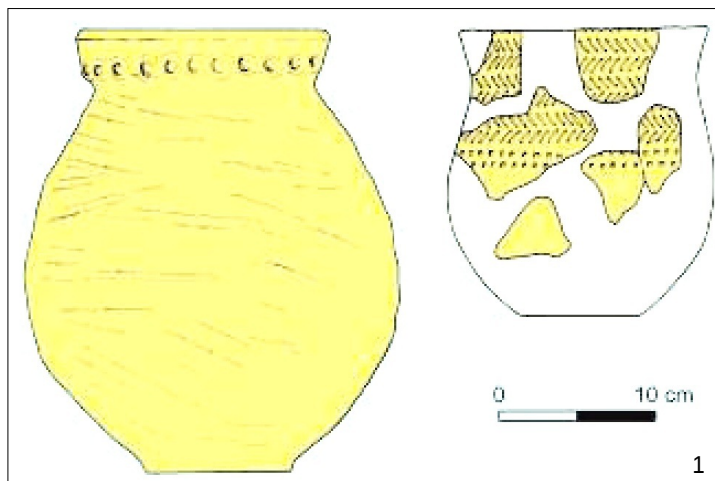
⁷⁸ T. Bochnak, *Uzbrojenie kultury przeworskiej w młodszym okresie przedrzymskim*, Rzeszów 2005, s. 159.

⁷⁹ J. Piaskowski, *Metaloznawcze badania starożytnych przedmiotów żelaznych z Dobrzankowa, pow. Przasnysz, Stupska pow. Mława i Rostrek, pow. Ostrołęka*, „Materiały Starożytne i Wczesnośredniowieczne”, 1 (1971), s. 186.

⁸⁰ J. Okulicz, *Cmentarzysko z okresów późnolateńskiego i rzymskiego w miejscowości Dobrzankowo, pow. Przasnysz*, „Materiały Starożytne i Wczesnośredniowieczne”, 1 (1971), s. 166.

⁸¹ R. Bockius, *Zu einigen Schildbeschlägen der jüngeren vorrömischen Eisenzeit aus Fundkomplexen der Preworsk-Kultur*, [w:] *Kontakte längs der Bernseestraße (zwischen Caput Adriae Und den Ostseegebieten) in der Zeit um Christi Geburt*, red. Z. Woźniak, Kraków 1996, s. 150–156.

⁸² T. Dąbrowska, *Młodszy okres przedrzymski na Mazowszu...*, s. 189.



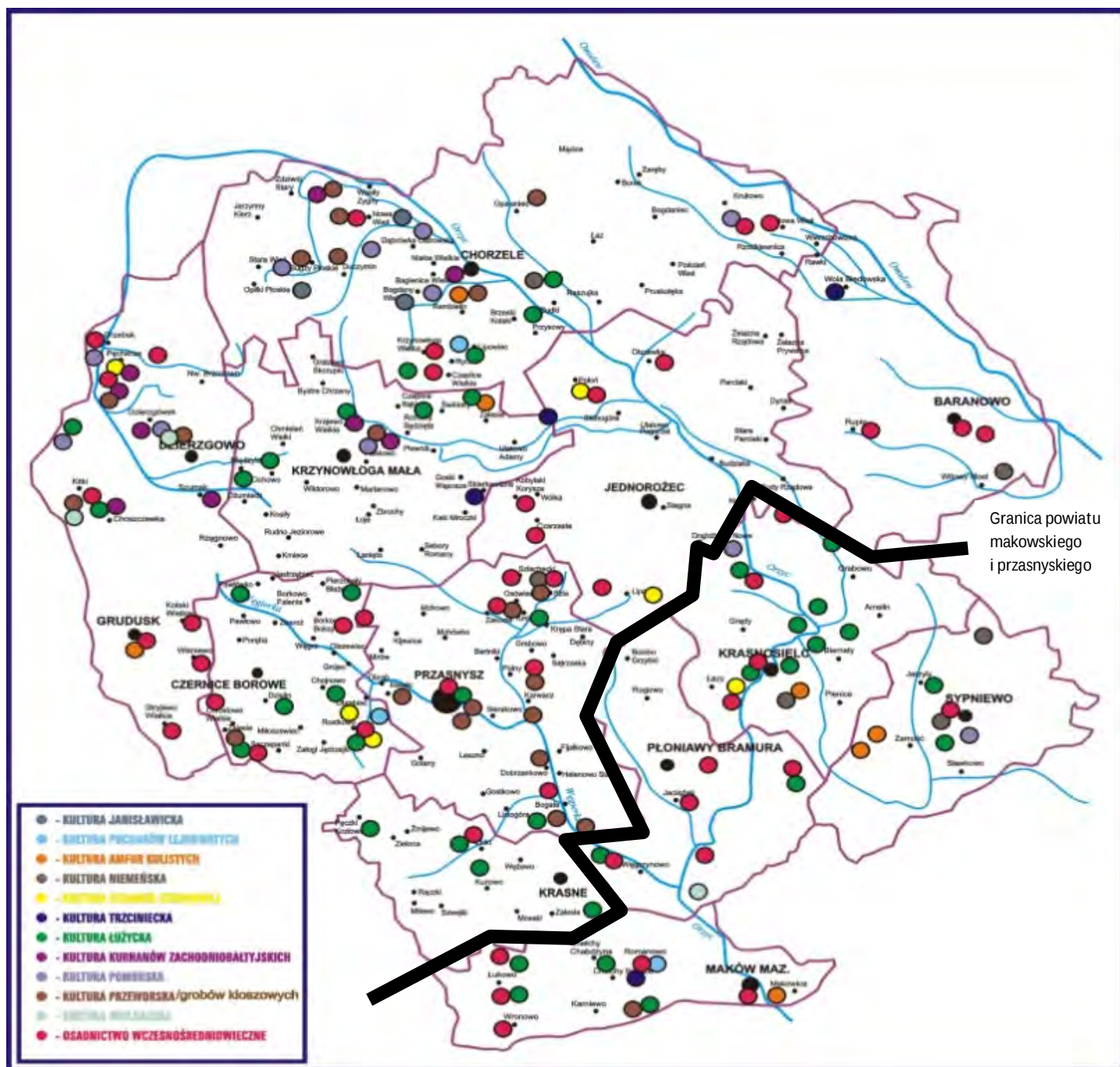
Ilustracje

do artykułu
"Ziemia przasnyska w pradziejach do przełomu er



1. Tańsk-Kęsocha, naczynia grobowe z końca III tys. przed Chr. Źródło: G. Orlińska, *Najdawniejsze dzieje okolic Krzynowłogi Małej*, „Krzynica”, 2010, 3 (13), s. 6–8.
2. Łączyń Stare, naczynia grobowe z IV–III w. przed Chr. Źródło: G. Orlińska, *Najdawniejsze dzieje okolic Krzynowłogi Małej*, „Krzynica”, 2010, 3 (13), s. 6–8.
3. Z. Miecznikowski podczas wykopaliśk na cmentarzysku w Cichowie, 2007 r. Źródło: <https://to.com.pl/cmentarzysko-pod-stosem-kamieni/ar/6294492> (dostęp 7 XII 2018 r.).
4. Grodzisko w Krajewie Wielkim. Źródło: <http://www.krzynowlogamala.pl/strona/32> (dostęp 7 XII 2018 r.).
5. Toporek krzemienny z Jednorozca. Fot. z wernisazu wystawy „Przasnysz na kartach historii” w Muzeum Historycznym w Przasnyszu, grudzień 2010 r. Fot. M.W. Kmoch.
6. Cichowo, przygnieciony kamieniami grób ze szczątkami złożonymi w naczyniu, XI–X w. przed Chr. Źródło: G. Orlińska, *Najdawniejsze dzieje okolic Krzynowłogi Małej*, „Krzynica”, 2010, 3 (13), s. 6–8.
7. Naczynie gliniane znalezione na ul. Świerczewo w Przasnyszu, późna epoka brązu lub wczesna epoka żelaza. Fot. z wernisazu wystawy „Przasnysz na kartach historii” w Muzeum Historycznym w Przasnyszu, grudzień 2010 r. Fot. M.W. Kmoch.
8. Siekierki krzemienne z Bud Rządowych. Fot. z wernisazu wystawy „Przasnysz na kartach historii” w Muzeum Historycznym w Przasnyszu, grudzień 2010 r. Fot. M.W. Kmoch.

Mapka najważniejszych stanowisk archeologicznych Ziemi Przasnyskiej oraz trzech gmin powiatu makowskiego

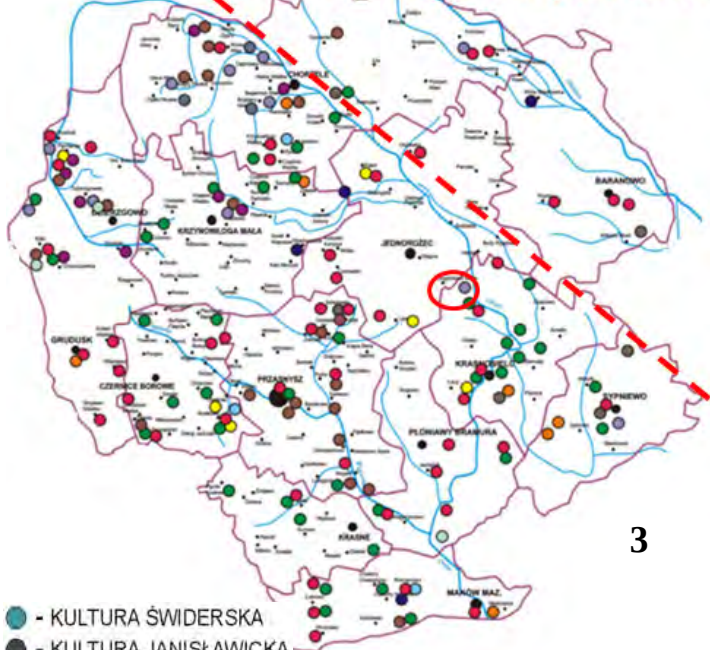




PRADZIEJE POGRANICZA

1

Puszcza Kurpiowska



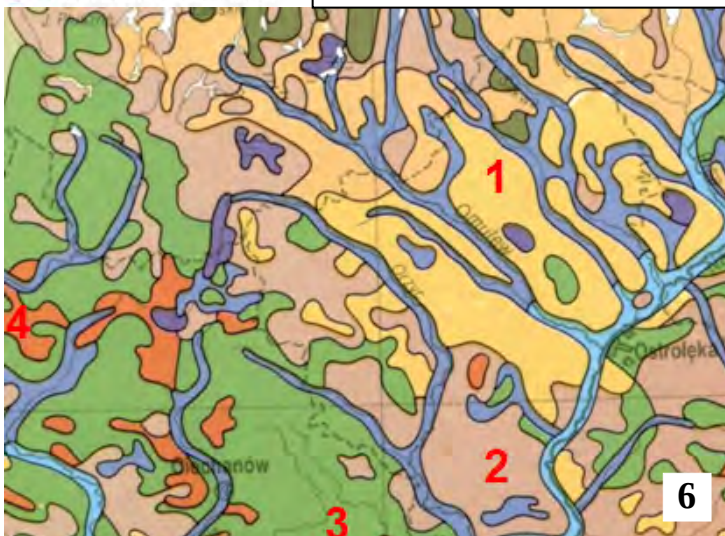
3

- - KULTURA ŚWIDERSKA
- - KULTURA JANISŁAWICKA
- - KULTURA PUCHARÓW LE
- - KULTURA AMFOR KULIST
- - KULTURY SUBNEOLITYCZ
- - KULTURA CERAMIKI SZNI
- - KULTURA TRZCINIECKA
- - KULTURA ŁUŻYCKA
- - KULTURA GROBÓW KŁOS
- - KULTURA POMORSKA
- - KULTURA PRZEWORSKA
- - KULTURA WIELBARSKA

Potencjalna roślinność naturalna:

1. Środkowoeuropejski bór sosnowy.
2. Subkontynentalne bory mieszane dębowo-sosnowe.
3. Subkontynentalne grądy lipowo-dębowo-grabowe.
4. Świetliste dąbrowy i ciepłolubne lasy mieszane sosnowo-dębowe.

poniżej



6



- 1 - równiny zalewowe, 2 - równiny tarasowe, 3 - równiny bagienne, 4 - glinałki pagórkowate, 5 - glinałki wzgórzowe, 6 - glinałki równin (falezy), 7 - peryglacialny równinny i falezy, 8 - peryglacialny pagórkowaty, 9 - peryglacialny wzgórzowy, 10 - fluwio-glacialny równinny i falezy, 11 - wzniesienia i pagórki wydnowe

2



TUNDRA

4



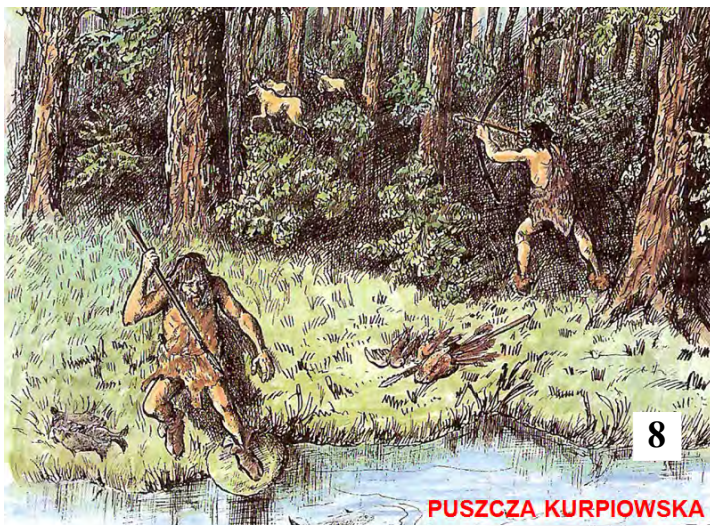
Myszyńiec, gm. loco
oraz Ostrolęka, gm. loco.

Prązewo gm. Ciechanów
oraz Kondrajec Szlachecki gm. Głinojeck

5



7



8

PUSZCZA KURPIOWSKA



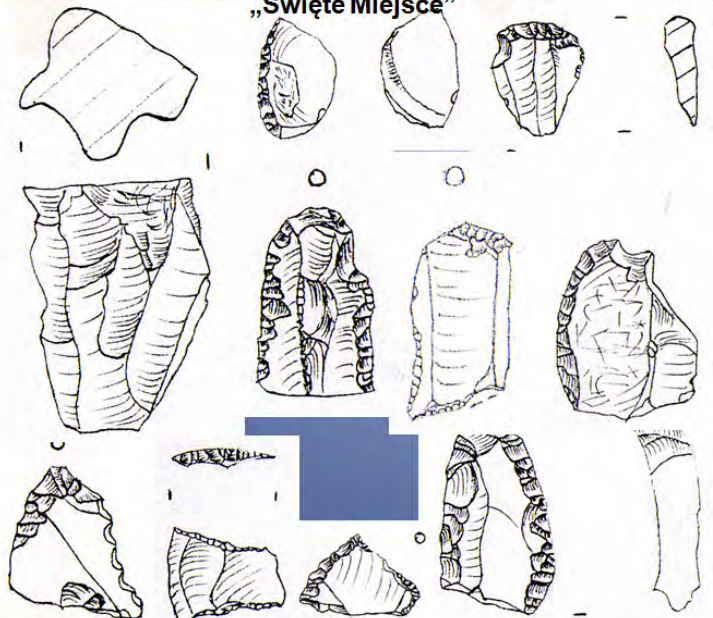
9

Stanowiska kultury janisławickiej:

Dąbrówka Ostrowska, gm. Chorzele, Czarzaste Wielkie, gm. Chorzele, Dzierżęga Nadbory, gm. Chorzele, Chłopia Łąka, gm. Krasnosielc Trzcianka gm. Regimin, Ropele, gm. Ciechanów, Kałęczyn Nowy gm. Gołymin-Ośrodek oraz Obrab gm. Orlzeń

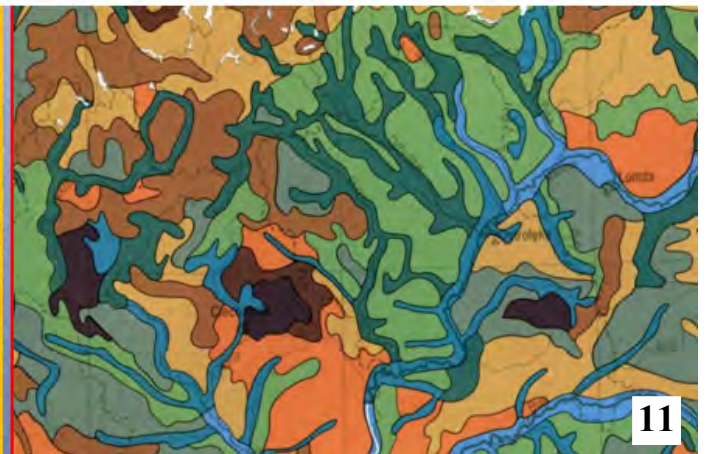
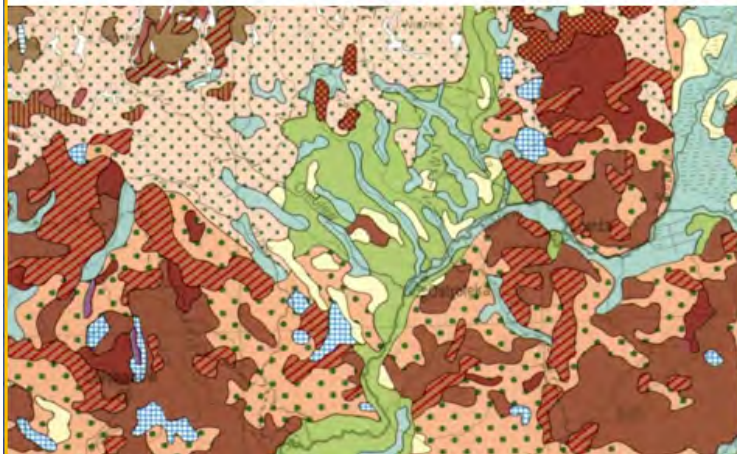
Stanowisko kultury janisławickiej Kadzidło

„Święte Miejsce”



10

POWIERZCHNIOWE UTWORY GEOLOGICZNE GLEBY – KLASYFIKACJA GENETYCZNA



11



WYNIESIENIA MŁAWSKIE

12

Stanowiska Kultury Niemeńskiej z Puszczy Kurpiowskiej:

Kadzidło „Święte Miejsce”, gm. Loco Budki, gm. Chorzele, Witowy Most, gm. Baranowo



Jazgarka, gm. Kadzidło



13

Stanowiska Kultury Pucharów Lejowatych i Amfor Kulistych:
Rostkowo, gm. Czernice Borowe, Rycice, gm. Chorzele, Niestum
gm. Ciechanów, Kałęczyn Nowy gm. Gołymin-Ośrodek oraz
Regimin gm. loco



14



15



17



Drażdzewo,
gm.
Krasnosielc

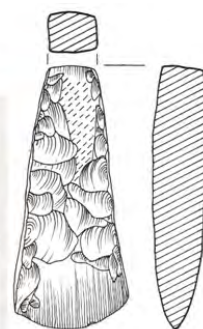
19



Stanowiska Kultury Ceramiki Sznurowej i Kultury Trzcinieckiej: Rostkowo, gm. Czernice Borowe, Obrębiec, gm. Czernice Borowe, Kęsocha, gm. Dzięgowo, Małowidz, gm. Jednoróżec Kondrajec Szlachecki gm. Gliniojeck



Wola Błędowska, gm. Baranowo



d

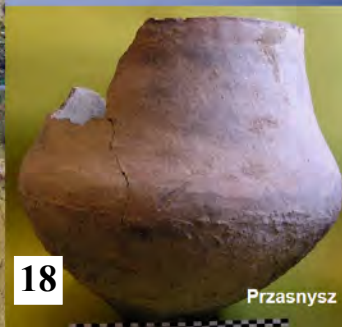
e

16

f



Ciałopalne cmentarzyska z epoki brązu:
Cichowo, Ożumiech, gm. Krzynowłoga Mała
oraz kurhanowe Zeńbok gm. Regimin,
Kraszewo gm. Ojrzeń,
Targonie gm. Regimin



18

Przasnysz



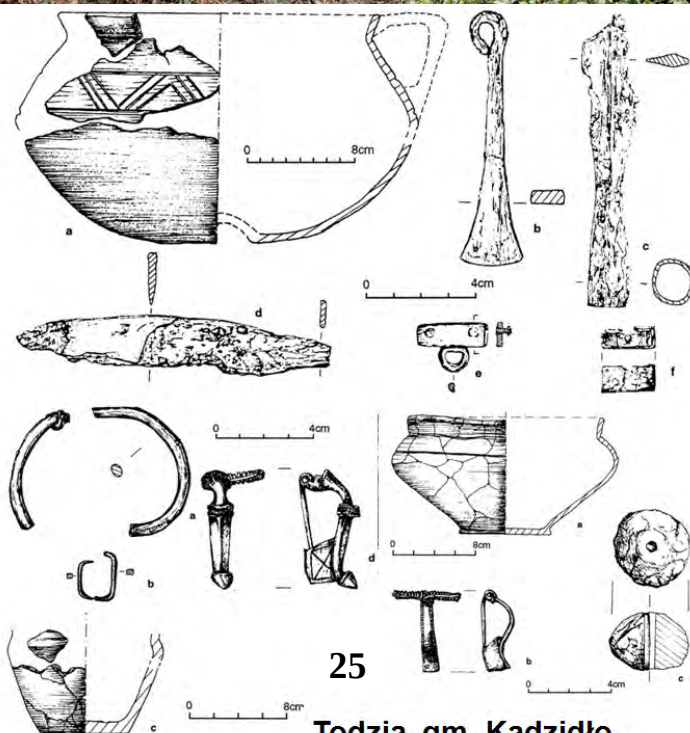
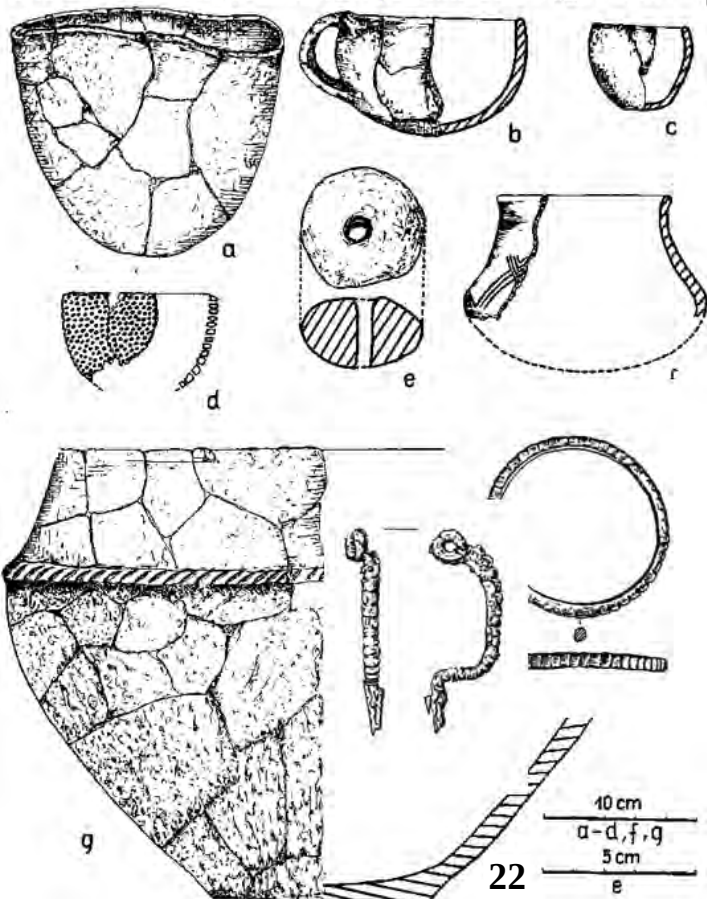
20



Chorzele-Rembielin, stanowisko
„Stroma Górka”, gm. loco

21

Chorzele-Rembielin, stanowisko „Stroma Górka”, gm. loco



Todzia, gm. Kadzidło



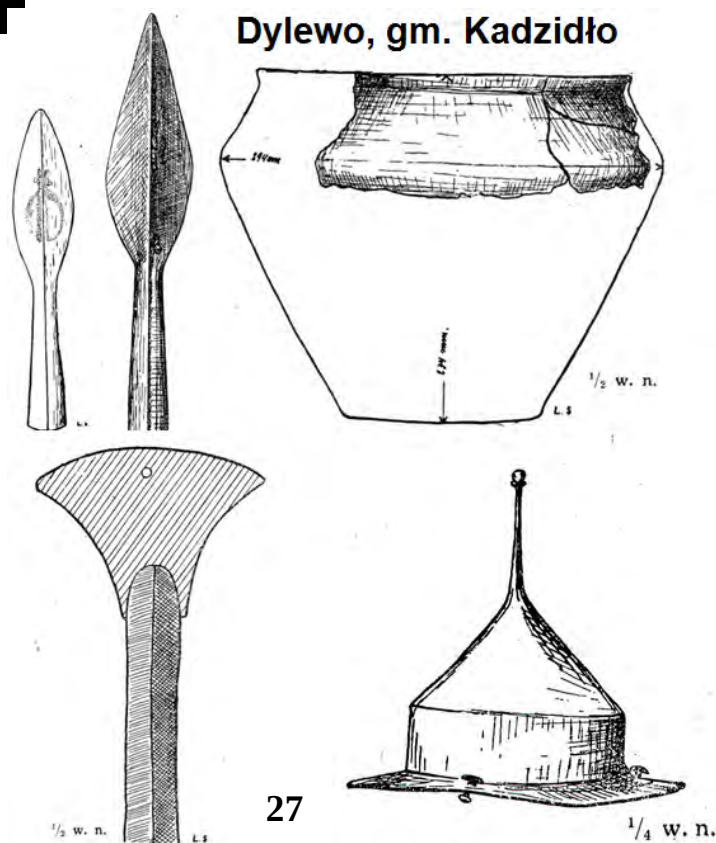
24



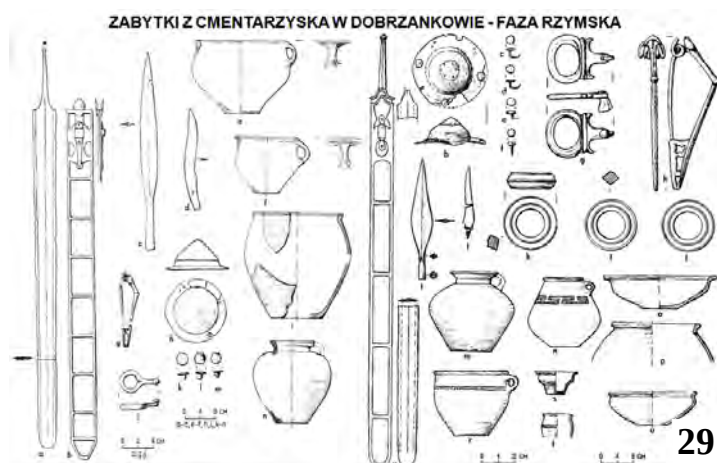
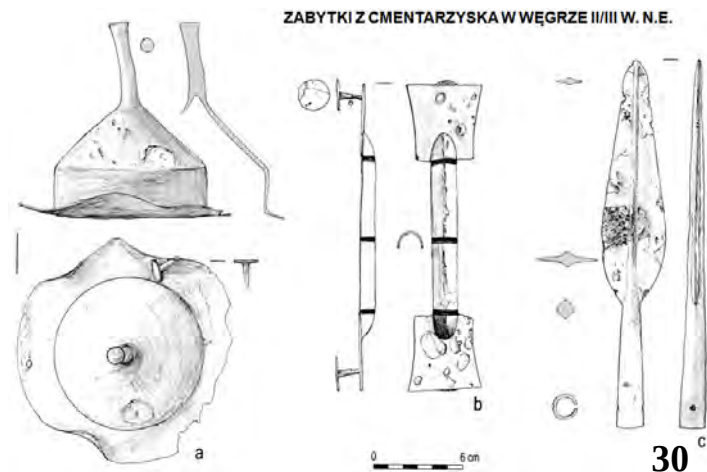
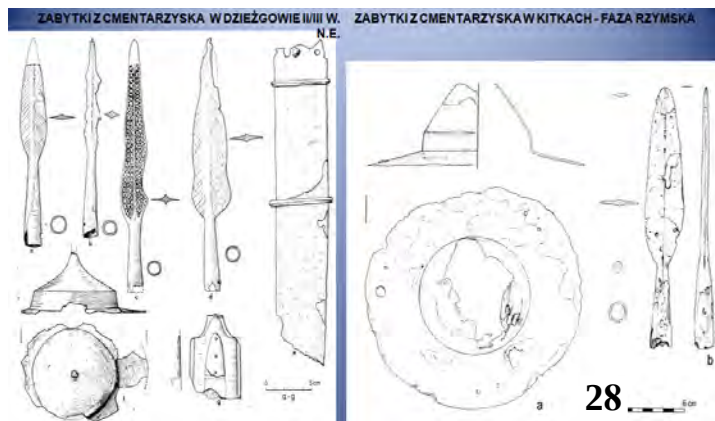
Ruda darniowa żelaza – powyżej złożo, poniżej wytapianie w dymarce



Dylewo, gm. Kadzidło



27



KURHAN Z MIEJSCOWOŚCI KĘSOCHA, pow. Przasnysz IX-X wiek n.e.



Cmentarzyska szkieletowe w obstawach kamiennych na Mazowszu, datowane na XI – pierwszej poł. XII wieku.

Cmentarzysko w Bodzi.
W grobie wojownika znaleziono m.in. miecz, ornamentowany stylem *mammen*. Pas do miecza z końcówką zakończoną charakterystycznymi dla Waregów warkoczami oraz krzyżkiem Światopełka Przekłętego brata Jarosława Mądrego. Cmentarzysko datowane jest na drugą poł. X i pierwszą poł. XI wieku n. e.



34

ZABYTKI ŚREDNIOWIECZNE Z ZIEMI CIECHANOWSKO-PRZASNYSKIEJ



36



35

Pierwszy spacer po utworach peryglacialnych w Chorzeliach



Na rybach w dolinie fluwioglacjalnej rzeki Omulwii



37



38

DZIĘKUJĘ PAŃSTWU ZA UWAGĘ



39



Imiona w parafii pw. św. Piotra i Pawła w Krasnosielcu w XVIII w.

Łukasz GUT

„Źródłem historycznym nazywa się utrwalony i zachowany ślad myśli, działania lub najogólniej życia ludzkiego” – tak pisał wiele lat temu wybitny historyk Marceli Handelsman (1882–1945) na temat źródła historycznego. Chociaż od tamtego czasu powstało wiele definicji, to słowa Handelsmana należy przypomnieć, gdy zastanawiamy się nad tym, co historyk może uznać za źródło. „Historia opiera się wyłącznie na źródłach. Zdając sobie z tego sprawę, historyk powinien jednakże pamiętać, że do jego czasów doszły tylko skąpe szczątki źródeł, które niegdyś istniały...”¹.

Boleśnie o przywołanych przez Handelsmana „szczątkach” przekonują się ci wszyscy, którzy poszukują przodków na Kurpiach, gdzie takie parafie jak Myszyniec czy Kadzidło nie miały szczęścia do historii. Akta metrykalne w tych parafiach dla czasów przed I wojną światową są fragmentaryczne albo dochowały się jedynie z okresu powojennego. Więcej szczęścia miał Krasnosielc. Dysponujemy sumariuszem chrztów parafii pw. św. Piotra i Pawła, znajdującym się w Archiwum Diecezjalnym w Płocku. Dzięki portalowi Geneteka² genealodzy mający swoich przodków w Krasnosielcu mogą zapuścić się we własnych poszukiwaniach głęboko w wiek osiemnasty. Z danych, jakie przynosi sumariusz, może skorzystać także historyk. Jeśli więc według Handelsmana źródło historyczne to „utrwalony i zachowany ślad (...) życia ludzkiego”, to z pewnego specyficznego „śladu”, jakim są imiona zapisane w księgach metrykalnych, również warto skorzystać.

Niniejszy artykuł jest próbą przyjrzenia się imionom mieszkańców parafii Krasnosielc³ w XVIII w., a konkretniej w latach 1739–1795. Na podstawie danych z sumariusza możemy określić popularność imion w parafii Krasnosielc i zastanowić się, jakie czynniki mogły na ową popularność wpływać. Co dyktowało mieszkańcom wybór takich, a nie innych imion dla swych dzieci?

Warto przywołać kilka liczb, aby dały nam pewne wyobrażenie o populacji parafii pw. św. św. Piotra i Pawła w interesującym nas okresie. W 1779 r. parafia liczyła 1640 osób, w tym 1315 dorosłych i 325 dzieci. W 1781 r. liczba osób dorosłych wyniosła z kolei 1386

W tej liczbie 2514 to noworodki płci żeńskiej, a w 2510 płci męskiej.

Czas przyjrzeć się głównemu zagadnieniu niniejszego artykułu. Jakie imiona przeważały w parafii krasnosieleckiej w latach 1739–1795? Jeśli chodzi o imiona żeńskie, to na chrzcie

Tabela 1. Liczba ochrzczonych w parafii pw. św. Piotra i Pawła w Krasnosielcu w latach 1739–1795

Lata	1739–1750	1751–1760	1761–1770	1771–1780	1781–1790	1791–1795	Razem
Chłopcy	490	429	465	418	456	252	2 510
Dziewczęta	442	454	473	428	457	260	2 514
Razem	932	883	938	846	913	512	5 024

Obliczenia własne na podstawie: <http://geneteka.genealodzy.pl/>

osób. Dla porównania dodajmy, że w 1817 r. liczba dorosłych znacząco wzrosła, bo liczono ich wówczas 1770, z czego 881 mężczyzn i 889 kobiet⁴. Całkowita liczba osób zamieszkujących tereny parafii Krasnosielc wynosiła wówczas 2603 osoby, w tym 250 Żydów i 12 protestantów (akatolików)⁵.

W tabeli 1. przedstawiono liczbę ochrzczonych dzieci w parafii w latach 1739–1795, z podziałem na płci. Poza latami 1739–1750, gdzie urodziło się znacznie więcej chłopców niż dziewczynek, w kolejnych okresach liczba urodzonych dziewczynek była nieco wyższa niż chłopców. Tymczasem, według badań historyków, przy kompletnie prowadzonej rejestracji metrykalnej, wskaźnik urodzeń męskich w stosunku do żeńskich powinien wynosić ok. 105–107 na 100, choć, jak zauważa jeden z uczonych, taki wskaźnik daje się obserwować dopiero przy wystarczającej liczbie urodzeń⁶. W parafii krasnosieleckiej współczynnik ten wynosi 99,8, co może świadczyć o niekompletności w rejestracji lub o opóźnieniu chrztów, gdyż wyższa śmiertelność noworodków płci męskiej wyrównywała ich stosunek do płci żeńskiej⁷. Największy przyrost naturalny w parafii miał miejsce w latach 1761–1770, kiedy ochrzczono 938 dzieci. W sumie ochrzczono od 1739 r. do 1795 r. 5024 osoby.

zdecydowanie najczęściej nadawano imię Marianna (w tym 3 osoby w wersji Mariana). Aż 574 dziewczynki o tym imieniu stanowiły 22,8% ochrzczonych. Drugie w kolejności popularne imię to Franciszka (12,6%), a trzecie to Katarzyna (11,9%).

Łącznie dostępne materiały wskazują, że w omawianym czasie nadano w parafii pw. św. Piotra i Pawła w Krasnosielcu 58 różnych imion żeńskich. Oto one: Agata, Agnieszka, Anastazja, Aniela, Anna, Antonina, Apolonia, Balbina, Barbara, Bibiana, Bogumiła, Brygida, Cecylia, Domicela, Dorota, Eleonora, Elżbieta, Eufemia, Ewa, Felicjanna, Franciszka, Gertruda, Helena, Jadwiga, Joanna, Józefata, Józefa, Julianna, Justyna, Karolina, Katarzyna, Klara, Konstancja, Krystyna, Kunegunda, Ludwika, Łucja, Magdalena, Małgorzata, Marcjanna, Marianna, Michalina, Monika, Petronella, Placyda, Pryska, Regina, Rozalia, Róża, Salomea, Scholastyka, Tekla, Teofila, Teresa, Urszula, Wiktoria, Zofia, Zuzanna.

Dziesięć najpopularniejszych imion nadano łącznie 1926 dziewczynkom, co stanowi 76,6% ochrzczonych. Wyraźnie więc widzimy, że różnorodność imion była w praktyce ograniczona. Przyjrzyjmy się kilku imionom parafianek krasnosieleckich i spróbujmy odpowiedzieć na pytanie: skąd ich popularność?

Imiona żeńskie, tak jak i męskie mogą stanowić świadectwo rozpowszechnienia kultu poszczególnych świętych na danym terytorium. Nie jest to jednak zależność bezwzględna, co już dawno wykazał Bystroń⁸. Jak zauważył jeden z historyków, „Kult świętych pańskich odgrywał (...) na wsi poślednią rolę, niewspółmierną do jego znaczenia w Kościele potrydenckim”. Co więcej, katalog świętych rzeczywiście popularnych na wsi miał być nie-

¹ M. Handelsman, *Historyka*, Warszawa 1928, s. 44.

² <http://geneteka.genealodzy.pl/> (dostęp: 19 XI 2018 r.).

³ Wizytacja z 1781 r. podaje następujące wsie: Krasnosielc, Grądy, Prztyły, Drądzewo, Wólka Przykory, Wólka Olszewska, Bagienice, Niesułowo, Chłopia Łąka, Raki, Perzanki, Grabowo, Ruzieck, Biematy, Pienice, Wola Pienicka. M.M. Grzybowski, *Jubileusz 600-lecia parafii Krasnosielc 1386–1986*, „Studia Płockie”, 15 (1987), s. 205.

⁴ Tamże, s. 209.

⁵ Tenże, *Struktura wyznaniowa ludności diecezji płockiej według spisu Adama Michała Prażmowskiego z 1817r.*, „Notatki Płockie”, 26 (1981), 1 (106), s. 17.

⁶ C. Kukło, *Demografii historycznej wkład do nauk o rodzinie*, [w:] *Wielowymiarowość badań biodemograficznych i związki z innymi naukami*, red. S. Kozieł, Łódź 2016, s. 18.

⁷ I. Gieysztorowa, *Wstęp do demografii staropolskiej*, Warszawa 1976, s. 236–237, 252.

⁸ J.S. Bystroń, *Księga imion w Polsce używanych*, Warszawa 1938, s. 34.

Tabela 2. Wykaz najpopularniejszych imion żeńskich nadawanych w parafii pw. św. Piotra i Pawła w Krasnosielcu w latach 1739–1795

Lp.	Imię	Liczba	Procent
1.	Marianna	574	23%
2.	Franciszka	318	13%
3.	Katarzyna	299	12%
4.	Agnieszka	188	8%
5.	Anna	132	5%
6.	Rozalia	100	4%
7.	Ewa	98	4%
8.	Małgorzata	94	4%
9.	Magdalena	65	3%
10.	Elżbieta	58	2%

Obliczenia własne na podstawie:

<http://geneteka.genealodzy.pl/>

wielki i obejmować tylko nielicznych świętych, np. ewangelicznych św. Józefa, św. Jana czy świętych związanych z kultem państwowym – Wojciecha i Stanisława⁹. Poniższe uwagi to w związku z powyższym raczej tropy, niż gotowe odpowiedzi dotyczące kultu świętych w parafii krasnosieleckiej. Spróbujmy jednak podążać tymi tropami i zastanówmy się, jacy święci mogli być obiektem kultu w parafii, co widać poprzez dobór imion dla dzieci.

Imię Marianna, zdecydowanie najczęstszy wybór dla dziewczynek, wiąże się z obowiązującym tabu religijnym w Polsce okresu wczesnonowoczesnego, a na wsiach także w XIX w. Jak pisał Jan Stanisław Bystron, „Imię Marii jest taką czcią otoczone, że przez długie wieki nie używano go jako imienia chrzestnego”¹⁰. Rzeczywiście, nie znajdujemy przed 1795 r.

Tabela 3. Wykaz najpopularniejszych imion żeńskich nadawanych w parafii pw. św. Piotra i Pawła w Krasnosielcu w latach 1739–1795

Lp.	Imię	Liczba	Procent
1.	Jan	217	9%
2.	Mateusz	197	8%
3.	Franciszek	175	7%
4.	Wojciech	155	6%
5.	Antoni	139	6%
6.	Stanisław	128	5%
7.	Józef	115	5%
8.	Piotr	113	5%
9.	Jakub	108	4%
10.	Tomasz	90	4%

Obliczenia własne na podstawie:

<http://geneteka.genealodzy.pl/>

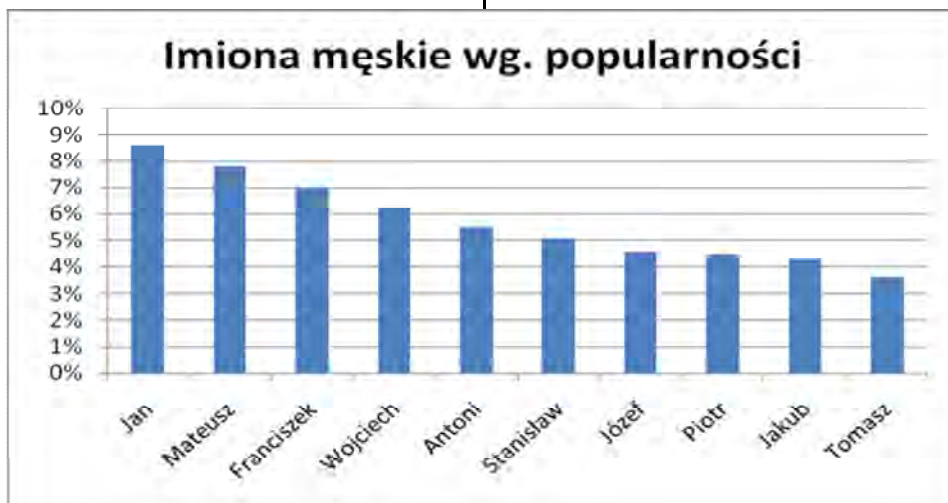
⁹ T. Wiślicz, *Zarobić na duszne zbawienie. Religijność chłopów małopolskich od połowy XVI do końca XVIII wieku*, Warszawa 2001, s. 33.

¹⁰ J.S. Bystron, *Księga imion...*, s. 267.



ani jednej Marii w sumariuszu. Pierwsza katolicka¹¹ dziewczynka nosząca to imię została ochrzczona dopiero w 1854 r. i była to niejaka Maria Paulina Sitarska. Co więcej, do 1914 r. udało się naliczyć zaledwie 13 ochrzczonych o imieniu Maria¹². W stosunku do parafii krasnosieleckiej słowa Bystron o tym, że na wsiach „księża starym zwyczajem niechętnie patrzyli na używanie imienia Marii” wydają się być jak najbardziej trafione. Możemy się domyślać, że wraz z niechęcią księży mógł iść w parze konserwatyzm mieszkańców Krasnosielca i okolic¹³. Liczebna dominacja Marianny wśród imion żeńskich jest zjawiskiem odnotowywanym również w innych regionach przedrozbiorowej Rzeczypospolitej, a także w pierwszej połowie XIX w., chociażby w zarborze pruskim¹⁴. Świadczy to pośrednio o roz-

Franciszka, jako żeński odpowiednik imienia Franciszek, to prawdopodobnie dowód kultu świętych o tym imieniu, z których najpopularniejszy to św. Franciszek z Asyżu czy jezuita św. Franciszek Borgiasz i św. Franciszek Ksawery. Z kolei imię Katarzyna słynie z takich patronek jak św. Katarzyna Aleksandryjska czy św. Katarzyna Sieneńska. Imię szczególnie popularne w średniowieczu, było, jak się okazuje, również chętnie nadawane w XVIII-wiecznym Krasnosielcu i okolicach. Ciekawy przypadek to również imię Anna, której najsłynniejszą przedstawicielką, czyli matką Najświętszej Maryi Panny („babka Chrystusowa”), popularna była jako patronka ołtarzy w diecezji płockiej¹⁵. W Krasnosielcu, w kościele konsekrowanym w 1740 r., również znajdował się ołtarz św. Anny¹⁶. Niewykluczone, że mieszkańcy



winiętym kulcie Matki Bożej w XVII–XVIII w., a więc zjawisku szeroko opisywanym i znanym, charakterystycznym dla poddenckiej religijności w Rzeczypospolitej.

¹¹ W 1811 r. urodziła się niejaka Maria Ickowicz, córka Moška i Temy Lachman.

¹² Mowa tu o dziewczynkach, które miały na imię Maria lub wariantowo było to imię jako pierwsze z dwóch. Kilka dodatkowych przypadków to noworodki o nadanym imieniu Maria jako drugie.

¹³ J.S. Bystron, *Księga imion...*, s. 270.

¹⁴ A. Zielińska, *Imiona chrzestne wśród katolików i ewangelików w Toruniu w XIX i na początku XX wieku*, „Rocznik Toruński”, 39 (2012), s. 174.

okolic Krasnosielca znali jedno z przysłów, których bohaterką była święta, by wymienić dla przykładu: „Święta Anno! Uproś wnuka, niech ma każdy czego szuka”¹⁷. Wśród często nadawanych imion była Rozalia, co może sugerować sławę, jaką cieszyła się św. Rozalia, chroniąca od moru i zarazy, choć uczeni twierdzą, że tego typu święci („resortowi”) byli bar-

¹⁵ A. Woźniak, *Kult św. Wojciecha we wsi mazowieckiej XVIII i pierwszej połowy XIX wieku na tle kultu innych świętych*, „Etnografia Polska”, 42 (1998), s. 145.

¹⁶ M.M. Grzybowski, *Jubileusz 600-lecia parafii...*, s. 207.

¹⁷ S. Adalberg, *Księga przysłów, przypowieści i wyrażen przysłowiowych polskich*, Warszawa 1889–1894, s. 5.

dzień związani z kulturą miejską niż wiejską¹⁸. Bystron twierdził, że było to imię popularne na wsi w XVIII w., od czego parafia krasnosielecka nie odbiegała, a i w XIX w. niemało Rozalii można spotkać w metrykach parafialnych. Czołówka najpopularniejszych żeńskich imion w parafii św. Piotra i Pawła w Krasnosielcu generalnie nie różniła się zresztą od sytuacji na całym Mazowszu w owym czasie.

Przyjrzyjmy się imionom męskim. W omawianej parafii nadano noworodkom płci męskiej w drugiej połowie XVIII w. 80 różnych imion męskich. Wymieńmy je w kolejności alfabetycznej: Abdon, Adam, Aleksander, Alojzy, Ambroży, Andrzej, Antoni, August, Augystyn, Balcer, Baltazar, Barkarn, Bartłomiej, Bazyli, Benedykt, Bernard, Błażej, Bonifacy, Chryzostom, Cyprian, Dawid, Dionizy, Dominik, Fabian, Felicjan, Feliks, Filip, Florian, Franciszek, Gabriel, Grzegorz, Hilary, Hipolit, Ignacy, Izydor, Jacenty, Jakub, Jan, Joachim, Józef, Kacper, Karol, Kaub, Kazimierz, Konstanty, Krystian, Krzysztof, Ksawery, Leonard, Ludwik, Łukasz, Maciej, Maksymilian, Marcin, Marek, Mateusz, Melchior, Michał, Mikołaj, Paweł, Piotr, Roch, Sebastian, Stanisław, Stefan, Sykst, Sylwester, Szczepan, Szymon, Tadeusz, Tomasz, Urban, Walenty, Walerian, Wawrzyniec, Wincenty, Wit, Modest, Władysław, Wojciech.

Była to liczba znacznie większa niż w przypadku imion żeńskich. Dziesięć najpopularniejszych imion nadano łącznie 1437 chłopcom, co stanowi 57,3% ochrzczonych. Zauważamy więc, że różnorodność nadawanych imion męskich była znacznie większa niż żeńskich. Łatwo, w porównaniu do imion żeńskich, można zauważyć także inne kryteria doboru imion męskich. Nie notujemy wśród chłopców przewagi jednego imienia tak wyraźnej, jak w przypadku dziewczynek. Mamy w tym przypadku do czynienia z większą różnorodnością. Najczęściej nadawanym imieniem chrzestnym w latach 1739–1795 było imię Jan, które nadano 217 ochrzczonym na 2510 wszystkich urodzonych (8,6%). Drugie w kolejności znalazło się imię Mateusz, noszone przez 197 dzieci (7,8%), a trzecie to Franciszek, imię nadane 175 chłopcom (7,0%).

Analogicznie do imion żeńskich, spróbujmy poszukać źródeł popularności imion męskich. Imię Jan, związane m.in. ze św. Janem Apostołem, Janem Chrzcicielem czy Janem Ewangelistą, jak pokazują badania z różnych regionów, było częstokroć najpopularniejszym imieniem męskim. Jan „wygrywał” w parafiach mazowieckich, ale też w innych regionach, przykładowo na Warmii¹⁹. Budowa kościoła pw. św.

Jana Kantego w Krasnosielcu, przynajmniej początkowo, niezbyt mocno wpłynęła na te tendencje. Od 1799 (rok konsekracji) do 1809 r. łącznie imię Jan stanowiło 9,4% ochrzczonych chłopców, a więc niewiele więcej niż w całym okresie 1739–1795.

Imię Franciszek możemy chyba wiązać z kultem dla św. Franciszka z Asyżu, a imię Antoniego z innym franciszkaninem, św. An-

dopiero w drugiej połowie XIX wieku²³. Warto dodać, że w krasnosieleckim kościele pw. św. Jana Kantego znajdował się niewielki obraz z wizerunkiem świętego²⁴. Dla porównania w latach 1799–1809 Stanisław to imię nadawane 9,0% ochrzczonych. Zauważamy więc w tym przypadku, przynajmniej na początku XIX w., znaczny wzrost popularności wspomnianego imienia.



Kościół w Krasnosielcu, zbudowany w latach 1790–1792. Źródło: <http://gminakrasnosielc.pl/turystyka/zabytki/kosciol-parafialny-pw-sw-jana-kantego-w-krasnosielcu/> (dostęp 27 XI 2018 r.).

tonim Padewskim. Z kolei Wojciech i Stanisław to imiona nieodłącznie związane z patronami Polski, św. Wojciechem i św. Stanisławem. Badacze podkreślają ogólnopolski charakter kultu tych dwóch świętych, nie ograniczający się do konkretnych regionów. Mimo, że od XVI w. zaobserwowano stopniową utratę znaczenia kultu św. Wojciecha, a w kolejnych dwóch stuleciach na Mazowszu, podobnie jak w całym kraju, nie pomagały w krzewieniu tego kultu zakony i bractwa kościelne, imię to, jak widać, nadal było popularne w parafii Krasnosielc²⁰. Przedstawiany jako „dobry pasterz” św. Wojciech był chętnie wybierany jako temat barokowych kazań²¹. Być może tego rodzaju homilie mogli usłyszeć również parafianie krasnosieleccy. Inny patron Polski, czyli św. Stanisław ze Szczepanowa, nie musiał być jedynym punktem odniesienia dla nadających imiona w Krasnosielcu. Być może nie mniejszą rolę odgrywał kult dla św. Stanisława Kostki, ogłoszonego zresztą w 1674 r. (jeszcze przed kanonizacją!) przez papieża Klemensa X głównym patronem Korony Polskiej i Wielkiego Księstwa Litwy²². Niewielka stosunkowo odległość Krasnosielca od Rostkowa – miejsca urodzenia Stanisława Kostki, mogła mieć spore znaczenie. W latach, o których mówimy, znajdowały się w tej miejscowości relikwie św. Stanisława Kostki, choć szerzej „Rostkowo” jako ośrodek kultu zaistniało dosyć późno, bo

Ciekawa historia wiąże się z imieniem Roch. Nie było zbyt często nadawane, gdyż udało się odnotować jedynie 25 ochrzczonych o tym imieniu. Jest to przykład na to, że nie zawsze kult świętych, niewątpliwie czczonych w parafii, zyskiwał odbicie w imionach samych parafian. Przypomnijmy, że w świątyni pw. św. Piotra i Pawła znajdował się ołtarz św. Rocha, a także feretron noszony w procesjach²⁵.

Osobne miejsce należy się również omówieniu imion Piotr i Paweł. O ile Piotr mieścił się w czołówce pod względem liczby nadań, o tyle dla Pawła zabrakło w niej miejsca. Imiona świętych patronów parafii nie były jednak tak popularne, jak można by tego oczekiwać. Tytułem przykładu dodajmy, że gdyby wnioskować tylko po imionach, to wśród świętych czczonych w parafii zabrakłoby patrona rolników („oraczy”), czyli św. Izydora, którego imię nadano tylko dwóm chłopcom²⁶.

Podsumowując, należy stwierdzić, że w parafii pw. św. Piotra i Pawła w Krasnosielcu w drugiej połowie XVIII w. zauważamy, jeśli chodzi o dobór imion, tendencje podobne do tych występujących na całym Mazowszu, czy szerzej, na innych terytoriach Rzeczypospolitej. Imiona mogą stanowić wskazówkę do odpowiedzi na pytanie o to, jacy święci byli czczeni w parafii, ale należy w tej kwestii, jak się wydaje, zachować pewną ostrożność osądów. Sumarycznie nie daje nam możliwości stwierdzenia, jakie inne motywacje niż opieka świętych patronów stały za nadawaniem takich a nie innych imion w Krasnosielcu i okolicach. Badania historyków i językoznawców dowodzą, że owe inne motywacje miały często nie-
mały wpływ na dobór imion dla dzieci.

Lukasz Gut

¹⁸ K. Braun, *Ośrodki kultowe i sanktuaria na Mazowszu*, „Rocznik Mazowiecki”, 14 (2002), s. 184; T. Wiślicz, *Zarobić na duszne zbawienie...*, s. 39.

¹⁹ J. Hochleitner, *Warmińskie nowożytnie księgi chrztów jako źródło historyczne*, „Echa Przeszłości”, 2 (2001), s. 148.

²⁰ A. Woźniak, *Kult św. Wojciecha...*, s. 157.

²¹ A. Smolińska, *Kult świętych w polskich kazaniach jezuickich z przełomu XVII i XVIII wieku*, [w:] *W służbie Bogu i społeczeństwu. Zakony na ziemiach polskich w XVI–XIX wieku*, red. D. Kupisz, Radom 2004, s. 54–55.

²² A. Nocoń, *Dzieje ustanowienia św. Jacka głównym patronem Polski*, „Śląskie Studia Teologiczne”, 40 (2007), 1, s. 104.

²³ M. Mossakowska, *Mazowiecki kult świętego Stanisława Kostki*, „Rocznik Mazowiecki”, 16 (2004), s. 249–252.

²⁴ M.M. Grzybowski, *Jubileusz 600-lecia parafii...*, s. 207.

²⁵ Tamże, s. 206–207.

²⁶ Por. J. Tazbir, *Spoleczna funkcja kultu Izydora „Oracza” w Polsce XVII wieku*, „Przegląd Historyczny”, 46 (1955), 3, s. 443.



Polski Wrzesień 1939 roku we wspomnieniach makowian

Był taki wrzesień

Anna SKONIECZNA

Pani Irena Ponikiewska tragicznego września 1939 roku była 15-letnią Irenką Dąbrowską i mieszkała w Dąbrówce gmina Czerwonka. Miała już skończoną szkołę powszechną i nawet upatrzonego kandydata na męża, który nic o tym jeszcze nie wiedział. Marzyła o zamieszkaniu w Warszawie, gdzie już pracowała starsza siostra, dopóki jej wybranek Tomasz Ponikiewski nie dostrzeże w niej kobiety... Marzenia o Warszawie spaliły na panewce z powodu wybuchu wojny.

- Niemcy przyszli z zaskoczenia – wspomina po 66. latach. – Rodzice nie potrafili czytać, gazet nie mieli. Ja słyszałam od kogoś, że Niemcy nam grożą, ale to wszystko było bardzo skrycie. Dopiero gdy samoloty zaczęły latać, uwierzyłam, że jest wojna. Czwartego września, w odpust świętej Rozalii, niedaleko naszego domu, na starą chałupę spadł polski samolot. Chałupa i samolot płonęły. W szczyrim polu leżał człowiek. Chłopi biegli do niego, krzycząc między sobą, że jeśli to Niemiec, to trzeba dobić... Wówczas pilot powiedział słowa, które wtedy bardzo sobie wzięłam do serca i których nigdy nie zapomniałam „Nie wolno dobijać rannego, bez względu na to, czy to wróg, czy swój, każdego rannego trzeba ratować...” Zawstydzeni chłopcy przynieśli deski i na tych deskach zanieśli go do naszego sąsiada, który był wójtem. Przełożyli go na łóżko. Zeszło się sporo ludzi i modlili się przy nim. Jednak był bardzo poważnie ranny w brzuch i wkrótce zmarł. Pamiętam, że nazywał się Józef Falkowski i był z Nowogródka. Zanim zmarł, zdążył jeszcze powiedzieć, jak się nazywa i podać adres swojej matki. Ktoś na rowerze pojechał do Czerwonki, bo tylko tam był telefon i zadzwonili do jednostki wojskowej w Różanie, żeby przyjechali po ciało pilota.

W tamtych czasach przyjęte było na wsi, że najmłodsze dziecko pasło gęsi. 15-letnia Irena była bardzo przywiązana do, liczącego około 60 sztuk stadka. Do tego stopnia, że kiedy we wrześniu ludzi opanowała gorączka uciekania na wschód, ona zapowiedziała, że pozostanie ze swymi białymi ptakami, a ojciec zaakceptował wybór córki, budując dla niej niewielki schron. Tymczasem Niemcy przyszli tak szybko, że i rodzice nie zdążyli uciec.

- Ja się jakoś dziwnie nie bałam tych Niemców. Były akurat wykopki, gdy szli śpiewając

piosenki. Jednej o „śpiewającym wojsku” to się tak osłuchałam kopiąc kartofle, że do dziś znam i słowa, i melodię. Później, w czasie okupacji też nie miałam z nimi złych doświadczeń. Niemcy strasznie lubili gęsinę. Przez dłuższy czas, stacjonujący w Czerwonce oficerowie przychodzili do naszego domu na pieczone gęsi, odpowiednio za to płacąc. Mój ojciec znał niemiecki, co ułatwiało porozumienie. Byli naprawdę na poziomie, bardzo grzeczni. Był wśród nich lekarz dentysta, właściciel tysiącektarowego majątku ziemskiego. Gdy powiedział, że sam Hitler do niego przyjeżdżał w gości, bardzo stracił w moich oczach. Zaczęłam patrzeć na niego ze złością. Kartofle jeszcze nie były wykopane, gdy zachorowałam na grypę. Pamiętam, jak Niemcy przynosili mi łakocie, owoce. Naprawdę jakby wszyscy Niemcy byli tacy, to by było wcale dobrze, ale przecież wiadomo, jaki był Hitler, co się działo, że jak kto się nie słuchał, to kula w łeb. (...)

Pani Halina Majewska miała wówczas dziesięć lat i nosiła nazwisko Skrzecz. Mówi o sobie „makowianka od urodzenia do zestarzenia”. Mieszkała w Makowie przy ulicy Przasnyskiej.

- Pierwszego września miałam iść do trzeciej klasy, ale mama nie szycowała nas do szkoły, bo ludzie już pogadywali o wojnie. Był to piątek. W Makowie we wtorki i piątki odbywał się w rynku targ, na którym wszystko można było kupić. O godzinie dziewiątej rozdzwoniły się dzwony, odezwała się syrena, a ludzie w panice konia batem i zaczęli uciekać. Z powodu targu tych furmanek było bardzo dużo. Ludzie masowo lecieli do Żyda po sól. Moja babcia chyba nie poszła po tę sól, albo nie starczyło, bo pamiętam, że soliliśmy taką zieloną, bydlęcą solą. Babcia najpierw zalewała ją gorącą wodą, pierwszą, najbrudniejszą wodę wylewała, a tej następnej używała już do solenia jedzenia dla nas. Ojciec, stryj i sąsiedzi, zbierając się, mówili o swym wyczekiwaniu na chwilę, kiedy będą prowadzić Niemców. Pamiętam, że ciekawiłam się bardzo, jacy to ludzie są ci Niemcy, czy tacy sami, jak my...? Wrzesień był bardzo ciepły, taki, jak w tym roku. Ponieważ mieszkaliśmy przy samej drodze, maszerujący od Przasnysza żołnierze zaszli do nas po wodę, ale najpierw kazali napić się babci. Zostawili nam tutkę dropsów. Ktoś krzyknął, żeby nie

jeść, bo zatrute. Niemiec wyczuł nasze obawy i pierwszy wziął cukierka do ust.

Pan Stanisław Wylot miał 14 lat. Skończył właśnie siedmiodziałową szkołę powszechną i szykował się do gimnazjum w Makowie. Mieszkał wraz z rodziną w Obiecanowie. Jego dwóch starszych braci zmobilizowano jeszcze w sierpniu do wojska.

1. września młody Stanisław był z rodzicami na targu w mieście. Gdy wracali, tuż za Makowem, wojsko polskie, podążające w kierunku Przasnysza, zarekwirowało im jednego konia. Jak mówi, zobaczył wtedy polską kawalerię. Czwartego września jego rodzice zdecydowali o ucieczce. Nie ujechali jednak daleko, gdy pani Wylotowa uprosiła męża, aby jednak wrócili.

- Podróż ta bowiem to była jedna wielka panika i horror. Wróciliśmy się spod Karniewa i bodajże na drugi dzień, nad wieczorem przyszli Niemcy. U nas za stodołą rozstawili armaty. Siedzieliśmy w domu jak trusie. Jeszcze wcześniej wieść niesła, że Niemcy będą mordować, ręce ucinąć. Każdy się bał! W końcu dwóch Niemców z karabinami i pistoletami przyszli do nas do domu. To byli najpewniej volksdeutsche, bo łamaną polszczyzną poprosili mamę o jajka. Nawet zapytali się, ile płacą. Ojciec powiedział, żeby zapłacili cygaretkami. Zgodzili się ochoczo, wyciągając każdy po paczkę papierosów. To było nawet więcej niż ojciec oczekiwał. W tym czasie weszła od dojenia krów moja siostra z mlekiem. Wyrazili ochotę napicia się, ale najpierw kazali aby siostra wypila szklankę tego mleka. Następnego dnia, około południa, nie oddając nawet jednego strzału, zebrali się na samochody i odjechali. Także ten pierwszy kontakt z najeźdźcą nie był dramatyczny. Tak... Najpierw płacili za jajka i mleko, a potem zagarniali całe majątki, odbierali życie...

Wysłuchała i opracowała
Anna Skonieczna

Tekst został opublikowany w wydawnictwie "Ziemia Makowska" nr 19 (146) 22 września 2005 r.)



Ginące zawody Czapnik

Anna SKONIECZNA

Jeszcze około dwadzieścia lat temu w Makowie było dwóch czapników. W Przasnyszu, Ciechanowie i Puławsku po trzech. Dziś w okolicy praktycznie nie ma konkurencji. W Przasnyszu, Ciechanowie i Makowie pozostali pojedynczy przedstawiciele tego zawodu.

- Ta profesja zanika – mówi Waldemar Czajkowski, jedyny w naszym mieście właściciel takiej pracowni. – Głównymi odbiorcami czapek, najpierw mojego dziadka, a od 25 lat moich, byli rolnicy. Ale rolnicy teraz są bardzo biedni. W dawniejszych czasach rolnicy i ich liczni synowie, potrzebowali mieć po kilka czapek, takich codziennych i odświętnych, często wykonywanych na zamówienie, z tego samego materiału, z którego mieli płaszcze czy futrzane kołnierze jesionek. Dziadek szył także kołnierze i tzw. mufki.

W rozmowie z panem Waldemarem cały czas przewija się wspomnienie dziadka, który przed 60-ma laty założył firmę czapniczą w Makowie. Adam Olszewski przed wojną był kupcem, prowadził sklep spożywczo-przemysłowy. W czasie okupacji, ze względu na kłopoty z zaopatrzeniem sklepu, życie wymusiło zmianę branży. Gdy po utworzeniu getta, przestały istnieć w mieście zakłady czapnicze, będące wcześniej głównie w rękach Żydów, postanowił wyjść naprzeciw zapotrzebowaniu rynku. Przemyślał do getta surowce, z których Żydzi kroili formy w zamian za żywność. Z czasem pan Adam nieźle przyuczył się do zawodu i nawet po wojnie, nie chciał już robić nic innego. Jego dwie córki nie były zainteresowane przejęciem zakładu, ułożyły sobie życie w stolicy.

Wnuczek Waldemar, często spędzał wakacje w Makowie, był ulubieńcem dziadka. Kiedy tylko osiągnął pełnoletniość, dziadek akurat owdowiał. Czuąc się samotnym, zachęcał wnuka, by opuścił Warszawę i tu, w Makowie kontynuował naukę. Pan Waldek miał smykałkę do mechanizacji. Zdobył zawód mechanika samochodowego i podjął pracę w makowskim ZREMB-ie, pomagając w wolnym czasie dziadkowi w zszywaniu drobnych elementów czapek. Ale starszemu człowiekowi to nie wystarczało. Namawiał, nęcił, by ulubiony wnuk na dobre zajął się czapnictwem. Waldemar Czajkowski mówi, że jeszcze dziś brzmią mu w uszach, tak często powtarzane słowa dziadka „Po co ci chodzić do ZREMB-u? Tu, w kapiach sobie zejdziesz do warsztatu. Sam u siebie będziesz pracownikiem i dyrektorem.” Były to wczesne lata 70, kiedy czapnikom dobrze się powodziło. Usługi stanowiły 30% produkcji. Obecnie już prawie wcale nie wykonuje się czapek na zamówienie. Wtedy, na jarmarki wystarczyło jechać kilka razy w miesiącu, bo na każdym sprzedawało się po 30–40 sztuk, co zapewniało dostatek. Dziś, choćby na jarmarki jeździło się non-stop, nie przyniesie to dobrego



Druga para od prawej - Stanisława i Marian Bartosiakowie z rodziną



Marian Bartosiak z żoną i siostrą.

zysku. Za dobry uznaje się teraz jarmark, na którym sprzedaje się pięć czapek. Nie rzadko schodzi ledwie jedna sztuka. Był dobry czas, kiedy dostarczał swoje letnie czapeczki z odpowiednim wydrukiem na Wybrzeże, gdzie w sklepach pamiątkarskich rozchodziły się w mig. Podobnie było na jarmarkach w Chorzeli, Róźnie, Krasnosielcu, Puławsku. Swego czasu wręcz furorę robiły kapelusiki, tzw. kubelki. Różne fasony czapek przechodziły swój okres mody: degolówka, naciarka,

belgijka, stalinówka – ta ostatnia praktycznie nigdy nie wyszła z mody.

Kiedy pan Waldemar uległ w końcu namowom dziadka, zdał egzamin czeladniczy w Warszawie. Był już żonaty, gdy w 1977 roku został pełnoprawnym właścicielem nie tylko pracowni, ale i połączonego z nią domu mieszkalnego w rynku Makowa. Adam Olszewski przeżył jeszcze 10 lat z rodziną wnuka.

- Mój dziadek nie był skory do pochwał. W każdej, uszytej przeze mnie czapce, dopatrywał się najmniejszego uchybienia. Zwykły

mawiać, że prawdziwym czapnikiem będę dopiero, gdy sobie palec przeszyje maszyną. I kiedyś rzeczywiście to mi się przydarzyło. Byłem wściekły, a on się cieszył, zapewniając, że nic mi nie będzie. Był człowiekiem o specyficznym poczuciu humoru. Pamiętam sytuację, gdy młody chłopak ze wsi, przyszedł obstałować czapkę. Wytlumaczył jaką chce, a dziadek do niego – No to rozbieraj się do miary! Chłopak raz, dwa zdjął z siebie kurtkę, marynarkę, koszulę... jakby był u lekarza. Dziadek z powagą patrzył na niego, po czym zmierzył mu obwód głowy i kazał się ubrać. Ja dusiłem się, żeby nie parsknąć śmiechem. Dopiero gdy klient wyszedł, śmialiśmy się obaj.

Z czasem, żona pana Czajkowskiego, Joanna, z wykształcenia technik budowlany, gdy ich dwójka dzieci podrosła, zaczęła pomagać mężowi w pracowni. Dorosłe już dzieci nigdy nie były zachęcane i nie przejawiały zainteresowania ojca rzemiosłem.

Zgodnie z wykształceniem, umiejętności mechaniczyczne pan Waldek wykorzystywał do naprawy własnych samochodów, których miał w życiu wiele, słabszej i lepszej marki, w zależności od prosperowania firmy. Aktualnie jest posiadaczem poloneza. Jest też właścicielem motorówki – ma uprawnienia sternika motorowodnego. Kiedyś to była jego wielka pasja.

W każde wakacje wyjeżdżał z rodziną na jeziora mazurskie, gdzie obozując pod namiotem, do woli korzystali z motorowych rejsów. Od kilku lat nie stać ich na takie urlopy. Godzina pracy motorówki to dziesięć litrów, drogiego dziś, paliwa. Łódź niszczeje, czekając na lepsze czasy, które nie nadchodzą. Co roku nawia ją sprzedać, a potem dochodzi do wniosku, że szkoda by było... Panu Waldemarowi marzy się posiadanie motolotni. Chętnie spróbowałby szybowania w przestworzach, ale wątpi, czy uda się to zrealizować. Póki co, relaksuje się nad krzyżówką i dobrą książką o tematyce wojennej.

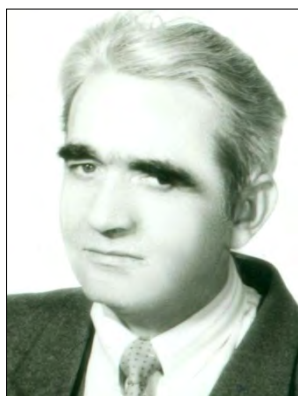
- W sumie, po latach nie żałuję, że uległem namowom dziadka i zostałem czapnikiem – podsumowuje Waldemar Czajkowski. – ZREMB już dawno nie istnieje. W czasach, które nadeszły, prawdopodobnie byłbym jednym z wielu bezrobotnych. Z czasem nawet polubiłem swoje szycie czapek, ale na początku bywało różnie... Nie mam jeszcze nawet pięćdziesiątki, ale myślę, że do emerytury jakoś się dociągnie, zanim rynek zdominują fabryki z taśmowa produkcja, które sprawią, że takie manufaktury jak moja, nie tylko zresztą czapnicze, znikną zupełnie. Już teraz nie ma zdrowej atmosfery wśród nielicznych czapników. Kiedyś, na jarmarkach stawiało obok sie-

bie pięciu, sześciu, ale nie było między nimi wrogiej konkurencji. Po handlu odwiedzali się, gościli, wymieniali nowymi formami kroju. Była między nimi życzliwość.

Jako ciekawostkę, mój rozmówca podaje, że w ostatnich latach jego klienci mają zdecydowanie większe głowy. Kiedyś schodziły głównie czapki o średnich rozmiarach – od trójki do dziewiątki. Teraz więcej się sprzedaje dziesiątek, jedenastek. – Nie wiem, czyba to z tego dobrobytu rolnikom zaczęły puchnąć głowy? – żartuje na zakończenie, ostatni makowski czapnik.

Anna Skonieczna

Tekst został opublikowany w wydawnictwie "Ziemia Makowska" nr 3 (53), 28 lutego 2002 r.



Pamięci żołnierzy września 1939 r.

Apolinary ZAPISEK

W nadchodzącym 2019 r. przypada 80 rocznica polskiej wojny obronnej we wrześniu 1939 r. Uczestniczyło w niej 950 tys. polskich żołnierzy. I nieważne były rachunki krzywd, jak wcześniej przewidywał poeta, choć II RP, której bohaterstwo bronili, nie dla wszystkich była troskliwą matką. Wielu z nich walczyło potem zarówno na wschodnim, jak i zachodnim froncie, a także w zbrojnym ruchu podziemnym, gdzie stanowiliśmy podstawową kadrę. Dziś w zasadzie nie ma ich wśród żyjących, ale zasłużyli na to, aby z okazji tej okrągłej rocznicy przywołać pamięć o nich i zachować dla przyszłych pokoleń. 66 tys. z nich poległo, 134 tys. było rannych, a w obozach jenieckich w Niemczech znalazło się 694 tys.¹

Ilu żołnierzy wśród walczących we wrześniu 1939 r. pochodziło z naszej krasnosielckiej gminy? Pamiętam nazwiska kilkunastu, a oboście znałem ok. 10. Dla niektórych była to kolejna wojna, w której przyszło im walczyć. Mam tu na myśli np. Władysława Kocota (1900–2000) z Drąždzewa, którego pamiętniki były publikowane na łamach „Krasnosielckiej

go Zeszytu Historycznego”² czy Marcelgo Więcka (1900–1981) z Nowego Sielca, którego wspominałem, przedstawiając Stajnię MAR-GO³. Hieronim Junak, mój sąsiad w czasie okupacji, walczył pod Mławą. Ciężko rannego próbował dobić niemiecki żołdak. Głoszone dziś w Niemczech przez niektórych historyków poglądy o rzekomym humanitaryzmie Wehrmachtu trzeba więc między bajki włożyć. Został przesiedlony do naszej wsi z Nowego Krasnosielca, ponieważ jego wzorowo prowadzone gospodarstwo spodobało się niemieckiemu leśniczemu.

We wrześniu 1939 r. z mojego rodzinnego kręgu w kampanii wrześniowej walczyły 4 osoby:

1. Franciszek Podpora (1912–1980), ułan 5 Pułku Ułanów w Ostrołęce – brat przyrodni;

2. Stanisław Józef Regulski (1915–1996), żołnierz 33 Pułku Piechoty w Łomży – szwagier;
3. Adam Szymborski (1908–1996), żołnierz 18 Pułku Artylerii Lekkiej w Ostrowi Mazowieckiej – szwagier;
4. Marian Zapisek (1916–1990), żołnierz Mazowieckiej Brygady Kawalerii – brat stryjeczny.

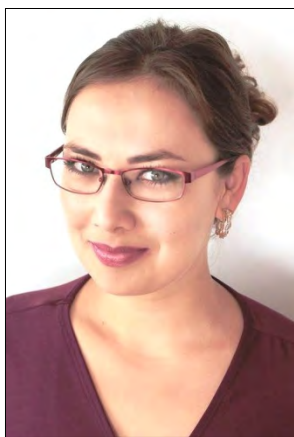
Wojenne losy każdego z polskich żołnierzy września 1939 mogą stanowić materiał do ciekawego opowiadania lub scenariusza filmowego. Na pewno wielu Czytelników naszego pisma zna wspomnienia krewnych bądź bliskich znajomych. Wspomnienia te można by wykorzystania w naszych publikacjach. Może uda się wspólnie sporządzić pełną listę żołnierzy z naszej gminy walczących w kampanii wrześniowej 1939 r.? Byłby to ich skromny Pomnik, na który na pewno zasłużyli.

Apolinary Zapisek
grudzień 2018 r.

¹ Kampania wrześniowa: https://pl.wikipedia.org/wiki/Kampania_wrzesniowa (dostęp 4 XII 2018 r.).

² W. Kocot, *Dzieciństwo i młodość*, „Krasnosielcki Zeszyt Historyczny” [dalej: KZH], 2015, 24–26, s. 2–13; tenże, *Dziennik wojenny 30 sierpnia–17 października 1939 roku*, tamże, s. 14–22; tenże, *Pamiętniki jenieckie*, tamże, s. 23–46; tenże, *Pamiętnik z roku 1920*, KZH, 2015, 23, passim.

³ A. Zapisek, *Kortowiacy z mazowieckiej wsi*, KZH, 2017, 32–35 s. 71.



KL Soldau, Stare Jabłonki i Żabikowo – w 74. rocznicę

Maria Weronika KMOCH

II wojna światowa co prawda nie doświadczyła tak bardzo naszej małej ojczyzny jak poprzedni konflikt [odnosi się głównie do ziemi jednorozęckiej - przyp. red. wydania], jednak to właśnie w jej czasie życie straciło wielu naszych przodków. Okupacja niemiecka zaznała się w historii naszej małej ojczyzny krwawymi wydarzeniami, z których jednym z najstraszliwszych był mord w Starych Jabłonkach pod Ostródą w 1945 r. Zginęło w nim wielu mieszkańców naszej ojcowizny. Mieszkańcy gm. Krasnosielc zostali zamordowani w Żabikowie.

Jesienią 1944 r. i zimą 1944/1945 r. masowo aresztowano członków podziemia na północnym Mazowszu: w pow. przasnyskim, makowskim, ciechanowskim, mławskim. Aresztowania dotyczyły głównie członków Batalionów Chłopskich (BCh) i Stronnictwa Ludowego „Rocha”, Armii Krajowej, członków PPR, Armii Ludowej oraz innych organizacji podziemnych. Struktury tych organizacji prętnie działały także na naszym terenie. Przyczyną aresztowań było generalnie rozpracowanie struktur miejscowego podziemia.

Henryk Furman (1928–2009) z Jednoróżca, wówczas 17-letni, po latach wspominał, że *Po bitwie [pod Szlą 17 X 1944 r. – przyp. M.W.K.] do najbliższych wiosek zjechało się sześćdziesięciu żandarmów polowych i weszli, co się tutaj na tem terenie działo. Po miesiącu zjechało gestapo.* Okolicę nasycano wojskiem niemieckim. Pierwsze aresztowania na terenie gm. Jednoróżec miały miejsce tuż po bitwie desantu radzieckiego pod dowództwem mjr. „Orłowa” z Niemcami pod Żelazną (20 XI 1944 r.). W dniu 28 X 1944 r. ujęto 30 ludzi mieszkających na koloniach w pobliżu lasu. Następnie umieszczono ich w stodole Grzegorza Grzyba w Żelaznej Rządowej. Zagrożono spaleniem żywcem, jeśli mieszkańcy nie podadzą nazwisk osób współpracujących z partyzantką, co stanowiło realne zagrożenie, bowiem kilka dni wcześniej m.in. w Olszewce na koloniach Niemcy spalili zabudowania ludności wspierającej ruch przeciw okupantowi. Po odnalezieniu dwóch partyzantów ukrywających się w okolicy mieszkańców Żelaznej, „Włodii”, zastępcy „Orłowa”, oraz zwiadowcy „Saszi”, śmierci „Saszi” oraz zabraniu ranego „Wołodii” do niewoli, przetrzymywanym w stodole odpuszczono i przewieziono do Jednoróżca do aresztu żandarmów gminnej.

Następnie zostali przetransportowani do przasnyskiego klasztoru pasjonistów, zamienionego na więzienie. Po wstępnym śledztwie, trwającym 2 tygodnie, całą grupę przewieziono

do KL Soldau, czyli niemieckiego koncentracyjnego przejściowego w Działdowie.

Kolejne fale aresztowań miały miejsce 14 i 17 X 1944 r. *Na obławę Niemcy jechali z Jednoróżca i prawdopodobnie pojechali przejmowską drogą, jak wspominał Henryk Furman z Jednoróżca. W dniu 17 listopada we wsi Na naszych kolonjach zrobili obławę. Zabrali dwóch synów Lomperty, którym było na imię Lomperta Edward (lat 21) i Lomperta Alfons (lat 19). (...) Od tego gajowego zabrali Niemcy dwóch ludzi, którzy byli wysiedleni, a mieszkali u Lomperty. Nazywali się te chłopcy Zalewsky Stanisław i Zalewsky Edward – stary ojciec i syn. Gestapowcy przeszli do następnego gospodarstwa. Przeszli lasem, a później przez pole do Stanisława Bakuła. Syn jego się ukrywał, zauważył, że idą Niemcy, zaczął uciekać. Niemcy zaczęli go gonić i strzelać za nim, ale mu się udało uciec do lasu. Gestapowcy powiedzieli, że to był partyzant. Gestapowcy zabrali gospodarza całej rodziny. Kazali wszystkim wyjść z domu i wyprowadzić inwentarz żywy z obory, kazali podać naftę, podłeli budynek naftą i podpalili. Bakula Stanisław był to człowiek w starszym wieku. Następnie przeszli gestapowcy do następnego gospodarstwa Stanisława Piotra. Zabrali ojca i syna Piotra, Józefa, lat 23. Byli tam ludzie z Jednoróżca, bo Piotrak miał młócić żyto tego dnia. Do młócenia żyta przyszli ludzie z Jednoróżca: Pogorzelski Władysław, Kubacz Władysław [szwagier Pogorzelskiego – przyp. M.W.K.], Deptuła Czesław i teść jego Świercz. Wszyscy ci ludzie ze wsi, co przyszli młócić, to przeszli do nas, tylko dwóch wysiedlonych, którzy mieszkali u nas, to uciekli do lasu. Następnie Niemcy spalili zabudowania u Bakuły. Pojmano też cytywanego Henryka Furmana. Tego dnia pojmano też Andrzeja Pokorskiego „Koc” ze Szli, który ukrywał u siebie trzech radzieckich partyzantów, biorących udział w bitwie pod Szlą. Wraz z nim uwięziono żonę Zofię i siostrę Annę.*

Żandarmi zapędzili aresztowanych do Lipy, a potem wywieźli furmankami do Przasnysza do więzienia w podziemiach przasnyskiego klasztoru pasjonistów.

Z kolei z Drądzewa Nowego, jak wspominał Franciszek Dawid z Drądzewa, W [dnia 25 XII – przyp. MWK] 1944 r. zostali aresztowani Marcin [powinno być: Marian - przyp. MWK] Ciak, [następnego dnia – przyp. MWK] Walenty Dawid i Skowroński, ukrywający się u Dawida. Przeżył tylko Henryk Roman [rządca majątku Kantor w granicach wsi – przyp. MWK], którego „ktoś” ostrzegł przed aresztowaniem...

Podczas fali aresztowań 14 XI 1944 r. W mieszkaniu Karola Marciniaka przy ul. Leszno w Przasnyszu aresztowano 9 członków Polskiej Partii Robotniczej i Armii Ludowej (Karol Marciniak, jego syn Henryk Marciniak, Stanisław Dąbrowski, Marianna Ruszczyńska, Eugeniusz Jankowski, Remigiusz Iwanowski, Stefan Rzepczyński, Czesław Michałowski). Pojmanych przetrzymywano w piwnicach gestapo przy ul. 3 Maja w Przasnyszu.

Z kolei 17 XI 1944 r. aresztowano przywódców „Rocha” i BCh z pow. przasnyskiego (podają za A. Drwęckim: Ignacy Ossowski „Mur” z Wielodroża – inspektor BCh, Jan Janikula „Tęgi” z Przasnysza – członek kierownictwa politycznego podokręgu „Wkra”, Marian Milewski „Wiśnia” z Bogatego – przewodniczący powiatowej „trójki” politycznej „Rocha” dla pow. przasnyskiego i delegat rządu na pow. przasnyski, Wojciech Łysonik „Jabłoń” z Gądomca – komendant powiatowy BCh, Wacław Skonieczny „Motor” – komendant BCh na miasto Przasnysz, Roman Skonieczny „Błysk” – łącznik BCh, Kazimierz Nizielski „Pług” z Przasnysza, Kazimierz Gądomski „Wrzos” – komendant BCh gm. Karwacz, Piotr Kiliański, Bronisław Dolecki, Stanisław Młodzianowski z Przasnysza).

Aresztowania nie ominęły Armii Krajowej. Tego dnia pojmano wielu działaczy kierownictwa Ośrodka Przasnysz. Wśród zatrzymanych znaleźli się: Stanisław Górski „Marek”, „Torf”



Walenty Dawid z Drądzewa Nowego. Zbiory Zofii Kłos z d. Romanowskiej z Drądzewa Nowego.

– komendant Ośrodka Przasnysz, Andrzej Bieńkowski Turowicz „Lis” – były komendant Ośrodka Przasnysz, Jan Szmalc „Ten” – kierownika zaplecza, Józef Fidura „Grzmot”, Henryk Sobolewski, Stanisław Wróblewski, Stanisław Rudnickiego „Motylek”, Romana Żbikowskiego, Piotra Kolwica, Kazimierza Sadowskiego, Tadeusza Koneckiego, Tadeusza Pszczółkowskiego „Sztacheta”, Mariana Sosnowskiego, Napierskiego z Pienic, Zygmunta Burskiego czy Józefa Burskiego z Czernic Borowych.

Pojmanych przetrzymywano w piwnicach gestapo przy ul. 3 Maja w Przasnyszu. Poddawano ich okrutnym torturom. Jan Szmalc, skatowany kijami, zmarł po przesłuchaniach. Do dziś jego ciało, wywiezione ciężarówką w stronę Rostkowa, nie zostało odnalezione. Podobnie stało się z Wojciechem Łysonikiem – jego ciało wywieziono furmanką w nieznanym kierunku. Andrzej Bieńkowski, skatowany gestapowskim pejcem, z głębokimi ranami w plecach i pośladkach, próbował popełnić samobójstwo w celi, ale koledzy udaremnili je dwukrotnie. Zenon Strzeszewski i Józef Fidura mieli niemiłosiernie zbite i spuchnięte głowy.

W dniu 10 XII 1944 r., po trzytygodniowym śledztwie, większość aresztowanych przewieziono do obozu w Działdowie. W Przasnyszu zostali natomiast: Jan Janikula, Bronisław Dolecki, Stanisław Jankowski (syn volksdeutscha) oraz Marian Napierski z Pienic, o którym A. Drwęcki napisał, że gestapowcy wiązali go liną i wywozili w teren, żeby wydawał ludzi.

Największe aresztowania zorganizowano 26 XII 1944 r., w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Tej nocy w Przasnyszu i okolicach łącznie aresztowano ok. 200 osób. We wsi Żelazna zostało wówczas aresztowanych 18 osób, w Olszewce 3 osoby (m.in. Bronisława Majewskiego). Byli to m.in. żołnierze AK, a wśród nich członkowie oddziału partyzanckiego „Łowcy”, np. Antoni Łoś, leśniczy w Przejmach oraz jego szwagier Roman Kosmowski, leśnik z Uścianka. Ze wsi Szla, wówczas znajdującej się w granicach gm. Jednorzec, aresztowano Wiktora Jeznacha ps. „Olcha”, przewodniczącego „trójki” politycznej „Rocha” z gm. Jednorzec. Z Krasnosielca pojmano Ferdynanda Rakowskiego „Woj-

ciech” i Tadeusza Zbrzeskiego „Tygrys”. W Przasnyszu aresztowano (podają za A. Drwęckim): Stanisława Szwedę „Pilnik”, Feliksa Kamińskiego, Mieczysława Kaliszewskiego, Franciszka Piaseckiego, Edwarda Grota, Bolesława Myślińskiego, Stanisława Józwiaka, Kazimierza Witkowskiego, Józefa Rykowskiego, Tadeusza Kameckiego, Kazimierza Szczepańskiego, Aleksandra Jabłońskiego, Józefa Grotkowskiego, Józefa Jesionka, Franciszka Olszewskiego, Aleksandra Fijorka, Jana Szymańskiego, Jana Wyszyńskiego, Antoniego Wróblewskiego, Konstantego Witkowskiego, Zenona Rużewskiego „Wiewórka”, Kazimierza Sadowskiego, Leona Wróblewskiego, Bronisława Żokowskiego, Stanisława Kowalskiego, Leona Jelińskiego, Jana Kunkowskiego, Antoniego Smolińskiego, Juliana Pogorzelskiego, Kazimierza Cichockiego, Pawła Majkowskiego, Józefa Bartoła, Jana Nowickiego, Henryka Bojarskiego, Aleksandra Jaguszeńskiego i Romana Stefaniaka. Z Czernic Borowych pojmano: Janinę Błaszczyszyn (kierowniczką Tajnej Organizacji Nauczycielskiej na pow. przasnyski), Władysława Kołodzieja, Henryka Dygosa „Olszyna”, Piotra Modzelewskiego „Wierny”, Franciszka Ślubowskiego, Jana Tylińskiego, Stanisława Uleckiego, Henryka Brzeźniaka, Jana Frąckiewicza, Stanisława Farynę, Jana Chmielewskiego, Ludwika Kowalskiego, „Fryzjer”, Michała Kowalskiego „Kruk”, Henryka Lubowiedzkiego, Edwarda Michalskiego, Henryka Plucińskiego „Tygrys”, Kazimierza Sadowskiego „Kilof”, Stanisława Żakiewicza, Antoniego Błajejewskiego „Agawa”. Poza tym aresztowano wiele ludzi z Kurpiowszczyzny.

W piwnicach gestapo dla kamuflażu oraz w celu wydobycia informacji dla prowadzących śledztwo, osadzono też niemieckiego agenta Czesława Zacharzewskiego ps. „Panienska”. Przesłuchania odbywały się w pomieszczeniach na górze.

H. Furman wspominał: *W Przasnyszu wsadzono nas do aresztu. Było nas dwunastu z Jednorozca i z kolonii. Potem zrobiło się nas więcej. Niemcy przywieźli dwanaście osób z innych wiosek, Pokor[s]ki Andrzej z żoną ze wsi Szli, Wiśniewski, Krzykowski Marceli też ze Szli, Sikorski z Obórk, [Józef] Romanowsky*

z Żelaznej, Kuciński Hieronim [z Olszewki – przyp. M.W.K.], [Bronisław] Majewsky z Olszewki i Krajewski z Pruskolęky. Ten [ostatni] był kapuś niemiecki.

W celi zastaliśmy desanta ze Związku Radzieckiego Wołozię. Był to [człowiek] aż z Syberii polskiego pochodzenia, nazywał się Włodzimierz Leszkowski, bardzo fajny chłopak. Był przykuty łańcuchem do ściany za nogę. Półtora miesiąca przebywał na naszym terenie powiatu przasnyskiego i dostał się w łapy oprawców niemieckich.

W pierwszych początkach nie wiedzieliśmy, że mamy kapusia, aż po przesłuchaniu Krajewskiego przez Niemców ten podkapował desanta. Zaraz po tem przesłuchaniu przyszli Niemcy i desanta wyzuli z butów i założyli mu na nogi kajdanki automatyczne, które za najm[n]iejszym poruszeniem wciskały się w ciało, aż mu nogy puchły. I na ręce założyli też kajdany, ale zwyczajne. Tylko do jedzenia to mu zdejmowali kajdany z rąk. I od tej pory Niemcy pilnowali go osobiście. Nam wszystkim było przykro patrzeć na taką scenę.

Po paru dniach brano kolejno nas na przesłuchanie celem przesłuchania dokładnych zeznań. Właśnie tam zobaczyłem na własne oczy, jak gestapowcy przeprowadzają badania. Ci ludzie byli nam nieznani. Mieli ręce skute w tył i za te ręce byli powieszani do ściany, że ledwie palcami dotykali podłogi. Do bicia byli rozebrani do naga. Ciało mieli tak pocięte, że krew z nich ciekła, a rany nie były opatrzone, a w ranach była ropa.

Potem do nas wsadzono jeszcze jednego Rosjanina, nazywał się Sitow Wasili. Potem nas przepędzono z aresztu pod kościół Pasyjonistów w Przasnyszu. Do piwnicy okna były zakratowane. Pod kościołem piwnice pasowały Niemcom na więzień dla polskiej i radzieckiej narodowości. Pod kościołem było nas ponad czterdziestu. Po trochu każdego dnia coraz to więcej przybywało aresztowanych.

Po dwóch tygodniach przepędzono nas z powrotem do tego aresztu. Wszystkich nas wpełnili do jednej celi. Było tak ciasno, że na stojąco nie mogliśmy się pomieścić. Zabrakło nam powietrza do oddychania, tak dusiliśmy się przez jedną noc.



Współczesny wygląd budynków obozowych w Działdowie. Źródło: <https://www.facebook.com/sochpit/> (dostęp 22 I 2019 r.).



Na mapie zaznaczono lokalizację wsi Stare Jabłonki.

W dniu 29 XII 1944 r. ok. 16:00 kilkudziesięciu więźniów przetrzymywanych w Przasnyszu załadowano na dwie przyczepy od traktora i w eskorcie 8 żandarmów przewieziono w kierunku Mławy. Jak opowiadał H. Furman, *W dzień nas wyprowadzili na plac, ustawiono nas dwójkami. Przez środek przeciągnęli Niemcy łańcuch, każdego z nas przywiązali drutem za ręce do tego łańcucha, a że na końcu była kobieta, to końcem łańcucha opasali ją dokoła i zawiązali drutem. Dalej popędzono nas do kolejki i wprowadzono nas do wagonów i pojechaliśmy do Mławy, a z Mławy pociągami do Działdowa i tam nocą zapędzono do łaźni.*

Po drodze, w wyniku przewrócenia dwóch przyczep we wsi Mławka, więźniowie i żandarmowi z eskorty z pierwszej przyczepy zostali przygnieci pojazdem, a kilku aresztowanych z drugiej przyczepy, związanych drutem, uwolniło się i zbiegło. Byli to m.in. Henryk Starczewski, Bolesław Myśliński i Edward Grot z Przasnysza. Inni więźniowie uciekli sprzed bramy obozu w Działdowie, dokąd dojechano, korzystając z tego, że w celu podniesienia przyczep żandarmi przecięli druty na rękach więźniów, a potem z powodu jego braku nie zakneblowali ponownie aresztowanych.

W KL Soldau więźniów zamknięto w dwóch dużych celach po 70 osób w bloku Nr 1. Rankiem następnego dnia każdy dostał podwójny numer w celu przyszywania po jednym do koszuli i do kałesonów. Przywiezionych do obozu w dniu 29 XII 1944 r. nie poddano śledztwu. Przesłuchano jedynie Stanisława Szwedę, Feliksa Kamińskiego oraz Józefa Fidurę, który został zabity kijami.

H. Furman tak wspominał pierwsze chwile w obozie: *Rozebrano nas do naga, zabrano nam wszystkie dokumenty i notatki. Ogolono nas od stóp do głowy. Ubranie zabrano parowego, a nas skierowano pod lodowaty prysznic. Stanęliśmy nago, a temperatura zimnej wody i mrozu na pewno była około 25 stopni. Była to noc, na ubranie czekaliśmy długo. Nareszcie wy-*

rzucano nasze ubrania z pieca. Każdy musiał odnaleźć swoje ubranie i to prędko, a którzy się ubierali powoli, to tak dostali, że do końca życia nie zapomnę tej piekielnej łaźni. I ci, którzy zostali przy życiu, to na pewno pamiętają głód, który dopiero się zaczynał, prawdziwa nędza i poniewierka.

Zakwaterowano nas w celi na piętrze, stale trzeba było schodzić na dół: rano do mycia, potem na śniadanie, po śniadaniu na taką gonitwę, potem na obiad i na kolację. Stale biegłem i za każdym razem każdy otrzymał parę kijów, gdzie padło. Bo w każdym kącie stał niemiecki albo ukraiński diabeł, a nie człowiek i bez przerwy bił, wiele zdążył. Nie dobierał miejsca, gdzie bić i kogo, a my byliśmy narażeni, bo byliśmy więźniami politycznymi.

Nie brano nas do żadnej pracy, byliśmy bardzo podejrzani. Na nas specjalnie podstawiono najbardziej szalonego diabła ukraińskiego. Za każdym razem jeden był jego ofiarą, bił gadziną, kopał go po głowie dotąd, aż mu zabrakło sił. Każdy z nas stracił przytomność. Jak się dostał w ręce tego oprawcy, to koledzy go podnieśli, ale był cały we krwi zboczony. Została mu jeszcze jakaś część życia. A jak trafiło na słabszego, to ten ukraiński diabeł go wykończył, w biegu wyrwał pałę i bił go po głowie, aż go zagłuszył. Wtenczas przewrócił jego jedną nogą, stał na tym człowieku, a drugą obcasem okutym z całej siły, tłukł go po głowie, aż krew przyskała. Jak mu zabrakło sił, to wtedy przestał bić. Wiele ten człowiek wycierpiał, to proszę sobie wyobrazić, wiele temu człowiekowi pozostało sił do życia. Cała kolumna musiała patrzeć, a szwab się z tego śmiał i powiedziałeli: - Przypatrzcie się, jak Ruchy¹ mogą. Bo wy, partyzanci, wyglądacie na Rusków, żeby do was przyszli.

Ja osobiście dostałem tylko jeden cios od niego, ale że miałem 17 lat, to był silny

i uciekłem od dalszych ciosów. Tylko ten jeden cios to trzy dni czułem ból w głowie.

I tak płynął dzień za dniem głodno i chłodno, bo wcale nie było okien, nawet jednej szyby. Pomimo że otwory były duże, ale zasłane drutem kolczastym, przez te okna nie wolno było wyglądać. Kto by się ośmielił wyjrzeć oknem, to mógł otrzymać kulę z karabinu, bo przed oknem był obserwator z reflektorem i z karabinem maszynowym. W oknie szyb nie było, ale ramy były podziurawione kulami. Tak minął listopad i grudzień w nędzy i niedoli.

Do Działdowa cały czas przybywały nowe transporty. Jeden z nich wyruszył z Przasnysza 10 I 1945 r. W transporcie jechał m.in. aresztowany przez gestapo 25 XII 1944 r. w Drąždzie Nowym Tadeusz Zembrzusi ps. „Tygrys”, były żołnierz oddziału partyzanckiego AK „Łowcy”.

Niespodziewanie okazało się, że KL Soldau zostanie zlikwidowany, co rozpoczęło się 17 I 1945 r. H. Furman wspominał: *Strzały było słychać coraz bliżej Działdowa. Ja[k] front podszedł pod samo Działdowo, wtenczas gestapowcy nas z samego rana [ok. 5:30 – przyp. M.W.K.] wypędzili z baraków na plac i wydano nam dokumenty i zabrano naszą grupę na wartownię. Żeby nas uspokoić, mówiono nam, że jdziemy do domu. Kiedy więźniowie stali na apelu, na plac oraz na sąsiednią stację kolejową zaczęły padać pociski armatnie. Zrobił się popłoch. Nas wyprowadzono za pierwszą bramę. Czekaliśmy, co dalej będzie. Potem cofnęli nas z powrotem na plac. Dołączono nas do całej grupy. Czekaliśmy cały dzień na głodniaka, a Niemcy ładowali na samochody różne rzeczy i uciekali. W końcu nas otoczyli wkoło i wieczorem nas popędzili w Germanję.*

Więźniom rozdano pospiesznie chleb i szybko uformowano kolumnę skierowaną na północ szosą w kierunku Burkatu i Ostródy. Konwój zdrowych więźniów z poleceniem dotarcia do Olsztyna utworzono na rozkaz SS-Untersturmführera Kurta Angermanna. Wachmani przynieśli łańcuchy i druty, ale nie zdążyli zawiązać więźniów. Podczas marszu kolumnę otaczali ją wachmani oraz tresowane psy. A. Drwęcki na podstawie relacji świadków ustalił, że wówczas w obozie przebywało ok. 1500 więźniów.

Podczas ewakuacji, w odległości ok. 500 m od wiaduktu kolejowego kolumna więźniów została ostrzelana przez artylerię czołgów sowieckich, które otoczyły miasto. Bombardowały je też samoloty, bowiem Sowietci myśleli, że są to wycofujące się oddziały niemieckie. Zbliżający się do wiaduktu więźniowie rozbiegli się w poszukiwaniu schronienia. Popłoch wówczas powstały wykorzystali aresztowani, których kilkunastu uciekło (m.in. Czesław Czarnecki, Wiktor Jeznach, Stanisław Szweda, Tomasz Kosman, Tadeusz Krzyżewski). Ci, którzy zbiegli w kierunku frontu, następnego dnia znaleźli się w wyzwolonej Mławie i powrócili do własnych domów. Podczas jednego z nocnych postojów, ciężko powiedzieć, w którym momencie, udało się uciec braciom Aleksandrowi i Antoniemu Suskim z Krasnosiela. Z transportu uciekł też mieszkaniec Żelaznej Rządowej o nazwisku Ptak, aresztowany jesienią 1944 r.

¹ W znaczeniu: Ruski, Rosjanin.

To wszystko sprawiło, że dzień po wymarszu z obozu stan kolumny wynosił tylko 50% składu wyjściowego. Działkowo zostało wyzwolone 18 I 1945 r. wieczorem.

Pozostałych więźniów podzielono na mniejsze kolumny i każda z nich maszerowała nieco inną trasą. Początkowo szlak tej wędrowki wiodł przez Kozłowo, Olsztynek, Mieleno, Grunwald i Ostródę, a później – z tej miejscowości – w kierunku Olsztyna. Eskorta składała się z wachmanów obozowych, żandarmów oraz gestapowców. Oddzielono 122 więźniów politycznych i popędzono na Ostródę. Pomimo omyłkowego ostrzelania przez samoloty radzieckie i śmierci kilkunastu więźniów pozostałych zakwaterowano w Ostródzie, dano jeść, zwrócono dokumenty i dano zaświadczenia o zwolnieniu. Z miasta wydostawali się każdy na własną rękę.

Po drodze uciekł H. Furman, o czym tak opowiadał po latach: *Ja zauważyłem, że ludzie zaczynają po trochu uciekać, bo pomieszałem się z niemieckimi uciekinierami. Zacząłem szukać kolegów, żeby ich namówić do ucieczki, [ale] nie mogłem ich odnaleźć. Potem jeden z wachmanów dał m[nie] swój plecak, żebym go niósł. Z początku myślałem, że może w tym plecaku znajdzie się coś do jedzenia, ale w plecaku nie było żadnej żywności. Zacząłem słabnąć od głodu i bóleści, którą mi dali gestapowcy na badaniach w baraku. Po badaniu powiedział gestapowcy, że nas czeka daleka droga. Czulem, że nie dam rady jść dalej.*

Postanowiłem uciekać i wykorzystałem stojącą kolumnę samochodów stojących na lewo przy drodze, nakryte gałęziami i udało m[nie] się przecześć, aż cała kolumna przejdzie. Szosa została pusta. Ja wyszedłem spod samochodu i poszedłem dalej szosą.

Po jakim czasie oderwała się znów jakaś mała grupka ludzi, ale ja jej przeszkadzałem, bo miałem plecak wachmana. Poszedłem sam.

Pozostali nie mieli tyle szczęścia i pędzeni nocą, zatrzymali się w stodole obok szosy. Chociaż byli głodni, przemarznięci (temperatura wynosiła -20 stopni), niektórym udało się uciec. Byli to: Witold Majewski, jego siostra Helena, a także Andrzej Bieńkowski. W trakcie marszu, w nocy z 19 na 20 I 1945 r., zamordowano Konstantego Grabowskiego „Płomyk”, urodzonego w 1902 r. w Kosmowie, żołnierza BCh i działacza SL. W KL Soldau osadzono go w grudniu 1944 r.

Pod Ostródą zatrzymano kolumnę, zaś komendant KL Soldau przemówił do aresztowanych po polsku: *Jesteście głodni i bardzo zmęczeni. Do następnej wioski daleko i trudno będzie wam dotrzeć. Poza tym zbliża się wieczór. Zaczekajcie tu. Ja wrócę do tej wioski, którą minęliśmy i znajdę dla was kwaterę. Dostaniecie jeść, bo mamy dla was żywność. Prześpić się i odpocząć, a rano przyjdą wojskowe samochody i wówczas grupami po 10 lub 20 pojedziecie za Olsztyn wyrzucać śnieg z okopów.*

Tadeusz Lucjan Zabrzeński, któremu udało się uciec, zeznawał przed Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Olsztynie co następuje: *Więźniów trzymano w pobliżu miejscowego tartaku na silnym mrozie i w dość obfitym śniegu. Następnie popędzono nas na skraj wioski. Żandarmi kazali leśniczemu z Przejm, który był naszym tłumaczem, powiedzieć, że przyjadą po nas samochody i zabiorą wszystkich do*



Rok 1945, odkrycie grobów w Starych Jabłonkach. Źródło: <http://www.romannowicki.pl> (dostęp 22 I 2019 r.).

Olsztyna, gdyż droga jest ciężka i wysoki mróz utrudnia marsz. Kazano mi także powiedzieć, że tam będziemy traktowani dobrze, że otrzymamy wyżywienie i będziemy pracować przy usuwaniu śniegu w mieście. Następnie wszystkich wpędzono do stodoły. Nieduży budynek połączony był z chlewem.

Jak czytamy u A. Drwęckiego: „Następnie komendant obozu pojechał do wsi, a kolumnę więźniów zawrócono do tyłu. Po przejściu około 300 m. zatrzymano wszystkich i część rozlokowano w stodole zabudowania stojącego samotnie nieopodal lasu. Chorych i rannych umieszczono w murowanym chlewie. Zabudowanie to należało do wsi Stara Jabłonka. Wkrótce po rozlokowaniu więźniów dano im do syta chleba z masłem, a do picia parzoną słodką miętę. Po najedzeniu się wszyscy byli zadowoleni i z nadzieją myśleli o zbliżającym się szybko wyzwoleniu. Położyli się spać. Był to dzień 19 stycznia (wieczór) 1945 r.”. Stodolę patrolowało 4 wachmanów. Esesmani i żandarmi bardzo się niecierpliwicki i do późna w nocy rozmawiali.

Zabrzeński wspominał, że pierzeje stodoły otworzyły się ok. 2 w nocy z 21 na 22 I 1945 r. Nie był w stanie dokładnie określić godziny, bowiem zegarek miał schowany. Zaczęto wywoływać na zewnątrz po 20 osób do samochodu, który przyjechał. Ja spałem na klepisku, więc wyszedłem jako pierwszy. Razem ze mną byli m.in. – jak pamiętam – Łoś, leśniczy z Przejm, jego szwagier, Kosmulski, lekarz Skwroński, Czesław ze Starosiółca, technik meliorant z Niesułowa, Stanisław Kosmulski z Przasnysza i inni. Była widna, księżycowa noc, więc widziałem dokładnie wszystko na dziedzińcu przed stodołą. Było tam dużo gestapowców i żandarmów, którzy dość nerwowo nawoływali do ustawienia się w dwuszeregu, ale twarzą do siebie. Do każdego z więźniów podszedł esesman i zaczął nam wiązać drutem ręce. Mimo, że stał samochód, to nas do niego nie poprowadzono, a odwrotnie popędzono nas w kierunku pobliskiego lasu. Po lewej stronie drogi wpędzono nas na leśny dukt i po przejściu około 50 metrów nakazano nam wszystkim położyć się na śniegu, ale twarzą do ziemi. Tak leżąc widziałem, że tuż przy drodze stoją ludzie

ubrani w cywilne ubrania, którzy kopią duży dół. Ja w czasie, gdy dochodziliśmy do lasu, rozsypałem założony mi drut, który krępował moje ręce. Wtedy, gdy kazano nam się położyć, to ja jedną rękę trzymałem do tyłu, a jedną miałem pod brzuchem. Tak szykowałem się do ucieczki. Jednak dookoła nas stali z bronią gotową do strzału gestapowcy. Jeden z nich podszedł do pierwszej dwójki, w której był Łoś i Kosmulski. Gestapowiec ten przystawił lufę automatu do głowy.

Egzekucja zaczęła się od Romana Kosmulskiego z Uścianka, który otrzymał strzał w potylicę. Natomiast Antoni Łoś, niecelnie trafiony, odwrócił się na bok i zaczął śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła” oraz „Boże, coś Polskę”. Pozostali przerwali modlitwę, a niektórzy, zaprzestawszy przeklinać oprawców, podjęli hymn, co musiało wprawić Niemców w osłupienie. Wówczas kierowca samochodu podbiegł do krwawiącego Antoniego Łośa i dobił go strzałem z pistoletu, co stało się sygnałem do masowego mordu. Eskorta niemiecka rzuciła się na pozostałych.

Zabrzeński wspominał, że kiedy gestapowiec zbliżył się do piątej dwójki, poderwał się ze swojego miejsca w szóstej parze. Opowiadał po latach: *gwałtownie skoczyłem w las. Niemcy zaczęli strzelać salwami w moim kierunku i rozpoczęła się pogoń. Po pewnym czasie wybiegłem na otwarte pole, gdy byłem już w odległości 150–200 metrów od lasu, to jeden z oddawanych przez gestapowców strzałów trafił mnie w rękę i rozszarpał mi kciuk. Dostałem także drobny postrzał w nogę prawą, ale w okolicy uda, dlatego mogłem nadal uciekać. W kolejnych transportach Niemcy zabezpieczyli się i wiązali drutem nie tylko ręce, ale i nogi więźniów.*

Stanisław Keczmerski też uciekł. Po wyjściu ze stodoły rozkręcił druty i czekał na odpowiedni moment. Kiedy Niemcy strzelali do Antoniego Łośa, a inni śpiewali, Keczmerski chwilowo stracił przytomność. Ocknął się, kiedy poczuł kopnięcie w nogę – gestapowiec kazał mu przesunąć się bliżej dołu. Mężczyzna poprosił o pomoc i podniesienie go z powodu unieruchomionych rąk. Kiedy spadła mu z głowy czapka, poprosił o jej podniesienie,

twierdząc, że chce umrzeć w nakryciu głowy. Kiedy Niemiec z uśmiechem schylił się do czapkę, Keczmerski silnym kopnięciem w brzuch powalił go na ziemię i zaczął uciekać. Żaden z pocisków wystrzelonych w jego stronę nie trafił.

Gdy Niemcy rozstrzelali piąty transport 20 więźniów, pozostali w stodole usłyszeli strzały. Pojawiło się podejrzenie mordu na współtowarzyszach. Mieczysław Kaliszewski z Przasnysza zaproponował stawienie oporu okupantowi, ale pomysł zarzucono. Więźniowie byli bowiem przekonani, że Niemcy nie odważą się w ostatniej chwili przed wyzwoleniem rozstrzelać więźniów, którzy są niedaleko frontu oraz pod opieką Aliantów i Czerwonego Krzyża. Stąd Mieczysław Kaliszewski postanowił się ratować. Wszedł po drabinie na siano w zasieku i głęboko się w nim zagrzebał.

Józef Romanowski z Żelaznej Prywatnej, któremu wraz z T.L. Zabrzeskim udało się uciec z miejsca tragedii, tak opisywał straszną noc: *samochód po 15–20 minutach powrócił po następną partię więźniów. Przed powrotem samochodu usłyszałem strzały z karabinów. Ogarnęło mnie złe przecucie, domyśliłem się, że więźniowie są rozstrzelani. I tak samochód wracał kilkakrotnie po więźniów (może sześć razy). Po każdym jego powrocie słychać było strzały wykonywane seriami, ale i pojedynczo. To mnie skłoniło do zakopania się dość głęboko w sianie, w stodole.* Romanowski schował się za komin wędzarni w murowanej przybudówce. Również dwaj siedemnastolat-kowie, Apolinary Kasprowicz i Stefan Rzepczyński, schowali się w sianie.

Wachmani weszli do stodoły i wołali nas by wyjść, ale nikt się nie odważył na odpowiedź, więc po chwili wyszli – opowiadał Romanowski. Gdy Niemcy zorientowali się, że nie zgadza im się liczba więźniów, wchodząc do stodoły, nakazali jej opuszczenie grożąc spalaniem budynku. Schowani młodzieńcy nie wytrzymali nerwowo i zeszli po drabinie. Pomimo dalszych nawoływań gestapowców do opuszczenia stodoły, Romanowski i Kaliszewski czekali w kryjówkach. Od strony lasu usłyszeli echo karabinu maszynowego i odgłosy z frontu.

Romanowski wyszedł z kryjówki następnego dnia ok. 9:00. Po pożegnaniu z Kaliszewskim rozeszli się każdy w swoją stronę. Romanowski ruszył na wschód. Po jakimś czasie dotarł do miejscowości Łukta, gdzie spotkał się z żołnierzami sowieckimi i dołączył tam do grupy wracających Polaków. Dzięki temu po 10 dniach był w rodzinnym domu. Długo w snach prześladowały go obrazy z Działdowa i Starych Jabłonek.

Zabrzęski po 2 dniach tułaczki trafił do Olszyna, już wyzwolonego przez Armię Czerwoną. W czasie ucieczki został dwukrotnie ranny: niemiecka kula odstrzeliła mu kciuk i palec wskazujący prawej ręki, a inna przetrzebiła udo. Pośpiesznie się opatrzywszy, uciekał dalej. Nad ranem na skraju lasu zobaczył zabudowania, w których nie znalazł nikogo, ale mógł się posilić. Zajął się też opatrzeniem swoich ran: znalazł alkohol do odkażenia rany oraz prześcieradło, z którego zrobił czysty opatrunek. Tego dnia przyszli żołnierze rosyjscy. Zabrzęski postanowił zabrać nieco żywności i uciekać dalej. Nie miał bowiem dokumentów, a czerwonoarmiści legitymowali go i sądzili, że



Rok 1945, odkrycie grobów w Starych Jabłonkach. Roman Nowicki z matką nad grobem ojca Jana Nowickiego, obok stryj Włodzimierz Nowicki. Źródło: <http://www.romannowicki.pl> (dostęp 22 I 2019 r.).

jest zbiegiem niemieckim. Stąd dołączył do grupy dezertów, których pognano do Mławy. Tam wszyscy trafili do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, gdzie byli przesłuchiwanymi. Nie wierzone jego opowieści o zbrodni w Starych Jabłonkach. Skierowano go do pracy w kuchni jako pomocnik. Został zwolniony 12 II 1945 r. i skierowany do rodzinnego Krasnosielca. Wrócił po dwóch dniach.

Nieco wcześniej do Przasnysza powrócili Mieczysław Kaliszewski oraz Stanisław Keczmerski. Ludzie zaczęli opowiadać o mordzie pod Starymi Jabłonkami.

Na koniec warto wyjaśnić kwestię miejsca mordu, bowiem podawane jest ono czasem jako Stare Jabłonki, a czasem jako Zawady Małe. Więźniów przetrzymywano na terenie nadleśnictwa Stare Jabłonki. Zaś miejsce mordu znajduje się w kompleksie leśnym Zawady Małe. Dzisiaj teren ten to obszar wsi Zawady Małe.

„Marsz Śmierci” zakończył się mordem 118 osób (109 Polaków, w tym 7 kobiet oraz 7 obywateli radzieckich – w tym 1 kobieta). Nie znamy nazwisk 42 Polaków, niepewne są nazwiska Rosjan. Na cmentarzu pochowani są zapewne obywatele radzieccy z listy więźniów gestapo (o ile są one prawdziwe). Byli to: Gurian Podżywało, Iwan Garło, Iwan Widorow, Nadzieжда Mirnowa, Luba Busiel, Mikołaj Boczkow, Iwan Syzganow, Iwan Miakij, Mikołaj Chataszukow, Paweł Domczenko, Iwan Nikitycz.

Masowy grób ofiar hitlerowskiego mordu otwarto w lipcu 1945 r. Rozpoznano ofiary i pochowano z czcią w trumnach w obecności wielu mieszkańców.

Na cmentarzu w Starych Jabłonkach pochowano następujące ofiary (za A. Drwęckim): **Stanisław Bakula** – ur. 1895 r., rolnik z Jednorozca, żołnierz AK, osierocił żonę i 5 dzieci.

Marian Ciak – ur. 13 VIII 1909 r. w Dąrdzewie, syn Stanisława i Marianny, rolnik

z Dąrdzewa Nowego, żołnierz AK ps. „Lew”, osierocił żonę i syna.

Romuald Czaplicki – ur. 7 II 1883 r., rolnik ze wsi Zalesie Golanki, nie należał do żadnej organizacji. Aresztowany w listopadzie 1944 r., osierocił żonę i pięcioro dzieci.

Stanisław Chulewicz – ur. 10 V 1899 r. w Ulatowie-Adamach, syn Antoniego, kowal z Ulatowa-Czerniaków. Żołnierz BCh „Maszy-na”, aresztowany 11 XI 1944 r., osierocił żonę i troje dzieci.

Walenty Dawid – ur. 16 VI 1896 r. w Dąrdzewie, syn Jana i Marianny, rolnik z Dąrdzewa Nowego, żołnierz AK, osierocił żonę i 5 dzieci.

Albin Fabisiak – ur. 15 XII 1906 r., rolnik z Krasnosielca, aresztowany jesienią 1944 r., osierocił żonę i dzieci.

Bronisław Kaczorek – rolnik z Krasnosielca. Resztowany w listopadzie 1944 r., osierocił żonę i czworo dzieci.

Czesław Kaczorek – rolnik z Krasnosielca. Aresztowany w listopadzie 1944 r., osierocił żonę i dziecko.

Hieronim Kuciński – lat 40, rolnik z Olszewki, osierocił żonę i 5 dzieci.

Bronisław Kuta – ur. 8 IV 1907 r. w Raszujce, syn Stanisława i Marianny, rolnik ze wsi Obórki w gm. Jednorozec, żołnierz AK ps. „Krzak”, osierocił żonę i 3 córki w wieku 2–13 lat.

Alfons Lomperta – ur. 28 VIII 1928 r. w Jednorozcu, syn gajowego Jana i Konstancji, kawaler, żołnierz AK.

Edward Lomperta – ur. 21 I 1924 r., brat Alfonsa, kawaler, żołnierz AK.

Kazimierz Prusik – lat 19, rolnik z Żelaznej. **Józef Rutkowski** – ur. 19 XI 1903 r. w Olszewce, syn Mikołaja, rolnik z Olszewki, żołnierz AK ps. „Śnieg”, dowódca drużyny Olszewka w plutonie Parciaki, żonaty i bezdzietny.

Stanisław Rafal – ur. 13 XII 1898 r., rolnik z Pościenia, żonaty. Aresztowany w listopadzie 1944 r., osierocił żonę i czworo dzieci.

Stanisław Róziecki (Ruziecki) – z Krasnosielca, nie należał do organizacji, aresztowany w listopadzie 1944 r., osierocił żonę i czworo dzieci.

Józef Rutkowski – ur. 10 XI 1903 r. w Olszewce, syn Mikołaja, rolnik, żonaty i bezdzietny. Żołnierz AK, aresztowany w listopadzie 1944 r.

Kazimierz Skowroński – ur. 3 IV 1908 r., lekarz weterynarii z Krasnosielca, Żołnierz AK, aresztowany w listopadzie 1944 r., osierocił żonę i dziecko.

Wincenty Srokosz – kawaler z Niesułowa. Aresztowany w listopadzie 1944 r.

Jan Tarasin – ur. 27 XII 1895 r., profesor z Krakowa. Aresztowany w listopadzie 1944 r. w Zarębach.

Grzegorz Tchórz – ur. 10 XI 1904 r. w Pościeniu, wdowiec. Aresztowany w listopadzie 1944 r.

W 1950 r., zgodnie z wytycznymi władz centralnych, przeprowadzono ekshumację, a ciała przeniesiono na cmentarz ofiar terroru hitlerowskiego przy Alei Wojska Polskiego w Olsztynie. Złożono tam szczątki 470 zamordowanych przez nazistów, w tym ok. 60 osób ze Starych Jabłonek.

Po ekshumacji nie wszystkie rodziny zabrały ciała swoich najbliższych, co było spowodowane m.in. tym, że kobiety jako wdowy nie mogły zostawić swoich małych dzieci bez opieki przez kilka dni, wystąpiły trudności z transportem ciał, pojawiła się epidemia tyfusu, na którą masowo chorowano. Co więcej, niektórzy przy ekshumacji nie mogli rozpoznać członków rodziny, bowiem w więzieniu zmienili oni ubrania, inne ciała były w częściowym rozkładzie, a twarze zmasakrowane pociskami. Części zamordowanych na rozpoznał komitet ekshumacyjny, bowiem pochodzili z innych regionów. Wśród nich byli obywatele radzieccy.

Zwłoki niektórych zamordowanych sprowa-

dzono na cmentarze w rodzinnych stronach.

Poniżej za A. Drwęckim podaję noty biograficzne pomordowanych wraz z miejscem ich pochówku.

Cmentarz parafialny w Przasnyszu

Jan Andrzejewski – ur. 1911 r. w Przasnyszu, syn Józefa i Zofii, rolnik, żonaty, bezdzietny, żołnierz AK, aresztowany 26 XII 1944 r. Pochowany w zbiorowej mogile.

Apolonia z Długokęckich Chmielińska – ur. 8 II 1902 r. w Przasnyszu, córka Jana i Józefy, właścicielka sklepu w Zarębach, zamężna, członkini AK „Wakoina”. Aresztowana 4 IX 1944 r. przez gestapo, po dniu więzienia w Chorzeliach przewieziona do Przasnysza, a następnie Działdowa. Osierociła dwoje dzieci. Pochowana w zbiorowej mogile.

Czesław Chmieliński – ur. 7 IV 1897 r. w Smoleniu-Dańbogach w gm. Chojnowo w pow. przasnyskim, sklepikarz w Zarębach, żonaty, żołnierz AK „Chrusła”. Aresztowany 4 IX 1944 r. przez gestapo, po dniu więzienia w Chorzeliach przewieziony do Przasnysza, a następnie Działdowa. Osierocił dwoje dzieci. Pochowany w zbiorowej mogile.

Roman Chyliński – ur. 7 II 1897 r. w Przasnyszu, syn Tomasza i Konstancji, masarz, członek PPS, żonaty, aresztowany 17 XI 1944 r. przez gestapo, osierocił żonę i troje dzieci. Pochowany w zbiorowej mogile.

Władysław Fidura – ur. 5 V 1921 r. w Zdziwoju Starym, syn Marcina i Wiktorii, kawaler. Do organizacji nie należał, pracownik mleczarni w Przasnyszu. Aresztowany w listopadzie 1944 r. Pochowany w zbiorowej mogile.

Stanisław Górski – ur. 15 V 1909 r. w Przasnyszu, syn Józefa i Walerii, ogrodnik, syn komendanta ośrodka AK w Przasnyszu ps. „Marek”, „Torf”, aresztowany 17 XI 1944 r. przez gestapo, osierocił żonę i troje dzieci. Pochowany w zbiorowej mogile.

Józef Grotkowski – ur. 31 V 1892 r. syn Szczepana i Józefy, rolnik, żonaty, żołnierz AK, aresztowany 26 XII 1944 r., osierocił żonę i troje dzieci. Pochowany w zbiorowej mogile.

Józef Jesioneł – ur. 17 XI 1888 r. w Surkowie koło Radomia, syn Jana i Anny, żonaty, żołnierz AK, aresztowany przez gestapo 26 XII 1944 r., osierocił żonę i dzieci. Pochowany w zbiorowej mogile.

Mieczysław Kaliszewski – ur. 14 IX 1894 r. w Lesznie, syn Franciszka i Salomei. Pracownik umysłowy Urzędu Miejskiego w Przasnyszu, żonaty. Aresztowany 26 XII 1944 r., uniknął egzekucji. Zmarł śmiercią naturalną 14 XI 1949 r. Pochowany na lewo od zbiorowego grobu.

Tadeusz Kamecki – ur. 15 V 1922 r. w Warszawie, syn Karola i Amelii, kawaler. Żołnierz AK/NOW/NSZ „Gucio”. W 1939 r. ukończył Liceum Ogólnokształcące w Przasnyszu. W okresie okupacji magazynier w zakładach zbożowych w klasztorze OO. Pasjonistów w Przasnyszu. Aresztowany 26 XII 1944 r. Pochowany w zbiorowej mogile.

Zenon Kamiński – ur. 5 XII 1906 r. w Przasnyszu, syn Aleksandra i Anny, rolnik. Do organizacji nie należał. Aresztowany 26 XII 1944 r. przez gestapo. Osierocił żonę i troje małych dzieci. Pochowany w zbiorowej mogile.

Apolinary Kasproicz – ur. 9 II 1927 r. w Przasnyszu, syn Kazimierza i Antoniny, fryzjer, kawaler. Żołnierz AK ps. „Amorek”, aresztowany 17 XI 1944 r. przez gestapo. Pochowany w zbiorowej mogile.

Piotr Kiliański – ur. 26 IX 1905 r. w Osówcu, syn Józefa i Katarzyny, robotnik. Żołnierz BCh, aresztowany 17 XI 1944 r. przez gestapo, osierocił żonę i dwoje dzieci. Pochowany w zbiorowej mogile.

Tadeusz Konecki – ur. 5 III 1910 r. w Przasnyszu, syn Józefa i Amelii, blacharz, kawaler. Żołnierz AK, aresztowany 26 XII 1944 r. przez gestapo. Pochowany w zbiorowej mogile.

Roman Kosmulski – ur. 4 XI 1911 r., leśniczy z Uścianka, mieszkaniak Obórek w gm. Jednorzec, żołnierz AK ps. „Wilc”, osierocił żonę i 2 dzieci. Pochowany w zbiorowej mogile.

Henryk Łada – ur. 10 V 1919 r. w Bartnikach, syn Aleksandra, rolnik, kawaler. Aresztowany przez gestapo w listopadzie 1944 r. Pochowany



Mogily zbiorowe na cmentarzu parafialnym w Przasnyszu, m.in. ze szczątkami zamordowanych w Starych Jabłonkach oraz więźniów obozu KL Soldau. Fot. M.W. Kmoch, 2 XI 2018 r.



Po lewej: jeden z dwóch ekshumowanych więźniów zabitych w Żabikowie z nogami skutymi łańcuchem. Po prawej: ekshumacja w maju 1945 r. w Żabikowie. Źródło: J. Nawroć, R. Welnik, „*Jadę na śmierć. Polaku, odeślij to do rodziny*”. 70. rocznica likwidacji obozu karno-śledczego w Żabikowie, Żabikowo 2015. Tytuł książki zaczerpnięto z grypsu A. Fabisiaka z Krasnosielca.

w zbiorowej mogile.

Antoni Łoś – ur. 13 VI 1911 r., syn Romana i Emilii, leśniczy z Przejm, żołnierz oddziału AK „Łowcy” ps. „Tur”, osierocił żonę i córkę. Pochowany w zbiorowej mogile.

Józef Paweł Majkowski – ur. 26 I 1913 r. w Chodkowie-Załogach, syn Władysława i Antoniny, ślusarz. Żołnierz AK, aresztowany 26 XII 1944 r. przez gestapo, osierocił żonę i troje dzieci. Pochowany w zbiorowej mogile.

Jan Nowicki – ur. 12 IX 1909 r. w Ciechanowie, syn Andrzeja i Rozalii, pracownik umysłowy. Żołnierz AK ps. „Rudy”, pracował w firmie wojskowej na poligonie we Mchowie, aresztowany 26 XII 1944 r. przez gestapo. Osierocił żonę i dwoje dzieci. Pochowany w zbiorowej mogile.

Antoni Orzechowski, ur. 11 XI 1885 r. w Mirowie, kolejarz, członek PPS. Żołnierz AK, aresztowany 17 XI 1944 r. Osierocił żonę i pięciu synów. Pochowany w zbiorowej mogile.

Wawrzyniec Tadeusz Pszczółkowski – ur. 8 X 1916 r. w Przasnyszu, syn Józefa i Franciszki, rolnik. Żołnierz AK ps. „Sztacheta”, „Szpak”, aresztowany w listopadzie 1944 r. przez gestapo, osierocił żonę i syna. Pochowany w zbiorowej mogile.

Stanisław Rudnicki – ur. 1922 r., syn Jana i Antoniny, krawiec, kawaler. Żołnierz AK ps. „Motylek”, aresztowany 17 XI 1944 r. przez gestapo. Pochowany w zbiorowej mogile.

Józef Rykowski – ur. 6 II 1908 r. w Łysakowie, syn Jana i Elżbiety, rolnik. Żołnierz AK ps. „Lis”, aresztowany 26 XII 1944 r. przez gestapo, osierocił żonę i czworo małych dzieci. Pochowany w zbiorowej mogile.

Stefan Rzepczyński – ur. 14 V 1928 r. w Janowie, syn Władysława i Zofii, mieszkaniec Przasnysza, uczeń. Aresztowany 14 XI 1944 r. Pochowany w zbiorowej mogile.

Kazimierz Sadowski – ur. 7 IV 1925 r. w Przasnyszu, syn Stanisława i Heleny, robotnik kolejowy, kawaler, członek PPS. Żołnierz AK, aresztowany 26 XII 1944 r. przez gestapo. Pochowany w zbiorowej mogile.

Roman Stefaniak – ur. 4 XII 1916 r. w Przasnyszu, syn Stanisława i Walentyny, ślusarz, kawaler. Żołnierz AK „Gacek”, aresztowany 26 XII 1944 r. przez gestapo. Pochowany w zbiorowej mogile.

Ryszard Skoneczny – ur. 6 VII 1922 r. w Bartoldach, syn Wacława i Bronisławy, ślusarz, kawaler. Łącznik BCh „Błysk” „Agrest”, aresztowany 17 XI 1944 r. przez gestapo. Pochowany w zbiorowej mogile.

Leon Woźniak – ur. 21 II 1912 r. w Pawłowie Kościelnym, syn Józefa i Franciszki, mleczarz, pracownik mleczarni w Przasnyszu. Żołnierz AK, aresztowany 26 XII 1944 r. przez gestapo, osierocił żonę i córkę. Pochowany w zbiorowej mogile.

Jan Wyszyński – ur. 4 I 1912 r. w Przasnyszu, s. Marcelego i Antoniny, robotnik - pracownik Zarządu Drogowego, żonaty. Członek PPS, żołnierz AK ps. „Karp”. Aresztowany 27 XII 1944 r. przez gestapo. Osierocił żonę i dwięciomiesięcznego syna. Pochowany w zbiorowej mogile.

Józef Żbikowski – ur. 27 III 1902 r., syn Józefa i Cecylii, sklepikarz z Małowidza, kierownika ośrodka AK na gm. Jednorożec, ps. „Ryś”, osierocił żonę i 2 dzieci. Pochowany w zbiorowej mogile.

Roman Żbikowski – ur. 20 XII 1901 r. w Przasnyszu, syn Walentego i Heleny, stolarz, żonaty, bezdzietny, członek PPS. Żołnierz AK, aresztowany 17 XI 1944 r. przez gestapo. Pochowany w zbiorowej mogile.

Cmentarz w Bogatem

Ignacy Chelchowski – ur. 30 I 1895 r. w Bogatem, syn Franciszka i Walerii, rolnik. Żołnierz AK „Oracz”, aresztowany 26 XII 1944 r. przez żandarmów, osierocił żonę i troje dzieci.

Kazimierz Gadomski – ur. 1 XI 1911 r. w Bogatem, syn Wiktora i Marianny, rolnik, kawaler. Żołnierz BCh „Wrzos”, aresztowany 17 XI 1944 r.

Ignacy Ossowski, ur. 1 II 1911 r. w Wielodrożu, technik rolnik. Żołnierz BCh „Mur”, aresztowany 17 XI 1944 r., osierocił żonę i dwie córki.

Cmentarz w Ciechanowie

Irena z Chmielewskich-Jankowska – lat 24 z Pultuska, mieszkanka Ciechanowa, mężatka, bezdzietna. Członek ruchu oporu, aresztowana w listopadzie 1944 r.

Jerzy Jankowski – lat 30, z Ciechanowa, żonaty i bezdzietny. Członek ruchu oporu, aresztowany w listopadzie 1944 r.

Jan Nowotko – lat 64, syn Mateusza i Franciszki, malarz pokojowy z Bogatego, żonaty. Aresztowany w listopadzie 1944 r. Przebywał w więzieniu w Ciechanowie i Działdowie, osierocił żonę i sześćro dzieci.

Alina Romanowska – lat 24, z Ciechanowa, panna. Aresztowana w listopadzie 1944 r.

Mieczysław Szlichta – lat 28, żonaty, bezdzietny, mieszkaniec Ciechanowa. Aresztowany w listopadzie 1944 r.

Jan Bolesław Szmyt – lat 23, mieszkaniec Pęcina, pow. ciechanowski, kawaler. Aresztowany w październiku 1944 r.

Andrzej Trynks – lat 15, mieszkaniec Ciechanowa. Aresztowany w listopadzie 1944 r.

Cmentarz w Krasnem

Leon Grochowski – ur. 20 II 1907 r. w Krasnem, syn Wincentego i Marii, ślusarz. Żołnierz AK, aresztowany 17 XI 1944 r. przez gestapo. Osierocił żonę i syna.

Kazimierz Małowidzki – ur. w 1908 r. w Szczukach, syn Antoniego i Marianny, rolnik. Żonaty, bezdzietny. Żołnierz AK, aresztowany 17 XI 1944 r. przez gestapo.

Czesław Panuszewski – ur. 17 XII 1909 r. w Szczukach, syn Antoniego i Antoniny, rolnik. Żołnierz BCh. Aresztowany 17 XI 1944 r. przez żandarmów z Krasnego. Osierocił żonę i dwie córki.

Cmentarz w Olszewce

Bronisław Majewski – ur. 10 II 1922 r. w Olszewce, syn Walentego i Katarzyny, rolnik, kawaler.

Cmentarz w Parciakach

Władysław Gacloch – ur. 12 IV 1925 r. w Dynaku, kawaler, nie należał do żadnej organizacji, uciekł z okopów i został aresztowany przez żandarmów z Baranowa.

Cmentarz w Ploniawach

Michał Filip Wojciech Grodzicki – ur. 21 IV 1913 r., w Krakowie, syn Wojciecha i Michaliny, inżynier leśnik, żonaty, żołnierz AK, pracował jako nadleśniczy w Sławkach – Suche. Aresztowany 13 X 1944 r. przez żandarma Brosta z Krasnosielca, przebywał 24 godziny w więzieniu w Krasnosielcu, potem 2 tygodnie w więzieniu gestapo w Przasnyszu, następnie w Działdowie. Osierocił żonę i córkę. Ciało sprowadzono na cmentarz w kwietniu 1946 r.

Po ekshumacji cmentarz w Starych Jabłonkach stał się miejscem pamięci. Znajduje się na terenie wsi Zawady Małe, zaś przy głównej drodze postawiono pomnik i obelisk. Obelisk postawiła młodzież Studium Nauczycielskiego z Ostródy w latach siedemdziesiątych XX w. Miejscowym cmentarzem opiekuje się Hufiec ZHP z Ostródy i drużyny z Kątna i szkół gmin Ostróda.

Jako ilustrację do tematu prezentuję zdjęcia, których nie znajdziemy w publikacji A. Drwęckiego na temat zbrodni w Starych Jabłonkach ani w niedawno wydanej publikacji B.Z. Perzyńskiego o KL Soldau (chyba że zostały pozyskane przez Autora z moich opracowań).

Warto też wspomnieć, że grupa więźniów obozu w Działdowie została w dniu 22 I 1945 r., a więc nazajutrz po zbrodni w Strych Jabłonkach, przewiezieni do Żabikowa (obecnie dzielnica miasta Luboń pod Poznaniem). Do 19 stycznia funkcjonowało tam Więzienie Policji Bezpieczeństwa i Wychowawczy Obóz Pracy, zlikwidowany w związku ze zbliżaniem się Armii Czerwonej.

Jak pisał T. Suski, „Potraktowano więźniów jako uciążliwy transport dla cofających się wojsk niemieckich. Obóz w Żabikowie był już ewakuowany, więc ekipa gestapowców w ostatniej chwili podjęła się sama dokonania tej zbrodni”. Dodatkowo nieznany oddział SS przywiózł na cmentarz katolicki w Żabikowie grupę 33 więźniów z obozu w Działdowie. Byli wśród nich mieszkańcy gm. Krasnosielc. Transportowano ich koleją przez Toruń, Inowrocław, Gniezno do Poznania. Na dworcu głównym w Poznaniu zostali odłączeni od transportu i przewiezieni na teren obozu zabikowskiego, ale z powodu jego likwidacji zaprowadzono ich na cmentarz. Tam zostali rozstrzelani:

Mieczysław Bartkiewicz – ur. 8 II 1911 r., rolnik, żonaty, z Krasnosielca.

Paweł Buda – brak danych.

Władysław Chrzanowski – ur. 1898 r., żonaty rolnik z Pienic.

Albin Fabisiak – ur. 15 XII 1906 r., z Krasnosielca.

Bolesław Fęski – ur. 17 IV 1919 r., maturzysta, kawaler, mieszkaniec Krasnosielca.



Ekshumacja w maju 1945 r. w Żabikowie. Źródło: J. Nawrocik, R. Welniak, „Jadę na śmierć. Polaku, odeślij to do rodziny”. 70. rocznica likwidacji obozu karno-śledczego w Żabikowie, Żabikowo 2015.

Mieczysław Grabowski – ur. 9 VII 1902 r., żonaty mieszkaniec Pienic.

Hubert Gołębica – ur. 11 XI 1925 r., mieszkaniec Krasnosielca.

Bronisław Kaczorek – ur. 14 V 1912 r., z Krasnosielca.

Hieronim Kaczyński – ur. 22 XII 1906 r., szwec zawodu, kawaler, sierżant wojska polskiego Krasnosielca.

Piotr Krajewski – ur. 26 XI 1891 r., pisarz gminny, żonaty mieszkaniec Krasnosielca².

Józef Lenda – ur. 17 I 1903 r., zegarmistrz, żonaty, mieszkaniec wsi Raki.

Dominik Pawłowski – ur. 1 VII 1915 r., mieszkaniec Sielca, rolnik.

Jan Skrobecki – ur. 3 VI 1904 r., żonaty rolnik z Raków, żołnierz AK.

Teodozja Tańska – ur. 12 VI 1924 r., mieszkanka Krasnosielca, dozorca drogowy.

Stanisław Wąsowicz – ur. 3 III 1890 r., mieszkaniec Krasnosielca.

Stanisław Zakrzewski – ur. w 1907 r., wachmistrz wojskowy z Krasnosielca, kawaler.

Przy zwłokach B. Fęskiego znaleziono notes z następującą notką: 22 I 1945 Wywieźli nas Krasnosielan na zabicie z aresztu gestapo. Bolesław Fęski Krasnosielc, pow. Maków. Wszystkich pozdrawiam, Bolesław Fęski. Z relacji U. Haczkiwicz, córki A. Fabisiaka, wynika, że jej ojcu udało się wcześniej, podczas transportu, wyrzucić z pociągu notes z adresem rodziny i zapisem w środku: *Polaku jadę na śmierć. Odeślij to do rodziny*. Notes ten znalazł ktoś z pracowników kolei i oddał do Instytutu Medycyny Sądowej.

Okoliczności i datę mordu potwierdziły notatki znalezione przy zwłokach tego ostatniego. Na podstawie dowodów, zapisów czy przedmiotów osobistego użytku oraz dokonanej z pomocą rodzin zamordowanych identyfikacji tożsamość zamordowanych ustaliła Komisja Obywatelska złożona m.in. z przedstawiciela Polskiego Czerwonego Krzyża, pierwszych powojennych władz lokalnych, duchowieństwa oraz prasy. Do wspomnianych 33 osób oddano 39 strzałów z niewielkiej odległości, przeważ-

nie w tył głowy. Jak czytamy w opracowaniu dotyczącym m.in. tego obozu, „W czterech przypadkach nie znaleziono obrażeń śmiertelnych i ponad wszelką wątpliwość przyczyną śmierci było uduszenie pod naciśnięciem innych ciał lub utopienie na dnie grobu, gdzie znajdowała się woda podskórna (...). Oprócz ran postrzałowych stwierdzono rany tłuczone czaszki lub twarzy, co przemawiało za tym, że podczas egzekucji używano również kolb pistoletowych lub kopano skazanych butami”.

W dniach 28–29 V 1945 r. Komisja Sądowo-Lekarska dokonała na cmentarzu w Żabikowie ekshumacji. W jej wyniku odsłonięto masowy grób z 33 ciałami osób zamordowanych. Komisji udało się ustalić 17 nazwisk ofiar z Krasnosielca i oko-

lic. Ciała pomordowanych, odsłonięte podczas ekshumacji, zostały pochowane na cmentarzu w Żabikowie.

Pomimo wysiłków polskich władz sądowych i prokuratorskich oraz Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Poznaniu, nie udało się doprowadzić do procesu sprawców zbrodni w Żabikowie.

Maria Weronika Knoch

Bibliografia:

Źródła:

Furman H., *Krótką historią przeżyć Furmana Henryka z lat II wojny światowej (1939 i 1945 r.)*, [w:] S. Wilga, *Wspomnienia*, „Krasnosielcki Zeszyt Historyczny”, 9 (2018), 36, s. 73–76; Kruk T., *Wspomnienia wojenne Franciszka Dawida i Franciszka Stachelskiego*, „Krasnosielcki Zeszyt Historyczny”, 5 (2014), s. 2–5; Relacja H. Furmana z Jednorożca, [w:] A. Drwęcki, *Ruch oporu w gminie Jednorożec 1939-1945*, Jednorożec 2011, s. 43.

Opracowania:

71 lat temu hitlerowcy zamordowali 117 Polaków i Rosjan: <https://bit.ly/2RKSpcv> (dostęp 20 I 2019 r.);

Drwęcki A., *Ruch oporu w gminie Jednorożec*, Jednorożec 2011;

Tenże, *Zbrodnie w Starych Jabłonkach pod Ostródą*, Przasnysz 1994;

Tenże, R. Juszkiewicz, *Ostatnie zbrodnie*, „Notatki Płockie”, 19 (1974), 1 (75), s. 15–19;

Perzyński B.Z., *KL Soldau. Tablica pamięci*, Działdowo 2018;

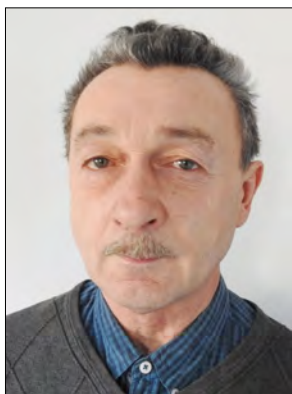
Łukaszewski W., *Ucieczka z grobu własnego grobu*: <https://bit.ly/2R7LPY6> (dostęp 15 I 2014 r.);

Nawrocik J., Welniak R., *71. rocznica likwidacji i ewakuacji więźniów obozu karno-śledczego w Żabikowie*: <https://bit.ly/2WcUBb1> (dostęp 22 I 2019 r.);

Rusinek A., *Portret wsi Raki*: <https://to.com.pl/portret-wsi-raki/ar/6277356> (dostęp 22 I 2019 r.);

Suski T., *Historia Krasnosielca (zarys)*, „Krasnosielcki Zeszyt Historyczny”, 3 (2012), 12, s. 2–16.

Pamięć jest zawodna, ale powinniśmy pamiętać...



Zbigniew SZCZEPAŃSKI

Mój ojciec Franciszek Szczepański urodził się w Drążdzewie w 1909 r. Chcę przekazać kilka zapamiętanych przeze mnie jego wspomnień z okresu II wojny światowej.

Ojciec wspominał, że w tym okresie kilka razy wywinął się śmierci. Tata był jak na owe czasy wykształcony, bo przed wojną skończył 7 klas. Pierwszy raz uniknął śmierci zaraz po wejściu Niemców do Drążdzewa, chyba we wrześniu 1939 r. Opowiadał, że poszedł w piątek do kościoła w Drążdzewie. Gdy ludzie wychodzili z nabożeństwa, to przed kościołem stali żołnierze niemieccy, zatrzymując niektórych wiernych. Jego też zatrzymali, dlatego że, jak sądził, miał na nogach wysokie buty oficerki, którymi się szczylił, jako młody chłopak, kawaler wtedy.

Jak mówił mój tata: *Na nabożeństwie tym była również Gienia Szewczakowa (później Michalak) – nasza sąsiadka. Jej nie zatrzymali. Przyleciała do domu do mojej matki Natalii Szczepańskiej, wtedy już wdowy (jej mąż Józef zginął w czasie I wojny światowej, gdzieś na Mazurach, bo ostatni list przyszedł z okolic Augustowa, początek wojny, chyba sierpień 1914 roku) i powiedziała, że syna aresztowali. Po zatrzymaniu podszedł do mnie oficer niemiecki i mówi do mnie „kom hia” i dodaje łamaną polszczyzną „choć ze mną”. Wyprowadził mnie gościńcem za cmentarz, gdzie droga idzie w łąki na Siedliska i łamaną polszczyzną dalej, że jest Austriakiem i żebym uciekał stąd, i żeby mnie tu w Drążdzewie nie było. Powiedział też, którzy mam nie przechodzić, bo są rozstawione patrole wojskowe i karabiny maszynowe. Dwa razy strzelił w powietrze z pistoletu. Dwa tygodnie siedziałem u siostry na Papiernym Borku.*

Kolejne wydarzenie, które pamiętam z opowieści, to aresztowanie taty w grudniu 1944 r. przez Niemców. Słychać było cały czas armaty znad Różana i Narwi, gdzie od późnego lata stał front. Podobno gdzieś w okolicy był rzut broni, a komórka AK ojca miała wcześniej iść na pomoc powstańcom w Warszawie, ale nikt z niej nie poszedł. Ojca aresztowali 23 lub 24 XII 1944 r., tuż przed świętami. Aresztowali zresztą całą tutejszą komórkę AK: 11 chłopów z Drążdzewa i okolic, tj. oprócz mojego ojca m.in.:

1. Antoniego Kuśmierczyka,
2. Antoniego Dawida,
3. Wacława Ślebzaka,
4. Wacława nazwiska nie pamiętam,
5. Józefa Dawida,
6. Franciszka Dawida (ur. w 1917 r.),
7. Zuzelskiego z Przytuł,
8. Grzelachowskiego z Grądów,
9. i jeszcze jakichś 2, których nazwisk nie pamiętam.



Przyszli po ojca żandarmi z Krasnosielca i ci z Drążdzewa też byli. Dali zabrać to, co najpotrzebniejsze. Ojciec w kufajce miał zaszyte przez matkę 1 kg cukru w kostkach.

W Przasnyszu zamknęli ich w celach i całą

grupę porozrzucali po różnych pomieszczeniach. Przesłuchania były. Jego konkretnie na przesłuchaniach nie bili, ale takiego jednego z Krasnosielca to skatowali. Żle ich karmili. Potem załadowali ich na samochody i wywieźli. Nie wiedzieli, dokąd jadą.

Zawieźli ich do Działdowa do baraków i tu już wszyscy z Drążdzewa i okolic byli razem. W tym Działdowie zrobili z chleba i sznurka różaniec i dwa razy dziennie go odmawiali. Tego chleba, który im dawali, było bardzo mało. W Działdowie byli ok. 3 tygodnie. Z Działdowa ruszyli dalej na północ. Nie wiedzieli, dokąd ich pędzą. Na noc zamknęli ich w jakiejś stodole i dali im normalnie jeść chleb i margarynę – jak nigdy wcześniej, bo wcześniej dawali bardzo mało.

Z stodół wyszli rano i czwórkami gdzieś ich prowadzono. W pewnym momencie słyszeli lecące samoloty. Eskortujący wachmani kazali im się rozproszyć po rowach. Ojciec z grupą kolegów poczęli uciekać w pole. Niemcy zaczęli strzelać, ale ani oni, ani ich psy ich nie goniły, bo samolot ostrzeliwał okolicę. Ojciec, uciekając, zwichnął sobie stopę. Koledzy wzięli go pod pachy i ciągnęli jakiś czas, do jakiegoś opuszczonego gospodarstwa.

Niebawem okazało się, że w ziemiance znajdują się jego mieszkańcy mówiący w gwarze mazurskiej. Postanowili tu ojca pod opieką miejscowych zostawić. Po jakimś czasie przyjechał na podwórkę wojskowy samochód cięż-



zarowy Armii Czerwonej. Kierowca pytał gospodarzy, czy rozumieją po rosyjsku, ale oni nie rozumieli. Ojciec jednak rozumiał. Kierowca spytał, czy wie, gdzie jest Grabowo. Ojciec powiedział, że tak i że może go zaprowadzić. Wsiedli i pojechali.

Dość szybko dojechali do Grabowa koło Amelina. Okazało się jednak, że ten magazyn wojskowy jest w Grabowie przy Sątrzasce w powiecie przasnyskim. Tak, więc ojciec dojechał samochodem do samego domu zanim ktokolwiek z pozostałych uciekinierów zdołał wrócić do domu. Tak mu się udało, miał szczęście.

Wrócił do domu 17 I 1945 r. ze zwiniętą nogą. Położył się spać. Następnego dnia przyszli do domu do babci ludzie z NKWD i zgarnęli ojca do Krasnosielca. Zamknęli w budynku, który stał obok siedziby Urzędu Bezpieczeństwa w Krasnosielcu (teraz już go nie ma), obecnie to ośrodek zdrowia. Rzucili wiązkę słomy i tyle. Był też tam Sielski – dziadek Grzegorza Bąkowski z Drażdżewa. On to kilka lat był na Syberii.

Ojciec obudził się rano, a tu nikogo nie ma. Puścili go do domu. Potem ukrywał się znowu w Papiernym Borku u siostry i dość długo w Krasiniaku [zwyczajowa, miejscowa nazwa kompleksu leśnego, którego właścicielami byli Krasnyscy. Znajduje się pomiędzy Krasnosielcem i Klinem – przyp. red.]. Wtedy był kawalerem.

Wiem, że jak byłem mały, to ojciec z kolegami w rocznicę tej ucieczki robili spotkania – zawsze w kogoś innego. Pamiętam, jak raz się spotkali u Grzelachowskich w Grądach. W rozmowach ze sobą podejrzywali, że wydał ich jakiś mieszkaniec z Pienic, co pił wódkę z pewnym folksdojczem w Krasnosielcu.

W Drażdżewie pod koniec wojny nie było dużo wojska niemieckiego, ale było częściowo zaminowane. W grobli, po której biegnie droga na Baranowo, Niemcy zakopali 8 dużych min. Siedem z nich żołnierze radzieccy wyciągnęli jeszcze w 1945 r., jedna została. Te miny to były beczki z materiałem wybuchowym, duże ładunki 1 metr na 0,8 metra. Ładunki te zakładał saper wermachtu, Ślązak o imieniu Joan. Opowiadali, że zakochał się w Zduniakównie – (imienia nie pamiętam) siostrze Pawła Zduniaka (dom przy obecnych Pochodach, Skrobekich i Królach). On był saperem i te miny zakładał, a detonator był pod Karolewem. Miny połączone były przewodami z detonatorem. Ten Ślązak powiedział, że jak on będzie wysadzał, to wysadzi na pewno, ale jak ktoś inny, to mu się nie uda, bo zrobił 2 dojsčia, główne i dodatkowe.

Mieszkańcom Drażdżewa Niemcy kazali się wynosić i moja mama Wanda z domu Wilińska (jej ojciec był wtedy na Prusach na robotach), ze swoją rodziną i bodajże z Sochackimi (mieszkali tam, gdzie teraz Karaszewski) zdążyli dojechać pod [Ulatowo – przyp. red.] Pogorzel i zawrócili, bo tam już byli ruscy.

Z tych wszystkich z drażdżewskiej komórki AK, którzy wtedy za Działdowem uciekli, to ojciec ostatni zmarł – w 1998 r. Zuzelski z Przytuł zmarł w 1995 lub 1996 r. Miał zaniki pamięci. Utopił się w Orzycu. Jeszcze ojciec na tym pogrzebie Zuzelskiego był. Na pogrzebie Dawida też był. Ja też byłem na wszystkich pogrzebach.



Po wojnie, jak ojciec przestał się ukrywać, to został w 1946 r. kierownikiem młyna w Krasnosielcu, bo młyn ten został upaństwowiony. Został jednak z tej pracy wyrzucony za to, że na święta dał Michalakowej z Drażdżewa Małego, sąsiadce swojej, 20 kg mąki. Michalakowa była w bardzo trudnej sytuacji, bo jej mąż zginął od wybuchu miny pułapki zaraz po wojnie, zostawiając żonę z dwójką synów: Włodkiem i Jankiem.

Straszne jest to, jak Niemcy traktowali ludzi w czasie wojny. To, co pamiętam, usłyszałem z opowieści ojca i Franciszka Dawida, który często do nas przychodził wieczorami na długie rozmowy i wspomnienia. Dziś okazuje się, że tych wspomnień nie jest wiele. Może ojciec chciał coś przekazać, ale ja byłem za mały, żeby zapamiętać; może nie wszystko powiedział, bo nie mógł. Później, gdy byłem starszy, to miałem własne sprawy, a gdy spoważniałem, to u ojca z pamięcią nie było już najlepiej.

*Zbigniew Szczepański
dokumentacja fotograficzna
ze zbiorów rodzinnych autora*

*spisał w trakcie rozmów przeprowadzonych
8 XII 2018 r., 21 I i 22 I 2019 r.*

Ślawomir Rutkowski

Fot. na stronach 141-141 Krasnosielckiego Zeszytu Historycznego Nr 37.

Wykaz fotografii:

1. Franciszek Szczepański, ur. w 1909 r., zmarł w 1998 r. Fot. ok. 1957 r.
2. Od lewej: Kazimiera Ptak, późniejsza żona Stanisława Wilińskiego, Stanisław Wiliński, Wanda Wilińska ur. w 1924 r. w Drażdżewie, późniejsza żona Franciszka Szczepańskiego, mężczyzna po prawej nieznan. Fot. prawdopodobnie po 1945 r.
3. Franciszek Szczepański - drugi z prawej, przed bramą kościoła w Drażdżewie, podczas ślubu Zbigniewa Gosiewskiego z Haliną (mieszkańcy Gierówki na terenie Drażdżewa Małego). Osoby grające na instrumentach, od lewej: Tadeusz Kęszczuk – obecny organista parafii Drażdżewo gra na altówce lub tenorze, Stanisław Kuśmierczyk gra na trąbce, Tadeusz Kacprzyński gra na bębnie, mężczyzna grający na altówce lub tenorze – NN, za nim również nieznan. członek zespołu, Zygmunt Mydło gra na trąbce oraz Lucjan Walendziak gra na altówce lub tenorze. Fot. ok. 1957 r.

4. Franciszek Szczepański z żoną Wandą Szczepańską z domu Wilińską – stoją, siedzi siostra Franciszka Szczepańskiego – Marianna Rogala, trzymając na kolanach Basię, pierwsze dziecko Szczepańskich. Fot. 1948 r.

5. Stanisław Wiliński, ur. ok. 1922 r., brat Wandy Wilińskiej. Był kowalem w Drażdżewie, przejął warsztat po ojcu Bronisławie Wilińskim. Bronisław Wiliński przybył do Drażdżewa w czasie I wojny światowej, przywieziony na roboty przymusowe przez Niemców. Urodził się w m. Stanisławów k. Kutna, potem jego rodzina krótko mieszkała w Łodzi. Fot. prawdopodobnie po 1945 r.

6. Franciszek Szczepański podczas przemowy na uroczystości 50-lecia Ochotniczej Straży Pożarnej w Drażdżewie. Fot. 28 VIII 1977 r.¹

7. Od lewej: NN, Irena Sochacka, Wanda Wilińska, NN. Fot. podpisana datą 24 VIII 1942 r.

8. Franciszek Szczepański, zdjęcie szkolne, Publiczna Szkoła Powszechna w Drażdżewie – w drugim rzędzie od prawej drugi. Fot. pomiędzy 1920 a 1924 r.

9. Rodzina Szczepańskich, od prawej: Adam Szczepański trzyma na ręku synka Jana Szczepańskiego ur. ok. 1910 r., żona Adama Marianna trzyma na kolanach dziecko – imię nieznane, pośrodku siedzi Agnieszka Szczepańska z domu Makowska – matka Adama i Józefa. Po lewej stoi Józef Szczepański, obok niego siedzi jego żona Natalia, a pomiędzy nimi stoi synek Franciszek ur. w 1909 r. Fot. ok. 1911 r.

10. Chór kościelny w Drażdżewie. Franciszek Szczepański klęczy trzeci od prawej. Fot. ok. 1921 r.

11. Chór parafialny w Drażdżewie. Franciszek Szczepański stoi czwarty od lewej. Fot. ok. 1930 r.

12. Opis zdjęcia w albumie rodzinnym: „Stowarzyszenie. Wanda Wilińska czwarta od prawej 3 rząd od góry.” Fot. z końca okresu międzywojennego.

13. Franciszek Szczepański siedzi drugi z lewej, w środku siedzi jego żona Wanda, trzymając na rękach córeczkę Basię, 1948 r.

¹ Data ustalona na podstawie informacji zawartej w Krasnosielckim Zeszytu Historycznym Nr 12 s. 56 z X 2012 r. artykuł Tadeusza Kruka „Ochotnicza Straż Pożarna w Drażdżewie (od powstania do 1980 r.)”.





Stanisław Chodkowski (1900-1940) kolejny tragiczny życiorys wojennego pokolenia

Andrzej TEMERIUSZ

Trzecim dzieckiem Tomasza Chodkowskiego i Marianny był Stanisław, który urodził się we wsi Chodkowo-Zalogi 14 grudnia 1900 r. Akt urodzenia znajdował się w Aktach Stanu Cywilnego w parafii w Płoniawach i jak wszystkie dokumenty sporządzane w tym czasie został spisany w języku rosyjskim.

Stanisław ukończył 8 czerwca 1920 roku gimnazjum państwowe w Pułtuskim im. Piotra Skargi z ocenami:

Przedmiot	Ocena	Przedmiot	Ocena
Sprawowanie	5	Geografia	5
Nauka religii	5	Matematyka	5
Język polski	4	Fizyka	4
Język łaciński	5	Chemia	5
Język francuski	4	Przyroda	4
Język niemiecki	4	Kosmografia	4
Historia powszechna i Polski	4	Higiena	4

Później rozpoczął studia na Uniwersytecie Warszawskim. W dniu 7 października 1930 roku po zdaniu odpowiednich egzaminów ukończył wydział matematyczno-przyrodniczy Uniwersytetu Warszawskiego. Przedstawił pracę magisterską z wynikiem dostatecznym na temat: „Mnożnik Jacobiego”. i uzyskał od Rady Wydziału dyplom magistra filozofii Nr 100/30 w zakresie matematyki.

Przedmiot	Ocena
Rachunek różniczkowy i całkowy ze wstępem do analizy	3
Geometria analityczna	4
Zasady algebry wyższej wraz z elementami teorii liczb	4
Mechanika teoretyczna I	3
Fizyka doświadczalna	4
Główne zasady nauk filozoficznych ze szczególnym uwzględnieniem zasad logiki	4
Teoria funkcji analitycznych	3
Teoria równań różniczkowych	4
Astronomia ogólna	5

W 1921 roku brał udział w pierwszym powszechnym spisie ludności Rzeczypospolitej Polski. Pomagał w spisie w powiecie makowskim. Z tego tytułu otrzymał 5.VI.1922 r. odznakę pamiątkową „Za ofiarą pracę”. W tym samym roku ukończył praktykę nauczycielską w państwowym gimnazjum męskim w Pułtuskim i w gimnazjum państwowym żeńskim w Pabianicach. Egzamin zdał z oceną dobrą i uzyskał 11 czerwca 1931 roku dyplom nauczyciela szkół średnich zezwalający na na-



Stanisław Chodkowski

uczanie matematyki. Dyplom podpisał prof. dr Bogdan Nawrocyński a egzaminatorami byli prof. dr Stefan Baley i dr Marcin Kasprzak. W roku 1931 został mianowany przez kuratora Okręgu Szkolnego Łódzkiego (J. Gadowskiego) nauczycielem gimnazjum państwowego im. Królowej Jadwigi w Pabianicach. 9 października 1936 roku Stanisław Chodkowski otrzymał pismo z Kuratorium Okręgu Szkolnego Warszawskiego informujące, że od dnia 1 października 1936 roku Kuratorium przyznało uposażenie grupy VII, i dalej jest informacja: *Jednocześnie Kuratorium stwierdza, że przy niezmienionych warunkach będzie Panu przysługiwało uposażenie grupy VI od dnia 1-go października 1939 roku (!).* W roku 1938 otrzymał brązowy medal „Za Długoletnią Służbę”. Również w 1938 roku otrzymał „Srebrny Krzyż Zasługi” („Taksa za „Srebrny Krzyż Zasługi” wynosiła 12 zł, kwotę tę należało wpłacić w P.K.O.”).

W roku 1927 plutonowy podchorąży Chodkowski Stanisław ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy Wojsk Łączności. Nie był żonaty.

W czasie wojny został zmobilizowany. Wzięty do niewoli przez wojska sowieckie, które najechały Polskę 17 września 1939 r. został wywieziony na teren ZSRR. Stało się tak po uzgodnionej z III Rzeszą agresji ZSRR na Polskę. Część żołnierzy polskich po 17 września 1939 na terytorium Polski została w różnych okolicznościach rozbrojona i zatrzymana jako jeńcy wojenni przez Armię Czerwoną.

Następnie zostali przekazani NKWD, które umieściło ich w utworzonym systemie obozów NKWD specjalnie dla jeńców polskich. Przedtem oddzielono oficerów od jeńców szeregowych i podoficerów, ci zostali przekazani stronie niemieckiej, lub skierowani do pracy przymusowej w systemie GUŁAGu lub zwolnieni. Ktoś opowiadał, że Stanisław Chodkowski mógł zdjąć mundur i udawać cywila, co z pewnością uchroniłoby go od wywózki do ZSRR. Nie pozwolił mu na to honor oficera polskiego. Praktycznie wszystkich polskich oficerów przetrzymywanych w ZSRR – ok. 15 tysięcy, NKWD umieściło w trzech obozach specjalnych: kozielskim, który mieścił się w zabudowaniach dawnej prawosławnej Pustelni Optyńskiej, starobielskim i ostaszkowskim gdzie przetrzymywani byli oficerowie policji, Straży Granicznej i KOP; znajdującym się w dawnej Pustelni Niłowo-Stołobieńskiej. Wujek Staś znalazł się w Kozielsku. Stamtąd pisał kartki do swojej rodziny. Wysłał kartki do Chodkowskich do Załóg, do Gadomskich do Grzybek i także moi rodzice otrzymali kartkę od wujka Stasia z Kozielska.

O ile wiem tylko kartka do moich rodziców zachowała się, mimo, że byliśmy zmuszeni w czasie okupacji do zmiany mieszkania z ul. Hołówki na Czerniakowie w Warszawie na mieszkanie na ul. Krasińskiego na Żoliborzu. W czasie Powstania Warszawskiego mieszkanie na ul. Krasińskiego zostało zburzone i spalone a my tualiśmy się po Polsce z ręcznym bagażem. Mimo tego kartka od wujka Stasia Chodkowskiego zachowała się.

Kozielsk I. 1940.

Kochani Jadziu i Janku

Pisałem do Załóg 28 – XI- r. ub., ale dotychczas nie mam odpowiedzi i żadnej odpowiedzi i żadnej wiadomości o naszej rodzinie. Niepokoję się, czy wszyscy są w całości i jak żyją. Napiszcie mi, co u was i w naszej rodzinie. Nawet bolesne wiadomości wolalbym teraz przeżyć, niż po powrocie, na który oczekuję a który nie zależy ode mnie i nie wiadomo kiedy nastąpi. Dr Karol jest tu również. Już miał od żony wiadomość. Wiadomości ze świata dostarcza nam czerwony głośnik radiowy i trochę listy przysyłane z kraju. Ciekawy jestem, co u pp. Pszczółkowskich w Zakrzewie Małym p-ta Grudusk, pow. Ciechanów. Czy gimnazja czynne? Odpiszcie i najszybciej przyslijcie. Przysyłam ucałowania dla Was i dla dzieci.

Staś.

U p. Ptaszka Jana, zostawiłem 8 września nowe buty. Zabierzcie. W tym samym bloku m. 101.

Niedługo po tym wujek Staś został zamordowany w Katyniu. Znalazłem następującą informację w Internecie na portalu Katedry Polowej Wojska Polskiego w Warszawie, pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski: Ppor. Stanisław Chodkowski, ur. 1900-12-14, miejsce urodzenia: Chodkowo-Zalogi w Ostrołęckiem, mgr matematyki, CWŁącz., zm. 1940, Katyń. Jest i inny wpis: Karol Chodkowski, ur. 1899-09-25, miejsce urodzenia: Pomaski Wielkie koło Makowa Mazowieckiego (6 km na południe od Makowa Mazowieckiego), lekarz, 1 szp. okr., zamordowany w 1940, w Katyniu.

Dr Karol wspomniany w liście Stanisława Chodkowskiego to Karol Chodkowski. Karol był wnukiem Bronisława Chodkowskiego z Pomask. Matka Stanisława Chodkowskiego Marianna (babci z Załóg) miała m.in. siostrę Janinę, która wyszła za mąż za Bronisława Chodkowskiego. Czyli Karol Chodkowski wspomniany w liście wujka Stasia był bratem męża siostry Marianny – babci z Załóg. Przedstawiając te zawiłe koligacje chcę pokazać, że często rodziny o tym samym nazwisku w tym wypadku Chodkowscy praktycznie nie byli ze sobą spokrewnieni a jeżeli były jakieś powiązania rodzinne to bardzo dawne i nikt o nich już nie pamiętał.



Stanisław Chodkowski

Ks. Stanisław Gadomski, siostrzeniec Stanisława, w swojej Księdze Pamiątkowej tak pisze o wujku Stasiu:

„Wujek Staś, brat mamy, (Janiny) profesor w gimnazjum żeńskim w Pabianicach przejeżdżał tylko kilka razy w roku, był lubiany przez wszystkich. Umiął zainteresować i nauczyć. Kiedy znalazł w zeszycie błąd ortograficzny zaraz uczył odpowiedniego wierszyka. Np. częstym moim błędem było „mnieć” „miejszy” wtedy mówił „miej w pamięci abyś pisał mniejszy”, albo „pamiętaj, rób najpierw to, co koniecznie potrzeba, co konieczne, co potrzeba, co pożyteczne a wreszcie, co przyjemne”. Wujek Staś był jeszcze kawalerem i oficerem rezerwy. W roku 1939 przed wybuchem wojny został powołany do wojska. Na kilka miesięcy wieść o nim zaginęła. W listopadzie-grudniu 1939 r. otrzymaliśmy od niego list pisany ołówkiem chemicznym z rosyjskim stemplem pocztowym z Koziełska. Dopiero po dalszych kilku miesiącach w gazecie „Nowe czasy” wydawanej przez (niemieckiego) okupanta dla re-



Stanisław Chodkowski (po prawej) z kolegą

gionu ciechanowskiego (Zichenauer Zeitung) podana była lista ofiar z Katynia, w której figurowało również nazwisko porucznika Stanisława Chodkowskiego. Była to pierwsza ofiara wojny w naszej rodzinie. To, że zostaliśmy w 1940 r. wysiedleni, że cały nasz majątek mieścił się w kilku workach nie było tak bolesne jak ta śmierć”.

Ksiądz Stanisław Gadomski w drugiej części swojej Księgi Pamiątkowej pisze: „12 IX 1990. Podczas Mszy Św. koncelebrowanej z ks. dziekanem – rodakiem z mojej rodzinnej wioski - Grzybki, aktualnym proboszczem w Przasnyszu, ks. Tadeuszem Niestępskim, bratem jednego z zasłużonych członków naszego zgrupowania Izidora Niestępskiego powitałem zebranych w kościele w Płoniawach. We Mszy Św. uczestniczyli członkowie – koledzy naszej podziemnej organizacji. Było to nasze pierwsze po 50 latach spotkanie. W swoim kazaniu zwróciłem uwagę, że dziś poświęcamy krzyż i tablicę tych, co oddali życie za wolność Ojczyzny(...).Przeżyliśmy na cmentarzu przy poświęceniu krzyża – pomnika uroczystą, wzruszającą chwilę z udziałem orkiestry wojskowej z Przasnysza. Krzyż poświęcił ks. Niestępski. Apel poległych wygłosił ks. wikary z Płoniaw. Po kazaniu ks. Niestępskiego zabrali głos przedstawiciele i uczestnicy walk w czasie okupacji, członkowie i dowódcy AK i NSZ p. Borodziński i kpt. Cz. Czaplicki. Pod krzyżem złożono urnę z ziemią katyńską, którą oświadczyłem przywiezłem z Kozich Gór w dniu 29 VIII 1990 r.”

Następnie odbył się apel poległych, na którym odczytano nazwiska 16 osób wymienionych na tablicy wśród nich nazwisko por. Stanisława Chodkowskiego.

Na cmentarzu grzebalnym w Płoniawach został ufundowany w 1995 roku przez Urząd

Gminy Płoniawy-Bramura pomnik. Na pomniku jest napis:

Pamięci Pomordowanych przez Urząd Bezpieczeństwa w latach 1945-1952

1. Izydor Niestępski 25 1.
2. Szczepan Zabielski 27 1.
3. Roman Drzemaszkiewicz 26 1.
4. Henryk Pszczółkowski 23 1.
5. Halina Załęska 25 1.
6. Włodzimierz Chodkowski 22 1.
7. Ireneusz Rybaczyk 26 1.
8. Stanisław Olszewski 25 1.
9. Stefan Tomaszewski 20 1.
10. Aleksander Krakowski 22 1.
11. Stanisław Lewandowski 21 1.
12. Czesław Rudziński 23 1.
13. Henryk Milewski 26 1.

Pomordowanych w ZSRR 1940-1945:

1. Stanisław Chodkowski - Katyń;
2. Bronisław Godlewski - Ostaszów;
3. Bronisław Załęski – Łagier.

Oryginały zdjęć, dyplomów i oryginalny list z Koziełska zostały przekazane przez Barbarę z domu Temeriusz (moją siostrę), członkinię Rodzin Katyńskich, jako darowizna do Mu-

Kochani Jadziu, Janku
Pisałem do Załóg 28 XI-rut, ale
dotychczas nie mam odpowiedzi i
żadnej wiadomości o naszej rodzinie.
Niepokoję się, czy przysyła się z całoci i jak
życie. Napiszcie mi, co u was i w naszej
rodzinie. Nawet bolesne wiadomości rólat-
bym teraz przeżyć, niż po powrocie, na któ-
ry oczekuję, a który nie zależy ode mnie
i nie wiadomo kiedy nastąpi. Dr. Karol
jest tu również. Już miał od zony wiado-
mość. Wiadomości ze świata dostarcza
nam czerwony głosnik radiowy i trochę
listy przysyłane z kraju.
Ciekawy jestem, co u pp. Pszczółkowskich
o Zakrewnie matym p. ta Gruduska, pow. Ciecha-
now. Czy gimnazjo czynne? Opiszcie
i najszybciej przesyłajcie.
Przysłałem ustatowania dla Was i dla
dzieci. Staś.
U p. Basia Jana, zostawiłem 8 września
nowe buty. Dobrze się. W tym samym roku
m. 1/101

Kartka od wujka Stasia do moich rodziców z Koziełska

zeum Katyńskiego w dniu 11 października 2000 roku (pokwitowanie daru Nr. 225). Również z inicjatywy Barbary, umieszczono na zewnętrznej ścianie kościoła p.w. Karola Boro-meusza na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie tablicę upamiętniającą zamordowanego w Katyniu por. Stanisława Chodkowskiego.

Andrzej Temeriusz

Od autora: jest to część obszerniejszego opracowania na temat rodziny Chodkowskich z Załóg w powiecie makowskim.



O historii z pasją

fot. na s. 143-147

Michał Filip ŚWIDWA
mfswidwa@gmail.com

Imperializm defensywny. Krótka charakterystyka sposobu prowadzenia wojny oraz transformacji republikańskich legionów rzymskich

Wprowadzenie

Michał Filip Świdwa to z całą pewnością pasjonat historii. Urodzony w Ciechanowie, ponad 20 lat mieszkał w rodzinnym Pułtusk. Od 12 lat żyje i pracuje poza granicami kraju. Obecnie mieszka w Wielkiej Brytanii.

Związany z historią już od wczesnych lat 90-tych. Brał udział, jako uczestnik, w imprezach rekonstruktorskich okresu średniowiecza, organizowanych m.in. na zamku Chojnik, w Gniewie, Bolkowie i Brodnicy. Prawdziwe jednak zainteresowanie historią rozwinęło się dopiero w całej pełni na emigracji. Niezmiernie ważnym impulsem - jak sam mówi, było otrzymanie oryginalnych materiałów związanych z historią Pułtusk, a w szczególności osobistej relacji dowódcy baterii biorącego udział w obronie miasta w 1939 roku.

Chęć zgłębienia tamtych wydarzeń przyczyniła się do rozpoczęcia studiów w rodzinnym mieście i badań nad wydarzeniami II wojny światowej oraz historii miasta Pułtusk i regionu.

Dziś studiuje zaocznie historię na Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusk, specjalizując się w historii wojskowości.

Prezentowane teksty obejmują znaczny obszar dziejów Europy, choć zainteresowania autora sięgają i poza jej granice. W niżej prezentowanych artykułach opisuje ważne wydarzenia i zjawiska, mające znaczący wpływ na przebieg dziejów.

Ważnym atutem autora, oprócz oczywiście zrozumiałego dla przeciętnego Czytelnika języka, jest korzystanie obficie z anglojęzycznej bibliografii, do której polscy autorzy niezbyt często się odwołują. Ciekawie czyta się szeroko podparte cytatami oraz własnoręcznie wykonanymi fotografiami, opowiadanie o przeszłości, w którym zgrabnie i z wyczuciem wokół głównej osi tematu opłata się wiedza i stosowane emocje autora.

Zachęcam do lektury tych, i mam nadzieję przyszłych tekstów Autora, a może... i nie tylko niego?

Sławomir Rutkowski
Redaktor Wydania

Imperium Rzymskie było jednym z największych osiągnięć ludzkości zamieszkującej obszary europejskie. W szczytowym okresie potęgi, w I oraz II w. n.e., obejmowało swoim zasięgiem tereny otaczające Morze Śródziemne, sięgając Muru Hadriana w północnej Anglii, rozciągając się aż do pustynnych obszarów Syrii na wschodzie oraz północnych obszarów Afryki z żyzną doliną Nilu. Rozwój i dobrobyt Imperium nie byłby możliwy bez dobrze zorganizowanej armii oraz częstych kampanii wojennych, które dostarczały bogactw oraz znaczącej liczby niewolników, na pracy których opierała się cała gospodarka¹. Rzymianie na drodze podbojów przyłączali nowo opanowane terytoria, tworząc prowincje bądź uzależniając podbite ludy, które zapewniały dodatkowe korzyści ekonomiczne.

Politykę rzymską można zaklasyfikować jako imperializm defensywny, który usprawiedliwiał działania wojskowe jako zapobiegawcze. Podejmując decyzje militarne, często poddawane dyskusji, uważano, iż Rzym i jego interesy mogą być w niebezpieczeństwie, nawet jeśli owe niebezpieczeństwa były nierealne. Dzięki defensywnemu wytłumaczeniu agresji, wypowiedzenie wojny było usprawiedliwione i często spotykało się z poparciem senatu, arystokracji oraz ludu². Imperializm defensywny prowadzony jako *pro fide* lub *pro salute* zmierzał do podbicia terytoriów pozarzymskich oraz sojusznicych, opanowania Półwyspu Apenińskiego oraz dalszej ekspansji na terenach dzisiejszej Europy³.

Prowadzenie wojny wiązało się nie tylko z działaniami wojennymi, ale również z dopełnieniem rytuałów jej wypowiedzenia lub zakończenia, bez którego, według Rzymian, wojna nie mogła być uznana za cywilizowaną. Procedury dyplomatyczne Rzymian, w tym wypowiedzanie bądź zakończenie wojny, wiązały się z *ius fetiale* (prawem fectalnym). Nazwa wywodzi się od kolegium kapłańskiego dwudziestu fectalów, których przedstawiciel udawał się do granic terytorium wroga domagając

się zadośćuczynienia za wyrządzone szkody w imię Jowisza. W ciągu trzydziestu trzech dni od ogłoszenia „żądań” oraz zreferowaniu sytuacji królowi bądź później senatowi, w obliczu decyzji o słuszności działań wojennych, powracał na granice wrogiego państwa w towarzystwie trzech świadków, po czym rzucał włócznią na wroga terytorium. Dopełnienie takiego rytuału, po którym fectal powracał cały i zdrowy do Rzymu, umożliwiało podjęcie działań wojennych⁴. Pojawił się tu również czynnik psychologiczny, który uświadamiał Rzymian o słuszności roszczeń usprawiedliwiających wojnę⁵, które często były żądaniami niepodlegającym negocjacji bądź po prostu szantażem⁶. Można poddać dyskusji prawo fectalne oraz charakter prowadzenia bądź wypowiedzania wojny przez Rzymian, jak również ich defensywny charakter, szczególnie w momencie wrogiej agresji, kiedy procedury i rytuały nie obowiązywały.

Imperium Rzymskie nie miało sobie równych pod względem organizacji armii, treningu oraz jej wyposażenia. Podstawową jednostką armii rzymskiej były Legiony, które dzięki doskonałemu zorganizowaniu, były w stanie nie tylko opanować znaczną część kontynentu, ale również utrzymać porządek na podbitych terenach. W roku 23 n.e. Imperium Romanum posiadało 25 legionów: osiem nad Renem, trzy w Hiszpanii, dwa w Afryce, dwa w Egipcie, cztery w Syrii, po dwa w Mezji, Panonii i Dalmacji.

We wczesnym okresie armia rzymska była zorganizowana według statusu społecznego, systemu ustanowionego przez króla Surviusa Tulliusa (578–535 p.n.e.)⁷, z rozbiciem na mniejsze jednostki nazywane *centuriami*, zawierającymi po 60 żołnierzy, które operowały na wzorce greckiej falangi. Legion zawierał: 1200 *hastati*, żołnierzy pierwszej linii, najmłodszych; 1200 *principes* – młodzi i zamożni z dobrym wyposażeniem; 600 *triarii* – najbardziej doświadczeni; oraz 1200 *velites* – naj-

⁴ A. Wolicki, *Rób co ci każe, albo wojna*, „Newsweek Historia”, 2015, 9, s. 76–77.

⁵ P. Southern *The Roman Army. A social and Institutional History*, Santa Barbara-Denver Oxford 2006, s. 171.

⁶ W. Harris, *War and Imperialism...*, s. 171.

⁷ M. Bunson, *The Encyclopedia of Roman Empire. Revised Edition*, New York 2002, s. 306.

biedniejsi; wspomagani przez 300 kawalerzystów, co dawało 4200 ludzi⁸.

We wczesnym IV w. p.n.e. Camillus zreformował legiony, wprowadzając *manipulus*, taktyczne jednostki połączonych dwóch centurii w liczbie 120 lub 160 ludzi. Camillus przyczynił się również do zwiększenia efektywności jednostek bojowych, wprowadzając dokładny rozkład dowództwa na centurionów kilku poziomów oraz oficerów – trybunów zajmujących wyższą pozycję w hierarchii dowodzenia⁹. Prowadzenie ciągłych działań militarnych doprowadziło do kolejnych zmian w organizacji legionów, które nie mogły być powoływane i rozwiązywane w krótkim czasie. Sprzeciw ciągłości służby wyrażały również wyższe klasy społeczne, które uważały ciągle wojny za przeszkodę we własnych dążeniach do bogactwa. Pojawiła się zatem konieczność utrzymania długoterminowych jednostek o wysokim morale i standardzie bojowym¹⁰.

Kolejne zmiany zostały dokonane przez konsula Mariusa (104–103 p.n.e.), który otworzył wszystkim klasom społecznym możliwość służby wojskowej. Dotąd należało posiadać udowodniony majątek i często własne wyposażenie oraz być obywatelem Rzymu bądź Italii. Prowadzenie ciągłych wojen przyczyniło się do nowego podejścia względem finansowania oraz pozyskiwania zasobów ludzkich, gdzie łupy wojenne umożliwiały uzbrajanie oraz trening niższych grup społecznych. Zmiany dotyczyły również podstawowych jednostek bojowych, które obejmowały 10 kohort, ok. 480 ludzi każda, które tworzyły legion. W kohortach podział na grupy wiekowe oraz wyposażenie nie był brany pod uwagę. Legionista przynależał do *contubernium*, grupy ośmiu żołnierzy, którzy dzielili razem swoją służbę, często też przyjaźniąc się, tworzyli więź i zapewniali sobie pomoc podczas walki¹¹. Podczas bitwy oddziały ustawiano w trzech liniach, cztery kohorty w pierwszej, po trzym w drugiej i trzeciej. Konfiguracja była ruchoma w zależności od możliwości dowódczych¹². Konsul Marius przyczynił się również do ulepszenia organizacji armii, pozbywając się niepotrzebnych niewolników transportujących broń, handlarzy i prostytutek, co doprowadziło do zwiększenia mobilności. Odpowiedzialność za wyposażenie oraz jego transport spadła na legionistów¹³. Reform nie ograniczała się tylko do organizacji bądź wykluczenia pasożytniczej, niebojowej części armii. Marius wprowadził również dodatkowe treningi wzorowane na modelu szkoły gladiatorskiej, wprowadził sztandary (*aquila*) do wszystkich legionów, wzmacniając tym samym lojalność oraz przynależność żołnierzy do jednostki¹⁴.

Legiony podczas walki polegały głównie na działaniach ciężkozbrojnej piechoty, jednak kawaleria również odgrywała znaczącą rolę. Była używana w celu rozpoznawczym, zabezpieczającym flanki. Jednostki kawalerii były niezależne i bardzo mobilne, pozwalały na

działania zaczepne oraz ochronę piechoty podczas przemarszów. W czasie bitwy kawaleria spełniała jednak marginalną rolę ze względu na wyposażenie konia i brak strzemion. Powodowało to trudności z opanowaniem wierzchowca podczas walki, co mogło również prowadzić do zsunienia się jeźdźcy ze zwierzęcia ze względu na brak podparcia dla stóp. Kawalerzysta był poza tym podatny na ataki piechurów zaopatrzonych we włócznie, którzy, przechodząc na bok, mogli powodować niewygodną i trudną do opanowania pozycję jeźdźcy. Konnica uzupełniała jednak ciężkozbrojną piechotę mobilnością i szybkością¹⁵.

Jednostki pomocnicze, *auxilia*, były rekrutowane spoza obywateli rzymskich. Stanowiły one oddziały specjalne bądź wyspecjalizowane, np. łuczników, wcielane do legionów z prowincji. Mogły to być też jednostki kawalerii lub jednostki kawalerii współdziałające z piechotą, tzw. jednostki mieszane. Źródła nie potwierdzają liczebności ani militarnej przydatności zagranicznych jednostek, ale uważa się, iż miały one marginalne znaczenie ze względów tożsamościowych – cudzoziemcy nie musieli bądź również nie chcieli ginąć za obce im państwo¹⁶. *Auxilia* nie były używane w prowincjach, z których pochodziły ze względu na możliwość odmówienia posłuszeństwa. Z biegiem czasu nie przestrzegano ściśle tej reguły, a w przypadku zmniejszenia liczebności rzymskich oddziałów wykorzystywano żołnierzy z prowincji, co prowadziło do zbarbaryzowania oraz zgermanizowania Imperium¹⁷.

Powstanie armii zawodowej, nieskładającej się tylko z tymczasowych ochotników lub wyższych klas społecznych, pozwoliło na zwiększenie jej efektywności poprzez ciągły trening i uczestniczenie w częstych działaniach wojennych. Czas służby w zawodowej armii tworzył również więź między żołnierzami a ich dowódcą, której często obawiano się w politycznych środowiskach rzymskich. Więż ta polegała na przyszłości zależnej od dowódcy, możliwym podziale łupów z prowadzonych wojen oraz benefitach po zakończeniu służby, przez co służący w armii imperialnej mogli być traktowani jako najemnicy oddani dowódcy, a nie Stanowi¹⁸.

Ostatecznej transformacji republikańskiej armii rzymskiej dokonał Juliusz Cezar poprzez wykorzystanie nowych technik wojennych oraz doskonałe dowództwo. Wśród swoich żołnierzy był uważany za wielkiego przywódcę, pod którego komendą wielu spędziło wspólnie lata, wykluczając się ze społeczeństwa, kreując nową elitę wojskową, prowadzoną przez doskonałego dowódcę¹⁹. Podboje prowadzone przez Cezara w Galii oraz wyprawa do Brytanii przyczyniły się do nabycia nowego doświadczenia w sposobie prowadzenia walki przeciwko barbarzyńcom. W bitwie pod Pharsalus przeciwko Pompejuszowi w r. 48 p.n.e. legiony Cezara wykorzystały technikę walki przeciwko kawalerii, wykorzystaną poprzednio do walki z Brytami, która polegała na podbiegnięciu do konia i wykonaniu zamachu oszczepem w kie-

runku twarzy jeźdźcy²⁰. Niecodzienny i nowatorski sposób walki wywołał panikę w szeregach wroga oraz złamanie woli walki.

Jednym z powodów wpływających na sukcesy rzymskich legionistów był ich przeszkolenie oraz ustawiczny trening prowadzony przez centurionów. Żołnierz musiał doskonale posługiwać się bronią, być w stanie dobrze biegać i pływać w pełnym rynsztunku, maszerować w szyku oraz być w ciągłej gotowości bojowej²¹.

Główną bronią każdego legionisty był *gladius* (patrz ryc. 1 i 2), obusieczny miecz do cięcia z ostrym zwięzonym ostrzem, umożliwiającym pchnięcia. Podczas treningu żołnierze wykorzystywali drewniany miecz bądź prawdziwą broń przeciwko manekinowi lub żywemu partnerowi – przeciwnikowi (sposób treningu gladiatorów, *armatura*)²². Bronią dodatkową był oszczep – *pilum*, który mógł posłużyć jako broń miotająca, zdolna przebić drewnianą tarczę.

Plaskorzeźby na kolumnach, ścianach czy walucie dobrze zachowały obraz ówczesnych legionistów²³. Zmiany w stylu uzbrojenia dyktowała moda, konieczność, warunki bojowe lub przeciwnik²⁴. *Lorica Segmentata* (patrz ryc. 6) była jedną z form ówczesnego ciężkiego pancerza w postaci pasów metalu wzmacnianego skórą. Uwidoczniona została na kolumnie Trajana oraz Marka Aureliusza w Rzymie. Wykorzystywane były też *lorica hamata* (kolczuga) oraz *lorica squamata* (pancerz łuskowy, patrz ryc. 3). Hełm – *galea* (patrz ryc. 4 i 5) wykonany był zwykle z brązu lub żelaza, z ochroną policzków oraz karku²⁵.

Tarcza legionisty, *scutum*, zmieniła kształt z biegiem wieków z owalnego na prostokątny z zaokrąglonymi krawędziami. Tarcze były własnością legionistów, którzy dekorowali je w różne motywy. Najbardziej znanym były pioruny Jowisza.

Podsumowując, imperium rzymskie, stosując szantaż oraz politykę zapobiegawczą, prowadziło ciągle działania militarne. Przyczyniło się to do podbojów ziem leżących na obszarze dzisiejszej Europy, Afryki oraz Azji Mniejszej. Imperializm defensywny istniał jedynie w wyobrażeniu Rzymian, którzy *de facto* byli agresorami. Wojna tłumaczona koniecznością obrony umożliwiała szeroką ekspansję oraz dostarczała niezbędnych surowców oraz niewolników, bez których Imperium nie mogłoby się rozwijać.

Michał Filip Świdwa

Grody i ośrodki osadnicze w Kronice Polskiej Galla Anonima

Gród jest określeniem stosowanym do opisu obiektu osiedlowego, charakterystycznego dla osadnictwa słowiańskiego. Najstarsze grody na Słowiańszczyźnie są datowane na VI VII

⁸ P. Erdkamp, *A Companion to the Roman Army*, Oxford 2007, s. 85.

⁹ M. Bunson, *The Encyclopedia...*, s. 306.

¹⁰ Tamże.

¹¹ P. Erdkamp, *A Companion...*, s. 86.

¹² M. Bunson, *The Encyclopedia...*, s. 306.

¹³ P. Erdkamp, *A Companion...*, s. 87.

¹⁴ Tamże, s. 87.

¹⁵ Tamże, s. 88.

¹⁶ Tamże.

¹⁷ M. Bunson, *The Encyclopedia...*, s. 310.

¹⁸ P. Erdkamp, *A Companion...*, s. 82.

¹⁹ Tamże, s. 85.

²⁰ S.W. Bauer, *The History of Ancient World*, London 2007, s. 692.

²¹ M. Bunson, *The Encyclopedia...*, s. 307.

²² Tamże.

²³ Tamże.

²⁴ Tamże.

²⁵ Tamże.

w. Grody pełniły głównie funkcje militarne, schronieniowe, społeczne oraz ekonomiczne; zakładano je zwykle w lokacjach trudniej dostępnych, na wzgórzach, w rozwidleniach rzek. W celach obronnych dodatkowo otaczano grody palisadą, fosą, wałem ziemnym bądź płotem²⁶. W otoczeniu grodu, poza palisadą, lokowano obiekty niemilitarne natury mieszkalnej i hodowlanej, które również występowały wewnątrz grodu. W przypadku zagrożenia mieszkańcy podgrodzia znajdowali schronienie za palisadą. Grody były głównie budowane przy użyciu drewna, ziemi i gliny. Według Ibrahima ibn Jakuba gród słowiański wznoszony był następująco: *Słowianie (...) udają się na łąki obfitujące w wodę i zarośla, po czym kreślą tam linię kołistą lub czworoboczną w miarę tego, jaki chcą mieć kształt grodu i obszar jego powierzchni, kopią dookoła [rów] i piętrzą wykopaną ziemię umocniwszy ją deskami i drewnem na podobieństwo szanów, aż taki mur [wał] osiągnie wymiar, jakiego pragną. I odmierzają w nim bramę, z której strony pragną [ją mieć], a chodzi się do niej po pomoście z drewna*²⁷.

Z biegiem czasu grody przybrały nową rolę administracyjną, włączano je w plemienną organizację terytorialną, obsadzano urzędnikami, drużynami wojów, którzy chronili najbliższe obszary oraz istniejące szlaki handlowe. Grody zaczęły również spełniać rolę centrum osadniczego w regionie²⁸. Powstawały również ośrodki wznoszone na polecenie panującego, które z biegiem czasu przekształcały się w grody kasztelańskie. Od IX w. w grodach pojawia się również zabudowa kamienna w postaci obiektów sakralnych, rozwijających się wraz z postępem asymilacji religii chrześcijańskiej. Ok. wieku XIII budownictwo grodów ustaje, a istniejące ośrodki przekształcają się w osiedla typu miejskiego.

Kronika Galla Anonima jest pierwszym tekstem opisującym wczesnośredniowieczną Słowiańszczyznę. W świetle informacji zawartych w tekście uznajemy, że autor był wyedukowanym klasycznie mnichem, osoba duchowną, pielgrzymem bądź wygnańcem, którego imię nie jest znane. Relacjonował, prawdopodobnie na zamówienie, chwalebne poczynania Bolesława III oraz jego przodków.

Ziemie słowiańską opisał jako kraj *bardzo lesisty, ale niemało obfituje w złoto i srebro, chleb i mięso, w ryby i miód, (...) choć otoczony przez tyle (...) ludów chrześcijańskich i pogańskich i wielokrotnie napadany przez wszystkie naraz i każdy z osobna, nigdy przecie nie został ujarzmiony w zupełności*.

W trzech księgach Gall Anonim opowiada o czynach przodków i pierwszych Piastach: Piasta, Siemowita, Siemomysła, Mieszka I, Bolesława Chrobrego, Mieszka II, Kazimierza Odnowiciela, Bolesława Szczodrego, Władysława Hermana i jego synów – Bolesława III Krzywoustego (zlecniodawcy kroniki) oraz jego bracie – Zbigniewie: *Jest zaś zamiarem naszym pisać o Polsce, a przede wszystkim*

o księciu Bolesławie i ze względu na niego opisać niektóre godne pamięci czyny jego przodków. Teraz więc w takim porządku zacznijmy nasz przedmiot, aby od korzenia posuwać się w górę ku gałęzi drzewa.

W konkretnie zatytułowanych podrozdziałach np. *O Księciu Popiele, O zakładaniu kościołów w Polsce i o cnotcie Bolesława* relacjonuje najważniejsze i chwalebne wydarzenia z życia wymienionych władców, wychwalając przy tym łaskę, jakiej każdy z nich dostąpił od chrześcijańskiego Boga, zaczynając od Piasta, który przyjął wędrowców w swoim domu, (...) *a [ich] przybycie przyniesie wam obfitość dobra wszelakiego, a z potomstwa zaszczyt i sławę*.

Gall opisuje wydarzenie w Gnieźnie, wymieniając je jako miasto: (...) *w mieście Gnieźnie, które po słowiańsku znaczy tyle co "gniazdo"* oraz *„dwaj goście (...) odpędzeni w krzywdzący sposób od wejścia do miasta*. Według współczesnej definicji, miasto jest dużym skupiskiem ludzkim, z zagęszczoną zabudową, zróżnicowaną strukturą społeczną, utrzymujących się z zajęć nierolniczych – handlu, rzemiosła, przemysłu oraz usług²⁹. W okresie wczesnego średniowiecza osiedla typu miejskiego, rzemieślniczo-handlowe, rozwijały się głównie przy grodach, czyli na podgrodziach, w otoczeniu militarnych obiektów obronnych. Pojawia się tu pytanie, czy Gniezno w czasie Piasta było już miastem, czy jeszcze grodem? Należy również wziąć pod uwagę, iż różnica czasu, jaki upłynął pomiędzy spisaniem wydarzeń przez Galla, a przeszłością, którą opisywał, mogła wpłynąć na rozwój i strukturę tej jednostki osadniczej, zmieniając jej status oraz funkcje.

Poprzez historię Piasta opisaną przez Galla Gniezno jest utożsamiane z początkami dynastii piastowskiej, jednak hipoteza wydaje się być podważalna ze względu na wyniki badań archeologicznych, które przesuwają stolicę piastowską na południowy-wschód Wielkopolski ze względu na znikome ślady przemocy lub zniszczeń o charakterze urbanistycznym, jak również liczne występujące tam inwestycje³⁰. Ośrodkami osadniczymi rozpatrywanymi według nowej hipotezy są Giecz (o którym Gall również wspomina) oraz Kalisz (który pomija).

W kronice Gniezno wymienione jest również jako siedziba metropolitalna (prowincja kościelna) w podrozdziale *O pierwszym Bolesławie zwanym Sławnym lub Chrobrym*, gdzie Bolesław umieścił ciało św. Wojciecha, zmarłego śmiercią męczeńską w Prusach, uprzednio wykupione złotem. Do grobu świętego przybywa również Otto Rudy w celu modlitwy, pojednania z Bolesławem i utworzenia sojuszu prowincji składających się z Galii, Germanii, Italii oraz Słowiańszczyzny. W rezultacie zjazdu gnieźnieńskiego wymieniono relikwie – Otto otrzymał ramię św. Wojciecha, Bolesław otrzymał gwóźdź z krzyża Pańskiego oraz *wszelką władzę jaką w zakresie godności kościelnych przysługiwała cesarstwu w królestwie polskim, czy też w innych podbitych już*

przez niego krajach barbarzyńców, oraz tych, które podbije.

Opisując wyprawę Bolesława Chrobrego na wschód, Gall wymienia nie tylko ośrodki osadnictwa polskiego, ale również wymienia Kijów, *matkę grodów ruskich*³¹, stolicę królestwa Rusinów, wschodnich Słowian. Kijów był miejscem osiedlania się ludzi różnych kultur z powodu wyjątkowych warunków naturalnych – osada założona została w obszarze płaskowyżu długiego na 15 km, szerokiego na 3–4 km, który był podzielony na kilka wzgórz, wysokich do 90 m, oddzielonych jarami z rzekami i strumieniami³².

W relacji kronikarza Rusini przedstawieni są jako lud prosty, którego król w chwili najazdu Bolesława *wówczas łowił z czołna ryby na wędkę, gdy mu (...) doniesiono o nadejściu króla Bolesława. Zrazu nie mógł w to uwierzyć (...) wpadł w przerażenie, (...) i nie tracąc słów więcej rzucił się do ucieczki*. Z opisu wynika, iż Bolesław ze swym wojskiem bez trudności pokonał Rusinów, *rozpędził ich przed sobą jak wichurę*, dotarł pod złotą bramę miasta, po czym ugodził ją swym mieczem jako sam został ugodzony zniewagą odmowy oddania mu za żonę siostry króla Jarosława. Relacja Galla budzi wątpliwości nie na temat męstwa i chwały Bolesława, ale przedstawienia samych Rusinów. Ruś Kijowska była w tamtym okresie zamieszkiwana przez różne współzyskujące ze sobą ludy, w tym pochodzenia skandynawskiego. Przypuszczalnie z powodu mieszania się kultur skandynawskiej, słowiańskiej, fińskiej i bałtyjskiej, Gall uznał Ruś za kraj pogaństwa, które nie mogło stać wyżej niż kraj chrześcijański. Nieco inny obraz przeciwników Bolesława wykreowany jest w *Powieści Dorocznej*, która ukazuje wojska ruskie składające się z Nowogrodzian, jak również z najemników wareskich, przywiezionych zza morza przez Jarosława. Pojawia się informacja, iż *zebrał Jarosław Wągrew 1000, a innego wojska 40 000 i poszedł na Światopolka*³³. Podane liczby wydają się mocno przesadzone, przypuszczalnie po obu stronach, jednak nie zmienia to wyniku bitwy. Oba źródła przedstawiają zwycięstwo Bolesława i klęskę Rusinów.

W podrozdziale *O wspaniałości i mocy sławnego Bolesława* występuje informacja odnośnie koncentracji i liczby wojsk w poszczególnych grodach lub miastach. Kronikarz wylicza Poznań (1300 pancernych i 4000 tarczowników), Gniezno (1500 pancernych i 5000 tarczowników), gród Władysław (800 pancernych i 2000 tarczowników) oraz Giecz (300 pancernych i 2000 tarczowników). Należy zwrócić uwagę, iż powyższe informacje mogą świadczyć o hierarchizacji ośrodków miejskich bądź grodów. Według przytoczonych danych Gniezno charakteryzowało się największą koncentracją militarną, jednak zostało wymienione jako drugie w kolejności zaraz za Poznaniem. Status tych ośrodków mógł ulec zmianie w czasie w stosunku do momentu opisanego w kronice. Na korzyść Gniezna świadczyć może również podrozdział, w którym opisany jest zjazd gnieźnieński. Cesarz Otto musiał być

²⁶ M. Miśkiewicz, *Zarys kultury i archeologii w okresie wczesnego średniowiecza*, Warszawa 2002, s. 57.

²⁷ T. Kowalski, *Relacja Ibrahima Ibn Jakuba z podróży do krajów słowiańskich w przekładzie al-Bekriego*, Kraków 1946, s. 49.

²⁸ M. Miśkiewicz, *Zarys kultury...*, s. 57.

²⁹ Miasto: <http://encyklopedia.pwn.pl/haslo/miasto;3940400.html> (dostęp 9 XII 2018 r.).

³⁰ A. Buko, *Ośrodki centralne a problem najstarszego patrymonium dynastii Piastów*, „Archeologia Polski”, 57 (2012), s. 133.

³¹ F. Sielicki, *Powieść Doroczna*, Kraków 1968.

³² W. Duczko, *Ruś Wikingów*, Warszawa 2006, s. 181.

³³ F. Sielicki, *Powieść Doroczna...*, s. 91.

przyjęty przez Bolesława Chrobrego w najważniejszym ośrodku państwowym, siedzibie metropolitalnej, w którym również znajdował się grób świętego.

Koncentracja wojsk w grodach przytaczana przez kronikarza wydaje się być ogólna, co może świadczyć o skrócie myślowym stosowanym przez autora. Trudno przypuszczać, aby w jednym grodzie, w Gieczu, można pomieścić masę ludności, jaką podano: 300 pancernych i 2000 tarczowników, szczególnie, jeśli północna część grodu była zajęta przez monumentalną budowlę sakralną³⁴.

Dzięki powyższym informacjom oraz archeologicznym odkryciom można przypuszczać, iż najstarsze piastowskie *patrymonium*, osnowa wczesnopiastowskiej struktury grodowej w Wielkopolsce, znajduje się w obszarze trójkąta warowni w Gieczu, Gnieźnie i Poznaniu³⁵.

Według kolejnych podrozdziałów kroniki w czasach młodości Kazimierza, syna Mieszka II, wnuka Bolesława, *który pozostał jako mały chłopczyk (...) z matką z cesarskiego rodu (siostrą Ottona III), sąsiedzi gnębili Polskę i do swego władztwa każdy przyłączał miasta i grody graniczne, lub zdobywszy je równał je z ziemią*. Ziemie polskie doznały spustoszenia, a Gniezno i Poznań zostały zniszczone przez Czechów, ciało świętego zabrane, a ci, którzy przetrwali najazd, uciekali za Wisłę na Mazowsze. Gall opisuje klęski dokonane przez najazdy: *podobno Gaudenty, brat i stępcą św. Wojciecha, z nieznanego mi przyczyny obłożył ją [Polskę] klątwą*, a dzikie zwierzęta zakładały swoje legowiska w kościele św. Wojciecha. Kazimierz, przebywający u Niemców, powrócił w granice państwa polskiego, otrzymał od swoich zwolenników gród i wyzwolił kraj od obcych ludów. Kronikarz nie przytacza nazwy owego grodu, podaje jedynie, iż władca zwany później Odnovicielem *zajął oddany mu przez swoich pewien gród*. Jeśli taki ośrodek mógł służyć Kazimierzowi za bazę militarną do ponownego objęcia Polski oraz pobicia najeźdźców, musiał znajdować się w pewnym oddaleniu od granicy państwa. H. Łowmiański identyfikuje ten ośrodek jako Kalisz³⁶.

Kraków jest wymieniany przez kronikarza w podrozdziale *O hojności i szczobrodlivosti Bolesława [drugiego] i o pewnym ubogim kleriku*. Kraków jest opisywany jako siedziba książęca, ośrodek z pałacem i dworem. Kazimierz I Odnoviciel przeniósł główny ośrodek władzy państwowej z Gniezna do Krakowa, odnawiając tamtejsze biskupstwo, opanowując również Śląsk. Bolesław II przyjmował w nowym, krakowskim ośrodku władzy państwowej haracze od Rusinów i innych ludów, szczerze darując tytułowemu klerikowi kosztowności.

Księga druga kończy się wraz z narodzinami Bolesława III, wnuka Bolesława II, zleceniodawcy kroniki. Księga trzecia dotyczy młodości i osiągnięć militarnych najdzielniejszego z władców piastowskich, który już będąc chłopcem trwożył wrogów swoim męstwem. Księga opowiada również o ojcu Bolesława III, Władysławie, oraz bracie Bolesława, który był *zrodzony (...) z nalożnicy, w mieście Krakowie*,

Zbigniewie, nieakceptowanym jako prawowity dziedzic.

W podrozdziale czwartym, w opisie sytuacji pod Wrocławiem, którego mieszkańcy uznali Zbigniewa za „pana”, Gall przytacza sytuację, w której Władysław i wojewoda Sieciech *nie czego siłą przeciw wrocławianom wskórać nie mogli, ponieważ swoi przeciw swoim nie chcieli prowadzić wojny, wbrew własnej woli zawarł ojciec pokój z synem i wtedy to po raz pierwszy uznał go swoim synem*. Mieszkańcy Wrocławia i wielmoże zostali skłonieni do poparcia Władysława, co doprowadziło do ucieczki Zbigniewa do Kruszwicy, która stała się miejscem krwawej bitwy pomiędzy ojcem i synem, a *taka masa trupów wpadła do sąsiadującego z grodem jeziora, że od tego czasu żaden dobry chrześcijanin nie chciał jeść ryby z owej wody*. Rezultatem było spustoszenie rejonu bogatego dotąd w złoto i rycerstwo grodu. Zbigniew odzyskał łaskę ojca i otrzymał gwarancje o *nietykalności życia i członków*.

Kronika opisuje sytuację towarzyszącą poświęceniu bazyliki gnieźnieńskiej – autor pisze o cudzie św. Wojciecha, który odpędził Pomorzan zdradziecko wpuszczonych do pewnego grodu. Po konsekracji Władysław podzielił kraj pomiędzy swoich synów, którzy zawrócili z drogi na Pomorze, utrzymując pod swoim panowaniem najważniejsze stolice. Nie jest wyliczone w Kronice, jakie ziemie otrzymali bracia, jednak w kolejnych podrozdziałach czytamy, że w rezultacie testamentu, ostatniej woli po śmierci Władysława, Zbigniew miał otrzymać Mazowsze wraz z obecnie posiadanymi dobrami, a *prawą mój syn niech obejmie główne stolice królestwa we Wrocławiu, w Krakowie i w Sędomirzu*. W przypadku nieprawego panowania, utracić miał prawo do ojcowizny (co według zawartych w tekście informacji mogło być wymierzone w Zbigniewa, który już sprawiał kłopoty).

Sieciech, wojewoda Władysława, miał (przypuszczalnie) swój duży udział w skłóceniu książąt. W miejscowości Żarnowiec książę wraz z synami zatrzymali się wraz z wojskiem, prowadzili następnie rokowania, których rezultatem było odsunięcie Sieciecha, który zbiegł do własnego grodu. Podążyli za nim ojciec i bracia jako wasale, jednak Zbigniew pod osłoną nocy uciekł do Sieciecha, przepływając w łódce Wisłę. W przypadku tak nierozumnego czynu wielmożowie przeznaczyli Bolesławowi Kraków i Sędomierz, a Zbigniew nie zdołał przejąć swoich obiecanych przez ojca włości. Sytuacja stała się napięta ponownie pod grodem Płockiem, gdzie książęta stanęli ze swymi wojskami przeciwko ojcu. Konflikt załagodził abp Marcin. Rezultatem była obietnica całkowitego wygnania Sieciecha oraz podział ziem pomiędzy braci i Władysława wedle poprzednio ustalonych granic.

Na północy ziemie polskie graniczyły z Pomorzem, zamieszkiwanym głównie przez pogan. W kolejnym podrozdziale kronikarz opisuje sytuację spod grodu Sątoku, który był *strażnicą i kluczem królestwa*. Znajdował się blisko pogan, którzy mogli widzieć i słyszeć, co się w nim dzieje. Paganie zbudowali na przeciw Sątoku swój gród. Zbigniew jako najbliższy Pomorzu wyruszył z wojskiem ojca, jednak nie wciągał pogan do walki ani grodu nie atakował. Bolesław z mniejszym wojskiem dotarł pod gród, zaatakował most, po czym

zwyciężywszy *dopał do bram grodu*. Siła i moc Bolesława wspieranego mniejszymi siłami niż brat Zbigniew zaimponowała Pomorzanom, którzy sami zburzyli gród naprzeciw Sątoka.

Śmierć dosięgła Władysława w podeszłym wieku, kiedy przebywał w Płocku. Abp Marcin czekał na przybycie braci przez 5 dni bez grzebania Władysława, odpowiadając za niego egzekwie. Ponownie Marcin interweniował w sporach rodzinnych i podziale ziemskim. Bolesław otrzymał ludniejszą część ojcowizny z dwiema głównymi stolicami.

Kronikarz wymienia kolejne grody: Głogów, które było miejscem zwołania wojska przez Bolesława, nie piechurów, lecz rycerzy z najlepszymi wierzchowcami, w celu jazdy na Pomorzanie oraz znamienity gród Kołobrzeg. Niektórzy z rycerzy Bolesława zaślepiani byli możliwością zdobycia bogactwa, inni podbojem miasta, co doprowadziło do ocalenia grodu. *Lecz obfitość bogactw i łupów na podgrodziu zaślepiała waleczność rycerzy, i w ten sposób los ocalił swoje miasto z rąk Polaków. Nieliczni tylko (...), sławę przenosząc nad bogactwa, wyrzuciwszy włócznie z dobytymi mieczami przebiegli przez most i wpadli do bramy miejskiej, lecz ściśnieni przez tłum mieszkańców w końcu jednak zostali zmuszeni do odwrotu*.

Rezultatem walki było wycofanie się wojowników polskich z grodu, wzięcie jeńców, gromadzenie bogactwa oraz spalenie podgrodzia. Akcje Bolesława doprowadziły do zasnania teroru oraz przerażenia wśród pogan. Walki z Pomorzanami nie skończyły się jednak na Kołobrzegu. Paganie rozpuszczali zagony po Polsce za zdobyczą, co opisuje Gall w podrozdziale zatytułowanym *Cud z Pomorzanami* i ich napadzie na kościół i metropolitę, abp gnieźnieńskiego Marcina w Spycimirzu. Przyśięgających do rabunku kościelnych artefaktów przyćmił niesłychany boski blask, a ukrywający się kapłani uszli z życiem. Pomorzanie doznali kary boskiej, *ktokolwiek bowiem z pogan wszedł w posiadanie relikwii lub świętych szat czy naczyń, padł ofiarą albo epilepsji albo strasznego szaleństwa*. Od tamtego czasu Pomorzanie przestali nękać ziemie polskie.

Bolesław nieustrudzenie walczył z pogańskim Pomorzem, najeżdżając grody i szerząc chrześcijaństwo, które mogło być pretekstem do wypraw łupieskich i najazdów. Kolejnym z grodów opisywanych przez Galla Anonima jest Czarnków, pod którym Bolesław zastosował maszyny oblężnicze *różnego rodzaju, i wzniosłszy wieże wynioślejsze od obwarowań grodowych, tak długo oręzem i tymi przyrządami atakował miasto, aż je zmusił do poddania się i włączył do swego państwa*. Powyższy opis sugeruje użycie maszyn oblężniczych podczas zdobywania grodu, nie wspominanych w opisach wcześniejszych walk, co może świadczyć o poważnych umocnieniach obronnych stosowanych na Pomorzu. Na pogańskiej północy Bolesław najeżdżał na grody Wieluń i Nakiel. Mieszkańcy Wielunia umocnili swój gród zastrzonymi palami, kamieniami, barykadą bram oraz naprawą uszkodzeń (w palisadzie lub płocie). W rezultacie oblężenia gród został poddany. Podczas walki o gród Nakiel Bolesław naciągał *nań oręzem i machinami*, a załoga grodu, widząc siłę przeciwnika, nie była w stanie stać mu czoła. Zdecydowano oddać gród Bolesławowi.

³⁴ A. Buko, *Ośrodki centralne a problem najstarszego patrymonium...*, s. 134.

³⁵ Tamże.

³⁶ Tamże, s. 154.

slawowi. Przebiegli Pomorskie wojsko wykradło się z grodu i w momencie odprowadzania świętych obrzędów w dzień św. Wawrzyńca nastąpiło na nich [Bolesława] z bliska. Ponieśli klęskę nie z ludzkiej lecz z boskiej ręki. Pomorzanie wydostali się z grodu pieszo, idąc przez lasy pełne zwierza, bez koni, bez rynsztunku, naszli Bolesława, zbijając się w gromadę, wbijając swe włócznie w ziemię, kierując ostrza na wrogów, padając na kolano. Zostali jednak rozbici, a ich straty są notowane przez kronikarza na 20 000 osób; 10 000 uratowało się ucieczką. Liczby te wydają się przesadzone, biorąc pod uwagę taką masę ludzi nie tylko po stronach Pomorza, ale również po stronie polskiej. Musiała być to olbrzymia bitwa, a taka ilość wojowników nie mogła by się zmieścić w grodzie (jest to liczba ludności w małym/średnim współczesnym mieście!), co dopiero ukradkiem go opuścić, *nie trzymając się żadnych dróg ani ścieżek, przebijali się przez gąszcze leśne i legowiska dzikiego zwierza*.

Według kroniki Bolesław podczas walk z pogańską północą zdobył na Pomorzu aż 7 grodów. Gród Nakieł został przekazany krewniakowi Bolesława, Pomorzaninowi imieniem Świętopolk, pod warunkiem dochowania wierności. Zdradliwy Pomorzanin nie wypełnił danego słowa. W rezultacie Nakieł ponownie został oblężony od dnia św. Michała aż do Bożego Narodzenia. Było to trudne zadanie ze względu na podmokłość terenu i niemożność użycia machin bojowych. Świętopolk usiłował zawrzeć pokój z Bolesławem, oferując układy i okupy. Bolesław przyjął część okupu i zakładników.

Gall Anonim wydaje się tłumaczyć działania Bolesława oraz jego wyprawy i najazdy na Pomorze jako sprawiedliwe, opisując mieszkańców Wielunia oraz innych Pomorzan broniących swojej wolności jako przewrotnych, pełnych pysznej wyniosłości, opornych i knąbrnych. Biorąc pod uwagę stronę atakującą, która był Bolesław i Polacy, walczący w imię chrześcijaństwa, Pomorzanom nie zostało nic innego, jak walczyć o swoje i bronić się tak zaciekle, jak tylko mogli.

Za namowami zdradliwego brata Bolesława, Zbigniewa, cesarz Henryk IV wkroczył do Polski i przybył pod Bytom. Przeciwnie do oczekiwania, gród był uzbrojony i obwarowany silnie, *położony wśród opływających go wód*. Grodzianie nie zawiedli swego polskiego władcy, wystąpili przed gród, *ludzie bez zbroi ochronnej walczyli gołymi mieczami przeciw tarczownikom, a tarczownicy przeciw pancernym, spiesząc tak ochotczo do walki jakoby na biesiadę*. Bolesław, dowiedziawszy się o najeździe cesarskim, podbijając Pomorze, odesłał część swoich wojowników do Głogowa, aby strzegli przejścia na rzece.

Cesarz jednak dotarł do Głogowa jako pierwszy, zaskakując mieszkańców przeprawą w miejscu gdzie nikt się nie przeprawiał, *ani nie wiedział o jego istnieniu*, biorąc za zakładników mieszczan, którzy według ukrytego zamiaru zyskali czas na umocnienie fortyfikacji. Bolesław zagroził mieszczanom szubienicą i rozkazał walczyć za ojczyznę. Mieszczanie poinformowali cesarza o decyzji Bolesława, na co cesarz zażądał oddania grodu za zakładników, w przeciwnym razie wytnie ich i mieszczan. W efekcie niepowodzenia działań dyplomatycznych cesarz *kazał budować przyrzę-*

dy oblężnicze, chwycić za broń, rozstawiać legiony, (...) sygnalistom dać w trąby i zaczął szturm do miasta ze wszystkich stron przy pomocy żelaza, ognia i machin. Jest to pierwszy szczegółowy opis oblężenia w kronice, w którym autor przytacza sposób walki obronnej mieszczan oraz fortele cesarskie mające na celu uniknięcie rozlewu krwi poprzez przywiązanie zakładników do maszyn oblężniczych. Mieszczanie nie szczędzili jednak *swoich synów i krewnych bardziej niż Czechów i Niemców* a cesarz *siłą oręża starał się osiągnąć to czego podstępem nie zdołał*. Do obrony mieszczanie przygotowali narzędzia obronne, kamienie i wodę. Obsadzili sami bramy i wieże, co może świadczyć o wcześniejszych sytuacjach, w których ośrodek, już przedstawiany jako miasto, był oblegany. Mieszczanie wydają się doświadczeni w swojej obronie, dobrze zorganizowani i umocnieni.

Niemcy nacierają na gród, Polacy się bronią, wszędzie machiny wyrzucają glazy, kusze szczękają, pociski i strzały latają w powietrzu, dzierżwią tarcze, przebijają kolczugi, miażdżą helmy; trupy padają, ranni ustępują, a na ich miejsce występują zdrowi. Niemcy nakręcali kusze, polaczy – machiny oprócz kuszy; Niemcy wypuszczali strzały, Polacy – pociski oprócz strzał Niemcy obracali proce z kamieniami, Polacy kamienie młyńskie z zastrzonymi drągami. W opisie pojawia się po raz pierwszy broń miotana, taka jak łuki i kusze po stronie cesarskiej. Polscy mieszczanie wykorzystują wszystko, co może posłużyć za broń miotaną oraz broń improwizowaną – kamienie lub koło młyńskie z zastrzonymi drągami.

Bitwa zakończyła się z odejściem cesarza w stronę Wrocławia, gdzie był nękany skrytymi atakami Bolesława. Wywołało to efekt psychologiczny i nadanie Bolesławowi nowego przydomka – Bolesław, Który Nie Śpi.

Kronika kończy się opisem najazdu na pomorski gród Wyszegrad, który grodzianie oddali w obawie przed zemstą Bolesława, nie oczekując już żadnej pomocy ze strony Świętopolka.

Podsumowując, Gall Anonim w *Kronice Polskiej* opisał dzieje dynastii piastowskiej od przodka pierwszego chrześcijańskiego władcy – Mieszka I – do Bolesława III. Opowieść Galla to również opis dziejów przymierza Piasta z Bogiem, dzięki któremu dynastia dostąpiła wielkich łask i stała się narzędziem szerzenia nowej wiary na ziemiach Małopolski, Pomorza oraz Śląska. Dzięki kronice można postawić tezę o kształtowaniu się wczesnego państwa polskiego poprzez rozwój grodów, ich współzależności oraz ich podbojów. Opisujemy grody są ośrodkami osadniczymi, w których tradycje społeczne są zachowywane i rozwijane po przyjęciu chrześcijaństwa, które stało się kluczowym elementem kulturalnym. Wymienione grody – Gniezno, Poznań, Giecz, Wrocław, Kraków – są głównymi i najważniejszymi ośrodkami, bez których rozwój państwa nie byłby możliwy. W okresie do spisywania kroniki ich status i funkcje uległy zmianie, ośrodki wyewoluowały urbanistycznie poprzez rozwój społeczny, kulturowo-religijny, poprzez nadanie im biskupstw i budowę obiektów sakralnych oraz umocnień i fortyfikacji (bramy, mury, wieże). Dzięki fundacji biskupstw w grodach lub miastach władcy polscy mogli uniezależnić państwo od strony niemieckiej; podlega-

li bezpośrednio Ojcu Kościoła.

System, jaki funkcjonował we wczesnej Polsce, może zostać określony mianem kasztelańskiego. Pierwszy raz opis systemu pojawił się w XII w., jednak dobrze oddaje relacje pomiędzy ośrodkami osadniczymi w czasach Mieszka I i Bolesława Chrobrego³⁷. Grody i miasta były powiązane ze sobą, tworząc okręgi grodowe, obejmujące obszary przyległe, podlegające ochronie drużyn obecnych w grodach. Centrum takich okręgów stanowiły grody kasztelańskie, po których to podróżował władca. Dzięki takiemu systemowi władca miał kontakt z podległymi mu urzędnikami, mógł być na bieżąco z istotnymi sprawami. Ekonomicznie system również wpływał pozytywnie na produkcję i zaopatrzenie dworu, gdyż nie obciążał jednego tylko regionu³⁸.

Kronika Galla Anonima jest również cennym materiałem z punktu widzenia militarnego, opisuje bowiem sposób oblężenia grodów, ich fortyfikacje oraz środki obronne. Podaje, iż głównie na Pomorzu Bolesław musiał budować oraz używać machin lub wież oblężniczych, co może świadczyć o ulepszonej strukturze obronnej, tj. wałach, dołach, wbitych w ziemię zastrzonym palach, wysokim murze bądź palisadzie. Również w przypadku oblężenia Głogowa przez cesarza kronikarz podaje formy obrony, jakie przyjęli mieszkańcy, wykorzystując broń improwizowaną, obsadzając, jak to wynika z tekstu, bardzo sprawnie, ośrodki oporu oraz wykorzystując kamienie, koła młynarskie oraz gorące ciecze (woda) przeciwko oblegającym.

Michał Filip Świdwa

Bitwa pod Płowcami

Zakon krzyżacki, sprowadzony pierwotnie na Mazowsze, miał za zadanie zabezpieczenie chrystianizacji Prusów. Na przełomie wieku XIII i XIV pozycja Zakonu umacniała się, a działania militarne doprowadziły do opanowania Prus oraz utworzenia Państwa Zakonu Krzyżackiego, obejmującego tereny Prus, część ziem polskich i litewskich oraz terenów dzisiejszej Łotwy i Estonii. W czasie kryzysu polityczno-gospodarczego wynikającego z rozbięcia dzielnicowego Polski Zakon dążył do opanowania coraz większych rejonów. Pomorze zostało zajęte, a Kujawy oraz Wielkopolska były nękane najazdami łupieżczymi.

W roku 1331 władca ziem polskich, Władysław Łokietek, będąc już w słusznym wieku, zabezpieczając sukcesję tronu, ustanowił swego syna, Kazimierza, starostą wielkopolskim. Jak podaje Jan Długosz w *Kronikach Sławnego Królestwa Polskiego*, usunięcie uprzedniego starosty Wincentego z Szamotuł herbu Nałęcz było przyczyną najazdu krzyżackiego na ziemie polskie. *Okrutny wobec siebie, zabójca własnych ziomków, zdrajca Pana, wróg domowników, pustoszący ojczyznę, zawinił wobec wszystkich, ściągając na siebie i swój dom wieczną sromotę, budząc swym wspomnieniem gorycz w sercach wszystkich Polaków i naznaczając siebie i swoje potomstwo wiecznym*

³⁷ W. Wróblewski, *Sól i żelazo*, „Pomocnik Historyczny Polityki”, 2015, 8: 966 *Narodziny Polski*, s. 119.

³⁸ Tamże.

piętnem³⁹. Rozgniewany i oburzony odebraniem stanowiska, pozbawiony zysków wynikających z zajmowanej pozycji, Wincenty udał się do mistrza zakonnego w celu uzyskania pomocy, informując, iż nadarzyła się właśnie okazja do zmuszenia króla polskiego do zerwania się roszczeniowych praw do Pomorza oraz rozszerzenia granic ziem zakonnych⁴⁰.

Nie lekceważąc możliwości, wojska zakonne, mające ciężką konnicę, znaczną liczbę pieszych i wytrenowanych żołnierzy i wojsko pruskie, pod dowództwem Teodoryka z Aldemburga i Ottona z Lutebergu wyprawiło się na Kujawy, których jednak całkowicie nie spustoszyło z zamiarem przyłączenia ich do państwa zakonnego. Krzyżacy pod wytycznymi Wincentego ponieśli porażkę pod Brześciem oraz Inowrocławiem, zajęli biskupie miasto Słupce, następnie wyruszyli pod Pyzdry, gdzie miał przebywać syn Władysława, Kazimierz, który, ostrzeżony wcześniej, zdołał opuścić nieprzygotowane do walki miasto. Wojska zakonne, zachęcane przez Wincentego, płądowały i paliły miasta oraz wsie na swojej drodze, ścigając też znaczne w liczbie posiłki inflanckie z Rheine i Niemiec, włączając w to wojska z ziem byłego starosty wielkopolskiego⁴¹.

Krzyżacy, zachęceni wielkimi zdobyczami oraz brakiem zbrojnego oporu, dotarli do ziemi łączyckiej, następnie pod Kalisz (który bezskutecznie oblegali dwukrotnie), gdzie rozbili obóz w oczekiwaniu na przybycie króla czeskiego Jana. Nie otrzymawszy posiłków od sprzymierzonego władcy, wojsko zakonne wyruszyło w kierunku Żnina i Gniezna, gdzie spłądowało i spaliło katedrę biskupią oraz okoliczne wsie⁴². Za poniesione straty podczas nieudanych oblężeń wojska krzyżackie pustoszyły ziemię wielkopolską bestialsko mordując, grabiąc, paląc, odbierając część niewiastom oraz zmuszając je do nierządu⁴³.

Rycerstwo oraz mieszkańcy znad jeziora Niezamyśl, do których doszły wieści o działaniach Zakonu, zbudowali siedmiomilowy wał, otoczony głębokim rowem z wodą z pobliskich jezior w celu skupienia i obrony posiadanych dóbr. Krzyżacy wysłali 3 tys. konnicy w celu zdobycia tak znakomitego łupu. Na wieść o zbliżającym się wrogu rycerstwo polskie powiadomiło króla Władysława⁴⁴.

Król Władysław, mimo swego podeszłego wieku, wyruszył wraz z zebrany rycerstwem z ziem krakowskiej, sandomierskiej i wielkopolskiej przeciwko wojskom zakonnym. Mimo znacznej liczby rycerstwa nie stanął do otwartej walki z Krzyżakami, nękał ich jednakże podjazdami, atakami z ukrycia i zasadzek, gdziekolwiek nadarzyła się ku temu sposobność. Wojska krzyżackie w drodze powrotnej z grabieży, dotarłszy pod Konin, usiłowały wciągnąć Władysława w otwartą walkę. Król, oceniwszy siły i możliwy rezultat starcia, nie podjął walki, co uznano za całkowite wycofanie. Po zejściu w Koninie wodzowie krzyżacy pokusili się o kolejny najazd na Brześć Kujawski, którego oblężenie powierzono komturowi

Luterbergowi, który wraz ze znaczną częścią wojska wyruszył pośpiesznie, co doprowadziło do rozdzielenia się głównej masy wojska⁴⁵.

Władysław wysłał swoich zaufanych emisariuszy do zdrajcy Wincentego z Szamotuł, by przyszedł z pomocą resztkom biednej, udęconej ojczyzny, doprowadzonej w skutek jego zdrady do spustoszenia, które musi budzić współczucie nawet u wroga⁴⁶. Wincenty pod wpływem zapewnień króla Władysława oświadczył, iż udzieli pomocy i tym samym naprawi swój wizerunek za wyrządzone szkody oraz uzyska wybaczenie. Oświadczył też, iż wojsko zakonne jest liczebnie duże, jednak opieszałe i słabe, składające się głównie z tabarów wypełnionych zdobyczami i łupami, skłonne bardziej do ucieczki niż walki. Król Władysław zdecydował się na podjęcie działań przeciwko wrogowi w jego drodze powrotnej pod miejscowością Płowce, również znaną jako Blewo, gdzie równina była odpowiednia do rozwinęcia natarcia.

O świcie 27 IX 1331 r. król Władysław zjawił się pod Płowcami ze swymi oddziałami i podniesionymi chorągiewami. Według Jana Długosza dzięki podążaniu za wojskiem krzyżackim i działaniom zwiadowczym, władca podjął decyzję o działaniach bojowych, zaskakując tym samym opieszałą, tylną kolumnę wojsk krzyżackich, które podnosiły się do walki bez porządku i składnego szyku bojowego, organizując obronę w oparciu o tabory. Władysław, podobnie jak komtur krzyżacki, podzielił swoje wojsko na pięć części. Pierwsza atakująca część składała się z dworzan i doświadczonych rycerzy. Podczas starcia, mimo przewagi liczebnej rycerstwa zakonnego, męstwo polskie oraz chęć odpięcia najeźdźcy za szkody okazały się wystarczające do pokonania Krzyżaków. Nacierające oddziały rycerstwa polskiego przeciwko słabszym oddziałom krzyżackim doprowadziły do ich odwrotu i ucieczki z pola walki. Odwrot i panika są również związane z upadkiem zakonnej chorągwi i chorążego Iwana, którego koń został przeszyty strzałą⁴⁷.

Opis tej bitwy, podany przez zakonnego kronikarza Wiganda z Magdeburga, przedstawia klęskę Zakonu z całym zastępem rycerstwa składającym broń. Pojmanych i postawionych przed królem Władysławem stracono. Wśród strat krzyżackich byli komtur Elbląga Herman oraz komtur Gdańska Albert, 56 braci zakonnych, ciężko ranny i pojmany został również dowódca kolumny Ditrych⁴⁸.

Pierwsza faza bitwy zakończyła się klęską zakonu. Na pomoc upadłej kolumnie, zawiadomiony przez niedobitków, spieszył komtur Luterberg, zawróciwszy z drogi na Brześć Kujawski. Przybył za późno, aby zapobiec klęsce. Został na polu walki zwycięzców. Według Jana Długosza król Władysław ponownie stanął przeciw nowym oddziałom zakonnym i ponownie odniósł zwycięstwo⁴⁹, co stanowiło drugą fazę bitwy. Polski kronikarz podał imiona poległych rycerzy zakonnych, których za-

konny kronikarz wymienił w czasie pierwszej bitwy⁵⁰.

Pojawia się zatem kwestia podziału bitwy na dwie fazy, zachodzące po sobie kolejno bez przerwy. Pierwsza to zaskoczenie kolumny krzyżackiej oraz rozbicie jej przez króla Władysława oraz drugą, która jest bitwą pomiędzy oddziałami pośpiesznie zawróconymi z drogi na Brześć. Jan Długosz nie daje nam dokładnego opisu przebiegu drugiej fazy, ponadto wymienienia imiona poległych z pierwszej. Również imię i data objęcia urzędu marszałka przez pojmanego Ditrycha w roku 1335 pojawia się w zapisach kronikarza zakonnego, który był bitwie pod Płowcami współczesny⁵¹, co może świadczyć o tym, iż jeńcy byli odbici, a nie wszyscy z pojmanych byli straceni bądź postawieni przed królem Władysławem i straceni. Może to również świadczyć, iż druga faza bitwy nie potoczyła się tak, jak opisuje ją Jan Długosz. Ponadto polski kronikarz wspomina iż w pierwszej fazie, zwycięstwo Władysława wydawało się niepewne, gdyż *los bitwy był niepewny. Krzyżacy bowiem, którzy mieli mnóstwo wojska, w miejsce ginących i rannych kazali następować świeżym, nietkniętym oddziałom*⁵², co może sugerować, iż bitwa wcale nie miała dwóch faz, nie było klęski oddziałów i ponownego starcia z posiłkami zawróconymi z drogi na Brześć, ale stanowiła jednolitą całość.

Jan Długosz opisuje drugą fazę bitwy w bliźniaczy sposób do pierwszej, z odwrotem i klęską krzyżacką, w czasie której Polacy przystąpili do rzezi wycofujących się i panikujących wojsk zakonnych, mimo wielkiego zmęczenia i znużenia walką. Czynili to z polecenia króla w celu odniesienia znakomitego zwycięstwa. Chęć odwetu za szkody wyrządzone przez rycerstwo zakonne na ziemiach polskich skłoniła Polaków do bezwzględności. Kronikarz wymienienia niewielu poległych po stronie polskiej, 12 rycerzy, w tym m.in. chorążych krakowskiego i sandomierskiego, syna kasztelana krakowskiego i 500 pospolitego ludu. Po stronie krzyżackiej, straty według Jana Długosza są szacowane na 40 000 ludzi *albo i więcej*⁵³, w tym 56 braci, komtur Elbląga Herman oraz komtur Gdańska Albert. Według kronikarza Wiganda liczba strat po obu stronach jest inna. Po zakończonej bitwie Krzyżacy, pokonani przez Łokietka, wycofali się w stronę Torunia, pozostawiając swoich poległych na polu walki, a biskup Maciej, będąc w dobrych stosunkach z zakonem, pogrzebał pod Płowcami 4187 trupów⁵⁴.

Liczba poległych po obu stronach, jak i ogólna liczba wojska biorących udział w walkach, różnią się w zależności od źródła. Faktyczny stan wojsk i strat jest niezwykle trudny do ustalenia, ich skalę można jedynie przypuszczać na podstawie porównywania subiektywnych kronik polskich oraz krzyżackich. Biorąc pod uwagę sposób prowadzenia walki przez Łokietka względem wojsk zakonnych, można uznać, iż armia polska nie dysponowała

³⁹ J. Długosz, *Roczniki, Kroniki Sławnego Królestwa Polskiego*, t. 9, Warszawa 2009, s. 202.

⁴⁰ Tamże, s. 196–199.

⁴¹ Tamże, s. 196.

⁴² Tamże, s. 200.

⁴³ Tamże.

⁴⁴ Tamże, s. 203.

⁴⁵ S. Kaniowski, *Uwagi krytyczne o bitwie pod Płowcami*, „Przegląd Historyczny”, 18 (1914), 1, s. 5.

⁴⁶ J. Długosz, *Roczniki...*, s. 205.

⁴⁷ S. Kaniowski, *Uwagi krytyczne...*, s. 28.

⁴⁸ Tamże.

⁴⁹ J. Długosz, *Roczniki...*, s. 210.

⁵⁰ S. Kaniowski, *Uwagi krytyczne...*, s. 28.

⁵¹ Tamże, s. 32.

⁵² J. Długosz, *Roczniki...*, s. 210.

⁵³ Tamże, s. 211.

⁵⁴ S. Kaniowski, *Uwagi krytyczne o bitwie pod Płowcami (Dokończenie)*, „Przegląd Historyczny”, 18 (1914), 2, s. 209.

pełną siłą i taktycznie odniosła zwycięstwo. Pojmanie jeńców przez króla Władysława, dokonanie na nich egzekucji, rozbięcie oddziałów komtura Ditrycha miało duże znaczenie polityczne. Biorąc pod uwagę całość walk na Kujawach, bitwa pod Płowcami miała decydujące znaczenie dla Polski, gdyż wojska zakonne zostały zmuszone do przerwania kampanii i odwrotu do Torunia.

Michał Filip Świdwa

Bilans wojny moskiewskiej 1609–1612 oraz pokój w Dywilinie

Państwo moskiewskie po śmierci jednego z ostatnich carów z dynastii Rurykowiczów, Iwana IV Groźnego, weszło w fazę długotrwałego kryzysu, zwanego również Wielką Smutą (1584–1613). Nie bez znaczenia były następstwa wojen prowadzonych ze Stefanem Batorym, utrata Inflant oraz utrata kontroli nad żeglugą narewską na rzecz Szwedów, ciężkie zimy, jak również klęski głodu oraz epidemie. Władza sprawowana przez „chorowitego i słabego na umyśle” Fiodora Iwanowicza, wspieranego przez radę bojarską, zapowiadała kolejne klęski i nieszczęścia. Wykorzystując sytuację, Borys Godunow, którego siostra była małżonką cara, usunął z rozgrywki o tron małoletniego carewicza, brata Fiodora, wysyłając go do odległego Uglicza. Po śmierci cara Godunow pragnął zapewnić sobie sukcesję tronu poprzez małżeństwo siostry z arcyksięciem Maksymilianem lub Maciejem, z możliwością zawarcia sojuszu z Rzeczypospolitą⁵⁵.

Intrygi oraz wieść o tragicznej śmierci carewicza Dymitra w Ugliczu w 1598 r. umożliwiły przejęcie władzy przez Godunowa. Niektóre rody bojarskie zareagowały na to nieprzychylnie, uznając go uzurpatorem. Pojawienie się osoby podającej się za cudownie ocalonego carewicza Dymitra, którym według historyków był zbiegły zakonnik Grzegorz Otrepiw, którego również uznawano za polskiego szlachcica, doprowadziło do zaostrenia sytuacji wewnętrznej w państwie moskiewskim. Nieprzychylni Godunowowi bojarowie, mając poglądy propolskie, chętnie usunęliby z tronu uzurpatora, zastępując go władcą pochodzenia polskiego, jeśli nie Zygmuntem, to jego synem Władysławem⁵⁶. Zygmunt III początkowo nie był przychylny Samozwańcowi, nie mając wystarczających informacji o jego osobie. Jednak okoliczności zbliżenia się Borysa Godunowa do Szwedów zmieniły jego nastawienie. Poparcie Samozwańca miało również istotne znaczenie dla strony polskiej. Wraz z jego osobą powstała możliwość rozszerzenia

wiary katolickiej na wschód, odzyskania utraconych ziem smoleńskich i siewierskich oraz pomoc w walce z Karolem IX.

Wraz z pojawieniem się cudownie ocalonego carewicza bądź jego impostora, zaczął się nowy rozdział polityki zagranicznej Rzeczypospolitej, ukierunkowanej na wschód, w kierunku państwa moskiewskiego. Do grona polskich zwolenników Samozwańca należał kanclerz litewski Lew Sapieha, książęta Wiśniowieccy, Rożyńscy, wojewoda sandomierski Jerzy Mniszech, który uzyskał przyrzeczenie zaślubin córki po zdobyciu tronu przez Dymitra⁵⁷. Po śmierci Godunowa, prawdopodobnie otrutego, w kwietniu 1605 r., 30 czerwca Samozwaniec wkroczył do Moskwy. W dniu 4 V 1606 r., po przybyciu do Moskwy Maryny Mniszchówny, wojewodzianki sandomierskiej, dokonano uroczystej koronacji nowej carowej, przez patriarchę moskiewskiego Ignacego, według dawnych obyczajów⁵⁸. W trakcie uroczystości weselnej dokonano zamachu, w wyniku którego poległo Polaków przez te okrucieństwa moskiewskie 1300⁵⁹, reszta z orszaku – 2200 osób – zostało uwięzionych, a następnie rozesłanych na zamki. Ciało cara Dymitra Samozwańca porąbawszy, na rynek wywlekli, które trzy dni na lawkach leżało, potem je spaliwszy, popiół w działo wysypawszy, wystrzelono⁶⁰. Posłowie królewscy wraz z carową zostali zwolnieni przez nowo koronowanego cara Szujskiego.

Osoba Samozwańca posłużyła za pretekst do ekspansji na wschód oraz dała nowe możliwości współpracy pomiędzy państwem moskiewskim a Rzeczypospolitą. Jednak od posłów Zygmunta III nowy car żądał tytułów nieprzynawanych carów moskiewskich, jak również prawa do Inflant. Okazało się, iż nie miał na uwadze wspólnych interesów swojego królewskiego protektora. Mógł również stanowić wyraźne zagrożenie dla władzy królewskiej przy poparciu opozycjonistów polskich⁶¹.

Po śmierci Samozwańca pojawiła się druga osoba, podająca się za cudownie ocalonego carewicza. Udało mu się również dotrzeć do carowej Maryny i przekonać ją, by uznała go za swojego męża, potwierdzając tym samym jego tożsamość. Drugiemu Samozwańcowi wsparcia udzielili polscy przedstawiciele rodów magnackich, awanturnicy oraz rokoszanie. Wśród nich byli: Józef Budziło, Samuel Tyszkiewicz, kniaziowie Różańscy, Marcin Zborowski, książę Adam Wiśniowiecki, Jan Piotr Sapieha i inni⁶². Zaistniała sytuacja z rosnącym niezadowolaniem z rządów Szujskiego, nowym Samozwańcem oraz przychylnością bojarów stwarzała doskonałą okazję dla Zygmunta III i szansę na objęcie tronu przez królewicza Władysława. Zamiarem Zygmunta III było również przeciwdziałanie porozumieniom cara z księciem Karolem Sudermańskim.

W 1607 r. pojawił się już plan wyprawy na Moskwę. Jednak sytuacja wewnętrzna kraju musiała zostać uregulowana, co zmusiło króla do działań dyplomatycznych i zawarcia prawie 4-letniego rozejmu z carem Szujskim, który nie gwarantował stabilności. Mimo że królowie

polscy nie mają żadnej władzy przez zezwolenia stanów koronnych⁶³, kwestia wojny z państwem moskiewskim nie była poruszana przez króla na sejmie w styczniu 1609 r., ale na tajnej naradzie senatu. Senatorowie nie sprzeciwiali się wyprawie, a większość udzieliła poparcia, (...) za każdą okazją sławę narodu naszego za granicami koronnymi rozmnażać (...)⁶⁴, „że takimi sprawami (...) dobro ojczyzny pomnażać się będzie, a tym więcej kwitnąć sława narodu naszego⁶⁵. Sejm natomiast wydał konstytucję oraz „Artykuły wojenne hetmańskie”, co oznaczało zgodę szlachty na wyprawę wojenną⁶⁶. Decyzja o wyprawie na Moskwę mogła zostać przyspieszona porozumieniem Moskwy ze Szwecją. Na jego mocy Karol IX zobowiązał się wysłać 2000 jazdy i 3000 piechoty oraz oddział najemników za zrzeczenie się praw do Inflant oraz kontyngent militarny w przypadku konfliktu Szwecji z Rzeczypospolitą oraz dać zgodę na zabijanie lub branie do niewoli Polaków i Litwinów w czasie działań na terenie państwa moskiewskiego⁶⁷.

Planując kampanię moskiewską, Zygmunt III uważał, iż działania militarne powinny się zacząć od Smoleńska, gdyż mu nadzieję uczyniono, że Smoleńsk dobrowolnie ma się poddać⁶⁸, bo w Smoleńsku ludzi do bronienia murów było dosyć, ale do pola nie mieli nic takich ludzi, których wypuszczać by mogli⁶⁹. Opanowanie Smoleńska było kwestią różniącą króla i hetmana koronnego Stanisława Żółkiewskiego. Zamiarem władcy było najpierw odzyskanie utraconych ziem, a następnie zajęcie Moskwy. Hetman liczył najpierw na osiągnięcie Moskwy, po czym na przeprowadzenie stosownych działań dyplomatycznych⁷⁰. Według Żółkiewskiego, Smoleńsk to zamek z dawnych czasów, a tym więcej świeżo przez Borysa potężnie warowany (...), zatrudnił króla jegomości przedsięwzięcie⁷¹, wymagający znacznych nakładów militarnych na jego zdobycie. Mimo ogłoszenia królewskiego zamiaru wyruszenia na kampanię na wschód przed Wielkanocą, wojska zaciągniętego było niewiele, a hetman zgodził się poprzeć wyprawę z własnej kieszeni, dając po 20 zł na żołnierza⁷². Sytuacja przeciągała się, mimo wariacji w ziemi moskiewskiej, gdzie szalbierz impotenter chciał panować, ciężary nieznosne kłaść, egzakcje wielkie wyciągać⁷³.

W wyniku zamieszania w stolicy na wschodzie pośpiech w przedsięwzięciu był wskazany. Pora wojenna się zbliżała, ludzi w Smoleńsku coraz mniej. Skłoniło to króla do szybkiego marszu, nie stając nigdzie dłużej niż na noc. Jedyną trudność leżała w liczbie wojska. Niewiele oddziałów było przy Zgymuncie oprócz Stanisława Stadnickiego kasztelana przemyskiego, który miał oddziały Węgrów. Czas

⁶³ Tamże, s. 91.

⁶⁴ Tamże, s. 80.

⁶⁵ Tamże, s. 81.

⁶⁶ T. Bohun, *Moskwa 1612*, Warszawa 2005, s. 17.

⁶⁷ Tamże.

⁶⁸ S. Żółkiewski, *Początek i progres wojny moskiewskiej*, Warszawa 1966, s. 109.

⁶⁹ Tamże, s. 120.

⁷⁰ T. Bohun, *Moskwa 1612...*, s. 19.

⁷¹ S. Żółkiewski, *Początek i progres...*, s. 108.

⁷² Tamże, s. 111.

⁷³ Tamże, s. 112.

⁵⁵ J. Budziło, *Wojna moskiewska wzniecona i prowadzona z okazji fałszywych Dymitrów od 1603 do 1612 r.*, Wrocław 1995, s. 10.

⁵⁶ Tamże, s. 11.

⁵⁷ Tamże, s. 12–13.

⁵⁸ Tamże, s. 15.

⁵⁹ Tamże, s. 47.

⁶⁰ Tamże.

⁶¹ Tamże, s. 16.

⁶² Tamże, s. 16.

mobilizacji był napięty, a potencjalni żołnierze nie mieli wystarczająco czasu i możliwości na tak długą wyprawę. Zachęceni byli do włączenia się do siły królewskiej, częstymi uniwersałami hetmańskimi, rozsyłanymi w czasie marszu. Pod Smoleńskiem wojsko zbierało się od dwóch do trzech niedziel. Na początku października wojska pod Smoleńskiem liczyły ok. 12 tys. żołnierzy, z czego około 1/3 stanowiła piechota⁷⁴.

Zagranie zaczepne Zygmunta III – przybycie oddziałami zbrojnymi pod Smoleńsk – wzbudziło niezadowolenie w polsko-litewskich sojusznikach Samozwańca, do których zostało wysłane poselstwo w celu przekonania ich do przejęcia priorytetu sprawy królewskiej. Stwarzało to niezręczną sytuację dla Samozwańca, który w rezultacie awantury pomiędzy Wiśniowieckim a sowicie przekupywanym dobrami Różyńskim postanowił zbiec z obozu, co udało się dopiero 6 I 1610 r. Dobrowadziło to do rozpadu obozu tuszyńskiego i masowego opuszczania obozu Samozwańca przez żołnierzy, którzy zaczęli przechodzić na stronę króla. W wyniku dodatkowych pertraktacji z moskiewskimi bojarami z obozu tuszyńskiego udało się wypracować porozumienie dyplomatyczne, zawarte 14 II 1610 r. W jego myśl król Lewicz Władysław miał zostać carem, koronowanym przez patriarchę moskiewskiego, przechodząc również na prawosławie⁷⁵. Zawarty układ stwarzał kompromis dla obu stron z przymierzem militarnym, gospodarczym oraz handlowym.

Zamieszanie wywołane ucieczką impostora oraz 16 marca Mniszchówny spowodowało ostatecznie odstąpienie wojsk od oblężenia Moskwy oraz pozwalało na skonsolidowanie sił i wzmocnienie obrony Smoleńska przez Michała Skopin-Szujskiego, kompetentnego dowódcę moskiewskiego. Po wydarzeniach w obozie tuszyńskim wkroczył on do Moskwy już 12 III 1610 r. Przywitany wiatami przez tłum, stał się ofiarą intrygi Dymitra Szujskiego. Za jego wiedzą został otruty⁷⁶ podczas uczty 19 kwietnia i zmarł 3 V 1610 r.⁷⁷ Dymitr Szujski przejął dowództwo nad wojskiem, którego koncentracja miała nastąpić w Możajsku. Do czerwca skupiło się tam ok. 30 tys. wojska oraz ośmiotysięczny kontyngent najemników Jakuba Pontussa de la Gardie⁷⁸.

Wojsko opuszczające obóz tuszyński 18 marca przemaszerowało do Wołoka, a 25 marca, mając ciasne i godne stanowisko ruszyły się z Wołoka i położyli się około Sobotnik i Kłuszyna⁷⁹. W skład wojsk wchodziły m.in.: rota Wielogłowskiego z zadnią strażą Kryłowskiego przy panach oboźnych Kamieńskim i Krassowskim; armata, a przy niej dońcy i piechota, nad nimi Zarudzki z taborem moskiewskim; pułk Różyńskiego z wozami, pułk Budziłów, rota Czaplińskiego, wozy pułkowe Zborowskiego, Chruslińskiego, z rot po 30 koni z wozami, Gluchowskiego, z rotą Siemackiego; wozy pułku Kopczyńskiego, przy nich 20 koni spod każdej rot⁸⁰.

W dniu 8 marca spod Smoleńska wyruszyły oddziały z zadaniem zatrzymania oddziałów Szujskiego, który, mając wolną stolicę, siedł z odsieczą Smoleńskowi, *pelen dobrej nadziei, że wielkości i potędze jego wojska, której bardzo dufał, nasze, o którego małości wiedział wytrzymać nie mogło*⁸¹. Na czele oddziałów królewskich stanął hetman Żółkiewski z korpusem, w którego skład wchodziło 9 chorągwi jazdy z 1130 ludźmi oraz 400 piechurów⁸². Siły hetmana Żółkiewskiego wzrosły po przyłączeniu się oddziałów Zborowskiego w okolicach Cariewego Zajmiszcza⁸³: 5556 husarzy, 290 petyhorców, 679 pancernych⁸⁴. Żółkiewski przystąpił do oblężenia sił moskiewskich, skupionych w Carewym Zajmiszczu pod dowództwem Wołujewa oraz Jelenieckiego. *Moskwa serca nie mając, aby bitwę dać mogła, okopawszy się w gródki, zawarła. Panu hetmanowi inaczej nie przyszło, jeno ich oblec, który ich grodkami osadziwszy bardzo ścisnął*⁸⁵.

Morale wojska carskiego było niskie z powodu niezapłaconego żołdu, którego domagało się przez poselstwa. W dniu 11 czerwca car przyjechał sam i wojsko zaciągnął i pieniądze dać obiecał, (...) a zostawiwszy przy wojsku część bojarów z częścią pieniędzy. (...) [4 lipca] ubłagał wojsko, że mu na tych pieniądzech przestali, bo tylko po pół szóstego złotego dał⁸⁶.

W dniu 4 lipca Szujski wysłał na odsiecz Wołujewowi 15 tys. ludzi moskiewskich i 7 tys. Niemców z Pontusem⁸⁷. Żółkiewski, mając wiadomość o nadchodzącej odsieczy, zwołał rycerstwo do narady, przełożywszy (...), że już wojsko jedno w czterech milach nieprzyjacielskie u Kłuszyna, proponował co by było lepszego, jeśli zostawiwszy przy oblężeniu grodka [Cariewego Zajmiszcza] część wojska, przebrawszy się, potkać nieprzyjaciela w drodze czy na miejscu czekać⁸⁸.

W dniu 3 lipca hetman Żółkiewski, postanowił wykorzystać szansę zaskoczenia przeciwnika, zostawiając małą in *conspicu* część wojska oblegającą Wołujewa, rotmistrzowi Bobowskiemu z siłą 700 jazdy, piechotę królewską, dwa pułki Kozaków⁸⁹. Postawił w stan gotowości drugą część swoich oddziałów i *nie trąbiąc ani bijąc w bębny, obesłał, aby ruszyło się wojsko porządkiem takim, jaki do pułkowników na piśmie był rozesłany, gdyż z uderzenia bębnow łąco by się wołujew o ruszeniu dorozumia*⁹⁰. Wyruszył dwie godziny przed zachodem słońca, z powodu krótkiej nocy, maszerując lasem i drogami niedobrymi, docierając 4 lipca pod pozycje nieprzyjacielskie przed świtem, uzyskując pełne zaskoczenie. Nieprzyjaciel był jeszcze śpiący, *lekce nas ważył, i nie mniął się nie spodziewał*⁹¹.

Z powodu umiejscowienia obozu przeciwnika nagle, zaskakujące uderzenie okazało się niemożliwe. Obóz znajdował się pomiędzy

dwoma wioskami, których przestrzeń ogrodzona była płotami, które podpalono, aby zlikwidować potencjalne punkty oporu dla oddziałów strzeleckich. Gdyby nie przeszkody, żadna zwłoka w ataku prawdopodobnie by nie nastąpiła⁹². Prawe skrzydło zajął pułk Zborowskiego, zaś na lewym stanął pułk starosty chmielnickiego Strusia. W hufcach prawego skrzydła stały pułki Kazanowskiego i Ludwika Wajherów. Pułk hetmański z księciem Januszem Poryckim stanął na lewej stronie. Oddziały liczyły również ok. 400 Kozaków lekkobrojnych pod dowództwem Paskowskiego, które zajęły pozycje na boku lewego skrzydła⁹³.

Przeciwnik stawiał się w sile ok. 8–10 tys. Szwedów, jezdnych i pieszych na lewej flance, moskwićni na prawej, których było ok. 40 tys. jezdnych i pieszych⁹⁴. Oddziały niemieckie stały na przedzie. To z nimi jako pierwsze spotkały się rotę pułku Zborowskiego, wymieniając ogień zza płotu z nowoprzybyłą piechotą z falkonetami⁹⁵. Po złamaniu oporu niemieckiego i skupieniu kilku rot, uderzyli (...) *kopijmi, kto jeszcze miał, koncerzami*⁹⁶. Moskwa cudzoziemców posiłkować nie chciała, *tedy będąc strwożona pierchła, a naszy ich gonili bijąc*⁹⁷. Husaria, rąbiąc i kłując, wpadła do obozu moskiewskiego. Niemcy, widząc ucieczkę sił moskiewskich, wysłali rokowania do hetmana. Część przeszła na służbę królewską. Ci, którzy odmówili, mieli zagwarantowane wolne przejście do ojczyzny⁹⁸ z potwierdzeniem na piśmie, iż nigdy Moskwić już służyć nie będą. Książę Galiczyński i Dymitr Szujski, widząc układy własnych oddziałów cudzoziemskich, uciekli przez swój obóz, zostawiając na widoku najkosztowniejże przedmioty, co umożliwiło im bezpieczną ucieczkę, gdyż *rzucili się nasi w pogoń, ale mało ich goniło (...), padli w obozie na łupie onym, bo też Moskwa na to uczyniła, żeby naszych od gonienia zabawili (...)* Książę Dymitr (...) *uciekał potężnie. Na błoć konia, na którym siedział, i obuwia zbył, Boso na li-chej szkapinie pod Możajsk do Monastyrza przyjechał*⁹⁹.

Wracając pod Cariewo Zajmiszcze, do oblężonego Wołujewa, hetman Żółkiewski ukazał mu zwycięstwo, informując o bitwie i rozbiciu sił Szujskiego oraz braku odsieczy. Wołujew nie chciał wierzyć, jednak widząc trofea i schodzące się po ucieczce w lasy grupy żołnierzy z oddziałów cudzoziemskich dobrze jemu znanych, prosił o rokowania. Ustalenia dotyczyły przysięgi wierności Władysławowi za cenę odstąpienia od murów Smoleńska oraz zwrócenia ziem przejętych przez Zygmunta III po objęciu przez Władysława tronu carskiego. Za Smoleńskiem poszły jeszcze grody Możajsk, Pogorełoje, Gorodiszczce, Dymitrow, Borysów i Osipow¹⁰⁰.

Żółkiewski, mając za sobą zwycięstwo pod Kłuszynem oraz rozbicie głównych sił mo-

⁸¹ S. Żółkiewski, *Początek i progres...*, s. 133.

⁸² T. Bohun, *Moskwa 1612...*, s. 33.

⁸³ J. Budziło, *Wojna moskiewska...*, s. 99.

⁸⁴ T. Bohun, *Moskwa 1612...*, s. 34.

⁸⁵ J. Budziło, *Wojna moskiewska...*, s. 99.

⁸⁶ Tamże, s. 100.

⁸⁷ Tamże.

⁸⁸ S. Żółkiewski, *Początek i progres...*, s. 135.

⁸⁹ Tamże, s. 136.

⁹⁰ Tamże.

⁹¹ Tamże.

⁹² Tamże, s. 137.

⁹³ Tamże, s. 137–138.

⁹⁴ Tamże, s. 138.

⁹⁵ Tamże, s. 139.

⁹⁶ Tamże.

⁹⁷ J. Budziło, *Wojna moskiewska...*, s. 101.

⁹⁸ Tamże.

⁹⁹ S. Żółkiewski, *Początek i progres...*, s. 140–141.

¹⁰⁰ T. Bohun, *Moskwa 1612...*, s. 36.

⁷⁴ T. Bohun, *Moskwa 1612...*, s. 21.

⁷⁵ Tamże, s. 29.

⁷⁶ S. Żółkiewski, *Początek i progres...*, s. 123.

⁷⁷ T. Bohun, *Moskwa 1612...*, s. 33.

⁷⁸ Tamże, s. 33.

⁷⁹ J. Budziło, *Wojna moskiewska...*, s. 97.

⁸⁰ Tamże, s. 96–97.

skiewskich, musiał kontynuować działania militarne, aby Szujski nie był w stanie ponownie zebrać wojska ani wrócić do dawnych sił, układając się z Tatarami. Opozycja wobec Szujskiego w Moskwie rosła. Podsycana była sekretnymi listami hetmańskimi, *do ohydzenia Szujskiego ukazując, jako w cesarstwie moskiewskim za panowania jego się źle dzieje, i dla niego krew chrześcijańska ustawicznie się rozlewa*¹⁰¹. Z dniem 27 lipca panowie moskiewscy i dworzanie wdarli się do pałacu z przewoźnictwem Zacharego Lepunowa. Zmusili cara do abdykacji¹⁰².

W momencie opustoszenia przez Samozwańca tronu carskiego władzę w Moskwie przejęła semibojarszczyzna, składająca się z 7 bojarów: Fiodora Mściśławskiego, Iwana Worotyńskiego, Wasilija Gilicyna, Iwana Romanowa, Fiodora Szremietiewa, Andrieja Trubeckiego oraz Borysa Łykowa, wybranych przez Dumę. Mając z jednej strony impostora, z drugiej wojska królewskie, bojarowie wystosowali zapytanie do hetmana o zamiary, *czy jako przyjaciel czy nieprzyjaciel następuje*¹⁰³, na co hetman zapewnił o pokoju, poparciu bojarów dla Władysława oraz udzieleniu pomocy w kwestii szalbierza.

Również z wojska Samozwańca przybyło poselstwo z propozycją układu: *jeśliby się Moskwa carowi poddała, król JM, aby mu w tym przeszkody nie czynił, ale owszem, jako mu pomocen był*¹⁰⁴. Za pomoc ofiarowano Rzeczypospolitej, za każdy rok przez 10 lat, 300 tys. rubli, królowi 10 tys. oraz wieczne przymierze, również w ramach tego samego układu królowi odstąpić ziemię siewierską.

Posłowie Samozwańca zostali pokojowo odprawieni, a z Moskwy przyjechał orszak, w skład którego wchodził kniaziowie: Fedor Mściśławski, Wasyl Galiczyn, Fedor Szeremietiew, Daniło Mezecki oraz diakowie dumni (pieczętarze) Wasyl Telepniew i Tamiło Łagowski, którzy mieli najwyższe prawo decyzyjne¹⁰⁵. Hetman Żółkiewski nie miał żadnych instrukcji od króla, po które posłał już po rozwiązaniu kwestii kłuszyńskiej, spodziewając się pertraktacji i traktatów. Bojarowie życzyli sobie panowania Władysława i przechrzczenia go na prawosławie, co uważano już za kwestię przesądzoną, oraz zwrócenie zamków ziemi smoleńskiej i siewierskiej zajętych podczas walk. Moskwa wydała również Żółkiewskiemu cara Wasyla Szujskiego wraz z bratem Dymitrem i Iwanem, których odstawiono do Smoleńska¹⁰⁶. Ponadto na Żółkiewskim spoczywała kwestia rozprawienia się z Samozwańcem, który, przybywszy pod Moskwę, dawał się we znaki, demonstrując siłę oraz dokonując działań zaczepnych, które w momencie pertraktacji działały na korzyść strony polskiej. Samozwaniec bez swoich oddziałów nie znaczył nic. Dlatego też hetman pertraktował z Sapiehą, który mógł już działać w porozumieniu z Zygmuntem III. Jednak Sapieha *towarzystwo miał niesforne, swawolne, zuchwałe. Ostre responsa jęli panu hetmanowi dawać, opowiadając się, że od Moskwy odstąpić nie chcą, że też z pa-*

*nem swym (tym to impostorem) chcą szczęścia próbować*¹⁰⁷.

Kwestia obozu Samozwańca została rozwiązana 5 września poprzez demonstrację siły hetmana Żółkiewskiego wspólnie z Moskwą, która w pole wyszła w sile 15 tys. wojska¹⁰⁸. Nie doszło do żadnych walk. Mimo obustronnej gotowości po prostu nie chiano przelewać braterskiej krwi. Doprowadziło to do wstępnego porozumienia oraz wymówienia posłuszeństwa Samozwańcowi, który był w tym czasie w odległym o 2 mile monasterze Nowogroszowskim. Wspólnie z bojarami zdecydowano w nocy przenieść się oddziałami przez miasto w celu pojmania impostora. W czas ostrzeżony zbiegł on, już kolejny raz, od swojego wojska ku Kałudze. Doprowadziło to do przejścia wojsk szalbierza na stronę hetmańską oraz 27 sierpnia do przyjęcia przysięgi na królewicza Władysława, co król wołał raczej zachować dla siebie¹⁰⁹. Do przysięgi dołączyły się zamki: Nowogród Wielki, Czarana, Ustiuga, Perejesław Rezański, Jarosław, Wołohoda, Białejeziro oraz te od szalbierza: Kołomna, Tuła, Sierpuchow¹¹⁰.

Po rozwiązaniu sprawy Samozwańca oddziały polsko-litewskie pod komendą Żółkiewskiego, miały wycofać się do Możajski i tam oczekiwać powrotu poselstwa moskiewskiego, które najpierw miało wyruszyć pod Smoleńsk¹¹¹. Hetman zobowiązał się również, iż żadne większe oddziały nie wejdą do miasta bez bojarskiego pozwolenia i listów przejazdowych w przypadku zakupów i sprzedaży nie więcej niż po 20 ludzi¹¹².

W drugiej połowie września, wraz ze zbliżającymi się chłodami, pojawiła się kwestia rozlokowania oddziałów w strategicznych punktach: w klasztorach i wsiach wokół Moskwy bądź wprowadzenie oddziałów do miasta. W przypadku takiego rozwiązania możliwe były bunt, jak i działania sprzymierzeńców Samozwańca, mające na celu wprowadzenie zamieszania oraz jego przywrócenie. Z dniem 29 września Żółkiewski zaczął wprowadzać swe oddziały do Moskwy. Pułk Zborowskiego stanął w Kitajgorodzie, pułki Wajerów, Kazanowskiego w Biłgorodzie, Hetman, wraz ze starostą wieliskim stanęli w głównym zamku na Krymogrodzie¹¹³. Oddziały polskie wprowadzano do miasta dyskretnie, aby nie wywołać paniki ani żadnego powstania. Wprowadzano je zapewne wieloma bramami. Łącznie był to ok. 5 tys. Polaków oraz 800 żołnierzy z oddziałów cudzoziemskich¹¹⁴. Największym krytykiem takiego postępowania był patriarcha Hergomnes, który oskarżał Żółkiewskiego o niedotrzymanie porozumień z drugiej połowy sierpnia. Jednak bojarowie uważali, iż polskie oddziały, znajdujące się w mieście, stanowią doskonałą obronę przeciwko Samozwańcowi. Rozmieszczenie wojska miało służyć wzajemnej ochronie oddziałów, bo *w kupie wszyscy, jeden drugiego blisko*¹¹⁵.

Wraz ze stacjonowaniem oddziałów wojskowych w mieście należało zaostrzyć dyscyplinę, *pan hetman z pilnością rozkazał żeby nasi zaczepki z Moskwą nie czynili*¹¹⁶, a ciągła służba miała być tego gwarantem. Szczególny nacisk położono na całodobową służbę patrolową, gdzie każda chorągiew miała swój rewir. Przestępstwa i występkę obyczajowe, w szczególności popełniane na tle religijnym, były surowo karane. Problem w utrzymaniu porządku stwarzali sapieżnicy, którzy domagali się również zakwaterowania w stolicy, a w momencie odmowy zagrozili spustoszeniem Rezanii, skąd przychodziło zaopatrzenie. W celu powstrzymania tych oddziałów przed plądrowaniem obszarów i ziem, które przysięgli wierność i posłuszeństwo Władysławowi, wysłano ich do ziemi siewierskiej z obietnicą królewską zrównania ich zapłaty z pułkami Zborowskiego oraz wypłacenia żołdu za czas służby u Samozwańca oraz asekuracją¹¹⁷: *a jeśliby (...) pół roku po usiedzeniu na stolicy zapłaty wyciągając, żołdu ich mieć nie mieli, tedy im wolno będzie w Rzezańsku i siewierskiej ziemi tak długo trwać i niedostatków swych latać, aż ich skutecznie według naznaczonego naszego w response i umowy naszej ich zapłata dojdzie*¹¹⁸.

Drogi zaopatrzeniowe zostały otwarte, rzeką spływało zboże i inne towary. Poszczególnym oddziałom, które od momentu obsadzenia Moskwy pełniły funkcje garnizonu miejskiego, przydzielono rejony, które je żywiły, za pozwoleniem bojarszczyzny w odległości do stu mil od stolicy¹¹⁹. Żołd miał być wypłacany ze skarbu carskiego w wysokości 30 zł na żołnierza. Mogło to stanowić problem, gdyż po okresie rządów Dymitra I Samozwańca oraz Wasyla Szujskiego skarb był pusty. Mimo zmniejszenia handlu oraz, co za tym idzie, obrotu pieniądza, mennica moskiewska ciągle biła monetę, by nie dopuścić do spadku jej wartości, nawet w czasie oblężenia oraz by opłacić najemników. Z powodu odcięcia stolicy od regularnych dostaw srebra surowiec na pieniądź pozyskany z kosztowności i precjozów świątynnych, klasztorów oraz skarbu carskiego. Moneta, wytwarzana w tym czasie, miała propagandowe znaczenie – była wysokiej jakości, bita była z wizerunkiem cara Władysława¹²⁰.

Żółkiewski przyjął funkcję gubernatora, działającego w imieniu cara Władysława, która nie miała swojego uzasadnienia w prawodawstwie moskiewskim. Na konsultacjach z bojarami hetman mianował Gosiewskiego dowódcą garnizonu moskiewskiego ze wszystkimi funkcjami politycznymi. Również w czasie tych rozmów wynikało, iż za hetmańskiej obecności w mieście panował spokój. Bojarzy obawiali się, iż nie potrwą to długo, gdyż hetman opuści Moskwę, odjeżdżając na sejm. Z tego powodu Gosiewski, poza funkcjami policyjnymi garnizonu oraz ochronnymi, w celu przeciwdziałania spiskom zajął się wywiadem, korzystając z informacji dostarczanych przez bojarstwo oraz kupców¹²¹. Pomimo względnego spokoju oraz ogólnie przyjętej przysięgi na nowego cara ciągle istniały grupy wierne Samozwańcowi,

¹⁰¹ S. Żółkiewski, *Początek i progres...*, s. 146.

¹⁰² J. Budziło, *Wojna moskiewska...*, s. 103.

¹⁰³ S. Żółkiewski, *Początek i progres...*, s. 149.

¹⁰⁴ J. Budziło, *Wojna moskiewska...*, s. 103.

¹⁰⁵ S. Żółkiewski, *Początek i progres...*, s. 151.

¹⁰⁶ J. Budziło, *Wojna moskiewska...*, s. 106.

¹⁰⁷ S. Żółkiewski, *Początek i progres...*, s. 156.

¹⁰⁸ Tamże, s. 157.

¹⁰⁹ J. Budziło, *Wojna moskiewska...*, s. 107.

¹¹⁰ S. Żółkiewski, *Początek i progres...*, s. 160.

¹¹¹ T. Bohun, *Moskwa 1612...*, s. 49.

¹¹² Tamże.

¹¹³ S. Żółkiewski, *Początek i progres...*, s. 164.

¹¹⁴ T. Bohun, *Moskwa 1612...*, s. 51.

¹¹⁵ S. Żółkiewski, *Początek i progres...*, s. 164.

¹¹⁶ Tamże, s. 164.

¹¹⁷ Tamże, s. 165.

¹¹⁸ J. Budziło, *Wojna moskiewska...*, s. 110.

¹¹⁹ T. Bohun, *Moskwa 1612...*, s. 59.

¹²⁰ Tamże, s. 101–102.

¹²¹ Tamże, s. 102.

których posłuszeństwo zostało uzyskane pod groźbą interwencji wojskowych.

W dniu 20 XII 1610 r.¹²², na polowaniu w okolicach Kaługi, Samozwaniec został ostatecznie usunięty z rozgrywki o panowanie nad krajem moskiewskim. Został zamordowany podczas polowania przez kniazia Piotra Urusowa, który był pochodzenia tatarskiego, *gdy sobie impostor z (...) bojarzy najlepiej podpił, Urusow dobył (...) pistoletu, który miał gotowy, i przyskoczywszy do sani pierwszej go z pistoletu postrzelił, potem szabłą głowę i rękę mu odciął*¹²³. Istniały przypuszczenia i pogłoski, iż Urusow działał z polecenia hetmańskiego. Po śmierci szalbierza Kaługę przejęli bojarowie Trubecki i Sachowski, a Moskwa przysięgła wierność na imię królewicza Władysława.

Wraz ze śmiercią impostora zniknęły zagrożenia dla nowego władcy, jednak sytuacja polityczna i rokowania skomplikowały się, gdyż król Zygmunt III nie zamierzał dotrzymać warunków umowy spod Moskwy i wysłać na tron królewicza. Był to również punkt zwrotny w kampanii, która obróciła się przeciwko stronie polskiej. Działania patriarchy moskiewskiego Hermogenesa spowodowały powstanie niechęci oraz bunt ludności moskiewskiej pod pretekstami obrony wiary prawosławnej oraz ludności moskiewskiej. Nie bez znaczenia była również wieść o ciągle niezdobytym zamku smoleńskim i fiasku rokowań dyplomatycznych, które zostały przez smoleńszczan odrzucone z żądaniem spełnienia warunków umowy pomiędzy Moskwą a hetmanem Żółkiewskim. Doprowadziło to do buntów w różnych miejscach kraju, m.in. w Rezanii, z którego szło zaopatrzenie. Lepunow, straciwszy złudzenia, pisał ostre w wydźwięku listy do bojarów, krytykując brak działań w kierunku objęcia tronu przez księcia, utrzymując, iż król władzę dla siebie chce zachować, podsycał również niechęć i nienawiść, mówiąc o wykorzenianiu wiary prawosławnej przez stronę polską¹²⁴.

Zagrożenie buntami w stolicy rosło, szczególnie w okolicy świąt, kiedy do stolicy ściągali masy ludzi z okolicznych miejscowości. Niezadowoleni bojarowie i kniaziowie, Trubecki, Lapunow, Zarudzki, których obrano starszymi wodzami¹²⁵, Masalski, Izamiłow, Kozłowski, zaczęli zbierać wojsko już w styczniu 1611 r., jednak pora zimowa nie sprzyjała koncentracji. Stwarzało to realne zagrożenie dla garnizonu moskiewskiego, szczególnie w przypadku połączonych sił moskiewskich z wojskami zewnętrznymi. *Moskwa, widząc naszych zawsze gotowych, nie śmieli nic poczynać, nie ufając swej sile, którą mieli barzo wielką przeciwko naszym (...), a najbardziej obawiali się ogniów, którymi naszy grozili*¹²⁶.

W momencie zbliżających się wojsk do stolicy 29 marca wybuchły w Moskwie zamieszki trwające trzy dni. Walki toczyły się na barykadach i w wąskich uliczkach, gdzie konnica nie miała warunków do wykorzystania swoich atutów, a piechota polska i niemiecka stanowiła wsparcie. Moskwa miała nad garnizonem pol-

skim znaczną przewagę liczebną, co stwarzało trudną sytuację do opanowania. Jako ostatecznego rozwiązania użyto ognia, a *gdy ogień górę wziął, Moskwa strwożona, nie mając się przy czym opierać, z miasta w pole uciekać musiała, a naszy wiedząc o bliskim wojsku, wypaliwszy te dwa miasta, mury Białe z Drewnianym zamkiem, obwarowali sobie dwa zamki do obrony, Kitajgród i Krymgród*¹²⁷. Niewykluczone, iż Gosiewski, widząc zbliżające się zagrożenie, postanowił działać pierwszy, wywołując przy pomocy oddziałów zagranicznych rozruchy¹²⁸.

Widok płonącego miasta rozciągał się na kilka mil. Lapunow, widząc potrzebę, wysłał na posilek Moskwie Proszowickiego z kilku tysięcy wojska. W dniu 31 marca przeciwko tym oddziałom stanął Struś z Możajskim, nie dając im szansy się obwarować. Doszło do bitwy, z której zwycięsko wyszedł garnizon moskiewski, *rozgramiwszy z korzyścią tabory do zamku wrócili*¹²⁹.

W dniu 3 kwietnia pod monastylem Symonowym rozłożyło się wojsko Zarudzkiego, Trebuckiego i Lepunowa, nie ulegając zaczepnym działaniom garnizonu moskiewskiego, nie dali się wciągnąć w bitwę w polu. Siła pospolitego ruszenia po dotarciu posiłków na początku kwietnia wynosiła: 3 tys. Kozaków w pułku Zarudzkiego, 3 tys. Kozaków w pułku Trubeckiego, 2 tys. dworian u Pleszczejowa. W związku z przybyciem tak licznego pospolitego ruszenia, szczególnie w postaci 6 tys. Kozaków, Gosiewski przegrupował swoje oddziały i obsadził nimi mury i baszty Kitajgorodu¹³⁰.

Kwestia posiłków dla Gosiewskiego i obrońców Moskwy nie była do końca sprecyzowana, gdyż Smoleńsk ciągle się bronił, mimo braków w ludziach i straży na murach. W dniu 27 III 1611 r., król Zygmunt III wystosował asekurację, w której zobowiązywał się zapłacić po zajęciu tronu moskiewskiego sapieżym i wojskom, którzy dla Rzeczypospolitej będą działać *na każdą ćwierć usarzowi na koń po zł 30, petryhorcowi po zł 25, kozakowi po zł 20*¹³¹. Wobec nie tylko asekuracji finansowej króla, ale i dla sławy ojczyzny, wojsko zaczęło się zbierać 30 kwietnia pod Kozielskiem, a 8 maja, sporządziwszy się, ruszyło na Moskwę¹³². W dniu 11 czerwca Smoleńsk, utracony za króla Zygmunta Starego, został zdobyty szturmem po dwóch latach oblężenia przez jego wnuka, Zygmunta III¹³³. W takich warunkach nadszedł czas na odsiecz garnizonowi moskiewskiemu.

W dniu 17 czerwca wojsko dotarło pod Moskwę, zatrzymując się w odległości jednej mili, domagając się pieniędzy według królewskiej asekuracji, które po pertraktacjach ze skarbu moskiewskiego wydał Gosiewski w wysokości 400 tys.¹³⁴.

Nie tylko wojska królewskie żądały zapłaty. W pospolitym ruszeniu wyniknęły nieporozumienia wśród Kozaków, dworian i dowódców odnośnie należności wynikających z rabunkowych najazdów. W dniu 10 lipca ustalono za-

sady podatkowe oraz podział i pobór prowiantu. Żołd miał być wypłacany według pochodzenia i długości służby, a samowolne pobieranie pieniędzy z włości okupowanych przez oddziały kozackie zostało zabronione. Provokacja Gosiewskiego doprowadziła do konfrontacji Kozaków z Lepunowem, którego podrobione listy miały świadczyć o kontakcie z garnizonem moskiewskim. W rezultacie podburzeni Kozacy zamordowali Lepunowa, a powstałe wewnętrzne konflikty i utrata jednego z dowódców osłabiły pospolite ruszenie.

W Moskwie sytuacja również nie wyglądała obiecująco. Już w lipcu zaczynało brakować żywności, oddziały domagały się zaległego żołdu, a skarbiec był pusty. Wpływ na sytuację miały ciągle działania pospolitego ruszenia pod stolicą. Zaczęto dyskutować o pieniądzach z bojarami. W przypadku braku monety zgodzono się zapłacić fantami według ilości 30 zł na koń. Sapieha naciskał Gosiewskiego na włączenie jego oddziałów do rozliczenia z bojarami, w konsekwencji przyjął na poczet żołdu insygnia carskie pod zastaw¹³⁵. W ostatnich dniach sierpnia zachorował Piotr Sapieha. Umarł 15 września. Funkcję dowódcy przejął Józef Budziło¹³⁶. W sytuacji utraty charyzmatycznego dowódcy oraz problemów z żołdem część oddziałów Sapiehy opuściła obóz i ruszyła ku granicom Rzeczypospolitej. W wyniku tego z Budziłą zostało 950 żołnierzy. W dniu 19 września z Moskwy wyruszyli posłowie na sejm, który miał rozpocząć się 26 września w Warszawie. Każdy pułk wysłał swoich posłów, którzy w wypadku kolejnych problemów finansowych mieli zagrozić zawiązaniem konfederacji i opuszczeniem Moskwy, na wypłacenie należności dali królowi czas do 6 I 1612 r.

W dniu 25 września pospolite ruszenie podpaliło Kitajgród, okładając blokadą Kreml, przypuszczając również szturm, zatrzymany przez wojska sapieżyne. Król jako posiłki wysłał wielkiego hetmana litewskiego Chodkiewicza z oddziałami, które dotarły pod stolicę 4 października, z siłami ok. 2500 żołnierzy w stanie 12 chorągwi jazdy oraz dwóch piechoty, pułku wydzielonego z garnizonu smoleńskiego liczącego 11 chorągwi jazdy¹³⁷. Z takimi siłami Chodkiewicz nie był w stanie przebić się przez blokujące stolicę oddziały, jednak lokował swoje siły na drogach dostarczających posiłki i zaopatrzenie dla oddziałów pospolitego ruszenia.

W ostatnich tygodniach 1611 r. sytuacja garnizonu moskiewskiego była trudna ze względu na oddziały pospolitego ruszenia otaczające miasto oraz zamknięte kanały zaopatrzeniowe. Już w grudniu pomyślano o prowiant, *gdyż głód wielki nastał w stolicy*¹³⁸, a co za tym idzie, ceny nie tylko pożywienia, ale wszystkiego, co można było za pożywienie wymienić, drastycznie wzrosły – 70 rubli za krowę, ćwierć szkapiny 20 zł, połeć słoniny 30 zł, jajo 2 zł, kwarta gorzałki 12 zł, garniec piwa 2 zł, miodu 8 zł, wróbel sroka i wrona od 10 do 15 groszy, ćwierć żyta 40 zł¹³⁹. *Kto nie miał za co kupić, ścierwem się posilać musiał*¹⁴⁰. Ze względu na

¹²⁷ Tamże, s. 115.

¹²⁸ T. Bohun, *Moskwa 1612...*, s. 117.

¹²⁹ J. Budziło, *Wojna moskiewska...*, s. 115.

¹³⁰ T. Bohun, *Moskwa 1612...*, s. 125.

¹³¹ J. Budziło, *Wojna moskiewska...*, s. 119.

¹³² Tamże.

¹³³ S. Żółkiewski, *Początek i progres...*, s. 195.

¹³⁴ J. Budziło, *Wojna moskiewska...*, s. 120.

¹³⁵ T. Bohun, *Moskwa 1612...*, s. 158.

¹³⁶ J. Budziło, *Wojna moskiewska...*, s. 124.

¹³⁷ T. Bohun, *Moskwa 1612...*, s. 162.

¹³⁸ J. Budziło, *Wojna moskiewska...*, s. 136.

¹³⁹ Tamże.

¹⁴⁰ Tamże.

¹²² S. Żółkiewski, *Początek i progres...*, s. 182.

¹²³ Tamże, s. 182–183.

¹²⁴ Tamże, s. 185.

¹²⁵ J. Budziło, *Wojna moskiewska...*, s. 114.

¹²⁶ Tamże.

sytuację w stolicy hetman 18 grudnia zdecydował się na wysłanie zaopatrzenia i żywności pozbieranej ze swojego wojska. Oddział z prowiantem składał się z 500 żołnierzy, podczas wyprawy, ze względu na bardzo mroźną zimę, ręce do broni przymarzały, zmarło ludzi sporo, ale Moskwy więcej, bo około 360¹⁴¹. Doszło do zaciętych walk pomiędzy oddziałami Koreckiego a moskiewskimi na Zamoskwierczy oraz skutej lodem rzece, utraty części wozów z prowiantem, prawdopodobnie z powodu braku reakcji garnizonu moskiewskiego, który mógł już bardzo być wyczerpany¹⁴².

Wraz z początkiem 1612 r. upływał termin wypłaty żołdu, ustalony na sejmie 26 września, co spowodowało zawiązanie się konfederacji. Decyzję o jej zawiązaniu przyspieszyła sroga zima oraz głód panujący w stolicy. Pertraktacje już nie przynosiły żadnych rezultatów, a 27 stycznia oficjalnie zawiązano konfederację garnizonu moskiewskiego z postulatem jasno określającym przyczyny powstania związku oraz skutkami w postaci przekroczenia granicy oraz okupacji królewskiej aż do momentu otrzymania należnych zaległości¹⁴³. W czasie zawiązywania konfederacji hetman Chodkiewicz spotkał się z Budziłą osobiście w Rostowie w celu przygotowania prowiantu oraz kontyngentu 1500 żołnierzy zdolnych zmienić skonfederowany, zmęczony i głodny garnizon moskiewski do połowy marca. Budziła dotarł do Moskwy już 27 stycznia¹⁴⁴.

Przez pierwsze 6 miesięcy 1612 r. sytuacja w Moskwie ponownie stała się napięta. Konfederaci domagali się żołdu, groząc plądrowaniem, a w Moskwie toczyły się spory na temat dowództwa garnizonem pomiędzy Gosiewskim a Strusiem, którego ostatecznie mianowano dowódcą 27 czerwca.

Dodatkowo napięcie sytuacji potęgowała obecność wojsk pospolitego ruszenia, które wobec opuszczenia miasta przez skonfederowane pułki przypuściły na Kitajgród nieudany szturm w nocy z 6 na 7 lipca¹⁴⁵. W sierpniu pod Moskwą zaczęły pojawić się oddziały drugiego pospolitego ruszenia, co stanowiło kolejne zagrożenie dla garnizonu moskiewskiego, gdyż mogły liczyć nawet do 14 tys. żołnierzy, w tym 3 tys. Kozaków, ponad 10 tys. cudzoziemskich najemników, w tym Tatarów¹⁴⁶. Nie obyło się również bez problemów wewnętrznych pomiędzy nowymi a starymi oddziałami pospolitego ruszenia, co doprowadziło do opuszczenia obozu oblegającego Moskwę. Pozostał w nim natomiast pułk Trubeckiego, który nie zamierzał ustępować Pożarskiemu, ale dążył do połączenia sił¹⁴⁷.

Wielki hetman litewski Chodkiewicz przybył w ostatnich dniach sierpnia pod Moskwę z posiłkami w liczbie 15 chorągwi z Polski¹⁴⁸, w ogólnej liczbie 1400 jazdy oraz 300–400 piechoty. Liczebnie nie przewyższał oddziałów drugiego pospolitego ruszenia, ale dysponował chorągwami husarskimi, którymi dowodził w kilku kampaniach, oraz dobrze wyszkolo-

nymi piechurami węgierskimi. Do oddziałów Chodkiewicza przyłączyli się również kupcy z taborzem handlowym w liczbie ok. 400 wozów, dla których blokowana od dwóch lat Moskwa stanowiła doskonały rynek zbytu. Kupcy wraz z towarami zaspokoili potrzeby wojska aż do przybycia Zygmunta III z odsieczą najpóźniej w grudniu 1612 r.¹⁴⁹

Przedarcie się przez oddziały blokujące stanowiło duże wyzwanie. Obronę oparto o baszty i mury, szczeliny zasłonięto taborzem. Wzięto pod uwagę strukturę terenu oraz bliskość rzeki, która uniemożliwiała pełne wykorzystanie jazdy, oraz wały ziemne, barykady i okopy służące obronie obozu. Skłaniało to Chodkiewicza do podjęcia decyzji o objęciu najkrótszej drogi na Kreml. Hetman miał do pokonania ok. 2 km w bardzo trudnym terenie, zmuszając przeciwnika do wyjścia w pole, gdzie stawiała by mu czoła husaria, a piechota, w tym Kozacy, mieli ochraniać tabor i torować drogę na Kreml¹⁵⁰. Istotnym elementem całego planu miała być współpraca z garnizonem moskiewskim, do którego wysłano wiadomość o nadchodzącej odsieczy z założeniami planu Chodkiewicza.

W dniu 1 IX 1612 r., w wyniku usytuowania wojsk księcia Pożarskiego na zachodzie miasta w dwóch grupach jazdy ustawionej ukośnie do siebie, równoległe do wału Skorodromu i do zakola rzeki, Chodkiewicz musiał podzielić swoje siły. Pierwsze uderzenie przyjęła na siebie husaria i piechota. Zarówno książę Pożarski, jak i Chodkiewicz uczestniczyli w walce, dodając otuchy swoim oddziałom. Oddziały Pożarskiego słabły pod naporem husarii, który w rezultacie zdecydował się na odwrót, kierując jazdę pod osłonę strzelców osadzonych na wale. Walki w obszarze zajmowanym przez oddziały Chodkiewicza przeciągały się do godziny 20. Drugie uderzenie, oddalone na północ od głównych sił, przeprowadzone grupą Wasicyńskiego i Zalewskiego, zmusiła naporem oddziały pospolitego ruszenia do odwrotu wzdłuż rzeki w kierunku północnym i Arbatu. Udało się również wbić w głąb ulic, gdzie nastąpiła skoordynowana akcja oddziałów garnizonowych Strusia i Budziły. Jednak doskwierający brak zaopatrzenia dawał się silnie we znaki, skoro *chleb wyszedł, siłę brał głód, nie tylko nogi, ale i ręce służyć natenczas nie chciały*¹⁵¹, nie pozwalając na ostateczne przebicie się przez oddziały pospolitego ruszenia.

Zacięte walki toczone przez Chodkiewicza spowodowały odwrót Pożarskiego, którego oddziały kozackie, wcześniej tylko obserwujące wydarzenia, łączyły się wreszcie do walki. Szala zwycięstwa przechyliła się dzięki temu na stronę pospolitego ruszenia, zmuszając Chodkiewicza do przerwania walk.

Ze względu na teren, na jakim toczyły się walki 1 września, nie było możliwości pełnego wykorzystania husarii, co znacznie ograniczało możliwości bojowe oddziałów hetmana. *Widząc pan hetman, iż z tej strony obłężców trudno ratować i żywności dodać, bo mury Białe dobrze opatrzyli i taborzem zasłoniли*¹⁵². Zaczął poszukiwać innej możliwości przedarcia się z zaopatrzeniem na Kreml, na południu, od

Zamoskwiercza, gdzie stacjonowały oddziały Trubeckiego z pierwszego pospolitego ruszenia. Oddziały nie były tak liczne, a teren nie był tak trudny dla jazdy.

W dniu 3 września o 6 rano hetman Chodkiewicz, *aby ich mógł ratować (...) obóz wszystkich ścisnąwszy, wojsko też wszystkie*¹⁵³, ruszył do decydującego ataku. Wynikać z tego może, iż podczas długich i wyczerpujących potyczek 1 września poniesione straty były wysokie. Tym razem hetman nie zakładał obozu ani nie zostawiał straży, ale włączył do swoich oddziałów tabor z wozami. I tym razem Pożarski uczestniczył w bitwie, jednak miał mniej szczęścia niż podczas pierwszej potyczki; został ranny, co mogło doprowadzić do załamania się obrony i utrzymania pola przez hetmana i *tabor hetmański przyszedł na Drzewiane Miasto, gdzie jeszcze piechoty moskiewskiej z parą dział przy rowach zasadziło, potężnie strzelbę przypuścili*¹⁵⁴. Kolumna taborowa dotarła do cerkwi św. Katarzyny, gdzie okazało się, iż Kozacy Trubeckiego opuścili stanowiska obronne aż do cerkwi św. Klemensa, stanowiącej punkt oporu na terenie Zamoskwiercza. Nie było możliwości ominięcia istniejących przeszkód, należało je zdobyć. Opanowanie cerkwi św. Klemensa nie powiodło się ze względu na upór Kozaków, jednak zamiast tego hetman postanowił udrożnić Białą Ordynkę, i tedy wprowadzić 400 wozów na Kreml. Kozacy zostali zmobilizowani do zwarcia szeregów; za namowami mnicha Awraamija, nawet z najodleglejszych obozów wrócili do walki. Zwycięstwo wymykało się hetmanowi z rąk, *Moskwa wszystka mocą swoją, co mogła być we wszystkich taborach, (...) mocno poczęli na tabor hetmański nacierać*¹⁵⁵, co skłoniło Chodkiewicza do ustąpienia ze względu na kolejny dzień zaciętych walk, zmniejszający się stan liczebny swoich oddziałów oraz wielu rannych. Tabor i zapasy wpadły w ręce Kozaków i dworian Trubeckiego. Hetman Chodkiewicz 3 września stracił wszelkie możliwości pomocy garnizonowi moskiewskiemu, które przepadły wraz z taborzem.

W dniu 7 września Chodkiewicz, *niemogąc obłężców ratować, dla szkody swej która miał w ludziach i zgoła ich już lewdo 400 jezdnych mając, (...) do 3 niedziel, obiecując się im stawić w lepszych posiłkach*¹⁵⁶. Odparcie Chodkiewicza oraz uniemożliwienie dostarczenia zaopatrzenia było niewątpliwie wielkim sukcesem Pożarskiego i Trubeckiego. Nie oznaczało to jednak końca zmagania, gdyż Zygmunt III wraz z księciem Władysławem był już w drodze, wysyłając 25 listy z informacją o chorobie uniemożliwiającej objęcie tronu carskiego. Król wraz z Chodkiewiczem ponownie zajęli się rekrutacją żołnierza. Dowódcy pospolitego ruszenia zdawali sobie sprawę, iż tym razem mogą być w stanie stawić silnego oporu wojskom polskim. Powstał spór między dowódcami pospolitego ruszenia, dworianami i Kozakami. W świetle przypuszczeń, iż król jest tylko na pokaz, a realna władza ma przypaść Zygmuntowi III¹⁵⁷, obaj dowódcy połączyli siły i wzmocnili blokadę Kremla i Ki-

¹⁴¹ T. Bohun, *Moskwa 1612...*, s. 166.

¹⁴² J. Budziło, *Wojna moskiewska...*, s. 136.

¹⁴³ T. Bohun, *Moskwa 1612...*, s. 169.

¹⁴⁴ J. Budziło, *Wojna moskiewska...*, s. 137.

¹⁴⁵ T. Bohun, *Moskwa 1612...*, s. 176.

¹⁴⁶ Tamże, s. 185.

¹⁴⁷ Tamże, s. 182.

¹⁴⁸ J. Budziło, *Wojna moskiewska...*, s. 150.

¹⁴⁹ T. Bohun, *Moskwa 1612...*, s. 195.

¹⁵⁰ Tamże, s. 198.

¹⁵¹ J. Budziło, *Wojna moskiewska...*, s. 150–151.

¹⁵² Tamże, s. 151.

¹⁵³ Tamże.

¹⁵⁴ Tamże.

¹⁵⁵ Tamże, s. 152.

¹⁵⁶ Tamże, s. 153.

¹⁵⁷ T. Bohun, *Moskwa 1612...*, s. 247.

tajgorodu. Do problemów z zaopatrzeniem i głodem dołączył również ostrzał artyleryjski już 20 września, który powtarzał się kilkakrotnie, próba szturm i wdarcia się na Kreml oraz próba podkopu¹⁵⁸. Poprzez blokadę doszło do olbrzymiego wzrostu cen, a w przypadku braku pieniądza nawet konsumpcji psów i kotów, aktów kanibalizmu w postaci spożywania ciał dawno poległych towarzyszy. Doprowadziło to do upadku morale, dezercji, strachu przed ludźmi. Przypuszczalnie coraz więcej żołnierzy myślało o kapitulacji, o umożliwieniu wrogowi zajęcia ich pozycji.

Rokowania zaczęły się już w końcu października, jednak kapitulacja nie oznaczała bezwarunkowego poddania się. Struś zażądał od Pożarskiego i Trubeckiego gwarancji bezpieczeństwa i możliwości powrotu do ojczyzny dla oddziałów opuszczających Kreml i Kitaj-gród, podobnie jak uczynił to hetman Żółkiewski pod Kluszyńem. Do listopada nastąpiło kilka potyczek, które znacznie uszczupliły liczebność moskiewskiego garnizonu, a 6 *Novembra, gdyśmy już oblężęncy nieszczęściem (...) ogarnieni byli, ratunku żadnego, (...) a koło szczęścia naszego opak się odwróciło*¹⁵⁹.

W dniu 7 listopada garnizon wpuścił pospolite ruszenie do Moskwy, *rycerstwo do taboru wzięto, między bojar rozdano majątności ich, (...) kozakom moskiewskim oddano*¹⁶⁰. Dowódców, strusia i Budziłę uwięziono. Król, dowiedziawszy się o wydarzeniach i opuszczeniu stolicy przez garnizon moskiewski, wysłał poselstwa, jednak bez posłuchu. Podczas rozmów doszło do rozruchów, które skończyły się obelgami rzuconymi w stronę Zygmunta III¹⁶¹. Poparcie dla Władysława było już zbyt słabe, a 3 III 1613 r. wybrano Michaiła Romanowa na cara.

W 1617 r. wyprawa królewicza Władysława, który był uważany w Rzeczypospolitej za legalnego władcę moskiewskiego, nie przyniosła żadnego sukcesu. Kolejne oblężenie Moskwy przez Polaków w 1618 r. nie dało żadnego rozstrzygnięcia, gdyż siły polskie okazały się za słabe, aby Moskwę ponownie zdobyć, a moskiewskie, by polskie rozbić. Doszło do rokowań w Dywulinie, a 11 XII 1618 r. zawarto rozejm, który miał trwać do 1633 r. W myśl postanowień rozejmu do Polski przyłączono ziemię smoleńską, czernichowsko-siewierską oraz Siebiez i Newel. Car Michaił I Romanów zrzekł się również tytułów księcia ziem przyznanych Polsce¹⁶².

Wydarzenia lat 1609–1612 postawiły Rzeczypospolitą w unikatowej sytuacji, która nigdy więcej może się nie powtórzyć. Wielka Smuta, która ogarnęła państwo moskiewskie, doprowadziła do długiej i krwawej walki o władzę, pojawienia się osobistości w postaci uzurpatora, dwóch Samozwańców, zawierania sojuszy, zrywania ich oraz licznych działań militarnych. Śledząc wydarzenia szczególnie początkowej fazy okresu, można zauważyć, iż wtedy możliwości powiększenia obszarów Rzeczypospoli-

tej były największe. Bojarzy pragnęli stateczności po latach niepokoju związanego z walką o władzę i szukali jej za granicą zachodnią u monarchy polskiego. Zygmunt III obiecał im syna, któremu przysięgli posłuszeństwo i nazwali carem, jednak nie do końca król się z takim rozwiązaniem zgadzał. Prawdopodobnie wolał przejąć państwo moskiewskie dla siebie niż oddawać ten obszar pod odrębne panowanie swojego syna. Z drugiej strony jednak, Władysław mógłby zostać zamordowany, stać się marionetką w rękach doświadczonych i przebiegłych bojarów, stanowić kartę przetargową w porozumieniach bądź konfliktach militarnych, jak i również stanowić konkurencję. Biorąc pod uwagę więzi dynastyczne, panowanie królewicza Władysława jako cara mogło przynieść wymierne korzyści Rzeczypospolitej w postaci militarnej bądź gospodarczej.

Brak wystarczających funduszy na wysłanie niezbędnych posiłków w celu odparcia pierwszego oraz drugiego pospolitego ruszenia doprowadził do upadku garnizonu moskiewskiego, który zajął i utrzymał stolicę przez dwa lata. Był to okres wielkich szans, które w wielu przypadkach zostały zmarnowane i okupione krwią i życiem tysięcy żołnierzy. Pozostaje zatem pytanie, czy osadzenie na tronie carskim syna Zygmunta III Władysława doprowadziło by do rozwoju czy upadku Rzeczypospolitej?

Rozważając działania militarne, warto zauważyć, że szczególnie pierwsza faza konfliktu przyniosła Rzeczypospolitej Moskwę, miasto którego nikomu wcześniej i w następnych wiekach nie udało się opanować. Przypatrując się przebiegowi konfliktu, można również zwrócić uwagę na zamiary króla, który stawiał najpierw na opanowanie Smoleńska, którego nie zdobyto do końcowej fazy konfliktu, a dopiero potem Moskwy. Strategia ta różniła króla oraz hetmana Żółkiewskiego, który dowiódł, iż zdobycie Moskwy jest możliwe, co więcej, w sposób pokojowy i na własnych warunkach. Interesująca jest również kwestia instrukcji królewskich, których Żółkiewski nie posiadał mimo wysyłania zapytania już po bitwie kluszyńskiej, a w przypadku zawarcia umowy samodzielnie był skrytykowany.

Wspólne działania króla i hetmana mogłyby przyczynić się do ostatecznego rozbitcia oddziałów Samozwańca, a następnie pospolitego ruszenia, którego konsolidacja zaczęła się od niechęci spowodowanej brakiem inicjatywy w egzekwowaniu postanowień porozumień i traktatów odnośnie królewicza. Problem również leżał w podzielonych opiniach dowódców, słabych możliwościach finansowych, zaległościach w ich wypłacaniu, braku dostatecznych posiłków oraz, co za tym idzie, zawiązywaniem się konfederacji i opuszczenia Moskwy przez niezadowolone oddziały. Mimo tego, Moskwa nie została odbita przez wojska pierwszego i drugiego pospolitego ruszenia, jednak doskwierający głód, wynikający z blokady miasta, rozluźnienie dyscypliny i upadek moralny, związany z brakiem prowiantu, doprowadziły do opuszczenia stolicy przez oddziały polskie.

Michał Filip Świdwa

Znaczenie Liverpoolu w gospodarce atlantyckiej XVIII w.

Międzykontynentalna gospodarka handlowa XVIII w. miała istotny wpływ na rozwój społeczno-gospodarczy Europy. W ramach tej gospodarki, prowadzonej w obszarze basenu Oceanu Atlantyckiego, największe znaczenie miał handel niewolnikami. Skutki obrotu ludzkim kapitałem przybrały charakter zarówno regionalny, jak i globalny. Przemieszczenie mas ludności pomiędzy kontynentami sprzyjało nie tylko rozwojowi handlu, zwiększaniu kapitału pieniężnego oraz pojawianiu się nowych narzędzi gospodarki finansowej, ale również w znacznym stopniu wpływało na rozwój ośrodków portowych w basenie Oceanu Atlantyckiego.

Jednym z takich ośrodków, obok Bristolu i Londynu, było miasto portowe Liverpool, leżące w północno-zachodniej Anglii nad rzeką Mersey. Dzięki swojemu geograficznemu położeniu Liverpool był unikatowym ośrodkiem handlowym, oddalonym od europejskich obszarów konfliktowych, nienarażonym na ataki statków wojennych bądź korsarskich. W ostatnich latach XVII w. Głównym partnerem handlowym dla brytyjskiego Liverpoolu była Irlandia oraz kolonie Maryland i Virginia, którym dostarczano służących, zaopatrzenie między innymi w postaci wołowiny i wieprzowiny. Handlowano również tytoniem i cukrem (ryc. 1), których obrót stawiał Liverpool na drugim miejscu w gospodarce krajowej¹⁶³. Do portu w Liverpoolu docierały również towary z handlu bałtyckiego, m.in. w postaci drewna dla stocznii oraz z afrykańskiego handlu przybrzeżnego, zapewniającego artykuły spożywcze na rynki rodzime.

Z końcem XVII w. kończyła się dominacja i monopol londyński w afrykańskim handlu niewolnikami. Handlowcy z Liverpoolu wchodzili na rynek niewolniczy powoli, wysyłając niewiele statków niewolniczych (ryc. 2, 2a) w ciągu pierwszych dwóch dekad XVIII w. W ciągu następnych dziesięcioleci liczba wypraw znacząco wzrastała, tym samym umacniając pozycję i znaczenie portu. W latach dwudziestych XVIII w. z Liverpoolu wyruszyło 47 wypraw handlowych, w latach trzydziestych już 197, w kolejnej dekadzie – 217, następnie ok. 500, osiągając liczbę 790 w ostatnich latach XVIII w., co stanowiło ponad 70% całości brytyjskich wypraw handlowych¹⁶⁴.

Wysoki współczynnik urbanizacji miasta w końcowych latach XVII w. przyczynił się do zwiększenia możliwości organizacyjnych handlu zamorskiego przy jednoczesnym wzroście wykwalifikowanej kadry marynarzy i oficerów oraz budowniczych statków. Perspektywa zatrudnienia w szybko rozwijającym się mieście portowym przyciągała nie tylko handlowców i marynarzy, ale również rusznikarzy, browar-

¹⁵⁸ J. Budziło, *Wojna moskiewska...*, s. 153, 159.

¹⁵⁹ Tamże, s. 165.

¹⁶⁰ Tamże, s. 166.

¹⁶¹ T. Bohun, *Moskwa 1612...*, s. 271.

¹⁶² M. Gędek, *Wojny polsko-moskiewskie od XV do XVIII wieku*, Warszawa 2015, s. 185–186.

¹⁶³ K. Morgan, *Liverpool's Dominance in British Slave Trade 1740–1807*, [w:] *Liverpool and Transatlantic Slavery*, ed. D. Richardson, S. Schwarz, A. Tibbles, Liverpool 2010, s. 17.

¹⁶⁴ Tamże, s. 14–15.

ników, stolarzy, szklarzy, księgowych, krawców, przemysłowców, tkaczy, medyków, winiarzy i rzeźników¹⁶⁵. Wszystkie te grupy zawodowe czerpały korzyści z wypraw handlowych, stymulując napływ kapitału oraz szeroko pojęty rozwój przemysłowy regionu.

Ze względu na zwiększony przepływ dóbr i odbiór znacznego kapitału, port w Liverpoolu w XVIII w. rozbudowano o 6 doków, co przyczyniło się do zwiększenia efektywności w przeladunku towarowym przy jednoczesnym wykorzystaniu rzeki Mersey. Również skutnictwo liverpoolskie stało na wysokim poziomie, dostarczając 2120 z 8087 statków, co stanowi 26% wykorzystywanych w brytyjskim handlu niewolniczym¹⁶⁶.

Szybko rozwijający się Liverpool stanowił konkurencję dla Bristolu i Londynu, gdzie ubezpieczenia i cła były wysokie ze względu na położenie geograficzne i uczęszczane szlaki handlowe, które były wykorzystywane przez korsarzy oraz okręty wrogich państw. Dodatkowym atutem, przemawiającym za handlem z Liverpoolu, była odległość do Wyspy Man, na której towary zagraniczne – z Holandii lub Wschodnich Indii, nie były oclone w odróżnieniu do portów brytyjskich. Ułatwiała to transport i obniżała koszty pakietu towarów, gdyż kupcy wyruszający do Afryki nie musieli płacić cła, dokonując załadunku na Wyspie Man. Były to m.in. alkohol, żelazo i wyroby żelazne, proch, paciorki oraz muszelki cowrie (ryc. 3)¹⁶⁷. Bliskie kontakty lądowe z obszarami przemysłowymi w Lincolnshire oraz Manchesteru umożliwiały pozyskanie tanich substytutów w postaci płótna i bawełny, wymaganych w pakietach w handlu afrykańskim, co dodatkowo stymulowało regionalny rozwój przemysłowy powiązany z portem.

Warunki portu macierzystego oraz wykorzystanie napływającej wykwalifikowanej siły roboczej i kadry marynarskiej, dały handlarzom z Liverpoolu przewagę nad pozostałymi brytyjskimi portami, jak również nad innymi krajami europejskimi. Z powodu późnego wejścia na rynek niewolniczy oraz konkurencji stwarzanej przez Francuzów i Holendrów handlarze liverpoolscy byli zmuszeni eksplorować odległe rynki i rejon. Istniejące już powiązania pomiędzy handlarzami europejskimi a afrykańskimi dostawcami stwarzały trudności w nawiązywaniu nowych kontaktów, bowiem działalność Europejczyków opierała się często na wielopokoleniowych relacjach z rodzinami afrykańskimi bądź mieszanymi, afrykańsko-europejskimi. Europejscy rezydenci, zamieszkujący wybrzeża Afryki, często pośredniczyli w wymianie handlowej, stwarzając dodatkowe trudności dla nowych kupców¹⁶⁸. Z tego względu, szczególnie w latach 1720–1807, handlarze z Liverpoolu pełnili kluczową rolę w wymianie handlowej w nieeksplorowanych przez konkurencję w rejonach Zatoki Białej, Zatoki Benin, Złotym Wybrzeżu, Sierra Leone, Senegambii i Wybrzeżu Kości Słoniowej¹⁶⁹.

W tych rejonach podaż niewolników pozostawała głównie pod kontrolą Afrykańczyków, którzy pozyskiwali niewolników poprzez istniejące struktury polityczne, dzięki działaniom wojennym, rozszerzaniu się islamu od wschodu, a tym samym dzięki zwiększonej migracji ludności na zachodnie tereny. Transakcje pomiędzy dostawcami afrykańskimi a kupcami z Liverpoolu odbywały się głównie poprzez barter, czyli wymianę pakietu towarów za niewolników, często przy jednoczesnym udzielaniu kredytu. Transakcje kredytowe, również nazywane „zaufaniem”, wytworzyły specyficzne relacje handlowe, polegające na powtarzalności, co pozwalało na zmniejszenie ryzyka, ograniczenie kosztów oraz przyspieszenie procesu zakupu niewolników i wymiany¹⁷⁰. W XVIII w., właśnie dzięki „zaufaniu”, powstały relacje pomiędzy generacjami kupców z Liverpoolu a generacjami elit miejscowego społeczeństwa, jakimi byli dostawcy afrykańscy. W celu podtrzymania takich kontaktów kupcy często uczestniczyli w lokalnych wydarzeniach, zwyczajach i świętach, często bez powiązania handlowego, co dodatkowo pogłębiało zaufanie pomiędzy dostawcą a odbiorcą¹⁷¹. Poprzez istnienie takich relacji pojawiły się w tych rejonach bariery dla innych handlarzy, którzy próbowali stworzyć konkurencję dla handlarzy z Liverpoolu.

Kredyt stał się podstawą funkcjonowania handlu w atlantyckiej Afryce. Wpływał pozytywnie na transakcje oraz strony zainteresowane. Nie był jednak wolny od ryzyka. Niezabezpieczony kredyt, znamieny dla handlarzy z Liverpoolu, nie gwarantował oczywiście zwrotu należności, szczególnie w przypadkach konfliktów politycznych, w których afrykańskie grupy bądź rodziny handlujące zostały usunięte. Doprowadziło to do poszukiwania sposobów zabezpieczenia kredytu oraz zmniejszenia znaczenia personalnego w transakcjach. Z tego powodu pojawiły się listy referencyjne, zawierające poparcie właścicieli lub kapitana statku oraz lokalnych handlarzy. Czasami, w celu udzielenia gwarancji, używano krążków z inskrypcją, wykonanych z kości słoniowej (ryc. 4)¹⁷². Do metod gwarancyjnych należy poparcie lokalnej grupy rządzącej, która zwykle była zaangażowana w pozyskiwanie kapitału ludzkiego z głębi lądu. W przypadku Zatoki Białej, gdzie występowały elekcyjne rządy absolutystyczne, pojawiła się handlowa kontrola wojskowa, a „król” ustalał zasady transferu kredytowego, nakładając dłużników do spłaty należności¹⁷³.

W przypadku braku zcentralizowanej władzy w rejonach objętych handlem z Liverpoolem, tj. rejonem Starego Calabaru, dzisiejszej Nigerii, Kamerunem i Gabonem, zostały wprowadzone inne formy zabezpieczenia, w postaci pozyskania fizycznego zabezpieczenia „pod zastaw”. Oznaczało to osobiste negocjacje kapitana statku w celu dobrowolnego pozyskania zakładników jako gwarantu w momencie finalizowania transakcji. Takie zabezpieczenie mogło być nieograniczone czasowo, a zakładnicy mogli być wykorzystywani jako robotnicy w celu odpracowania odsetek, ale nie zmniejsza

szczenia lub anulowania należności. Zwykle jako zakładników brano członków rodzin afrykańskich handlarzy, którzy byli obligowani poprzez więzy krwi do spłaty należności¹⁷⁴.

Kontrola należności przez władzę zwierzchnią oraz system zakładników jako gwarantu spłaty należności były dwoma głównymi sposobami zabezpieczenia, z czego odgórna władza i zorganizowany system kontroli był bardziej efektywny w windykacji środków¹⁷⁵.

Handlarze z Liverpoolu przyczynili się do rozwoju handlu niewolnikami, ze względu na pozyskanie nowych rynków, dostawców oraz na nowe drogi spłaty należności, polegającej na udzielaniu niezabezpieczonych kredytów, które możliwe były dzięki wieloletnim relacjom pomiędzy kontrahentami. Nie tylko te elementy wpłynęły na wzrost znaczenia portu w Liverpoolu oraz jego krajową dominację w handlu niewolniczym. Duże znaczenie miała również bliskość Wyspy Man jako podatkowego rajy na towary, wchodzące w skład pakietu zmniejszających koszty wypraw, jak również wykwalifikowana kadra oraz bliskość okręgów przemysłowych Lincolnshire i Manchesteru. Organizatorzy wypraw nie mieli trudności z zatrudnieniem doświadczonej kadry, która, będąc dobrze opłacaną, usprawniała działania marynarskie oraz zwiększała efektywność przepływu towarów i niewolniczego kapitału ludzkiego. Ze względu na politykę regionalną w Afryce nie wszędzie pozwalano na zakładanie faktorii handlowych, co wymusiło nawiązanie osobistego kontaktu kapitanów wypraw z dostawcami afrykańskimi¹⁷⁶. Doprowadziło to do zapotrzebowania na doświadczonych oficerów – agentów nie tylko obeznanym ze statkiem, ale również w prowadzeniu złożonych negocjacji, często osobistych, z afrykańskimi dostawcami. Przyczyniło się to do powstania dużej różnicy w zarobkach, gdyż liverpoolscy handlarze i agenci zarabiali dwa razy więcej na handlu i personalnych negocjacjach niż uczestnicy wypraw z Bristolu lub Londynu w przypadku wymiany z faktorią¹⁷⁷. Równocześnie wzrosła płaca dla reszty załogi. Pojawiała się także konieczność zatrudnienia specjalistów od handlu, ochrony, rzemieślników i lekarzy. Wysokie wynagrodzenie rekompensowało również zagrożenia wynikające z morskich wypraw, w tym stwarzanych przez tropikalny klimat, który był częstą przyczyną zgonów wśród załogi. W latach 1789–1794 kapitanowie zarabiali do 5 funtów miesięcznie, oficerowie, rzemieślnicy i chirurgowie/lekarze do 4, marynarze do 30 szylingów¹⁷⁸. W celu ograniczenia śmiertelności załogi i niewolników zatrudniano lekarzy, którzy nie tylko opiekowali się zdrowiem marynarzy, ale również sprawowali funkcje kupców i oceniali zdrowie kupowanych niewolników (ryc. 5). Zwykle byli to młodzi ludzie, niedoświadczeni w tropikalnej medycynie, zaczynający swoją karierę w wieku ok. 27 lat. Rola okrętowego lekarza i zarazem kupca była trudna i często niebezpieczna ze względu na nieprzyjazny, tropikalny klimat, co

¹⁶⁵ Tamże, s. 18.

¹⁶⁶ Tamże, s. 19.

¹⁶⁷ Tamże, s. 21.

¹⁶⁸ P.E. Lovejoy, *African Agency and Liverpool Slave Trade*, [w:] *Liverpool and Transatlantic Slavery...*, s. 46.

¹⁶⁹ Tamże, s. 47.

¹⁷⁰ Tamże, s. 52–53.

¹⁷¹ Tamże, s. 53.

¹⁷² Tamże, s. 54.

¹⁷³ Tamże, s. 55.

¹⁷⁴ Tamże, s. 56–57.

¹⁷⁵ Tamże, s. 57.

¹⁷⁶ S.D. Beherendt, *Human Capital in British Slave Trade*, [w:] *Liverpool and Transatlantic Slavery...*, s. 68.

¹⁷⁷ Tamże, s. 69.

¹⁷⁸ Tamże, s. 70–72.

powodowało częste rezygnacje mimo wysokiego wynagrodzenia¹⁷⁹.

W XVIII w. miasto i port w Liverpoolu stał się ośrodkiem wiodącym na rynku niewolniczym dzięki szeregowi czynników. Niewątpliwym benefitem było położenie geograficzne oraz bliskość Wyspy Man i lądowa odległość pomiędzy innymi brytyjskimi okręgami przemysłowymi, które dostarczały tańszych towarów z rynku krajowego bez konieczności sprowadzania ich z Europy. Napływ ludności i pojawienie się wykwalifikowanej kadry przyczyniło się do rozwoju specjalizacji nie tylko na statkach, ale i na lądzie, co owocowało rozbudową portu oraz efektywniejszym działaniem infrastruktury przeładunkowej. Nowe rynki afrykańskie pozwalały na wytworzenie się struktur handlowych oraz wykorzystanie nowych narzędzi ekonomicznych w postaci kredytu, który, nie będąc wolnym od ryzyka, pozwalał na sprawniejsze finalizowanie transakcji. Wszystkie te czynniki doprowadziły do sukcesywnego wzrostu znaczenia Liverpoolu jako portu handlowego oraz przodującego udziałowca w runku niewolniczym aż do czasu oficjalnego zakazania niewolnictwa w 1807 r.

Michał Filip Świdwa

Secesyjna machina wojenna 1861–1865

Wojna secesyjna była katalizatorem zmian, zachodzących pomiędzy napoleońskim sposobem prowadzenia wojny a pozycyjną walką z okopów I wojny światowej.

Rozwijający się industrializm stwarzał nowe możliwości oraz sprzyjał wprowadzaniu nowoczesnych rozwiązań. Wojna Unii z Konfederacją była pierwszym poligonem doświadczalnym dla wielu wynalazków, które szły w parze z rozwiązaniami taktycznymi bądź technologicznymi, wykorzystywanymi w konfliktach jeszcze na początku XIX w. Wojna secesyjna odzwierciedlała również rozwój społeczny, jego charakter i przywiązanie do wartości lokalnych oraz politycznych. Wymiar funkcjonowania amerykańskiej armii wpływał z podejścia społecznego w kraju konstytucyjnym, wolnym, założonym na doświadczeniach wyniesionych ze Starego Kontynentu.

Wojna secesyjna odzwierciedlała też rozwój gospodarczy Stanów Zjednoczonych. Rozwijający się industrializm sprzyjał wprowadzaniu nowych rozwiązań, ale również je komplikował. Produkcja i jej utrzymanie stanowiły tylko część problemu, ważne były logistyka i zaopatrzenie. Wytwarzanie znacznych ilości broni umożliwiało wyposażenie większych armii, jednak w przypadku zwiększenia liczby żołnierzy wymagane były także inne elementy, tj. umundurowanie, obuwie oraz prowiant na utrzymanie ich wartości bojowych. Zaopatrzenie i planowanie spełniało w takiej sytuacji kluczową rolę, a produkcja na większą skalę niż produkcja przeciwnika mogła przesądzić o wynikach wojny. W przypadku konfliktu Unii i Konfederacji północne stany miały zdecydowaną przewagę nad stanami południowymi ze względu na lepiej rozwiniętą strukturą

przemysłową, transportową oraz większą liczbą ludności¹⁸⁰.

Każda wojna jest miernikiem postępu technicznego, co również pokazał konflikt amerykański. Powszechnym jest wykorzystanie wynalazków do celów wojennych, szczególnie takich, które ułatwiają transport znacznych ilości wojska oraz materiałów. Do tego celu wykorzystano kolej, której dynamiczny rozwój w Ameryce trwał od lat dwudziestych XIX w. Szczególnie widoczne było to w stanach północnych, gdzie warunki uprzemysłowienia wymagały przystosowania transportu do przewozu ciężkich towarów. Oznaczało to również rozwiniętą sieć kolejową pomiędzy ośrodkami produkcyjnymi i handlowymi. Zagęszczenie linii i wykorzystanie kolei wpłynęło w znacznym stopniu na czas i możliwości przemieszczania się wojska. W stanach południowych linie kolejowe nie były tak rozległe, co wynikało z mniejszego zapotrzebowania na kontakt z odległymi ośrodkami produkcyjnymi. Rozwój połączeń ograniczono do linii krótszych, łączących plantacje z najbliższym portem handlowym. Całkowita długość linii kolejowych w Stanach Zjednoczonych przed wybuchem wojny wynosiła ok. 50 tys. km¹⁸¹, co gwałtownie uległo zmianie w latach po zakończeniu działań wojennych.

Obok kolei parowej innym wynalazkiem wykorzystywanym przez armię w wojnie secesyjnej był telegraf, urządzenie stworzone w 1838 r. w Anglii. Telegraf został udoskonalony i opatentowany w Ameryce we wczesnych latach czterdziestych XIX w. przez Samuela Morse'a, który wraz z Alfredem Vilem stworzył również kod, dzięki czemu można było przysyłać wiadomości na odległość poprzez linie telegraficzne budowane wzdłuż torów kolejowych¹⁸². Wojsko zaadoptowało strukturę telegraficzną na mocy danej prezydentowi Abrahamowi Lincolnowi przez Kongres w styczniu 1862 r., budując mobilne centra telegraficzne w specjalnie zaadoptowanych do tego wagonach. Szybki przesył informacji umożliwił dowódcy Unii wymianę rozkazów, koordynację wojsk oraz wzywanie posiłków¹⁸³.

Nowym rodzajem broni, jaki stworzono podczas wojny secesyjnej, były pancerniki. Okręty te, wywodzące się z ciężko opancerzonych kanonierek, zdolne były wytrzymać ciężki ostrzał artyleryjski, stanowiąc tym samym poważne zagrożenie dla drewnianych okrętów przeciwnika. Zarówno Unia, jak i Konfederacja, budowały swoje okręty pancerne, jednak konstrukcje konfederackie były poważnymi modyfikacjami istniejących już okrętów, np. pancernik „Virginia”, a konstrukcje unijne całkowicie nowatorskimi np. „USS Monitor”. Nowością było zastosowanie grubych płyt pancernych nawet do 60 mm, obniżenie profilu statku do linii wody, zastosowanie śruby, a w przypadku Monitora obrotowej baterii z zamontowanymi działami¹⁸⁴.

¹⁸⁰ P.J. Parish, *American Civil War*, New York 1975, s. 128–130.

¹⁸¹ C. Kowanda, *Kolej do potęgi*, „Polityka. Pomocnik Historyczny”, 2013, 10: *Stany Zjednoczone Ameryki. Jak rodziła się potęga*, s. 98.

¹⁸² P. Walasek, *Telegraf*, tamże, s. 94.

¹⁸³ Ł. Kamiński, *Wojna o Unię*, tamże, s. 88.

¹⁸⁴ K. Michałek, *Pod banderami Unii i Konfederacji*, Warszawa 1996, s. 134–134, 207.

W celu zatrzymania postępu floty śródlądowej Unii oraz zdobycia portów rzecznych na Missisipi Konfederaci już od 1861 r. stosowali środki zapobiegawcze w postaci min wodnych, zwanych również torpedami. Mina, w zależności od konstrukcji, przypominała boję wodną bądź cylinder, wypełniony materiałem wybuchowym. Używano min zakotwiczonych, które połączone były z łądem kablem, który służył elektrycznemu odpaleniu ładunku¹⁸⁵.

Stosowano także miny umieszczone na dziobie okrętu, przymocowane do długich boków. Specjalnie w tym celu inżynierowie konfederacy zaprojektowali jednostki zwane „Dawidami” o konstrukcji drewniano-żelaznej, przypominające cygaro, z silnikiem umieszczonym na rufie, a kotłownią na dziobie, o trzyosobowej załodze. Były to jednostki głęboko zanurzone z widocznym jedynie kominem. „Dawid” był konstrukcją przejściową pomiędzy okrętem nadwodnym a podwodnym. Pierwszy prototyp okrętu podwodnego skonstruowano już w marcu 1862 r., a w lutym 1864 r. doszło do pierwszego bojowego użycia, które doprowadziło do zatopienia okrętu US Navy „Housatonic” wraz z okrętem podwodnym, któremu nie udało się wypłynąć na powierzchnię¹⁸⁶.

„Wysiłki Konfederacji dowiodły, że mały, biedny rolniczy kraj był w stanie skutecznie rozwinać nową, a w dodatku tanią broń. (...) kraje szybko zaczęły adoptować do swoich potrzeb nowy rodzaj broni. W rezultacie używane obecnie miny, okręty podwodne, łodzie torpedowe, niszczyciele czy stawiacze min są pochodną (...) broni wynalezionej przez konfederatów”¹⁸⁷.

Bronią główną piechoty ciągle pozostawał jednostrzałowy karabin, zawierający jednak pewne modyfikacje, które przyczyniły się do zmiany jego wydajności i sposobu użytkowania. Gwintowana lufa znacznie zwiększała zasięg; efektywność gładkolufowego muszkietu wynosiła ok. 40 m, a z łufą gwintowaną dystans ten wzrastał do ponad 400 m. W 1848 r. francuski oficer C.E. Minie wynalazł pocisk o kształcie stożkowym, o średnicy nieco mniejszej od średnicy lufy. Pusta sekcja końcowa pocisku podczas zapłonu powiększała swoją średnicę aż do gwintowania lufy, uszczelniając ją, a poprzeczne szczeliny na środku pocisku zapewniały stabilizację lotu. W momencie uderzenia w cel pocisk ulegał spłaszczeniu, dokonując znacznie większych uszkodzeń niż ołowiana kula. Zastosowanie takiego pocisku, zwanego „kulą Miniego”, przyspieszyło przeładowanie broni w stosunku do poprzednio stosowanej amunicji ołowianej, którą często należało wbić ze względu na zbliżoną średnicę do lufy oraz znacznie poprawiało celność. Oznaczało to również, iż żołnierze piechoty oddaleni od linii frontu byli w stanie strzelać celnie, co w efekcie doprowadziło do powstania wczesnych systemów obrony pozycyjnej w postaci okopów oraz pojawienia się strzelców wyborowych. Wynalazek pocisku stożkowego dowiódł swojej skuteczności, będąc odpowiedzialnym za znaczną liczbę poległych (do 80%) na polu walki¹⁸⁸.

¹⁸⁵ Tamże, s. 217–218.

¹⁸⁶ Tamże, s. 218–221.

¹⁸⁷ Tamże, s. 221.

¹⁸⁸ P.J. Parish, *American Civil War...*, s. 131.

¹⁷⁹ Tamże, s. 73–74.

Od 1863 r. pojawił się w użytku wojsk Unii karabin powtarzalny Spencera, który był w stanie wystrzelić do 7 pocisków w ciągu 30 sekund, nie wymagających pojedynczego ładowania¹⁸⁹.

Artyleria używana w ciągu czterech lat konfliktu przez obie strony składała się ze starych gładkolufowych typów dział oraz nowszych, lżejszych, już gwintowanych. Nowe sposoby produkcji umożliwiały również powiększanie kalibru artylerii, jednak stwarzało to trudności transportowe ze względu na jednoczesny wzrost wagi dział. Najczęściej używano dział lekkich, które stały się również bardziej mobilne. Nie przedstawiały jednak zbyt dużej wartości względem walki pozycyjnej, szczególnie w przypadku małej efektywności podczas działań o dalekim zasięgu. Artyleria gładkolufowa ciągle stanowiła poważne zagrożenie dla nacierającej piechoty. Używano litej, eksplodującej bądź rozpryskowej amunicji, która zasypywała przeciwnika odłamkami¹⁹⁰.

Nowatorskim rozwiązaniem zastosowanym podczas wojny było również użycie balonu w celach rozpoznania. Były to jednostki wodne, zakotwiczone, z pasażerem który przysyłał zdobyte informacje o ruchach wojsk bądź okrętów za pomocą telegrafu¹⁹¹.

W październiku 1861 r. wojska Unii nabyły pierwszy karabin maszynowy Gatlinga. Po prezentacji możliwości nowej broni prezydent Lincoln przeznaczył środki na zakup wszystkich 10 wyprodukowanych egzemplarzy z zamówieniem na kolejne 50 sztuk. Mimo potencjału jaki miała broń Gatlinga, nie zdecydowała ona o przebiegu wojny ze względu na niewystarczającą ilość na polu walki¹⁹².

Wojna secesyjna przybrała charakter dynamiczny ze względu na szybkość przesyłu informacji za pomocą telegrafu oraz zwiad dokonywany z powietrza za pomocą balonu, dzięki czemu pozyskiwano posiłki tam, gdzie były konieczne. Użycie kolei przyspieszało transport ciężkiej artylerii i wojska.

Nowe technologie w postaci gwintowanego karabinu i „kuli Miniego” oddalały od siebie żołnierzy, nie zmniejszając jednak ryzyka odniesienia ran czy śmierci. Stworzenie nowych jednostek pływających w postaci pancerników i łodzi podwodnych oraz wykorzystanie min wodnych zmieniło dotychczasowy charakter operacyjny floty z morskiego na śródlądowy przy jednoczesnej możliwości wsparcia wojsk pieszych.

Wojna secesyjna stanowiła również zapowiedź nowych sposobów zabijania, jakie wykorzystano w konflikcie europejskim lat 1914–1918.

Michał Filip Świdwa

Polscy uchodźcy na Węgrzech w latach 1939–1940

¹⁸⁹ <http://www.history.com/topics/american-civil-war/civil-war-technology> (dostęp 24 V 2017 r.).

¹⁹⁰ P.J. Parish, *American Civil War...*, s. 131–132.

¹⁹¹ Tamże, s. 132.

¹⁹² Ł. Kamiński, *Wojna o Unię...*, s. 89.

Sytuacja polityczna Polski i Węgier przed II wojną światową uwarunkowana była geopolitycznym położeniem obu państw oraz istniejącymi powiązaniami dyplomatycznymi. W obszarze oddziaływań politycznych Polski i Węgier znajdowały się takie państwa jak Rosja, Niemcy, Rumunia, Jugosławia czy Włochy. Zarówno Niemcy, jak i Włochy zamierzały wykorzystać interesy Węgier w sprawie rewizji granic z Jugosławią i Rumunią po I wojnie światowej na niekorzyść Węgier. Polityka włoska zmierzała w kierunku użycia Węgier przeciwko Jugosławii nad Adriatykiem, niemiecka zaś, wykorzystując ogniska niepokoju przy granicy z Czechosłowacją, zmierzała do aneksji ziem czechosłowackich i węgierskich¹⁹³.

W momencie coraz szerszego występowania zjawiska nazizmu na zachodzie oraz socjalizmu i bolszewizmu na wschodzie jedyną siłą, która mogła im się przeciwstawić w Europie Środkowej, był sojusz polsko-węgierski. W połowie lat trzydziestych XX w., według niemieckich polityków, życzeniem Polski było stworzenie korytarza do Morza Czarnego, granica z Węgrami, zgromadzenie przez Warszawę wszystkich państw „brzegowych” od Finlandii aż po Turcję w celu wspólnego, dalszego przeciwdziałania wraz z Węgrami szerzącej się polityce i wzrastającej sile militarnej „czerwonej” Rosji¹⁹⁴.

Mimo zbliżonych interesów Polski i Węgier, na drodze do realizacji celu stała Czechosłowacja oraz dystans od granic obu państw. Rząd polski w okresie międzywojennym skupiał się na szerszych kontaktach politycznych z Czechosłowacją w sprawie roszczeń do Zaolzia i Rumunią w kwestii rozwiązania Ukrainy Zakarpackiej. Próbowano również przekonać rząd węgierski do aneksji ziem słowackich po uzyskaniu przez nie autonomii, co w rezultacie zostało wykorzystane przez III Rzeszę do zajęcia Czechosłowacji w marcu 1939 r.¹⁹⁵.

Powstanie wspólnej granicy polsko-węgierskiej miało stanowić załączek tzw. Trzeciej Europy, składającej się z Polski, Węgier, Rumunii i Jugosławii, co już w 1938 r. okazało się niemożliwe¹⁹⁶. Wynikało to z defetystycznej polityki Węgier oraz przekonania, iż naruszenie granic Czechosłowacji, do której rząd węgierski również wysuwał roszczenia, może doprowadzić do wybuchu wojny. Węgry wymagały zatem od Polski militarnego zajęcia oraz odstąpienia ziem Rusi Przykarpackiej i Słowacji¹⁹⁷.

W latach poprzedzających wybuch wojny ograniczenie stosunków dyplomatycznych na linii Warszawa-Budapeszt było również wynikiem przystąpienia Królestwa Węgier do paktu antykominterowskiego, sojuszu niemiecko-węgierskiego, którego głównym celem było odzyskanie utraconych ziem po traktacie

w Trianon. Podtrzymywanie w takim wypadku pozytywnych kontaktów z Węgrami, według Romana Dmowskiego, było *niczym innym, jak robotą dla Niemiec, robotą przeciwną najwyraźniej interesom naszego narodu [polskiego]*¹⁹⁸.

Mimo chłodnych kontaktów z rządem polskim oraz sojuszem z III Rzeszą, pozytywne nastawienie Węgrów w stosunku do Polski potwierdza fragment listu szefa węgierskiej dyplomacji Istvana Csaky: *nie jesteśmy skłonni brać udziału ani pośrednio, ani bezpośrednio w zbrojnej akcji przeciw Polsce. Przez „pośrednio” rozumiem tu, że odrzucimy każde żądanie, które prowadziłoby do umożliwienia transportu wojsk niemieckich pieszo, pojazdami mechanicznymi czy koleją przez węgierskie terytorium dla napaści przeciw Polsce. Jeżeli Niemcy zagrożą użyciem siły, oświadczę kategorycznie, że na oręż odpowiemy orężem*¹⁹⁹. Uzasadnieniem powyższych argumentów było propolskie nastawienie społeczeństwa węgierskiego oraz przekonania moralne, co również przedstawione było przez premiera Pála Telekiego w depeście do Adolfa Hitlera z 24 VII 1939 r.²⁰⁰.

Rząd węgierski odrzucił propozycję ministra spraw zagranicznych Rzeszy Joachima von Ribbentropa uczestnictwa w kolejnym rozbiore Polski oraz nie zgodził się na prośbę przepuszczenia 36 wojskowych pociągów przez terytorium Węgier, co miało na celu przeprowadzenie manewru oskrzydłującego oraz odcięcie przejść granicznych Polski z Rumunią i Węgrami. Dzięki odmowie i przychylności rządu węgierskiego względem Polski oraz istnieniu wspólnej granicy od marca 1939 r. uchodźcy polscy mieli zakwaterowanie oraz wsparcie węgierskie przy jednoczesnej możliwości dalszej „ucieczki” na zachód, do Francji²⁰¹.

Po wybuchu wojny, w wyniku nacisków niemieckich, zarządzenia władz węgierskich w sprawie internowania żołnierzy oraz polskiej ludności cywilnej, przepuszczania ich przez jugosłowiańsko-węgierską „zieloną granicę”, stwarzały ogólne trudności w wykonaniu planów dalszej ewakuacji według zamierzeń rządu polskiego oraz Naczelnego Dowództwa. Ustanowiono, iż ewakuować i być przyjętymi na Węgrzech mogli być jedynie ludzie do lat 18 oraz ponad 42. Obowiązkiem każdego Polaka było wystąpienie o paszport przy jednoczesnym przedłożeniu dowodu osobistego bądź metryki wskazującej na wiek. Żadnemu Polakowi nie wolno było sprzedawać lub kupić biletu kolejowego bez ważnej przepustki wydanej przez węgierskiego komendanta obozu²⁰².

Zarządzenia te wpływały na działalność polskiego poselstwa wraz z attache wojskowym, którzy starali się zapewnić u rządu węgierskiego przyzwolenie na prowadzenie działalności ewakuacyjnej, uzyskanie jak najlepszych warunków internowania, a także udzielenie pomocy uchodźcom. Starano się również o utwo-

¹⁹⁸ Z. Chocimski, *Sprzymierzeńcy z ducha*, „Frona”, 2000, 21–22, s. 76.

¹⁹⁹ Tamże, s. 80.

²⁰⁰ Tamże.

²⁰¹ Tamże, s. 80–81.

²⁰² Instytut Polski i Muzeum Sikorskiego [dalej: IPMS], Dokumenty Prezydium Rady Ministrów, sygn. PRM 14a, Polacy na Węgrzech, Ksiądz Antoni Miodolski: Sprawozdanie ewakuacyjne z Węgier, k. 3.

zenie komisji polsko-węgierskiej oraz protokołowanie ilości posiadanego sprzętu i majątku wojskowego w chwili przekraczania granicy.

Kierownictwo niemieckiego generała dywizji Wertha nie dopuściło do wydania zgody na oficjalne prowadzenie ewakuacji, co w rezultacie spowodowało działalności konspiracyjne, przyzwolone jednak przez takie osobistości, jak szef rządu Teleky, minister spraw wewnętrznych Keresztes-Fischer, admirał Horthy i inni.²⁰³

Nie dopuszczono jednak do powstania komisji polsko-węgierskiej oraz protokołowania posiadanego sprzętu oraz majątku wojskowego, co doprowadziło do przejścia sprzętu polskiego przez wojsko węgierskie. Według wyceny węgierskiej wartość przejętego sprzętu wraz z depozytami bankowymi szacowano na 8 mln pengő, co nie pokrywało się z wyliczeniami polskimi, dochodzącymi do kwoty 100 mln.²⁰⁴

Według oceny attache wojskowego, płk dypl. Jana Emisarskiego, na terytorium Węgier przetransportowano ogółem 50 tys. ludzi, 40 tys. żołnierzy²⁰⁵, w tym ok. 1 tys. młodzieży do lat 18²⁰⁶.

Grupy zorganizowane, które przeszły na Węgry wraz ze sprzętem, to m.in. 10 Brygada Kawalerii pułkownika Maczka, część 3 Brygady Korpusu Ochrony Pogranicza pułkownika Kotowicza, pułk Korpusu Ochrony Pogranicza „Karpaty”, 1 Batalion Saperów Kolejowych, szwadron zapasowy 6 Brygady Kawalerii, Batalion Policyjny „Golędzinów” pod dowództwem majora Zdanowicza w składzie 800 ludzi, a także szpital ewakuacyjny nr 61²⁰⁷.

Działalność na rzecz ewakuacji oraz pomocy uchodźcom podejmowały różne organy oraz osoby prywatne zaangażowane w działalność polityczną w Polsce, jak również społeczeństwo węgierskie, ofiarując Polakom swoje mieszkania, przekazując odzież oraz bieliznę. Działalność na rzecz uchodźstwa polegała również na zakładaniu organizacji pomocowych, którą był m.in. Komitet Pomocy Towarzystwa polsko-węgierskiego, Komitet Obywatelski w Budapeszcie, którego pierwszym kierownikiem był płk Rudnicki, a następnie mjr Piotr Guzierski, dzięki którego działaniom tylko w ciągu trzech miesięcy od 1 I do 1 IV 1940 r. granicę przekroczyło 5 606 oficerów.²⁰⁸

W celu przepływu informacji, usprawnieniu procesów administracyjnych oraz generalnej pomocy utrzymywano ścisłe kontakty pomiędzy obozami poprzez wizyty attache wojskowego za zgodą ministra Honwedów, ustanowienie łączników pomiędzy komendantami

a biurem attache wojskowego, działalność duszpasterską oraz tworzenie „punktów opatrunkowych” m. in. w Koszycach oraz Ungwarze pod kierownictwem lekarzy polskich zapewniających opiekę medyczną, pożywienie, odzież, a także bilety kolejowe do Budapesztu²⁰⁹.

Attachat wojskowy prowadził również działalność na rzecz dalszej ewakuacji do Francji, gdzie odtwarzano stan wojskowy. Polski żołnierz opuszczający Węgry powinien być wyposażony w niewielką dietę podróżną, paczkę z pożywieniem, paszport polski oraz zagraniczny z wizą docelową i transportową jugosłowiańską i włoską, ubrany po cywilnemu oraz posiadać bilet kolejowy. Główny szlak ewakuacyjny prowadził przez Nagykanizsę, Zagrzeb i Mediolan na pogranicze włosko-francuskie do stacji Modane. W ewakuacji na zachód z Węgier pomógł również angielski attache wojskowy, ppłk dypl. Barclay, który na cel ewakuacji załóg myśliwskich i bombowych przeznaczył 10 tys. dolarów amerykańskich, co tym samym umożliwiało wykonanie rozkazu Naczelnego Dowództwa o priorytetowej ewakuacji na zachód personelu lotniczego²¹⁰.

Swoją podróż przez Węgry w dziennikach krótko opisał Józef Rydzewski, kapitan 1 PAL z Wilna: Dnia 4 XI. Wyjechaliśmy z Budapesztu przez Zagrzeb – Fiume – Triest – Wenecję – Madone – Paryż. 5 XI – na stacji granicznej Jugosławii kontrola paszportów – zabranie mego paszportu. Jazda pod konwojem żandarmerii. Obiad w Zagrzebiu. Odjazd do Fiume. Ścisła kontrola w Fiume. Ciepły wieczór (księżeczka wojskowa i kontrola). Nocleg w 1 pokojku. Rano o 5-tej odjazd do Triestu. Oczekiwanie do 9³⁰ na pociąg, zwiedzanie portu i akwarium. Odjazd do Wenecji. Trasa. Widoki. Wrażenia. Myśli. Przyjazd do Mediolanu i zwiedzanie, głód, kolacja. Odjazd nocą. Przebycie granicy. Góry. Spotkanie w Madone. Nocleg na słomie. Typy dyrektorów i inżynierów (polecenia gen.). Odjazd wieczorem o 19-tej z Madone do Paryża. Przybycie o 7-mej rano.

Uchodźców rozmieszczono w ponad 100 obozach znajdujących się na całym obszarze Węgier, w tym 40 przeznaczonych dla cywilnych obywateli polskich. Znaczna część obozów mieściła się na pograniczu z Austrią i Słowacją, co było zjawiskiem niesprzyjającym ze względu na konieczność przepływu uciekinierów przez Budapeszt w celach administracyjnych. Internowanym żołnierzom i cywilom wypłacano 20 fillerów na głowę, podobnie zawodowym 2 pengő dziennie, oficerom starszym i młodszym 4, sztabowym 6, generałom 8. Obozy były pod komendą węgierską z dobraną wartą²¹¹.

Nastawienie Węgrów oraz komendantów obozów do internowanych Polaków było generalnie pozytywne i pomocne, mimo silnej presji wywieranej przez Niemcy. Bardzo wielu komendantów dopomagało Polakom w „ucieczce” z obozów, uważając to za jedną z powinności żołnierskich. Węgrzy pomagali żołnierzom

polskim dostać się do granicy jugosłowiańskiej, przewoząc ich własnymi samochodami. Bez szerokiej pomocy społeczeństwa oraz przyjacielskiego podejścia rządu węgierskiego działalność na rzecz ewakuacji byłaby bardzo znacznie utrudniona; *tradycyjne powiedzenie <<Madziar-Polak dwa bratanki>> znajdowało w życiu swoje uzasadnienie*²¹².

Sytuacja w obozach nie była ciężka, jednak podczas szerzenia się propagandy hitlerowskiej oraz komunistycznej nastroje były napięte. W miesiącach zimowych uchodźcy docierali z odmrożeniami, problemami zdrowotnymi, brakowało odpowiedniej kadry medycznej i szpitali, higiena stała na bardzo niskim poziomie. Pogorszenie sytuacji występowało szczególnie w przypadkach nie wypłacania diet internowanym, które zatrzymane były przez delegata rządu ze środowisk arystokratycznych, hrabiego Romera. Wobec poglądów o przeciwdziałaniu defetyzmowi oraz domniemanym próbom dywersji przeciwko rządowi polskiemu i węgierskiemu oraz możliwej defraudacji środków przez Komitet Obywatelski wypłaty wstrzymano aż do 6 tygodni²¹³. Uważano również, iż wypłaty wojskowe należy wstrzymać gdyż *młodzież przed wyjazdem [do Francji] te pieniądze przechowała a potem idzie do szpitala chorób wenerycznych*²¹⁴, co powodowało rozgoryczenie w środowiskach żołnierskich, nie wpływając tym samym na pozytywne postrzeganie działalności rządu rzecz polepszenia sytuacji uchodźców.

Przyjacielskie nastawienie Węgrów nie oznaczało jednak, iż nie dochodziło do „incydentów” oraz działalności przeciwko wspomaganemu Polaków i uchodźców. Wynikało to głównie z powodu presji wywieranej przez poselstwo niemieckie. W obozach istniała również hitlerowska propaganda na rzecz powrotu żołnierzy do kraju, co spowodowało przekroczenie ok. 8 tys. żołnierzy granicy niemieckiej z Austrią, którzy w rezultacie zostali aresztowani przez Niemców i wykorzystani do robót przymusowych²¹⁵.

Polaków, samodzielnie przekraczających granicę słowacko-węgierską, osadzano tymczasowo w więzieniu w Cytadeli w Budapeszcie, a pod koniec kwietnia 1940 r. agenci tajnej policji węgierskiej próbowali zaaresztować gen. Dembińskiego, jedną ze znanych osobistości polskich na Węgrzech działających czynnie na rzecz uchodźstwa²¹⁶.

Od maja 1940 r. polscy działacze wojskowi oraz poselstwo doznawało coraz większych problemów z wciąż konspiracyjną działalnością ewakuacyjną. Wraz z przystąpieniem Włoch do wojny ruch na rzecz przerzucenia uchodźców do Jugosławii i dalej był bardzo utrudniony, a w przypadku klęski Francji – niemożliwy.

Michał Filip Świdwa

²⁰³ IPMS, Relacje z Kampanii Wrześniowej, sygn. B.I.119a, Attache Wojskowy na Węgrzech, relacja ppłk dypl Jan Emisarski, Ewakuacja z Węgier, k. 7.

²⁰⁴ Tamże, k. 5, 7.

²⁰⁵ Tamże, k. 5.

²⁰⁶ IPMS, Dokumenty Prezydium Rady Ministrów, PRM 14a, Polacy na Węgrzech, Książd Antoni Miodolski: Sprawozdanie ewakuacyjne z Węgier, k. 6.

²⁰⁷ IPMS, Relacje z Kampanii Wrześniowej, sygn. B.I.119a, Attache Wojskowy na Węgrzech, relacja ppłk dypl Jan Emisarski, Ewakuacja z Węgier, k. 5.

²⁰⁸ IPMS, Dokumenty Prezydium Rady Ministrów, PRM 14a, Polacy na Węgrzech, Książd Antoni Miodolski: Sprawozdanie ewakuacyjne z Węgier k. 2.

²⁰⁹ IPMS, Relacje z Kampanii Wrześniowej, sygn. B.I.119a, Attache Wojskowy na Węgrzech, relacja ppłk dypl Jan Emisarski, Ewakuacja z Węgier k. 4, 9.

²¹⁰ Tamże, k. 11.

²¹¹ Tamże, k. 7.

²¹² Tamże, k. 14.

²¹³ IPMS, Dokumenty Prezydium Rady Ministrów, sygn. PRM 14a, Polacy na Węgrzech, Sławik: Stosunki na Węgrzech – Raport z pobytu A. Romera, k. 1–6.

²¹⁴ Tamże, k. 2.

²¹⁵ IPMS, Relacje z Kampanii Wrześniowej, sygn. B.I.119a, Attache Wojskowy na Węgrzech, relacja ppłk dypl Jan Emisarski, Ewakuacja z Węgier k. 15.

²¹⁶ Tamże, k. 16.



Za chlebem do Francji.

Stanisław Płoski

syn Franciszka i Rozalii z domu Kruk,

ur. 25 X 1904 r.

**we wsi Budy Przysieki (obecnie Budy Prywatne),
gm. Krasnosielc, pow. makowski**

Maria Weronika KMOCH,

współpraca Sławomir RUTKOWSKI oraz Anna ZIÓŁKOWSKA

Wprowadzenie

Władze II Rzeczypospolitej, chcąc ograniczyć biedę i bezrobocie, starały się skłonić obywateli Polski do emigracji, nie tracąc nad nimi wpływu. Z myślą o wspieraniu wychodźstwa Rada Ministrów powołała do życia w kwietniu 1920 r. Urząd Emigracyjny, podporządkowany Ministerstwu Pracy i Opieki Społecznej¹. Choć głównym kierunkiem emigracji były Stany Zjednoczone, to jednak wielu obywateli w poszukiwaniu pracy wyjeżdżało również do innych krajów, w tym do pobliskich Niemiec. Zmieniająca się sytuacja gospodarcza, polityczna oraz polityka migracyjna w krajach docelowych znacząco wpływała na wybór, wielkość i kierunki emigracji z Polski.

Od początku istnienia II RP ważnym kierunkiem była Francja, dokąd wyjeżdżało ponad 54% wychodźców. Wykrwawione w I wojnie światowej państwo bardzo potrzebowało siły roboczej. W Wielkiej Wojnie zginęło bowiem kiedy zginęło 1,5 mln Francuzów, a 4 mln zostało kalekami².

Stąd władze polskie w zasadzie zaraz po odzyskaniu niepodległości podjęły działania w kierunku unormowania emigracji poprzez umowy międzynarodowe. Negocjacje pierwszej z tych umów, umowy z Francją, zaczęto już wiosną 1919 r. „Pomimo pogarszającej się sytuacji na rynku pracy i na wsi, Polska odrzuciła pierwszą wersję umowy zaproponowaną przez stronę francuską. Ostatecznie podpisana 3 września 1919 r. umowa stanowiła obustronny kompromis, gwarantując z jednej strony przywileje dla francuskich misji rekrutacyjnych w Polsce, a z drugiej strony ubezpieczenie od wypadków przy pracy i klauzulę najwyższego uprzywilejowania dla polskich robotników we Francji”. Jeszcze w 1919 r. ruszył z Polski pierwszy transport emigrantów do Francji³.

Wspomniana umowa opierała się na dwóch podstawowych zasadach. Pierwsza z nich to zasada wolności migracji z możliwością jej ograniczania, jeśli sytuacja ekonomiczna jednego z krajów będzie tego wymagała (w razie gdyby stan rynku pracy nie pozwalał w niektó-



Stanisław Płoski, syn Franciszka i Rozalii z ruków. Fotografia datowana na 27 I 1943 r., wykonana w Volklingen w Niemczech.

rych okresach, w niektórych miejscowościach i dla niektórych zawodów na dostarczenie zaplecza dla emigrantów). Była to ochrona interesów Francji, która później wykorzystywała do obniżania imigracji podczas każdego kryzysu ekonomicznego i niekorzystnej sytuacji na jej rynku pracy. Drugi ważny zapis konwencji mówił o zasadzie równouprawnienia emigrantów polskich w zakresie płac i warunków pracy z ludnością miejscową. Nie był on jednak egzekwowany.

W konwencji nie zagwarantowano możliwości rozciągnięcia opieki państwa polskiego nad emigrantami na ziemi francuskiej, nie poruszono bowiem sprawy powołania we Francji oficjalnych instytucji zajmujących się polskimi emigrantami. Tak samo nie zajęto się sprawą polskiego szkolnictwa we Francji. Zapisano za to, że w każdym z obu krajów właściwa władza strzec będzie opieki nad robotnikami. Oznaczało to przekazanie opieki nad Polakami stronie francuskiej. Francja zagwarantowała sobie możliwość wydalenia polskich robotników, z czego korzystała szczególnie w czasie Wielkiego Kryzysu po 1929 r.

Uzupełnieniem przywołanej konwencji z 1919 r. była *Konwencja polsko-francuska dotycząca pomocy i opieki społecznej* podpisana w Warszawie 14 X 1920 r. „Przewidywała ona klauzulę narodową we wzajemnym traktowaniu obywateli odnośnie emerytur oraz sumo-

wanie się okresów zatrudnienia w Polsce i Francji w celu ustalenia innych świadczeń społecznych (...). Także klauzula narodowa była przewidziana w dziedzinie nabywania *małej własności wiejskiej lub miejskiej* (...) i w dziedzinie ubezpieczenia zdrowotnego⁴.

W sytuacji niekorzystnego traktowania polskich robotników we Francji przez tamtejszy rząd, władze polskie podjęły starania, by renować konwencję z 1919 r. W 1924 r. podpisano kolejne porozumienie, regulujące jednak tylko niektóre sporne kwestie. „Strona francuska zobowiązała się nie stosować wydalenia względem polskich robotników, którzy zerwali umowy o pracę (...), polscy urzędnicy na zasadzie obserwatorów mogli asystować przy rekrutacji prowadzonej przez misje francuskie (...), Francja zobowiązała się także do mocniejszego egzekwowania obowiązku szkolnego od dzieci polskich emigrantów”. Ustalono też, że zadania misji francuskiej w Poznaniu przejmie ekspozytura Urzędu Emigracyjnego. Poza tym pracodawcy francuscy zostali obciążeni kosztami kursów j. polskiego. Francja zobowiązała się zatrudnić więcej inspektorów emigracyjnych znających j. polski. Kwestie rekrutacji robotników uszczegółowiono w 1924 r. podczas jednego ze spotkań mieszanej komisji polsko-francuskiej. Od tej pory co najmniej raz w roku miała zbierać się Komisja Porozumiewawcza, której zadaniem było ustalenie *za obopólną zgodą* liczby i kategorii robotników, którzy mają być przedmiotem rekrutacji zbiorowej, tak aby nie przynieść szkody rozwojowi ekonomicznemu Polski, ani też robotnikom francuskim.

Polska podjęła szereg wysiłków, by poprzez bilateralne porozumienia zabezpieczyć możliwości emigracji swoich obywateli do Francji oraz opiekę nad nimi. Realnie słabsza pozycja przetargowa Polski niewątpliwie wpłynęła na końcowe efekty tych wysiłków, jakimi były kompromisy w zawartych porozumieniach oraz bezradność wobec łamania postanowień tych porozumień przez stronę francuską⁵.

Tak wyglądały porozumienia na szczytach władzy. A jak emigracja zarobkowa do Francji w okresie międzywojennym jawiła się dla zwykłego obywatela, pragnącego zarobić na kawałek chleba?

Warto zauważyć, że w przeciwieństwie do innych państw, z którymi Francja podpisała w tym czasie umowy emigracyjne (Włochy, Czechosłowacja i Jugosławia), gdzie rekrutacja i selekcja emigrantów do Francji dokonywana

¹ A. Krajewski, *Nadliczbowi na eksport*, „Za chlebem i wolnością. Pomocnik Historyczny Polityki”, 2018, 4, s. 44.

² *Polonia we Francji*: https://pl.wikipedia.org/wiki/Polonia_we_Francji (dostęp 4 XII 2018 r.).

³ A. Kicingier, *Polityka emigracyjna II Rzeczypospolitej*, dostępne w Internecie: http://www.cefmr.pan.pl/docs/cefmr_wp_2005-04.pdf (dostęp 4 XII 2018 r.), s. 50.

⁴ Tamże, s. 50–51.

⁵ Tamże, s. 52.

była przez krajowe organy administracyjne krajów, w których prowadzono rekrutację, w Polsce pozwolono na działalność Francuskich Misji Zatrudnienia⁶. Francuzi otworzyli swe przedstawicielstwa w Poznaniu, Mysłowicach i Wejherowie. Zajmowały się weryfikacją podań emigrantów składanych w urzędach pracy w całej Polsce. Oferowały też od razu kontrakty z pracodawcami.

Zakwalifikowanych do wyjazdu transportowano zbiorowo do Francji drogą lądową przez Niemcy albo drogą morską. Jako pierwsi wyjechać mogli górnicy oraz robotnicy fabryczni – tych najbardziej potrzebowano. W ten sposób do 1925 r. z Polski wyemigrowało 384 tys. osób. Wcale nie oznaczało to jednak poprawy ich losu. Państwo polskie bowiem nie miało żadnych możliwości kontroli sytuacji emigrantów od momentu wyjazdu z Polski, zaś ich sytuacja była zazwyczaj bardzo niekorzystna. „Warunki pracy były bardzo trudne, nieznanomość języka francuskiego ze strony emigrantów czyniło ich podatnymi na nieuczciwe praktyki lub nawet wyzysk ze strony pracodawców. W efekcie znaczny odsetek (nawet do 50%) kontraktów o pracę był zrywany przez polskich emigrantów po średnio 2 miesiącach”. Ponad 4,5 tys. polskich robotników rychło wyjechało z Francji do Belgii, gdzie liczyć na lepsze traktowanie. Tam warunki pracy również były trudne i niebezpieczne⁷.

W latach dwudziestych najwięcej polskich emigrantów we Francji znaleźć można było w Nord-Pas-de-Calais (250 tys.), Lotaryngii (40 tys.), Pikardii (40 tys.) oraz centralnej Francji. W 1931 r. Polonia licząca ok. 500 tys. osób była drugą po Włochach grupą narodową. Według ankiety przeprowadzonej we Francji w 1927 r. w kopalniach węgla i rud żelaza pracowało 97 311 Polaków. W wielu zakładach zatrudniono więcej Polaków niż Francuzów. Generalnie szacuje się, że w okresie międzywojennym do Francji z Polski wyemigrowało 627 386 osób, z czego ostatecznie pozostało tam na stałe 423 486 Polaków⁸.

Najlepsze warunki do pielęgnowania polskości panowały w dwóch regionach północnych Nord Pas-de-Calais, tzn. tam, gdzie było najwięcej Polaków. Trudniej było tam, gdzie polscy rolnicy byli rozrzućci pojedynczo po wioskach i odizolowani od rodaków⁹. „Polscy robotnicy, przybývający do Francji z rodzinami, znajdowali zatrudnienie głównie jako pracownicy w górnictwie, hutnictwie, przemyśle i rolnictwie. W rolnictwie znalazło zatrudnienie ok. 20% polskich pracowników. Około 36% francuskich górników było z pochodzenia Polakami. Oceniano, że wydajność polskiego robotnika

przewyższała o 20% wydajność robotnika francuskiego”¹⁰.

Polscy górnicy, posiadający doskonałe kwalifikacje zawodowe, prezentowali zdecydowaną postawę patriotyczną i religijną¹¹. W miastach i departamentach, w których mieszkali Polacy, mówiono po polsku, pielęgnowano tradycje. W miastach i departamentach, w których pracowali Polacy, mówiono po polsku. „Polacy we Francji organizowali się w licznych stowarzyszeniach kulturalnych, kościelnych i oświatowych, jednakże ich przywiązanie do polskich tradycji i do religii było niesprawiedliwie postrzegane jako hamulec do integracji. Wychodziło wiele czasopism polonijnych, z których najpoważniejszym był „Narodowiec” wydawany w Lille”¹². Ważne były stowarzyszenia sportowe, charytatywne i towarzyskie. „Ponieważ ówczesne ustawodawstwo francuskie nie zezwalało pracownikom cudzoziemskim tworzyć własnych organizacji związkowych, przy Confédération Générale du Travail działał Sekretariat Polski, pełniąc rolę koordynatora sekcji polskich przy francuskich zrzeszeniach za-



Zdjęcie dowodowe Rozalii Płoskiej, ur. w 1868 r., matki Stanisława.

wodowych. Sekcje te powstały w 1924 roku i szybko zyskiwały licznych członków. Szkolnictwo polskie zorganizowane było w formie oddziałów przy szkołach francuskich. Placówek tych istniało ok. 300. Nauczyciele polscy skupiali się w Związku Polskiego Nauczycielstwa we Francji (...). W Lille istniał ponadto Uniwersytet Robotniczy. (...) W 1924 roku utwo-

rzono Polski Związek Piłki Nożnej we Francji”¹³.

By wyobrazić sobie warunki, w jakich przyszło żyć i pracować we Francji polskim górnikom, warto przytoczyć relację prasową z 1933 r. Czytamy w niej m.in.: *Krajobrazowo, okolicę tę są beznadziejnie smutne. Naogół równina zamknięta komunami dymiącymi i szybmami węglowymi. Tylko czasem wśród tej szarzyzny połyskuje zieleń murawy, pozołkłej i spłowiałej. W powietrzu unosi się gryzący dym. Przy każdej kopalni i fabryce wyrasta rząd małych domków. To mieszkania górnicze. Rojno tu i gwaro od dzieci, które całymi gromadami snują się po ulicach. Te dzieci zdrowe, silne i rumiane są przedmiotem pożądania Francji. One to mają uzupełniać deficyt ludnościowy naszej sojuszniczki. O te dzieci toczy się cicha, ale nieublagana walka. Każdy emigrant ma bowiem do wyboru albo wrócić do kraju, albo też zostać we Francji i naturalizować się, tzn. uzyskać obywatelstwo francuskie.*

Ale górnicy są twardzi do wynarodowienia. Wielu z nich nie widziało Polski od dziesiątek lat, zapomnieli oni mowy ojczystej, mówią jakimś dziwnym żargonem, będącym mieszaniną niemieckiego, francuskiego i polskiego, ale każdy z nich marzy o jednym...

– Cóż zamyślacie robić, jak się dorobicie – pytam starego górnika – który właśnie wrócił z pracy i pochylił twarz uznojona nad talerzem zupy.

– Co robić, ano wracać do Polski. Wiecie panie, mnie się tu nie widzi. Jabym chciał mieć kawałek gruntu, chałupę i ogród, wszystko jedno gdzie, choćby na kresach.

*(...) I wogóle po kuchni francuskiej, do której zresztą nasze Maćki i Bartki jakoś nie mogą się przyzwyczaić, po tych wszystkich sałatach i przystawkach, polski barszcz i kotlet wieprzowy z kapustą i ziemniakami smakuje, że strach (...)*¹⁴.

Zainteresowanych szerzej tematem polskiej emigracji zarobkowej i pracy Polaków w górnictwie w latach dwudziestych i trzydziestych XX w. zachęcamy do samodzielnego poszukiwania informacji. Szczególnie polecamy *Pamiętniki emigrantów. Francja*, wydane w 1939 r.¹⁵.

Los jednego z polskich emigrantów do Francji – Stanisława Płoskiego – przedstawiają skrótkowo zamieszczone poniżej informacje, przekazane redakcji „Krasnosielckiego Zeszytu Historycznego” przez Alicję Płoską, uzupełnione informacjami z literatury przedmiotu. Bohater artykułu był bratem dziadka pani Alicji, Wincentego Płoskiego.

Stanisław Płoski urodził się 25 X 1904 r. we wsi Budy Przysieki (obecnie Budy Prywatne), należącej wówczas do gm. Jednorzecze w pow. przasnyskim. Był synem Franciszka i Rozalii z Kruków.

Franciszek Płoski pochodził z Zawad koło Brodowych Łąg (obecnie pow. ostrołęcki). Jako siedemnastolatek został sierotą i szukał pra-

⁶ Tamże, s. 51.

⁷ Tamże, s. 15. Szerzej na temat emigracji do Belgii zob. J. Szumski, *Między stabilizacją a radykalizmem – polska emigracja górnicza w Belgii*, „Acta Universitatis Wratislaviensis”, 25 (2015), 3686, 19–37.

⁸ A. Jarosz-Nojszewska, *Polsko-francuskie umowy w sprawie ubezpieczeń społecznych w okresie międzywojennym*, „UR Journal of Humanities and Social Sciences”, 2017, 2 (3), s. 36.

⁹ *Polscy rolnicy, polscy górnicy we Francji*: https://gregkoscinski.eu/?page_id=147 (dostęp 4 XII 2018 r.).

¹⁰ *Polonia we Francji*: https://pl.wikipedia.org/wiki/Polonia_we_Francji (dostęp 4 XII 2018 r.).

¹¹ Por. R. Dzwonkowski, *Przemiany polskiej parafii w północnej Francji (1922–1972)*. Studium historyczno-socjologiczne parafii w Oignies, „Studia Polonijne”, 1 (1976), s. 27.

¹² B. Sagna, *Emigracja międzywojenna*: <http://heritage.bnf.fr/france-pologne/pl/emigracja-miedzywojenna-art> (dostęp 4 XII 2018 r.).

¹³ *Polonia we Francji*: https://pl.wikipedia.org/wiki/Polonia_we_Francji (dostęp 4 XII 2018 r.).

¹⁴ A.B., *Wśród Maćków i Bartków we Francji*, „Światowid”, 10 (1933), 34 (471), s. 8–9.

¹⁵ Publikacja dostępna jest online: http://delibra.bg.polsl.pl/Content/25140/BCPS_28662_1939_Pamietnik-emigrantow.pdf (dostęp 4 XII 2018 r.).

cy, gdyż nie posiadał ziemi. Pracę, możliwe, że z zakwaterowaniem, znalazł ok. 1880 r. w Nakle (gm. Jednorozec) w lesie w smolarni, która była prawdopodobnie własnością Krasieńskich. W tym czasie poznał Rozalię Kruk z Bud Przysieków. Ślub wzięli w 1885 r. w kościele w Krasnosielcu. Zamieszkali w Budach Przysiekach. Urodziło się im pięcioro dzieci. Przed I wojną światową Franciszek Płoski wybierał się do pracy w Prusach Wschodnich. Chodził tam na piechotę na cały sezon rolniczy wraz z wieloma ziomkami z okolicy. Wychodźstwo do Prus było bowiem masowe¹⁶.

W 1910 r. do USA wyemigrował najstarszy syn Płoskich, Jan, urodzony w 1889 r. Słuch o nim zaginął. Syn Teofil ożenił się w 1918 r.; mieszkał w Budach Przysiekach. W czerwcu 1916 r. brał udział w bitwie pod Baranowiczami (obecnie Białoruś, obwód brzeski). Była to jedna z najkrwawszych bitew I wojny światowej, w której zginęło prawie 100 tys. żołnierzy¹⁷. Po wojnie był gajowym w Budach Przysiekach.

Franciszek Płoski, głowa rodziny, zmarł w 1920 r. w wieku 58 lat. Żona Rozalia została sama z córką Ludwiką (ur. 1901 r.), która w 1925 r. wyszła za mąż, i dwoma synami. Stanisław miał wówczas 16, a Wincenty 13 lat. Rozalia Płoska była znaną w okolicy zielarką. Tak ceniło jej umiejętności, że zdarzało się, że zabierano ją na dwa tygodnie do jakiejś oddalonej wsi, by kogoś wyleczyła. Jej obecnie 80-letnia wnuczka opowiada, że pamięta, że jeszcze przed II wojną światową chodziła z babcią po łąkach i zbierała zioła.

Z akt metrykalnych parafii Krasnosielec dowiadujemy się również, że Płoscy mieli więcej dzieci, ale zapewne nie przeżyły dzieciństwa. Trzykrotnie Rozalia Płoska rodziła córki (w 1886, 1894 i 1912 r.), które nazywano imieniem Wiktorii. Wszystkie trzy zmarły (w 1888, 1899 i 1914 r.). W 1892 r. urodził się

Jan, 6 lat później córka Teofila, a w 1912 r. Zofia.

Rodzina nie miała gospodarstwa, może tylko niewielki kawałek ziemi, z którego jednak nie można było wyżyć. Nasz bohater, Stanisław Płoski, w tym czasie mógł pracować jako robotnik dniówkowy.

Między październikiem 1924 r. a 1926 r. S. Płoski odbył służbę wojskową. Po jej zakończeniu do marca 1927 r. pozostawał bez pracy. W tym czasie przyjechał z matką i bratem do Sątrowskiej (ob. pow. przasnyski, gm. Przasnysz). Młodzieńcy musieli utrzymać rodzinę, więc zatrudnili się w cegielni w Bartnikach (obecnie Cegielnia, gm. Przasnysz, pow. przasnyski). Stanisław pracował tu od kwietnia 1926 r. do sierpnia 1929 r.

Mieszkając w Sątrowskiej, poznał swoją przyszłą żonę. W dniu 10 VII 1927 r. S. Płoski jako 22-letni robotnik i kawaler ożenił się równieśnicą, Stanisławą Grędzińską z Sątrowskiej. Ślub odbył się w kościele w Świętym Miejscu, a udzielił go ks. proboszcz Stanisław Najmoła.



Zdjęcie zapewne z Francji, Stanisław Płoski pierwszy z prawej

Pierwszy raz we Francji S. Płoskiego notujemy jesienią 1929 r. Od września tego roku do września 1930 r. pracował w kopalni. Umowę o pracę zawarł 28 VIII 1929 r. za pośrednictwem przedstawicielstwa francuskiego w Mysłowicach. Umowa była zawarta w j. francuskim i polskim. Firma gwarantowała pracownikowi m.in. lokal mieszkalny. Kontrakt w pełnym brzmieniu zamieszczamy na końcu artykułu.

Co ciekawe, to właśnie wówczas pojawił się kryzys gospodarczy, wywołany przez krach na giełdzie w Nowym Jorku. To jednak nie pozabawiło S. Płoskiego pracy. Od października 1930 r. przeniósł się do Compagnie Generels de Construction w Marles-les-Mines (obecnie region Hauts-de-France, północna Francja). Zatrudniony był tam do lipca 1932 r. Następnie do października tego roku pozostawał bez pracy. W listopadzie zatrudniono go w Torge de Gueugnon w Gueugnon (obecnie region Burgundia-Franche-Comté, wschodnia Francja), gdzie pracował aż do października 1940 r.

Żona dołączyła do Stanisława Płoskiego we Francji jakiś czas po jego wyjeździe. Na miej-

scu nie pracowała. Po kilku latach samodzielnie wróciła do Sątrowskiej.

Po zajęciu Francji przez Adolfa Hitlera S. Płoski przebywał na terenach okupowanych przez III Rzeszę. W okresie od listopada 1940 r. do maja 1942 r. pracował w kopalni w Chizeuil (obecnie region Saona i Loara, środkowa Francja). Miejscowość znajdowała się bardzo blisko linii demarkacyjnej, oddzielającej teren okupowany przez Niemców od kolaboracyjnego państwa Vichy.

Pomiędzy majem 1942 r. a marcem 1945 r. S. Płoski przebywał na robotach przymusowych w Volklingen w Niemczech (Zagłębie Saary). W kwietniu 1945 r. trafił do obozu, najpierw w Darmstadt, potem w Wetzlar na zachodzie Niemiec, gdzie przebywał do marca 1946 r. W Wetzlar, które znalazło się w amerykańskiej strefie okupacyjnej, zorganizowano obóz dla osób przemieszczonych.

Kiedy S. Płoski przebywał za granicą, na ziemiach polskich organizowała się władza komunistyczna. Ludzie w jego ojczystych stro-

nach zaczęli układać sobie życie w powojennej rzeczywistości. Wielu z nich zdecydowało się na wyjazd na tzw. Ziemię Odzyskane, czyli do dawnych Prus Wschodnich. Ważnym miejscem dla decydujących się na emigrację było Szczytno.

Od kwietnia 1945 r. starostą szczytniejskim był Walter Późny. „Wraz z kilkoma kolejarzami, niewielką grupą miejscowych i doktorem Gauze zabrał się do tworzenia polskiej administracji i odbudowy zniszczonego miasta. Jako priory-

tet, polskie władze nakazały Późnemu tworzenie zrębów polskiej administracji oraz zbadania sprawozdania na temat aktualnej sytuacji w mieście i powiecie. (...) Wraz z początkiem kwietnia 1945 roku na podstawie sporządzonego przez starostę spisu, w Szczytnie zastano zaledwie około 250 osób, w tym 90% kobiet i starców. W ponad dwa tygodnie później stan ludności wynosił już tylko 50 osób. *Pozostałych wywieziono* – pisał w swoim sprawozdaniu Walter Późny. Zabudowania gospodarcze i domy mieszkalne szczytniejskich miejscowości w 75% nadawały się do zamieszkania, natomiast pozostałe 25% budynków zostało spalonych”.

Co więcej, „polska administracja była niejako fikcją, nie mającą za wiele do powiedzenia, natomiast polscy osiedleńcy stali się obiektem agresji ze strony żołnierzy, którzy wciąż licznie tu licznie stacjonowali. (...) Oficjalne przekazanie przez Sowietów władzy stronie polskiej odbyło się 26 maja 1945 roku (...). Według wspomnień starosty Późnego, można było to wykonać wcześniej, ale Sowietów świadomie zwlekali z jej przekazaniem w ręce Polaków,

¹⁶ Szerzej na ten temat zob. M.W. Kmoch, *Dlaczego i jak na przełomie XIX i XX w. emigrowano za Przasnysz i do Prus Wschodnich?*:

<http://www.kurpiankawielkimswiecie.pl/2018/06/dlaczego-i-jak-na-przełomie-xix-i-xx-w.html> (dostęp 5 XII 2018 r.); też, *Następstwa czasowych i stałych emigracji z Kurpiowszczyzny przed I wojną światową*: <http://www.kurpiankawielkimswiecie.pl/2018/07/następstwa-czasowych-i-staych-emigracji.html> (dostęp 5 XII 2018 r.).

¹⁷ *Baranowicze*: <https://pl.wikipedia.org/wiki/Baranowicze> (dostęp 5 XII 2018 r.).

ponieważ chodziło im o wywiezienie jak największych dóbr do Związku Radzieckiego. (...) Właściwie w zaledwie trzy miesiące po wkroczeniu do Szczytna radzieckich żołnierzy, miasto zostało kompletnie przez nich rozszabrowane. Wskutek działań sowieckiej grabieży, w Szczytnie ucierpiał nie tylko miejscowy przemysł, ale również i infrastruktura komunikacyjna”.

Do takiej rzeczywistości trafiła rodzina S. Płoskiego. Starosta szczytnieński otrzymał nakaz zasiedlania Szczytna i okolic. Nawiązał kontakt z władzami starostwa makowskiego, ostrołęckiego i przasnyskiego, co zaowocowało organizacją pierwszego konwoju osadników już pod koniec kwietnia 1945 r. Działania zorganizowane prowadzono rzadko, ludzie raczej przesiedlali się indywidualnie. W praktyce wyglądało to tak, że najpierw sołtys wsi Budy Przysieki ogłosił, że w Szczytnie może jechać każdy, kto wyraża taką chęć. Przeważnie decyzję taką podejmowali najbiedniejsi, bo nie mieli nic do stracenia. Bogatsi chłopcy byli zobowiązani do podstawienia swoich koni i wozów do transportu (jeszcze na metalowych kołach, gdyż gumowych opon nie mieli). Następnie konwój otrzymywał przewodnika i wyruszał w trasę. Jechało w nim ok. 30 wozów z pierzynami, garnkami i ludźmi. Wśród nich znajdował się o brat S. Płoskiego, Wincenty z rodziną (żona i dzieci) oraz matka Rozalia. Jedynie brat Teofil i siostra Ludwika pozostali w Budach Prywatnych. Stanisław nadal przebywał za granicą.

Cieężko powiedzieć, że miejsce docelowe było z góry narzucone, czy był to wybór. Wydaje się, że zaplanowano przyjazd osiedleńców do Leman, ponieważ po drodze konwój zatrzymywał się w Wielbarku, gdzie było pełno pustych domów, a jednak jechano dalej. Podróż trwała 2 dni. Wszyscy osadnicy zamieszkali w Lemanach, czyli 2 km od Szczytna. Do tej pory prawie wszyscy mieszkańcy Leman mają rodzinę w Budach Prywatnych lub Rządowych. Wincenty Płoski zameldował się w Urzędzie Gminy Szczytno w dniu 2 V 1945 r.

Walter Późny po latach często mówił, że odbudowę miasta i okolic zawdzięczał ludziom przybyłym ze zniszczonego wojną północnego Mazowsza. – *Za ich pracę i zaangażowanie na rzecz odbudowy zniszczonego Szczytna mam dla nich ogromny szacunek. To byli ludzie – z pominięciem nielicznych elementów – bardzo pracowici i oddani sprawie wielkiej patrioci*¹⁸.

W 1946 r. S. Płoski powrócił na ziemię polską po 17 latach emigracji. Reemigracja z Francji była możliwa dzięki czterem porozumieniom zawartym między Polską a Francją: 20 lutego 1946 r., 10 września 1946 r., 28 listopada 1946 r. i 24 lutego 1948 r., które umożliwiły powrót górników, rolników i robotników przemysłowych¹⁹. S. Płoski przybył

Stanisław Płoski zmarł 14 XI 1966 r. Chorował na raka. Pochowany został na cmentarzu komunalnym w Szczytnie. Żona dostała po nim emeryturę z Francji, co nie było proste. Trzeba było wynająć prawnika, a sprawa trwała dość długo. Aż do 1982 r. Stanisława Płoska otrzymywała z Francji wielostronicowy kwartalnik, jednak nie wiadomo, czego dotyczył. Było to

wydawnictwo francuskie, może wydawane przez organizację polonijną albo związaną z polskimi górnikami. Żona naszego bohatera zmarła w 1982 r. Nie mieli dzieci, ale Stanisław miał prawdopodobnie nieślubne dziecko.

Stanisław Płoski to przykład polskiego robotnika, który wziął udział w międzywojennej fali emigracji zarobkowej do Francji. Co ciekawe, na podstawie zdjęć z archiwum rodzinnego można powiedzieć, że za granicą żyło mu się dobrze, może lepiej niż gdyby został na ojcowiznie. Zestawiając jego zdjęcia z przedstawieniem polskiego górnika, jakie ukazało się w 1933 r. w czasopiśmie „Światowid”, można sądzić, że S. Płoski niekoniecznie pracował pod ziemią. Mógł pełnić inne funkcje w kopalni. Z drugiej strony pamiętajmy, że do zdjęć, które wówczas wykonywano tylko przy wyjątkowych okazjach, nasi przodkowie bardzo się stroili, by mieć piękną pamiątkę na lata.

S. Płoski wyjechał za chlebem do Francji, a jego historia to opowieść o wieloletniej tułaczce i trudach pracy zarobkowej za granicą w okresie międzywojennym i w czasie II wojny światowej. Nie bał się wyzysku, choć sytuacja polskich robotników w tym kraju wcale nie była dobra. Płoski bał się głodu, stąd ciągłe poszukiwanie za-



Ślub Stanisława Płoskiego ze Stanisławą Grędzińską, 1927 r.

do Bud Prywatnych, gdzie od siostry Ludwiki dowiedział się o wyprowadzce części rodziny. Następnie wraz z żoną przyjechał do Leman, ale tu nie było już niezamieszkałych jeszcze domów, choć bardzo chciał mieszkać blisko brata. Zapłacił więc jednemu z mieszkańców, żeby poszukał sobie domu gdzieś indziej, a jemu zostawił obecnie zamieszkiwany. Tak się stało.

W październiku 1946 r. S. Płoski rozpoczął pracę w Fabryce Mebli w Szczytnie. Zatrudniony był tam do kwietnia 1948 r. Następnie przez blisko rok był bezrobotny. Od maja 1949 do maja 1958 r. pracował w cegielni w Szczytnie, zaś w lipcu 1958 r. zatrudnił się w szczytniejskim browarze.

jęcia.

Maria Weronika Kmoch
współpraca Sławomir Rutkowski
oraz Anna Ziółkowska

¹⁸ R. Arbatowski, *Walter Późny cz. 3 - Historia Szczytna i okolic*: http://tygodnik.szczytno.pl/Walter_Pozny_cz_3_Historia_Szczytna_i_okolic-n7337.html (dostęp 5 XII 2018 r.).

¹⁹ A. Nisiobędzka, *Reemigracja Polaków z Francji oraz ich adaptacja w Polsce Ludowej w latach 1945–1950*, „Dzieje Najnowsze”, 48 (2016), 3, s. 169.

Kontrakt Indywidualny Górników

ARTYKUŁ I

Czas trwania umowy: 1 rok

Przedsiębiorstwo zapewni stałą pracę robotnikowi podpisującemu niniejszy kontrakt przez cały czas trwania umowy, poczynwszy od następnego dnia po jego przybyciu.

Robotnik ze swojej strony obowiązuje się wykonywać podczas przewidzianego czasokresu pracę wymienioną w niniejszym kontrakcie.

ARTYKUŁ II

Praca normalna wynosić będzie 6 dni tygodniowo i 8 godzin dziennie, czyli 48 godzin tygodniowo, pod warunkiem że mogą być wprowadzone ograniczenia (zmiany przewidziane w ustawodawstwie francuskim).

W kopalniach praca przewidziana jest dla każdej zmiany i każdej kategorii robotników stosownie do przepisów ustawy francuskiej, od chwili wejścia do kopalni pierwszych robotników do chwili wyjazdu na powierzchnię ostatnich robotników.

Podaje się do wiadomości, że niedziele, Nowy Rok, Poniedziałek Wielkanocny, Wniebowstąpienie, poniedziałek po Zielonych Świątkach, Święto Narodowe Francuskie 14-go lipca, Wniebowzięcie, Wszystkich Świętych i Boże Narodzenie są dniami wolnymi od pracy.

Ponadto robotnicy polscy będą korzystać z odpoczynku w Wigilię Bożego Narodzenia przez pół dnia i w Wielką Sobotę po południu.

Praca normalna odbywa się (wskazać czy w dzień czy w nocy) bez różnicy w dzień i w nocy.

Będą wynagradzani oddzielnie:

- Praca nocna lub wykonywana w dni świąteczne, jeżeli nie wynika to z normalnego rozchodu robót,
- Godziny dodatkowe według norm przyjętych dla robotników francuskich.

ARTYKUŁ III

Robotnik podpisujący niniejszą umowę będzie wynagradzany za równą pracę na równi z robotnikami francuskimi tej samej kategorii, spełniającym tę samą pracę w przedsiębiorstwie, a w braku robotników francuskich danej

kategorii, wynagrodzenie będzie równe średniemu wynagrodzeniu robotników tej kategorii, przyjętemu w okolicy.

Robotnik będzie miał prawo do wszelkich dodatków drożynianych, które mogą być przyznane robotnikom francuskim, pod warunkiem jednakowoż, iż nie korzysta on z przywilejów specjalnych, jak np. bezpłatne mieszkanie, wikt dostarczany przez pracodawcę po cenie tańszej, niż normalnie, itd. W tym wypadku, ewentualne dodatki drożyniane mogą być zmniejszone w stosunku odpowiadającym rzeczywistej wartości dodatków, z jakich korzysta robotnik w naturze.

Wynagrodzenie w chwili obecnej ustalone jest w sposób następujący (włącznie z wszel-

Wynagrodzenie jest płatne wyłącznie w gotówce, okresowo (najmniej) dwa razy miesięcznie, stosownie do ustawy francuskiej i podług zwyczaju przyjętego w przedsiębiorstwie *)

Nieznajomość języka francuskiego nie może służyć jako powód przyznania robotnikowi polskiemu przy równej pracy niższej płacy aniżeli otrzymują robotnicy francuscy tej samej kategorii pracujący w danym przedsiębiorstwie lub w braku ich, w okolicy.

Przy jednakowych zdolnościach zawodowych, robotnik polski będzie zaliczony do tej samej kategorii co i robotnik francuski.

ARTYKUŁ IV

W razie gdyby podczas trwania umowy, wysokość wynagrodzenia wskazana powyżej uległa zmianie dla robotników francuskich pracujących w danym przedsiębiorstwie, zmiana ta z prawa ma zastosowanie do robotnika polskiego podpisującego niniejszą umowę.

ARTYKUŁ V

Pracodawca dostarcza mieszkanie za opłatą 10-20 frs. miesięcznie

Jeśli robotnik jest zaangażowany wraz z żoną lub rodziną, przedsiębiorstwo dostarcza mu oddzielnego pomieszczenia, odpowiadającego wymaganiom higieny. Robotnicy i robotnice samotni ulokowani są w oddzielnych mieszkaniach, podług płci, w warunkach przewidzianych przez francuski Kodeks Pracy.

ARTYKUŁ VI

Przedsiębiorstwo podaje do wiadomości tytułem wskazówki, że koszt żywienia wynosi dziennie 8-10 fr. zależnie od okolicy.

Lub też Przedsiębiorstwo dostarcza robotnikowi pożywienie w cenie co pociąga za sobą odpowiednią zmianę zarobku podanego powyżej w art. III.

ARTYKUŁ VII

Przedsiębiorstwo zapewni robotnikowi pomoc lekarską i lekarstwa w warunkach tych samych co i robotnikom francuskim, mianowicie za potrąceniem 1 ½ % zarobku stosownie do artykułu III.

W razie śmierci robotnika, pracodawca winien zająć się pogrzebem. Winien on również zająć się sporządzeniem przez Mera (Wójta) aktu zejścia i zawiadomić natychmiast Sędzie-



Zdjęcie zapewne z Francji, Stanisław Płoski pierwszy z lewej.

kimi dodatkami):

Robotnicy wykwalifikowani:

1-sza kategoria fr dziennie mogące dochodzić do ... fr.

2-ga kategoria fr dziennie mogące dochodzić do ... fr.

Robotnicy niewykwalifikowani:

23 fr. dziennie mogące być podniesione do 25 fr.

Potrąca się z zarobku robotnika wskazanego powyżej 4 ½% na kasę emerytalną i 1 ½% na kasę wzajemnej pomocy.

Podane powyżej wynagrodzenie przyznane jest robotnikom wykwalifikowanym w zawodzie do którego zostali oni zaangażowani.

go Pokoju, dostarczając mu wszelkich wskazań o zmarłym, o rodzinie i o spadku, dla zawiadomienia Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Paryżu. Winien on doręczyć Sędziemu spadek po zmarłym.

Konsulat Polski w odpowiedniej chwili udzieli Sędziemu Pokoju wszelkich potrzebnych wskazań dotyczących przeznaczenia przedmiotów wartościowych, pozostałych po zmarłym.

ARTYKUŁ VIII

W razie wypadku przy pracy robotnik będzie korzystał z opieki prawa francuskiego, które mu zapewni odszkodowanie, opiekę lekarską oraz lekarstwa bezpłatnie.

ARTYKUŁ IX

- a) Pracodawca ponosi koszt selekcji, pomieszczenia w obozach emigracyjnych, ekspedycji i żywienia robotników, przyjętych przez Misję francuską, lub akredytowaną Delegację Pracodawców. Robotnik ponosi koszt przejazdu koleją lub statkiem.
- b) Robotnik przyjęty przez Misję francuską, względnie Delegację pracodawców, ma prawo korzystania z transportów organizowanych przez powyższe Delegacje, celem dojazdu do stacji zbernej we Francji za opłatą pewnej kwoty, ustalonej obecnie na fr. 250,- lecz mogącej ulec przerachowaniu¹⁾
- c) Jeżeli robotnik nie posiada odpowiednich środków, pracodawca awansuje kwotę potrzebną na pokrycie przejazdu koleją lub statkiem. Kwotę tą winien robotnik spłacić pracodawcy ratami ze swego zarobku, stosownie do obowiązujących ustaw francuskich, w granicach aż do sumy oznaczonej pod b)[...]jących] przerachowaniu (obecnie 250fr)²⁾ W zaś[...]

ARTYKUŁ X

Będą odesłani na koszt przedsiębiorstwa:

1. Robotnicy, których niezdolność do pracy z powodu stanu zdrowia stwierdzona zostanie po przyjeździe na miejsce przeznaczenia, za wyjątkiem robotników, którzy świadomie ukryli swoje wady przy rewizji lekarskiej w Polsce.
2. Robotnicy, którzy zachorują podczas trwania kontraktu a nie mogliby wyzdrowieć i wrócić do pracy przed upływem terminu umowy.

ARTYKUŁ XI

Kontrakt może być rozwiązany przez pracodawcę:

- a) W razie, gdyby robotnik pomimo napomnień ze strony pracodawcy uporczywie nie spełniał zobowiązań przyjętych na siebie niniejsz



Stanisław Płoski zdjęcie dowodowe.

szą umową, lub nie stosował się do przepisów, obowiązujących w danym przedsiębiorstwie.

- b) Jeśli zachowanie robotnika stale zakłóca spokój i porządek pracy w danym przedsiębiorstwie.

- c) Jeśli dotknięty chorobą zaraźliwą odmawia udania się do szpitala.

Termin wypowiedzenia przewidziany jest w regulaminie wewnętrznym.

Kontrakt może być rozwiązany przez robotnika:

- a) Jeśli jest znieważony
- b) Jeśli pracodawca, pomimo reklamacji ze strony robotnika, odmawia mu wydanie dokumentów stanowiących osobistą własność robotnika (paszport, kontrakt, carte d'identite, extrait du registre d'immatriculation). Prócz rozwiązania kontraktu w danym wypadku robotnik może wnieść skargę o odszkodowanie z tytułu Kodeksu pracy, art.1382. robotnik winien jednak wypowiedzieć pracę na 15 dni przed jej opuszczeniem.

- 1) Obóz w TOUL, lub port wylądowania.
- 2) Obecnie 1/10 całkowitego wynagrodzenia (wliczając gotówkę i koszt żywienia dla robotników żywionych przez pracodawców).

Przepisy powyższe nie ograniczają praw ani jednej ani drugiej strony, załatwienia sprawy w drodze sądowej, o ile uważają one rozwiązanie kontraktu za nieusprawiedliwione.

ARTYKUŁ XII

- a) O ile nastąpi rozwiązanie, stosownie do podanych wyżej przyczyn, art. XI lub też jednostronne zerwanie kontraktu, strona z winy której nastąpiło zerwanie (pracodawca lub robotnik) winna zwrócić drugiej stronie tytułem odszkodowania tyle razy po trzy franki, ile tygodni zostaje do ukończenia kontraktu.

- b) Ponadto, o ile rozwiązanie względnie zerwanie kontraktu, nastąpiło z winy robotnika, ten ostatni winien zwrócić pracodawcy kosz-

ta jego przejazdu, zaawansowane przez pracodawcę (jeśli tego jeszcze nie uczynił). W tym wypadku robotnik zrzeka się na korzyść pracodawcy kwot przewidzianych w § a i b niniejszego artykułu stosownie do art. 62 Kodeksu Pracy, tom I.

Jeśli rozwiązanie lub zerwanie kontraktu nastąpiło z winy pracodawcy, ten ostatni winien zwrócić robotnikowi kwoty potrącone z jego zarobku, stosownie do art. IX § c niniejszego kontraktu.

Jeśli pracodawca nie zaawansował robotnikowi kosztów podróży, winien on wypłacić mu kwotę przewidzianą § b i § c art. XI odpowiadającą kosztom podróży, ustaloną obecnie na fr. 250,- a ulegającą przerachowaniu.

Powyższe przepisy nie upoważniają robotnika ani pracodawcy do rozwiązania kontraktu w wypadkach nieprzewidzianych w art. XI i XII niniejszego kontraktu. Wszelkie zerwania jednostronne pociągałoby za sobą prócz zwrotu kosztów przewidzianych w § a) i b) niniejszego artykułu, wszelkie koszty z tytułu odszkodowania, stosownie do ewentualnego orzeczenia trybunału.

ARTYKUŁ XIII

Niezależnie od przepisów artykułu XI, kontrakt może być rozwiązany w wypadku choroby lub śmierci w rodzinie robotnika (żony, dzieci lub rodziców) lub w wypadku siły wyższej, która by zmusiła robotnika do powrotu do kraju. Prośbę swą winien robotnik poprzeć w danym razie urzędowym świadectwem Konsulatu Polskiego.

W tym wypadku robotnik winien zwrócić pracodawcy koszt podróży zaawansowane przez niego w całości, stosownie do art. IX (o ile koszt te były zaawansowane przez pracodawcę).

Traci on jednak w tym wypadku prawo do kosztów podróży powrotnych przewidzianych w ostatnim paragrafie art. IX.

ARTYKUŁ XIV

Wszelkie trudności, mogące powstać pomiędzy robotnikiem i przedsiębiorstwem, należy niezwłocznie zakomunikować, bądź bezpośrednio, bądź za pośrednictwem władz konsularnych polskich francuskiemu Ministerstwu Pracy pod adresem Ministre du Travail, Service de la Main-d'Oeuvre Etrangere, 2 avenue Rapp, Segur 21-13, Inter-Segur 2. Adres telegraficzny: Travetrang Paris.

MINISTÈRE DU TRAVAIL

ASSURANCES SOCIALES

CARTE D'IMMATRICULATION

Département de 1^{re} immatriculation : *Nord*

NUMÉRO MATRICULE DE L'ASSURÉ :	04 5919002	10
--------------------------------	------------	----

Nom : *Polak*

Prénoms usuels : *Stanisław*

Date de naissance : *25 octobre 1904*

Lieu de naissance : *Buczy*

Nationalité : *polonaise*

94 - 5p. 711 - J. 23486-30.

L'assuré a été immatriculé à l'assurance (1) obligatoire facultative spéciale

à la date du 1^{er} JUILLET 1930

POUR LE PRÉFET DU NORD
Le Préfet
Le Conseiller de Préfecture Délégué

[Signature]

(1) Effacer deux des trois indications.

POWIATOWA KOMENDA UZUPEŁNIEN
w Ciechanowie

Ciechanów, dn. 4 Lipca 1929 r.

L. dz. 15757/29

ZEZWOLENIE NA OTRZYMANIE PASZPORTU ZAGRANICZNEGO.

Powiatowa Komenda Uzupełnień w Ciechanowie zezwala Panu Głotkiewicz
Stanisławowi synowi Franciszka Koralji z
urodzonemu 25. X. 1904 roku zamieszka-
łemu w Budach Prywatnych gm. Jedliczów pow. Przasnyski
na otrzymanie paszportu zagranicznego (albo) na przedłużenie terminu ważności paszportu
zagranicznego na wyjazd do Francji

Zezwolenie niniejsze jest ważne, o ile zostanie przedstawione w Starostwie
Przasnyskim przed upływem dwóch miesięcy od dnia dzisiejszego,
w którym to terminie petent może sobie wyrobić paszport zagraniczny.

(Specjalne zastrzeżenia) Paszport zagraniczny może być wydany jedynie
w wypadku stwierdzenia przez władzę administracyjną konieczności
wyjazdu za granicę w celach zarobkowych.

KOMENDANT POWIATOWEJ KOMENDY UZUPEŁNIEN
[Signature]

PILNOŚĆ 3 1 room strz

555. 5.V.25 r. 30.000. Druk. D O K. I

Travail Souterrain.

Robota Podziemna.

Contrat Individuel pour Ouvrier Polonais des Mines KONTRAKT INDYWIDUALNY GÓRNIKÓW

Désignation de l'établissement employeur (raison sociale et adresse)
Nazwa przedsiębiorstwa najmującego (firma i adres)

Lieu d'emploi

Miejsce zatrudnienia

Dare

Gracza Golejowa

Nom et adresse du représentant désigné en vue du recrutement
Nazwisko i adres reprezentanta mającego służyć rekrutowaniu

Société Générale d'Immigration
Service du Pologne

Nom, prénom, âge et adresse de l'ouvrier et de sa famille en Pologne)
Nazwisko, imię, wiek i adres robotnika i jego rodziny w Polsce)

Płoski Stanisław 25 ans

Profession :

Zawód :

ouvrier non qualifié

robotnik niewykwalifikowany

Ciechanów

Nature du travail)

Indiquer, le cas échéant, les dangers exceptionnels du travail : présence d'obus non éclatés etc.
Rodzaj pracy)

Indiquer, le cas échéant, les dangers exceptionnels du travail : présence d'obus non éclatés etc.
Wskazać, w danym wypadku niebezpieczeństwo wyjątkowe, czy pracy : obecność niewybuchłych pocisków itd.

ARTICLE I.

Durée du contrat) **1 an**

L'établissement assurera, pendant cette durée, à dater du lendemain de son arrivée, un travail continu à l'ouvrier signataire du présent contrat.

L'ouvrier, de son côté, s'engage à effectuer, pendant la même durée, le travail prévu au contrat.

ARTICLE II.

Le travail normal comporte six jours de travail par semaine avec un horaire normal de huit heures par jour ou 48 heures par semaine, sous réserve des dérogations prévues par la législation française.

Pour les mines, cette durée est calculée pour chaque poste et chaque catégorie d'ouvriers, conformément aux dispositions de la loi française, depuis l'heure réglementaire d'entrée dans les mines des premiers ouvriers descendants, jusqu'à l'heure réglementaire de l'arrivée au jour des derniers ouvriers remontants.

A titre de renseignement, il est signalé que les dimanches, le Nouvel An, le Lundi de Pâques, l'Ascension, le Lundi de la Pentecôte, la Fête Nationale française du 14 Juillet, l'Assomption, la Toussaint et Noël sont jours chômés.

En outre, les ouvriers polonais jouiront d'un repos d'une demi-journée, la veille de Noël et d'un repos de l'après-midi, le samedi, veille du dimanche de Pâques.

Le travail normal est fait pendant (indiquer si c'est la nuit ou le jour) : indifféremment le jour et la nuit.

Seront rétribués, à part :

a) Le travail de nuit et des jours fériés, lorsqu'il ne résulte pas de l'organisation normale du travail.

Il y a le contrat est signé par un représentant des mineurs en France avec sa famille, indiquant si il est donné un emploi aux femmes et dans quelles conditions. — 2) L'employeur aura intérêt à connaître l'ouvrier aussi complètement que possible. — 3) Tous, du, seul ou doublement. — 4) En cas d'insuffisance ou d'absence des conditions atmosphériques pour les travaux de nuit ou en cas de force majeure, il sera donné aux ouvriers un repos complet, indiquant à celui qui sera fait par l'employeur, indiquant les autres travaux effectués dans son entreprise pendant la période de travail aux ouvriers concernés.

ARTYKUŁ I.

Czas trwania umowy) **1 rok**

Przedsiębiorstwo zapewni stałą pracę robotnikowi po podpisaniu niniejszego kontraktu przez cały czas trwania umowy, począwszy od następnego dnia po jego przybyciu.

Robotnik ze swej strony zobowiązuje się wykonywać pod czas przewidzianego czasu pracy, pracę wymienioną w niniejszym kontrakcie.

ARTYKUŁ II.

Praca normalna wynosić będzie 6 dni tygodniowa i 8 godzin dziennie, czyli 48 godzin tygodniowo, pod warunkiem, że mogą być wprowadzone ograniczenia (zmiany) przewidziane w ustawodawstwie francuskim.

W kopalniach praca przewidziana jest dla każdej zmiany i każdej kategorii robotników stosownie do przepisów ustawy francuskiej, od chwili wejścia do kopalni pierwszych robotników do chwili wyjścia na powierzchnię ostatnich robotników.

Podaje się do wiadomości, że niedziela, Nowy Rok, poniedziałek Wielkanocny, Wniebowstąpienie, poniedziałek po Złotygodziny Świątecznej, Święto Narodowe francuskie 14-go lipca, Wniebowzięcie, Wszystkich Świętych i Dzień Narodzenia są dniami wolnymi od pracy.

Ponadto robotnicy polscy będą korzystać z odpoczynku w Wigilię Bożego Narodzenia przez pół dnia i w Wielką sobotę po południu.

Praca normalna odbywa się (wskazać czy w dzień czy w nocy) : Bez różnicy w dzień i w nocy.

Będą wynagradzane oddzielnie.

a) Praca nocna lub wykonywana w dniu świątecznym, jeżeli nie wynika to z normalnego rozkładu roboty.

1) Jeżeli robotnik podpisujący niniejszą umowę, zamierza udać się do Francji z rodziną, należy wskazać czy kobiety mogą również pracować w tym samym przedsiębiorstwie i w jakich warunkach. — 2) Pracodawca powinien jak najpełniej poznać robotnika, a to ze względu na interesy. — 3) Wszelkie zmiany lub przerwy należy wskazać. — 4) W razie potrzeby mogących wynikać ze zmian pogody, przy pracy na powierzchni lub w przypadku wyłączenia się, przewidziano odpocznienie robotnikom polskim równocześnie z robotnikami francuskimi (polity zgodą co się tyczy robotników francuskich).

Les dispositions qui précèdent ne portent aucune dérogation aux droits de l'une ou de l'autre des parties, de demander des dommages-intérêts en justice, si elles estiment la résiliation injustifiée.

ARTICLE XII.

a) s'il y a résiliation à la suite de l'un des cas visés à l'article XI ou rupture de contrat, celui (l'employeur ou ouvrier) par la faute de qui le contrat aura été résilié ou rompu, versera à l'autre partie, une indemnité égale à autant de fois 3 francs qu'il restera de semaines à courir jusqu'à l'expiration du contrat.

b) En outre, s'il y a résiliation ou rupture par la faute de l'ouvrier, ce dernier devra, si l'employeur a avancé les frais de son voyage, rembourser, la partie de ces frais dont il ne sera pas encore libéré. Il fait, par le présent contrat, cession au dit employeur, dans les limites prévues par l'article 62 du Livre I du Code du Travail, des sommes visées aux paragraphes a et b du présent article.

S'il y a résiliation ou rupture, par la faute de l'employeur, ce dernier devra restituer à l'ouvrier les retenues qui auront été effectuées sur son salaire, aux termes de l'art. IX § c du présent contrat.

Si l'employeur n'a pas avancé à l'ouvrier les frais de voyage, il devra lui payer la somme, révisible et fixée forfaitairement, égale à celle prévue pour les frais de voyage aux paragraphes b et c de l'article IX.

Les dispositions qui précèdent ne sauraient être interprétées comme conférant à l'employeur ou à l'ouvrier, la faculté de se libérer du contrat en dehors des cas visés aux articles XI et XII, avant la date prévue. Toute rupture anticipée les exposerait, non seulement aux remboursements prévus aux § a et b de l'art. XII, mais encore à tous les dommages-intérêts qui pourraient être alloués par les tribunaux.

ARTICLE XIII.

Indépendamment des dispositions prévues à l'article XI, le contrat peut être également résilié dans le cas de mort ou de maladie grave d'un conjoint, ascendant ou descendant direct de l'ouvrier, ou si un cas de force majeure l'obligeait à retourner dans son pays d'origine, mais il serait tenu d'appuyer sa demande de libération d'un certificat officiel du Consulat de Pologne.

L'ouvrier remboursera alors intégralement les frais de voyage, calculés conformément à l'article IX, et pas encore libéré, si ces frais ont été avancés par l'employeur.

Il perdra, toutefois, le droit à l'indemnité de retour prévue au dernier paragraphe de l'article IX.

ARTICLE XIV.

Toute difficulté, pouvant surgir entre l'établissement employeur et l'ouvrier signataire du présent contrat, sera immédiatement signalée, soit directement, soit par l'intermédiaire des autorités consulaires, en langue française ou en langue polonaise au Ministère du Travail (Service de la Main-d'Oeuvre Étrangère, 2, avenue Rapp, Paris), Téléphone: Ségur 21-13 et Inter-Ségur 2. Adresse télégraphique: Travetrang Paris.

Fait à
Pologne, le
Umowa zawarta w

Krynówice 28 AUG. 1929

Signature de l'ouvrier:

Podpis robotnika:

Signature de l'employeur ou de son représentant:

Podpis pracodawcy wzgl. jego zastępcy:

Widziam:

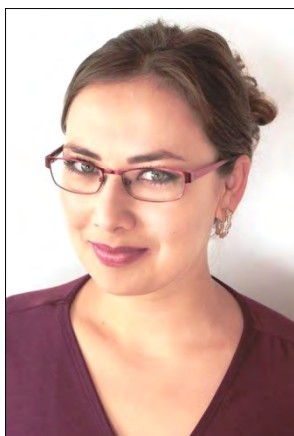
Visa de l'Administration:

Société Générale d'Immigration
Chai de Centre

K. CHYBINSKI
Inspektor Emigracyjny

L'employeur qui fait venir la famille de l'ouvrier s'engage à conserver à sa charge 60%, des frais d'introduction de la famille, le surplus devant être supporté par l'ouvrier, chef de famille.

Pracodawca, który sprowadza rodzinę robotnika obowiązkuje się przyjąć na siebie 60 proc. kosztów sprowadzenia rodziny, przewyżkę musi ponieść robotnik szef rodziny.



Emigracja „za Przasnysz” i do Prus Wschodnich na przełomie XIX i XX w.

Maria Weronika KMOCH

Puszcza Kurpiowska to ziemia klasycznego wychodźstwa - tak w 1908 r. pisał korespondent podpisujący się jako „X”. Podobnie twierdził w 1900 r. Dominik Staszewski, sędzia pokoju w Jednorozcu w latach 1895–1907. Temat emigracji zarobkowej na przełomie XIX i XX w. jest niezwykle interesujący, bowiem pozwala zrozumieć życie i myślenie naszych przodków. W artykule staram się odpowiedzieć na pytanie o przyczyny i kształt emigracji zarobkowej. Dokąd się udawano? Kto decydował się na wyjazd i jak organizował podróż? Czy wracano? Wybrałam temat emigracji czasowej „za Przasnysz” oraz do Prus Wschodnich. Były to dwa ważne kierunki wychodźstwa zarówno przed I wojną światową, na czym się skupiam, jak też później, nawet do drugiej połowy XX w., o czym szerzej może w przyszłości.

W swoich rozważaniach koncentruję się na terenie dzisiejszej gm. Jednorzec. Przed I wojną światową miała zupełnie inny kształt niż dzisiaj. Gm. Jednorzec należała do pow. przasnyskiego w guberni płockiej. W jej skład wchodziły następujące miejscowości: Jednorzec, Połoń, Olszewka, Małowidz, Parciaki, Żelazna, Stegna, Szla, Przejmy, Lipa, Obórki, Karolinowo, Nakieł, Budy Przysieki (Rządowe). Była to więc gmina w większości kurpiowska. Pozostałe wsie, które dziś należą do gm. Jednorzec, wówczas znalazły się w granicach gmin: Przasnysz (Kobylaki Wólka, Kobylaki Konopki, Kobylaki Korysze i Kobylaki Czaraste), Krzynowłoga Wielka (Ulatowo Pogorzel, Ulatowo Słabogóra, Ulatowo Dąbrówka) oraz Baranowo (Dynak). Poza gubernią płocką, w guberni łomżyńskiej, pow. makowskim i gm. Dąrdzewo pozostały tereny późniejszej wsi Dąrdzewo Nowe, która wydzielila się z Dąrdzewa. Warto też zaznaczyć, że ze względu na podobieństwo pewnych zjawisk, poniższe ustalenia można odnieść też do innych sąsiednich terenów, szczególnie kurpiowskich wsi za Omulwią czy dzisiejszej gm. Chorzele.

Dlaczego emigrować?

Przyczyn emigracji zarobkowej na przełomie wieków XIX i XX, bo takiej się przyjrę, należy szukać w wielu obszarach. Wynikały one na pewno z ograniczonych możliwości zwiększenia arealu ziemi uprawnej, zacofania gospodarczego i niewystarczającego do godnego życia dochodu uzyskiwanego z pracy na roli czy innych zajęć. Po uwłaszczeniu chłopów nastąpił wzrost gospodarstw karłowatych (maksymalnie 3 morgi), podlegających dalszemu roz-

drobieniu w rezultacie podziałów rodzinnych i sprzedaży. Kurpiowski etnograf Adam Chętnik pisał, że na Kurpiach dopiero 20-morgowe gospodarstwo daje szansę utrzymania rodziny. Co więcej, rolnictwo miało charakter ekstensywny. Trudną sytuację pogarszały częste klęski żywiołowe i zdarzenia losowe, szczególnie głód i pożary.

Po 1860 r. przyrost naturalny w Królestwie Polskim przybrał charakter eksplozji demograficznej. Umieralność nie była w stanie go zrównoważyć. W latach 1890–1900 przyrost naturalny na 1 tys. mieszkańców wynosił w Królestwie Polskim 18,7. W Niemczech było to 13,8, a we Francji tylko 1,37! Stąd rosła liczba ludzi, którzy nie mogli znaleźć zatrudnienia na wsi. Tak samo nie mogło ich przyjąć miasto, i tak przeludnione. Brakowało pracy, bowiem przemysł w guberni płockiej w 1897 r. stanowiły jedynie 164 niewielkie zakłady przemysłowe, zatrudniające łącznie 2 346 osób (0,9% mieszkańców guberni). Miejscowe, zlokalizowane na terenach wiejskich, zakłady nie zapewniały tak wielu miejsc pracy. Potencjał przemysłowy gm. Jednorzec na przełomie wieków zamykał się w 4 smolarniach (Budy Przysieki, Budziska, Olszewka, Stegna) i 3 wiatrakach (Jednorzec) oraz tartaku Żyda M. Rycherta (Rajcherta) w Steganie. Przykładowo w tym ostatnim zakładzie pracowało 16 osób, ale czym jest ta liczba przy tak ogromnym zapotrzebowaniu?

Zauważyć też należy czynniki polityczne. Część mężczyzn decydowała się na opuszczenie kraju, by uniknąć obowiązkowej służby wojskowej. Zjawisko nasiliło się przed I wojną światową.

Zrozumiałym jest więc, że z powodu przedstawionej wyżej sytuacji część mieszkańców decydowała się na wyjazd z ojcowizny. A. Chętnik pisał: *Nigdzie chyba nie jest tak rozpowszechnione wychodźstwo do Prus i Ameryki jak na Kurpiach. Nie ma chyba domu na Puszczy, z którego by kogoś nie brakowało, a są rodziny, z których i kilkoro osób wyemigrowało za morze. Dawniej emigrowała tylko młodzież i to męska, obecnie [opinia z książki wydanej w 1913 r. - przyp. M.W.K.] zaś idą starsi gospodarze z żonami i dziećmi; nawet same młode dziewczęta idą w świat daleki tak jak na jarmark do sąsiedniej parafii.*

Do dworu

Zacznijmy od emigracji sezonowej. Ci, którzy nie mogli pozwolić sobie na opuszczenie rodziny na dłuższy czas, szukali zarobku w zamożniejszych majątkach w okolicy Przasnysza czy Ciechanowa, pomimo tego, że praca była ciężka, a zarobki marne. Analogicznie Kurpie z innych części regionu udawali się do pracy w folwarkach powiatów: łomżyńskiego czy pułtuskiego. Nazywano ich „bandosami”. Natomiast emigrujący za Przasnysz czy Ciechanów Kurpie mówili, że idą do pracy „do Polski”. Potwierdza to relacja Ludwika Krzywickiego, który pisał: *Kurpianki, które spotkałem, dążące na roboty polne do dworów szlacheckich, na zawołanie, skąd i dokąd idą, odpowiadały: z puszczy do Polski, objaśniając to słowami: na pole, na szlachtę.* Poczyniona uwaga pokazuje podział społeczny na linii narodowej i regionalnej. Nie ma tu niechęci, piętna, widać jednak duży rozdział.

W odniesieniu do okresu międzywojennego Stefan Wilga (1911–1994) z Jednorzecz pisał o takim wychodźstwie. Warto przytoczyć obszerny, ale niezwykle ciekawy fragment jego wspomnień: *Ludność prawie całego przasnyskiego powiatu długie lata nie mogła dojść do pory po zniszczeniach wojennych, a przeważnie na ziemiach piaszczystych i łąkach zalanych wodą. Ludność szukała pracy i jakiego zarobku. Nie tylko zmuszeni byli dzieci do służby, które były sierotami, ale i rodzice dawali swoje dzieci na służbę. Dla swojej korzyści dużo dzieci służyło z naszej wioski, co ich rodzice nie posiadali kawałka ziemi, to dzieci dali na służbę, a sami szukali zarobku we Dworach za Przasnyszem.*

Dlaczego tam? Gleby w tej części regionu były dużo bardziej urodzajne, dlatego i plony były lepsze, a do pracy przy zbieraniu kartofli czy buraków na dużych polach ziemi trzeba było wiele rąk. Specyfikę rolnictwa na omawianym terenie - w przeciwieństwie do nieurodzajnych kurpiowskich piaszków - widać na mapach.

W emigracji sezonowej do dworów w Przasnyskiem i Ciechanowskiem ważną rolę odgrywało miasto Przasnysz. Jak pisał w 1911 r. etnograf Kazimierz Moszyński, to leżące na krańcu Puszczy miasto było niegdyś ożywionym targowiskiem wymiennym między rolniczymi ciechanowskimi szaraczkami a puszczańskimi kurpiami. Co należy pod tym sformułowaniem rozumieć? Z pomocą przychodzi S. Wilga, który wspominał: *Jak nadeszła wiosna to przez naszą wieś, jak przyszedł piątek, to*

ludzie szły jak na odpust. Zaszli do Przasnysza na noc. Jarmark na ludzi odbywał się w każdą sobotę na rynku zwanym „trójką” w Przasnyszu [plac naprzeciw Dworca PKS, gdzie dziś stoi sklep „Biedronka” - przyp. M.W.K.]. Ludzie, którzy przyszli do Przasnysza na noc, nocowali na bruku, a rano, jak przyjechał jakiś dworski wóz po ludzi, to siadali ludzie na wóz, żeby jak najprędzej odjechać. Nie pytali się o zapłatę, tylko jem chodziło, żeby ich z Przasnysza chłopcy nie przewrócili z wozem do góry dnem, bo takie wypadki się często zdarzały, jak furman dał na litra, to pojechał do dworu z ludziami, a jak nie dał, to za miastem spędzili ludzi z wozu i pojechał przez ludzi. A jak ludzie nie chcieli zejść z wozu, to przewrócili wóz z ludziami. Prosto postawili na kłonicach, trafiały się wypadki po takim przewróceniu wozu z ludziami, [bo] łamali ręce i nogi. Ludność, która przez zgody siadała na wozy dworskie, nazywali przasnysiaków bandytami. Ale oni nie byli bandytami, tylko jem chodziło o większy zarobek, o warunki życiowe i o podwyższenie zapłaty, bo oni też byli robotnikami i chcieli zarobić na kawałek chleba powszedniego, bo nasi Panowie ze Dworów lichy placili. Kobiety musiały pleć buraki od słonka wschodu do zachodu za 80 groszy dziennie, a kilogram chleba białego kosztował 60 groszy, a kilo bułek 80 groszy. Mężczyzna jak stanął z widłami do gnoju, albo do młocki zboża, to zarobił półtora złotego, prawie na jeden kilogram cukru.

Życie po dworach było liche. Rzadko się zdarzało, żeby były pokraszone kartofle słoniną. Chleb każdy dostał pod wydziałem. Miejska ludność walczyła na rynku, gdzie się odbywał jarmark, żeby wielmożni Panowie ze Dworów podwyższyli dniówkę dla ludzi pracy. Ale ci ludzie, którzy przychodzili do Przasnysza, tego nie rozumieli, że tu chodzi o trochę lepszego jutra i o większy kawałek chleba. Na oślep siadali na dworskie wozy. Najwięcej ludzi szło za Przasnysz spod Mysieńca. Szli na roboty starzy i młodzi. Szły kobiety z małymi dziećmi odziane chustką lub jaką derką parcianą. Widać było na tych ludziach jakiś niedostatek. Ale w każdym dworze ci ludzie byli przezywani kurpiami. Ale te kurpie to mieli więcej w swoich sercach ślachetności, jak ci sami Panowie. Pomimo pracy i lichego odżywiania, zawsze byli pogodni. Wychodzili do pracy z pieśnią na ustach, śpiewali polskie piosenki stare i nowe. Chodź człowiek prosty, to mógł poznać, że w tych ludziach płynie polska krew, bije polskie serce i cieszą się wolnością. Ale nasi wielmożni Panowie to zapomnieli, że oni powinni dać przykład ludziom pracy, a nie ludzie jem. Trafiali się dworskie Dziedzice, że traktowali ludzi pracy po ludzku. Widać było, że i oni mają serce polskie. Ale więcej było takich Dziedziców, którzy mieli wilczą naturę, że tych ludzi, którzy u niego pracowali, poczytywali za dobrowolnych niewolników. Sam byłem świadkiem różnych wydarzeń, bo sam przechodziłem takie przeżycia i wszystko widziałem na własne oczy.

(...) We dworach byli ludzie i ludziska, jedni mieli robotników za ludzi, a drudzy mieli za niewolników, to też te zamęty powstawały po Dworach i na targu ludzmy w Przasnyszu. Panowie ze Dworów musieli podróżować dniówkę przy dworskiej robocie, bo na targowisku ludzmy w Przasnyszu przez ludzi z miasta została ustalona cena, wiele ma otrzymać kobieta

i mężczyzna. To jak ludzie posiadali na dworskie wozy, podszedł do wozu jeden z chłopów z Przasnysza i się zapytał tych, którzy siedzieli na wozach dworskich, wiele się zgodzili za jeden dzień pracy. To jak cena była pasowna, to furman pojechał z ludzmy do Dworu, a jak cena była za mała, to ci młodzi ludzie z miasta zegnali z wozu tych ludzi, co przyszli spod Mysieńca, albo za miastem wóz z ludzmy przewrócili do góry dnem, a furman pojechał pustym wozem do Dworu.

(...) W naszej okolicy, zwanej Kurpiami, jednym źródłem zarobku były Dwory i tam wszyscy szli zarobić parę złotych. Dużo na robotach dworskich było dziewczyn młodych, niektóre były dość urodne. Niektóre z dziewczyn pracowały od wiosny do twardej jesieni. Ale jak przyszła jesień, to Pan Dziedzic powiedział: - Fora ze dworu, nie ma już roboty.

Tak wyglądała praca w dworach w okresie międzywojennym. A wcześniej? Jak informował korespondent z Jednorozca w 1910 r., Od samej wiosny, jak tylko zaczęły się roboty polne, mnóstwo robotników z całej Puszczy przechodzi tędy na roboty za Przasnysz i dalej (...). D. Staszewski pisał: Ukończywszy jak najprędzej roboty u siebie, jak pielienie, żniwa lub kopanie, przyczep dla pośpiechu pomagają jedni drugim, idą tłumnie na też roboty za Przasnysz. W każdą sobotę piękna jednorozka grobla czerwieni się od ubiorów kurpianek [fragment nieczytelny] i białem tle ubiorów Kurpiów, tak tłumnie ciągną z Puszczy do Przasnysza, gdzie co niedzielę odbywają się [słowo nieczytelne] jarmarki na kurpiów. Cały rynek i przylegające doń ulice zalegają kurpie i dworskie fornalki, które zabierają ich w różne strony, nieraz odległe do 10-ciu mil od Przasnysza. K. Moszyński dodawał, że wyjazd na zarobek Kurpie okraszali krzykiem i śpiewami. Kurpie pracowali przy pielieniu, spręcie siana, żniwach, kopaniu ziemniaków czy buraków.

Jak wiele osób wybierało się do pracy w dworskich majątkach? Staszewski przekonywał, że prawie niema rodziny, z którejby ktoś tam nie był; z wielu rodzin wychodzi ich po kilkoro, a nieraz jedni i ciż sami idą kilkakrotnie. A co z zarobkami? Urzędnik relacjonował: za pielienie płacą im od 20 do 30-tu kop. dziennie bez życia; od żniwa dostają od 50 do 60 kop. dziennie, przyczem mężczyźni dostają jeszcze po 2 garncie kartofli; za kopanie buraków biorą po 12 groszy od redliny i zarabiają od 30 do 50 k. dziennie, przyczem dostają po 2 garn. kartofli. Za każdym więc razem przynoszą do domu po kilka a nawet i po kilkanaście rubli, zależnie od tego, jak prędko zdąży obrobić roboty u siebie i na jak długo wychodzą. Wysokość zarobków zależała wyłącznie od warunków zawartych w umowie, które często były zmienne, ponieważ zawierano je na tzw. słowny dogovor.

Należy też zaznaczyć, że wychództwo za Przasnysz nie odrywało Kurpiów od pracy na ich własnej roli, a jednocześnie było koniecznym, gdyż, jak uważał Staszewski, eksport osobistej pracy musi zastąpić eksport brakującej produkcji rolnej dla przepływu na Puszczę gotówki, niezbędnej na wydatki najkonieczniejsze. Co więcej, nie zdarzało się, by zza Przasnysza ktoś wrócił bez zarobku.

Do Prus!

W 1902 r. w „Zorzy” M. Malinowski pisał, że Kurpie Szczególny to lud! Wesoły, rozmowny, dowcipny, za serce pociągający... Ale za wiele nigdy nie powie, duszy nie wyleje, szczególnie jeśli chodzi o warunki życiowe. On zęby zatnie i milczy o swojej biedzie. Tylko ją po tem poznasz, że (...) do zarobów pruskich Kurp jest pierwszy. Jeszcze nikt o tych wędrówkach na obczyźnie nie myślał, a on już tam całymi gromadami chadzał, zwłaszcza, gdy proceder przemysłowy ustał. Chadzał tam wówczas i teraz chadza.

Wychództwo do Prus było częstym zjawiskiem w Przasnyskiem. W 1888 r. pisano: Z okolic Przasnysza donoszą Kur.[ierowi] Warsz.[awskiemu], iż wśród Kurpiów objawił się silny ruch emigracyjny. Po stu ludzi dziennie przedziera się przez granicę pruską, wprawdzie dotąd przeważnie żydów, ale nie brak jednak między nimi i miejscowego żywiołu. Kupie za byle co zastawiają gospodarstwa swoje lub je sprzedają, gromadząc tym sposobem fundusze na drogę. Przyczyną emigracji, zdaje się, jest bieda. Wychodzący sezonowi do Prus stanowili największą grupę emigrantów z Kurpiowszczyzny. „W związku z wielkim rozwojem przemysłu w Niemczech, a dużą dotychczasową emigracją zarobkową ludności niemieckiej, już w 1890 r., w wyniku nacisku junkrów cierpiących niedobór siły roboczej, w Niemczech zniesiono zakaz imigracji sezonowej. Ludność wiejska Niemiec znalazła zatrudnienie w rozwijającym się na wielką skalę przemyśle. Mieszkańcy Królestwa Polskiego mogli znaleźć zatrudnienie w majątkach junkrów pruskich” – pisał J. Szczepański. Wychództwo do Niemiec rozpoczęło się w 1880 r., a przybrało na sile po 1894 r. Wówczas to III Rzesza na mocy traktatu handlowego z Rosją uzyskała przywilej bezpłatnych paszportów dla jadących z Królestwa Polskiego na roboty sezonowe do Niemiec.

Z powodu bliskości granicy z Prusami Wschodnimi bardzo wielu mieszkańców gm. Jednorozec, tak samo jak całej Kurpiowszczyzny położonej w 3-milowym pasie przygranicznym, wyjeżdżało tam do pracy sezonowej. Warto zaznaczyć, że Kurpie nazywali Prusy Żuławami (od dawnej nazwy jednej z prowincji pruskiej). Czy rzeczywiście udawano się na Żuławy? Niektórzy tak. Generalnie Jedni z nich zatrzymują się bliżej nad granicą, inne wędrują na Pomorze i dalej - pisano w „Głosie Płockim” w 1908 r.

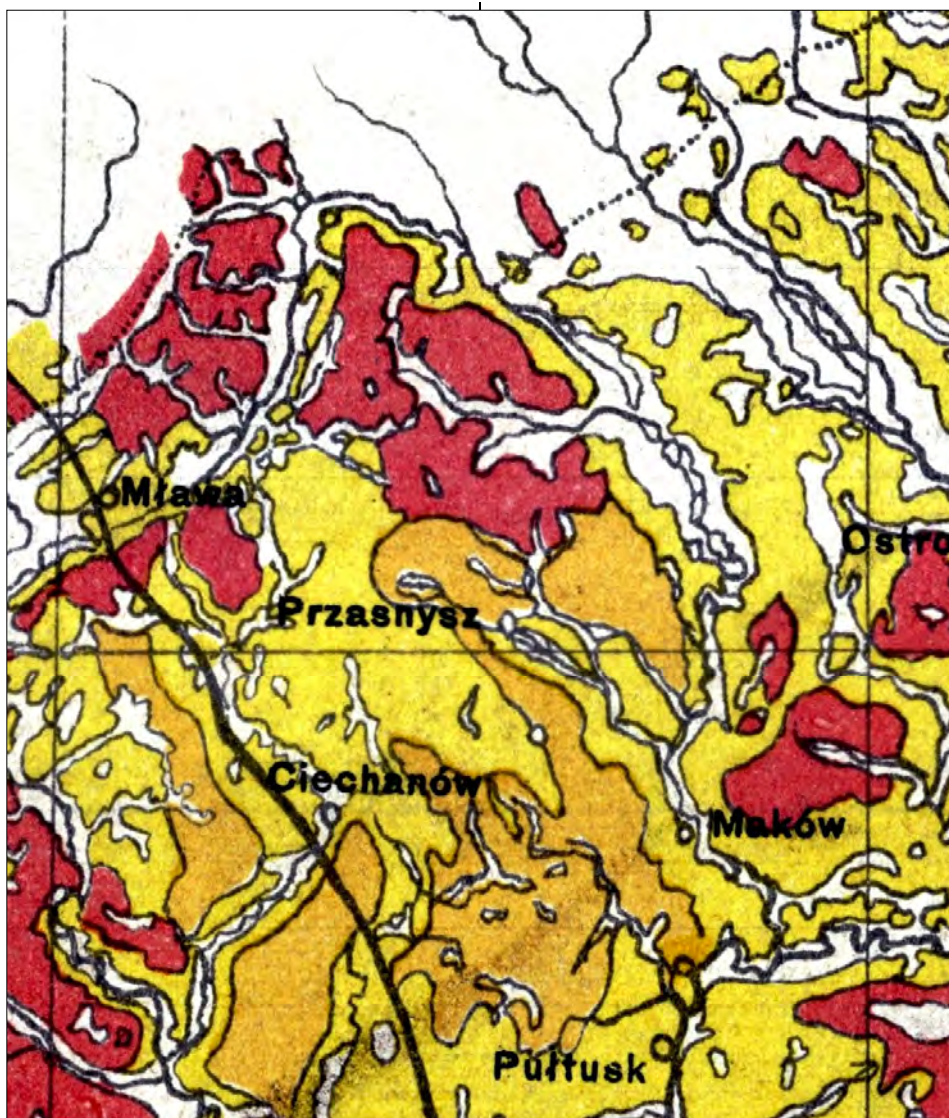
Wyjazdy zaczynały się wiosną i przybierały na sile w okresie żniw i kopania ziemniaków. Niektórzy wyruszają już przed Wielkanocą, zwłaszcza ci, którzy już mają stałe miejsca w Prusach, do których zwykle co lato powracają. Wracano zazwyczaj późną jesienią. Eugeniusz Kłoczowski (1897–1985), dziedzic Bogdan Wielkich w gm. Chorzele w pow. przasnyskim, wspominał, że sezonie prac polowych Szły wtedy kolumny ludzi z całego powiatu na kopanie do Prus. Cała kilometrowa droga od Chorzel do granicy była nabita gęstym tłumem ludzi. Wyobraźmy sobie, co działo się na koczorze przy stemplowaniu kart, urzędnicy zapoceni, zmordowani krzyczeli, tłum szumiał i falami przetaczał się na obie strony drogi.



Wójtowie gmin za niewielką opłatą wydawali chętnym specjalne zezwolenia na wyjazd (paszporty), trwający najczęściej od 8 do 12 miesięcy (tzw. „duże karty”). Mogli udzielać pozwoleń na opuszczenie kraju na krótki okres początkowo na podstawie tzw. 8-dniowych legitymacji. W 1896 r. zostały one zamienione na 28-dniowe legitymacje (tzw. „małe karty”). Generalnie był to ruch oddolny, wychodzący sami ruszali w trasę i sami znajdowali pracę. Jednak przed I wojną światową, jak zauważył korespondent z Zagajnicy, *Wobec dzisiejszych stosunków polsko-pruskich i bojkotu niemieczyny, kto chce odwrócić polskiego robotnika od pruskich dworów i skierować go do dalszych Niemiec i innych krajów, to powinien pomyśleć i o Kurpiach, gdyż Puszcza kurpiowska eksportuje znaczną ilość robotników za granicę, a w tym [1908 - przyp. M.W.K.] roku, wobec powstrzymania wychodźstwa do Ameryki [z powodu stagnacji w USA - przyp. M.W.K.], wysłać ich jeszcze więcej jak zwykle. (...) Dobrze by więc było, a nawet (...) konieczne, żeby biura emigracyjne, które mają za zadanie odwracanie polskich robotników od prusaków, wysłały swoich agentów na Puszcze i wprost z Puszczy kierowali wychodźstwo, bo jak tylko Kurp przejdzie granicę - to przepadnie.*

wali się do Prus na kilka miesięcy, nie sadzą ziemniaków i nie obrabiają ziemi, a przez pozostałą część roku muszą wszystko kupować za gotówkę, nierzadko poza własną wsią. Gdyby zaś pracowali za Przasnyszem, mogliby w krótszym czasie zarobić podobne sumy, a jednocześnie zajmować się własną ziemią i przygotować zapasy na zime.

kadzieśiąt osób bez paszportów, gdyż wcześniej się o nie postarali, nadto kilkadzieśiąt dzieci w wieku od 9 do 14 lat, które są zapisano z rodzicami na jednym paszporcie. Przed I wojną światową procent wyjazdów na prace sezonowe do Prus wzrósł – w 1913 r. z całego powiatu wyjechało 8 539 osób. „Obieźysasi” z Przasnyskiego, co warto zaznaczyć, stanowili dużą grupę wśród wychodźców z guberni płockiej (ponad 26%).



Piaski
(Żwir).
Szczerkli.



Bielice i piaszczyste
gliny czerwone,
(jak w podłożu Bielicy
typowych).



Gliny i ły
(szczorki mocne).

Źródło: S. Miklaszewski, Mapa gleboznawcza Królestwa Polskiego, Warszawa 1907.

Oczywiście zarobki i skala wychodźstwa do Prus zależały od danego roku. W 1901 r. Dominik Staszewski pisał, że wyprawy do Prus nie dopisały. Dlaczego? W Prusach w ogóle robotnicy robią na akord. Otóż kartofle i buraki w tym roku w Prusiech tak nieobrodziły, że kurpie o połowę mniej mogli dziennie zarobić, niż innych lat. Niektórzy zniechęcili się tem wkrótce i powróciwszy do domu, wyruszyli „za Przasnysz”, inni wytrwali do końca, lecz przynieśli znacznie mniej pieniędzy niż „po inne roki”. Zdaje się, że gorączka wychodźstwa do Prus w ogóle znacznie już ochłodziła między kurpiami, co jeszcze na wiosnę można było zauważyć. Wpłynęły na to różne przykrości i wyzysk, jakie kurpie w Prusach stale znoszą, powoli więc dochodzą do przekonania, że przy tak usilnej pracy, jakiej wymagają w Prusach, i za Przasnyszem można tyleż zarobić bez ryzyka i pruskich przyjemności.

Staszewski podsumował swoje rozważania następująco: wychodźstwo do Prus na całe lato dla wyrobników w zupełności się nie opłaca,

tak dla pojedynczych osób, jak i dla rodzin wyrobniczych, w porównaniu z wychodźstwem na krótszy czas na oddzielne roboty, gdyż chociażby tylko jedno z małżonków wyemigrowało, pozostały w domu sam nie jest w możności obrobić swego pola i za nie odrobić gospodarzowi. Jedynie wychodźstwo z liczniejszych rodzin, dodatkowo posiadających ziemię, nie robi wielkiej różnicy w robotach w domu, zwłaszcza w biedniejszych gospodarstwach. Z drugiej strony emigracja „zbywających” członków rodziny pozwalała na zaoszczędzenie wydatków i produktów żywieniowych przez całe lato.

Ostatecznie konkludował, że wychodźstwo do Prus w warunkach przełomu XIX i XX w. było złem koniecznym. Przedewszystkiem przy racjonalniejszym gospodarowaniu znalazłaby się robota w domu dla wszystkich, nie trzeba było wychodzić dla tego, że w domu niema co jeść, a przy zwiększeniu produkcji rolnej, przypływ gotówki za tę ostatnią o wieleby przewyższył dzisiejsze zyski wychodźstwa. Bo że dzisiaj rolnictwo zaledwie kurpiów wyżywia, to widzę

naokół. (...) Chociaż więc za Kadzidłem i Dylewem może więcej jest zamożniejszych wiosek, trudno jednakże to powiedzieć w ogóle o Ostrołęckiem.

W 1899 r. Staszewski zanotował: Prusy pociągają trochę wyższą płacą, gdy za Przasnyszem albo wcale nie dają, albo tylko kartofle; w Prusach zaś oprócz kartofli, dają mleko i śledzie – to jednak – na krótszy czas Kurpie chętniej idą za Przasnysz, gdyż wychodźstwo do Prus w ogóle połączone jest z wielkim ryzykiem nieprzyniesienia niczego do domu.

A jak takie wychodźstwo wyglądało w praktyce? Dysponujemy opisami dwóch przypadków z gm. Jednorozec. Otóż Franciszek Ferenc ze Stegny wybrał się do Prus na kopanie kartofli. Zarobił już 15 rb. u „pana Lejtnanta” w Kozłowie za Niborkiem, ale musi ju wraca do domu, gdy upływa termin „małej karty”, za który wyszedł, a tu pan Lejtnant nie chce mu zapłacić, gdy kopanie jeszcze nie skończone. Przyszedł więc bez pieniędzy do domu dla zmiany karty, wraca spiesźnie do Kozłowa, a tu tymczasem kopanie skończyli, a pan Lejtnant zły na niego, że mu uciekł od roboty przed czasem, odmawia mu zupełnie zapłaty. Może kiedyś pieniądze by odebrał, bowiem na poczet tego zostawił u adwokata w Niborku 3 marki, ale ostatecznie został na zimę bez pieniędzy.

Z kolei Jan Bakula z Jednorozca Poszedł z kilkoma innymi „za dużą kartą” zaraz po Zielonych Świątkach. Za Niborkiem zapłacił 4 trojaki za kolej, dostał się na pienenie do (...) [wsi – przyp. M.W.K.] Stare-Pole, na dolnych Żuławach (...). Było ich tam z kartami jedenaścioro i chociaż płacili im po 8 trojaków dziennie, jednakże przez 6 tygodni zarobili wszystkiego po 8 marek, gdy deszcze często padały i nie mogli co dzień pracować. Na żniwa poszli „dwadzieścia pięć fenigów dalej” do „Achen-dryssów”, gdzie zarabiali po 2 marki dziennie od kosy, a później przy zwózce po marce i sześć trojaków; dwóch z nich zarobiło po 60 marek. Ponieważ żniwa się skończyły i roboty już nie było, powędrowali dalej: trzy stacje za Toruniem dostali robot w „Popowie Biskupiem u pana Petera”, gdzie im płacili po 2 marki i 2 trojaki od wykopania ćwierci morga buraków. Po siedmiu dniach - wypadł duży deszcz, przemokli więc do nitki; przyszli do wsi suszy się, gdy innego obleczenia nie mieli, a tu akordnik, tj. ten, który ugadzał się za nich wszystkich z p. Peterem, nagania ich na pole, a gdy nie chcieli wyjść przemoczeni, gdy wreszcie powadzili się z nim o żywność, którą dostawali tylko w dni robocze, a w inne stracali im z zarobku po pięć trojaków dziennie - akordnik ich wygnął. Chcieli iść na skarg do konsula do Torunia, ale przywołano żandarma, ten zawiózł ich do Torunia, gdzie odebrali im karty i odstawili do Aleksandrowa. W Aleksandrowie nocowali i odstawiono ich do Nieszawy, gdzie te nocowali i skąd okutych w kajdany po dwóch za ręce odstawili ich do Włocławka. We Włocławku siedzieli tydzień, skąd pokutych wyprawiono do Warszawy, gdzie byli dwa dni i dwie noce. Z Warszawy pokutych odstawiono do Nasielska, skąd po dwugodzinnym odpoczynku wysłano ich do Pułtusza, gdzie po dwóch nocach i dniu, okutych, wytransportowano do Makowa, gdzie nocowali. Z Makowa wysłano ich już nieobutych do Przasnysza, skąd puszczono ich wolno do gmin. Naddo, nie przynieśli do domu ani grosza, gdy w Popowie nic im nie dali, a z

pieniędzy zarobionych poprzednio, część im się rozeszła, część złodzieje ukradli we włocławskim areszcie, z którymi razem tam siedzieli. Niezrażony Bakula postanowił więc raz jeszcze pójść do Prus, żeby zarobi choć na buty, które zdarł przez lato. Wybrał się więc „zieloną granicą” bez paszportu, którego by już pewnie nie dostał do Niborka, gdzie spodziewał się znaleźć robotę przy kolei. Ale nie ma widocznie w sobie nerwu szczęścia Bakula, bo i tu mu się nie powiodło. Do kolei już wzięli robotników, którzy powracali z kartofli, nie było więc co robić, a na domiar nieszczęścia, w powrotnej drodze postrzelił go obieszczyk, przed którym uciekał, i ranił go w nogę. Leżał więc 6 dni w szpitalu pogranicznej straży w Chorzylach, a obecnie leży w szpitalu w Jednorozcu. Tak więc nie tylko stracił całe lato i nic do domu na zim nie przyniósł (a utrzymuje z wyrobku żonę i dziecko), ale jeszcze nawłóczył się w kajdanach, jak włóczęga przez kilka tygodni, nocował w aresztach ze złodziejami, wreszcie zdarł buty, został ranny i leżał w szpitalu.

Jeszcze jeden przypadek, przywołany przez Staszewskiego: poszło dwóch wyrostków z Grabowa [pod Ostrołęką – przyp. M.W.K.] (...) chłopcy niosą blisko 30 rubli do domu, a tu łapią ich obieszczycy na granicy, gdyż poszli bez paszportów, nie mając do nich prawa [a takie posiadali tylko mieszkańcy pasa przygranicznego – przyp. M.W.K.] i konfiskują pieniądze jako srebrne pruskie monety niskiej próby. Chcąc bowiem uniknąć opłat za wydanie paszportu lub legitymacji albo w obawie przed karami pieniężnymi za przekroczenie terminu ważności wydanych dokumentów na dłuższe przebywanie za granicą, wielu wychodźców z Kurpiowszczyzny przekraczało granicę z Prusami nielegalnie. Takie eskapady urządzało najczęściej nocą lub w czasie pod czas złych warunków atmosferycznych. Innym wyjściem było przekupienie strażnika granicznego, co nie zawsze się udawało.

D. Staszewski zaznaczał też, że upodobanie Kurpiów do wychodźstwa „w pola” i do Prus wynika czasem bardziej z przyzwyczajenia do włóczęgostwa niż z istotnych potrzeb ekonomicznych. Jako przykład podał następujący przypadek: jeden z gospodarzy zaproponował podczas żniw Kurpiom idącym za Przasnysz po 45 kopiejek dziennik i porcję mleka, co stanowiło wyższą płacę niż standardowa. Pomimo tego Kurpie zdecydowali się ruszyć na rynek w Przasnyszu, by tylko go zobaczyć, nawet jeśli miałyby się to wiązać z niższym zarobkiem. Nieważne było też to, że z Przasnysza trzeba było wracać pieszo. Sędzia pokoju podsumował: w tym wypadku, zdaje mi się, powodowała niemi nie tyle nadzieja większej zapłaty, której nie mogli się spodziewać, ile naprawdę chęć zobaczenia rynku w Przasnyszu, spotkania się na nim z tym i owym i w ogóle tej różnorodności, jaką mają w swoich włóczęgach i do jakiej się przyzwyczaili.

W obliczu dużej skali wychodźstwa sezonowego do Prus Kościół katolicki w diecezji płockiej postanowił objąć emigrantów specjalnym duszpasterstwem, które miało na celu m.in. związanie z ojcowizną, ugruntowanie wiary, zapobiegnięcie nadużyciom moralnym itp. Jak ważne było to zagadnienie, pokazuje opinia dotycząca m.in. diecezji płockiej, w której są parafie, w których całe życie parafialne i praca duszpasterska reguluje się według ter-

minów odpływu i przyływu ludności za granicę parafii i kraju. Zorganizowaną formę duszpasterstwa wychodźców przybrało od 1908 r. i składało się z 3 etapów: przygotowania do wyjazdu, kontaktów z emigrantami w czasie ich pobytu na obczyźnie (listy, odwiedziny proboszcza itp.) oraz pracy nad odnową religijną i moralną po powrocie wiernych z emigracji.

W okresie przygotowawczym, uważanym za najważniejszy, proponowano wiernym specjalny program duszpasterski, w skład którego wchodził odpowiednie nabożeństwa, dbałość duchowieństwa o życie sakramentalne parafian, wreszcie pouczenia moralno-praktyczne zachęcające do trwania przy wierze, ostrzegające przed niebezpieczeństwami czyhającymi za granicą, polecające uczciwą i solidną pracę oraz oszczędność, unikanie złego towarzystwa i alkoholu, angażowanie się w organizacje religijno-społeczne czy wyposażenie w prasę katolicką, różańce itp. Wychodźcy otrzymywali niekiedy listy polecające, skierowane do księży w miejscu pracy, choć ciężko powiedzieć, jak duży procent parafii w diecezji stosował takie działania. Jak wynika z ówczesnej prasy, rekomendacje te były niezwykle rzadkością wśród emigrantów, zwłaszcza pochodzących z terenów guberni łomżyńskiej, płockiej, warszawskiej i siedleckiej. Brak informacji o takich w dziejach filii parafii Chorzele z siedzibą w Jednorozcu. Co więcej, zdarzały się przypadki ukrywania wyjazdu przed proboszczem.

Inne kierunki

W ramach ciekawostki pragnę zaznaczyć, że mieszkańcy pow. przasnyskiego udawali się też do innych regionów Królestwa Polskiego lub w głąb Rosji.

W 1884 r. w „Kurierze Warszawskim” czytamy: *Z Chorzol donoszą nam, iż zeszloroczny nieurodzaj dotąd jeszcze zmusza Kurpiów do przesiedlania się za Wołyń. Sprzedają więc osady swoje i emigrują w odległe strony. Kurpie jednak przywiązani są do tradycji miejscowych, a jako szczegół charakterystyczny korespondent nasz przytacza, iż w listach do krewniaków-emigrantów upominają ich by nie zmieniali swoich strojów i pamiętali o zwyczajach rodzinnych. Emigranci też pozostają w stałych stosunkach korespondencyjnych ze znajomymi, pozostałymi na miejscu i w nowych siedzibach tworzą zupełnie odrębne osady. Ciężko jednak powiedzieć coś więcej o emigracji w tym kierunku. Jej przyczyny były podobne, ale skala na pewno mniejsza.*

Tak się przedstawia najważniejsza kwestia życiowa na Kurpiach, konkludował cytowany na wstępie korespondent. To zdanie pokazuje wagę wychodźstwa dla regionu kurpiowskiego i Mazowsza, w tym mojej rodzinnej gm. Jednorzec.

Maria Weronika Kmoch

Bibliografia:

I. Źródła:

Źródła drukowane:

Staszewski D., *Moralność i umoralnienie Kurpiów. Studium obyczajowe* (Odbitka z „Ech Płockich i łomżyńskich”), Płock 1903.

Prasa:

Czytelnik Gazety Świątecznej, *Korzystne miejsce dla piekarza*, „Gazeta Świąteczna”, 30 (1910), 3 (1511), s. 4;
Emigracja, „Kurjer Warszawski”, 65 (1884), 194a, s. 2;
Emigracja, „Gazeta Narodowa”, 27 (1888), 125, s. 3;
Ks. St. B., *Myszyniec (gub. łomżyńska)*, „Echa Płockie i Łomżyńskie”, 3 (1900), 93 (238), s. 3;
Malinowski M., *Z Puszczy Myszynieckiej*, „Zorza”, 37 (1902), 3, s. 50–53;
Ruski K. (Moszyński K.), *Puszcza myszyniecka*, „Ziemia”, 2 (1911), 44, s. 724–725;
Staszewski D., *Z Puszczy Kurpiowskiej*, „Echa Płockie i Łomżyńskie”, 2 (1899), 98 (176), s. 3;
Tenże, *Z Puszczy Kurpiowskiej*, „Echa Płockie i Łomżyńskie”, 2 (1899), 99 (177), s. 4;
Tenże, *Z Puszczy Kurpiowskiej*, „Echa Płockie i Łomżyńskie”, 2 (1899), 100 (178), s. 2–3;
Tenże, *Z Puszczy Kurpiowskiej*, „Echa Płockie i Łomżyńskie”, 2 (1899), 101 (179), s. 4;
Tenże, *Z Puszczy Kurpiowskiej*, „Echa Płockie i Łomżyńskie”, 4 (1901), 57 (341), s. 3;
Tenże, *Z Puszczy Kurpiowskiej*, „Echa Płockie i Łomżyńskie”, 4 (1901), 101 (385), s. 2;
Szelązek A., *Wychodźstwo i obieźsarstwo polskie w uwzględnieniu ankiety diecezjalnej płockiej*, „Miesięcznik Pasterski Płocki”, 3 (1908), 11, s. 287–295;
X., *Z Puszczy Kurpiowskiej*, „Głos Płocki”, 1 (1908), 2, s. 4.

Wspomnienia:

Kłoczowski E., *Wspomnienia mazowieckiego ziemianina z lat 1897–1951*, red. A.K.F. Wołosz, Ciechanów 2006;

Wilga S., *Smutna Dola Wiosky Jednorzec*, oprac. M.W. Kmoch, „Krasnosielcki Zeszyt Historyczny”, (2016), 27, s. 3–44.

II. Opracowania:

Białczak A., *Z dziejów kurpiowskiego wychodźstwa zarobkowego do Ameryki Północnej w latach 1880–1918 na przykładzie gminy Baranowo*, „Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego”, 27 (2013), s. 17–34;

Chętnik A., *Puszcza Kurpiowska*, Warszawa 1913;

Gronowski K., *Przemiany gospodarczo-społeczne na Kurpiach na przełomie XIX i XX wieku*, „Przegląd Historyczny”, 54 (1963), s. 39–63;

Krzywicki L., *Kurpie*, Ostrołęka 2004;

Kulikowska J., *Emigracja i duszpasterstwo wychodźców z Królestwa Polskiego do 1914 (w świetle urzędowych publikacji kościelnych)*, „Nasza Przyszłość”, 65 (1986), s. 91–143;

Szczepański J., *Emigracja zarobkowa z Kurpiowszczyzny (do I wojny światowej)*, „Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego”, 7 (1993), s. 40–51;

Stefański K., „Za Przasnysz”, czyli Kurp w poszukiwaniu pracy. Sezonowe migracje Kurpiów o charakterze zarobkowym we wspomnieniach Kurpiów, praca licencjacka, Warszawa 2006;

Waleszczak W., *Jednorzec w powiecie przasnyskim na przełomie XIX i XX wieku*, „Rocznik Mazowiecki”, 16 (2004), s. 45–61;

Tenże, *Przasnysz i powiat przasnyski w latach 1866–1939*, Przasnysz 1999.

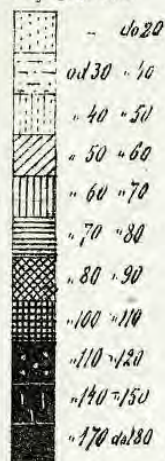


Teren dzisiejszej gm. Jednorzec przed I wojną światową. Mapa Gubernji Płockiej z podziałem na gminy: podług najnowszych źródeł, wyk. K Obuchowski, Płock 1908.



Granica rosyjsko-niemiecka na odcinku Pelty-Chorzele w 1914 r.

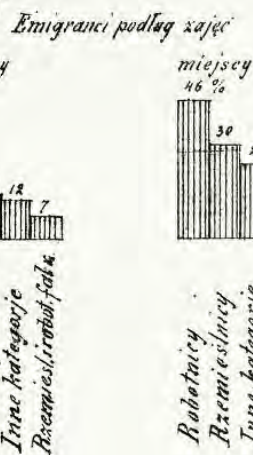
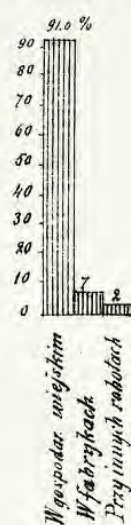
Na 1000 mieszkańców
emigruje rocznie



Wychodźstwo na zarobki do Prus
w latach 1900-1905r.

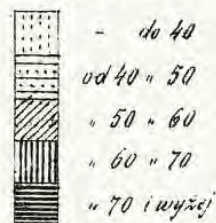


Było zajętych na wychodźstwie

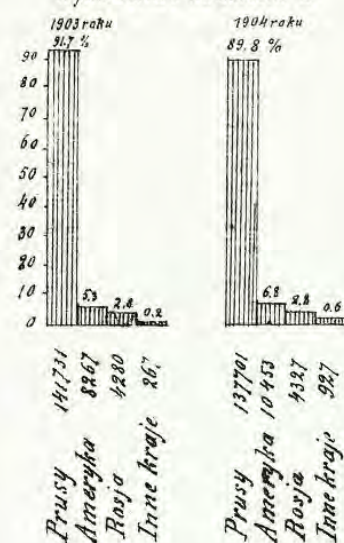


Emigracja z Królestwa Polskiego
w latach od 1890-1905r.

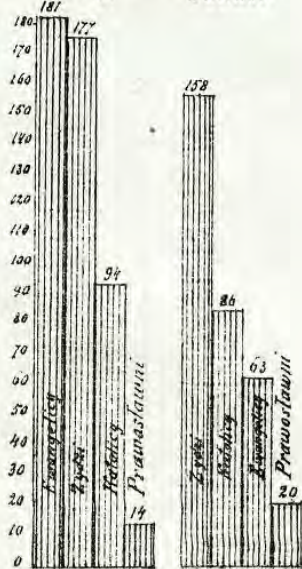
Na 10000 mieszkańców
emigruje rocznie



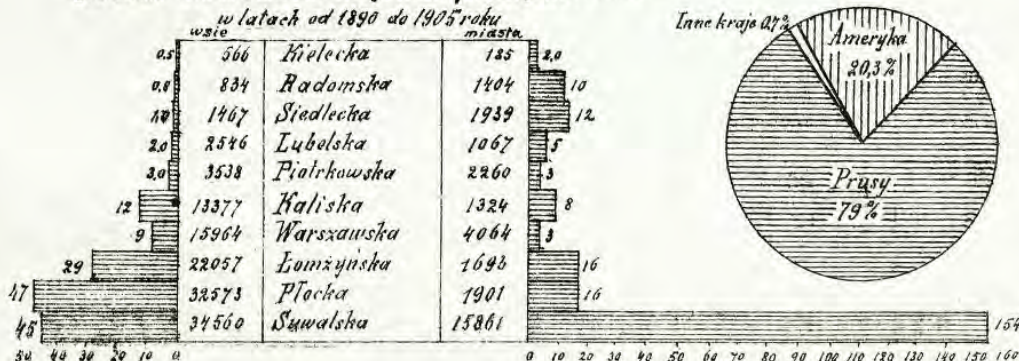
Wychodźstwo na zarobki w



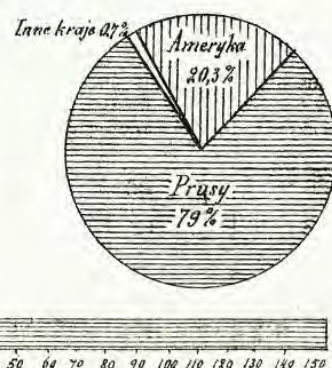
Na 100000 mieszkańców
z Królestwa emigrowało:
ze wsi z miast



Na 10000 mieszkańców emigrowało przeciętnie rocznie



Oszczędności zebrane na wychodźstwie
w 1904 roku wynosiły około 12½ milionów
rubli, z których przypada na:



Rys. K. Obuchowski - Płock 1907

Dane na temat wychodźstwa m.in. do Prus z terenu pow. przasnyskiego i innych ziem Królestwa Polskiego. Źródło: Atlas statystyczny Królestwa Polskiego, wyd. A. Maciecha, Płock 1907.

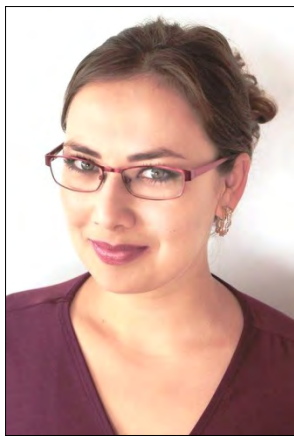


Przejście graniczne w Chorzelach w 1910 r. Zbiory Mirosława Krejpowicza.



Gruß vom Kriegsschauplatz an der russischen Grenze bei Neidenburg (O.-Pr.)

Granica między II Rzeszą Niemiecką a Cesarstwem Rosyjskim, przejście graniczne w Janowie. Zbiory Jarosława Chorzępy.



Następstwa czasowych i stałych emigracji z Kurpiowszczyzny przed I wojną światową

Maria Weronika KMOCH

Władze cywilne w Królestwie Polskim, podobnie jak duchowieństwo katolickie, niechętnie odnosiły się do emigracji z powodu braku możliwości całkowitej kontroli zjawiska. W prasie często można było przeczytać o negatywnych skutkach wychodźstwa w różnych dziedzinach życia. No właśnie, jakie były konsekwencje emigracji, zarówno sezonowej do Prus czy „za Przasnysz”, jak też czasowej i stałej za ocen, do Ameryki (częściej Północnej, ale i Południowej)? Czy rzeczywiście było aż tak źle, jak przekonywano w prasie? Czy emigracja to „samo zło”?

Odpowiem na te pytania, posługując się przykładami z całego regionu kurpiowskiego, by szerzej nakreślić następstwa emigracji, niż gdybym to zrobiła jedynie dla rodzinnej gm. Jednorzec, położonej na zachodnim skraju Kurpi Zielonych. Będę często powoływać się na Dominika Staszewskiego, sędziego pokoju w Jednorzecz w latach 1895–1907, krytycznego obserwatora życia Kurpiów, oraz Adama Chętnika, kurpiowskiego etnografa z Nowogrodu nad Narwią, który dobrze znał temat emigracji i często stykał się z reemigrantami. Dość powiedzieć, że jego ojciec trzykrotnie wyjeżdżał do Wielkiej Brytanii, by w Londynie pracować w fabryce mebli, a po powrocie dzielił się z synem informacjami.

Kwestie finansowe

Z pewnością emigracja, tak czasowa, jak i stała, była źródłem dochodów, które pozwalały na utrzymanie gospodarstwa i ich rozbudowę. Jak relacjonował R. Waleszczak, w pow. przasnyskim w części kurpiowskiej „Przychody ludności z tytułu wychodźstwa do Prus obliczono w 1900 r. na ponad 300 tys. rubli; w przypadku emigracji do Ameryki wartość nadchodzących stamtąd przesyłek pieniężnych szacowano na 600 tys. rubli”.

Emigranci najczęściej wracali z Ameryki po kilku latach. Za zarobione pieniądze albo spłacając rodzinę z osady, albo nabywając nową, lub chociaż biorąc w zastaw kawał ziemi, ale każdy czepiał się gruntu. Rzadko który zwracał nadchodzący pieniądź – pisał Dominik Staszewski. Wedle Adama Chętnika Kurpie mówią, że bez Ameryki żyć by nie umieli, bowiem emigracja pozwalała na wzbogacenie się.

Z drugiej strony Chętnik ubolewał nad tym, że Przyjeżdżający do kraju „amerykany”, o ile posiadają sporo gotówki (oszczędzić mogą i po kilka tysięcy rb.), nie przywożą jej wprost ze

sobą, ale oddają bankom amerykańskim, które niby zobowiązują się pieniądze przesłać do miejsca ich zamieszkania. Ale dobrodziejstwo to jest wyzyskiem i oszustwem, banki bowiem obracają i operują tymi pieniędzmi po kilka miesięcy, a zarobiwszy na nich spory procent, odsyłają właścicielowi „darmo”. W literaturze można znaleźć opinię, że przechowywanie przez Kurpiów zdobytych środków pieniężnych sprzyjało rozwojowi stowarzyszeń kredytowych i wiejskich kas oszczędnościowych. Jednak, jak czytamy w relacji Chętnika w czasopiśmie „Ziemia” z 1914 r., Pieniądze przynoszone z Ameryki leżą przeważnie w skrzyniach, na przedsięwzięcia lub przemysł Kurpie pieniędzy nie dają, a gminy, tj. kasy gminne nie chcą pieniędzy przyjmować, bo nie ma komu pożyczać.

Dom emigranta wyróżniał się we wsi. A. Chętnik w 1913 r. pisał: *Zamorskie zarobki w znacznej mierze lagodzą miejscową biedę; po powrocie „amerykany” budują ładne domy i dokupują więcej gruntu. Dolary amerykańskie uważane tu były za jedyną podporę materialną. „Żeby nie Ameryka, to chyba by nam się chałupy poobały” – mówiono tu powszechnie. W „Puszczy Kurpiowskiej” (1919) zaś zanotował, że po powrocie z emigracji Kurpie przedewszystkiem rujnują stare chałupy puszczańskie i budują nowe, ładnie wykończone, chociaż często odmienne od stylu miejscowego. Z kolei w 1912 r. w „Zorzy” notował: Dawniejsze chałupy niskie, cuchnące wskutek nieporządku wokół nich i ciemne, z małymi zabitymi na glucho oknami, spotykamy coraz rzadziej. Na ich miejsce powstają ładne domy drewniane z gankami. Okna są duże, otwierane, z malowanymi okiennicami, wewnątrz zaś widzimy podłogi, nieraz malowane, kuchnie i piece kaflowe, ściany zaś tynkowane i malowane lub oklejane papierem. Widzimy zegary, stoły z książkami i sprzęty gustowne.*

Gospodarka

D. Staszewski zauważał, że emigracja w przypadku włościan osiadłych na roli skutkowałą fatalnymi zjawiskami. Zwykle włościanie na podróż wyprzedają cały swój dobytek i osadę oddają w dzierżawę jednemu z sąsiadów, który obrabia ją swoim inwentarzem, nie powiększając go zupełnie. Wskutek tego uprawa roli staje się gorsza na obydwo osadach – osada zaś emigranta wyjąłwia się zupełnie, gdyż dzierżawca wynaważa tylko swoją rolę. Również i budynki, w których dzierżawca nie

nie wkłada, nieraz rujnują się zupełnie i emigrant po powrocie do domu najczęściej zastaje rolę wyjąłwioną, zanieczyszczoną i budynki zrujnowane w mniejszym lub w większym stopniu.

Nie lepiej było z tymi gospodarstwami, w których pozostały żony emigrantów. Chociaż więc o powrocie do kraju włościanin oczyści zupełnie z długów swoją osadę, po co wyłącznie poszedł za morze, i zagospodarzy ją na nowo, jednakże byt swój nie wiele poprawi, a nieraz wkrótce wpada w nowe długi, gdyż rola mu mniej rodzi i nie prędko może ją doprowadzić do dawnego stanu – nie mówiąc już o tem, że i ów dawny stan jego gospodarki pozostawia wiele do życzenia. To sprawiało, że gospodarze usuwali skutki złych praktyk, a nie ich przyczyny. W rezultacie powracano do negatywnych nawyków, co sprawiało, że powstają owe zniechęcenia do gospodarki – utyskiwania, że gospodarstwo nic nie przynosi i że wiecznie trzeba by je zasilać amerykańskimi pieniędzmi. A co robiono, by poprawić stan gospodarki? Ponownie emigrowano.

Co poszerzeniem horyzontów w kwestii nowinek rolniczych? Na pewno wyjazdy zarobkowe uczyły, pozwalały zapoznać się z nowszymi, wydajniejszymi sposobami gospodarowania. Jednak, jak zauważał Staszewski, chłop nasz chociaż i widzi w Prusach lepszą gospodarkę, zasklepiiony jednakże w swym konserwatyzmie, nie zastanawia się wprost nad tem, że dałoby się i na jego osadzie zastosować. Dopiero gdy o miedzę zobaczy żywy przykład na osadzie takiej jak i jego, wtenczas dopiero – i to po długim czasie, długiem przypatrywaniu się i rozmyślaniu odważy się dojść do przekonania i powiedzieć: „a to dobrze, trzeba i mnie się do tego wziąć” i wtenczas dopiero przypomina sobie „bo to na Prusach tak robią”, ale dotychczas nie wziął się do tego, choć Prusy zna od lat może trzydziestu.

Dlaczego tak się działo? Otóż, jak przekonywał urzędnik, żeby jaką taką korzyść wyciągnąć z objawów i stosunków widzianych za granicą, trzeba: 1) być do tego umysłowo przygotowanym, 2) mieć zamiar i chęć obserwowania, spostrzegania i zrozumienia tego, na co się patrzy.

Warto pochylić się nad sprawą sadownictwa. Chętnik pisał: Kiedy niedawno ogródek lub jabłko były na Kurpiach rzadkością, miejscami nieznaną, to dziś widzimy coraz częściej na koloniach ogrody warzywne i sady owocowe. Ta pocieszająca informacja nie znajdowała potwierdzenia w opisach zanotowanych np. przez Dominika Staszewskiego. Owszem, w Jedno-

rożcu zorganizowano ogrody na tyłach posesji przy głównej ulicy, ale dopiero w późniejszym czasie, może w okresie międzywojennym. Dla przełomu wieków wiemy, że nie praktykowano sadownictwa i ogrodnictwa – z powodu braku fachowej wiedzy, ale i słabych gleb. W Jednorozcu ogród owocowo-warzywny znajdował się przy plebanii i nierzadko były to jedyne miejsca we wsiach, gdzie spotkać można było charakterystyczne uprawy. Uprawiano w nim zapewne takie same warzywa, jakie spożywali mieszkańcy. W ogrodzie znajdowały się prawdopodobnie drzewka owocowe. Można podejrzewać, że były to najpopularniejsze w okolicy: jabłka, wiśnie, śliwki i gruszki, może też maliny i porzeczki. Ciekawe obserwacje na temat sadownictwa poczynił Staszewski, który uważał, że ta dziedzina ogrodnictwa, rozpowszechniana przez duszpasterzy, mogłaby na stałe zagrościć wśród Kurpiów, pozwalając na zwiększenie ich dobrobytu. Do tej pory nie notowano bowiem jej obecności. Urzędnik pisał: *Obecnie ogrodami zajmują się tylko niektórzy księża, szczególnie zamiłowani w ogrodnictwie, gdyż nie każdy z nich chce ryzykować kilkadziesiąt rubli albo i więcej na założenie ogrodu przy plebanii, z której lada chwila może być przeniesiony do innej parafii. Gdyby jednak wszyscy księża zechcieli zajmować się ogrodami, ryzyka nie byłoby żadnego, gdyż ksiądz, któryby założył ogród dla swego następcy, w nowej parafii korzystałby z ogrodu, założonego przez swego poprzednika. W ten sposób dochód wszystkich księży powiększyłby się o jedną i dość znaczną pozycję, przy chatach zaś właścicieli niewątpliwie powstałyby sady na wzór księży. D. Staszewski założył i pielęgnował sad przy plebanii, ale z czasem uprawa podupadła i dlatego w 1912 r. zapisano, że drzewa tu rosnące były chore, a ogród nędzny.*

Ciężko było Kurpiom decydującym się na emigrację mieć styczność z wzorcami rolniczymi, skoro pruscy pracodawcy ograniczali kontakty z wychodźcami z regionu kurpiowskiego do najmu i wypłaty należności za wykonaną pracę. *Nie ma więc lud nasz wiejski żadnych stosunków w Prusach z ludźmi istotnie cywilizowanymi, a te męty społeczeństwa, jakie spotyka w swoich włóczęgach po karczmach i innych norach zagranicznych, prócz znieprawienia charakteru i skażenia obyczajów, nic mu więcej przynieść nie mogą.*

Podobnie było w Stanach Zjednoczonych, gdzie emigranci najmowali się w fabrykach, co nie pozwalało na obserwację rolnictwa za oceanem. Jedynie w przypadku dłuższego pobytu za granicą można było bliżej przyjrzeć się pewnym rozwiązaniom.

Równie gorzką opinię o Kurpiach zanotował M. Malinowski w „Zorzy”: *Postępu żadnego się tu nie spotyka, ani w chatach, ani w myślach ludzkich. I dlaczego, zapytasz czytelniku? Przecież Kurpie – to naród zabiegliwy, przemyślny, co roku przynoszący sporo pieniędzy – z Prus, z Ameryki. I cóż się z tem dzieje? Gdzie*



Główna ulica w Jednorozcu (dziś Długa). Źródło: A. Zakrzewski, *Z Puszczy Zielonej*, „Wisła”, 1887, 3, s. 106.

to wsiąka, że przybytku nie daje się zauważyć na ludziach, że go i oni nie odczuwają?

Stan rzeczy na Kurpiach jak najlepiej świadczy, że żaden zarobek na obczyźnie nie z bogaci ogółu, jeśli ten ogół nie oddaje swej duszy rodzinnej ziemi-żywicieli. Bo i cóż naszym Kurpiom dały zarobki zagraniczne, nawet owe tysiące z Ameryki? Ten i ów kupił tu sobie szmatek ziemi, inny dług jakiś spłacił, ale to, jak kropla w morzu – nikogo nie dorobiło, a wszystkich jednako trzyma w biedzie. To nawet balamuci ogół, bo na zamorskie pieniądze zwraca jego oko, a odwodzi ją od tego, co jedynie i wyłącznie daje bogactwo – od ziemi.

20 kilka lat patrzę na strony kurpiowskie i widzę, że mimo zagranicznych zarobków, chyłą się one do wyraźnego upadku, tak że tu z każdym dniem, z każdym rokiem gorzej. (...) z puszczy myszyńskiej nie spotkałem jeszcze gospodarza ani w składzie nasion lub narzędzi rolniczych, ani go też nie słyszałem rozprawiającego o udoskonaleniu rasy bydła, albo uprawy ziemi. Niema w nich miłości dla ziemi, nie oddają jej oni swej duszy! Ta ich dusza buja po Prusach i za morzami i oto widzimy skutki tego bujania jej – w biedzie, jaka panuje w całej puszczy.

By nie załamać się całkowicie nad stanem gospodarki kurpiowskiej w okresie wzmóżonej emigracji, przywołajmy jeszcze jedną opinię Adama Chętnika: *Kurpie uczą się gospodarować racjonalnie i uczęszczają do różnych szkół [np. rolniczej w Pszczelinie - przyp. M.W.K.] i na różne kursy, liche ich grunta zaczynają wydawać niezłe plony, spotykamy coraz częściej nawet pszenicę, poprawia się hodowla. (...) Kurpie dopędzają resztę Polski w kulturze rolnej, a dawne „głodne lata” nie prędko się powtórzą.* Ta optymistyczna notatka na pewno nie dotyczy większości regionu i należy do niej podchodzić z dystansem. Niemniej na pewno etnograf widział zmiany, jakie zachodziły na Kurpiowszczyźnie w dobie emigracji. Pisał bowiem: *Widziałem wioski chłopskie brukowane i tak obsadzone drzewami, że chałup z zieleni nie widać. Przy domach coraz częściej spotykamy ogródki owocowe, a w nich ule ramowe z pszczołami.* Jak pokazuje przykład wsi

Jednorzec, na te ostatnie mogli pozwolić sobie najzamożniejsi. Paweł Franciszek Deptuła (częściej występujący tylko pod pierwszym imieniem), urodzony w 1864 r., był przed I wojną światową najbogatszym gospodarzem w Jednorozcu. Posiadał 80 morgów ziemi (mórg dawny polski koronny to 59,85 ara, mórg nowy polski = 300 prętów = 56,017 ara). Jak wynika ze wspomnień jego potomków, rodzina zajmowała się m.in. pasiecznictwem, czyli hodowlą pszczoł w ulach. Znajdowały się one w ogrodzie na terenie posesji, położonej w centralnej części wsi Jednorzec. Hodowała pszczoł była zajęciem dodatkowym. Po komasacji w latach 30. XX w. Deptułowice posiadali ok. 30 ha ziemi, co mogło wystarczyć do utrzymania się. Paweł Deptuła jako stały czytelnik „Gazety Świątecznej”, która była tygodnikiem popularno-oświatowym, popularnym na terenach wiejskich, otrzymał ul ramowy. Była to nagroda za stałe czytelnictwo i dokonywanie przedpłat za gazetę. Oferowano Deptule zamienniki prezentu, gdyby ten mu się nie spodobał, ale wydaje się, że gospodarz z Jednorzeczka wybrał wylosowany przedmiot. Chyba jednak ul do niego nie dotarł, skoro w gazecie pisano o nieodebraniu go przez Kurpia ze stacji kolejowej w Ciechanowie. Warto dopowiedzieć, że za oceanem znalazło się dwoje z dzieci Deptuły.

Uogólniając, emigracja zarobkowa w niewielkim stopniu wpływała na podniesienie kultury rolnej wsi na Kurpiach. Sporadycznie przejmowano nowe sposoby uprawy ziemi czy narzędzia rolnicze. Czasem, szczególnie w pasie pogranicznym, wprowadzano spotkane w Prusach melioracje zabagnionych gruntów, zagospodarowanie nieużytków. J. Szczepański zauważył też, że „Dzięki emigracji natomiast zahamowany został proces rozdrabniania gospodarstw, gdyż dostarczała ona środków pieniężnych na spłaty rodzinne”.

Przemiany w zakresie obyczajowości, będące skutkiem emigracji, najszybciej były zauważalne w kwestiach zewnętrznego wyglądu, tj. ubioru. Powracający zza oceanu, a nawet z Prus, nosili miejskie ubrania, co na pewno miało posłużyć podkreśleniu ich nowego statusu społecznego, zamożności itp. Powracający ze Stanów Zjednoczonych reemigranci wywoływali nierzadko sensację wśród ziomków, kiedy prezentowali się w stroju zupełnie odmiennym od tego, w którym chodzili wszyscy wokół. Były to m.in. garnitury, słomkowe kapelusze, gumowe buty, cylindry i laski itp. D. Staszewski pisał o karczmach, w których nowe pruskie obleki – wywieszona dewizka na kamizeli, nieraz parasol, lub kalosze od razu pokazują, kto tu rej wodzi. Adam Chętnik dopowiadał: *Mężczyźni coraz więcej chodzą w paltach, długich butach i kapeluszach. U kobiet coraz częściej widać berety i kapelusze.*

Jak zauważał D. Staszewski, wychodźstwo do Prus powodowało, że *młodzież męska prawie wszystka już nosi się „po szlachecku”*, bo *wiem z sezonowych prac niejeden grosza nie przyniesie, ale za to przyjdzie w „palicie” lub w innej jakiej pruskiej tandecie.* Zamiana własnoręcznie wykonanych samodziółów kurpiowskich na ubrania przywiezione z Prus odbijała się ujemnie na gospodarce kurpiowskiej: zanikał wyrób samodziółu, zmniejszało się poglobie owiec, pieniądze Kurpiów zostawały w Prusach lub w *kieszeniach malomiasteczkowych spekulantów.* To miało też negatywnie oddziaływać na zachowanie Kurpianek, które stawały się próżne, a przez to niechętne do pracy.

Zdarzało się też tak, że zanim chłop wybrał się do Ameryki, już swoim wyglądem dawał znać, że się tam wybiera. Z okolic Ostrołęki w 1899 r. informowano: *Napróżno przekłada żona, płacząc dzieci na widok nowego amerykanina, który z miejsca jeszcze się nie ruszył, a już się przebrał, praojcowski sukman w kąt porzuciwszy.*

Niestety, jak przekonywał A. Chętnik, chociaż *Po powrocie z Ameryki Puszczak jest już prawdziwym Europejczykiem, ubranym według ostatniej mody, to na tym ubiorze prawie wszystko się kończy; pozatem jest ciemnota i bieda z zacofaniem w gospodarstwach i wioskach. Z Ameryki przychodzi tylko złoto i obok niego często zepsucie obyczajów i rozwiązłość.*

Język

A. Chętnikowi nie podobało się, że *Nie jeden po powrocie klepie jak papuga po angielsku lub niemiecku, wstydzi się swej rodzinnej wioski i rodziców, którzy nie chodzą, jak on, w kołnierzyku i kapeluszu.*

Etnograf zalił się, że z powodu emigracji zanika kultura ludowa regionu kurpiowskiego. Pisał: *Mowa Kurpiów - dawna gwara, jaką prócz nich mówią Mazurzy pruscy i Warmiacy - ginie szybko. Charakterystyczne zmiekczenie spółgłosek (psiwo, zianek, na zieki zieków) usłyszymy tylko u starej generacji. Szkoła, wojsko i e m i g r a c j a - niwelują te różnice - jeszcze jedno nowe pokolenie i z mowy tej po-*



Zebranie wiejskie w Dylewie. Źródło: A. Chętnik, *Kurpie, Kurpie*, Kraków 1924.

zostaną ślady tylko w pracach drukowanych. Dlatego też Chętnik domagał się, by rozpocząć akcję ratowania i utrwalania pozostałości kultury kurpiowskiej w jej tradycyjnych formach.

Moralność

Przekonywano, że młodzi ludzie, udający się do Prus, ulegają demoralizacji, której sprzyjały: wyjście spod kurateli rodziców, niespotykana wcześniej swoboda i brak hamulców etyczno-moralnych, a także nierzadko wspólne pomieszczenia dla mężczyzn i kobiet oraz alkohol. Jedynie tam, gdzie wychodźcy tworzyli zwarte skupiska osób pochodzących z jednego środowiska (wsi, parafii, gminy), możliwe było zachowanie tradycyjnych wartości i przeciwdziałanie demoralizacji. Adam Chętnik przed I wojną światową krótko podsumował skutki wychodźstwa w tym kierunku: *Z Prus młodzież przynosi „spancerki”, zepsucie i rozwiązłość.*

D. Staszewski zauważał, że *Zwłaszcza dziewczyny, które na Puszczu demoralizację płciową najczęściej kończą na owych wyuzdanych dowcipach i sprośnych żartach, na zarobkach bardzo często ulegają zupełnemu zepsuciu i wiele z nich powraca z widocznymi tego śladami.* Chodziło oczywiście o niechciane ciąże. Pod tym względem wychodźstwo do Prus było znacznie gorsze niż praca „w polu” za Przasnyszem. Otóż *Prócz (...) wspólnych noclegów i kuszenia dziewczyn przez licznych dwurusów – w kraju im nic więcej nie grozi.*

O niechcanych ciążach jako o skutku wychodźstwa, ale nie do Prus, a za Przasnysz, pisał w odniesieniu do okresu międzywojennego Stefan Wilga z Jednorozca. Warto przytoczyć jego wspomnienia: *Rzadko się zdarzało, żeby taka kurpiecka dziewczyna została na zimę. Musiała być dość urodną, to pan dziedzic zostawił ją na pokojówce. Ale marne losy były ładnych dziewczyn powracających za Przasnysz. Niektóre powracały już matkami, albo razem ze swojemu kochankami. (...) Narzeczony tej dziewczyny był zmuszony zostawić swoją ulubioną dziewczynę i odejść tam, skąd przyszedł. Tak się zdarzało, że nie brak było wnosić sprawy o rozwód, bo każda matka ta-*

kiej parze udzieliła rozwodu miotłą i nie było żadnych kosztów, bo w domu był niedostatek i bieda, która zapuściła głęboko swoje korzenie, to jeszcze taka dziewczyna sprowadzała do swojego domu większą biedę.

Rzadko się zdarzało, żeby taki facet się ożenił. Choć razem we dwoje powrócili z Dworu do domu dziewczyny, posiedział taki facet u dziewczyny parę tygodni. Choć rodzice dziewczyny mu sprzyjali, że może się z nią ożenić, ale posiedział parę dni i zginął przez wieści. Czasami wykryto takiego faceta, to był chłop żonaty i on był spokojny, bo za sanacyjnej Polski nie było żadnych wynagrodzeń, ale tej dziewczynie to zgasło słońce młodości. Ponościła straszną przykrość w swoim życiu. Była prześladowana od ludzi i własnych rodziców.

Ale jeszcze gorsze zdarzały się wydarzenia, bo niektóre dziewczyny powróciły za Przasnysz do swojego domu już w ciąży. (...) Wtedy w takiej rodzinie powstał niedostatek, bo zamiast ta kochana przez ojców córeczka zamiast przynieść jakąś radość, to przyniosła za Przasnysz wielkie utrapienie. Wtedy w takim domu powstawała kłótnia i nienawiść, a taka dziewczyna narzekała długie lata na swój los, jaki ją spotkał i została starą panną. Musiała wychować swoje dziecko, ale trudne życie było takiej paniencie, która miała dziecko. Widziałem to na własne oczy, jak takie matki zostawiały swoich dzieci u starszych kobiet i też biednych.

Dodajmy do tego jeszcze wymieniane przez Staszewskiego liczne szynki i karczmy po drodze, w których niejednokrotnie przegrywano w karty cały zarobek, zrozumimy, dlaczego cytowany sędzia pokoju uważał, że wychodźstwo do Prus przynosi więcej szkód niż pożytku. Kurpie bowiem wólcą się aż pod Szczecin i dalej, a wszędzie po szynkach i innych norach, gdzie natrafiają na różnych próżniaków i wydrwigroszów, którzy od niejednego z nich wydrwią cały zarobek w karty lub kości i rozpiją bismarkówką i piwem. To też po powrocie ich jesienią na Puszczę od razu robi się tłumniej i gwarniej w miejscowych karczmach (...). W karczmach emigranci na pewno imponowali miejscowym swoimi opowieściami o zagranicy, a wiadomo, że opowiada się lepiej przy szklaneczce. Stąd wciągano w pijaństwo wielu

dotychczas niepijących. Oczywiście nie oznacza to, że wszystko, co negatywne w życiu społecznym, jak przekleństwa, bijatyki, plotkarstwo, mściwość, nieuczynność i inne to skutki emigracji.

Zwiększony poziom pijaństwa z pewnością był skutkiem wychodźstwa. W całej diecezji płockiej już w poł. XIX w. pijaństwo było bardzo rozpowszechnione, co spowodowało zorganizowaną akcję duchowieństwa przeciwko tej pladze. Musiała ona przynieść rezultaty, skoro w 1912 r. ks. J. Ciesielski zapisał, że w całej jednorozeczkiej filii mogło być najwyżej pięć osób nadużywających alkoholu. Parafianie nie pili wódki. Ten stan spowodowany mógł być ślubem trzeźwości, jaki Kurpie masowo złożyli w 1857 r. w kościele w Kadzidle. Z okresu popowstaniowego mamy informacje o rozpowszechnionej w dekanacie przasnyskim akcji trzeźwościowej. Proboszczowie sporządzali listy parafian zobowiązujących się do całkowitej abstynencji lub wstrzeźliwości, dopóki nie zakazały tego władze carskie. Na początku XX w. D. Staszewski zanotował, że miejscowi Kurpie jedynie podczas jarmarków, zapustów, wesel czy świąt spożywali piwo jałowcowe (tzw. kozicowe), nigdy zaś nie pili wódki. W postanowieniu swym, tzw. „wyrzeczyśku”, Kurpie mieli wytrwać do końca I wojny światowej. Wiadomo jednak, że już wcześniej głód z 1881 r. oraz emigracja zarobkowa do Prus oraz Ameryki pośrednio przyczyniały się do wzrostu spożycia alkoholu w regionie.

Potwierdzają to relacje prasowe. W 1914 r. informowano o powszechności pijaństwa w Jednorozcu. Jej autor zanotował: *W dzień świąteczny lud rozpija się w karczmie i piwiarni, które prosperują wymiennie, nawet kobiety chętnie idą na „ścłankę psawa”, tylko „ścłanki” te bywają ogromnych rozmiarów i rzadko któremu z uczestników udaje się wyjść z karczmy bez pomocy ścian i płotów.* W 1908 r. zapisano, że w Jednorozcu *sprawiedliwość wymierzają... w karczmie, co było prawdopodobnie przyczyną przeniesienia sądu gminnego IV okręgu (gminy Jednorzec, Baranowo, Zaręby) z Jednorozca do Baranowa, o czym postanowiono 27 VI 1908 r. decyzją Komisji ds. Włościańskich.* Czyżby cytowany wyżej ks. J. Ciesielski nie wiedział o pijaństwie w Jednorozcu?

Z kolei w latach trzydziestych XX w. w „Głosie Mazowieckim” pisano: *Przed [I - przyp. M.W.K.] wojną prawie zupełnie nie używano tutaj alkoholu. Dziś jeszcze można spotkać między Kurpiami starców, którzy nie wiedzą, jaki smak posiada wódka, albowiem przez całe długie życie swoje nie wypili jej ani pół kieliszka. Natomiast znane tu było i szeroko rozpowszechnione piwo, którym nawet upijali się ludzie o słabych głowach. Od lat 30-40, a szczególnie od wojny wszystko się zmieniło. Ponieważ emigracja do bardzo mokrej niegdyś Ameryki była stąd bardzo liczna, ponieważ co*

rok wielka część Kurpiów stale wychodziła na roboty sezonowe do Prus, a tam przy niezłych zarobkach o trunki było łatwo, wkrótce trzeźwość mieszkańców Puszczy przeszła do historii. Wojna i całkiem niezłe pierwsze lata powojenne dopełniły reszty. Autorem relacji był proboszcz parafii w Baranowie w latach 1930-1933, ks. Franciszek Flaczyński.

Co więcej, Kurpie, wedle D. Staszewskiego, nie potrafili obyć się bez fajek i tytoniu. Były to jednak jedyne zbytki, na które na przełomie XIX i XX w. mogli sobie pozwolić biedni mieszkańcy. Niepokojące było jednak to, że już małym dzieciom pozwalano palić tytoń. Sędzia Staszewski zarzucał też Kurpiom, że za bardzo pobłażają dzieciom i zbyt często biorą je w obronę, nawet jeśli są winne zarzucanych im

tam pracować zaraził się syfiliśsem. Ci ostatni przez wstyd ukrywają swe cierpienie przed żonami i rodziną i często szerzą zarazę. W ankiecie przeprowadzonej w 1907 r. w diecezji płockiej jeden z księży proboszczów zauważył też, że *prawie wszyscy wracają z trachomą [jaglica - przyp. M.W.K.] w oczach.*

W 1909 r. w czasopiśmie „Mazur” informowano o rodzinie Jagaczewskich (raczej: Agaczewskich) z Ulatowa-Pogorzeli w gm. Jednorzec. W latach 1900-1907 przebywali w Ameryce, ale powrócili, bowiem 33-letnia Marianna Jagaczewska z d. Gwiazda zachorowała na tyfus i dostała obłądu umysłu. Dlatego też zabrali trójkę swoich dzieci: Antoninę (ur. 1901 r.), Władysława (ur. 1902 r.) i Dominika (ur. 1905 r.) i wrócili na ojcowiznę, zarobiwszy kilkaset rubli gotówki. Przez 2 lata mieszkali w Ulatowie-Pogorzeli. W tym czasie urodziła się im córka Józefa. Niestety matka nie odzyskała zdrowia, wciąż była rozstrojona, nerwowa, słowem cierpiała na manie prześladowczą, ale w domu wszystko robiła i ogarniała swoje maleństwo. Nie mogła sobie tylko wytłumaczyć, dla czego w kraju gorzej, niż w Ameryce. W dniu 15 VII 1909 r. matka zamordowała swoje czworo dzieci, podcinając im gardła toporkiem i kalecząc samą siebie. W amoku wybiegła z miejsca zbrodni i krzyczała, że *jakiś pan w kapeluszu w Czarnem ubraniu z brodą pozarzył jej dzieci i ją zaczął zarzywać, ale mu się wyrwała i uciekła.* Czy jej stan psychiczny spowodowany był trudnościami w adaptacji w nowym miejscu, szokiem z powodu diametralnej różnicy między warunkami życia na ojcowiznie i w Ameryce? Ciężko powiedzieć.

W *Moralności i umoralnieniu Kurpiów* D. Staszewski pisał, że demoralizacja to jeden z najgorszych skutków emigracji. Na szczęście gospodarze z czasem zaczęli to zauważać i przestali tak masowo opuszczać gospodarstwa. Wysyłali jednak na zarobek 17-letnich wyrostków, którzyby jeszcze przed pójściem do wojska zdążyli po kilkaset rubli zarobić. W ocenie sędziego pokoju emigracji młodych była korzystna dla regionu kurpiowskiego, bo *ręk do pracy tu nie brak, a ci – przyniosą pieniądze do kraju i wrócą niezdemoralizowani... byleby pacierz dobrze umieli.*



Kościół w Zbójnie. Źródło: A. Chętnik, *Puszcza Kurpiowska*, Warszawa 1913.

czynów. Należy pamiętać, że *Moralność i umoralnienie Kurpiów* to wręcz paszkwil na mieszkańców regionu, w tym obserwowanych przez Staszewskiego przez 12 lat mieszkańców Jednorozca i okolic, więc należy go traktować z ostrożnością. Urzędnik bowiem, niewykluczone, porównywał ludność kurpiowską do siebie i swojego środowiska.

Innym powodem powrotu były choroby. W prasie często podkreślano, że jedną z podstawowych przyczyn powrotu emigrantów na stałe było... zarażenie chorobą weneryczną. W „Echach Płockich i Włocławskich” w 1905 r. czytamy: *Do kraju na stałe wracają tylko inwalidzi, którzy utracili zdrowie i nie mogą*

Rodzina i sąsiedztwo

Skutki emigracji i wychodźstwa nie ominęły stosunków rodzinnych. Młode panny, które wychodziły do pracy w Prusach czy za Przasnysz, mogły w ten sposób uzbierać pieniądze na posag, co pozwalało na bogatszy ożenek. Młodzież męska zaś oszczędzała zarobione na wychodźstwie pieniądze na przyszłe gospodarstwo.

Małżeństwa zawierano w późniejszym wieku. Dzieci rodziło się mniej, bowiem rozdzielanie małżonków, nierzadko na dłuższy czas,



Kościół w Myszyńcu podczas budowy, 1915 r.

nie sprzyjało płodzeniu potomstwa, a co więcej stawało się niejednokrotnie przyczyną rozpadu małżeństwa.

Pozostawione w kraju żony, zwane „amerykantkami”, *dochodzą wprost do wyuzdanej rozpusty. Prawie nie znam wyjątku pod tym względem: nawet starsze, po trzynaścioru dzieciach, kobiety szaleją narówni z młodymi.* Z kolei mężczyźni na emigracji, choć przysyłają regularnie pieniądze rodzinie, trwonią je też na prostytutki, a nawet powtórnie wychodzą za mąż za granicą, nawet kilkakrotnie. Staszewski pisał też o bardziej radykalnych przykładach: kradzieży żon pomiędzy Kurpiami, zabranych z kraju w emigracyjną tułaczkę za wielką wodą albo ucieczkach „amerykanteł” z kraju z innym mężczyzną do Ameryki za pieniądze przysłane przez męża, który po powrocie na ojcowiznę zastaje znajdowane gospodarstwo i osierocone dzieci.

Warto też zauważyć, że ze względu na zasoby pieniężne reemigranci byli osobami popularnymi i szanowanymi we wsi. Często proszono ich na chrzestnych i zapraszano na wesela.

A. Chętnik zwracał uwagę, że wychodźstwo do Prus skutkuje gorszymi zjawiskami niż do Ameryki, bowiem przyczyniało się do sąsiedzkich niesnasek, zbrodni na rodzinie i innych niekorzystnych zachowań.

Religia

Jak pisał J. Szczepański, „Emigracja sprzyjała postępowi racjonalizacji i pewnemu krytycyzmowi wobec tradycyjnych wierzeń i nakazów religijnych. Za Oceanem lub w Prusach Wschodnich przekonywali się Kurpiowie, że zaniechanie praktyk religijnych lub praca w dni świąteczne nie wpływa na wysokość zbiorów, w co do tej pory głęboko wierzyli. Często byli zmuszeni do zaniechania postów. Zmniejszał się również ogromny dystans między kurpiowskim chłopem a duchowieństwem”. Tak samo A. Chętnik żalił się, że emigranci *zapominają u obcych o swej religii i narodowości*. Było to spowodowane m.in. kontaktem z protestantami, zwłaszcza w Niemczech i w Danii, którzy wedle źródeł lekceważąco odnosili się do Kościoła i duchowieństwa katolickiego.

Chociaż Kościół starał się objąć emigrantów działalnością duszpasterską przed podróżą, to wielu wracało obojętnymi religijnie i moralnie zepsutymi. Dlatego też w parafiach przeprowadzano specjalne nabożeństwa, zachęcając do dobrej spowiedzi i Komunii św. Po powrocie mieszkańców z robót sezonowych duszpasterze parafii wygłaszali nauki apologetyczne, aby rozbudzić w wychodźcach głęboką wiarę i za-

ufanie do Kościoła. Prawiono kazania dotyczące obyczajów i właściwych chrześcijanom postaw moralnych oraz ukazywano np. niebezpieczeństwo małżeństw mieszanych religijnie, niosące zagrożenie dla wiary i polskości. Póuczenia te pełniły rolę środka przygotowawczo-zaradczego, bowiem wielu ich adresatów kilka miesięcy później ruszało do pracy poza ojcowizną.

Wspomniane małżeństwa mieszane zdarzały się, ale na pewno nie były zjawiskiem nagminnym, bowiem, jak notował A. Chętnik, Kurpie na emigracji w *Ameryce trzymają się kupy*. Jeżeli już następowały konwersje, to z katolicyzmu na protestantyzm, a Polacy bez dyspensy zawierali śluby w zborach ewangelickich. Jak pisał w 1912 r. ks. Ludwik Białoruski do bpa plockiego Antoniego Juliana Nowowiejskiego, Polacy w Stanach Zjednoczonych Ameryki wchodzi w związki małżeńskie z osobami innych wyznań lub zawierają je tylko przed władzą cywilną. Zauważał ponadto *osłabienie miłości do ziemi i pracy rolnej, lekceważenie kraju i życie nad stan, próżność, i wywyższanie się*.

Skutki wychodźstwa sezonowego znalazły odzwierciedlenie w ankiecie przeprowadzonej w 1907 r. w diecezji plockiej. Jak wynika ze źródeł, relacje proboszczów dotyczące unik-



Rodzina Osowieckich i Koziatków z Zawad. Źródło: A. Chętnik, *Puszcza Kurpiowska*, Warszawa 1913.

nięcia negatywnych następstw emigracji zarobkowej odnotowano jedynie w 35 na 200 ankietowanych parafii. Często bowiem kurpiowscy reemigranci oraz pozostający za oceanem ziomkowie stawali się głównymi ofiarodawcami parafii. Z pieniędzy przez nich przekazanych budowano lub remontowano kościoły. Księża zabiegali o przychylność „amerykanów”, ale też często nie musieli tego robić, bowiem emigranci sami, pragnąc zachować łączność z rodzinną parafią, przesyłali pieniądze. Np. emigranci z parafii Jednorozec pomogli w organizacji orkiestry przykościelnej, którą założył ks. Izidor Połubiński na początku XX w. By podać inne przykłady, przywołam sytuację z Baranowa, gdzie murowany neogotycki kościół został zbudowany przed I wojną światową w większości z pieniędzy podarowanych przed emigrantów. A. Chętnik pisał też: *Gdy we wsi Zbójnie (gm. Gawrychy) do kościoła sprawiano dzwony, parafianie będący w Ameryce, przysłali na ten cel 1000 rb. Gdy w Myszyncu zaczęto budować nowy kościół, to parafianie, przeważnie byli amerykańscy, nie pozwolili zbierać ofiar w obcych parafiach. Ale złożyli sami odpowiednie sumy, a niektórzy nawet setki rb. dawali.*

Chętnik zanotował też, jak wychodźstwo wpływało na zachowanie postów nakazanych przez Kościół. Fragment obrazuje różnice między miejscowymi a reemigrantami w tym aspekcie: *Kiedy nowsze przepisy kościelne kasowały niektóre posty lub dozwalały w dawne dni postne na spożywanie nabyła lub mięsa, starsi puszczenie byli oburzeni na taki „upadek*

ziary u duchownych” i do przepisów się nie nagięli, poszcząc z zawziętością po staremu. Tylko emigranci, powracający z Ameryki, i młodsze pokolenie powojenne niebardzo zważają na posty, aczkolwiek przeważnie starają się dostosować do przepisów kościelnych.

Zwyczaje, samoświadomość

Adam Chętnik przed I wojną światową pisał: *Z Ameryki Kurpie przynoszą nieco oglady zewnętrznej. Czy jej wyrazem było to, że na Kurpiowszczyźnie zaczęto wprowadzać zwyczaj jadań przy stole i z odrębnych naczyń?* W tym przypadku reemigranci musieli się wydawać miejscowym kimś zupełnie innym, obcym, dziwnym, przeciwnie do tych, których znali i niedawno żegnali przed wyjazdem.

Wychodźstwo przyspieszało narodową emancypację wsi na Kurpiach. Emigranci przysyłali do ojcowizny książki, prenumerowali prasę, bowiem mieli na nią środki pieniężne. Zwozili książki i zachęcali do ofiarności na cele narodowe. Miejscowym reemigranci imponowali pewną śmiałością i buntowniczym nastawieniem wobec rzeczywistości. Dlatego też to właśnie oni stawali się wiejskimi przywódcami, inicjatorami przedsięwzięć, które miały na celu poprawę poziomu społecznego i organizacyjnego wsi czy gminy. Na reemigrantów spoglądano jak na tych, którzy prowadzą bardziej uporządkowane życie niż dawniej.

A. Chętnik zanotował: *Wyjazdy mężczyzn i kobiet za granicę zmienia tych ludzi do niepoznanienia. Czy były to zmiany pozytywne? Z Ameryki Kurpie przynoszą (...) pieniądze, pozatem wyższa kultura i jakieś wykształcenie fachowe jest im obce. J. Szczepański pisał: „Z całą pewnością Chętnik patrzył z zazdrością na reemigrantów żydowskich, którzy przywozili zza Oceanu nowe wzory organizacji produkcji rzemieślniczej, wydajniejsze narzędzia, ulepszenia techniczne i technologiczne”. Chętnikowi jako baczniemu obserwatorowi Puszczy Kurpiowskiej zależało, by zachęcać lud do oddawania swych dzieci na rzemieślników, a nie tylko na pisarzy gminnych, jak teraz, i nie wysyłać ich do Ameryki i Prus, a dać trzeba wód do ręki, aby kowale, krawcy, czapnicy i inni rękodzielnicy byli swoi, dopóki bowiem tego nie będzie, będziemy zależeć od Żydów.*

Nawet jeśli reemigrant nie chciał wprowadzać zaobserwowanych za wielką wodą rozwiązań technicznych, to, jak przekonywał D. Staszewski, to pozostaje w nim pewna rozbudzona świadomość ich korzyści i własnego stanowiska obywatelskiego, w jakim się znajduje. Dlatego też Ameryka dość widocznie uspołecznia pojęcia ludu wiejskiego, bez żadnego atoli wpływu na udoskonalenie miejscowych warunków życiowych i rozwój dobrobytu.

Kontakty z emigrantami, powroty

Wielu kurpiowskich emigrantów wyjeżdżających za Ocean pozostało na stałe poza ojcowizną. A. Chętnik pisał w 1919 r.: *Na sto kilkanaście tysięcy ogólnej liczby Kurpiów (z puszczy Zielonej) w Ameryce jest do 20 tys.* Przykładowo z gm. Gawrychy, liczącej przed I wojną światową do 10 tys. mieszkańców, za ocean wyemigrowało do 1,5 tys. ludzi. Z gm. Nasiadki, liczącej ponad 7 tys. mieszkańców, wyemigrowała podobna ilość osób.

W innym miejscu etnograf zanotował ciekawą uwagę na temat kurpiowskich emigrantów: *Większość pozostała w Ameryce, gdzie posiada własne fermy, domy w miastach lub sklepy i restauracje. Pomimo biedy w puszczy Kurpie tęsknią do niej i nawet stale osiedleni w Ameryce przyjeżdżają nieraz na kilka miesięcy, żeby odwiedzić swoich i zobaczyć na własne oczy co słychać w „starym kraju” – jak nazywają Polskę.*

Podobnie D. Staszewski, chociaż zaawżał, że w Ameryce żyło się dostatniej niż na ojcowiznie, pisał, że *Wśród dostatków jednakże Kurp tęskni do swojej biedy na Puszczu, tak że... „Iza Iżę strąca, tak że i liter nie widno, jakie stawiam” – tak piszą w listach z Ameryki i w tęsknocie swej rozkrywają się wspomnieniami puszczańskiego życia i rozpytują o krewnych i sąsiadów, dla których w domu byli najobojętniejsi. Rzadko który więc z nich pozostaje na zawsze w Ameryce. Nie wracają ci tylko, którzy nie mają za co wrócić. Rzadkie te wyjątki stanowią próżniacy i utracjusze, którzy próżnując w kraju, za resztki straconych pieniędzy wędrują do Ameryki w nadziei, że tam wezmą do pracy.*

Nieraz się zdarzało, że wracano na ojcowiznę masowo. W 1908 r. w „Mazurze” informowano: *Z Chorzel piszą, że powrót wychodźców z Ameryki do Królestwa przybiera niebawem rozmiary. Na tamtejszą komorę zgłosiło się w zeszłym tygodniu od razu około 1 000 osób, powracających z Ameryki. Zaniepokojeni urzędnicy tak znacznym tłumem, początkowo nie chcieli przepuszczać go przez granicę, dopóki władz pruskie nie poinformowały władz tutejszych, że są to spokojni emigranci, powracający do kraju. Powroty te spowodowane były zastojem w USA. Pochodzenie za oceanem zależało bowiem od sytuacji gospodarczej w Ameryce i na rynkach światowych.*

Ocena zjawiska

A. Chętnik przekonywał przed I wojną światową, że *na Puszczu na ogół jest źle, co potwierdzają i same Puszczaki.* Dlaczego? Niestety do tego stanu rzeczy przyczyniła się emigracja. Oprócz widocznych pozytywnych skutków emigracji, takich jak wymieniane przez etnografa domy z podłogą i często piecem kaflowym, kute wozy, posąg dla córki, a czasem zwykłe buty, na które Kurp mógł sobie pozwolić dzięki pieniądзом zarobionym na wychodź-

Wykaz miejscowości, w których istniały szkoły elementarne przed 1905 rokiem i w 1914 roku

Lp.	Przed 1905 rokiem				W 1914 roku			
	Gmina	Siedziba szkoły	Stopień organizacji	Nauczyciele	Siedziba szkoły	Stopień organizacji	Nauczyciele	Prywat.
1	Gawrychy	Zbójna	1-kl.	1	Zbójna	1-kl.	1	-
2	Łyse	Łyse	1-kl.	1	Łyse	1-kl.	1	-
3	Turośl	Turośl	1-kl.	1	Turośl	1-kl.	1	-
4	Turośl	Bączki	1-kl.	1	Bączki	1-kl.	1	-
5	Turośl	Leman	1-kl.	1	Leman	1-kl.	1	-
6	Wach	Wach	1-kl.	1	Wach	1-kl.	1	-
7	Dylewo	Kadzidło	1-kl.	1	Kadzidło	1-kl.	1	-
8	Dylewo		-	-	Dylewo	1-kl.	1	1
9	Myszyniec	Myszyniec	1-kl.	1	Myszyniec	1-kl.	1	-
10	Myszyniec		-	-	Dąbrowy	1-kl.	1	1
11	Myszyniec		-	-	Obierwia	1-kl.	1	-
12	Nasiadki	Szafarczyska	1-kl.	1	Szafarczyska	1-kl.	1	-
13	Nasiadki		-	-	Nasiadki	1-kl.	1	1
14	Baranowo	Baranowo	1-kl.	1	Baranowo	1-kl.	1	-
15	Jednoróżec	Jednoróżec	1-kl.	1	Jednoróżec	1-kl.	1	-
16	Zaręby	Zaręby	1-kl.	1	Zaręby	1-kl.	1	-
17	Ogółem:	12	-	12	16	-	16	3

Źródło: H. Maćkowiak, *Szkolnictwo na Kurpiach 1905–1939*, Ostrołęka-Łomża 1990.

stwie, emigracja powodowała wiele problemów. Jakich? Podsumujmy.

Wychodźstwo ludzi, którzy jako młodzi i zdrowi mogliby budować dobrobyt na Puszczu, było poważnym kłopotem dla regionu. Aby jednak móc rozwijać wsie kurpiowskie, potrzeba ludzi światłych, odpowiednio wyuczonych, społeczników, a takich brakowało, bowiem oświata kulała. *Szkoły są rzadko gdzie po większych wioskach; szkół tych jest około 20 na całej Puszczu, posiadającej z górą 100 tys. ludzi. Są wioski mające po 100–300 domów, a bez szkoły – z żalem przyznawał A. Chętnik.*

Słabo rozwinięte było czytelnictwo. W 1899 r. otwarta została czytelnia w Dylewie, w której, jak notował korespondent, *Największym powodzeniem cieszą się książeczki religijno-moralne i powieści. Kurpie czytać umieją, rzadko znaleźć takiego, któryby choć na książeczkę do nabożeństwa nie umiał czytać.* Ta dość optymistyczna opinia nie znajdowała jednak pokrycia w rzeczywistości, gdyby spojrzeć szerzej na poziom analfabetyzmu i stan czytelnictwa. Posłużę się przykładem z Jednoróżca. Ponieważ przed Wielką Wojną większość wierznych była analfabetami, księża posługujący w filii parafii Chorzele z siedzibą Jednoróżcu starali się przezwyciężyć ten stan, nawet pomimo niechęci parafian do edukacji. W świetle listu do redakcji czasopisma „Mazur” z 1908 r. przywołany wyżej ks. I. Połubiński nawołuje i tłumaczy, *co to znaczy oświata, bo oświata może doprowadzić do szczęścia, a ciemnota do zguby. (...) nie patrząc na to, że ludzie nie chcą dać grosza na gazetę, sam za swoje pieniądze utrzymuje kilka gazet i rozdaje ludziom.* Ks. I. Połubiński prenumerował „Gazetę Świąteczną” oraz pisywał do „Mazury”, informując o wydarzeniach z Jednoróżca i okolic. Sprowdzał książki lub pomagał w dystrybucji publikacji, które nie dość, że pomagały w walce z analfabetyzmem, to jeszcze były przydatne

w codziennym życiu miejscowych gospodarzy. Przykładowo w 1911 r. za pośrednictwem kapłana przekazano mieszkańcom Jednoróżca, który dokonywali systematycznych przedpłat na rzecz „Gazety Świątecznej”, wylosowane dla nich podarunki w postaci książki o pogodzie. Również następca ks. I. Połubińskiego, ks. Józef Ciesielski, starał się walczyć z analfabetyzmem mieszkańców, zachęcając ich do czytelnictwa. Prywatnie prenumerował katolickie czasopismo „Mazur”, a jeden z dwóch przysyłanych egzemplarzy przekazywał do czytania parafianom. Funkcję podręczników do nauki czytania pełniły też modlitewniki. Niestety, w świetle relacji z 1914 r., w Jednoróżcu *Gazety mało kto czyta. Na wieś z tysiączną ludnością przychodzi zaledwie kilka egzemplarzy gazet.*

Anna Urlich z d. Łukasiak ze Stegny w gm. Jednoróżec, wspominając czasy międzywojenne, kiedy była małą dziewczynką (ur. 1931), zanotowała zabawną sytuację, która świadczy o słabym rozpowszechnieniu czytelnictwa i brakach w edukacji w okresie zaborowym. Wspominała wieczory, podczas których głośno czytano fragmenty powieści: *Pamiętam, że właśnie czytaliśmy „Ogniem i mieczem” Henryka Sienkiewicza. Tego wieczoru wypadła kolej na fragment dotyczący śmierci Longinusa Podbięty. Nigdy nie dowiedzielibyśmy się, że pilnie słuchała razem z innymi pewna stara babcia. Każdy sądził, że ona śpi. Tymczasem babcia tak się przejęła śmiercią Podbięty, że nazajutrz poszła do księdza [Stefana – przyp. M.W.K.] Bernatowicza, proboszcza parafii Jednoróżec i chciała dać ofiarę na mszę świętą za duszę Longinusa Podbięty. O wydarzeniu tym proboszcz opowiedział mojemu ojcu, zdziwiony ogromnie skąd tej babini przyszedł na myśl ów Podbięty. W ten sposób powstała do dziś powtarzana anegdota.*



Wieś Jednorozec latem 1914 r. Fot. Aleksander Maciesza. Zbiory Towarzystwa Naukowego Płockiego.

Wysoki poziom analfabetyzmu uniemożliwiał kontakty między emigrantami a duchowieństwem parafialnym. Autor ankiety na temat wychodźstwa z diecezji płockiej, przeprowadzonej przed I wojną światową, zalecał, aby proboszczowie mieli adresy swoich parafian i utrzymywali z nimi stałe kontakty listowe. Jak zauważał, *Najniżej stoją emigranci galicyjscy i z Królestwa. O wykształceniu jakimkolwiek nie ma mowy, bo to przeważnie wszystko analfabeci. Lud z Królestwa jest tak pod tym względem zacofany, iż na 100 wychodźców ledwie jeden potrafi coś czytać i pisać.*

Korespondencję utrudniały ciężkie warunki życia i pracy wychodźców. Zapewne byli i tacy, którzy nie chcieli pozostawać w kontakcie z co i rusz upominającym ich proboszczem, przypominającym, czego nie robić, a co jest dozwolone. W tej sytuacji kontakty listowne były rzadkie, a odwiedziny proboszcza w miejscu, do którego wyemigrowali parafianie zupełnie wyjątkowe.

Emigracja wcale nie pomagała w podniesieniu kultury rolnej i polepszeniu stanu gospodarstw, bowiem nie ma komu w nich pracować, a wydzierżawienie ziemi sąsiadom przyczynia się do niszczenia dorobku gospodarskiego. Potrzeba wiele lat, by reemigrant doprowadził ziemię do takiego stanu, w jakim ją zostawił. By to uczynić, często wielu gospodarzy emigrowało ponownie, by zarobić więcej pieniędzy. I proces się zamykał.

Wielu pracujących w fabrykach czy kopalniach za granicą traciło niepotrzebnie życie,

rozpijało się, upadało moralnie, nie wracało do kraju... *Duża część wychodźców jest stracona dla naszych wiosek i kraju* – ubolewał A. Chętnik.

Nawet i wracający na niewiele się zdawali. Emigrant wyjeżdżał ciemny z kraju, w Ameryce zaś nie uczęszcza do szkół, które są tam bezpłatne, a że tam widzi i słyszy wiele różnych rzeczy, więc i w głowie tak mu się przewróci od tego, że po przyjeździe do kraju jest prawdziwie „głupim mądrą”, aż mdło takiego mędrka słuchać.

A. Chętnik apelował więc o zmniejszenie skali emigracji, zarówno za ocen, jak i tej do Prus. Swoje rozważania podsumował następująco: *Do Ameryki idzie przeważnie młodzież, która mówi, że w kraju niema co robić. Ale czy młodzież ta ma rację? W kraju niema co robić, a bieda nas ciśnie ze wszystkich stron i niema jej komu wypędzać; rzemiosła i handel są w rękach obcych, gdy nasi ludzie będą cierpieć z braku pracy; przemysł nie istnieje prawie, a tysiące rubli leżą po skrzyniach, czekając ognia lub złodzieja, gdyż właściciela ich nie wiedzą, co mają ze swymi pieniędzmi robić. A gdzie są u nas te wzorowe gospodarstwa, jak np. w Prusach, gdzie są szkoły, stowarzyszenia różne, gdzie wioski zielone, brukowane i czyste, gdzie drogi porządnie utrzymane, gdzie sady, ogrody i pasieki, które tysiące rb. mogą dawać dochodu? Wszystkiego tego u nas niema, a narzekamy na brak roboty u siebie i idziemy pracować na tych, którzy nami poniewierają. Nie dziwne więc, że zdarzały się głosy krytykujące*

decydujących się na emigrację, co miało być pójściem na łatwiznę, bowiem przy większym wysiłku mogliby znaleźć pracę na Kurpiach.

Złożone zjawisko emigracji sezonowej i stałej na Kurpiowszczyźnie oraz jego skutki trafnie podsumowują słowa ks. Ignacego Charaszewskiego, opublikowane w 1900 r. w „Echach Płockich i Łomżyńskich”: *Wychodźstwo i emigracja, to jak odpływ i przypływ morza – dużo zabiera lecz i dużo przynosi na fali powrotnej.*

Maria Weronika Kmoch

Bibliografia:

I. Źródła:

Archiwalia:

Archiwum Muzeum Historycznego w Przasnyszu:

Urlich A., *Wspomnienia stegneńskiej kurpianki poprawione i uzupełnione*, Warszawa 2004, sygn. Mżr 282.

Archiwum parafialne w Jednorozcu [nazwa nieoficjalna]:

Kuria Biskupia. Akta parafii Jednorozec Od r. 1912 – do r. 1958, Kwestionariusz wizytacji biskupiej, 1912 r. [akta nieuporządkowane].

Źródła drukowane:

Staszewski D., *Moralność i umoralnienie Kurpiów. Studium obyczajowe* (Odbitka z „Ech płockich i łomżyńskich”), Płock 1903.

Prasa:

Kurp, *Jednorozec w Przasnyskim*, „Głos Płocki”, 7 (1914), 58 (661), s. 3;
Malinowski M., *Z Puszczy Myszynieckiej, „Zorza”*, 37 (1902), 3, s. 50–53;
Nierad. [ks. F. Flaczyński], *Z Puszczy Kurpiowskiej. Rozdział IV. Moralność na Puszczy*, „Głos Mazowiecki”, 1 (1933), 63, s. 4;
Przeniesienie Sądu, „Głos Płocki”, 1 (1908), 64, s. 3;
Staszewski D., *Z Puszczy Kurpiowskiej, „Echa Płockie i Łomżyńskie”*, 2 (1899), 101 (179), s. 4;
Wojno T., *Wycieczka na Kurpie*, „Czytelnia dla Wszystkich”, 1 (1904), 32, s. 504;
Wychodźstwo ludu, „Kurier Warszawski”, 79 (1899), 88, s. 2;
Wypadki, „Mazur”, 4 (1909), 30, s. 271–272;
X., *Z Kadzidla*, „Echa Płockie i Łomżyńskie”, 3 (1900), 5 (186), s. 3;
X., *Z Puszczy Kurpiowskiej*, „Głos Płocki”, 1 (1908), 2, s. 4;
Z Chorzel, „Mazur”, 3 (1908), 7, s. 2;
Z okolic Ostrołki, „Echa Płockie i Łomżyńskie”, 2 (1899), 20, s. 3.

Wspomnienia:

Deptuła M., *Jednorozec. Powrót do przeszłości*, Żywiec 2017; Wilga S., *Smutna Dola Wio-*

sky Jednorozec, oprac. M.W. Knoch, „Krasnosielcki Zeszyt Historyczny”, (2016), 27, s. 3–44.

II. Opracowania:

Białczak A., *Z dziejów kurpiowskiego wychodźstwa zarobkowego do Ameryki Północnej w latach 1880-1918 na przykładzie gminy Baranowo*, „Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego”, 27 (2013), s. 17–34;
Chętnik A., *O Kurpiach*, Poznań-Lublin-Łódź 1919;
Tenże, *Pożywienie Kurpiów. Jadło i napoje zwykle, obrzędowe i głodowe*, Kraków 1936;
Tenże, *Puszcza Kurpiowska*, Warszawa 1913;
Gut Ł., *Kurpie i alkohol w drugiej połowie XIX wieku*. Wyrzeczysko, „Kurpie”, 15 (2016), 1–4 (56–59), s. 34–35;
Tenże, *Z Kurpiowszczyzny za chlebem do Ameryki* (dostęp 13 VII 2018 r.);
Tenże, *O tym jak Kurpie dawniej fajkę pali* (dostęp 13 VII 2018 r.);
Kulikowska J., *Emigracja i duszpasterstwo wychodźców z Królestwa Polskiego do 1914 (w świetle urzędowych publikacji kościelnych)*, „Nasza Przeszłość”, 65 (1986), s. 91–143;

Morga, [w:] *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, red. F. Sulimierski, B. Chlebowski, W. Walewskiego, t. 6, Warszawa 1885, s. 677;

Szczepański J., *Adam Chętnik a emigracja zarobkowa z Kurpiowszczyzny na przełomie XIX i XX wieku*, [w:] Adam Chętnik. *Patriota, uczony, społecznik, polityk*, red. J. Gmitruk, Warszawa 2017, s. 161–178;

Tenże, *Emigracja z Północnego Mazowsza za ocean na przełomie XIX i XX wieku*, „Zapiski Ciechanowskie”, 7 (1989), s. 48–59;

Tenże, *Emigracja zarobkowa z Kurpiowszczyzny (do I wojny światowej)*, „Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego”, 7 (1993), s. 40–51;

Waleszczak W., *Jednorozec w powiecie przasnyskim na przełomie XIX i XX wieku*, „Rocznik Mazowiecki”, 16 (2004), s. 45–61;

Wiśniewski S., *Przyczynek do dziejów emigracji z Ostrołki i okolic*, „Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego”, 16 (2002), s. 241–252;

Wojciechowska T., *Jednorozec. Historia wsi*, Jednorozec 2015;

Ziółek J., *Walka z alkoholizmem w diecezji płockiej w XIX wieku*, „Studia Płockie”, 14 (1986), s. 265–270.



Wieś Jednorozec latem 1914 r. Fot. Aleksander Maciesza. Zbiory Towarzystwa Naukowego Płockiego.



Prelekcja historyczna „Zainspirowani historią”

wygłoszona przez dr Wojciecha Borkowskiego
w Drażdżewie w dniu 14 X 2018 r.

www.tpzk.online.pl

dr Wojciech Borkowski

Wprowadzenie

Ujęci erudycją i wyjątkowym podejściem do objaśniania historii osadnictwa człowieka na terenach północnego Mazowsza podczas wystąpienia dr. Wojciecha Borkowskiego na spotkaniu w Przasnyszu (w związku z obchodami 590. rocznicy powstania tego miasta) wspólnie podjęliśmy decyzję o zaproszeniu tego wyjątkowego archeologa, historyka i człowieka na podobne spotkanie do Drażdżewa.



Dr Borkowski propozycję przyjął, jednak w związku z nadmiarem zajęć zawodowych termin prelekcji znacznie nam się przesunął. Jednak szczęśliwie przy sporej widowni rozpoczęła się w dniu 14 X 2018 r. /niedziela/ o godzinie 15:00 w gościnnej Szkole Podstawowej w Drażdżewie prawdziwa uczta intelektualna.

Całość prelekcji została uwieczniona na nagraniu video dostępnym pod adresem www.tpzk.online.pl. Dodatkowo sporządzono jego stenogram, który dzięki wyjątkowej barwności języka prelegenta, błyskotliwości porównań i zaskakujących syntez, wzbogacony odwołaniami do konkretnych obrazów (slajdów), stanowi sam w sobie dużą wartość.

Zapraszamy zatem do obejrzenia materiału wideo oraz zapoznania się z poniższym tekstem.

Sławomir Rutkowski
oraz Maria Weronika Kmoch
Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielskiej

Wojciech Borkowski, Państwowe Muzeum Archeologiczne w Warszawie: Dlaczego tu jestem, to opowiem na końcu, a nie na początku, żeby pozostało trochę tajemnicy.

Bardzo serdecznie chcę podziękować Panu Sławkowi, bo to on mnie zaprosił, ale przyjechałem tutaj dla Pani Marii [Marii Weroniki Kmoch – przyp. red.], dlatego, że ją poznałem na stronach internetowych. Zafascynowała mnie, bo jak się gdziekolwiek wklepie coś na temat Kurpiów, to wyskakuje ona jako „Kurpianka [w wielkim świecie]”, nazwa bloga – przyp. red.]. Pomyślałem, że trzeba przyjechać tutaj i ją zobaczyć.

Przyjechałem także, żeby opowiedzieć Państwu troszeczkę o tej ziemi. Żebyście Państwo dowiedzieli się, że nie jest to taka zwykła ziemia i żebyście może, wychodząc stąd, troszeczkę inaczej popatrzyli na te pola, na tę piękną dolinę Orzyca, na samą rzekę i na to miejsce, w którym mieszkacie. To jest wyjątkowe miejsce na ziemi, taki szczególny splachetek. On ciągnie się troszeczkę za Chorzelami w kierunku Janowca [raczej Janowa – przyp. red.], gdzie był bród w średniowieczu, dalej przez Chorzele, Jednorozec, Krasnosielc do Makowa i dalej razem z biegiem Orzyca w okolicach poniżej Przeradowa łąduje w nurtach Narwi. Ten odcinek Orzyca jest bardzo ważny.

Państwo nie wiecie, że mieszkacie na granicy. Dlaczego? Powiecie, że stąd do granicy jest bardzo daleko, do Obwodu Kaliningradzkiego jedzie się pewnie ze 3 godziny. Nie mówiąc o granicy wschodniej, zachodniej czy południowej... Zatem skąd tu granica? Oczywiście wszyscy powiedzą: tak, dawna granica z Prusami, bo była taka granica. To gdzieś tam w okolicach Chorzel, nawet jeszcze dalej; ale tutaj żadnej granicy nigdy nie było. Tak nie do końca nigdy i o tym właśnie chcę opowiedzieć. To znaczy kiedy ta granica istniała i pomiędzy czym a czym była oraz jakie efekty z tego dla Państwa płyną. Może raczej: jakie skarby kryje ta ziemia. Ziemia, która jest dla mnie jak książka. My będziemy ją czytać razem.

Dziś postaram się ją czytać dla Państwa od początku i po kolei opowiadać, natomiast my, archeolodzy, zwykle czytamy ją od końca, to znaczy od zdarzeń najnowszych. Najnowsze rzeczy, są tutaj związane z melioracją Orzyca, o której pisała Pani Maria¹. Będę od niej nieco „zrzynał”, ponieważ piszę teraz tekst, w którym (nie mogłem tego zrobić wcześniej) na nią

się powołam. Mam nadzieję, że się nie obrazi (za to „Krasnosielskie Zeszyty Historyczne” wejdą do bibliografii naukowej)².

Melioracja Orzyca dla rozwoju rolnictwa może była zbawienne, może niepotrzebna, natomiast zmieniła całkowicie obraz stosunków przyrodniczych w tym rejonie. Konsekwencje tych zmian są ogromne, jeszcze w tej chwili nie do końca zapewne skonsumowane. Ja się w swoich pracach staram odwoływać do stanu sprzed melioracji. To jest dość trudne. Natomiast ludzie, którzy tu przychodzili w odległej przeszłości, nie znali nawet tego słowa. W paleolicie z pewnością nie było takiego terminu jak melioracja, a oni już tu przybyli i nawet nie przez myśl im nie przeszło, że kiedyś po melioracji te wydmy, na których się osiedlali, zostaną osuszone i ciężko będzie do nich trafić.

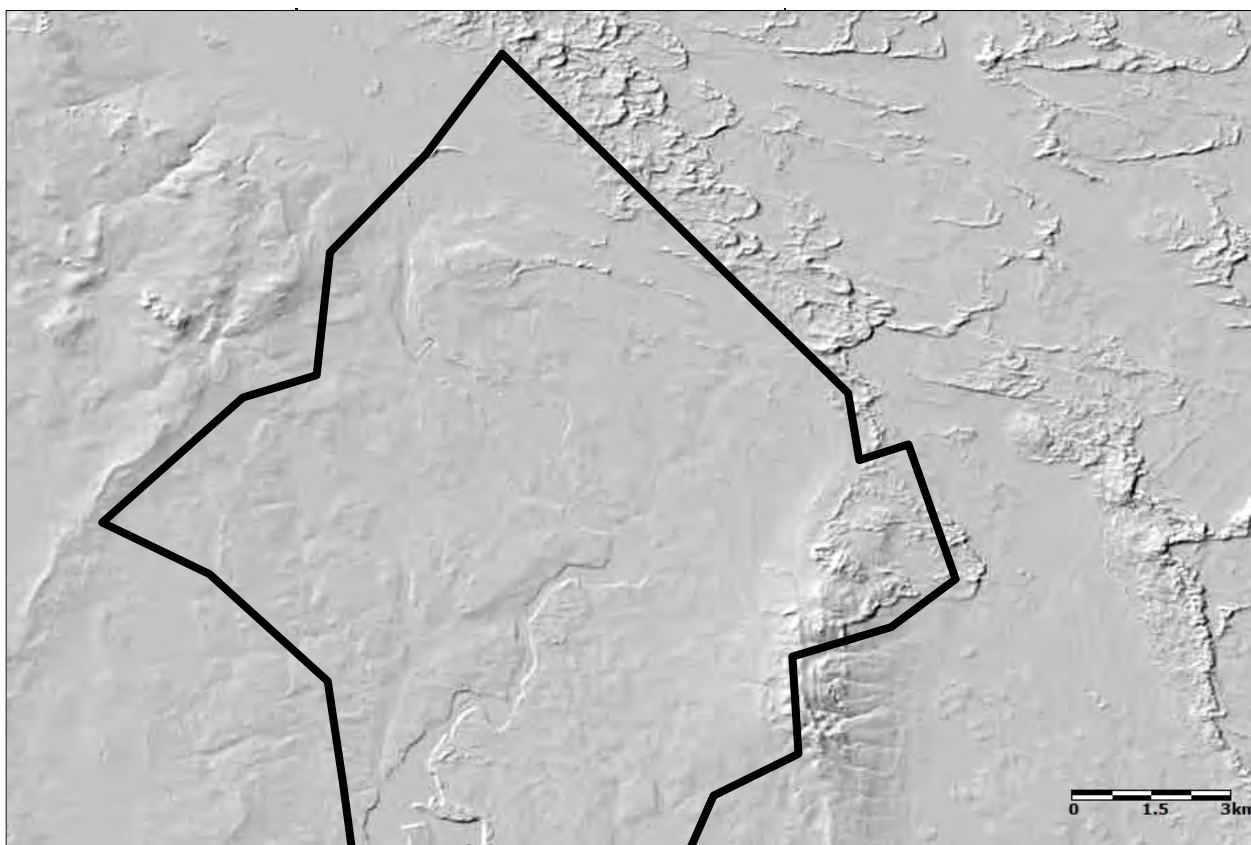
To jedziemy z naszym czytaniem przeszłości. Spójrzmy na mapę fizjograficzną [slajd nr 2], na której znajdujemy się dokładnie w tym punkcie [tu wskazuje na Drażdżewo – przyp. red.]. Ten odcinek Orzyca, o którym mówiłem – dokładnie: od Chorzel przez Jednorozec, Drażdżewo aż do Krasnosiela – to jest właśnie dawna granica. Na północ [bardziej na północny-wschód – przyp. red.] od niej jest teren zaznaczony na białą, z wydemkami, podzielony dolinami rzek: tutaj mamy Omulew, oraz dalsze rzeki, czyli obszar Puszczy Kurpiowskiej. Pewnie dlatego mamy do czynienia z naczelną Kurpianką, ponieważ to jest z pogranicza Kurpiowszczyzny. Ona [Kurpiowszczyzna – przyp. red.] już teraz „poleciała” w wyniku melioracji kawałek na północ [skurczyła się – przyp. red.], ale kiedyś, proszę mi wierzyć, jakbyśmy stanęli za Orzycem, to widzieli byśmy aż po Pisz – bo Puszcza Kurpiowska łączy się z Puszcą Piską – widzielibyśmy do samej obecnej granicy puszcze, puszcę i jeszcze raz puszcę. W konsekwencji jesteśmy na granicy pomiędzy zupełnie różnymi utworami geologicznymi i glebami, które się znajdują się na północy i w naszym miejscu [wskazuje na mapę – przyp. red.].

Gdy wychodzicie na zewnątrz i stąpacie po ziemi, zapewne wycieracie buty, bo czasami pewnie słyszycie, tak jak moja babcia mówiła do mnie: weź wytrzyj porządnie nogi, bo nanosisz błota czy tam piasku do środka. Otóż nie. Państwo chodźcie po utworach peryglacialnych, zatem przynosicie na butach utwory peryglacialne – proszę trochę szacunku dla tej

¹ Zob. M.W. Kmoch, *Regulacja rzeki Orzyc w pow. przasnyskim w okresie międzywojennym*, „Krasnosielski Zeszyt Historyczny”, 2017, 32–35, s. 2–18, 40.

² W. Borkowski miał na myśli wydany przez Muzeum Historyczne w Przasnyszu w końcu grudnia 2018 r. katalog *Zabytki archeologiczne Ziemi Przasnyskiej* (autorami są archeolodzy W. Borkowski i Z. Miecznikowski).

ziemi. Ta ziemia została ukształtowana przez lodowiec kilkanaście tysięcy lat temu i to nie jest zwykła ziemia. To są utwory peryglacjalne. Zupełnie inaczej to by brzmiało, gdybym babci mógł powiedzieć: ja nie przynoszę tutaj brudu, tylko ziemię peryglacjalną. Taką to i do słoiczka można by wysypać. Co to znaczy? To znaczy, że gdzieś tutaj na tej linii, gdzie kończy się żółta barwa [wskazuje na mapę – przyp. red.], stało czoło lądolodu w czasie ostatniego zlodowacenia tzw. północnopol-



[Teren gminy Krasnosielc /schematycznie linia ciągła/ oraz przyległych obszarów. W północno-wschodniej części mapy widoczne ślady osadów spływających z lodowca i wypłukiwanych przez niego. We wschodniej części gminy Krasnosielc widoczne tzw. Góry Biernackie. Źródło: Geoportal LIDAR <http://igrek.amzp.pl/details.php?id=11775750>. – przyp. red.].

skiego. W którymś z jego interstadiałów spod tego lodowca wylewały się ogromne, gigantyczne rzeki, szerokości paru Wisł, które wpływały w czasie jego topnienia. Topniał w sumie przez kilkadziesiąt lat, natomiast narastał przez kilkadziesiąt tysięcy lat.

Cóż on wypłukiwał i skąd się wzięły te utwory peryglacjalne? To proste. Jak lodowiec „funkcjonował”, czyli ziemia była skuta lodem, to z południa dzisiejszej Polski wiatry nanosiły różne pyły i piaski, które osiadały na owym lodowcu. Tu muszę się odwołać do Państwa doświadczenia, szkoda, że nie zimowego. Myślałem, że chociaż troszeczkę chłodniej będzie. Jak wyglądał krajobraz zimowy? Zwykle występuje wtedy śnieg. Jeśli zima jest tęga (ostatnio zimy były fatalne, więc niewiele mamy takich doświadczeń), jeśli zaczyna się pod koniec listopada i przez grudzień, styczeń, luty do początków marca śnieg nie topnieje, to różne pyły na nim się kumulują. Najlepiej to widać niestety w większych miastach. Kiedy przyimy śniegu zaczynają topnieć, to ujawniają wszystko, co zgromadziły. W Warszawie to jest obraz straszliwy, ponieważ śnieg kumuluje papierosy, śmieci, kapsle, psie odchody i sporo błota, piachu. I to wszystko zostaje zmyte dopiero po zwykłych deszczach wiosennych.

Tomasz Bielawski: O, przepraszam, psie kupy to są „wydalone, niestrawione pozostałości pokarmu psów”.

Wojciech Borkowski: O, to ciekawe, ale chyba i właściwsze określenie dla tych kup psich.

Możemy sobie wyobrazić, że po takiej zimie trwającej 3 miesiące takiego „błota” jest na 2 czy 3 mm. A teraz wyobraźcie sobie Państwo, że zima nie trwa trzech miesięcy, tylko 12, bo w ogóle nie ma lata, tylko ciągła zima i nie topnieje nic. I dalej, pomnóżmy to przez

80 tysięcy lat, bo tyle stacjonował w tym miejscu lądolód. To już się zaczyna robić ogromna ilość materiału akumulacyjnego. W masie lodu, która miała do 4 km grubości, przynajmniej kilkadziesiąt, jak nie kilkaset centymetrów, było pyłu, piasku i tego wszystkiego, co zostało nawiane i w dolnej części lodowca przepchnięte. Bo lodowiec, naciskany 4 km lodu, na dole robił się plastyczny, chociaż wcale nie topniał. Pod tak ogromną masą nawet stal stała się plastyczna, zaczyna się ciągnąć i nawet nie trzeba jej specjalnie podgrzewać, ale do tego trzeba naprawdę dużej masy. No a ta masa lodu rzeczywiście powodowała, że lodowiec przesunął się w ten sposób rozrastał, ale w trakcie ruchu tarł po podłożu. Wszystko to, co pchał przed sobą, również zostało później wypłukane. Zatem to, co zostało wypłukane za Orzycem [po jego zachodniej stronie – przyp. red.], to są utwory z wcześniejszego stadiału, już z glinami, przerobione przez lodowiec, „przemacowane”. Natomiast to, co znajduje się na terenach Puszczy Kurpiowskiej, to są piaski, piaski i jeszcze raz piaski [mapa 1].

W ostatnim stadium, w którym lodowiec topniał, wiatr wywiewał utwory i formował z tego wydmy. Dlatego na ubogich glebach bielcowych najlepiej rośnie las sosnowy. W dolinach rzek to co innego. Szczególnie kiedy nie były zmeliorowane. Jak pamiętam, Orzyc, kiedy wylewał w latach sześćdziesiątych, rozlewiska były po horyzont. Jak wylał wczesną wiosną i trochę lodu jeszcze było, mieliśmy wielkie lodowisko. W szerokich dolinach zakumulowały się drobne, bardzo żyzne gleby.

Te gleby, które wytworzyły się na utworach młodoglacjalnych, najpóźniejszych, czyli najmłodszych, nie są żyzne. Nie spodziewajmy się na nich rozwoju rolnictwa. Oczywiście jak tu-

taj weszła polityka i trzeba było dostarczać ziemniaki i inne płody rolne, ludzie wycinali lasy i próbowali tam je sadzić. No jeszcze kartofle to się pewnie jakoś udadzą, ale inne warzywa już gorzej. Natomiast bardzo dobrze ma się bydlęko w dolinach, bo tam rośnie piękna trawa.

Jak rzecz wygląda w obrazie historycznym, tzn. archeologicznym? To jest w sieci stanowisk archeologicznych, czyli takich miejsc, w których występują jakieś pozostałości z historii człowieka od kilkunastu tysięcy lat do około tysiąca lat temu. To jest obraz z ostatnich ok. 11–10 tysięcy lat zapisanych w historii tej ziemi [mapa stanowisk archeologicznych Ziemi Przasnyskiej, slajd nr 3 – przyp. red.]. Bardzo łatwo zobaczyć, gdzie przebiega granica. Tu jest stanowisk mnóstwo, a na północy bardzo mało. Jeżeli są, to w dolinkach rzek, a pośrodku nie ma nic. Granica w tym rejonie istniała przez kilkanaście tysięcy lat nie z powodu politycznych zakazów, tylko ze względu na to, że ludzie, którzy żyli z uprawy roli, nie chodzili dalej na północ. Do puszczy chodzili tylko ci, którzy polowali, łowili ryby, pszczołom miód podbierali albo uciekali, bo mieli coś na sumieniu.

Region, w którym Państwo żyjecie, znajduje się na granicy tzw. Ziemi Ciechanowsko-Przasnyskiej i Puszczy Kurpiowskiej. Wiedzie ona wzdłuż Orzycy i w związku z tym jesteście [na granicy – przyp. red.] – no tyle że ta szkoła [w Drąždzie – przyp. red.] jest jeszcze [formalnie – przyp. red.] po stronie Wysoczyzny Ciechanowskiej, a nie Równiny Kurpiowskiej.

Zaczynamy naszą opowieść od momentu, w którym jeszcze widzimy lodowiec [pokazuje slajd z lodowcem – przyp. red.; slajd nr 4]. Z jego podnóża wypływają strumyczki, ale jest zimno i mamy do czynienia z roślinnością tun-

drową. Taki krajobraz przypomina obecną Grenlandię. Dziś na terenie Antarktydy możemy znaleźć takie fragmenty lądolodu, gdzie pokrywa lodowa sięga prawie 4 km. Nieco bliżej mamy już początki roślinności. Rośliny natychmiast wchodzą, jeśli gleba tylko troszeczkę słoneczka dostanie, nawet jeśli dni tych jest bardzo niewiele. Za roślinnością przychodzą zwierzęta, które na niej żerują. To nie jest tak, że ona nie nadaje się do jedzenia – ona nie nadaje się do jedzenia dla nas i może dla zwierząt, które my aktualnie hodujemy, ale dla reniferów nadaje się znakomicie. One spokojnie wygrzebią sobie nawet resztki roślinności spod śniegu.

Dwaście tysięcy lat temu – chociaż trudno w to uwierzyć – tutaj na terenie północnego Mazowsza hasały sobie właśnie renifery. Polowali na nie ludzie, bo ludzie bardzo lubią mięso – od zawsze. Wprawdzie są między nami vegetarianie, ale muszą uznać to, że gdyby nie etap łowiecki w historii człowieka, tzn. gdybyśmy nie specjalizowali się wyłącznie w polowaniu np. na renifery, to nasz gatunek by nie przetrwał. Dlaczego? Ponieważ za mało mamy enzymów, aby strawić te gałęzie, mchy i porosty, na których żerowały renifery. W związku z tym polowano głównie na renifery. Wykorzystywano ich mięso i praktycznie było to 90% pokarmu tych ludzi. Ciekawe jest, że z renifera zjadano praktycznie wszystko, w tym treść żołądka. Zawierała ona bowiem nadtrawione przez enzymy szczątki roślinne. Pan Tomek [Bielawski – przyp. red.] pewnie poprawi, że są one inne u zwierząt, inne u człowieka. My nie jesteśmy w stanie celulozy trawić, w związku z czym nie pójdziemy i nie najemy się słomy, ale są zwierzęta, które są w stanie trawić i rozkładać celulozę na cukry proste i absorbować je w organizmie. Takimi zwierzętami są właśnie renifery – one zjadają mchy i porosty i kiedy one są nadtrawione w żołądku i rozłożone na proste składniki, to możemy sobie wyłożyć je na talerz i wrębać. Jeżeli jemy podroby, flaczki, to sięgniemy też po taką sałatkę wegetariańską. Wtedy możemy uzupełnić naszą dietę o to, czego nie ma w otoczeniu, no bo przecież nie jesteśmy się w stanie żywić np. korą drzew, nawet tych owocowych, chociaż korą cynamonową tak, ale tylko jako dodatkiem smakowym.

Polowania, które się odbywały na renifery kilkanaście tysięcy lat temu, zostały poświadczane takimi pozostałościami: to jest harpun [slajd nr 5], przy pomocy którego polowano. Wykonany z poroża renifera, znaleziony w okolicach Ciechanowa, inny z okolic Myszyńca. W Puszczy Kurpiowskiej znajdujemy cały taki zestaw grotów krzemiennych, ale narzędzia krzemienne znajduwane są także w okolicach Drążdżewa. Tutaj koledzy [z grupy archeologów amatorów z Makowa Mazowieckiego – Stowarzyszenie Historyczne „Protector” – przyp. red.] przynieśli narzędzia nieco późniejsze, bo mezolityczne.

W każdym razie początek osadnictwa na tych ziemiach, który możemy odczytać archeologicznie, przypada na ok. 12–13 tysięcy lat temu, kiedy to pojawili się pierwsi ludzie. Krajobraz jak wspominałem był zupełnie inny [niż obecnie – przyp. red.]. Ludziom wtedy nie przeszkadzało to, że na północy były kiepskie gleby, a na południu lepsze, ponieważ ich nie uprawiali – oni polowali na renifery!

Później stopniowo renifery odchodziły na północ ze względu na topniejący, wycofujący się lodowiec, pozostawiający moreny. Mamy tu drugą część Równiny Kurpiowskiej, która jest pokryta jeziorami. Jeziora powstały w miejscach, gdzie naciskające na podłoże „góry” lodu obniżyły, wgniotły je, tworząc zagłębienia, które następnie wypełniła woda. Tu jest kolejna granica, gdzie Puszcza Kurpiowska przechodzi w Równinę Mazurską i tam mamy do czynienia z trochę innym krajobrazem, nieco lepszymi glebami, ale jednocześnie większymi zbiornikami wodnymi. Tych jeziorzek na terenie Kurpiowszczyzny także było trochę, ale w wyniku melioracji zapomnijmy o nich. W artykule, który będę publikował [por. przypis 2 – przyp. red.], przywołuję ich nazwy, żeby wiadomo było, że rzeczywiście tam były. Teraz to są to łąki bądź uroczyska.

Ludzie osiedlali się zawsze tam, gdzie była woda. Nawet kiedy byli łowcami swoje siedliska wybierali nad wodą – nad strumykami, albo jakimś oczkiem wodnym. Po prostu po to, aby nie biegać daleko po wodę do picia, która wtedy jeszcze była czysta, nieskażona i można było ją pić. Kiedy się pojawiły zwierzęta gospodarcze, niestety już nie była czysta.

Rzut oka na krainy geograficzne [regiony fizjograficzne – przyp. red., slajd 7] pokazuje znowu, że jesteśmy na granicy. Wyniesienia Mławskie na zachód od nas, później Wysoczyzna Ciechanowska i Równina Kurpiowska, która mieści się na północny-wschód od Orzyców, a dalej linia pomiędzy Równiną Mazurską a Kurpiowską. Tu znajduje się jezioro Kalwa i Pasy. I to jest naukowy dowód na to, że jesteśmy na granicy. Geografowie na szczęblu centralnym dobrze dla nas wyznaczyli granicę.

Teraz spójrzmy na gleby [slajd nr 11]: to mozaika glebowa, o której już mówiłem. Na południu przede wszystkim gleby brunatne bądź też w okolicach Ciechanowa – czarne, bardzo żyzne, bardzo dobre dla osadnictwa. Stąd też kultury późniejsze – rolnicze, chętnie wykorzystywały te ziemie. Na Kurpiach gleby są głównie bielcowe (piasek). Nad Orzycem gleby brunatne, dobre, ale zaraz za granicą – jak nożem uciął. Istotna granica fizjograficzna, jak i glebowa, która zawsze istniała. Tam są pniaki, tu są krzaki. Puszcza.

Lodowiec poszedł sobie. Minęło kilka tysięcy lat historii, odszedł lodowiec i renifery też odeszły. Renifery nie bardzo umieją chodzić po lesie, bo mają poroże, które jest inne niż mają współczesne sarny i jelenie. One widzą swoje poroże, a renifery nie widzą swojego poroża i zaczepiają nim o gałęzie. Ja tak sobie to tłumaczę, dlatego renifery nie zostały, a przyszedł jelenie. Renifery poszły na północ, a z nimi ci, którzy zasmakowali w żołądku reniferów.

W to miejsce przyszedł tacy [slajd nr 8], którzy nie mieli nic przeciwko dziczyźnie w postaci jeleni, saren, dzików. Chcieli wszystkiego tego, co w puszczy dzisiaj funkcjonuje, a raczej powinno funkcjonować, z jednym wyjątkiem: turów nie ma, a wtedy były. Łaziły tury, łaziły żubry. W tej chwili żubry jeszcze może trochę chodzą, ale z turami żeśmy sobie poradzili na tyle skutecznie, że w XVII–XVIII w. wyginęły³ i turów nie ma, a bardzo bym chciał

³ Jednym z bardzo nielicznych miejsc, w którym w XIV w. żyły tury było Mazowsze,

w Puszczy Kurpiowskiej zobaczyć tura. Bo kiedyś królowa Bona urządziła polowania. Na jednym z tych polowań niedaleko stąd doznała urazu i poroniła lepszego pewnie władcę niż był moim zdaniem Zygmunt August.

Do takiej puszczy przychodzą zatem myśliwi. Oni jeszcze nie umieją uprawiać ziemi, zresztą nie widzą powodów uprawiania, skoro mają wspaniałe warunki leśne. Oni łowią ryby, polują na zwierzęta, mają łąki i strzały, oszczepy. Łowią ryby z rzeki i rozlewiska, spokojnie żyją. Pozostawili po sobie trochę inne narzędzia: tam widzieliśmy groty z poroża jeleni, tutaj robią drobne przedmioty z drobnych rdzeni (kawalki krzemienia), odbijają je w specyficzny sposób, ładnie je łamią i kruszą. Mamy tu cały worek takich przedmiotów [wiórów i okruszków krzemiennych; slajd nr 39⁴ – przyp. red.] – musiało być w okolicy Jednorozca i Drążdżewa jakieś obozowisko. Przez kilkadziesiąt lat mieszkali tutaj łowcy. Oni wyrabiali jedną dużą rzecz, którą można znaleźć czasami w Narwi i innych dużych rzekach, bo tylko w rzekach się to zachowuje [slajd nr 9], a mianowicie z poroża jelenia wykonują już raczej nie narzędzia, a ozdobne atrybuty władzy – topory, na których wyrysowują pieczołowicie jakieś motywy. Nawet parę elaboratów powstało, jeśli chodzi o odczytanie tych motywów, ale tak do końca nie udało się odczytać zapisanych na nich historii. Dla mnie jest to tylko ozdoba, ale są tacy, którzy dopatrują się

gdzie przywilej polowania mieli jedynie książęta mazowieccy. Od początku XV w. główna ostoja turów, Puszcza Jaktorowska (na południowy wschód od Żyrardowa i północ od Radziejowic) była specjalnie chroniona na mocy traktatów książęcych. Od 1526 r. Mazowsze weszło w skład Królestwa Polskiego, a przywileje książęce przejęli królowie polscy. Mimo tego, według inwentaryzacji z 1557 r., w puszczy żyło zaledwie 50 turów, w 1559 r. – 24, w 1601 r. – tylko 4. Ostatnia samica populacji mazowieckiej padła z przyczyn naturalnych w 1627 r. Pierwotnie przypuszczano, że przyczyną wyginiecia ostatniego, chronionego przez samego króla, stada turów była choroba, którą zaraziły się od bydła wypasane w pobliżu puszczy przez miejscową ludność. Dzisiaj coraz częściej mówi się, że potencjalna choroba, choć dla bydła wcale nie musiała być groźna, trafiła na podatny grunt: małą, odizolowaną populację, która straciła naturalne możliwości krzyżówek genetycznych i przez to możliwość adaptacji do nowych warunków. Co ciekawe, z rogu jednego z ostatnich turów żyjących na świecie, padłego w Puszczy Jaktorowskiej w 1620 r., wykonano róg myśliwski oprawiony w pozłacane srebro i opatrzony napisem *Róg turzy ostatniego tury z Puszczy Sochaczewskiej od wojewody rawskiego Stanisława Radziejowskiego na ten czas starosti sochaczewskiego r. 1620*. Stanowił dar dla króla Polski Zygmunta III Wazy. Przedmiot ten ze skarbca na Zamku Królewskim w Warszawie trafił podczas potopu do Szwecji. Obecnie znajduje się w Sztokholmie w Muzeum Arsenalu. *Tur*: <https://pl.wikipedia.org/wiki/Tur> (dostęp 20 I 2019 r.).

⁴ Ekspozaty Stowarzyszenia Historycznego „Protector”.

w tym jakiegoś języka, jakieś próby zapisania historii. Mamy też stanowiska archeologiczne z gminy Chorzele i Krasnosielec, jak Chłopia Łąka, ale też Gołymín, Ojrzeń itd. Ale już wiemy, że trzeba będzie dopisać te miejscowości, które są w okolicy. Nie było do tej pory dobrych badań powierzchniowych na tym terenie. Koledzy [ze Stowarzyszenia Historycznego „Protector” działającego na terenie powiatu makowskiego – przyp. red.] tutaj je robią, w związku z tym lista się wydłuży, a zbiory trafią do muzeum w Przasnyszu, chyba że w Makowie muzeum powstanie wcześniej.

Teraz przechodzimy znowu od powierzchniowych utworów geologicznych. Gdybyśmy sięgnęli do roślinności, to zauważylibyśmy, że ta na terenie puszczy jest inna [slajd nr 6] niż ta na terenie Wyżyny Ciechanowsko-Przasnysko-Makowskiej. I tu przechodzimy do opowieści o pierwszych rolnikach [slajd nr 12].

Dziesięć minut opowieści i kilka tysięcy lat historii, która działa się powoli – nie było powodów do tego, żeby szybko się zmieniała. Nie było polityki, nie było wyborów, nikt nie myślał o czteroletniej kadencji – nawiązałem do współczesności – w związku z tym ci łowcy, jak przyjechali, tak byli. Póki była zwierzyna, to nie mieli ochoty ruszać się stąd i zmieniać sposobu życia, bo o to chodzi. W związku z tym przez kilka tysięcy lat ich sposób życia się nie zmieniał, nie zmieniały się ich narzędzia, bo nie było takiej potrzeby.

Wyniesienie Mławskie – tu przyjechali ludzie z południa, którzy nagrzyszli na tyle, że Pan Bóg ich z raju wygnał. A to dlaczego? A to dlatego, że póki człowiek polował, póki zbierał to, co natura mu dała, czyli kontestował się tym, co Pan Bóg mu dał i nie kombinował, żeby jakiś deser sobie powiększyć, to żył w zgodzie z prawami boskimi. Tak jak jest napisane: tu sobie zerwał owoc (ważne, żeby wiedział jaki), tu sobie coś skubnął, upolował sobie jakieś zwierzątko, zjadł, najadł się. Ale człowiekowi było mało, w związku z tym zgorszyl, bo zaczął zjadać to, co nie trzeba i wtedy, za karę, został pozbawiony tego szczęścia, jakim jest życie z naturą w harmonii, w symbiozie i to co jest napisane bardzo wyraźnie: Ty teraz będziesz ziemię uprawiał za karę. A ona ci będzie osty i kamienie rodziła. I będziesz musiał to robić razem ze swoją żoną.

Rolnictwo jest zatem symbolem przejścia. Nam było za mało, że tutaj biegały zwierzęta, myśmy chcieli mieć coś nowego. No właśnie chcieliśmy mieć sałaty, warzywa. Chcieliśmy mieć nie tylko te biegające zwierzę, tę dziczyznę, czasami twardą, żyłową, czasami niezbyt smaczną. Chcieliśmy mieć cielaczka, cielęcinkę, prosiaczka, wieprzowinę. Te dzięki nie bardzo się do tego nadawały, najbardziej nadawały się do tego kozy i owce. [To zdarzyło się – przyp. red.] Na południu, nie u nas, to nie myśmy pierwsi zgorszyl. Myśmy się tylko nauczyli grzeszyć. Najbardziej nagrzyszyl ci, którzy zaczęli hodować zwierzęta i uprawiać rolę gdzieś w Mezopotamii. Tam pojawiło się rolnictwo i bardzo szybko rozprzestrzeniło. Dlaczego? Rolnictwo jest bardzo atrakcyjne gospodarczo. Jeżeli sobie wyobrazimy, że jesteśmy łowcami i chcemy mieć dużą rodzinę, to jeżeli nie chcemy co 2–3 dzień chodzić na polowanie, a mieć pełną spizarnię, to musimy sobie jednak zwierzęta hodować. Są one wtedy pod ręką, a my musimy uprawiać rolę.

To ma swoje złe strony. Przede wszystkim takie, że w żadnym języku ludzi, którzy żyją w zgodzie z naturą, nie ma słowa PRACA. Nie ma takiego terminu. Dla nas to jest oczywiste: ja rano wstaję, idę do pracy. Tzn. ja mówię inaczej – mówię: idę do muzeum. Specjalnie nie używam słowa „praca”. Dlaczego? Bo praca mi się kojarzy z czymś złym, z czymś takim, że muszę wstać, muszę wyjść, ja muszę to zrobić, a jeszcze mi haniebnie płacą. Dlatego nie używam słowa „praca”, bo traktuję swoje zajęcie jako pasję. Nie mogę tego nazwać pracą, bo bym to zhańbił. Ale praca to jest termin naturalny. Praca to wykonywanie czynności, które muszę wykonywać, bo inaczej nie mógłbym funkcjonować, muszę odpracować swoje, żeby potem mieć wolne. Rolnicy musieli chodzić do pracy – łowcy nie. Oni chodzili na polowanie, budowali domy, szyli sobie ubrania, natomiast nie nazywali tego jednym ogólnym terminem praca, ponieważ nie ma tego w języku ludów, które żyją na tym etapie rozwoju. A są jeszcze takie gdzieś w Amazonii. Idą łowić ryby, ale nie mówią, że idą do pracy.

Rolnicy nie mają urlopu, bo hodują inwentarz. Ja mam swoje 26 dni urlopu przepisane przez państwo, a oni nie mogą jechać, bo muszą nakarmić zwierzęta. To jest praca. To jest ciężka praca. To jest taka praca, która ich zobowiązuje, żeby wstali i żeby to zrobili, ponieważ ten inwentarz zależy od nich, oni muszą to zrobić. Czy oni mają ochotę sadzić ziemniaki? Jest marzec, kiedy się robi podorywki, ale oni muszą to zrobić, żeby na jesieni były plony. Oni muszą już na jesieni poprzedniego roku zaościć, zasiać ozieme, żeby móc zebrać to później albo zboża jare na wiosnę.

Były robione analizy na temat wolnego czasu społeczności – my je nazywamy prymitywnymi (nie wiem, dlaczego) – to są szczęśliwe wspólnoty, które żyją, jeszcze nie znając rolnictwa. Nie mają takiego tygodnia [pracy – przyp. red.] jak my, bo nie mają takiej potrzeby. Ale gdybyśmy wzięli dla przykładu chrześcijański tydzień siedmiodniowy, to oni na wszystkie czynności, które my nazywamy pracą, poświęcają dwa dni. Wystarczy im dwa dni na polowanie, na zbieranie, na budowanie domów, na różne inne rzeczy. Co robią przez pozostałe 5 dni? Po pierwsze: objadają się, piją, używają, ponieważ to nie myśmy wymyślili drugą połowę życia, oni wymyślili ją znacznie wcześniej w postaci muchomorów, różnych roślinek, które powodują, że łatwiej jest im obcować z bogami, łatwiej jest im być szczęśliwymi. Leżą na hamaku i uprawiają seks. Czy my mamy 5 dni w ciągu tygodnia na seks? No nie, a chcielibyśmy. My, proszę Państwa, mamy wolną niedzielę, ostatnio dorobiliśmy się wolnej soboty. Ja pamiętam, że w latach sześćdziesiątych w sobotę chodziło się do pracy. Moi rodzice chodzili do pracy i nie było co ze mną zrobić. Przedszkole jeszcze tak, ale szkoła nie funkcjonowała. Myśmy się z trudem dorobili 2 dni w tygodniu tzw. wolnych od pracy. Co to oznacza? Tylko wtedy możemy robić to, na co tak naprawdę mamy ochotę.

Ci rolnicy, którzy tutaj dotarli w 4 tysiąclecie p.n.e., przytargali ze sobą na wozach dobytek oraz owce, kozy, krówki i świnki, bo już je znali w tamtym czasie w Europie. No i zaczęła się nowa epoka. Wszyscy, którzy tutaj byli po drugiej stronie Orzycy, popatrzeli na nich. Przyjechali jacyś nowi, nie wiadomo co tam

robią i to od rana do wieczora robią to „nie wiadomo co”. My w tej chwili jesteśmy w stanie uzyskać co najmniej kilkadziesiąt ziaren [z jednego ziarna – przyp. red.] zboża, bo jak się wysieje kwintal, to się zbierze kilkadziesiąt kwintali. Już nie mówię o GMO, mówię o normalnym, niemodyfikowanym zbożu. A oni mieli z jednego dwa ziarna, góra trzy. Co to była za wydajność? Musieli wysiać tego mnóstwo, żeby cokolwiek zebrać. Te pierwsze ziarenka były słabe, małe; w kłosie było ich kilka zaledwie. To były zboża nieuduszone, ledwo udomowione, nie różniły się wiele od trawy, były bardzo niskie, w związku z tym wybierali tylko najżyźniejsze gleby. Dodatkowo dotarli w miejsca, które sobie musieli najpierw przygotować do tego, żeby móc funkcjonować. Główną pozostałością po nich, którą dziś odnajdujemy, są narzędzia do pracy, do ścinania drzew. Kiedy tu dotarli, wszędzie były drzewa. Owszem, może nie tak gęste jak w Puszczy Kurpiowskiej bory sosnowe – ale rosła tutaj dębina, graby, drzewa liściaste. Bo ziemia żyzna, dobra ziemia. Żeby tą dobrą ziemię uprawiać, najpierw trzeba drzewa wyciąć. Stąd znajdujemy dość często siekierki krzemienne, topory kamienne.

Jedna rzecz jest ważna. Łowca miał zwierzęnę bez względu na to, czy to była jesień, zima czy lato, [miał je – przyp. red.] pod ręką. Dzięki zwierzęta łatwiej zimowały. Nawet w zimę łatwiej je było wytropić, w związku z tym zima wcale nie była gorszą porą roku dla łowcy. Może nawet była lepszym okresem do polowania i do zbierania, niż lato. Do łowienia w przetręblu na pewno, bo ryby zimą były takie ogłuszone, ogłupiałe. Natomiast nie trzeba było jedzenia gromadzić i przechowywać. Jak się kończył jeden świniak, który był wielki, to się szło i łapało następnego dzika lub polowało się na następnego jelenia. [Był spokój – przyp. red.] Dopóki się go nie zjadło, a rodzina, w sumie niezbyt liczna – kilka osób – to takiego jelenia dość długo mogła jeść. Nie trzeba było jedzenia magazynować.

Inaczej było z rolnikami. Rolnicy różnią się od łowców tym, że jeżeli np. mają mleko, to mają tego mleka od groma i naraz go nie wypiją. Trzeba je przerabiać, trzeba robić sery, śmietany. Do tego potrzebne są naczynia do przechowywania mleka, do przechowywania zboża. Zboże dojrzeje i nawet jeśli jest go nie za dużo, trzeba je przechować na cały następny rok.

Myszy to nie jest wynalazek współczesny. Myszy żyły tutaj jeszcze przed nami i będą żyć po nas. Jak się nagle okazało w neolicie, że nie trzeba biegać po polach i zrywać kłosów, wystarczy pójść do miejsca, gdzie ludzie przechowują dla nich przygotowane specjalnie (myszy tak to odbierają) kopce ziarna, to zatarły łapki i dalej się rozmnażały. Myszy się potwornie rozmnożyły. Chroniono zatem żywność w naczyniach glinianych. Ścianki tych naczyń miały dość dużą grubość, żeby myszki nie mogły się przez nie przegryźć i takie naczynia gliniane, tzw. zasobowe, zakopywano w ziemi, nakrywano pokrywami bądź skórą i w ten sposób chroniono to zboże. Oczywiście nie w całości, człowiekowi aż tak bardzo nie zależało i się podzielił. Teraz jak widzimy, że w zboże myszy weszły i zostawiły swoje odchody (nie odchody, niestrawione te części...), to mówimy: o! zapaskudzone, i wyrzucamy,

wysypujemy. Kiedyś wybierano „to czarne”, albo i nie wybierano, tylko dalej mąkę robiono, ona była nieco ciemniejsza. Nie było specjalnie problemu. Byłe by było trochę tego zboża wśród tych czarnych niestrawionych części organicznych.

W związku z przechowywaniem żywności pojawiła się konieczność robienia naczyń. Ale z czego tu robić takie naczynia? No najłatwiejsza jest glina. My w tej chwili już nie używamy naczyń glinianych, no jeżeli to zastawę z porcelany, żeby wypić kawę czy herbatę. Naczynia kuchenne głównie są metalowe, ale kiedy ludzie nie znali jeszcze obróbki metalu, wtedy pojawiła się ceramika. I ta pierwsza ceramika była bardzo charakterystyczna: naczynia z bardzo wąskimi szyjkami do nalewania mleka. Mleko fermentowało, robiło się coś w rodzaju kumysu, one miało 3–4% alkoholu. To takie lekkie piwo było, ale zawsze człowiekowi jakąś radość dawało. Po tej ciężkiej pracy w polu trzeba się było chociaż ze 2 dni urządzić. W związku z tym chociaż trochę [mleko – przyp. red.] fermentowano. Pojawiły się także kubki, żeby można było się napić.

Kiedy już poznano uprawę, to uprawiano nie tylko zboża, nie tylko groch czy soczewicę, inne rzeczy do zjedzenia, żeby zakupić zrobić sobie. Uprawiano również mak... do ciasta. Przy czym ten mak do ciasta pojawił się, jak się uściśla Wielkanoc – na baby wielkanocne – i w Boże Narodzenie na makowce. Ale wcześniej uprawiano mak do zupełnie czegoś innego. Do flaszki w kształcie makówki wrzucano niedojrzałe makówki, pokrojone. Potem to podgrzano, człowiek wypił i wtedy ta praca była lżejsza, a przez dwa dni miał ochotę na seks.

A co się stało z tymi, którzy mieszkali za rzeką? Oni nie uprawiali roli, bo tam się nie dało uprawiać. Tam nawet mak nie chciał rosnąć. Zatem dalej polowali, a potem nauczyli się lepienia naczyń z gliny. Nauczyli się od tych z południa, że to w sumie nie jest takie najgorszy sposób, jeśli chce się coś trochę przechować. Tych naczyń „leśnych” jest dużo mniej i są one bardzo charakterystyczne – mają ostre dna. Myśmy [archeolodzy – przyp. red.] kombinowali, dlaczego. Jak na piaszczystej wydnie człowiek założy obozowisko i w szalasie chce postawić coś na nierównym, to najlepiej wsadzić to coś w piach ostrym dnem i wtedy dobrze stoi. Dlatego naczynia na Kurpiowszczyźnie mają ostre dna, a te tu na południu – płaskie.

Tam ludzie zatem dalej polowali i jakoś funkcjonowali. [Spójrzcie na mapę: – przyp. red.] gmina Baranowo i Budki [w gm. Chorzele – przyp. red.], tu granica w okolicy Chorzele, a tu na piaskach – jakbyście do Budek pojechali, tam piachu jest po horyzont. Wiem, bo się tam wychowałem, stąd moje zainteresowania tym terenem. No i wreszcie Kadzidło, centrum obecnej Puszczy Kurpiowskiej.

Ci, co mieszkali na południu, byli zainteresowani tym, co się dzieje po drugiej stronie, w puszczy. Co tam ciekawego jest? Oni od czasu do czasu też by chcieli zjeść takiego dzika. Dlaczego nie? W związku z tym wyprawiali się czasami za rzekę, za Orzyc, na teren puszczy. Ale na krótko. Tak, żeby zahandlować z tamtymi. Handel był od zawsze, nie tylko wtedy, kiedy w Krasnosielcu bracia Warner mieszkali, tylko jeszcze wcześniej. Handel funkcjonował przez granicę. Najlepiej się przy

granicy handluje, bo tamci mają co innego, my mamy co innego. My tu mamy mleko, a oni mają zwierzynę.

Znajdujemy pojedyncze topory kamienne tych z południa. Namacalne ślady, że tam pojechali. Czasami dali sobie z miejscowymi „w cymbał”, czasami porozrabiali i zgubili coś albo krzywdę im zrobiono i jakieś rzeczy po nich pozostały. Nie ma tam żadnych obozowisk. Jechali na 2–3 dni i wracali. Tak jak ja ze swoim dziadkiem jeździłem na ryby nad Omulew, bo tam lepiej brały, ale na stałe dziadek mieszkał tutaj, na południu. Sama dolina Omulwi jest takim fragmentem w Puszczy Kurpiowskiej, gdzie nawet ci rolnicy od biedy mogliby funkcjonować, ale przyjeżdżali tylko... na ryby.

Po jakimś czasie klimat się zmienił, przeszło. W tym roku też przeszło tutaj i w całym kraju. Gdyby tak przesychało przez 100 lat, to rolnictwo mogłoby ucierpieć. Wszystkie te pola zamieniłyby się w step – porosły trawą. Uprawa roli wymaga wody, jak jest mało wody, rośliny uprawne nie będą rosły, a trawa będzie rosła. Wtedy pojawili się kolejni ludzie z południa – a było to ok. 3–4 tys. temu. Zajmowali się tylko pasterstwem, czyli nie interesowała ich uprawa; formalnie byli z epoki młodszej kamienia, z neolitu. Hodowali zwierzęta – głównie bydło, ale również jeździli konno [slajd nr 15]. Mieli też owce i kozy. Dla nich żyło się tu fantastycznie. Ci, którzy uprawiali rolę, musieli wycofać się bardziej na południe, gdzie klimat był wilgotniejszy. Zostały po nich ogromne polany po wyciętych lasach, na których rosła trawa. Tak było, dopóki las nie wszedł z powrotem, a na to potrzeba kilkaset lat.

Wtedy właśnie tutaj osiedlili się pasterze. Przyszli z określoną kulturą. Jeśli Państwo pamiętacie opowieści o Dzikim Zachodzie, to wyobraźcie sobie wielkie połacie stepu, na którym żyją ogromne stada bydła, a opiekują się nimi kowboje. Otóż byli to tacy kowboje. Mieli także podobną mentalność. Czym się zajmują tacy kowboje? Pilnują stad, bo z tego żyją. No ale jakby można było wziąć czasem stado kołedze, to nie mają nic przeciwko temu. Będą mieć wtedy jeszcze większe. Napadają zatem na sąsiadów, zabierają im bydło, czasem ich przy tym zatłuką. Napadają także na okoliczną osiadłą ludność rolniczą. Dokładnie tak jak to wygląda na westernach. Połowa tych kowbojów jest dobra, połowa jest zła. Dobra jest ta, która rabuje razem z nami, a zła to ta, która nam rabuje. Ale tak naprawdę są wszyscy tacy sami.

Kultura ceramiki sznurowej, która tutaj weszła ok. 2 tys. lat przed Chrystusem, czyli 4 tys. lat temu, to kultura takich pasterzy-rabusiów. Jak się takich współczesnych [pasterzy – przyp. red.] poszuka, to wydają się wszyscy podobni. Współcześni pasterze np. na Podhalu żyją. Teraz wiemy, że Janosik nie wziął się znikąd. Owszem, owieczki pasął, ale mu się nudziło pasanie – to raczej nudna robota, bo owieczki same się pasą. Skoro miał dużo wolnego czasu, to się wybrał do sąsiedniej dolinki, na Słowację. A tam ciupażką kogoś dziabnął i mu owieczki zagarnął... a potem inni jemu zagarnęli. To jest widocznie najlepsza robota, najlepsza rozrywka dla takich ludzi. W związku z tym w ich inwentarzach jest siekiera kamienna, ale nie do ścinania lasu, tylko broń, którą można [machnąć – przyp. red.], tak jak

ciupagą. Góralska ciupaga to jest taka niby tylko laska, którą można skrzesać ogień, można obrobić kijak jak jest potrzebny, ale w karczmi, jak ktoś się z nami nie zgadza, można temu komuś zdrowo głowę przeczesać. I to jest bardzo dobra broń. Ich topory także nie były używane do karczunku, tylko jako topory bojowe. Służyły do rozwalania głów tym, którzy nie chcieli po dobroci oddać swoich stad. Sztylety krzemienne też pomagały w takiej perswazji, no i znajdujemy sierpy, którymi ścinano trawę, bo jednak w zimę trochę tej trawy zwierzętom trzeba było zostawić. [Znajdujemy – przyp. red.] Krzemienne groty strzał służące do polowania i pewnie do zabijania sąsiadów [slajd nr 16].

Takie właśnie sztylety znaleziono tu niedaleko nad Orzycem w Jednorozcu. W tej chwili są w muzeum w Przasnyszu. Mamy też sierp bodajże z Małowidza, a groty z kurhanu z Dzierzgowa. Zmarłych chowali w kurhanach. Większości kurhanów jeszcze nie znaleźliśmy, ale to nie znaczy, że ich nie ma. Trzeba ich poszukać, bo jeśli tutaj byli (a byli na pewno), to pozostawili po sobie grobowce w postaci kurhanów. Już nieco wcześniej pojawiały się groby, bo ludzie zaczęli wierzyć w to, że zmarłych wstanie. A to jest chyba powód, dlaczego zaczęto chować zmarłych do grobów. Wcześniej ich nie chowano, a jeżeli chowano, to na drzewach. Nie mamy zbyt wielu pochówków. Z okresu mezolitu jest ich 5 czy 6 z terenu całej Polski. To nie jest możliwe [by umarło tylko tyle ludzi – przyp. red.]. Oni musieli mieć jakiś inny rytuał. Nie znamy tego rytuału i nie znaleźliśmy [jego śladów. Może chowali ich – przyp. red.] tak jak Indianie, właśnie może na drzewach. No w każdym razie [wcześniej – przyp. red.] nie chowano ich [w grobach – przyp. red.]. Natomiast z okresu neolitu znamy już setki pochówków.

Dalej na południe, na Wysoczyźnie Ciechanowskiej, rolnicze osadnictwo jeszcze funkcjonowało. Tam koło Ciechanowa gleby są najlepsze, w związku z tym nawet przesuszone pozwalały funkcjonować rolnikom, gdy tutaj właśnie w okolicach Jednorozca, Krasnosielca przesuwały się grupy koczowników, nie wchodząc na teren puszczy (tam rosły drzewa, nie było trawy), chyba że sporadycznie przenikali dolinkami rzek. W tym czasie ludzie na południu hodowali trzodę, uprawiali rolę i wytwarzali ceramikę.

Przechodzimy teraz do kolejnej epoki. Zaczęła się gdy gdzieś na południu Europy. Ktoś wrzucił do ogniska jakieś kamienie nie przez przypadek, bo do ogniska wrzucano kamienie po to, żeby np. wodę zagotować. Jakbyśmy chcieli coś podgrzać w garnku czy ugotować sobie zupkę, to nie moglibyśmy po prostu na ognisku postawić garnka glinianego. One się do tego nie nadają, bo glina się rozpęknie, więc gotuje się w ten sposób, że do ogniska wkłada się mnóstwo kamieni i te rozgrzane kamienie wkłada się do garnka – po 3 czy 4. Można szybko zagotować saganek pięciolitrowy. Proszę mi wierzyć, sam to robiłem. Potem, dokładając co jakiś czas kolejne rozgrzane kamienie, można ugotować nawet mięso. Trzeba tylko uważać, by tych kamieni wyjętych z wody nie wkładać od razu do ogniska, one muszą odprowadzać, bo inaczej wystrzelą jak granat.

Ale do rzeczy. Kiedyś włożono kamienie, z których wypłynęła jakaś substancja, którą

można było, uderzając innym kamieniem, dość łatwo formować, splaszczyć, i zrobić z niej np. jakąś ozdobę. I na początku tak właśnie robiono. Ta substancja to metal – miedź. Dodanie do niego cyny spowodowało, że [stop/metal – przyp. red.] stawał się twardy. Można było z tego robić narzędzia i broń. Stąd też z miedzi wyrabiano jedynie biżuterię, a już z brązu mamy narzędzia w postaci siekier, sierpów i oczywiście broń, która służyła przede wszystkim do tego, żeby zabijać. Była też oznaką bogactwa. Na terenie Polski nie występują złoża miedzi, które mogłyby być wtedy, przy tej technice, którą oni znali, wykorzystywane. Miedź i brąz, które do nas docierały, pochodziły co najmniej z Bałkanów lub dalej z południa Europy. Z nimi pojawili się ludzie, którzy posługiwali się [tymi narzędziami – przyp. red.], ale raczej sporadycznie. Powiedzmy, że we wsi było jedno takie narzędzie, ale my [archeolodzy – przyp. red.] je znajdujemy, mówimy, że zapanowała już w tej wsi epoka brązu. Pomimo, że tego brązu jest bardzo mało, a mieszkańcy dalej używają kamienia, używają ceramiki, uprawiają pola.

Znowu następuje wahnięcie chłodniejszego klimatu, tzn. pojawia się więcej opadów. I znowu z południa przychodzą ci, którzy uprawiają rolę, a tutejsi koczownicy muszą odejść. Ci nowi rolnicy przynoszą pojedyncze narzędzia należące już do epoki brązu. Do niedawna uważaliśmy, że ich osadnictwo koncentrowało się na północ od obecnego Przasnysza w okolicach Cichowa, Ożumiecha, czyli gdzieś tam koło Krzynowłogi Małej, najdalej dochodząc do Chorzel. Ale nie tutaj, w dolinie środkowego Orzycza. Okazało się, że tak nie było.

Teraz zabiorę Was na wyprawę do kina. Historia dzieje się gdzieś na północy Tesalii. Znacnie film „Troja” – przyp. red.? To początkowa scena, którą będziecie obserwowali: w ręce Achillesa widzicie sztylet brązowy, niezbyt duży. Nie ma w tym czasie mowy o mieczach. [Sztylet – przyp. red.] jest kilkudziesięciocentymetrowy, na filmie nieco przerysowany na potrzeby Hollywood. Być może to bracia Warner chcieliby, żeby tak było, bo film jest nakręcony przez wytwórnię Warner Bros. Zwróćcie zatem uwagę na sztylet w rękach Achillesa. Nie zawracalbym wam głowy „Troją”, bo gdzie Troja, a gdzie Drażdżewo, gdyby nie to, że tu w okolicy znaleziono taki właśnie sztylet [slajd nr 19]. No nie dokładnie taki sam, dużo mniejszy niż tamten, ale jednak. Dlaczego? Nie każdy mężczyzna miał taki w Grecji, w Tesalii czy na Bałkanach, [miał go – przyp. red.] tylko wojownik z prawdziwego zdarzenia. Chodzi mi o to, że ten sztylet znaleziony tu [w naszej okolicy – przyp. red.] jest oznaką przynależności do tej samej cywilizacji, tej samej kultury, która wytwarzała takie właśnie sztylety. I takie sztylety znaleźliśmy właśnie tutaj.

Ten nasz sztylet był mały, ale to nieważne. Cóż, ile można przywieźć dużych sztyletów na taką dużą odległość? Może 1, 2 lub 3, za to mniejszych 30–40. W związku z tym jeśli kupiec jedzie w długą drogę, to bierze ich więcej. Ważne jest, żeby każdy wojownik miał taki sztylet. Uważam, że było wielkim szokiem dla nas, że z tego czasu coś takiego znaleziono tutaj w okolicach Drażdżewa i Jednorozca. Przy tym to nie jest pojedynczy przypadek, bo znaleźliśmy od razu dwa takie sztylety przy okazji

zupelnie innych badań. Poszukiwania dotyczyły powstania stycziowego⁵, a znaleziono tak stare przedmioty. Ale to nie są pierwsze badania, które ujawniły tu przedmioty z epoki brązu. W latach trzydziestych zeszłego stulecia Niemcy opublikowali w „Alt Prussia” informację o brązowym sztylcie o długości 35 cm ze sztabą do rękojeści. To już jest całkiem sporo znalezisk z tych okolic. Zatem pewnie mieszkalo tutaj całe plemię. Wziawszy poprawkę na Hollywood, Achilles właśnie takim sztylcem walczył pod Troją, dokładnie takim, nawet nie się nieróżniącym. Więc mieliśmy już tutaj sztylet Achillesa. Ten opisany w publikacji [sztylet – przyp. red.] zginął niestety w 1945 r. w Królewcu podczas bombardowania przez Armię Czerwoną (jest to powód, żeby Armia Czerwona oprócz samolotu oddała również nasz sztylet). Mówiąc serio, nie tylko wytwórnia filmowa łączy ziemię krasnosielecko-jednorozką ze starożytną Troją, ale również i przedmioty sprzed kilku tysięcy lat. Drugi sztylet był inaczej oprawiany, ale pochodzi z tego samego mniej więcej okresu, czyli początku epoki brązu. Ktoś w tym czasie tu przyjechał. Ktoś kto należał do tego samego kręgu kulturowego, czytał być może tę samą gazetę [dr Borkowski pokazuje egzemplarz „Krasnosielckiego Zeszytu Historycznego nr 36” – przyp. red.], która gdzieś tam w Mykenach była pewnie wydawana, a on ją prenumerował gdzieś tam daleko na północy Mazowsza. Wydawcy mówili: no tak, mamy prenumeratorów w Grecji, w Tesalii, w całym basenie Morza Śródziemnego, no i jednego w... Drażdżewie – trudna nazwa do wymówienia dla Greków. Jest tam taki jeden gościu, który ją prenumeruje, jemu trzeba ją wysłać. Cztery lata będzie szło, ale dojdzie [publiczność bije brawa – przyp. red.].

Czytajmy dalej. Rozlewiska Orzycza [dr Borkowski wyświetla fragment filmu o Celtach – przyp. red.]. To, co Państwo widzicie tutaj, to kolejny kawałek światowej historii, który dzieje się w dolinie Orzycza. Ci tańczący to Celtowie – druidzi. To mniej więcej VI w. p.n.e., czyli 2600 lat wstecz od dziś. Na tereny Północnego Mazowsza docierają zabytki kultury celtyckiej. I to nie pojedyncze fibule [broшки – przyp. red.], które ktoś komuś podarował, ale cały zestaw narzędzi i ozdób celtyckich został tu znaleziony. To są właśnie takie ozdoby: zapinka, celtycki miecz (jest wprawdzie z okolic Mazowsza Środkowego) i to naczynie do picia wina z takim dziobkiem. Myśleliśmy, że Celtowie, jeśli w ogóle mieli swoje osady, to dotarli co najwyżej do Mazowsza Środkowego, tam, gdzie funkcjonowały duże ośrodki metalurgiczne. Otóż Celtowie nauczyli ludzi mieszkających na terenie Polski, w tym i Mazowsza Środkowego, sztuki wytopienia żelaza. To kolejny metal, który się pojawił w historii człowieka, bo brązu było mało i nie było na miejscu złóż miedzi. Natomiast żelaza było w tutaj, to znaczy w Polsce bardzo dużo. W związku

⁵ Chodzi o badania prowadzone w 2013 r. na Polskiej Kępie i Płaskie Górze przez poszukiwaczy z Mazowieckiego Stowarzyszenia Historycznego „Exploratorzy.pl” we współpracy z archeologami z Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie i Mazowieckim Wojewódzkim Konserwatorem Zabytków, delegatura w Ostrołęce.

z tym Celtowie tutaj dotarli i nauczyli miejscowych budowania tzw. dymarek, czyli pieców do wytopienia żelaza z rudy darniowej. Do tego przekazali im umiejętność robienia z tego żelaza różnych rzeczy. No więc dotarli na południe Polski oraz dalej. Jak Państwo wiecie, są dymarki świętokrzyskie i mazowieckie, to te koło Warszawy, Pruszkowa, Brwinowa.

Sam zaczynałem swoją przygodę z archeologią od OHP – (Ochotnicze Hufce Pracy), właśnie w Brwinowie kopałem dymarki i znalazłem fragmenty celtyckiej ceramiki. Nie mogłem w to uwierzyć, ale pan Woyda, archeolog, mówił tak: to są celtyckie naczynia, masz w rękach przyjacielu celtyckie naczynie. To znalezisko spowodowało, że zamiast pójść na fizykę, bo takie miałem marzenie w liceum, poszedłem na archeologię.

No kurde, Celtowie tu pod Warszawą? Ok. Ale Celtowie, proszę Państwa, w Chorzelach! To są bransolety celtyckie oraz celtycka zapinka [slajd nr 22]. Stanowisko archeologiczne nazywa się Rembielin, ale naprawdę się to Chorzele, bo do Rembielina jest stamtąd kawałek (wiem, bo się wychowałem w Chorzelach). Nazwa miejscowa to „Stroma Wólka” i tam, proszę Państwa, zostało znalezione 14 przedmiotów *sensu stricto* celtyckich. Nie pod wpływem celtyckim, tylko rzeczywiście z celtyckiego kręgu kulturowego. Mówi się, że istniała gdzieś tu faktoria celtycka i ta faktoria czymś handlowała. Są dwie hipotezy, czym handlowała. Teraz wam pokażę, czym handlowali. Oto są te skarby, którymi handlowali Celtowie [wskazuje na slajd nr 24 – przyp. red.]. Oto te przedmioty i jest tego od metra.

Slawomir Rutkowski [patrzac na zdjęcie Miss Polski 2014 – Ewy Mielnickiej [slajd nr 24] – przyp. red.]: Tym też?

Dr Wojciech Borkowski: Tak, tak. Pan Sławek patrzy na koronę Miss Kurpiowszczyzny, a ja patrzę na coś innego, na... na burstyn. Otóż właśnie to jest to, po co przyjeżdżali tu Celtowie. Ja nie mówię, że nie żenił się z Laszkami. Laszki zawsze były, i do tej pory są, najpiękniejsze na świecie, co zresztą widać. Ale w dorzeczu Narwi, nad Orzycem, nad Omulwią, na Kurpiowszczyźnie bursztynu jest bardzo dużo, od zawsze go było dużo. Właśnie tutaj, siedząc na dobrych glebach, gdzie rozwijało się rolnictwo, było im dobrze. Handlowali i kupowali od tych, którzy zrozumieli, że zamiast polować, mogą zacząć handlować, i wybierać bursztyn.

No a druga rzecz w puszczy? Jak to Państwo widzicie na mapie, mamy poświadczone osadnictwo nad Narwią. Ten teren to Międzyrzecze Łomżyńskie. Pojawiają się pojedyncze stanowiska z następnego okresu. My go nazywamy okresem wpływów rzymskich, ponieważ Celtowie byli taką forpocztą kolejnych plemion. Plemion, które były pod wpływem Rzymu. My wiemy już w tej chwili, że były to plemiona germańskich Wandalów, później Gotów, które dotarły na ten teren i które funkcjonowały w ramach Szlaku Bursztynowego. Bursztynowy Szlak został stworzony przez Celtów, a później wykorzystywany przez Cesarstwo Rzymskie do importu bursztynu na teren Cesarstwa Rzymskiego.

I znów na Mazowszu pojawiają się nowe przedmioty. Mamy do czynienia z metalowymi broszkami, ale innego kształtu, inaczej wyglądającymi. Jedną z nich Państwo obejrzyjecie, jest

tutaj taka, może troszeczkę późniejsza, chyba gocka, ale w każdym razie z tego samego okresu. Na slajdzie jest miejscowość Todzia, gmina Kadzidło, a więc środek Puszczy Kurpiowskiej [slajd nr 25]. I tu właśnie pojawia się osada i cmentarzysko, tzn. że jeśli jest cmentarzysko, to ludzie mieszkali aż do śmierci. Czyli ktoś, kto ich pochował, dalej mieszkał na tym terenie, bo zostawił ich groby. Czyli ludzie tu mieszkali, ale na pewno nie uprawiali roli, bo na piachu nie było po co, ale mogli handlować jako jeszcze dalej na północ wysunięta forpoczta. Mamy ten sam dokładnie czas, w którym w Palestynie rodził się Chrystus, a tu funkcjonowało stanowisko w gm. Kadzidło w miejscowości Todzia. Jakies stanowisko z tego czasu istniało również tutaj [w okolicach Dążdżewa – *przyp. autora*]. W Jednorozcu znaleziono te figurki i one poświadczają, że tutaj też mieszkali ludzie, być może kontaktowali się z tamtymi. To w sumie niedaleko, dzień drogi na piechotę. Mogli spokojnie dojść, to jest taka odległość, że mogli odwiedzać swoich kolegów i przyjaciół. W miejscowości Dybowo koło Kadzidła mamy także cmentarzysko, na którym znaleziono groty oszczepów, imacz i umbo od tarczy.

Dlaczego? Ja się zastanawiałem długo. Archeolodzy mówią o tych czasach „okres wpływów rzymskich”. Czym jest ten okres i czym były „wpływy rzymskie”? To się tak fajnie mówi, uczy się studentów. A ci biedni studenci powtarzają to nawet profesorom: „okres wpływów rzymskich”. No i co to są te wpływy?

Tego nie będzie niestety dokładnie widać, ale to jest film „Gladiator” [*dr Borkowski wyświelta fragment filmu* – *przyp. red.*]. Jak się osadzi w historii ten film i miejsce geograficznie, to będziemy wiedzieli, dlaczego dalej mówię o wielkich walkach, wojnach. Otóż one działy się za Marka Aureliusza, cesarza, który najdalej [na północ – *przyp. red.*] wysunął legiony. Nie wkroczyły wprawdzie na obecne ziemie polskie, ale na ziemie Niziny Niemieckiej i jeszcze troszeczkę dalej – jak daleko, nie wiemy. Ja mam nadzieję, że na terenie Polski znajdziemy jakieś znaleziska legionowe. Rzymianie nie przyszli tutaj z jednego powodu. Wiecie Państwo, że człowiekowi potrzebne jest do szczęścia: wino, kobieta i śpiew (choćby ja uważam odwrotnie). Można pośpiewać nad Orzycem, kobiety, jak Państwo widzieli i wiedzą, są najpiękniejsze nad Orzycem, tylko wina nie ma! Rzymianom bez wina nie chciało się walczyć. Nie było widać tego jednego, najważniejszego. Dlaczego oni dotarli nad Ren i doszli nad Dunaj – bo tam są, dojrzewają wina, reńskie i naddunajskie. Ba, na południe od Karpat jeszcze są niezłe wina. Przecież na Morawach są wina. Templariusze mieli dobre wina na terenie Słowacji, Czech i Moraw. Tu na północy mój kolega z Suwałk też robi wino, ale odróżnić to od octu, to tylko ksiądz by potrafił przy takiej małej ilości. „Kwach” taki, że głowa mała. Rzymianie po prostu by tego nie zdzierzyli.

Dlaczego Rzymianie w ogóle walczyli jako wolni obywatele, niebrani z poboru? Otóż oni walczyli dla ziemi. Jak zdobyli jakiś kawałek, to dostawali na własność całkiem sporo ziemi plus niewolników, których trafili. Ale ta ziemia tutaj nadaje się pod kartofle, nie pod wino, ale kartofli jeszcze wtedy nie było, bo Kolumb z Ameryki ich nie przywiózł. No i nie było

z czego wina robić (u nas najlepsze wino jest z kartofli i ze zboża). W każdym razie tu nie było po co [się osiedlać – *przyp. red.*]. Natomiast ich wpływ polegał przede wszystkim na tym, że mieszkających tutaj Germanów zmusili do maksymalnego gospodarczego i militarnego wysiłku. I „okres wpływów rzymskich” to po prostu permanentne wojny z Rzymianami, którzy się wdzierali od południa, napadając na mieszkających tu Germanów łącznie z naszymi. Nasi wprawdzie nie walczyli bezpośrednio, ale za to, proszę Państwa, produkowali żelazo.

To, co tu widzicie, to są złoża rudy darniowej, która występuje wzdłuż całego górnego Orzycza [i jest – *przyp. red.*] najlepsza w Europie [slajd nr 26]. Mogę to Państwu powiedzieć, bo stosowne badania były robione. Ruda darniowa jest w lasach w okolicach Chorzel i zawiera do 70% żelaza! Nie uwierzyłbym w to, gdybym sam nie chodził [po tych lasach – *przyp. red.*, jeszcze jako młody chłopak, jeszcze zanim wybrałem archeologię. Żeby zarobić parę groszy, właśnie w Chorzelach chodziłem z klasyfikatorem gleb, i jak trafiłem na rudę darniową, to nie byłem w stanie wbić świdra w glebę, a ja właśnie byłem od świdra (on od opisywania, a ja od świdra). Nie byłem w stanie po prostu zagłębić tego świdra, takie pęty tej rudy darniowej są tu nad Orzycem.

Do czego to może służyć? No właśnie do tego, co mówiłem. Tu widzimy na slajdzie zwykły dołek, który gdzieś wykopałem pod Chorzelami czy Małowidzem. Dymarki tutaj funkcjonowały, każda wioska rzymska to było kilkadziesiąt, kilkaset dymarek. Po co im było tyle żelaza? No właśnie po to, że wyrabiali z niego broń i sprzedawali ją tym Germanom, którzy tłukli się z Rzymem. To było ogromne zaplecze produkcyjne, tutaj funkcjonujące. Te rudy były na tyle dobre, że później wykorzystywano je często w średniowieczu – o czym będę mówił za chwileczkę. Na razie jesteśmy w II w. n.e. – i te rudy żelaza były głównym obiektem zainteresowania plemion, które tutaj żyły. Wydobywali je, wyrabiali z ich surowe żelazo i eksportowali. Sprzedawali, oczywiście bursztyn też, ale już w mniejszym stopniu.

Widzimy cmentarzysko w miejscowości Dzierzgowo pełne uzbrojenia [slajd nr 28]. Tam w każdym grobie aż kipi od broni: miecze, tarcze, dzidy. No przecież sami ze sobą się nie tłukli. Nie. Oni to robili i sprzedawali natychmiast. Wysyłali na południe, tam, gdzie trwała walka. Kolejne cmentarzysko w miejscowości Dobrzankowo – też faza rzymska, miecze wspaniałe, groty strzał itd. [slajd nr 29]. Jeszcze jedno w miejscowości Węgra niedaleko Przasnysza, więc dwa kroki stąd [slajd nr 30].

Kiedy wreszcie na te tereny przychodzą Słowianie? Mówiliśmy o plemionach germańskich Wandalów, potem Gotów, które mieszkaly na tym terenie właśnie w okresie wpływów rzymskich – tych wojen rzymskich. Nie mówmy: „wpływy”, bo tu nikt żadnej literatury, jakiegos tam Owidiusza, nie czytał. Ten jeden, co tutaj prenumerował to czasopismo [*wskazuje na „Krasnosielcki Zeszyt Historyczny” – przyp. red.*], to już dawno pojechał gdzieś tam w zaświaty, a nikt inny nic z Rzymu nie prenumerował. Reszta broń robiła, bo na tym można było zarobić. Już od czasów rzymskich najlepiej można było zarobić na broni i tak jest do tej pory, to się nie zmieniło. To się najlepiej

sprzedaje, w związku z tym już tutaj nie mówmy o wpływach rzymskich. Ja nie znoszę tego określenia. Jaki tam wpływ? Po prostu handel z tymi, którzy się z Rzymianami prali gdzieś tam o te ziemie, i na szczęście się obronili.

Ale przyszedł taki moment, w którym ci Germanie stąd wywędrowali dość radykalnie, tzn. zebrali się wszyscy i poszli na południe wtedy, kiedy Cesarstwo Rzymskie padało, apadało pod ciosami i tych Germanów, którzy stąd [poszli, bo – *przyp. red.*], bo wreszcie mieli dość. Mieli dużo broni i byli lepiej skrzyknięci. A wreszcie i dlatego, że chrześcijaństwo zapanowało w Cesarstwie Rzymskim. Otóż w IV w. n.e. cesarstwo przeszło całkowicie na chrześcijaństwo – to chrześcijaństwo poważne – jak ja to mówię. Oni się wystrzegali [zabijania – *przyp. red.*]. W Piśmie Św. jest napisane „nie zabijaj”. I nie szli do wojska. No to kto miał do niego iść? Tylko ci, którzy w Chrystusa nie wierzyli, a nie wierzyli np. ci tutejsi Wandalowie. Oni wierzyli w jakieś inne bóstwa i te bóstwa wcale im [walczyć – *przyp. red.*] nie zabraniały. Wprost przeciwnie, nakłaniały ich do tego, żeby tych innowierców do garnka wkładać. Mahomet wprawdzie jeszcze nie wymyślił świętej wojny, ale jakaś tam święta wojna istniała. W związku z tym Rzymianie za pieniądze wynajmowali całe germańskie armie, które miały bronić granic cesarstwa. No i tak po jednej stronie byli ci, co mieli bronić, a po drugiej ci, co atakowali. Ale to byli ci sami, może z tej samej wsi, na pewno tak samo mówiący.

No i przyszedł taki moment, kiedy się dogadali... Powiedzieli: co będziemy się ze sobą prać za darmo, a tamci będą dzielili i rządzieli, czyli dawali pieniądze. Więc odwrócili konie w drugą stronę i pojechali, a tam nie miał kto bronić. Miasta włoskie i miasta całej Europy stały otworem. Dlaczego poszli? Bo tam były bogactwa nieprawdopodobne: wino, jakieś tam kobiety, no może nie takie piękne jak te tu, i dlatego swoje zabrali stąd. Śpiewać też się nauczyli, jak mówią Rzymianie: ponure pieśni Germanów na zgłiszczach Rzymu było słychać. Jak się już upili winem, to śpiewali.

Jak poszli stąd, to poszli na dobre. Pierwsi Goci, którzy wyładowali ze Skandynawii na północy Polski, przeszli szlakiem przez Puszczę Kurpiowską po stronie Międzyrzecza Łomżyńskiego w kierunku na Morze Czarne. Dziś już wiemy, że odpryski przeszły na drugą, zachodnią stronę Orzycza. Niektórzy przeszli tutaj i zabrali Wandalów i razem z nimi odeszli. Czyli Goci i Wandalowie poszli łupić Cesarstwo, a tu nad Orzycem zrobiła się pustka osadnicza.

Dlatego szybko przeskoczyliśmy do średniowiecza, ponieważ pomiędzy IV–V w. n.e., kiedy stąd wyszli ostatni Germanie, do momentu, kiedy weszli tutaj – powiedzmy pod koniec VII lub pewnie VIII w. – Słowianie, na północnym Mazowszu była kompletna pustka. Ja sobie tego nie mogę wyobrazić i długo nie wierzyłem w tą pustkę. Jak studiowałem archeologię, to myślałem: będę tym, który tą pustkę zapełni, znajduję tutaj [ślady, że jej nie było – *przyp. red.*]. Przecież siedzieli tu jacyś ludzie, nie wiem jacy, może ufoludzie. Musiał tu ktoś być. Takie fajne ziemie nad górnym Orzycem [i – *przyp. red.*] nikogo nie było? Nie, w Puszczy Kurpiowskiej byli, dalej funkcjonowali. Tam ci stali łowcy zostali. Ich ta cała

polityka [okres tzw. „wędrowek ludów” – przyp. red.] nie interesowała. Oni tam pewnie siedzą do tej pory, bo tam mało plakatów [wyborczych – przyp. red.] na terenie tamtych gmin, tylko po większych miejscowościach. U mnie np. w wiosce nie ma. Za małą wioską, żeby elektorat zdobywać. Mówię o tym tylko dlatego, że ci odeszli, a tamci zostali. I tak zrobiła się tutaj pustka.

Skąd się wzięli tutaj Słowianie? Najlepiej umyślił porobił habilitacje z tego powodu, pisząc, że Słowianie gdzieś znad Prypeci ze wschodu w pewnym momencie przybyli. Pewnie pomyśleli sobie: no jest gdzieś pustka nad Orzycem, to trzeba ją zapłacić. Jedziemy tam, słuchajcie: tam jest podobno fantastycznie. No to zabrali wszystko i przyjechali, ale jak to było, naprawdę trudno powiedzieć. Tutaj dotarli wzdłuż Narwi, a później wzdłuż Orzyca, od południowego-wschodu, czyli dokładnie odwrotnie niż np. ci Germanie, którzy przez Puszczę Kurpiowską poszli sobie nad Morze Czarne.

Pierwsze stanowiska słowiańskie w okolicach Przasnysza [to – przyp. red.] kurhan średniowieczny [Tańsk- – przyp. red.] Kęsocha datowany na IX–X w. n.e. [slajd nr 32]. Bardzo charakterystyczna ceramika z takimi falami – od razu widać, że to są dość wczesne rzeczy. Oni pojawili się tutaj w IX, może jeszcze w VIII w. (tylko że tej VIII-wiecznej mamy tutaj bardzo mało na północnym Mazowszu), a dokumentów żadnych nie ma. Te pojawiają się dopiero w IX w., a w nich pierwsze doniesienia o zdobyczach piastowskich. Jeszcze nie mówimy o Mieszku, jeszcze nie ma państwa polskiego, jeszcze nikt na całe szczęście podatków nie ściąga, ludzie sobie spokojnie przyszli i zaczynają żyć. Myślą, że będą mieli fajnie. I nagle jakieś 100 lat później okazuje się, że gdzieś w Wielkopolsce wymyślili państwo piastowskie. No i tu przyjeżdżają urzędnicy i mówią, że będą stąd ściągać podatek. My mówimy, że nie będziemy płacić. Tutaj nad Orzycem było wolne i dalej będzie wolne. Na to oni odpowiedzieli, że zobaczymy. No i wrócili, ale przyjechali nie sami, ale z jakąś drużyną, i ta spuściła miejscowym łomot. Odtąd już trzeba było ten podatek płacić.

Jest X–XI w., kiedy pojawiają się pierwsze groby w obstawach kamiennych, zupełnie w innym porządku niż wczesnosłowiański [slajd nr 33]. Otóż pierwsi Słowianie palili swoich zmarłych, a ich prochy składali do kurhanów ziemnych w naczyniach. Jest taki kurhan w [Tańsku- – przyp. red.] Kęsosze, jest w Łęczynie Starym na terenie gm. Krzynowłoga Mała – tam są pojedyncze takie kurhany. To dowód, że to byli poganie.

Natomiast tu nagle w pierwszej połowie XI w. [pojawiają się – przyp. red.] groby szkieletowe. Chrześcijaństwo w przeciwieństwie do pogaństwa kładło bardzo silny nacisk na to, aby nie palić swoich zmarłych, żeby odróżnić nowy obrządek. Oni są ochrzczeni. Po złożeniu do grobu, żeby zmarłych wstawiali, to muszą być w całości pochowani.

Kamienne obstawy wokół zwłok wskazują, że mamy do czynienia z wojownikami, którzy tutaj przyszli i są jakby dla tego terenu zupełnie obcy. Oni przybyli tutaj po to, aby ustanowić państwo piastowskie na terenie północnego Mazowsza. Nie widzieliśmy tego, dopóki nie przebadaliśmy stanowiska w miejscowości

Bodzia, gdzie oprócz ozdób takich, które można wiązać z kręgiem wschodnim, znaleźliśmy ewidentne wikińskie uzbrojenie i wikińskie przedmioty wyposażenia [slajd nr 34]. I nagle się okazało, że te wschodnie, które także i tutaj były, nie przyszły z grupami Słowian wschodnich, tylko należały do Waregów, czyli plemion wikińskich, które założyły Ruś.

I teraz mała dygresja. Państwo czytacie w podręcznikach: dynastia piastowska to jest dynastia słowiańska z dziada pradziada, baby prababy. No powiedzmy, że jeszcze Dobrawka to może być Słowianką, bo to z Czech. A potem się okazało, że dynastia Przemyslidów jest wikińska, więc i ona też już była wikinką? No a żona Bolesława Chrobrego, to już żadna Słowianka. Żony naszych władców były ze środowiska germańskiego albo z Danii, albo z Niemiec. No i rodzi się pytanie, czy to byli Słowianie, czym była dynastia piastowska? Jak mówiłem, tyle tych habilitacji powstało i profesor, że póki ci ludzie żyją, to będziemy cały czas mówili o słowiańskiej dynastii Mieszka I i że Mieszko był Słowianinem. Jakoś tak się złożyło, że jego grobu nie ma, również Bolesława. Jedyny, jaki w tej chwili w prostej linii pozostał, to grób [Bolesława – przyp. red.] Krzywoustego i [Władysława – przyp. red.] Hermana. Leżą w Płocku i przez ostatnie 6 lat nie możemy się doprosić, żeby pozwolono nam zrobić badanie DNA. Bo by się okazało, że podręczniki trzeba napisać od nowa. A dlaczego? Być może na ten teren po prostu przybyli Wikingowie. Nie było ich wielu, może 13? [dr Borkowski wyświeśla fragment filmu „Trzynasty wojownik” – przyp. red.].

Po co oni tu przyszli, oprócz ściągnięcia podatków? Na scenie z filmu widzicie, że po bitwie siedzą i Wiking częstuje Araba miodem – miodem do picia. Mówiłem wprawdzie, że tu nie ma wina, ale to nie znaczy, że tu nie ma się czego napić. Tu był i jest miód [slajd nr 35]. Pewnie ten miód się przyczynił do tego, że Wikingowie tak łatwo docierali na te tereny. Zнали przyjemność fermentacji miodu i Polska słynęła z tego, że miody polskie były jednymi z najlepszych – ja uważam, że są najlepsze na świecie i w tej chwili jest to jedno z naszych dóbr narodowych. Potrafimy zrobić dobre miody i potrafimy je wysysać do nawet 30%, to nie znaczy, że on sam tak sfermentuje, ale kiedyś jeszcze opowiem, jak się syci miód, żeby był taki mocny. Fakt, że Puszcza Kurpiowska miodem stoi do tej pory.

Pewnie Wikingów nie było zbyt wielu, ale oni byli wcale sprawnymi wojownikami. Ja, jak oglądam filmy, to zawsze staram się, oprócz głupot, które tam są, znaleźć takie rzeczy, które są interesujące i ciekawe. Ponieważ ci, którzy piszą scenariusze, dostają tak duże pieniądze, że chociaż trochę prawdy muszą tam napisać. Wystarczy naprawdę kilkunastu dobrze zorganizowanych ludzi, którzy mają dobrze poukładane w głowach i są w stanie podbić plemię. Dlaczego? No, powiedzmy, takie plemię liczy kilkuset ludzi, ale z tych kilkuset ludzi to tak naprawdę odważnych, którzy chcą zaryzykować, będzie z kilkunastu. Najeżdżcy żyją z tego, że całe życie walczą, a ci całe życie uprawiają rolę, więc nawet jak się rzucą na nich kupą, to tamci są w stanie ich po prostu wyciąć. Zresztą wystarczy, że zetną dwóch czy trzech, reszta się przestraszy i powie: nie! Ile chcecie? [Chcemy – przyp. red.] 10 zł mie-

sięcznie. Dobra, będziemy płacić, ale zostawcie nas w spokoju.

Zatem oni przyszli i od tego momentu zaczęła się nasza historia tych ziem. Trafiły one pod opiekę, a raczej zwierzchnictwo plemion piastowskich, Piastów z zachodniej Polski, którzy tutaj ustanawiali swoją władzę. Grody były w Grudusku, Ciechanowie, w Wiźnie. Szukamy jeszcze jednego, gdzieś tu w okolicy Przasnysza jeszcze jeden powinien być, dlatego, że grody były budowane w odległości jednego dnia drogi od siebie, jakieś 20–30 km. I tu musiał być następny. W grodzie siedziała grupa dosłownie kilku sprawnych ludzi i oni trzymali cały teren pod swoją kontrolą, ściągał podatek.

Ale Mazowsze, proszę Państwa, faktycznie w obręb państwa polskiego weszło bardzo późno. Mamy tu na slajdzie znaleziska z Sypniewa i Wieczfni [slajd nr 36] – to jest miecz *sensu stricto* wikiński – nie ma dyskusji w ogóle. A to zabytki chrześcijańskie, które tutaj były, to przybyły razem z Wikingami. Na szyi Wikingowie nosili krzyżyki, bo miejscowa ludność była pogańska jeszcze przez kilkadziesiąt lat. Pamiętacie z historii taki moment po śmierci Mieszka II, kiedy odreagowało pogaństwo. Ono tak skutecznie odreagowało na Mazowszu, że Mazowsze włączono do Korony formalnie w 1526 r., po śmierci ostatniego z książąt mazowieckich; podobno królowa Bona go otruli. Zobaczcie: trzeba było otruć władcę Mazowsza w XVI w., żeby je włączyć do Korony. Długo było oddzielnym księstwem. A tak naprawdę Ziemia Liwska została włączona [do państwa polskiego – przyp. red.] dopiero w II poł. XVI w. po śmierci księżnej Anny, która tą ziemię miała jako swoje dożywotnie wiano i nie mogło być ono przekazane Koronie (jak urzędnik pojechał pobierać podatki, to go pogoniono). Król Zygmunt Stary odpuścił i powiedział, że no nie, oczywiście, to jest oddzielna kraina.

Proszę Państwa, tak wygląda pokrótce historia, dopóki nie pojawiła się tutaj polityka, tzn. polityka w postaci państwa. A ja pojawiłem się w Chorzelach w roku 1960. To jestem ja na utworach peryglacyjnych [pokazuje zdjęcie – przyp. red.] [slajd nr 37], nie chodzę po byle czym. No a tutaj [pokazuje zdjęcie – przyp. red.] jestem nad Omulwią, łowię z moim dziadkiem ryby [slajd nr 37]. Tak się moja historia potoczyła, że ja między Omulwią a Orzycem wychowany jestem i kocham to [miejsce – przyp. red.] najbardziej. A to właśnie jest dolina Omulwi [pokazuje zdjęcie – przyp. red.] [slajd nr 38] – ja niedawno sfotografowany i moja wierzbą, która stoi w granicach mojej działki.

To jest moje miejsce na świecie, którego historię chciałem Państwu chociaż troszeczkę opowiedzieć i gotów jestem na każde pytanie odpowiedzieć, no może mądrze to nie na wszystkie, ale na wszystkie próbuję.

Dziękuję Państwu bardzo.

Sławomir Rutkowski: Cały czas się tak zastanawiam: gdyby tak, cholera, uczyli w szkołach...

Głos z sali: Prawda.

Prelekcję wygłosił dr Wojciech Borkowski

Opracowanie redakcyjne:

Maria Weronika Knoch, Anna Ziółkowska oraz Sławomir Rutkowski



Powstanie styczniowe w parafii Płoniawy – zarys wydarzeń

Dariusz Wojciech BUDNY

Jak dobrze wiemy, w roku 1795 Rzeczpospolita Obojga Narodów zniknęła z map Europy. Rosja, Austria i Prusy postanowiły na trwałe zlikwidować nasz kraj i takie słowa jak: Polska, Polak. Nasi przodkowie, podjęli szereg działań, abyśmy my mogli żyć w niepodległym kraju. W latach 1830–1831 miało miejsce powstanie listopadowe, a w latach 1863–1864 powstanie styczniowe. W obu zrywach narodowo-wyzwoleńczych wzięli udział mieszkańcy parafii Płoniawy.

Oddział braci Szeinkellerów

Kilkanaście kilometrów od Płoniaw położona jest wieś Bolki. Właśnie tu w początku 1863 r. dwóch braci zaczęło organizować oddział partyzancki. Wacław i Tytus Steinkellerowie, którzy byli dzierżawcami dóbr w tejże wsi, dość szybko potrafili zgromadzić ochotników gotowych do walki. Już w nocy z 22 na 23 stycznia pod Makowem Tytus stał się wraz z 18 ochotnikami. Do zajęcia miasta nie doszło, a grupa Steinkellera wycofała się do pobliskiego lasu. W dniu 27 stycznia Zygmunt Padlewski wysłał w Pułtuskie Komisarza Rządu Zbigniewa Chądzyńskiego. *Polecam ob. Zbigniewowi Chądzyńskiemu po zebraniu i uzbrojeniu wszystkich ludzi zdolnych do broni w powiecie pułtuskim, najdalej w ciągu 48 godzin od daty niniejszego uderzyć i zdobyć miasto Maków. Nie było to zadanie proste, okoliczna ludność nie chciała wziąć udziału w tym przedsięwzięciu, co wynikało z niepowodzenia akcji zaplanowanej na noc styczniową. Poza tym w Makowie znajdowała się kompania wojska rosyjskiego. Chądzyński jednak przystąpił do wykonania zadania – skontaktował się ze wszystkimi wpływowymi osobami w powiecie, którym przedstawił rozkazy wydane mu przez Padlewskiego.*

Nie uzyskał jednak nic prócz obietnic. Wyręczając chorego naczelnika powiatowego, sam Chądzyński zajął się przeprowadzeniem akcji i 2 lutego stanął na czele organizującej się we wsi Bolki partii Wacława i Tytusa Steinkellerów i w sile 20 ludzi wyruszył na Maków. Szczęście sprzyjało powstańcom, bowiem kilka godzin przed atakiem załoga rosyjska opuściła miasto, pozostawiając tylko 40 weteranów i 10 kozaków w celu zabezpieczenia koszar. Z wejściem naszych do miasta kozacy uciekli, weterani zaś pod łóżka w mieszkaniach żydowskich pokryli się, spod których potem z niemałym



Mapa bitwy pod Podosiem z 8 II 1863 r.

trudem za łby ich wyciągać trzeba było. Powstańcy zdobyli broń, amunicję, zrzucili orły moskiewskie i zniszczyli archiwum władz miejscowych, zabierając jednocześnie pieniądze z jego kasy. Ponadto partyzanci rozlepili plakaty dotyczące uwłaszczenia włościan. Następnie, wskutek małej liczebności oddziału, w obawie przed powrotem wojsk rosyjskich partia wycofała się do pobliskiego lasu.

Termin ataku na Maków zbiegł się ze świętem Matki Boskiej Gromnicznej, co spowodowało, że do Makowa zjechało sporo okolicznej ludności. Wykorzystali to dowódcy oddziału, werbując ochotników. W ciągu trzech dni liczebność partii Steinkellerów wzrosła do 150

ludzi. Na wiadomość o tym Padlewski zamianował dowódcą oddziału Wacława Steinkellera dzierżawcę wsi Bolki, jako rzeczywistego pierwszego z obywateli pułtuskich w powstaniu udział biorącego, Chądzyńskiego zaś pozostawił w obowiązkach naczelnika powiatu i Komisarza Rządu. Zygmunt Padlewski nakazał też, aby powstańcy w ciągu 48 godzin wyruszyli w kierunku Raciąża.

Zajęcie Makowa oraz działalność licznych sił powstańczych w tym rejonie zaniepokoiła władze carskie. Generał Siemka wydał rozkaz mający na celu wytropienie grup partyzanckich i ich zniszczenie. Realizację rozkazu powierzono ppł. Wąjurowi, który na czele oddziału lotnego liczącego 400 piechurów i półtorej sotni kozaków 6 lutego wyruszył z Płonska. Wspomagał go ppł. Riedeczkina, który miał przeprowadzić rozpoznanie terenu. Steinkeller zamiast pozostania 48 godzin w okolicy Makowa, zabawił dni 4, na 5 dopiero wyruszył do wsi Karniewo, na trasie z Pułtuska do Przasnysza leżącym i tam zaniechawszy rozstawienia pikiet, pozostawiając broń na dziedzińcu wraz ze wszystkimi powstańcami wszedł do kościoła parafialnego dla odprawienia jakichś modłów. W tym samym czasie Wąjurow, dowiedziawszy się, że w Karniewie przebywają powstańcy, ruszył do wsi. Partyzanci zostali zaskoczeni, w największym nieładzie udało im się wycofać do pobliskiego lasu. Nie doszło do starcia zbrojnego, padło tylko kilkanaście strzałów z obu stron, a zapadający zmrok uratował powstańców. Tylko 70 wróciło wraz z dowódcą do Makowa, natomiast 80 pogubiło się w mroku pośród lasu.

Z tą garstką Steinkeller przedostał się w nocy do lasów podoskich i zamierzał stąd po wypoczynku wyruszyć do borów krasnosielskich, ale sam był mocno chory, febra go dręczyła i potrzebował spokoju.

Wacław Steinkeller, który sam udał się za Narew, dowództwo nad oddziałem przekazał swojemu wujowi Józefowi Malinowskiemu, który szczylił się tym, że 22 stycznia brać miał udział w napadzie na Płock organizowanym przez „Bończe”. Do napadu tego jednak nie doszło. Nowy dowódca partyzantów przebywających w lasach podoskich okazał się być człowiekiem pozbawionym zdolności organizacyjnych i przywódczych. Zamiast wraz z oddziałem przygotowywać się do walki, postanowił przebywać beczynnie u swojego brata, wyczekując ruchu wojsk rosyjskich.

Dowódca oddziału rosyjskiego ścigającego powstańców rozkazał kozakom ruszyć w kierunku Podosia i pozamykać im wszystkie wyjścia z lasu. Partyzanci szykowali się do wymarszu do położonych w odległości ok. 2 km lasów krasnosielskich. Podczas tych przygotowań zostali zaskoczeni przez wojska carskie. Przewaga Rosjan, zarówno pod względem liczebności oraz uzbrojenia, była miażdżąca. Partyzanci posiadali tylko 32 strzelby myśliwskie, resztę ich uzbrojenia stanowiły szable i kosy. Grupa powstańców została zepchnięta z leśnej polany na gęsto porośnięte bagna, mimo to partyzanci walczyli, zawzięcie, lecz musieli ulec przewadze moskali. Szesnastu poległo na miejscu, między nimi dowódca Tytus Steinkeller, pchnięty w głowę dźwidź kozacką i dobity wystrzałem z rewolweru z ręki adiutanta Wałujewa, dalej Marceli Pomaski, uczeń szkoły wojskowej w Cuneo, Łempicki, urzędnik kolei żelaznej, Daniel Bełbloszyński. Pozostała część oddziału, z tego 36 rannych, w tym 7 śmiertelnie, została wzięta do niewoli i odesłana do Pułtuska. Jak się później okazało, jedną z przyczyn klęski pod Podosiem była zdrada. Również w tymże czasie ukarano śmiercią niejakiego Piotrowskiego, szynkarza w Pułtuskiem, posądzonego o szpiegostwo i naprowadzenie Moskwy na oddział Steinkellera.

Główne postacie powstania styczniowego w regionie

Józef Malinowski, ziemianin, ur. w 1824 r. w woj. płockim. Wybitny działacz stronnictwa „czerwonych”. Brał udział w tworzeniu organizacji na północnym Mazowszu. Walczył w oddziałach atakujących Płock. Był w sztabie gen. Z. Padlewskiego, mianowany przez niego organizatorem i dowódcą oddziału partyzanckiego. Walczył u boku Padlewskiego na północnym Mazowszu. Po śmierci Padlewskiego pracował początkowo w administracji powstańczej jako pomocnik Sokolnickiego. W sierpniu 1863 r. został mianowany rewolucyjnym oskarżycielem na woj. płockie, a we wrześniu naczelnym organizatorem woj. płockiego. W 1864 r. został zmuszony do opuszczenia tego rejonu.

Tytus Steinkeller (brat Wacława), ziemianin z Kowalewka w pow. mławskim, walczył m.in. pod Makowem Maz., zginął pod Podosiem jako dowódca oddziału powstańczego w dniu 8 II 1863 r. Od stycznia aż do swojej śmierci naczelnik wojskowy pow. przasnyskiego.

Wacław Steinkeller, ziemianin, dowódca oddziału powstańczego. Brał udział w zdobywaniu Makowa 2 II 1863 r. oraz w walce pod Karniewem 6 II 1863 r. i Rydzewem 8 VIII 1863 r., naczelnik wojskowy pow. przasnyskiego na początku powstania.

**Zygmunt Pad-
lewski**, ur. 1 I 1835
r. w Czerniawce
Małej na Ukrainie w
rodzinie szlachec-
kiej. Ukończył Kor-
pus Kadetów i Aka-
demię Artylerii
w Petersburgu

w stopniu por. artylerii. W Petersburgu był członkiem tajnego Koła Oficerskiego. W 1861 r. w Paryżu działał w Towarzystwie Młodzieży Polskiej. Wykładał w Polskiej Szkole Wojskowej w Cu-neo i był wówczas jej faktycznym komendantem. Po aresztowaniu Jarosława Dąbrowskiego przybył do kraju w 1862 r. W tajnej organizacji polskiej przygotowującej się do powstania został naczelnikiem miasta Warszawy, potem wszedł w skład Centralnego Komitetu Narodowego, w którym wraz z Bronisławem Szwarce reprezentował lewe skrzydło CKN. Pertraktował z lewicą rosyjską w sprawie współdziałania. Opracował plan strategiczny powstania (tylko częściowo realizowany). Po wybuchu powstania objął dowództwo nad zgromupowaniem „Dzieci Warszawy” w Puszczy Kampinoskiej, które wyprowadził z oblawy. Od 23 I do 16 IV 1863 r. naczelnik woj. płockiego. Po nieudanych planach opanowania Modlina i Płocka został skierowany do Puszczy Kampinoskiej, gdzie objął dowództwo nad tworzącym się tam ugrupowaniem powstań-czym. Naciskany przez nieprzyjaciela, popro-wadził zagon powstańczy z miejscowości Ku-nino aż do Gorzenia, tocząc z liczniejszym nie-przyjacielem wiele krwawych bitew: m.in pod Myszyńcem, Drążdżewem, Zeńbokiem, Wró-bławem-Radzanowem. W sytuacji niezwykle trudnej dla jego zgromupowania rozwiązane co w dniu 22 III 1863 r. został aresztowany przez patrol kozacki w rejonie Borzymina (w drodze do Radzik Małych). Po odrzuceniu ulaskawie-nia za cenę wyrzeczenia się idei walki o nie-podległość został rozstrzelany w Płocku 15 V 1863 r. Jego imieniem nazwana została w 1963 r. w Mławie ulica (dawniej Niborska).

Stanisław Pomirski, duchowny, który wspierał powstańców, wikariusz z Płoniaw. Podczas pogrzebu partyzantów poległych w walce pod Podosiem ks. Pomirski naraził się władzom carskim, które uznały iż jego kazania podburzały i zachęcały okoliczną ludność do kontynuowania walki z zaborcą. W dniu 1 V 1863 r. został aresztowany. Od 31 maja przebywał w twierdzy modlińskiej, potem Komisja Polowa Wojenna pozbawiła go praw stanu i zesłała na katorżne roboty do jednej z syberyjskich fortec na 8 lat. Ksiądz Pomirski z katorgi powrócił dopiero w roku 1905. Zmarł



Mapa bitew z okresu Powstania Styczniowego 1863 r. ze zbiorów autora.

w roku 1929, został pochowany na cmentarzu
w Dąbrowie.

Wiersz autorstwa Marii Konopnickiej w świetny sposób przedstawia losy pułkownika, tak bardzo cenionego przez mieszkańców kurpiowszczyzny.

Padlewski

A w Zielonej, w Myszynieckiej
Hukają puszczyki,
To Padlewski Zygmunt dzielnym
Zwołuje Kurpiki!
A w Zielonej, w Myszynieckiej
Tam się echo goni,
To Padlewski Zygmunt dzielnym
Wola lud do broni!

Zwołał dzielne swe Kurpiki,
Zwołał w imię Boga,
Pod Myszyniec bitwę stoczył
I pokonał wroga!

I znów cicho w puszcę zapadł
Jakby go nie było...
I znów runął gdzieś na Moskwę,
Zmierzył się z jej siłą.

Aż wywiedli go Moskale
Z puszczy tej na pole!
Otoczyli i rannego
Uwięźli w niewole!

Placzą Kurpie i Kurpianki
Swego bohatera...
Nie odbije go już Moskwie
Kosa ni siekiera.

Tam, gdzie modra Wisła toczy
Swoje srebrne piany,
Padł Padlewski, wódz Kurpików,
W Płocku rozstrzelany!

Myszyniecka Puszcza szumi,
Szepte swe pacierze...
A Kurpiki dotąd prawią
O swym bohaterze!

mgr Dariusz Wojciech Budny



1



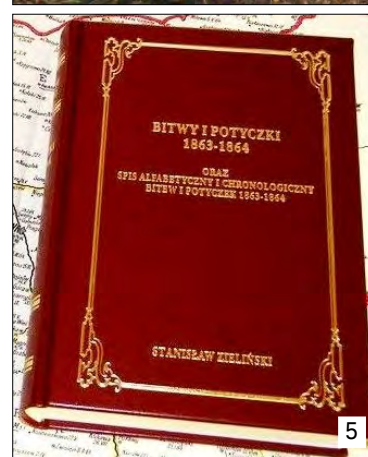
3



4



2

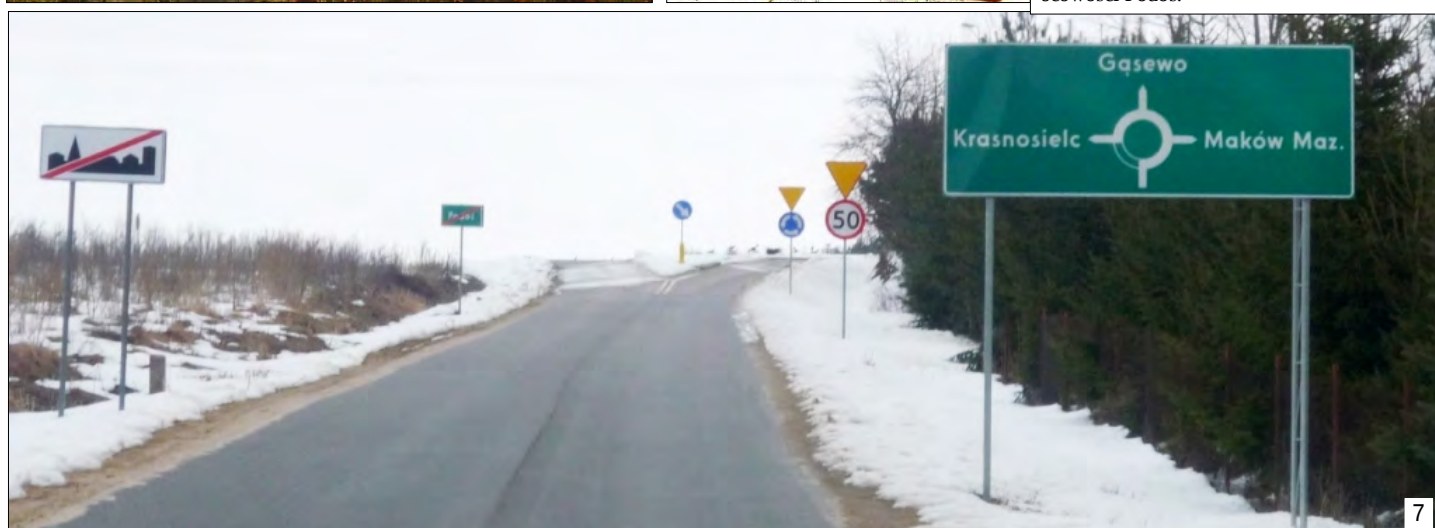


5



6

1. Mogiła poległych powstańców w Borze Podoskim. 2. Pomnik upamiętniający bitwę pod Podosiem znajduje się przed kościołem w Podosiu. 3. Most na Orzycu im. Ks. Stanisława Pomirskiego. 4. Napis z mogiły powstańców pochowanych na cmentarzu parafialnym w Płoniawach. W mogile spoczywa 9 powstańców, a w bitwie poległo ich ok. 60. 5. Książka opisująca bitwy i potyczki z okresu powstania styczniowego. 6. Mogiła poległych powstańców na cmentarzu w Płoniawach na nagrobku widoczne „przygotowania” do jubileuszu 100-lecia odzyskania przez Polskę Niepodległości. 7. Zdjęcie ronda im. Powstańców Styczniowych w miejscowości Podoś.



7



1. Tańsk-Przedbory, gm. Dzierzgowo – grodzisko, widok od północnego-wschodu, 2009 r. Fot. A. Byszewska. Źródło: <https://zabytek.pl/pl/obiekty/tansk-przedbory-grodzisko-kopiec/1> (dostęp 9 XII 2018 r.).
2. Żelazny topór wczesnośredniowieczny, Kuskowo, gm. Przasnysz. Zbiory Muzeum Historycznego w Przasnyszu. Źródło: *Z kart historii Przasnysza. 590. Rocznica nadania praw miejskich. Katalog wystawy*, Przasnysz 2017, s. 96.
3. Fragmenty prześlików z okresu wpływów rzymskich, Bogate, gm. Przasnysz. Zbiory Muzeum Historycznego w Przasnyszu. Źródło: *Z kart historii Przasnysza. 590. Rocznica nadania praw miejskich. Katalog wystawy*, Przasnysz 2017, s. 96.
4. Naczynie zasobowe z okresu wpływów rzymskich, Bogate, gm. Przasnysz. Zbiory Muzeum Historycznego w Przasnyszu. Źródło: *Z kart historii Przasnysza. 590. Rocznica nadania praw miejskich. Katalog wystawy*, Przasnysz 2017, s. 97.
5. Naczynie z okresu wpływów rzymskich z Bogatego, gm. Przasnysz. Fot. z wernisażu wystawy „Przasnysz na kartach historii” w Muzeum Historycznym w Przasnyszu, grudzień 2010 r. Fot. M.W. Kmoch.



9



11



8



10



12



13

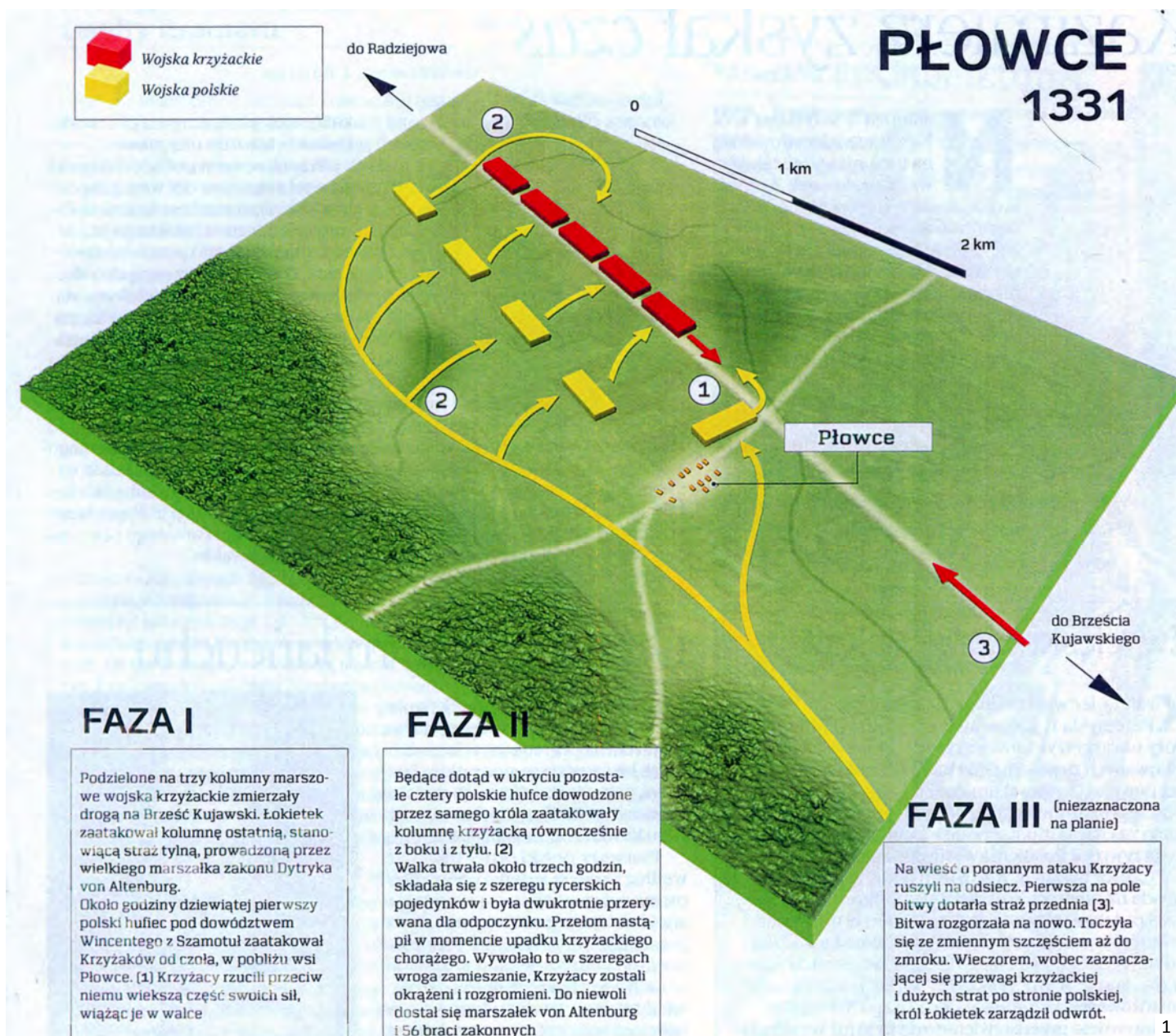


1. *Gladius*. Ekspozycja w Muzeum Bitwy w Lesie Teutoburskim, Karlkriese, Niemcy. Fot. Fundacja Promocji Kultury Antycznej Warszawa Terra Operta.
2. *Gladius*. Ekspozycja w Koloseum, Rzym. Fot. Fundacja Promocji Kultury Antycznej Warszawa Terra Operta.
3. *Galea*, hełm rzymski. Ekspozycja w Koloseum, Rzym. Fot. Fundacja Promocji Kultury Antycznej Warszawa Terra Operta.
4. *Galea*, hełm rzymski. Ekspozycja w Muzeum Straubing, Niemcy. Fot. Fundacja Promocji Kultury Antycznej Warszawa Terra Operta.



Do artykułu na s. 64:
"Imiona w parafii pw. św. Piotra i Pawła w Krasnosielcu w XVIII w."

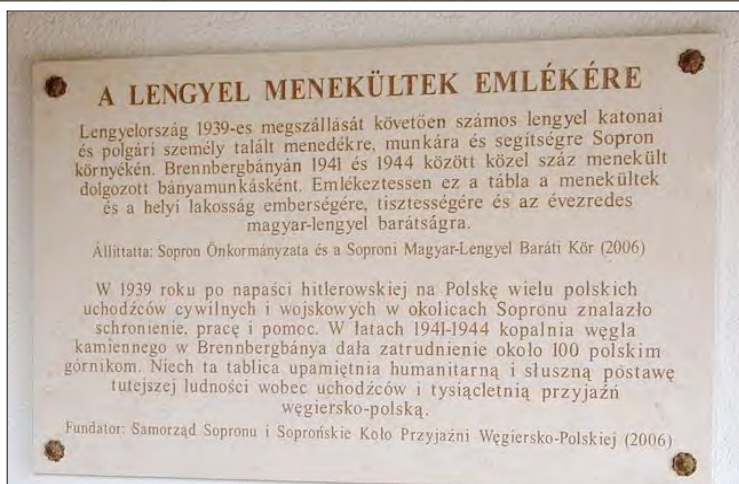
Kościół w Krasnosielcu, zbudowany w latach 1790–1792.
Źródło: <http://gminakrasnosielc.pl/turystyka/zabytki/kosciol-parafialny-pw-sw-jana-kantego-w-krasnosielcu/> (dostęp 27 XI 2018 r.).



1. Władysław Łokietek po bitwie pod Płowcami. ilustracja z *Albumu jubileuszowego Grunwald*, Warszawa 1910. 2. Plan bitwy pod Płowcami.
3. Pomnik bitwy pod Płowcami. Źródło: <https://mkl.flog.pl/wpis/6593446/pomnik-upamienniajacy-bitwe-pod-plowcami-1331> (dostęp 11 XII 2018 r.).



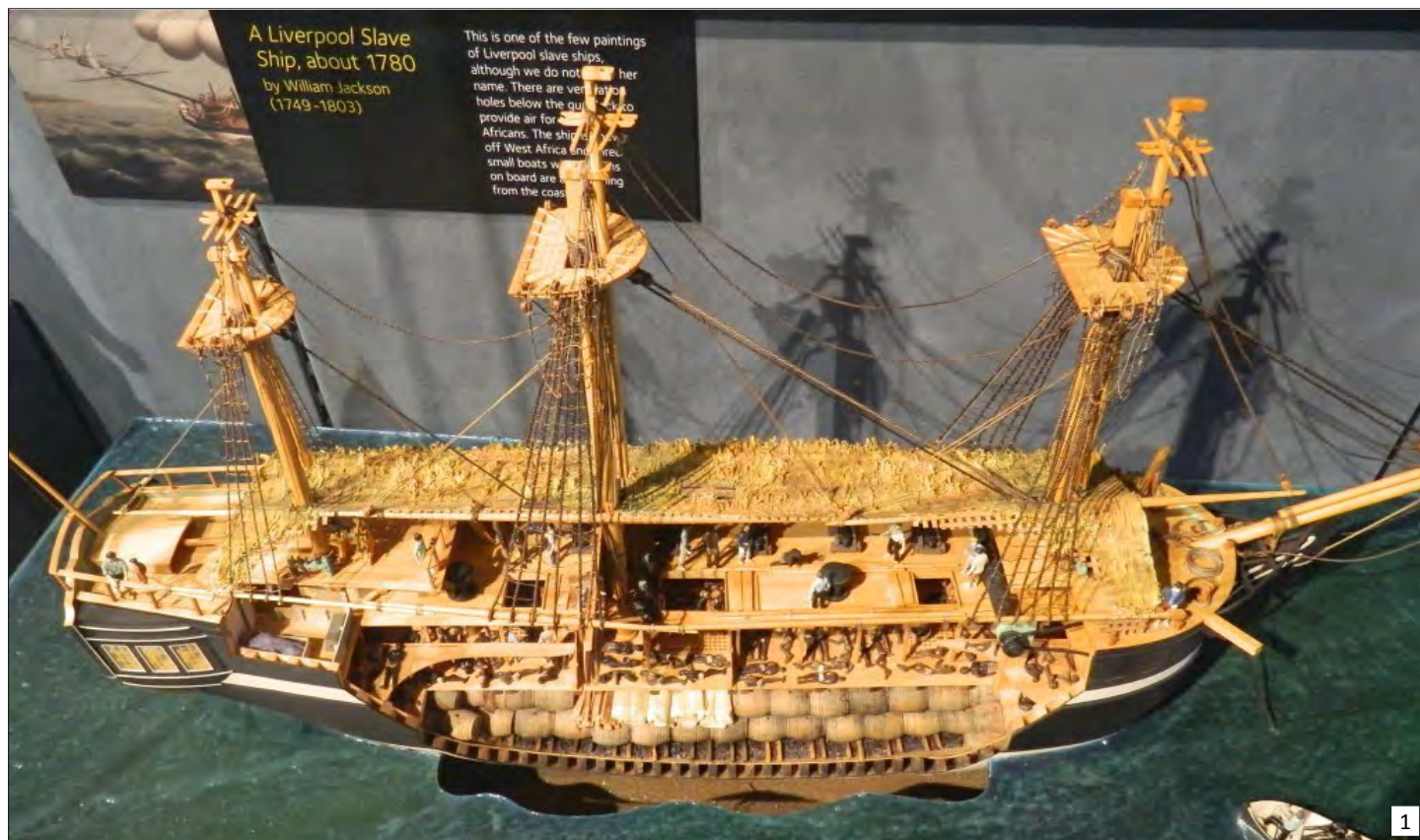
2



3

1. Rzeczpospolita po rozejmie w Dywulinie. Źródło: https://pl.wikipedia.org/wiki/Rzejm_w_Dywulinie (dostęp 11 XII 2018 r.).
2. Tablica w Sóstófürdő poświęcona pamięci obozów dla uchodźców polskich. Źródło: https://pl.wikipedia.org/wiki/Polscy_uchodźcy_na_Węgrzech_w_latach_1939-1945 (dostęp 11 XII 2018 r.).
3. Tablica upamiętniająca polskich uchodźców w Sopronie. Źródło: https://pl.wikipedia.org/wiki/Polscy_uchodźcy_na_Węgrzech_w_latach_1939-1945 (dostęp 11 XII 2018 r.).





1. Model statku niewolniczego. Zbiory International Slavery Museum w Mersyside Maritime Museum, Liverpool. 2. Zestaw narzędzi lekarza okrętowego. Zbiory International Slavery Museum w Mersyside Maritime Museum, Liverpool. 3. 4. Krążki wykonane z kości słoniowej z inskrypcją, używane jako forma gwarantu kredytu. Zbiory International Slavery Museum w Mersyside Maritime Museum, Liverpool. 5. „Laska” lub „bochenek” (loaf) cukru trzcinowego, jednego z najważniejszych surowców przywożonych do Europy, przetwarzany w każdym porcie, do którego zawijały statki niewolnicze, w tym w Liverpoolu. Zbiory International Slavery Museum w Mersyside Maritime Museum, Liverpool

Wojna secesyjna

Wojna w latach 1861-1865 w Stanach Zjednoczonych Ameryki



1. Źródło: <https://www.w.dzieje.pl/infografiki/wojna-secesyjna> (dostęp 11 XII 2018 r.).

2. Umundurowanie wojsk Unii i Konfederacji. Źródło: <https://dobroni.pl/n/wojna-secesyjna-i-re/2905> (dostęp 11 XII 2018 r.).



DZIEDZICTWO PRZODKÓW

SPOTKANIE

Z DR. ŁUKASZEM MAURYCYM STANASZKIEM
NA TEMAT GENEALOGII GENETYCZNEJ
ORAZ PREZENTACJA 37. NUMERU
"KRASNOSIELCKIEGO ZESZYTU
HISTORYCZNEGO"

GOK KRASNOSIELC
7 KWIETNIA 2019 R., 15:00

**Krasnosielcki
Zeszyt
Historyczny**



bezpłatny dodatek specjalny
do społecznego miesięcznika
„Wieści znad Orzyca”, TPZK

Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Krasnosielckiej, 06-212 Krasnosielc, ul. Rynek 40a,
Nr konta TPZK: 29 8917 0001 0000 1544 2000 0010 Bank Spółdzielczy w Krasnosielcu
Redaktor wydania: Sławomir Rutkowski kom. 796 030 115 rutkowski.plus@gmail.com oraz
Maria Weronika Knoch mariaknoch@wp.pl. Współpraca redakcyjna: Katarzyna Sieczko i Anna Ziółkowska.
Skład i korekta: Sławomir Rutkowski i Maria Weronika Knoch.

Redakcja wydania zastrzega sobie prawo do skracania i adiustacji publikowanych tekstów, a także opatrywania ich własnymi
tytułami. Poglądy wyrażane w artykułach są poglądami ich autorów a nie wydawcy. Wydawca może wykorzystywać
powtórnie lub udostępniać materiały wcześniej opublikowane przez TPZK.

Nakład: 1 000 egz. Druk: Drukarnia J.J. Maciejewscy, Przasnysz ul. Gdańska 1